POLONJA W AMERYCE

NIEKTÓRE INNE PRACE AUTORA — WYDANE

CICHE PIEŚNI. I. Chicago.

CICHE PIEŚNI. II. Chicago.

PIEŚNI ORĘŻNE. Warszawa.

BAŚŃ O KSIĘŻNICZCE CHIŃSKIEJ TURANDOT (Tłum. z Schillera).

BÓG SIĘ RODZI. (Obraz Dramatyczny).

JASEŁKA POLSKIE (Obraz Dramatyczny).

NA BEZRYBIU I RAK RYBA (Komedja).

DZIESIĘĆ LAT PÓŹNIEJ (Szkice Dramatyczne).

Z KART NASZEJ DOLI (Szkice Dramatyczne).

SZKOLNICTWO I WYCHOWANIE (Rozprawa).

POLONJI AMER. Z ŻYDAMI SPRAWA (Rozprawa).

HISTORJA ZJEDNOCZENIA P.R.K.

HISTORJA KOLLEGIUM ŚW. STANISŁAWA W CHICAGO.

MILJARDY W SŁUŻBIE (Myśli H. Forda). Warszawa.

ZARYS DZIEJÓW I KULTURY POLSKIEJ. Warszawa.

PODAREK DLA DZIATWY POLSKIEJ W AMERYCE I. Stevens Point.

PODAREK DLA DZIATWY POLSKIEJ W AMERYCE II.

PODAREK DLA DZIATWY POLSKIEJ W AMERYCE III.

CZYTANEK POLSKICH DLA SZKÓŁ PARAFJALNYCH W AMERYCE— trzy Serje.

50801

DR. KAROL WACHTL

Polonja w Ameryce

Dzieje i Dorobek

SŁOWO WSTĘPNE
napisał
KS. WŁADYSŁAW ZAPAŁA, C.R.

NAKŁAD AUTORA
Filadelfja, 1944

Przedruk dla Prasy, użytkowanie dla Szkół, Wykładów i Odczytów dozwolone, z prośbą o podanie źródła.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

685 063

Drukowano przez "Gwiazdę", we Filadelfji.

Printed in the United States of America
by Polish Star Publishing Co., Inc.
Philadelphia, Pa.

M. 26/34

Spis Rzeczy

Str.

SŁOWO WSTĘPNE 10-12

POTRZEBA TAKIEJ KSIĄŻKI 13-17

I. O EMIGRACJI WOGÓLE, O NASZEJ W SZCZEGÓLNOŚCI..... 19-24.
PRZYPISKI: Kanada: 23; Brazylja:23; Argentyna: 24; Kuba: 24.

II. WSPOMINKI HISTORYCZNE 25-54
Pierwsi Polacy w Ameryce: 25-28; K. Pułaski: 28-30; T. Kościuszko: 30-32; Po R. 1831: 32; Po R. 1863: 33.
PRZYPISKI: Bitwa pod Brandywine: 35; List Pułaskiego do Kongresu: 36; Pogrzeb Pułaskiego: 41; Zasługi Kościuszki: 43; Drugi Pobyt Kościuszki w Ameryce: 44; Wygnańcy z r. 1831: 48; W. Krzyżanowski: 51.

III. ZA CHLEBEM 55-70
Początki Immigracji Ekonomicznej: 55; Liczba i Rozmieszczenie Polaków w Ameryce: 57-61; Praca i Zarobki: 61-65.
PRZYPISKI: Pierwsi Przewodni Działacze: 55; Niedola Wychodźców: 67-70.

IV. POLONJI CHARAKTERYSTYKA OGÓLNA, A RELIGIJNOŚĆ JEJ W SZCZEGÓLNOŚCI 71-84
Początki narodowego uświadomienia: Religja, Parafja, Szkoła Parafjalna: 75; Niezależni: 78.
PRZYPISKI: Życiorysy: 81-84.

V. PARAFJE POLSKIE I ZJEDNOCZENIE KAPŁANÓW POLSKICH 85-100
Organizacja parafji i własność parafjalna: 86; O Duchowieństwie i jego zorganizowaniu: 90; Zjazdy ostatnie: 93.
PRZYPISKI: Polscy Biskupi w Ameryce: 98-100.

VI. O RÓWNOUPRAWNIENIE WE WYŻSZEJ HIERARCHJI KATOLICKIEJ 101-113
Misja Ks. Abpa. Symona: 101; Ks. Abp. Cieplak w Ameryce: 104; Polskie Diecezje, czy Amerykańscy Biskupi Polskiego Pochodzenia: 106-108; Plany i Projekty: 110.
PRZYPISKI: Ks. W. Kruszka: 112; Ks. Abp. Symon: 112; Ks. Abp. Cieplak: 113.

VII. SZKOLNICTWO 114-150
Szkoły Parafjalne: 114-129; Ich przeciwnicy: 119; Ubytek dziatwy w Szkołach Parafjalnych: 122; Siostry Nauczycielki: 124; Dom a Szkoła: 126-128; Szkoły Średnie: 129-133; Najstarsze Szkoły Średnie w Polonji: 132; Szkoły Najwyższe: Uniwersytety, Polskie Kursy i Katedry: 134-135; Szkółki Dokształcające i Uzupełniające: 136-137.
PRZYPISKI: Seminarjum Polskie: 137; Kollegjum Św. Stanisława: 141; Kollegjum Związkowe: 147; Polskie Kursy Uniwersyteckie: 149.

VIII. ORGANIZACJE 151-176
Pierwsze Próby: 151; Zjednoczenie: 153, oraz 164-167; Związek: 153, oraz 167-171; Majątek naszych Organizacyj: 155; Związek Jedności: 157; Organizacje Profesjonalne: 159-161.
PRZYPISKI: Pierwsze Organizacje: 163; Zjednoczenie i jego Działacze: 164-167; Związek i jego Działacze: 167-171; Związek Polek i jego Działaczki: 171-172; Sokolstwo: 174.

IX. Z DOROBKU SPOŁECZNEGO 177-190
Instytucje humanitarne, zawodowe i inne: 177-181; Instytucje byznesowe, banki, i t. p.: 181-184; Spekulacje po pierwszej Wojnie Światowej: 183-186.
PRZYPISKI: Korporacje tworzone po Wojnie Światowej: 188; Dlaczego poupadały: 189.

X. UDZIAŁ POLAKÓW AMERYKAŃSKICH W RZĄDZIE KRAJOWYM, ORAZ W SAMORZĄDACH STANOWYCH I LOKALNYCH 191-199
Powolny postęp wzwyż: 191; Szkoły Obywatelskie: 193: Polacy a W. Wilson: 194; Polacy w Kongresie: 195; Kluby Polityczne: 196.
PRZYPISKI: Polacy w Kongresie i na innych urzędach: 197-199.

XI. PRASA 200-231
Pierwsze Pisma: 200; Najstarsze Pisma: 203; Mało Czytają: 205; Charakterystyka Gazet: 206; Zrzeszenia Prasowe: 206-209; Pisma Zawodowe: 210; Pisma Polskie po angielsku: 212; Czy Prasa nasza upada? Jak ją podtrzymywać: 214-217.
PRZYPISKI: Szczegóły dotyczące statystyki i charakterystyki: 220; Przygana i Obrona Prasy naszej: 221; Spisy Wydawnictw: 223-224; Wydawcy: 225; Dziennikarze: 227-231.

XII. SZTUKI I WIEDZA 232-285
Piśmiennictwo: 233-236; Tłumacze: 237-238.
PRZYPISKI: 240-243.
Muzyka: 244; Kluby Artystyczne: 247.
PRZYPISKI: 249-252.
Rzeźba i Malarstwo: 253; Pomniki Polskie w Ameryce: 256.
PRZYPISKI: 258-259.
Scena i Teatr: 260; Próby stworzenia stałego Teatru: 260-262; Scenki Profesjonalne: 264.
PRZYPISKI: 266-270; Modrzejewska w Ameryce: 266; Aktorzy i Amatorzy: 268; Scena Profesjonalna: 270.

Dziedziny Wiedzy: 271-282; Język Polski w Ameryce: 278; Fundacja Kościuszkowska: 279; Muzeum Polskie: 281.
PRZYPISKI: 282-285.

XIII. NA POMOC POLSCE 286-358
Wspomnienie z lat 1904-5 (Wojna Rosyjsko-Japońska): 287; Późniejsze próby współdziałania Polonji: 291; Polska Rada Narodowa: 292; "Orjentacje": 294; K.O.N.: 296; Wydział Narodowy: 298; Polacy w Armji Amerykańskiej: 300; Odbudowa Rzeplitej Polskiej: 305-310; Pomoc Materjalna dla Polski:311-320; Armja Polska z Ameryki: 320-330; Wpływy Polityczne: 330-334; Paderewski: 298-330.
PRZYPISKI: 335-358; Polski Wydział Narodowy i Jego Przewodni Działacze: 336-340; Niektóre Dokumenty: 342-358.

XIV. POWOJENNE CZASY NASZE 359-397
Pierwsze chwile Niepodległości Polski: 359-361; Lojalnie odnosimy się do Polski: 362-364; Powrót Hallerczyków: 365; Odznaczenia: 366-367; Transplantacja "Sanacji": 368; Wroga Żydów Nagonka na Polskę: 369-375; H. Gibson: 372; Morgenthau'a Raport: 373; Gen. Jadwina Raport: 374; Amerykanizm, Amerykanizatorskie Usiłowania, Amerykanizacja: 376:381; Próby stworzenia Centrali: 382-384; Rada Polonji: 385.
PRZYPISKI: Ks. Arcybiskup Curley o Amerykanizacji: 388-389; Starzy a Młodzi: 390:394; Polonja a "Związek Światowy Polaków z Zagranicy": 394.

XV. DRUGA WOJNA ŚWIATOWA; POLONJI ROLA W NIEJ I PO NIEJ 398-450
Pierwsza Wojna Światowa—Skończona Źle: 399-401; Druga Wojna: Polska w Ruinach: 402-404; Akcja Ratunkowa Polonji: 404-405; Rosji Rola Nieprzyjazna: 406-408; Stany Zj. w Wojnie: 409; Kongres Polonji: 410-411; Gen. Haller w Ameryce: 412; Przyjazd Paderewskiego i jego zgon: 413-415; Gen. Sikorski w Ameryce: 416-418; Nieudała Próba Formowania Armji: 419-423; Jutro Polski: 424; Amerykanie Wiedzą Mało o Polsce: 427-428; Co tu dla Polski Zrobić Możemy: 431-436; Liga Pomocy Religijnej: 432; Plany Odbudowy Polski: 434; Polonja Łącznikiem między Ameryką a Polską: 435-436.
PRZYPISKI: Odezwy Paderewskiego: 438-441; Z prac Rady Polonji: 441; z Prac Kongresu Polonji: 446; Akt Atlantycki: 449.

ZAKOŃCZENIE 451

Skorowidz Osobowy 455-463

Bibljografja 465-466

SŁOWO WSTĘPNE.

Niezwykła rzecz i nieprzeciętna nowość; Książka polska—poważnej treści—większych rozmiarów—wydana w czasie trudnych, narodowych przejść i doświadczeń. W Polonji amerykańskiej od dość dawna posucha na książki. W okresie walk i wojen zwyczajnie—"cichną muzy". A tu—jawi się książka, *ważna nadzwyczajnie!* Nie pożałuję słów zachęty dla Czytelników, by ją przeczytali, nie poskąpię słów uznania dla autora.

Na wydanie tej książki długo nie można było znaleźć wydawcy—a książka to—tak potrzebna i tak gruntownie opracowana przez pisarza, cenionego w Polonji, pierwszorzędnego znawcę spraw naszych: typowo materjalistyczne względy wydaniu tej książki stawały na przeszkodzie, obawy *"czy to się opłaci!"*... Więc autor wydaje to dzieło — sam, bez liczenia się z takiemi względami, biorąc na uwagę jedynie istotną konieczność spisania, przekazania potomności naszych dziejów, dorobku naszego, oraz dania im bezstronnej, dawno należnej oceny. Ten altruizm prawego idealisty wart naprawdę podkreślenia i uznania.

Ignacy Paderewski na pierwszym sejmie Wychodźtwa w Detroit, Michigan, zwrócił uwagę na to, że należy wydać dzieje naszej Polonji: niestety, pomimo uchwały sejmu, takiego dzieła nie wydano. Poza Historją Ks. Wacława Kruszki niema żadnego innego dzieła o naszem wychodźtwie. Stanisław Osada opracował Historję Związku Narodowego Polskiego, oraz zbierał materjały o wychodźtwie wogóle, ale te mu podobno zginęły w Pol-

sce. Rozumiano to, mówiono i pisano o tem, że takie dzieło powinno się ukazać, póki żyją jeszcze ludzie, co pamiętają najważniejsze wydarzenia naszego czasu, ale przecie książki omawianej nie było długo. Pracy tej żmudnej, pracy olbrzymiej, dokonał dopiero Dr. Karol Wachtl, znany od blisko pół wieku pisarz i zasłużony działacz wielu naszych dziedzin. Znam go od pierwszych jego w tym kraju początków; pracowaliśmy wspólnie w ciągu długich lat w mnogich okazjach, w dobrych, ważnych sprawach; sądzę, że zaszczytne mogę dać świadectwo owym pracom, dlatego kreślę bardzo chętnie "*Słowo Wstępne*" dla książki tej, którą uważam bodaj za najważniejsze dzieło w polsko-amerykańskiem piśmiennictwie.

Przypuszczam, że w dzisiejszych czasach niema u nas pisarza, któryby lepiej znał dzieje i sprawy Polonji w Ameryce—od autora tej książki: Dr. Wachtl w ciągu wielu lat zgromadził wartościowe materjały, dziś niezmiernie rzadkie, zebrał własne spostrzeżenia, bo brał czynny udział we współżyciu naszem lat—najdonioślejszych: wszystko to, razem wzięte — stwarza skarbnicę wiadomości, faktów, okoliczności, dziś już zapomnianych, nieznanych. Z tej skarbnicy autor czerpie obficie i śmiało, podając niezmiernie ciekawe, a cenne informacje w oryginalnem i trafnem, bo na istotnem znawstwie prawdziwego stanu rzeczy ugruntowanem skomentowaniu.

Gdy starszych pracowników nam ubywa, a młodsi mniej dokładne mają wiadomości o dawniejszych naszych pracach, — ważnem i pożytecznem to będzie, iż w tej książce znajdziemy te wiadomości, o których już niejedni zapominają.

Niechajże na tych kartach pozostanie o nas *Prawda*—piękna i jasna, niechaj na nich będzie utrwalone świadectwo, że Polacy w Ameryce dobrze zasłużyli się—tak Ameryce, jak Polsce: dla Ameryki nasz dorobek jest przyczynkiem wartościowym do całokształtu jej ideologji i kultury; dla Polski tutejsza Polonja dokonała przecie tak wiele, wspierając ją materjalnie i służąc jej swemi wpływami—w dobie największej potrzeby ogólno-narodowej, iż w dziejach Narodu Polskiego rzeczy te zostaną na zawsze zapisane złotemi głoskami.

Czytelnicy znajdą w tej książce sprawy owe omówione jasno, prosto, poprawnie, a bezwzględnie zgodnie z prawdą—nietylko dokonanych faktów, lecz i oceny sprawiedliwej: książka to jest —z ducha dobra, przeto odźwierciadla wiernie nasze oddanie gorące—umiłowanym ideałom Polaka.

Z hasła "Bóg i Ojczyzna" powstały wszystkie nasze dokonania: ten prawy sposób myślenia, a mnogie i wielkie zasługi—autor spisuje i osądza szlachetnie: przytem opowiadania swe podaje również we formie piękniej: z tych zalet znane są jego pisma; one i tę książkę jego tem cenniejszą czynią, milszą i bardziej wartościową.

Winszuję autorowi dokonanego dzieła. Książkę jego najgoręcej i najszczerzej polecam Czytelnictwu naszemu—nie tylko polsko-amerykańskiemu, ale wogóle polskiemu. Dr. Karol Wachtl dobrze zasłużył się tem dziełem Polonji amerykańskiej i swe imię w niej zapisał—trwale i zaszczytnie. Jest to najlepsza i najcenniejsza jego praca, a zarazem najtrwalszy pomnik, jaki po sobie zostawia, ucząc pokolenia potomne o tem, co zdziałały poprzednie i wskazując, jak troskliwie należy przechowywać w lata przyszłe—cenne skarby dziedzictwa po praojcach-pionierach.

KS. WŁADYSŁAW ZAPAŁA, C. R.

Chicago, Illinois

w sierpniu, 1944 roku.

POTRZEBA TAKIEJ KSIĄŻKI...

potrzeba jej dawno. Historji Amerykańskiej Polonji nie było dotychczas, a to—co w tej dziedzinie napisano, to raczej materjały, przyczynki, ułomki; n. p. zbiorem materjałów cennym, acz przestarzałym niestety — jest Historja Ks. Wacława Kruszki; nie dożył autor przygotowanego wydania jej—powtórnego; książki—Stanisława Osady o "Związku Narodowym Polskim" i moja o "Zjednoczeniu Polskiem Rzymsko Katolickiem"—są raczej monografjami, ujmują dzieje nasze przedewszystkiem z owych Organizacyj punktu widzenia, jakby przez zwężone z konieczności okna, wyglądając na resztę spraw Polonji; przytem obie te książki są już też dat dawniejszych; od ich napisania poszliśmy dalej i zrobili więcej.

Książka Dra. M. Szawlewskiego "Wychodźtwo Polskie w Ameryce" i praca Ks. Dra. W. Chrzanowskiego "Prawda o Wychodźtwie Polskiem" oceniają rzeczy nasze ze specyficznego państwowo polskiego stanowiska, nader subjektywnie obserwonane; Mieczysław Haiman swej się trzyma specjalności, szperając po archiwach tutejszych i szukając zapisków o samych początkach, o śladach początków polskich w Ameryce. Podania treściwego *całości*, syntezy naszych dziejów, ni dorobku oceny sprawiedliwej —dotychczas nie było. A tymczasem — wymarli najstarsi, wymierają szybko starsi, młodsi zasię mało co wiedzą o tem, co było dawniej, z czego już wiele minęło i tonie już—tonie w zapomnień pomroce...

Więc J. E. Ks. Paweł Rhode, pierwszy Biskup-Rodak nasz w Ameryce, niejednokrotnie prawił i pisał o naglącej potrzebie zebrania, opracowania i wydania dziejów naszych; niejeden tu z działaczy społecznych i narodowych zachęcał również do tego, ale razem z tem—potrzebnej tak bardzo księżki—długo nie było.

Więc podejmuję ja opracowanie i wydanie jej — Rodakom w Ameryce i Polsce, aby pierwszym przypomnieć, a na ich chwałę utrwalić własne ich zasługi, a drugiej, by powiedzieć o niemałych i niemało ważnych sprawach wielkiego odłamu jej Narodu, osiadłego w Ameryce, który—choć dziś we większości—niepolskiego jest przynależenia obywatelskiego, przecie o umiłowanym Starym Kraju zapomnieć nie chce.

Książka niniejsza opracowana jest w sposób treściwy, możliwie najzwięźlejszy: odnośników—jak najmniej, by wątku opowiadania nie rwać; przytoczenia zato liczne i ciekawe szczegóły obszerniej zamieszczam w *Przypiskach*, w których podaję w zredagowanych skrótach — wszystko, co zdołałem znaleźć, zebrać ważniejszego, co mi się więc godnem upamiętnienia wydało.

Po Pierwszej Wojnie Światowej, za krótkiego w Polsce pobytu, wygłosiłem tam kilkadziesiąt odczytów o Polakach w Ameryce i o ich dla Polski zasługach: wówczas wyłoniła się myśl zebrania wiadomości, nagromadzonych z dawna, w książkę o naszych pracach i dziejach. Wnet potem rękopis był gotowy, ale dla dzieła takiego i tych rozmiarów znaleźć nakładcę—w Polsce nie było łatwo, a w Ameryce okazało się niemożliwe. A tu wciąż piszą i gadają o potrzebie takiej książki ... Tedy wydaję ją—sam. Gdy firmy wydawnicze nie mogły się odważyć na podjęcie wydawnictwa, bojąc się, "że się nie opłaci", podejmuję je sam, a czy mi się to opłaci, czy nie—to dla mnie rzecz mniejsza. Z księgi tej dar życia i pracy cało-życiowej—składam Amerykańskiej Polonji, dla której patrjotyzmu, oraz wartości wysokich, obywatelskich i narodowych, największe mam uznanie, a dla której samodzielnego dorobku, jaki i ja przecie pomagałem gromadzić, żywię szczery pietyzm.

Doświadczeniami i wiadomościami, zebranemi w ciągu lat wielu—służę oto, podając je—na pożytek Polsce, która powinna koniecznie poznać i ocenić wielką grupę dziatwy swej i jej młodszych pokoleń, grupę dzielną, zdrową, silną, pełną najlepszych sentymentów, umiejącą mocno chcieć, a co zechcą przeprowadzić, —oraz na chwałę Amerykańskiej Polonji, którą nauczyłem się cenić, dla której uznanie życzliwe pragnąłbym propagować wszę-

dzie—w interesie przyszłych stosunków, jakie powinny wyłonić się pomiędzy Polską a Polonją, oraz pomiędzy Polską a Ameryką, w których to stosunkach Polonja Amerykańska iście stworzona jest na to, by stanowić naturalny i oczywisty łącznik, praktyczny i pożyteczny.

By powiedzieć słów kilka o planie i sposobie opracowania książki, zaznaczę, że podzieliłem ją na Rozdziały, które opracowano tak, iż stanowią prawie całości—same w sobie: dla tego celu musiały się znaleźć w tekście niektóre powtórzenia i przypomnienia rzeczy, wzmiankowanych i na innych miejscach, zato zyskały na tem Rozdziały, bo podają Czytelnikowi—nawet każdy oddzielnie — *całokształty danych kwestyj*, treściwie zestawione. Na rzecz syntezy—poświęcam wiele szczegółów, choć po części podaję najważniejsze—w przypiskach. W ocenie spraw poszczególnych uznałem za praktyczne dodać do osądów wskazania, nie tylko na chwilę bieżącą, lecz i na przyszłość mogące mieć zastosowanie.

Na początku znajdzie Czytelnik charakterystykę Polaków Amerykańskich, obraz ich życia, organizowania osad, parafij, zrzeszeń i t. d., ze szczególniejszem podkreśleniem nie dającej się pominąć, zaprzeczyć, czy zatrzeć cechy religijnej tego zbiorowego życia, tak silnej, tak nad niem dominującej, że stanowi ona najwybitniejsze znamię Polonji Amerykańskiej. Zwłaszcza też podkreślona być winna ta cecha religijna, w odniesieniu do kraju, największej i najluźniejszej na świecie swobody religijnej, gdzie istnieje mnogość najdziwaczniejszych sekt, ale sposób myślenia sekciarski, ograniczony, ciasny, uważa się za występek: dobrze będzie wyjaśnić Czytelnikowi, który mógłby żywić pewne uprzedzenia ku Polakom Amerykańskim—właśnie z przyczyny ich religijnej wyłączności, dlaczego to oni są tak wybitnie, tak prawie *wyłącznie religijnymi*, skąd to pochodzi i co się w tem zakłada—dodatniego.

Następnie omawiam dorobek Polonji Amerykańskiej, majątkowy, intellektualny, kulturalny, poznajemy więc: szkoły i organizacje polskie, trudności ciężkie, w jakich działają i uczymy się cenić to, co zdziałały we warunkach takich; ujrzymy rów-

nież, iż Polacy zdobyli się na szereg już cały instytucyj, wychodzących daleko poza prymityw życiowych zapotrzebowań, a wkraczających w sfery wyższych—kulturalnych, duchowych pragnień i potrzeb.

Na dalszym planie daję określenie, zwięzłe, ale dokładnie prawdziwe, roli Polaków tutejszych w Pierwszej Wojnie Światowej, wśród której ech jeszcze zacząłem pracę nad tą książką: rola to dwoista, bo grana w społeczeństwie Stanów Zjedn., które tak wspaniale, tak tryumfalnie wystąpiły po prawowitej stronie w onej walce ludów, oraz rola, odegrana w odniesieniu do Sprawy Polskiej, do odbudowy Państwa Polskiego, w którem dziele Polonja Amerykańska *"pars magna fuit"*.

Do Drugiej Wojny Światowej doprowadzam sprawy Polonji Amerykańskiej w nadziei, że w bytowaniu narodów po tej wojnie wielka się zrobi przemiana, bo niezbędnie i niezawodnie odmienić się będą musiały sposoby i stosunki międzynarodowe na świecie. W stosunkach tych korzystne się zarysowują możliwości przyszłych wymian pomiędzy Stanami Zjedn., a Polską, więc zawczasu wypada wskazać rolę ważną Amerykańskich Polaków w rzeczach odnośnych — i o tem piszę w Rozdziale, poświęconym amerykanizacji, pojmując ją tak, iż—dobrze, nie szowinistycznie prowadzona, jest ona rzeczą wskazaną, a może być wysoce pożyteczną, zarówno dla Polski, jak dla Ameryki — dla Stanów Zjednoczonych.

Oto wszystko.

Nie waham się twierdzić, iż sprawy polsko-amerykańskie przedstawiam—poprawnie: chcę podać je bezstronnie, bez egzageracyj optymistycznych, przeciwnie—nie obawiam się zaznaczyć tu i rzeczy, które są mniej dodatnie, bo nie o eulogję idzie, a o wskazanie dla wszystkich Rodaków—na przyszłe prace i interesy wspólne—lepszych dróg i sposobów; że w niejednym względzie ich potrzeba, w niejednem się jeszcze przydadzą, co do tego nikt chyba nie łudzi się. Nierozumnem wprost byłoby myśleć inaczej. Polacy Amerykańscy w niebywale krótkim czasie zrobili olbrzymio wiele,—robiąc zaś tyle, musieli tu i ówdzie poczynić pomyłki i niedociągnięcia, muszą więc mieć i braki: nic to—"nie

myli się tylko ten, co nie myśli i nie robi", a o nas—zbiorowo—tego w żadnym względzie rzec nie można: przeciwnie raczej—z podziwem oceniać wypada i uczyć się, bo i nauczyć się od nas można wielu rzeczy dobrych.

Żywię silną wiarę, że książka ta spełni swe cele i osiągnie zamiary: *poda istotną o Polakach w Ameryce—Prawdę.*

Drogę nam do Ameryki wskazały świetlane duchy Pułaskiego i Kościuszki. Bohaterów tych naszych dziedzictwo duchowe —w przyjaźni i braterstwie obu Republik i ich ludów—rozbudowaliśmy tu i pomnożyli uczciwie, nie "grzebiąc talentów". Pielęgnujmy je, strzeżmy ich nadal u zniczów, zanieconych przed wiekiem, a rychło z ponad nich rozbłyśnie upragniona jaśń wspólnego Dobra i wspólnej Sławy.

k. w.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w TORUNIU

I.

O EMIGRACJI WOGÓLE, O NASZEJ— W SZCZEGÓLNOŚCI

Przejawy wędrówek wychodźczych nie rzadkie są w dziejach wszystkich ludów i wszystkich czasów. Dowody tego znajdujemy liczne, na przykład—w biblji, w historji ludów i wieków, starożytnych i nowszych. Wszystkie nieledwie ludy europejskie osiedlenie obecne zawdzięczają migracji, wędrówkom gromadnym ze środkowo-azjatyckich osiedlisk pierwotnych — przeddziejowych. Na przełomie wieków starożytnych i średnich mamy znowu olbrzymie wędrówki narodów azjatyckich do Europy. Jeszcze później przychodzi kolej na religijno-zaborczą expansję wychodźczą mahometańskich narodów. W nowszych czasach religijne prześladowania powodują wędrówki wychodźcze z Francji, Anglji, Hiszpanji i Holandji—ku świeżo odkrytym krainom zaatlantyckim—do Ameryki; w ośmnastem stuleciu gromadnie przybywają tu Niemcy, w połowie zaś dziewiętnastego—Irlandczycy osiedlają się tu tak licznie, że dziś są liczniejsi, potężniejsi i zasobniejsi w ojczyźnie przybranej, niźli w dawnej.

Emigracja, wychodźtwo—oznacza porzucenie pewnego kraju, dawnego miejsca osiedlenia, a przeniesienie się do kraju nowego—ze zamiarem poszukania i założenia w nim nowych siedzib: wyjście z ojczyzny — to emigracja (*e-migro* łacińskie), przybycie do nowej ziemi—to immigracja *(im-migro)*.

Emigracja, wzmiankowana poprzednio w przykładach dziejowych—posiadała—prócz dążeń ekonomicznych—znaczenie polityczne, to znaczy: miała na celu i wywoływała pewne zmiany układów i ustrojów państw, ich politycznych systematów i t. p. W starożytności mamy już przykłady wyraźne także ekonomicznego wychodźtwa, t. j. takiego, do którego impuls podały nie zakusy zaborcze, ale spokojne wyrachowania kupieckie—handlo-

we: takiemi emigracyjnemi skupieniami były osady fenickie, daleko poza rodzinną Fenicją rozrzucone; takiem było silne skolonizowanie przez Greków Małej Azji, oraz południowych Włoch i wysp przyległych—szczególnie Sycylji *(Magna Graecia)*.

W czasach późniejszych spotykamy się z typowo ekonomiczną emigracją, której więc popędem jest chęć poprawienia bytu materjalnego—dopiero po odkryciu Ameryki, do której naprzód z Europy gromady awanturników jechały po złoto, później expedjowano do zakładanych tu kolonij karnych gromady przestępców,—jeszcze potem chronili się tu szukający swobody, wyznawcy sekt i wierzeń rozlicznych, prześladowani w krajach europejskich; wreszcie ostatnio już, we wieku 19-ym, mamy tu immigrację wybitnie ekonomiczną, czyli przyjeżdżają do Ameryki miljony ludzi wszech narodowości po pracę, po chleb, po dolę—lepszą, niż ją mieli w ojczyźnie.

Czysto i wyłącznie politycznego wychodźtwa do Ameryki, silniejszego zwłaszcza,—dzieje nie wykazują, choć nie podobna zaprzeczyć, że wychodźcy religijni — t. j. ci, prześladowani w Europie, a chroniący się w Świecie Nowym, przenieśli na tutejsze pola i przeszczepili w tutejsze umysły, wraz z różnorodnością wyznań, także i pojęcia polityczne — oraz różnice tych pojęć, stosownie do zrzeszeń politycznych, do jakich należeli ongi w ojczyźnie. Podobnież bywało w czasie wojny o wyzwolenie Stanów Zjednoczonych z pod despotycznej władzy angielskiej; dosyć silnie i żwawo zaznaczyło się polityczne wychodźtwo z Europy—duchów swobodnych, dziełu wolności pomóc pragnących; jeśli nie nazwiemy emigracji tej tłumą, to przecie przyznać należy, iż dała ona Ameryce jednostek wybitnych i wartościowych niemało. Indywidualnie emigracja ta była cenną bardzo—bo stała się duchowem użyźnieniem dla społeczeństwa amerykańskiego, już wówczas, już w dobie walki o niepodległość kraju, usposobionego raczej materjalistycznie . . .

Tyle o istocie wychodźtwa wogóle, a wychodźtwa do Ameryki w szczególności.

Należałoby jeszcze rzec choćby parę słów o zasadniczej kwestji—szkody i pożytku, jakie wychodźtwo przynosi stronom obu,

t.j. krajowi staremu, z którego się wywodzi i nowemu, do którego przybywa. Rzecz jest przedmiotem badań i rozpraw wielu; właściwie i racjonalnie traktować o niej można tylko w odniesieniu do jakiejś szczególnie kwestji, oraz do jakiegoś specjalnie kraju, czy ludu; uogólniać jej nie można, bo zależna jest od wielu i różnych względów, jak: od siły zaludnienia kraju, wydającego emigrację, od rozwoju kulturalnego i moralnego poziomu narodu danego, od stopnia jego zamożności, zachowania się kraju ojczystego względem jego emigracji i t. d. i d. Są te sprawy—specyficznie odrębne i odmienne w każdym poszczególnym wypadku, wybitnie swoiste dla każdego narodu, czy społeczeństwa. Jeśliby iść miało koniecznie o stawienie tu pewnego ogólnika, to najbliższem rzeczywistości wydaje się być orzeczenie takie, że naogół kraj, przyjmujący wychodźców, zyskuje, a kraj, wysyłający ich—naogół traci, często tolerując tylko emigrację—jako "*male necessarium*". Niektóre szczególniejsze względy mogą przecie wpływać na modyfikację tego określenia; n. p. zależy od tego wiele, czy emigranci pochodzą z kraju o zagęszczonej ludności, czy nie; jeśli tak, to nadwyżka odchodząca mniej dotkliwą jest stratą, jeśli nie—jeśli w kraju miejsca dość, a lud mimo to odpływa (jak było w Polsce), to kraj ponosi szkodę o wiele większą, często wprost niepowetowaną: wtedy emigracja jest dowodem wadliwego układu stosunków wewnętrznych danego kraju i społeczeństwa. Dalej wpływają tu i znaczą wiele okoliczności takie, czy wychodźcy przepadają bezpowrotnie dla swej ojczyzny, czy nie, czy wracają choć chwilowo, choć częściowo, czy wspomagają kraj stary, czy się w nowym wynaradawiają, czy cywilizacyjnie stoją wyżej, czy niżej, i t. p. Wszystko to są sprawy elementarnej doniosłości, które wpływać mogą zasadniczo na daną kwestję.

W odniesieniu do Polski—stwierdzoną jest rzeczą, że bez wychodźtwa kraj nasz i naród obyćby się mógł był jeszcze długo, skoro ono jednak było i jest, skoro je mamy, to wytworem ono jest nie czego innego, jak fatalnych stosunków, panujących w Ojczyźnie naszej od czasów utraty jej niepodległości i samodzielności politycznej we wieku XVIII. Rabunkowa gospodarka obcych na naszej własnej ziemi, niewolą wytworzone spętanie i uśpienie długie—wszelkiej nieledwie inicjatywy obywatelskiej —

spowodowały wyniszczenie bogatego z natury kraju polskiego, obniżyły jego warunki ekonomiczne i stały się jedną, bodaj najgłówniejszą z przyczyn szukania przez lud jego lepszej doli za morzami. Kraj nasz, zgoła nie przeludniony, tracił siły—omal że nie najlepsze, bo za Ocean odjeżdżały jednostki najenergiczniejsze, najbardziej przedsiębiorcze; siły te zdałyby się były w Ojczyźnie, tymczasem przybywały tu—budować i bogacić Amerykę.

Skoro już tak było, a niedobrze, że było, to jednak przecie rzec można, że przynajmniej nie wszystkich i nie wszystko traciła Polska wskutek wychodźtwa, bo — po pierwsze—wielu naszych wychodźców wracało do Ojczyzny, dorobiwszy się grosza—i ci tam stawali się pionierami nowych metod gospodarki lepszej, wyższej stopy życia i szerszych światopoglądów; a po wtóre nawet owi, którzy zostali w Ameryce, nie zapominają długo o Starym Kraju, węzły z nim serdeczne utrzymują, wspierają go materjalnie, a wynaradawiają się—przynajmniej nie tak szybko i nie tak kompletnie, jak to rzec można o wychodźcach innych narodowości. Polacy zorganizowali się w Ameryce w dobrze zwarte koła, sformowali sfery własnych—na tle tutejszych—interesów, dzielnie ich dochodzą, dobrze reprezentują Polonję kilko miljonową, oraz sławną dziejowo Polskę, której służą—jak mogą — najlepiej.

* * *

Wyrażenia w tej książce—"Ameryka", "amerykański" — odnoszą się prawie wyłącznie do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, w których skupiła się liczna i poważna grupa Polaków, od lat wielu tu osiadła. W Ameryce istnieją jednak inne jeszcze skupienia polskie, że wspomnę wcale spore i liczne osady polskie w Kanadzie i w Brazylji, oraz mniejsze w Argentynie; odosobnione grupy polskie żyją też w Meksyku i w Urugwaju; zresztą chyba nie znajdzie się kraju na amerykańskim kontynencie, w którymby wcale nie było polskich tułaczy. Przecie tylko w Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn. zdołali Polacy dotychczas wznieść się istotnie na wyższy stopień społecznych znaczeń i wpływów, wytworzywszy zorganizowane porządnie przejawy

swoich myśli socjalno-narodowych; niejednokrotnie odegrali też role ważkie w życiu obu interesowanych ludów i krajów—Stanów Zj. i Polski. Wzmiankowane grupy polskie w innych krajach Kontynentu Zachodniego poczynają dopiero takie prace, dopiero pierwsze w nich stawiają kroki, jak to się dzieje n. p. w Kanadzie i w Brazylji, gdzie zorganizowane działania nasze zaledwie prymitywy stanowią. Spodziewać się należy, iż przy znanej w świecie rzutkości i dzielności ducha polskiego, a przy entuzjastycznem przejmowaniu się naszem ideami swobody i postępu — i te grupy dadzą również wartościowe bytowania swojego dowody. *(Patrz Przypiski.)*

PRZYPISKI

KANADA

Wychodźtwo polskie jest tam znacznie młodsze od Wychodźtwa do St. Zjedn. Na początku bieżącego wieku — było tam naszych nie więcej, niż 6,000 (według spisów urzędowych); krótko przed obecną Wojną Światową w Kanadzie liczą Polaków na około 200,000. Są to przeważnie rolnicy, żyją w prowincjach: Manitoba, Saskatchewan, Ontario; mniej w Quebec i Alberta; po miastach mają osiedla i parafje niewielkie; największy centr współżycia polskiego: Winnipeg, Manitoba, gdzie jest parę parafij większych, szkoły parafjalne, wychodzi "Gazeta Polska" i jest garść towarzystw polskich. XX. Zmartwychwstańcy od lat kilkudziesięciu prowadzą Kollegjum w Kitchener, Ontario. Związek Nar. Polski ma tam kilka Grup; istnieją też własne próby zorganizowania się—dosyć wątłe. Największą z organizacyj polskich w Kanadzie jest Związek Polaków w Kanadzie, który posiada 20 grup, Kasę Chorych i Kasę Pośmiertną. Zarówno Zarząd, jak i Grupy posiadają własne Domy Związkowe, biblioteki, szkółki dla młodzieży i własne Pismo tygodniowe "Związkowiec". Ten majątek, wartości paruset tysięcy dolarów, jest rezultatem myśli i trudu członków, ludzi pracy, którzy w poszukiwaniu zarobku musieli wyjechać z Ojczyzny, lecz sercem i duszą zawsze przy niej zostali.

BRAZYLJA

Przed pierwszą Wojną Światową liczono tam Polaków na 100,000; przed drugą—przeszło dwa razy tyle. Wychodźtwo datuje się od ostatnich lat zeszłego wieku. Wielkie skupisko Polaków istnieje w Stanie Parana, gdzie Polacy trudnią się rolnictwem; stolica Stanu, Kurytyba—posiada dużą kolonję polską; są dalej nasi w Stanach: Sao Paolo, Santa Catharina, Rio Grande do Sul i w innych—prawie wyłącznie—rolnicy. Mają małe przeważnie—parafje, przy nich towarzystwa; w Kurytybie wychodziły dawniej trzy Pisma polskie,

dziś—jedno. Rządowe restrykcje dosyć surowe, wstrzymują kultywowanie odrębności nacjonalnych, a posuwają szybko niwelację—w duchu krajowo-brazylijskim.

ARGENTYNA

Polaków tam jest niespełna 20,000; brak danych dokładnych. Żyją — jako pracownicy rolni i najemnicy przy hodowli bydła. W Buenos Aires istnieje niewielkie osiedle polskie i parę towarzystw; były tam próby czynione wydawania pisemek polskich — przeważnie krótkotrwałe.

URUGUAY

Polaków—dawniej było parę tysięcy; wskutek wstrzymania immigracji i przez działania wojenne liczba ich bardzo zmalała.

POLACY NA WYSPIE KUBIE

W 3-cim dziesiątku bieżącego wieku przebywało na wyspie Kubie kilka tysięcy polskich wychodźców—we warunkach, iście opłakanych. Chcieli dostać się do Stanów Zj., ale niesumienni agenci dowozili ich na Kubę, gdzie mieli czekać na przemycenie ich do Stanów: rząd kubański trzymał ich w obozach koncentracyjnych, gdzie marli z głodu i chorób.

Później dla nich zorganizowano opiekę polskich władz konsularnych i resztki—odwieziono z powrotem do Ojczyzny; część tylko nieznaczna dostała się do Stanów.

Przed laty, po Powstaniu Polskiem 1863 r. żył na Kubie Polak, Karol Rolof, który walczył w rewolucji kubańskiej przeciw Hiszpanji i wyróżnił się w następnej wojnie z Hiszpanją na Kubie, gdzie po wyzwoleniu wyspy—był członkiem rządu, jako minister spraw zagranicznych. Pamięć "Carlosa Roloff" Kuba uczciła wydaniem znaczka pocztowego z jego podobizną (z roku 1910).

* * *

Próby kolonizacji polskiej—nieudałe — były czynione przed kilkunastu laty w Peru, w Chile i w Mexyku.

* * *

W okresie drugiej Wojny Światowej we wszystkich krajach amerykańskich przebywa wielu uchodźców z Polski—zapewne chwilowo tylko, choć sporo ich może i pozostanie w Ameryce; dużo wśród nich inteligencji polskiej, która tu przenosi swe działania—nierzadko pożyteczne, dobrze reprezentujące umysłowość polską. W Kanadzie, w Brazylji, w Argentynie powstają różne polskie zrzeszenia i szkółki; do Armji Polskiej spieszą zastępy tych uchodźców, pociągając za sobą nawet dawniejszych osadników. Diaspora (rozproszenie) Polaków zapoznaje z Narodem naszym przeważnie korzystnie—wszystkie kraje amerykańskie.

II.

WSPOMINKI HISTORYCZNE.

Jak wspomniano, większość przeważna, nieledwie całość powszechnej immigracji w tym kraju nosi cechy wychodźtwa wybitnie ekonomicznego; immigracja polska nie jest pod tym względem wyjątkiem: masa jej główna przybyła do tej ziemi—za chlebem, niewielki tylko odsetek przypada na inne przyczyny opuszczenia Ojczyzny. Same jednak początki wychodźtwa polskiego były odmienne, przeto z nich parę przytoczymy przypomnień.

Najwcześniejsze przesiedlenia i sprawy Polaków na Ziemi Amerykańskiej miały charakter właśnie polityczny i motywowane były historyczno-politycznemi względy, złączonemi z historją Polski. Dla porządku powtarzamy najdawniejsze podanie, które głosi, że pierwszym Polakiem, który miał przybyć do dzisiejszej Ameryki, był pono Jan z Kolna: podobno było to w roku 1476, czyli na 16 lat przed Krzysztofem Kolumbem. Był rzekomo Jan z Kolna komendantem statku duńskiego, a miał przybyć tu gdzieś w okolice Labradoru.

Legendową prawie postać owego Jana z Kolna przecie wzmiankują i obcy, skandynawscy, oraz niemieccy historycy, nazywając go "Scolnus". Przemiany nazwisk polskich, latynizujące je, bywały nierzadkie: przykładem: Klonowicz—"Acernus", od "acer"—klon, albo "Sarbievius"—Sarbiewski... Znakomity historyk polski, Joachim Lelewel, pierwszy polszczy miano "Scolnus"—na "z Kolna", ale to w najlepszym razie tylko—hipoteza, o której wybitny uczony polski Dr. Tadeusz Estreicher tak pisze (w streszczeniu):

"Nie wygłaszam, nie proponuję żadnej formy nazwiska Jana z Kolna, nie odmawiam mu pochodzenia polskiego, ale tak samo nie wykluczam pochodzenia skandynawskiego, bo do tego brak danych; natomiast stwierdzam, że dzisiejsi uczeni nie wszy-

scy się zgadzają na fakt odkrycia Ameryki przez "Scolnusa" i na jego pochodzenie polskie." *(Patrz Przypiski.)*

Przejdźmy do konkretniejszych podań, streszczając je z konieczności—jak najzwięźlej:

Około roku 1562 przybyli do Ameryki Zborowscy, potomkowie pono historycznego Samuela, ściętego w Polsce za rokosz przeciw królowi Stefanowi Batoremu; ci przezwani tu Zabrieskimi, mieszkali w Stanach Nowy York i New Jersey, a doszli do wielkich majątków; rodzina ta dotrwała aż do czasów naszych—zresztą zupełnie zamerykanizowana. M. Haiman w swoich poszukiwaniach początków polskich w Ameryce dowodzi z dużą racją, że Zabriescy nie mają niczego wspólnego z rodziną Zborowskich.

W zapiskach naszych o tej rodzinie znajdujemy: "We wieku XVI. przybył do Ameryki, do Nowego Amsterdamu (N. Yorku) szlachcic polski ze Ziemi Dobrzyńskiej, niejaki Zborowski (czy Zaborowski), który miał się tu ożenić z córką jakiegoś wodza Indjan i odziedziczył po nim ogromne obszary ziemi; dotychczas mają jeszcze ci potomkowie Zaborowskiego, przezwani Zabrieskimi—znaczne posiadłości w Stanie New Jersey." *(Patrz Przypiski.)* Żyją też jeszcze w tym Stanie bogaci potomkowie polskiego emigranta, Łaskiego, synowca twórcy nieudałej sekty z czasów kalwinizmu w Polsce, lecz o nich nie dowiedzieliśmy się niczego.

Polacy rzeczywiście byli w Ameryce na kilkanaście lat przed historyczną datą przyjazdu "Pielgrzymów" na statku "Mayflower" (r. 1620). Oto w Jamestown, we Wirginji mamy ich już w r. 1607, lub 1608; druga ich grupa przybywa na dzisiejszy Manhattan w r. 1615; w każdym razie na miejscu obecnego Nowego Yorku było osiedle polskie już w r. 1643, a kroniki tamtejsze zapisują nazwisko Marka Daszkowskiego (rok 1653), jako wybitnego i zasłużnego obywatela. Ówczesny gubernator, Stuyvesant, doradzał rządowi Holandji, do której wówczas "Nowy Amsterdam" należał, aby starano się o osadników z Polski, jako szczególnie pożądanych. W tymże czasie był Polak, Alexander Kurczewski, "profesorem szkoły wyższej" w mieście

wymienionem,* a dwaj inni Polacy, Jan Rutkowski i Kazimierz Budkiewicz, również zajmowali się tam nauczycielstwem: znać musieli to być światlejsi ludzie wśród prymitywnego ogółu mieszkańców "Nowego Amsterdamu", w którym i najpoważniejszym przedsiębiorcą budowlanym był — również Polak, Wojciech Adamkiewicz.

Szczegóły powyższe potwierdzają: Broszura Clarence Barrie p. t. "Poles in America", wiele sympatycznych stwierdzeń o naszych rodakach zawierająca, *(Patrz Przypiski)* — dalej artykuł Jessie Lloyd, w chicagoskim "Daily Record" z czerwca, 1939 r., w którym powiedziano: "Faktem jest, że Polacy byli już pośród pierwszych rodzin we Wirginji, a było to szczęściem wielkiem dla tego Stanu, gdyż niektórzy angielscy koloniści nie przedstawiali wielkiej w owych pierwotnych czasach i stosunkach wartości".

Kapitan John Smith, angielski dowódzca wyprawy do Ameryki, który przybył właśnie do Jamestown, Virginia, w książce swej pt. "True Travels", jak cytuje historyk Albert B. Faust, wyraża wielkie dla Polaków uznanie, korzystnie ich z innymi kolonistami porównując. Pisze on: "Awanturnicy ci (koloniści) nie zaznali nigdy pracy codziennej, za wyjątkiem Holendrów, Polaków i może pół tuzina innych . . . " Polacy tam byli również uczestnikami pierwszej Rady kolonjalnej "Representative Assembly", a dostali w niej uznanie przez swe solidarne i stanowcze postępowanie, bo gdy im koloniści angielscy odmówić chcieli prawa reprezentacji, Polacy oświadczyli, że jeśli reprezentacji nie dostaną i głosu, to zaprzestaną pracy i—wnet im słuszne ich spełniono żądanie . . . Możnaby to uważać za pierwsze na Ziemi Amerykańskiej wystąpienie skuteczne—pracy zorganizowanej . . .

W skład owej grupy Polaków we Wirginji podług "Wieści Polskich", wydanych w Londynie w r. 1831, wchodzili: Zbigniew Stefański z Poznania, Jan Bogdan z Kołomyji, Stanisław Sadowski z Radomia, Jan Mata z Krakowa, Karol Źrenica z Poznania,

---

* As early as 1659 the Dutch colonists of Manhattan Island hired a Polish schoolmaster for the education of the youth and the community (Catholic Education in the United States).

Michał Łowicki z Londynu. Ten ostatni pochodził z rodziny zdawna w Anglji osiadłej, która przezwała się Lowick, albo Lowicke.

Wspominają jeszcze kroniki stare rodzinę Zubrzyckich i kilka innych; znaleźćby można również więcej jeszcze wzmianek i śladów o pojedyńczych osadnikach polskich w Ameryce—jednakże odosobnione te fakty nie posiadają szczególniejszego znaczenia, choć dowodem są niezaprzeczonym naszej w Ameryce dawności.*

Dopiero w czasie Wojny o Niepodległość, a więc w czwartej ćwierci wieku XVIII., przybywa do Świata Nowego nie dająca się już przeoczyć i pominąć milczeniem, gromadka Polaków—towarzyszów Pułaskiego i Kościuszki, aby tu walczyć—pomagać do zdobycia tej swobody i wolności, której idea powszechnoludzka coraz potężniej w czasie owym przejmować zaczęła ludy starej Europy, za którą to wolność bohaterzy nasi w uciemiężonej swej i właśnie pod przemocą wrogów upadającej Ojczyźnie—walczyć nie mogli.

W Nowym Yorku mieszkało wtedy już około 3,000 Polaków, z których wielu walczyło w Armji Amerykańskiej.

Pierwszym z historycznie ważnych i wybitnych przybyszów polskich do Ameryki, był Kazimierz Pułaski (Ur. 1747 r., bohater walk Konfederacji Barskiej z Rosją). Przybył do Ameryki 12 września, r. 1777 i zaciągnął się do Armji Amerykańskiej.** Armji tej, dość licho zorganizowanej i słabo uposażonej, brakło było konnicy. Pułaski zaproponował rządowi amerykańskiemu utworzenie oddziału konnego, który podjął się był zorganizować.

---

* Około r. 1648, Polak, Daniel Liczko był oficerem garnizonu w "Nowym Amsterdamie" i miał tam gospodę, pono najlepszą w mieście. Około r. 1693 sędzią pokoju w Kings powiecie, na Long Island, był Polak, Krzysztof Probowski. Od 1651 r. istniała osada polska, Fort Casimir, nad rzeką Delaware, w Maryland, podobno koło dzisiejszego New Castle. W początkach wieku XVIIgo Sadowscy z "Nowego Amsterdamu" wywędrowali do Ohio, gdzie założyli osadę, dzisiejsze Sandusky; tem ich przemienionem mianem i rzeka jest nazwana, nad którą leży miasto Sandusky. *(Patrz Przypiski.)*

** "I am a Republican whom the love of glory and the honor of supporting the liberty drew hither." Adres Pułaskiego do Kongresu 17-go września, 1778 roku.

Zalecony wysoce przez Benjamina Franklina Kongresowi i wodzowi naczelnemu, Jerzemu Waszyngtonowi, uzyskał Pułaski aprobatę swoich planów i został zamianowany Generałem-Brygadjerem, oraz dowódcą Kawalerji, dla której sam ułożył regulamin, której więc słusznie zwą go ojcem i twórcą w armji Stanów Zjedn. Nie mogąc sobie dać rady z krnąbrnymi podkomendnymi, wśród których wielu było zwyczajnych awanturników europejskich, powziął Pułaski zamiar zorganizowania nowego, niezawisłego oddziału; plan ten poparł Waszyngton, a Kongres go zatwierdził dnia 28go marca, 1778 r. Tak powstał sławny Legjon Pułaskiego.

Z Pułaskim służyło tu jeszcze kilku innych polskich oficerów. Wiemy o tem stąd, że w raportach do Kongresu przedstawiał Pułaski swych rodaków do awansu: byli to pułkownik Michał Kowacz, major jazdy Maciej Rogowski i major Zieliński.

Legjon Pułaskiego brał udział w całym szeregu ważnych bitew, a wódz jego bohaterski dokonał czynów świetnych i doniosłych; między innemi odznaczył się znakomicie zaraz na początku swego tu działania w bitwie pod Brandywine (11-go września, 1777 r.), gdzie dowodził gwardją przyboczną Waszyngtona, któremu—jak historycy stwierdzają, ocalił był wolność, a może i życie. Waszyngtonowi mianowicie groziło ogarnięcie i pojmanie przez Anglików: Pułaski wydostał go z pośrodka nieprzyjaciół śmiałym atakiem garstki jeźdźców. Możemy sobie wyobrazić, że zguba wodza naczelnego musiałaby spowodować zgoła odmienny wynik amerykańskiej walki o wolność . . . *(Patrz Przypiski.)*

W lutym, 1779 r. otrzymał Pułaski polecenie—iść na pomoc Generałowi Lincoln'owi w południowej Karolinie: dodano mu w tym czasie przybyłych świeżo z Europy polskich oficerów, Jerzmanowskiego i Beniowskiego; w Charleston odznaczyli się Polacy wielką dzielnością, jak wspomina raport naczelnego Generała amerykańskiego.

Pod Savannah, Georgia, Pułaski, prowadząc osobiście swój Legjon na nieprzyjaciela, padł—ugodzony kulą działową—dnia 9-go października, 1779 r. Towarzysze unieśli go z pobojowiska, ale Pułaski zakończył życie po dwudniowych cierpieniach na wo-

jennym statku amerykańskim "Wasp". Pochowano go w Oceanie. Dnia 29go listopada, Kongres po otrzymaniu wiadomości o zgonie Pułaskiego oddał hołd jego pamięci; Stan Georgia wystawił mu pomnik w roku 1853, a w stolicy Stanów Zj., we Waszyngtonie, Rząd Federalny wzniósł Bohaterowi naszemu wspaniały pomnik dłuta rzeźbiarza polskiego, Kazimierza Chodzińskiego. Imię Pułaskiego żyje po dziś dzień we wdzięcznej pamięci społeczności amerykańskiej.

Na rok jeszcze przed śmiercią Pułaskiego zginęli trzej polscy oficerowie Armji Amerykańskiej—w bitwie pod Saratoga, do której plany opracował Kościuszko; ich nazwiska: Pawelski, Grabowski i Terlecki.

Z towarzyszy Pułaskiego i członków "Legjonu", który w najwyższym swym rozwoju osiągnął liczbę z górą 600 ludzi, wspomnieć należy jeszcze oficerów: Kolkowskiego, barona Beniowskiego, który otrzymał od Kongresu $1,000.00 za jakieś plany wojenne, kapitana Baldeskiego, adjutanta Pułaskiego, majora Rogowskiego, barona Łowińskiego—autora ważnych zapisków historycznych, z wojną tą złączonych, Kajetana Węgierskiego, bankiera Piotra Stadnickiego, a wreszcie współczesnego im, krewnego duchem bohaterskim i miłością swobody, a dziejowo znakomicie zasłużonego—Kościuszkę.

Tadeusz Kościuszko, ur. w r. 1746, w Polsce, przybył do Ameryki w r. 1776, do Filadelfji, podówczas siedziby Kongresu. Tu opracował plan fortyfikacji tego miasta; potem—jako zawodowy inżynjer wojskowy, był autorem znacznej liczby planów strategicznych i fortyfikacyjnych Armji Amerykańskiej, w której otrzymał stopień pułkownika. Brał udział w bitwach pod Trenton i Princeton. Przyłączony do armji północnej, pod dowództwem Generała Gates'a, obwarował Kościuszko znakomicie brzegi rzeki Hudson i założył nad nią twierdzę—West Point, dzisiejszą Akademję Wojskową Stanów Zjednoczonych. W październiku, 1777 roku walnie się przyczynił do zwycięstwa, jakie Gen. Gates odniósł nad Anglikami, obwarowawszy—podług planów Kościuszki—tak dobrze stanowiska górzyste, zwane Bemis Heights, iż kilkakrotne ataki Anglików zostały z wielkiemi dla nich stratami

odparte, wreszcie ich armja, otoczona pod Saratoga, zmuszona została do kapitulacji. Część znaczna sławy tego głośnego w dziejach ośmioletniej wojny amerykańskiej zwycięstwa — przypada Kościuszce, który i w dalszym ciągu wojny liczne i ważne sprawie Stanów Zjednoczonych oddał usługi.

Ostatni rok swego pobytu w Ameryce Kościuszko spędził we West Point nad Hudsonem, jako komendant tej twierdzy. O tem pisze adjutant jego, Juljan Ursyn Niemcewicz, w swoim pamiętniku: "Jest dotąd w skale wykowany przez niego, ogródek; widziałem w nim jeszcze ślady grządek, uprawianych przez niego. Było to miejsce jego spoczynku po całodziennych trudach." W pobliżu tej skały, wśród malowniczych wzgórz, we wieńcu cyprysów, na wysokim brzegu rzeki, wznosi się dziś, widna zdaleka, kolumna Kościuszki, a na niej napis: "Bohaterowi dwu światów". W Kraju całym wzniesiono też szereg pomników naszemu Bohaterowi. Polacy wznieśli ku jego czci: pomnik w Chicago, dłuta K. Chodzińskiego, poprzednio wzmiankowanego, w Milwaukee—pomnik dłuta włoskiego rzeźbiarza, Trentanove, we Waszyngtonie—piękny pomnik, wykonany przez Antoniego Popiela, wreszcie pomniki w Cleveland, Ohio, w Yonkers, N. Y., i inne.

Gdy dnia 20go stycznia, 1783 r. Amerykanie zawarli pokój z Anglją, uzyskując niepodległość, Kościuszkę zamianował Kongres Generałem, odznaczono go Orderem Cyncynnata, nadano mu Obywatelstwo Stanów Zjednoczonych i wyznaczono znaczną pensję. W grudniu, 1783 r. Kościuszko na francuskim okręcie, udał się do Polski.

Po sławnym udziele jego we walkach o wolność Polski, po niewoli rosyjskiej i uwolnieniu z niej, Kościuszko w r. 1797 udał się po raz drugi do Ameryki. Gdy przybył do Filadelfji dnia 18go sierpnia, przywitała go wysłana przez Kongres honorowa deputacja i odprowadziła na miejsce swego zgromadzenia; miasto było przybrane flagami, z fortu oddano federalną salwę działową, a rozentuzjazmowany tłum wyprzągł konie z karety Kościuszki, którą sam pociągnął do rezydencji, wyznaczonej naszemu Bohaterowi. Rząd—bez trudności przyznał i wypłacił mu za-

ległą pensję, oprócz tego nadano mu 500 akrów ziemi w Stanie Ohio, gdzie dziś leży miasto Columbus. Kościuszko wszystkie te dobra przeznaczył w testamencie na prace oświatowe wśród murzynów, a egzekutorem tej swojej woli naznaczył przyjaciela swego, Tomasza Jeffersona. W r. 1798 wybuchły między Stanami Zjednoczonemi a Francją nieporozumienia handlowe: okazała się potrzeba rokowań i Kościuszko przyjął ofiarowane mu przez Kongres pełnomocnictwo do układania się z rządem francuskim. Odjechał więc do Paryża, gdzie udało się mu przeprowadzić układy ku zadowoleniu rządu Stanów Zjednoczonych.

Koniec życia spędził Kościuszko w Szwajcarji, gdzie umarł w Solurze w r. 1817. *(Patrz Przypiski)*

Jak wspomniano, z Kościuszką bawił w Ameryce adjutant jego i przyjaciel, znakomity pisarz i poeta, Juljan Ursyn Niemcewicz, który pozostał tu nawet—po powtórnym odjeździe Kościuszki; ożenił się, został obywatelem amerykańskim, mieszkał w N. Jersey, a dopiero po utworzeniu Księstwa Warszawskiego przez Napoleona I-go—wrócił do Polski, gdzie zmarł w 1841 r.

W czasach Napoleona I-go i jego wojen, również gromadka Polaków przybyła do Stanów Zjednoczonych: były to niedobitki Legjonu Polskiego, wysłanego przez cesarza Francuzów na wyspę San Domingo, dla uśmierzenia powstania murzynów tamtejszych.

Odtąd — wszystkie Powstania, wszystkie walki o wolność Polski—słały do Ameryki niedobitki bojowników niepodległości, którzy "szczęścia nie zaznali w domu, bo go nie było w Ojczyźnie"... *(Patrz Przypiski.)*

I tak po Powstaniu z lat 1830-31 do Ameryki przybyli: budowniczy tutejszych kolei, Aleksander Bielaski i Józef Smoliński *(Patrz Przypiski)*; po nich przybyła niejaka pani Ricard, Polka z Kaliskiego, która stała się opiekunką Polaków-wygnańców, coraz liczniej przybywających, a szczególniej nieszczęśliwych 232 więźniów politycznych, których w marcu, 1834 roku, dwa okręty austrjackie wysadziły, po długiem błądzeniu na morzu—na brzegi Ameryki; dano im każdemu trochę pieniędzy i obdartych wyrzucono na obce brzegi. Na wieść o nieszczęsnych przybyszach, zbiegli się do nich różni opiekunowie—z litości, ciekawości i...

dla spekulacji: w rezultacie niewiele dla tułaczy tych zrobiono, musieli oni jąć się ciężkiej, wyrobniczej pracy w kamieniołomach, przy karczowaniu lasów i t. p. *(Patrz Przypiski)*. Trzech z nich, młodszych, oddano na pracę rodzinom amerykańskim, ci wybili się na poważne stanowiska: jeden z nich, Kazimierz Gzowski, był znakomitym później adwokatem i członkiem nowojorskiej Legislatury, drugi—Sobokarski był sędzią w Illinois, trzeci—Truskolaski, jako inżynjer rządowy, mierzył grunta w Luizjanie i Utah. Inny Polak z tejże grupy, Wierzbicki, dobiwszy się o własnych siłach stanowiska doktora, udał się aż do Kalifornji, gdzie dorobił się znacznego majątku i sławy: opisał on w broszurze, wydanej przez siebie, Kalifornję i jej naturalne bogactwa. Kilku jeszcze Polaków, lepiej wykształconych, znalazło posady nauczycieli: wśród nich wyróżnił się Leon Bączkiewicz.

Dalsze porozbiorowe przejścia Polski, zwłaszcza większe, ważniejsze, jak więc lata porywów wolnościowych 1846-48, szczególniej też Węgierskie Powstanie r. 1849., wreszcie wielkie ostatnie Powstanie polskie lat 1863-64—wszystkie przysłały Ameryce politycznych wychodźców polskich, których jednak przybycie tu i pobyt — ni śladu, ni wpływu nie zostawiły: utonęli oni we wielkim amerykańskim "tyglu ludów". Wymienić z pośród nich należy: Pawła Sobolewskiego, wydawcę w r. 1842 pierwszego Pisma, redagowanego po polsku i po angielsku, oraz autora rzadkiego dziś dzieła p. t. "Poets and Poetry of Poland"—więcej o nim w Rozdziale: O Piśmiennictwie—i Dra. Henryka Kałusowskiego, wybitnego lekarza, osiadłego we Waszyngtonie. Było ich więcej, lecz zginęli w morzu obconarodowem; z politycznej emigracji polskiej nie pozostało nam tu — nic, oprócz tej garstki wspomnień, dziś już też zacierających się i — wielkiego tytułu zasług polskich, w Ameryce położonych—imion Kościuszki i Pułaskiego *(Patrz Przypiski)*.

PRZYPISKI

OLSZEWICZ O JANIE Z KOLNA

Badacz tych spraw, B. Olszewicz, podaje dowody, mające wystarczać do obalenia legendy Jana Skolna w Norwegji i Danji, oraz legendy Jana z Kolna w Polsce. Nie wiadomo, jak przyjmą te wnioski Duńczycy i Norwegowie; polskiej legendy żal nam trochę, ale co do wyroku krytyki naukowej B. Olszewicz jest spokojny. Zresztą, jeśli nawet Duńczycy czy Norwegowie nie odkryli Ameryki przed Kolumbem, to dość i bez tego mają zasług na polu odkryć geograficznych. Podobnie i Polacy. Choć Jan z Kolna zdaje się być osobistością urojoną, a polskość Scolnusa znajduje się pod znakiem zapytania — podług Olszewicza, nie trzeba nam legendarnych odkrywców. Posiadamy w przeszłości dość zasłużonych dla nauki międzynarodowej, postaci na polu geografji i odkryć. Benedykt Polak już w wieku XIII. towarzyszył Janowi da Piandel Carpine — do Azji Środkowej, a Macieja z Miechowa z wieku XVI. śmiało za twórcę nowożytnej geografji Europy wschodniej uważać możemy.

O ZABOROWSKICH-ZABRIESKICH

O rodziny tej protoplaście znalazłem następujące jeszcze szczegóły:

W roku 1658, Albert Zaborowski wyjechał z Polski do Holandji. Po krótkim tam pobycie przyjechał do Ameryki. Był tu tłumaczem dla Indjan i kupcem. Podpis jego znajduje się na dokumencie z roku 1679 w charakterze tłumacza. Po pomyślnych transakcjach i ożenku stał się właścicielem olbrzymich obszarów ziemi. Zgodnie z informacjami C. B. Harvey, Zaborowski był właścicielem 4,000 akrów ziemi w Bergen County, a do 1682 r. realności jego były rozrzucone na obszarach od Hudsonu do Mississippi. W tym samym roku obrano go sędzią pokoju powiatu Bergen. Był jednym ze założycieli kościoła luterańskiego w Hackensack, N. J., i przez wiele lat był czynnym członkiem jego. Zmarł w Hackensack 11-go września, 1711, mając lat 72. Pozostawił po sobie pięciu synów i wdowę. Potomkowie Zaborowskiego odegrali ważną rolę w historji New Jersey, a i historja Stanów Zjednoczonych wspomina też kilkakrotnie o ich działalności jako obywateli i patrjotów.

CLARENCE BARRIE O POLAKACH

Clarence Barrie zaczyna od stwierdzenia, że pierwszy, autentyczny rekord pobytu Polaków w Ameryce jest zaczerpnięty z historji holenderskich kolonistów w Manhattan, którzy w roku 1695 najęli polskiego nauczyciela do nauki swoich dzieci. Od tego czasu przybywali Polacy do Ameryki w coraz większej liczbie, a w roku 1913 przybyło ich pół miljona. "W roku 1915 Polacy byli w każdym Stanie Unji z wyjątkiem obu Dakot," pisze p. Barrie.

Najwięcej Polaków było w Stanach New York, Texas, California i Wisconsin. Później duże osady polskie powstały w Pennsylwanji, Connecticut, Massachusetts, oraz w Chicago, Nowym Yorku i w innych miastach.

Barrie chwali żywotność polskich parafij i towarzystw, które utrzymują czytelnie, dają stypendja, asekuracje i pożyczki na domy. Polacy są znakomitymi obywatelami, a gdy wybuchła Wojna Światowa, Amerykanie przekonali się, jak wielka liczba Polaków żyje pod flagą Stanów Zjednoczonych.

"Gdy Ameryka przystąpiła do wojny i Prezydent Wilson apelował o ochotników — Polacy zapisywali się w dużej liczbie. Wielu zgłaszało się o przyjęcie do armji, ale byli odrzucani dlatego, że nie byli obywatelami Stanów Zjednoczonych. Trudność ta jednak została opanowana. Polski Legjon został uformowany. Pod francuską komendą walczyli z tą samą odwagą i dzielnością, któremi odznaczali się ich przodkowie w przeszłości."

"Amerykańskich Polaków można spotkać nietylko we wojskowej służbie, ale i w każdej sferze życia, jak n. p. w prawniczej i w medycznej profesji. Są oni liderami w sztuce, architekturze i muzyce. Wielu synów Polski zdobyło sławę na polu atletycznem. Nie można też przeoczyć znakomitego udziału Polaków w Grach Olimpijskich. Polacy mają genjusz organizacyjny, są odważni i gościnni."

W ostatnim rozdziale autor zaznacza, że w Stanach Zjednoczonych jest około 75 pism polskich, z których jedne są organami towarzystw, inne reprezentują polityczne grupy, a jeszcze inne służą lokalnym interesom lub miejscowościom, gdzie Polacy przeważają.

"Nigdy nie było polskiej kwestji w tym Kraju", zaznacza p. Barrie. "Polacy Amerykanie należą do Partyj Republikańskiej, Demokratycznej i Socjalistycznej, ale nigdy nie było "Polskiej Partji."

W zakończeniu oświadcza, że Polacy byli ważnym czynnikiem w ekonomicznem życiu Ameryki. Przyjmowali czynny udział w budowie Stanów Zjednoczonych.

JAN A. SADOWSKI

Jan Antoni Sadowski był śmiałym podróżnikiem i odkrywcą niemałej zasługi: dotarł aż do dzisiejszego Ohio i założył tam w r. 1735 osadę, dziś miasto Sandusky, nad ujściem rzeki tejże nazwy do zatoki Sanduksy, części jeziora Erie; zginął w walkach z Indjanami. Jego synowie, Jakób i Józef, założyli osadę, później miasto Horrodsburgh, o czem pisze Dr. S. Włoszczewski.

Tenże wspomina Karola Błaszkiewicza, kartografa z połowy w. XVIIIgo, który opracował dokładną mapę brzegów atlantyckich Ameryki Północnej.

BITWA POD BRANDYWINE

Pułaski Uratował Armję Amerykańską Pod Brandywine, r. 1777

Armję amerykańską od południa, wschodu i północy atakowali Anglicy, choć ich wojsko złożone było przeważnie z niemieckich najemników—Hessów. Od zachodu szarpali ją Indjanie, podburzeni przez Anglików.

Siły zbrojne Anglików miały przewagę liczebną, a generałowi angielskiemu, Howe'mu, udało się zmusić Waszyngtona do bitwy pod Brandywine, 11go września, 1777 roku.

Howe wyruszył z Nowego Yorku na zdobycie Filadelfji, ówczesnej stolicy Amerykanów. Waszyngton musiał mu zastąpić drogę. Howe miał 18,000 wojska, a Waszyngton tylko 11,000. Obydwa wojska spotkały się przy Chad's Ford nad rzeczką Brandywine, w Pennsylwanji. Armja Waszyngtona doznała porażki i musiała się cofnąć przed przeważającą siłą armji angielskiej, lecz angielski generał Cornwallis usiłował odciąć Amerykanom odwrót, by zniszczyć ich armję zupełnie.

Byłoby to Anglikom się udało, gdyby nie Kazimierz Pułaski. On to spo-

strzegł odrazu, że Anglicy chcą odciąć odwrót Amerykanom. "Bystry wzrok Pułaskiego — pisze naoczny świadek Bentalou — dostrzegł rychło, że nieprzyjaciel tak manewruje, aby zająć drogę, prowadzącą do Chester i przeciąć nam odwrót. Pospieszył więc do Waszyngtona i doniósł mu o tem, a zarazem dostał polecenie zajęcia tyłów, zebrawszy rozproszonych żołnierzy, ilu znajdzie i uderzenia na nieprzyjaciela. Zostało to jak najpomyślniej wykonane. Skośnem uderzeniem na front i prawe skrzydło angielskie przeszkodził Pułaski zamiarom nieprzyjaciela i zasłonił odwrót armji Waszyngtona." Tak pisze w swej broszurze "Pułaski Vindicated" z roku 1824, pułkownik Paul Bentalou, który zapoznał się z Pułaskim w przeddzień bitwy pod Brandywine i odtąd był jego niedstępnym towarzyszem, aż do bohaterskiej śmierci Pułaskiego. A "Barnes History of the United States" powiada, że—"Pułaski pod Brandywine "performed prodigies of valor" (dokazywał cudów waleczności).

Był to pierwszy występ Pułaskiego w Ameryce. Pułaski pod Brandywine pokazał "co potrafi"; tam był pierwszy jego popis rycerski wśród Amerykanów. Tam, jak świadczą roczniki "Niles Register" — "Pułaski krzyknąwszy głosem, który nas przeszedł do szpiku kości, wspiął konia ostrogami i rzucił się naprzód z takim sztrasznym i szalonym rozpędem, żeśmy go ledwo w pół minuty dogonili. Pędziliśmy prosto na las angielskich bagnetów. Pułaski był pierwszym! Lecieliśmy za nim z takim huraganem ognia i stali, że przebiliśmy nawskroś szeregi Anglików. Nieustraszona odwaga Pułaskiego ocaliła armję amerykańską w bitwie pod Brandywine od niechybnej zagłady."

M. Haiman.

LIST PUŁASKIEGO DO KONGRESU

Podajemy poniżej bardzo mało znany list K. Pułaskiego do Wydziału Finansowego Kongresu Amerykańskiego, który nie uregulował rachunków, związanych z organizowaniem Legjonu Polskiego; nadto podnoszono podejrzenia, że oficerowie Legjonu sprzeniewierzyli pewne sumy. List ten zawiera wyrazy słusznego oburzenia i żalu naszego Bohatera; podajemy to jego pismo ze zachowaniem oryginalnej pisowni błędnej i składni: Pułaski słabo mówił, a gorzej jeszcze pisał po angielsku.

Oto oryginał:

Gentlemen — Every information from the Northward that has reached me Since my Departure from thence, Strengthens my opinin, indeed—Convinces me, that there is Some Malignant Spirit Constantly Casting Such an impenetrable might before your Eyes, as to render it impossible for you to See and judge of my Conduct with propriety, and as becomes the Character of Gentlemen in your Exalted Stations.

As an enthusiastic Zeal for the glorious cause which animated America when I came over, and a contempt of death, first introduced me in your service, So I flattered myself I should have been happy Enough to acquire honour and to give Satisfaction; but Such has been my Lot, that nothing Less than my honour, which I will never forfeit, retains me in a Service which ill treatment makes me begin to abhor. Every proceeding respecting myself has been so thoroughly mortifying, that nothing but the integrity of my heart, ant the fervency of my Zeal supports me under it. I am accustomed to Explain myself very freely, and I must do it now.

Is there any one act of mine, Ever since the battle of Brandywine down

to the present period, the campaign of Charlestown, that has not demonstrated the most disinterested Zeal for public cause? I believe the most profligate of my Enemies cannot presume to deny it. Whence comes it then, that I have so Little Credit among you Gentlemen, that no one thing wherein I am concerned is done to my Satisfaction? Since the fatal instant that I undertook to Raise my Corps, Which I Cloathed, Recruited and Exercised in the space of three months time, I have been, and still am persecuted! I cannot Express my indignation, when I recollect the infamous Chicane by wich I was compelled to appear before a Court like a criminal.

The delay of Congress to send me against the Enemy was grounded upon a pretense of misbehaviour of my Corps to several of the inhabitants, even while certificates from the magistrates wherever my troops were quartered evidenced the Contrary. Altho my Corps behaved with firmness at Little Egg harbour, and Several officers and soldiers fell or were wounded, their only reward was slander. My often repeated request to have the accounts of the Corps settled while I was present has been rejected; and, after a whole years delay, when Several officers whose presence was necessary to prove those accounts, were either killed or gone of the Service it is pretendet that they Shall be Settled with the greatest Exactness: Lieut. Col. Bose is Killed, Major Montfort, and Capt. Caillivy have quited the Service and gone to Europe. Col. Kowaths is killed and Lieut. Seydling prisoner with the Enemy, each of those Gentlemen were entrusted with some Department. You must remember that my request to settle those accounts while it Could be done with ease and while those Gentlemen were present, was repeated a thousand times, therefore if there is any irregularity in the vouchers, it cannot be imputed to me or to Capt. Baldeski; and those who occasioned the Delay aught to be answerable for the whole. Besides the sum, wich Seems so extravagant to you, is but a mere triffle to the States; indeed to me for tho I do not Abound in Riches, yet it is not impossible for myself to repay the whole expences of my Legion—the Value of paper money at present is 20 for 1 in coin, so that if I apply 30,000 Livres towards it, that will produce a sum of 600,000 in paper money at Least four times the amount of the Expence that is disputed and with wich I am upbraided. Give me Leave Gentlemen to be plain with you. You are, in this case, Rather ungenerous; and there are foreigners to whom that attention has not been pay'd wich they had just Grounds to Expect from you. You Cannot be ignorant, that I have spend Considerably more than the Sum in question, of my own, for the pleaseure of advancing your cause, you must be sensible that I did not Come to America destitute of Resources, to be a burthen to you, that I have a Letter of Credit on Mr. Moris; and that I was Known by almost Every foreigner of Character.

I have lately Received letter from my Family advising that they dispatched 100,000 Livres in hard money to me, Should it fortunately come Safe, the pleasure to me will be truly great to repay you to the utmost farthing, the whole charge of my Legion; Change then your opinion of one foreigner, who from his intrance into your Service, has never the cause to be pleased; who in Europe, is by Rank superior to all that are in your Service; who certainly is not inferior in Zeal and capacity and who perhaps, may have been considered as one who came to beg your favour. Be more just, Gentlemen, and know that as I could not submit to stoop before the Sovereigns of Europe, So I Came to hazard all the freedom of America, and desirous of passing the rest of my life in a Country truly free and before set-

tling as a Citizen, to fight for Liberty; but perceiving that endeavours are used to disgart (discard?) me against Such a motive, and to regard it was phantom, I am inclined to believe that enthusiasm for Liberty is not the predominant Virtue in America at this time. I have been informed, that the board of war instead of detaining or punishing deserters from my Legion, have discharged them from the Service; Can this be Called a proper Conduct toward men who rob the State of the bounty and other wise? I have also been informed that one man hearing of this Generosity and who had Stolen a Horse to desert with, apply to them, was not only favoured in Like manner; but Even presented with the Horse. The officers who would have done their duty in Maryland imposed a penalty of L100 upon any man who should inlisted in my Corps. Capt. Bedkin who was Left, with a detachment of Light horse, to collect men remaining behind sick or on furlough with horses belonging to the Legion, and entrusted with the sum of 5000 dollars for the recruiting Service has found protection with the same board, who have rendered him indepentend altho he has failed in the Duty of an honest man. What does all this indigate (indicate). Has it not the appearance of an insidious design of disaffected persons to urge me to quit the Service in disgust, without minding the justice of their proceedings. Such a persons I denounce to your tribunal as masturbators of the pables (peoples) welfare in the military Line.

It is my disposition to speak so as to be perfectly understood. I honour you without basening myself; flattery is noxious in private as well as public bodies; it is the vice of those base animals who endeavour to persecute and injure me.

I was present when General Lincoln received an Express with a Letter mentioning Capt. Baldeski's detention and the order for appointing another paymaster wich office I believe is not very necessary, the few men we have left might be pay'd by the General paymaster of the Army, and there will be no farther confusion in the Details. Moreover it seems that the destruction of the Corps is intended wich will be eased performed.

The Campaign is at hand, perhaps I may still have an occasion of Showing that I am friend to the cause without being happy enough to please some individuals.

I have the honour to be (Gentlemen) with Respect (your most humble and obedient Servant (C. Pulaski).

Charlstown, August the 19th, 1779.

W Tłumaczeniu:

Panowie!

Wszystkie informacje, dochodzące mnie z Północy od chwili, gdy się udałem na Południe, wzmacniają moją opinję, ba, przekonywują mię nawet, że jakiś duch złośliwy ciągle rzuca Wam w oczy tak nieprzejrzyste zasłony, iż czyni niemożliwem dla Was widzieć i sądzić moje postępowanie, jak przystało na dżentelmenów charakteru na wysokiem Panów stanowisku.

Wobec tego, że zapał entuzjastyczny dla chwalebnej sprawy, która Amerykę ożywiała, gdy tu wylądowałem, i pogarda śmierci, mnie tu do Was sprowadziły, żywiłem nadzieję, że będę na tyle szczęśliwym, iż zdobędę honor, oraz zadowolenie. Lecz taki jest mój los, iż tylko honor, którego nigdy nie

stracę, zatrzymuje mnie na usługach Panów, choć złe obchodzenie się ze mną zaczyna mnie napawać wstrętem. Każdy krok w stosunku do mnie był tak przykry, że tylko zahartowane serce me i zapał szczery mnie podtrzymują. Przyzwyczajony jestem do otwartego tłumaczenia się i muszę to i teraz zrobić.

Czy jest wśród moich czynów choćby jeden od bitwy pod Brandywine aż do chwili obecnej, t. j. do kampanji pod Charlestown, któryby nie świadczył o mym bezinteresownym zapale dla dobra ogółu?

Wierzę, że najzawziętsi moi wrogowie nie mogą temu zaprzeczyć. Skąd więc pochodzi, iż tak mało mam zaufania u Was, Panowie, że żadna sprawa, odnosząca się do mnie, nie jest załatwiana ku memu zadowoleniu? Od nieszczęsnej chwili, gdy się podjąłem zorganizowania mego korpusu, który zaopatrzyłem w odzież, rekrutowałem i wyćwiczyłem w przeciągu trzech miesięcy, byłem i do tej chwili jestem prześladowany! Nie potrafię wyrazić swego oburzenia na wspomnienie o niecnych szykanach, na skutek których byłem zmuszony stawać przed sądem, jak zbrodniarz.

Opóźnienie Kongresu w wysłaniu mnie na spotkanie nieprzyjaciela tłumaczone było złem zachowaniem się mego korpusu względem kilku mieszkańców, choć zaświadczenia sędziów w miejscowościach, gdzie żołnierze moi kwaterowali, mówią zgoła co innego. Choć Korpus mój wykazał stanowczość w Little Egg Harbor, a kilku żołnierzy i oficerów poległo, lub odniosło rany,— jedyną ich nagrodą było oszczerstwo. Moje częste prośby, aby uregulowano rachunki korpusu, jak długo tu jestem, były odrzucane. Po całorocznem opóźnieniu, choć kilku oficerów, których obecność przy sprawdzaniu rachunków była konieczna, zostało zabitych, lub opuściło szeregi, udaje się, jakoby je załatwiono z największą dokładnością: pułkownik Bose zabity, major Montfort i kapitan Cailivy opuścili szeregi i wrócili do Europy. Pułkownik Kowacz zabity, a porucznik Seydling wzięty do niewoli przez nieprzyjaciela. Każdy z tych panów miał powierzony jakiś wydział.

Podkreślam, że prośba moja, aby rachunki załatwiono, kiedy to jeszcze łatwo można było zrobić, kiedy ci panowie obecni byli jeszcze, powtarzana była tysiąc razy, przeto, jeżeli są jakieś niedokładności w pokwitowaniach, nie można ich zapisywać na karb mój, lub kapitana Baldeskiego. Ci, którzy spowodowali zwłokę, pociągnięci być powinni do odpowiedzialności za wszystko.

Oprócz tego, sumy, które Wam się wydają nadzwyczajnemi, są drobnostką dla Stanów. Zaprawdę, dla mnie, choć nie posiadam bogactw, nie jest niemożliwem pokryć cały koszt mego legjonu, — wartość pieniędzy papierowych obecnie równa się 20 za 1 w złocie, tak, że o ile policzę 30,000 liwrów na ten cel, da to 600,000 w pieniądzach papierowych, czyli co najmniej cztery razy suma wydatku kwestjonowanego, który mi zarzucają.

Pozwólcie mi, Panowie, otwarcie do Was przemówić! Jesteście w tym wypadku raczej niehojni. A są tu cudzoziemcy, na których nie zwracano tyle uwagi, ile mieli dostateczne powody spodziewać się od Was. Nie możecie nie pamiętać o tem, że wydałem o wiele więcej, niż suma wspomniana, z własnej szkatuły, dla przyjemności popierania Waszej sprawy. Musicie również uwzględnić, że nie przybyłem do Ameryki bez grosza, by być ciężarem dla Was. Wszak miałem list kredytowy p. Morrisa i byłem prawie każdemu cudzoziemcowi znany z dobrego charakteru.

Niedawno otrzymałem list od rodziny, że wysłano mi 100,000 funtów w kruszcu. O ile szczęśliwie tu przybędą, przyjemność będzie, zaiste, wielka,

bo zapłacę Wam do ostatniego grosza wszystkie wydatki na mój legjon.

Zmieńcie zatem zdanie swe o jednym cudzoziemcu, który od chwili wstąpienia w służbę Waszą nie miał nigdy powodów do radości, który w Europie wyższy jest rangą, niż wszyscy inni, którzy są w Waszej służbie, który z pewnością pod względem zapału i zdolności nie jest wtyle i którego bynajmniej nie możecie uważać za jednego z tych, którzy przybyli prosić Was o łaskę.

Bądźcie sprawiedliwi, Panowie, i wiedzcie o tem, że nie mogąc czoła chylić przed mocarzami Europy, przybyłem tu, by wszystko oddać dla Wolności Ameryki, pragnąc koniec życia mego spędzić w kraju prawdziwie wolnym, walcząc jako obywatel za wolność tego kraju. Lecz widząc wysiłek w kierunku odmówienia mi takich motywów i uważania ich za przywidzenie, skłonny jestem do uwierzenia, że entuzjazm dla wolności nie jest największą zaletą w Ameryce w czasie obecnym.

Zostałem poinformowany, że Wydział Wojny zamiast zatrzymać lub ukarać dezerterów z mojego Legjonu, oddalił ich ze służby; czy można to nazwać stosownem postąpieniem względem ludzi, którzy obrabowują państwo z premij i w inny sposób? Jestem również poinformowany, że jeden człowiek, słysząc o tej hojności, a który skradł konia, by na nim ujść, nietylko został w ten sam sposób faworyzowany, ale mu jeszcze konia podarowano! Oficerowie, którzy służyli w Maryland, nakładali kary po L100 na każdego, ktoby się zaciągnął do mojego korpusu. Kapitan Bedkin, który był zostawiony z oddziałem konnicy dla zebrania ludzi, pozostawionych jako chorych i na urlopie, wraz z końmi, należącemi do Legjonu, a któremu powierzono sumę $5,000. na cele rekrutacji, znalazł protekcję u tegoż Wydziału, który uniezależnił go, jakkolwiek uchybił on powinności uczciwego człowieka. Co to wszystko oznacza? Czy to nie wygląda na złośliwą intrygę osób nieprzyjaznych, które chcą mnie zmusić, abym porzucił służbę—zniechęcony, bez dochodzenia sprawiedliwości co do ich postępowania. Takich ludzi ja oskarżam przed Waszym Trybunałem—jako burzycieli dobra ludu i jego wojennej obrony.

Staram się mówić tak, ażebym był zrozumiany, czczę Was bez poniżania siebie samego, bo pochlebstwo prywatne, czy publiczne jest mi wstrętne. Jest to cechą tych niskich bestyj, które starają się prześladować mnie i szkodzić mi.

Byłem obecny, kiedy Generał Lincoln otrzymał umyślny list, wzmiankujący zatrzymanie kapitana Baldeskiego z poleceniem zamianowania innego płatniczego, który to urząd ja uważam za nie bardzo potrzebny; tych niewielu ludzi, jacy nam pozostali, może być płaconych przez Generalnego Płatniczego Armji, a nie będzie więcej konfuzji w szczegółach, zwłaszcza, że wydaje się, że zniszczenie Korpusu jest i tak zamierzone, więc łatwiej będzie dokonane.

Kampanja jest w toku. Może jeszcze będę miał sposobność wykazania, że jestem przyjacielem sprawy, mimo tego, iż nie mam szczęścia podobać się kilku jednostkom.

Mam zaszczyt, Szanowni Panowie, być ich uniżonym sługą.

K. Pułaski.

Charleston, 19 sierpnia, 1779.

ŚMIERĆ I POGRZEB PUŁASKIEGO

Nastąpiło oblężenie Savannah i pamiętny szturm 9-go października, 1779. Pułaski, zauważywszy zamieszanie w szeregach francuskich, usiłował na czele dwustu kawalerzystów wedrzeć się w pozycje nieprzyjaciela. Zamierzał przebić się do miasta, przejść poza linjami nieprzyjacielskiemi i wnieść popłoch do obozu Anglików. Wykonując ten plan, posuwał się naprzód całym pędem, wołając: "Naprzód, bracia, naprzód", aż wstrzymała go zapora z drzew. Tu oddział jego dostał się w silny ogień krzyżowy, który wzniecił zamieszanie. Sam Pułaski został zwalony z konia kartaczem, który strzaskał mu prawe biodro, zadając śmiertelną ranę. (Karol C. Jones, Sepulture of Maj. Gen. Greene and Brig. Gen. Pulaski, Augusta, Ga., 1885).

Z pobojowiska krwawego wynieśli go Litomski, Beniowski, Jerzmanowski, Bentalou i inni towarzysze.

Opowiada jeden ze świadków, że "gdy Pułaski upadł ranny pod Savannah i otoczyli go towarzysze, odległość od wałów angielskich była tak mała, iż Anglicy z łatwością mogli każdego z nich trafić z broni ręcznej. Nie uczynili tego jednak, wiedzieli bowiem, że tym, który dostał postrzał, był Pułaski, a taki był ich szacunek dla bohaterskiego i nieustraszonego dowódcy, że pozwolili towarzyszom unieść go swobodnie."

Jakób Lynch z Południowej Karoliny pisał do "New York Herald" 7-go stycznia, 1854 r:

"Dziadek mój, Dr. Jakób Lynch z Charleston, S. C., który dożył bardzo późnego wieku, opowiadał mi często, że wyjął kulę, która zadała Pułaskiemu śmiertelną ranę. Operacji dokonał na polu w pobliżu wałów Savannah, przy pomocy mego ojca oraz wiernego murzyna, Guy'a. Kula była żelaznym kartaczem, znajdującym się obecnie w mojem posiadaniu. Kula ta weszła w pachwinę i została wydobyta z wielką trudnością, ale Pułaski zniósł operację z niepojętem męstwem.

"Chociaż rana była ciężka, dziadek mój sądził, że Pułaski mógłby z niej wyzdrowieć, gdyby był zgodził się pozostać pod jego opieką i pozwolił nieść się na noszach za armją amerykańską. Pułaski oparł się jednak tej propozycji, gdyż obawiał się pościgu armji angielskiej, która mogłaby go wziąć do niewoli. Lepsza śmierć, niż niewola, powiedział Pułaski i wolał, by go przeniesiono na pokład brygu (małego statku dwumasztowego) amerykańskiego "Wasp", który miał odpłynąć do Charlestonu.

Bentalou pisze: "Przez kilka dni pozostawał ten statek na rzece Savannah. Przez ten czas najzdolniejsi lekarze floty francuskiej doglądali Pułaskiego. Nie potrafili jednak wstrzymać jątrzenia się rany, z której wywiązało się zatrucie krwi. Właśnie gdy "Wasp" wypłynął z rzeki na morze, Pułaski wyzionął ducha i trzeba było natychmiast złożyć go do wodnego grobu."

Jedyną współczesną wiadomość o pogrzebie Pułaskiego znalazł M. Haiman w "South Carolina i American General Gazette", z piątku 19go października, 1779: "Dzielny K. Pułaski zmarł z rany na morzu podczas drogi powrotnej z Georgji. W czwartek odbył się w Charleston jego pogrzeb w sposób odpowiadający randze i zasługom tego nieustraszonego i wielce patrjotycznego oficera."

Oczywiście ów pogrzeb w Charleston, S. C., był tylko uroczystą żałobną demonstracją, mającą na celu okazanie uczuć względem polskiego rycerza. Bentalou w pięć lat później tak opisuje ów uroczysty pogrzeb:

"Wasp" wjechał do portu Charleston z flagą spuszczoną do połowy masztu. Żałobny ten znak powtórzyły wszystkie okręty znajdujące się w porcie, a wszystkie forty i baterje odpowiedziały nań w sposób zwykły przy takich okazjach głębokiego i powszechnego smutku. Gubernator i rada Stanu Południowej Karoliny, oraz władze miejskie Charlestonu przyjęli rezolucje, wyrażające najgłębszą cześć dla pamięci Generała Pułaskiego, oraz postanawiające, że pogrzeb ma mu być sprawiony z jak najwspanialszemi honorami; kwatermistrz Stanów Zjedn. w Charlestonie polecił zarządzić na koszt rządu przygotowania konieczne do tej smutnej uroczystości.

Pochód był olbrzymi i wspaniały, odpowiedni do okazji. Trumnę nieśli trzej amerykańscy i trzej francuscy oficerowie najwyższej rangi. Za nią prowadzono pięknego konia, na którym złożone było Pułaskiego uzbrojenie i mundur, który miał na sobie w bitwie pod Savannah. Tak niezwykle tłumna była żałobna procesja, że trzeba było okrążać całe miasto do kościoła, gdzie wojskowy kapelan wygłosił piękną i wzruszającą mowę." (Bentalou, Pulaski Vindicated).

Na wiadomość o śmierci Pułaskiego Kongres uchwalił wznieść pomnik ku czci Bohatera. Atoli uchwała ta została wykonana dopiero w przeszło sto lat później. Pierwszy pomnik Pułaskiego na ziemi amerykańskiej postawiło miasto Savannah w latach 1825-1853, razem z pomnikiem dla Generała Nataniela Greene'a. W r. 1820 rada miejska Savannah wyznaczyła komitet, który miał odszukać zwłoki Greene'a, aby je złożyć u podstawy jego pomnika. O poszukiwaniu zwłok Pułaskiego nie było wówczas mowy, co świadczy, że uważano je ogólnie za pochowane w morzu.

Po śmierci Pułaskiego, w lutym, 1780, Kongres uchwalił wcielić resztki jego Legjonu do Korpusu Armanda, francuskiego pułkownika. (M. Haiman, Z Przeszłości Polskiej w Ameryce).

AMERYKAŃSKI PISARZ O PUŁASKIM

Samuel L. Knapp wydał w roku 1835, w N. Yorku, książkę, dziś rzadką, o wodzach polskich "Polish Chiefs", w której czytamy o doktorze J. Warren, który napisał był list do Pułaskiego w lecie roku 1775, zapraszający go do udziału we walce o wolność Ameryki. Dr. Warren, jeden z najwybitniejszych Amerykanów ówczesnej doby, wiedział o Pułaskim, na którego świat wówczas z podziwem patrzył, jako na patrjotę bez skazy, genjalnego żołnierza i wodza. Dlatego to Dr. Warren zwrócił się do Pułaskiego, kiedy ten zmuszony ostatecznie do ucieczki z Polski, znalazł się w Konstantynopolu.

W liście tym pisze wielki Amerykanin do wielkiego Polaka, przedstawiając mu sytuację i zaznaczając, że wyzwalająca się Ameryka potrzebuje ludzi tej miary, jak wódz Konfederacji Barskiej. Jedyny to list Dra. Warren, który został zachowany; zginął on w krwawej bitwie z Anglikami pod Bostonem: nie doczekał przyjazdu Pułaskiego, który dopiero w końcu lata roku 1777 przybył do Ameryki, zaopatrzony w znaczne, swoje własne fundusze i oddał się pod rozkazy naczelnego wodza sił amerykańskich, Jerzego Washingtona.

Samuel Knapp stwierdza, że wódz polski zdobył sobie uznanie i miłość wśród wojska i ludności. Nie dbał o zaszczyty i awanse. Nie dbał o nagrody. "Pułaski—pisze Knapp—raczej w niebezpieczeństwach największych szukał zapomnienia o losach swej Ojczyzny, słaniającej się do upadku, Ojczyzny,

którą umiłował całem jestestwem, a dla której nie mógł nic uczynić jak tylko to, by na obcej ziemi o cudzą walcząc wolność, czyste imię i najszlachetniejsze dążenia przyszłym pokoleniom przekazać.

Dnia 9go października, 1779 r., padł na polu walki Kazimierz Pułaski. W ataku na Savannah, do którego mimo protestów generałów amerykańskich parł wódz floty francuskiej d'Estaing, poległ bohaterską śmiercią wódz Konfederacji Barskiej.

Na pogrzebie jego w Charleston, do czworoboku wojsk amerykańskich, przyjaciel jego serdeczny, pułkownik Howard, wygłosił mowę, zaczynając słowy:

"Żołnierze! Wiecie wszyscy, jak padł na czele dzielnego oddziału w szalonym ataku po zwycięstwo. Nie dane mu było zwycięstwo, lecz sławna śmierć spotkała tego, który miłował honor bardziej, niż życie! Jego serce szlachetne mogło się skrwawić, lecz nie znało ono bojaźni, pierś jego oddychała dobrocią, patrjotyzmem i uczuciami bohaterstwa; walczył on całą mocą dla swej własnej Ojczyzny bez powodzenia. Lecz niebiosa zesłały go nam, ażeby uczył nasz młody i dzielny naród, jakim powinien być wzorowy bohater!"

ZASŁUGI KOŚCIUSZKI

Kościuszko Przeważył Szalę Zwycięstwa Pod Saratoga w Roku 1777

Waszyngton nie miał dosyć żołnierzy, a ten brak trzeba było tem usilniej nadrabiać wznoszeniem fortów, sypaniem szańców i okopów, do tego zaś potrzeba było fachowych inżynierów. Takim właśnie był Tadeusz Kościuszko, który przez umiejętne stawianie twierdz i fortec w trójnasób powiększył sprawność armji amerykańskiej.

Kościuszko już w pierwszym roku swego pobytu w Ameryce, w roku 1776, wykonał był naokoło Filadelfji znakomite fortyfikacje, za które pozyskał stopień pułkownika inżynierji. W roku 1777 nie wiodło się kontynentalnej Armji. Wojsko było źle odziane i ponosiło klęski jedna po drugiej. Na domiar złego, Anglicy szli z Kanady z wielką armją pod generałem Burgoyne. Waszyngton, dowiedziawszy się o tem, już na początku r. 1777 wysłał był Kościuszkę na północ, aby zabezpieczyć się od strony Kanady. I nie zawiódł się, Kościuszko bowiem, wysłany do armji północnej, która pod wodzą generała Gates'a działała nad rzeką Hudson, w służbie tej nieraz odznaczył się chlubnie. Najważniejsze usługi oddał Amerykanom pod Saratoga: mianowicie ufortyfikował wzgórza Bemis Heights—tak, że Amerykanie odnieśli zwycięstwo nad wojskiem Burgoyne'a.

Zwycięstwo Amerykanów pod Saratoga było zwrotnym punktem w dziejach Wojny o Wolność. Po tem zwycięstwie niektóre europejskie państwa uznały niepodległość Stanów Zjednoczonych, choć wojna jeszcze się nie skończyła. Co ważniejsze, Francja teraz przyszła z pomocą: gdyby Amerykanie ponieśli byli klęskę pod Saratoga, nie otrzymaliby pomocy Francji, a bez tej pomocy nigdy nie byliby wygrali tej wojny.

Stąd wielka zasługa Kościuszki, który wybrał pozycje amerykańskie i świetnie je umocnił. Angielski generał Burgoyne, widząc beznadziejność swego położenia, złożył broń z całem swem sześciotysięcznem wojskiem dnia 17-go października, 1777 r. Amerykański generał Gates sam przyznawał Kościuszce zasługi tego zwycięstwa, mówiąc dowcipnie: "Wielkiemi strategikami w tej bitwie były wzgórza i lasy, które młody polski inżynier umiał zręcznie wy-

brać i okopać dla mojego obozu." A w swym raporcie urzędowym do Kongresu pisał: "Pułkownik Kościuszko wybrał i okopał to stanowisko." "Colonel Kościuszko chose and entrenched the position."

Waszyngton chwaląc polskiego bohatera wobec Kongresu przyznał, że "Kościuszko jest szlachetnym mężem pełnym nauki i zasługi."

Prezydent Wilson w swej "History of the American People" o Kościuszce tylko raz wspomniał i poświęcił mu tylko jedno zdanie, ale dobre:

"Sławny patrjota polski, Tadeusz Kościuszko był tym, który pokazał gen. Gates'owi jak się okopać pod Bemis' Heights" (Tom IV., Str. 110).

W najnowszem wspaniałem dziele historycznem "Life and Time of George Washington" wydanem w roku 1932 przez Federalną Komisję Dwusetlecia Urodzin Waszyngtona, zamieszczono pod nagłówkiem "Polish Colonial Patriots" (Polscy Patrjoci Kolonialni) następujące słowa:

"Historycy wskazują wielką rolę, jaką odegrał Kościuszko w bitwie pod Saratoga i w przygotowaniach do niej; a czyniąc to, wykazują, jaką nieocenioną wartość stanowił on dla sił amerykańskich. Gdyby w tym czasie odniósł był zwycięstwo Burgoyne, to w następstwie mogło ono z wielką łatwością spowodować zupełne pobicie Kolonistów, a tem samem historja świata byłaby przybrała zupełnie inny obrót."

M. Haiman.

Z DRUGIEGO POBYTU KOŚCIUSZKI W AMERYCE

Włodzimierz Dzwonkowski pisze na podstawie odpisów listów Kościuszki, Waszyngtona i Jeffersona, zachowanych w Archiwach Kongresu we Waszyngtonie:

Po uwolnieniu z rosyjskiego więzienia dnia 19go grudnia, 1796, wyjechał Kościuszko, poważnie chory, z Petersburga do Ameryki. Towarzyszyli mu: Niemcewicz i oficer Libiszewski, młody i mocny, który sam go przenosił z łóżka na sofę i do karety. W Londynie całe miasto pospieszyło, aby odwiedzić "bohatera wolności": Landor, wówczas jeszcze bardzo młody, ujrzawszy Naczelnika, zapłonął taką miłością do Polski, że pozostał jej dozgonnie wierny: ukochaniu temu literatura angielska zawdzięcza jedną z najbardziej fantastycznych powieści tego czasu. Po upływie półwiecza Landor wspominał rozmowę z Kościuszką jako najszczęśliwszy moment w swojem życiu. Klub whigów ofiarował bohaterowi szablę honorową, którą widzimy na portrecie Coswaya. Malarz ten zrobił portret ukradkiem, zdaniem Niemcewicza "podobny jak żaden": przedstawia Kościuszkę siedzącego na sofie z obwiązaną głową.

Najważniejszą była sprawa zdrowia Naczelnika. Poseł Woroncow pisał do cara Pawła: "Generał Koszczunskoj, spędziwszy tu około 12 dni, udał się do Bristolu, skąd wyjechał do Ameryki. Nie omieszkałem ofiarować mu swych usług, a widząc jego rozpaczliwy stan zdrowia, zwołałem konsyljum z najlepszych lekarzy, którzy go gruntownie zbadali i wyjaśnili przyczyny, jakie spowodowały ten stan, odjęły władzę w nogach... Lekarze ci wskazali, jak należy leczyć, aby mógł on tę diagnozę i wskazówki przedstawić lekarzom w Ameryce.

Dnia 7-go czerwca przybył Kościuszko do Bristolu, gdzie zamieszkał u konsula amerykańskiego Vanderhosta, dawnego przyjaciela swego z Południowej Karoliny. Odwiedzał go tu poseł Stanów Zjednoczonych King, dawny

towarzysz broni. Miasto ofiarowało Naczelnikowi cenny serwis srebrny.

Odjechał Naczelnik z towarzyszami do Filadelfji dnia 17go czerwca, na małym okręcie kupieckim "Adriana". Gdy odjeżdżał wybrzeża Avonu były usiane tłumami. Od will nadbrzeżnych przypływały łodzie z kwiatami i owocami. Wiele osób odprowadziło odjeżdżających mil kilka na pokładzie okrętu a powróciło łodziami. Europa żegnała pokonanego wodza jak tryumfatora.

Po dwumiesięcznej uciążliwej bardzo podróży "Adriana" zawinęła dnia 18go sierpnia, 1797 r. do portu Filadelfji. Na krześle zniesiono Kościuszkę na czółno i przewieziono go na ląd. Rozentuzjazmowany tłum wyprzągł konie z karety i wśród niemilknących okrzyków ciągnął ją do hotelu pani Loveson na Second Street. Garnizon powitał z fortu generała-weterana federalnym salutem z dział.

Kościuszko przesłał zaraz wiezione pakiety od Sinclaira z Londynu do prezydenta Adamsa i do Washingtona, którzy odpowiedzieli bohaterowi powitalnemi listami: Prezydent Stanów Adams życzył mu, aby znalazł w Ameryce "pocieszenie, spokój i zadowolenie po swych sławnych wysiłkach". Washington zaznaczył, że "zabierał się właśnie, aby powitać Pana w tym kraju, gdzie tak pomocny byłeś do ustalenia wolności jego... Nikt nie żywi większego szacunku i większej czci dla charakteru Pana, niż ja, i nikt szczerzej nie pragnął podczas trudnej walki o wolność w Ojczyźnie Pana, aby uwieńczyła się powodzeniem. Lecz drogi Opatrzności są niezbadane, i ludzie muszą się przed nią ukorzyć". Zapraszał go do siebie do Mount Vernon, tłumacząc, że sam teraz nie wyjeżdża nigdzie dalej. Z tych uprzejmych zaprosin Kościuszko nie skorzystał. Stosunki między nimi podczas wojny o niepodległość były chłodne, a obecnie różnili się poglądami politycznemi: Washington boleśnie odczuwał tę odmowę, tem bardziej, że Kościuszko odwiedzał przyjaciół w promieniu paruset kilometrów, a przy najbliższej okazji dał mu to odczuć.

We Filadelfji przed przybyciem Kościuszki wybuchła groźna epidemja żółtej febry. 36,000 mieszkańców opuściło miasto. Dr. Rush z Filadelfji, przyjaciel z dawnych lat, namawiał Kościuszkę do wyjazdu, a generałowie White i Gates wzywali go na pobyt do swych wiejskich posiadłości naglącemi listami.

Postanowiono więc jechać do Nowego Brunswicku, w New Jersey, gdzie mieszkał gen. White. Kościuszko wyjechał z Filadelfji z Niemcewiczem i służącym Stanisławem w dniu 30 sierpnia. Nazajutrz dotarł do Nowego Brunswicku.

Dnia 9go września opuszczono Nowy Brunswick, udając się do Nowego Yorku, liczącego wówczas 30,000 mieszkańców. Willa gen. Gates'a znajdowała się wówczas w Rose Hill o 5 km. za miastem, gdzie dziś róg 2d Avenue i 24th Street. Miała piękny front, ozdobiony korynckiemi kolumnami. Na progu spotkał gości gen. Gates, zwycięzca zpod Saratogi, staruszek 75-letni, rzeźki, grzeczny i wesoły. Kościuszkę odwiedzali wszyscy znakomitsi mieszkańcy miasta.

Z Nowego Yorku Kościuszko udał się do Elizabethtown, gdzie spędził trzy tygodnie, a potem powrócił do Nowego Brunswicku, do gen. White. Podczas swego pięciotygodniowego tutaj pobytu Naczelnik dużo rysował i malował. Po wyjeździe z Nowego Yorku otrzymał wiadomość, że Kongres ofiarował mu 500 akrów ziemi na lewym brzegu rzeki Scioto w Stanie Ohio, tam gdzie dzisiaj wznosi się miasto Columbus.

Gdy powrócono do Filadelfji, dla oszczędności wzięto niewielkie mieszkanko u pani Relf na 3d Street.

We Filadelfji Kościuszko powoli przychodził do zdrowia. Otaczało go grono przyjaciół, znajomych i wielbicieli.

Kościuszko, namiętny demokrata, sympatyzował z opozycją przeciwko stronnictwu Adamsa i Washingtona, a przylgnął do przywódcy opozycji Jeffersona, z którym łączyła go przyjaźń.

Sprawę pensji Kościuszki podniósł w Kongresie członek Izby Posłów, Dawson, na posiedzeniu z dnia 22go grudnia, 1797 roku. Wniosek Dawsona przyjęto i w kilka dni później Sekretarz Skarbu złożył sprawozdanie, z którego wynikło, że świadectwo, wystawione Kościuszce a zgubione pod Maciejowicami, opiewało na sumę 12,280 dolarów, 54 centów, z 6% od dnia 1-go stycznia, 1784 r. Do 1794 r. Kościuszko pobrał procent tylko za jeden rok. Procenty urosły do 5,894 dol. 66 centów i pozostały w skarbie amerykańskim. Sekretarz skarbu wyraził obecnie gotowość natychmiastowego wypłacenia zasadniczej sumy, z procentami, z wyjątkiem procentów za 4 lata, przekazanych do Londynu, choć niedoręczonych Kościuszce. Dawson zaś wniósł bill o wypłacenie wszystkich zaległych procentów łącznie z sumą, przekazaną do Londynu a niedoręczoną. Bill ten przyjęty został w trzeciem czytaniu przez Izbę Posłów, a następnie odesłany do Senatu. Ponieważ Izba Posłów poprawkę Senatu o niepłacenie sumy londyńskiej ponownie odrzuciła, wyłoniono komisję z członków obu Izb celem uzgodnienia billu. Komisja ta zgodziła się w końcu ze stanowiskiem Senatu i w tej formie bill został ostatecznie przyjęty dn. 23go stycznia, 1798 r. W sumie Kościuszko otrzymał 18,175 dolarów, 20 centów.

W marcu, 1798 r. dostarczono Kościuszce paczkę listów z Europy. Była to wiadomość o zorganizowaniu Legjonów Dąbrowskiego. Zrobiła ona na nim tak silne wrażenie, że mimo choroby nóg, w której lęk nerwowy odgrywał główną rolę, zeskoczył z otomany na środek pokoju. Silny wstrząs usunął bezwład psychiczny. Inwalida, po trzyletniej zgórą chorobie, został uzdrowiony.

Tymczasem narastał konflikt między Francją a Stanami: wojna wisiała na włosku. Demokraci z Jeffersonem sprzyjali Francji. Dyrektorjat francuski zaproponował przez swego konsula we Filadelfji przysłanie komisarzy do Paryża w celu pertraktacyj pokojowych. Wysłano trzech komisarzy, ale nie znających języka francuskiego, dlatego przy sposobności wyjazdu do Legji polskich Kościuszki jemu powierzono tajną misję od rządu Stanów.

Przyjaźń gorąca, głęboka, na tle wspólnych ideałów, między Kościuszką a Jeffersonem wzmocniła się. Dnia 21go lutego, 1798 r. pisał Jefferson do Gen. Gates'a o Kościuszce: "Jest on najczystszym synem wolności z pomiędzy wszystkich, jakich znałem kiedykolwiek, i takiej wolności, która rozciąga się na wszystkich, nie na niektórych i bogatych jedynie"...

Jefferson przygotował Kościuszce paszport do Francji na nazwisko Thomasa Konberga; w sekrecie bez słowa pożegnania dla Niemcewicza i służącego Stanisława, którym zostawił pieniądze w swoim kredensie, odpłynął Kościuszko dnia 5-go maja do Francji.

Przed samym odjazdem zostawił Jeffersonowi pełnomocnictwo w sprawach finansowych i sporządził dnia 5go maja, 1798 r. testament, w którym na sześćdziesiąt kilka lat przed wojną domową przewidział wyzwolenie murzynów... "Oświadczam i stanowię, że gdybym nie miał inaczej rozrządzić

w testamencie własnością moją w Stanach Zjednoczonych, upoważniam niniejszem mego przyjaciela, Thomasa Jeffersona, ażeby całkowicie jej użył na wykup murzynów... i na obdarzenie ich wolnością w mojem imieniu, na udzielanie im nauki rzemiosł lub innej, na wdrażanie ich w obowiązki moralności... w obowiązki obywatelskie... i na ich wychowanie w tem wszystkiem, co ich może uszczęśliwić i uczynić pożytecznymi. Mianuję... Thomasa Jeffersona egzekutorem niniejszego testamentu."

Kościuszko umarł dnia 15go października, 1817 r. Posiadał on w tym czasie w Ameryce 20,000 dolarów. W ostatnim testamencie swoim z dn. 10go października, 1817 r. o sumach amerykańskich nie wspomniał i wcale niemi nie rozporządził; pozostał więc w mocy jego legat na rzecz murzynów w Ameryce. Jefferson, będąc już starym, dn. 12go maja, 1819 r. zalegalizował testament Kościuszki w sądzie okręgowym powiatu Albermarle.

JÓZEF SMOLIŃSKI

Józef Smoliński urodził się dnia 16go marca, 1807 r. w Płocku. W Powstaniu Listopadowem wziął udział jako kadet i porucznik 5-go pułku, a za waleczność pod Grochowem otrzymał "Virtuti Militari". Po upadku Powstania emigrował do Francji. W roku 1836 był już obywatelem Stanów Zjednoczonych. W 1854, gdy wybuchła Wojna Krymska, wstąpił do szeregów angielskich i był mianowany najpierw majorem, a następnie pułkownikiem. Odznaczył się pod Sebastopolem, za co otrzymał angielski "Złoty Krzyż", a od Turcji stopień generała. Podczas amerykańskiej Wojny Domowej otrzymał patent na pułkownika i pozwolenie na formację pułku "Ułanów Stanów Zjednoczonych" w Stanie N. York, lecz nie zdołał przeprowadzić swego planu. Kiedy wybuchło Powstanie Styczniowe, Smoliński ponownie wybrał się do walki orężnej za Polskę. Wyprawa ta zakończyła się dla niego internowaniem w Ołomuńcu, gdzie go osadził rząd austrjacki. Dopiero interwencja posła Stanów Zjednoczonych we Wiedniu uwolniła go z więzienia i pozwoliła wrócić do Stanów Zjedn. w r. 1865. Smoliński zmarł we Waszyngtonie dnia 2go grudnia, 1886.

JÓZEF JAGIEŁŁO SMOLIŃSKI

Józef Jagiełło Smoliński urodził się w prowincji Quebec, w Kanadzie, w roku 1845, syn poprzedniego i Marji Cain. W roku 1855 umieszczono go w Polskiej Szkole Związkowej dla chłopców w Battignoles, we Francji; ukończył ją w roku 1861. Gdy liczył 16 lat, wstąpił do armji Stanów Zjednoczonych i uzyskał rangę porucznika. Brał udział we Wojnie Domowej i był w bitwach pod Sharpsburg i Antietam. Zwolniono go po wojnie tej w randze majora. Tytuł "pułkownika" nadano mu za działalność w organizacji G.A.R. (Grand Army of the Republic). Głównie dzięki jego staraniom został wzniesiony pomnik Pułaskiego we Waszyngtonie. Pułkownik Smoliński zmarł tamże, 12go kwietnia, 1923 r. i został pochowany na Cmentarzu Narodowym Arlington.

ALEKSANDER BIELASKI

Urodził się około 1813 roku, był ze zawodu inżynierem. Jako 20-letni młodzieniec, wyróżnił się znakomicie odwagą i dzielnością w Powstaniu 1830-31 r.; ranny w odwrocie Gen. Dembińskiego z Litwy pod Warszawę, a-

wansowany na kapitana, udał się na emigrację: w r. 1833 był już w Ameryce. Dał się tu poznać—jako znakomity inżynjer: budował koleje na Florydzie i w Illinois; był podróżnikiem, organizatorem i administratorem wybitnym. Względami osobistemi darzył go Prezydent Lincoln. We Wojnie Domowej Bielaski—mimo wieku—liczył już lat 50—zapisał się, jako ochotnik do Armji i walczył bardzo dzielnie: poległ ze Sztandarem Gwiaździstym w dłoni—wiodąc szarżę Kawalerji w bitwie pod Belmont, 7go listopada, 1861 r. "Był wzniosłym przykładem poświęcenia i bohaterstwa" — powiedziano o nim w rozkazie wodza po bitwie.

WYGNAŃCY Z ROKU 1830-31 W AMERYCE

W dzienniku "N. Y. American" z roku 1834 znajdujemy ciekawy artykuł, zawierający następujące, warte upamiętnienia dokumenty:

Wygnańcy polscy, którzy przybyli tu na austrjackich fregatach, jak rozumiemy, nie dobrowolnie, lecz wśród uroczystych protestów przeciw uwięzieniu ich z Europy, porzuceni w Ameryce, w kraju, którego językiem nie władają, gdzie nie mają żadnych widoków na możność egzystowania, winni znaleźć serdeczną sympatję naszego miasta, są do niej wprost uprawnieni i należy się ona im w całej pełni.

Nieszczęśni ci ludzie, jak dowiadujemy się od piszącego list (jak odpis poniżej) należącego do polskiej kolonji, zgromadzeni zostali z różnych stron Austrji w porcie Triest, po wielokrotnem przerzucaniu ich z obozu do obozu, zaopatrzeni zostali w płaszcz, parę spodni, kilka artykułów pierwszej potrzeby i wysłani następnie na owe fregaty, by odtransportować ich siłą z Europy. Każdy z wygnańców miał, po wysadzeniu na ląd w Ameryce, otrzymać $22.00. W gronie ich znajduje się jedna kobieta, siedmiu lub ośmiu oficerów, reszta składa się ze szeregowych.

Pierwszą rzeczą, jaką należałoby się tu zająć, to zaopatrzyć tych ludzi w nieco odzieży i postarać się im o jakieś schronienie, aby nie dopuścić, by wałęsali się wśród głodu i chłodu po ulicach i by nie padli ofiarą wyzyskiwaczy, którzy żerując na ich naiwności i nieznajomości angielskiego, wyłudziliby od nich kilka ostatnich groszy, jakie mają przy sobie. Potem dopiero, możnaby pomyśleć o innych działach spieszenia im z ratunkiem.

Wśród rozbitków polskich znajduje się kilku byłych kowali; ci będą może mogli dostać pracę w tutejszych hutach; większość jednak wygnańców nie posiada nic, jak tylko parę silnych ramion, na jakich może polegać. Los nieszczęsnych ofiar wzbudzi niechybnie sympatję naszego obywatelstwa, które zainteresuje się zapewne również przedrukowanym niżej listem p. Gerarda:

Do Redaktora
New York American
Czcigodny Panie:

W imieniu 240 polskich wygnańców pragnę za pośrednictwem tego Pisma skierować apel do społeczeństwa amerykańskiego. Ośmielony licznemi dowodami serca ze strony Amerykanów, wśród których miałem sposobność obracać się w ciągu ostatnich 18-tu miesięcy, apeluję do ich serc litościwych w tej silnej wierze, że miłosierdzie i przychylność ich nie zawiedzie moich nieszczęsnych współrodaków, którzy na nich budują jeszcze jedyny zamek nadziei. Niech i im danem będzie korzystać z tego złotego runa wrażliwych na nędzę i opuszczenie serc, którego wartość sam poznałem, dzięki któremu

jestem dziś uratowanym. Specjalnie proszę, by wolno im było korzystać z instytucyj dobroczynnych, prowadzonych i kierowanych przez kobiety amerykańskie w Nowym Yorku. W krótkim czasie minie u nich, jak wierzę, ten stan skrajnej depresji, nabiorą nowej mocy i siły wiary, a my Polacy potrafimy ocenić pomoc, jaka zostanie udzielona na rzecz naszych najbiedniejszych braci.

Proszę przyjąć wyrazy najwyższego poważania i czci

GERARD, Były polski oficer.

New York, 31go marca, 1834 r.

W związku z powyższym listem opublikował konsul austrjacki następujące oświadczenie:

"W latach 1830 i 1831, podczas ostatniej rewolucji polskiej, pewna część powstańców zbiegła, względnie została zmuszona przekroczyć granicę austrjacką. Rząd austrjacki nie tylko, że zbiegom udzielił prawa asylum, lecz zezwolił im nawet dłużej w kraju pozostać. Większość zbiegów oświadczyła, że pragie udać się do Francji, reszta chciała później skorzystać z przywileju powrotu, na mocy wydanej amnestji przez cara rosyjskiego. Jednemu i drugiemu odłamowi rząd austrjacki starał się pomagać.

"Pozostała jeszcze jedna mała grupa, albo nie chciała, albo nie mogła wrócić do Rosji, ani uzyskać paszportu do któregokolwiek państwa europejskiego. Ludzie ci, odcięci od wszystkiego, znajdowali się w zupełnej nędzy. Cesarz austrjacki oświadczył wobec tego swą gotowość przewieźć ich bezpłatnie na własnych okrętach, do kraju zamorskiego, jaki sami wyznaczą w podpisanych przez się deklaracjach. Po wylądowaniu Polaków w Ameryce, po zapłaceniu zwykłych opłat pasażerskich, podpisany, na polecenie swego rządu, wręczył każdemu z rzeczonej grupy kwotę $40. i wszyscy, opuszczający okręt, dawali wyraz zadowoleniu z łaskawego z nimi się obchodzenia na dwu fregatach i wdzięczności za obejście się z nimi przez władze austrjackie. Z przyjemnością stwierdzam, że Polacy zachowywali się cały czas nienagannie. Oświadczam swą gotowość służenia wygnańcom wszelkiemi wskazówkami, jakich mogę im udzielić i dziękuję w imieniu mego rządu za wszelkie dowody sympatji na rzecz poddanych, ze strony tutejszego obywatelstwa, a to tem bardziej, że uważam, że wygnańcy polscy zasługują w pełni na przyjazną pomoc i opiekę.

L. BARON LEDERER,
Konsul generalny.

Konsulat Austrjacki, 4 kwietnia, 1834.

Następujące oświadczenie wydali emigranci polscy w związku z powyższą enuncjacją konsula austrjackiego:

Jest ogólnie wiadomem, co znaczy zdać się na łaskę amnestji monarchów byłym powstańcom, walczącym o wolność swej ojczyzny. Specjalnie wiedzą wszyscy, co oznacza amnestja rządu rosyjskiego. Mimo licznych przysiąg, ci, którzy kierują teraz losem narodów, czynią to tylko, co uważają dla siebie za najwygodniejsze. Patrjoci polscy, którzy zawierzyli w swej słabości słowu wybaczenia rosyjskiego, giną teraz zakuci w kajdanach na Sybirze i w więzieniach; innych wcielono w oddziały wojsk moskiewskich.

Napróżno protestowaliśmy przeciw naszej deportacji, jako sprzecznej ze zasadami prawa międzynarodowego. Nie mieliśmy wyboru; trzeba było albo wracać pod knut rosyjski, albo jechać do Ameryki. Trzeba się było

decydować, czy jechać jako wolni ludzie do Stanów Zjednoczonych, czy też jako więźniowie do Ameryki Południowej. Po przebyciu pewnego czasu w koszarach austrjackich w Brunn i w Tryeście, gdzie traktowano nas na modłę wskazań metternichowskich, nie mogąc nawet marzyć o zezwoleniu na wyjazd do Francji czy Anglji, stajemy się z musu mieszkańcami tutejszej wolnej ziemi i kraju. Deklaracja konsula austrjackiego nie mogła mieć innego brzmienia, jak opiewała. Konsul, rezydent Ameryki od wielu już lat, zdołał zapomnieć, jak wygląda "opieka" cesarska. Nie wie on nic o tych licznych katastrofach, jakie nawiedziły ostatnio Europę. Jest to jego obowiązkiem sprawę tak omawiać, jak poleca mu jego władza przełożona. Ale czy mógłby on z ręką na sercu powiedzieć szczerze, wstawiając się w nasze położenie, że nie było innej drogi dla nas, prócz tej, jaką zaaplikował Wiedeń, by dostarczyć nas tu, wolnych od dalszych prześladowań, do państwa, w którem Polacy od pół już wieku cieszą się swobodą, pod opieką konstytucji Stanów Zjednoczonych.

Nie kwestjonując obchodzenia się z nami w czasie podróży, podkreślamy, że nie było potrzeby urządzać parady fregat austrjackich w porcie New York i wystawiania nas na pośmiewisko. Wstrzymujemy się od skarg i od pochwał, odnośnie do poszczególnych oficerów na statkach. Skargi nic nie pomogą, pochwały interesowanym mogłyby jeszcze zaszkodzić. Zanadto dobrze znamy łączność i solidarność Świętego Przymierza, by móc na chwilę wątpić, że koszta na nas wyłożone, nie zostały pokryte ze sum uzyskanych z konfiskat mienia naszych współrodaków w nieszczęsnej naszej Ojczyźnie.

W imieniu Polaków,
ADALBERT KONARZEWSKI,
Reed St. No. 34.

Wygańcy polityczni zwrócili się do Kongresu Stanów Zjednoczonych z prośbą o przytułek i ziemię. W odezwie ich do Kongresu czytamy:

"Dopóki mieliśmy Ojczyznę, którą mogliśmy nazwać naszą własną, walczyliśmy o jej niepodległość, ale przeważająca siła Rosji zmusiła nas do ucieczki do austrjackich i pruskich prowincyj; żądaliśmy tylko wolnego przejścia do Francji. W kwietniu rząd austrjacki, obiecawszy nam wolność i opiekę, nagle, bez zawiadomienia, ulokował nas w Bernie, na Morawach, odpowiadając na nasze protesty zapewnieniem, że kiedy się zgromadzimy, będziemy posłani do Francji. Po trzech miesiącach zamknięcia rząd austrjacki dał nam do wyboru: albo wrócić do Rosji, albo jechać do Stanów Zjednoczonych, z których rządem będzie załatwiony układ o nasze zabezpieczenie i poparcie. Jako miłośnicy wolności, wolnych instytucyj, przyjęliśmy alternatywę życia wśród wolnego narodu, chociaż decydując tak, wyrzekliśmy się wszystkich nadziej co do kraju naszej miłości, naszych obyczajów, naszych praw i naszego języka. Po przybyciu do Triestu byliśmy zamknięci tam przez trzy miesiące, dopóki wkońcu nie wsiedliśmy na pokład dwóch austrjackich fregat i po podróży, trwającej cztery miesiące i dziesięć dni, wylądowaliśmy w Nowym Yorku, gdzie znaleźliśmy się w niezwykle krytycznej sytuacji, nie znając zarówno języka, jak obyczajów kraju i pozbawieni wszystkiego, mając tylko środki na kilkodniowe utrzymanie.

Aczkolwiek pielgrzymi w cudzym kraju, ze smutnem wspomnieniem przeszłości i nadzieją na przyszłość, chcemy prowadzić życie pracowite i stać się pożytecznymi krajowi naszego wyboru."

Prośba kończy się wezwaniem o udzielenie gruntów, któreby pozwalały wygnańcom utrzymać się ze swej pracy i stać się użytecznymi dla narodu Stanów Zjednoczonych.

Prośba nosi datę 9go kwietnia, r. 1834.

Podpisali ją: Leon Bączkiewicz, Marcin Rosienkiewicz, Dr. Karol Krajcer, Jan Ruchlicki, Feliks Gwinczewski, Józef Kossowski, Jan Hiż, Leon Jerzykowski, Wojciech Konarzewski.

Na mocy aktu Kongresu przyznano ziemię wygnańcom; 30go czerwca, 1834 roku, Prezydent A. Jackson zatwierdził ten akt, który opiewa, że dla Leona Bączkiewicza i jego towarzyszów w liczbie 230 wygnańców z Polski, przewiezionych na rozkaz Austrji do Stanów Zjednoczonych, będzie wyznaczonych 230 działek ziemi, wybranych pod kierunkiem Sekretarza Skarbu z gruntów publicznych w Stanie Illinois, lub na terytorjum Michiganu.

Po wymierzeniu, ziemia ma być rozdzielona na równych 230 działek: każdy z wygnańców ma prawo objąć ziemię mu wyznaczoną i po upływie dziesięciu lat każdy z posiadaczy otrzyma prawo własności, o ile przez ten czas będzie mieszkał stale na swoim gruncie i uprawiał go, oraz gdy zapłaci minimum ceny za każdy akier. Na każdego osadnika przypadało po 500 akrów. W urzędowych rekordach zarówno Kongresu, jak i Biura Gruntów są dowody tego osadnictwa polskiego w miejscowościach wyznaczonych.

WAWRZYNIEC GĘBICKI

Opiekunem owych wygnańców polskich w Ameryce miał podobno być Wawrzyniec Gębicki, majętny fabrykant w Nowym Yorku od roku 1824. Gębicki urodził się w roku 1793, w osadzie Kowalszczyzną zwanej, w Sandomierskiem. Za czasów Napoleońskich odbył kilka kampanij i za waleczność zdobył krzyż Legji honorowej, ale r. 1815, w bitwie pod Waterloo zraniony, dostał się do niewoli angielskiej. W Anglji wydoskonalił się w nożownictwie i szlifierstwie. W r. 1824 popłynął do Ameryki, gdzie w New Yorku, pracując 6 lat w nożowniczej fabryce Gotmana, tak wyuczył jego robotników, że wreszcie Gotman przypuścił go do spółki: po śmierci Gotmana objął Gębicki na siebie ten zakład nożowniczy.

Gębicki być miał opiekunem rodaków, przybywających do N. Yorku po Powstaniu r. 1831. Umieszczał ich w swoim zakładzie, zakładał im warsztaty, wspierał, odziewał, karmił; dla dzieci tułaczy-rodaków założył ochronkę i szkółkę polską. Zmarł Gębicki 20go listopada, r. 1853, niewielki po sobie zostawiając majątek, bo niemal wszystko rozdał ubogim i rodakom. Życiorysu szczegóły zupełnie niepewne; są nawet opinje, iż Gębicki — wogóle nie istniał, a co do nazwiska i działalności wyżej streszczonej zachodzi jakieś do dziś niewyjaśnione nieporozumienie.

WŁODZIMIERZ KRZYŻANOWSKI

W. Krzyżanowski urodził się w roku 1842 r., jako student, brał udział w ruchach wolnościowych 1848 r. i skutkiem tego opuścić musiał Ojczyznę, a udał się do Stanów Zjedn., gdzie zrazu był inżynierem cywilnym, później handlowe prowadził interesy. We Wojnie Domowej sformował własny oddział ochotniczy, którego został mianowany kapitanem. W ciągłych walkach wyróżnił się świetnie i na wyższe awansował stopnie: brał udział w bitwach pod Cross Keys (1863 r.), pod Gettysburg (1863 r.) i w całym szeregu innych

jak: Bull Run (1862 r.), Chancellorville (1863). Był przez Prezydenta Lincolna polecony do rangi Generała Brygady. Po wojnie był czas jakiś Gubernatorem (pierwszym) Alaski, potem służył na innych stanowiskach rządowych. Zmarł w osamotnieniu i zapomnieniu w N. Yorku, w r. 1887. Pochowany jest na Cmentarzu Nar. w Arlington.

Mieczysław Haiman pisze o Krzyżanowskim w jednej ze swych książek, co następuje:

"W tydzień po proklamacji Prezydenta Lincolna, wzywającej 75,000 ochotnika, nasz rodak Włodzimierz Krzyżanowski zorganizował jedną z pierwszych kompanij w Waszyngtonie. Przybył on w roku 1846 z byłego zaboru pruskiego, gdzie jako student naraził się rządowi za pracę niepodległościową. Tu w Ameryce ciężko pracował, uczył się, aż został inżynierem. Pracował on dla kompanij kolejowych, osiedlił się w Waszyngtonie i został kupcem. W roku 1861 Krzyżanowski zorganizował kompanję milicji w Waszyngtonie, wkrótce został kapitanem, majorem, a w końcu pułkownikiem 58-go pułku piechoty, milicji Stanu New York. Ten pułk obejmował wielu Polaków i dlatego zwany był Polskim Legjonem.

"Krzyżanowski odznaczył się we wielu bitwach. Po bitwie pod Cross Keys, dnia 8go czerwca, 1862 r. otrzymał rangę brygadjera, a za nadzwyczajną odwagę w bitwie pod Bull Run, w sierpniu, 1862 r. Prezydent Lincoln zamianował go Generałem. Senat atoli nie zatwierdził tego, rzekomo z błahego powodu—jakoby senatorzy nie mogli wymówić jego nazwiska.

W bitwie pod Chancellorville w maju, 1863 roku, kiedy to konfederacki generał "Stonewall" Jackson wykonał śmiały atak, którym spowodował zamieszanie w szeregach północnych — generał Krzyżanowski sam jedynie utrzymał swoją brygadę w porządku i dzięki swej waleczności skutecznie dopomógł do zaszachowania Jackson'a. W słynnej bitwie pod Gettysburg, w lipcu, 1863 r. Generał Krzyżanowski znowu się odznaczył, poczem został wysłany do Tennessee, gdzie brał udział we wielu walkach i wykonał trudne marsze. Generał Krzyżanowski był umiłowany przez swoich żołnierzy. Z każdym obchodził się ludzko, dzielił twardy los zwykłego żołnierza, który z tego powodu wykonywał wszelkie jego rozkazy bez szemrania. Stąd to pochodzi, że po ukończeniu Wojny Domowej, oficerowie i żołnierze z jego brygady ofiarowali mu wspaniauą szablę z napisem: "Oficerowie i żołnierze z 2-giej brygady, 3-ciej dywizji, 2-go korpusu, swemu ukochanemu dowódcy w dowód szacunku." Generał Krzyżanowski ponadto otrzymał inne podarki za swą dzielność i rycerskie cnoty.

"Dla wrogów okazywał Gen. Krzyżanowski tę samą ludzkość i sympatję. W roku 1864 jako najwyższy dowódca w Bridgeport, Tennessee, na terenie konfederackim, był panem życia i śmierci miejscowej ludności—a jednak obchodził się z nieprzyjacielem tak łagodnie i w tak ludzki sposób, że południowcy wyrażali prawdziwy żal, gdy Generał Krzyżanowski został przeniesiony do innej służby.

"Po ukończeniu wojny Kongres uznał zaszczytną działalność Generała Krzyżanowskiego, mianując go komisarzem Alaski: tam zaprowadzał on rządy amerykańskie. Później był urzędnikiem federalnym w Panamie i w Nowym Yorku. Generał Krzyżanowski umarł w Nowym Yorku dnia 31go stycznia, 1887 r. Generał Karol Schurz, późniejszy senator i sekretarz spraw wewnętrznych, wygłosił przemówienie na pogrzebie Generała Krzyżanowskiego. "Zawsze walczyłem dla idei, za wolność i niepodległość", oto hasło i cel ży-

cia Generała Krzyżanowskiego, najwybitniejszego z polskich uczestników Wojny Domowej.

JÓZEF KARGE

Ur. 1823 r., uczestnik Powstania Poznańskiego 1848 r.; skutkiem tego emigrował do Francji, a w 1851 r. przybył do Stanów Zjedn. Prowadził w Nowym Yorku szkołę wojskową z dużem powodzeniem. We Wojnie Domowej służył w radze podpułkownika milicji Stanu New Jersey; później był dowódcą całej Kawalerji tegoż Stanu, a w szeregu wypraw i bitew tak się odznaczył, że w 1865 r. został mianowany Generałem Brygady. Po wojnie wrócił do zawodu nauczycielskiego; był profesorem literatur europejskich na Uniwersytecie w Princeton, N. J., gdzie zmarł w r. 1892 i gdzie się grób jego znajduje.

ALBIN FRANCISZEK SCHOEPF

W szkicach Mieczysława Haimana znajdujemy wiadomość o jednym jeszcze Generale Polskim w Armji Amerykańskiej — z okresu Wojny Domowej. Był to Albin Franciszek Schoepf, urodzony 1822 r., w Krakowie, absolwent Wyższej Szkoły Wojskowej we Wiedniu, który w roku 1848 ze służby austrjackiej przeszedł do Węgierskiego Powstania, po którem musiał emigrować. Przebywał w Turcji i służył w armji tamtejszej do r. 1861, w którym wyjechał do Ameryki. Wstąpił do armji tutejszej, zyskując odrazu stopień generalski. Walczył w szeregu bitew, wyróżnił się pod Perryville. Był komendantem fortu Delaware, Md., a po wojnie został mianowany członkiem Najwyższego Trybunału Wojennego. Umarł w r. 1886 i pochowany jest w Hyattsville, Md.

KASPER TOCHMAN I WINCENTY SULAKOWSKI

W okresie Wojny Domowej żył i działał w Stanach Zjedn. jeszcze — Kasper Tochman, trwale zasłużony dla Polskości. Pisze o nim M. Haiman, że był majorem Armji Polskiej w r. 1831 i krewnym Generała Skrzyneckiego. W r. 1837 przybył do Ameryki, po trudnych początkach został tu adwokatem, wziętym i rozgłośnym. Zajmował się żywo i pożytecznie propagandą polską: wydał w Baltimore, Md., w r. 1844 broszurę-odczyt, pod tytułem: "Lecture delivered before the Members of State Legislatures of New York, Massachusetts, New Hampshire, Vermont, Connecticut, Ohio, Virginia, Indiana and Kentucky, and before the Members of the New Jersey State Convention, on the subject of the social, political, and literary conditions of Poland, and her future prospect, co-jointly with the policy of Russia — toward the United States,—by Major C. Tochman, a Polish exile". Tochman urządzał wiece na przestrzeni wyżej wymienionych Stanów, wygłaszał swój doskonale opracowany odczyt i doprowadzał do uchwalania rezolucyj, które mają bądź co bądź—znaczenie, jako świadectwa nastrojów tutejszych i sympatyj dla Polski: rezolucyj tych Haiman cytuje szereg cały, wszystkie bardzo piękne i podniosłe. W ówczesnych Pismach przechował się również szereg artykułów Tochmana o Sprawie Polskiej.

W r. 1852 osiadł Tochman we Wirginji, pracując w zawodzie adwokackim. Przejąwszy się zasadami Południa, walczył po jego stronie we Wojnie Domowej. Organizował "Brygadę Polską" dla armji południowej, miał zo-

stać Generałem, lecz rząd Konfederacji nie zatwierdził zamianowania z przyczyn niewyjaśnionych. Wojna zrujnowała Tochmana materjalnie; po niej piastował stanowiska we Wirginji, mające do niej ściągać emigrantów europejskich, ale zabiegi te nie dały pomyślnych rezultatów. Koniec życia Tochmana i jego zgonu okoliczności do dziś nie są znane. Był to pierwszorzędny propagandzista polski, człowiek swego czasu wielkich wartości i zasług.

Jednym z pułkowników owej "Polskiej Brygady" był Wincenty Sulakowski, wybitny inżynier wojskowy, twórca fortyfikacyj wybrzeży Texasu. Zmarł w Nowym Orleanie w roku 1873.

LEON JASTRZĘBSKI

Leon Jastrzębski urodził się we Francji w roku 1844. W młodym wieku przyjechał z rodzicami do Montrealu, Kanada, potem rodzina przesiedliła się do Nowego Orleanu, Louisiana. W czasie Wojny Domowej Jastrzębski, mając lat 17, zgłosił się na ochotnika do armji konfederackiej i w bardzo krótkim czasie osiągnął rangę kapitana. Po Wojnie Domowej został "mayorem" miasta Baton Rouge r. 1871-1879. W roku 1907 został obrany Gubernatorem Stanu Louisiana. Potomkowie Jastrzębskiego żyją do dziś w Louisiana.

ARTUR F. WROTNOWSKI

Artur F. Wrotnowski z Francji przybył do Stanów Zjedn. w r. 1859. Służył w armji podczas Wojny Domowej i osiągnął rangę pułkownika. Po wojnie był wojskowym inżynierem i budował mosty na Mississippi. Zmarł 23go października, 1911, w Arizonie.

KAROL RADZIMIŃSKI

Nakoniec zanotujemy Karola Radzimińskiego, który urodził się w Polsce w roku 1805. W powstaniu 1830-31 był porucznikiem; został deportowany do Stanów Zjednoczonych w r. 1834 przez rząd austrjacki, jak to opisano powyżej. Po ukończeniu studjów inżynierji otrzymał posadę w Richmond, Virginia. Wstąpił do armji Stanów Zjednoczonych i jako oficer brał udział we Wojnie z Mexykiem, po której komisja, wyznaczająca granice Stanów Zjednoczonych i Mexyku, wysłała go, by przeprowadził badania całej południowej granicy Stanów Zjedn., co uczynił, podróżując trzy lata (do roku 1855): raport z jego podróży stał się dokumentem wielkiej wagi. W r. 1858 góra, znajdująca się w Stanie Oklahoma, otrzymała nazwę "Mount Radzimiński". Tamże znajdował się obóz pod nazwą "Camp Radzimiński" (od r. 1858 do 1859), gdy prowadzono walkę przeciw Indjanom plemion Commanche i Kiowa. Podczas jednej z tych walk został Radzimiński zabity w d. 18 września, 1858.

III.

"ZA CHLEBEM"

Od początku wieku XIX-go słyszymy i czytamy coraz częściej o przybyszach i osadnikach polskich, w kraju tutejszym; nie stanowili oni zrazu i długo dość żadnych wydatniejszych skupień, rozsiani byli daleko i szeroko po terytorjach Stanów ówczesnych, a wiemy o nich głównie ze zapisków prac misyjnych, wśród nich prowadzonych przez Misjonarzy Towarzystwa Jezusowego, pochodzących z pod austrjackiego zaboru; zapiski te wzmiankują nazwiska Ks. Dymitra Galiczyna, już tu w Ameryce wyświęconego jeszcze r. 1795, później OO. Krukowskiego, Feinera i Dzierożyńskiego, którego pono "biskupem nawet chciano mianować, jeno się od tego jako zakonnik wymówił"—i innych.*

W połowie wieku XIX-go wychodźtwo polskie do Ameryki wzmaga się statecznie, coraz nowi też przybywają Misjonarze — widocznie potrzeba ich musiała tu być aktualna. W tymże czasie istnieją już pierwsze osady polskie, najwcześniejsze w Stanie Texas—"Panna Maria" i "Częstochowa"; tuż po nich w Stanach Wisconsin (osada Polonia) i Michigan powstają na stałe organizujące się skupienia polskie. W r. 1862 powstaje już parafja polska w Milwaukee, Wis.; w r. 1864 — w Chicago powstaje Tow. Polskie p. w. św. Stanisława Kostki, zawiązek wielkiej potem parafji pod temże wezwaniem. Wśród polskiej ludności pracowali w latach owych XX: Jezuici, Franciszkanie (X. Leopold Moczygemba) i Zmartwychwstańcy—od r. 1866: X. Wincenty Barzyński i X. Feliks Zwiardowski. *(Patrz Przypiski.)*

Po wojnie francusko-niemieckiej (lata 1870-1871), rozpoczyna się już gromadne wychodźtwo polskie do Stanów Zjednoczonych. Odtąd corocznie całe masy ludu przybywają do Ameryki i na rozległym jej obszarze zakładają kolonje, osady, para-

* Ks. Kruszka: Hist. Pol. w Ameryce, T. I., str. 67.

fje, bądź to w powstających, jak grzyby po deszczu wielkich amerykańskich centrach przemysłowo-handlowych, bądź na farmach.

X. Kruszka, autor "Historji Polskiej w Ameryce", oblicza liczbę Polaków w Stanach Zjednoczonych około r. 1870—co najwyżej na 50,000 dusz; w r. 1875, a więc w lat 5 później, ma być w samem Chicago już zgórą 20,000, a 200,000 w całym kraju; Polacy posiadać mają w tym czasie już około 300 osad i 50 parafij,* w których posiadają grunta, domy, kościoły i utrzymują własnych kapłanów.

W r. 1876 zwiedził St. Zj. słynny pisarz polski, sławy światowej, Henryk Sienkiewicz, który w jednym ze swych listów, ogłoszonych w Pismach w Polsce, dość szczegółowo pisze o Polakach w Chicago i w innych miastach;** w tymże czasie bawi tu i debjutuje na scenie amerykańskiej słynna artystka dramatyczna polska, ś. p. Helena Modrzejewska, zdobywając występami swemi na scenie angielskiej sukcesy, wprost niebywałe w dziejach sztuki teatralnej.

Polonja Amerykańska wzrasta nadzwyczaj szybko: około roku 1890 liczą już Polaków tutejszych na 800,000; kościołów polskich—132, księży polskich—126; kościoły polskie istnieją po miastach: Chicago, które jest od początku najliczniejszą osadą naszą, dalej idą Buffalo, Detroit, Cleveland, Milwaukee. Mamy też wtedy już i szkoły parafjalne—w liczbie stu zgórą, w których uczą SS. Felicjanki i ze Zgromadzenia "Notre Dame". Emigracja z pod wszystkich zaborów wzmaga się tak gwałtownie, że — rządy, zwłaszcza austrjacki—stosują radykalne sposoby ograniczenia wychodźtwa, napędzanego zresztą w sposób niesumienny i wyzyskowy; dla przykładu wspomnimy tylko pełen smutnych sensacyj, pamiętny proces we Wadowicach, w Galicji, w r. 1890. *(Patrz Przypiski.)*

---

* Obliczenia "Gazety Katolickiej" w Chicago, z r. 1875.

** Listu tego, ogłoszonego w zbiorowem wydaniu dzieł Sienkiewicza, dokonanem przez "Tygodnik Illustrowany" w Warszawie, zdaje się nie znać cytowany przez nas autor "Hist. Pol. w Ameryce" Ks. W. Kruszka, który w swej Historji (T. I. str. 82) zarzut niesłuszny czyni Sienkiewiczowi, że w Listach swych z Ameryki o rodakach tutejszych "milczy uparcie."

Ze statystyki, ogłoszonej w r. 1911 przez W. Lewickiego w "Polskim Przeglądzie Emigracyjnym", wynika, że emigracja Polaków do Stanów Zjednoczonych Ameryki, rozpoczęta w r. 1865, systematyczna i stała — aż prawie do czasów pierwszej Wojny Światowej—wzrastała ustawicznie: dla przykładu przytaczamy za Lewickim, że gdy w r. 1865 przybyło do Stanów 217 wychodźców polskich, w roku 1875 liczba ich wynosiła już 35,987, a w okresie od 1876 roku do r. 1911, przybyło do Stanów Zjednoczonych zgórą 10 miljonów naszych wychodźców.

Główny prąd wychodźczy skierowany był do Stanów: New York, New Jersey, Massachusetts, Connecticut, Michigan, Pennsylvania i Illinois. Największa liczba zatrzymywała się zrazu u progu nowego świata, w Stanie New York; późniejsza fala dążyła do Stanów środkowych, do Pennsylwanji i Illinois; jeszcze dalsze przekraczały już Mississippi i podążały na Zachód—do Nebraski, Wyoming, nawet do Kalifornji: tam rozlewały się gromady nasze po najrozleglejszych przestrzeniach Zachodu, wsiąkając i niknąc—bez śladu. Liczba Polaków w Stanach Zjednoczonych, według źródeł amerykańskich, wynosiła w r. 1910 około 5 miljonów; krótko przed pierwszą Wojną Światową liczono nas tu na 5 do 6 miljonów. Po Wojnie tej nastąpiły ograniczenia immigracji, które napływ i naszych wychodźców wstrzymały. Z miast amerykańskich najwięcej skupiły Polaków: Chicago — około 500,000, New York (z Brooklynem) około 250,000, Buffalo—przeszło 200,000, Milwaukee—około 200,000, Detroit—300,000, Pittsburgh—200,000, Cleveland 200,000, Filadelfja—około 100,000 i t. d.

W Chicago Polacy zajmują kilkanaście ogromnych dzielnic, mają pół setki wielkich parafij i kościołów, tyleż polskich szkół, Kollegjum i szkoły średnie dla chłopców, Akademje dla dziewcząt—i szereg cały instytucyj kulturalnych, wśród których wyróżnia się zaszczytnie—Muzeum Polonji.

Podobnie, jak w Chicago, tworzą Polacy całe dzielnice w innych miastach, gdzie są liczniejsze skupienia polskie, jak więc w Buffalo, Milwaukee, Detroit i w innych.

Przeważna masa wychodźtwa polskiego składa się z rolni-

ków i robociarzy, którzy w Ameryce zamieniają się w robotników fabrycznych i pracują we wszelkich działach przemysłu, oraz w górnictwie. Obok tej ludności polskiej, robotniczej, wytworzyła się też liczna warstwa polska—rzemieślnicza i handlowa po miastach, a rolnicza, po farmach—w Stanach: New York, Pennsylvania, Michigan, Ohio, Indiana, Illinois, Connecticut, Massachusetts, Nebraska i innych.

Jak wspomniano, po pierwszej Wojnie Światowej, w drugiej ćwierci wieku XX-go, immigracja nasza i ogólna do Stanów Zjednoczonych zmniejsza się wskutek poważnych utrudnień, stosowanych przez władze amerykańskie — dzięki utrzymującej się tendencji zamykania bram Kraju dla przybyszów obcych. Te utrudnienia wielu w Ojczyźnie zatrzymały. W ostatnich latach zupełnie prawie ustała emigracja polska z dawniejszego zaboru pruskiego, gdyż Polacy tamtejsi korzystne tereny zarobkowe pozyskali we Westfalji, w Niemczech; z wolnej po pierwszej Wojnie Światowej, Polski emigracja kierowała się też w znacznych liczbach do Francji północnej.

Podając liczbę Polaków w Stanach Zjednoczonych na miljony, zaznaczyć należy, że dokładne stwierdzenie obliczenia takiego jest niemożliwe, nie posiadamy bowiem statystyki ścisłej, a choćby tylko w przybliżeniu dokładnej—osad i osadników naszych w tym kraju. Próbę takiej statystyki przeprowadził X. W. Kruszka we wzmiankowanej swej historji, podając liczbę naszych na blisko dwa miljony; wydaje się nam to obliczenie stanowczo za niskie, nawet jak na rok 1901, w którym X. Kruszka swoją statystykę zestawiał; zdanie nasze podziela większość pisarzy i znawców spraw polsko-amerykańskich, a wspomniany poprzednio, znający również sprawy emigracyjne, W. Lewicki—w obliczeniach swych już w r. 1911 na cztery miljony nas podawał.

Liczenie ludności polskiej w Ameryce podług statystyk rządowych jest zgoła niemożliwe, zdawać się też na nie nie można —dlatego, iż cenzusy urzędowe uważają za Polaków tylko: a) takich, co się w Polsce urodzili, nie tutaj, choć z rodziców są polskich i za Polaków się mają, b) takich, co przy sporządzaniu spisów ludności wyraźnie orzekli, że przybyli z Polski i rodzili się

w Polsce; kto odpowiedział inaczej, nie został zapisany jako Polak. Otóż tak się dzieje, że Polacy przy sporządzaniu spisów ludności, lub przybywając do Stanów Zjednoczonych, przy indagacjach władz portowych, na zapytanie "Gdzieś się urodził" odpowiadali zbyt często, że w Prusiech, albo w Austrji, lub Rosji! Tacy bez dalszych dochodzeń zostali zapisani — jako Niemcy, Austrjacy, lub Rosjanie. Krzywdzący nas dotkliwie ten proceder powtarzał się w nieskończonej liczbie wypadków, dlatego licząc się, musimy go brać pod uwagę i obliczać owe straty nasze—zagarnięte na rzecz innych narodowości.

Ostatni urzędowy Cenzus Stanów Zjed. z r. 1940, oblicza ludność polskiego pochodzenia, jak niżej cytujemy:

Stan	*Urodzeni w Polsce*	*Urodzeni w Ameryce z rodziców polskich*
Alabama	556	
Arizona	253	328
Arkansas	394	745
California	14,290	16,414
Colorado	2,488	3,223
Connecticut	49,267	84,546
Delaware	2,954	5,985
District of Columbia	1,562	1,794
Florida	945	1,149
Georgia	1,156	1,247
Illinois	173,007	297,825
Indiana	17,482	34,134
Iowa	1,874	2,718
Kansas	1,915	3,986
Kentucky	899	1,110
Louisiana	655	901
Maine	1,706	2,226
Maryland	12,027	23,818
Massachusetts	71,442	115,621
Michigan	119,228	201,306
Minnesota	15,015	33,896
Mississippi	298	449
Missouri	8,324	12,946
Montana	1,144	2,100
Nebraska	4,445	11,734
New Hampshire	4,101	6,405
New Jersey	102,573	160,135
New Mexico	97	175
New York	350,383	428,568
North Carolina	319	469

Stan	*Urodzeni w Polsce*	*Urodzeni w Ameryce z rodziców polskich*
North Dakota	2,128	5,523
Ohio	64,493	111,115
Oklahoma	1,162	2,726
Oregon	2,086	2,600
Pennsylvania	166,672	349,369
Rhode Island	8,896	13,685
South Carolina	510	646
South Dakota	717	1,939
Tennessee	960	1,127
Texas	4,589	9,780
Vermont	1,562	3,028
Virginia	1,221	1,784
Washington	3,942	5,869
West Virginia	5,545	9,312
Wisconsin	42,349	96,896
Wyoming	604	1,070
Razem	1,268,583	2,073,615

Spis ten dalekim jest od dokładności, a jak wszystkie urzędowe — tendencyjnie obniża liczbę "forenerów". Wiadoma rzecz, jak wiele popełniono w nim pomyłek i przeoczeń, pochodzących z nieumiejętności, a nierzadko i złej woli funkcjonarjuszy cenzusu. Polacy też popełniali błędy przy podawaniu miejsca urodzenia, jak wyżej wspomniano, tych zaś, którzy się tu urodzili w Ameryce, nie pytano, gdzie urodzili się ich rodzice i zapisywano ich jako "native". Gdy nazwisko nie było wyraźnie na "ski", albo na "wicz" i pytany odpowiedział, że urodził się w Ameryce, nie żądano ni metryki, ni innych dowodów, ale poprostu notowano go jako Amerykanina i sprawa skończona. Nic dziwnego, że wskutek tego liczba Polaków zmniejszona została znacznie. N. p. cenzus podaje, że w Stanie Illinois jest tylko 470,000 Polaków, a wiadomo, że w samem Chicago jest ich więcej; w Ohio ma być naszych tylko 175,000, a w samem Cleveland, Toledo i Youngstown jest ich więcej,—gdzież zaś inne miasta? W Stanie Wisconsin ma być tylko 138,000 Polaków, a w samem Milwaukee jest więcej Polaków! Jeżeli są Polacy w Kansas, w Louisianie, w Oklahomie i w Mississippi, gdzie się ich nie spodziewamy, to można być pewnym, że więcej ich jest w Stanach i miastach, gdzie się naprawdę i licznie grupują.

Biorąc wzgląd na wszelkie trudności i uszczuplenia, zachodzić mogące, skłaniamy się do przyjęcia powszechnie dziś uznawanego sądu, że jest nas obecnie w piątym dziesiątku wieku XXgo — na Ziemi Waszyngtona około 5 do 5 i pół miljona. Liczbę tę podzielić można—jak następuje:

1. Na Zachodzie, to jest w Stanach: Wisconsin, Minnesota, North Dakota, South Dakota, Nebraska, Iowa, Illinois, Missouri, Kansas, Arkansas, Texas i Oklahoma ma być Polaków około 2,000,000.

2. Na tak zwanym Dalekim Zachodzie, t. j. w Stanach: Montana, Wyoming, Colorado, Utah, Idaho, Washington, Oregon, California, Nevada, Arizona, New Mexico i Alaska może być Polaków około 50,000.

3. Na Wschodzie, t. j. w Stanach: Michigan, Indiana, Ohio, Pennsylvania, New York, New Jersey, Massachusetts, Rhode Island, Connecticut, New Hampshire, Vermont, Maine, Maryland, District of Columbia, Delaware, Virginia, West Virginia, Kentucky, Tennessee, North Carolina, South Carolina, Mississippi, Alabama, Georgia i Florida ma być nas około 2,500,000.

Najliczniej mieszkają Polacy w Stanach, idących po sobie w porządku następującym: Pennsylvania, Illinois, New York, w każdych z tych trzech Stanów liczba Polaków przenosi o wiele 500,000; dalej Wisconsin przeszło 300,000; Michigan i Massachusetts, w obu przeszło po 400,000; następnie Ohio z liczbą 200,000; New Jersey przeszło 150,000; Connecticut i Minnesota po 100,000, Indiana przeszło 150,000, oraz Maryland przeszło 50,000, blisko 30,000 Polaków liczą Texas i Nebraska, a około 15,000 rodaków mają Stany: California, Rhode Island i Delaware; około 10,000 Polaków liczą w Stanach: North Dakota, South Dakota, Iowa, Kansas, New Hampshire, West Virginia i Kentucky, w pozostałych Stanach liczba Polaków jest niższa; — najmniej, bo podobno ani setki braci naszej niema w Alasce.

Dodamy tutaj kilka uwag o sprawach majątkowo-zarobkowych Polaków amerykańskich, opartych na badaniach Prof. A. Janowskiego, który bawił w Polonji w ostatnich latach przed pierwszą Wojną Światową. Pisze on, iż rządowa amerykańska

Komisja Immigracyjna badała warunki pracy immigrantów w 23 Stanach. Komisja sprawdzała zarobki mężczyzn i kobiet, dzieląc pracujących na dwie grupy co do wieku, a mianowicie: od lat 14 do 18, a następnie od 18 lat—wyżej. W ten sposób utworzyły się cztery tablice dla każdego rodzaju pracy, a typów pracy badano 20, z których najważniejsze są: przemysł węglowy, żelazny, cukrowniczy, rolny, garbarski, naftowy, tytoniowy, wełniany, bawełniany, szklany, rzeźniczy, szewski, krawiecki, bieliźniarski, miedziany i parę drobniejszych.

Komisja wykazywała robotników polskich:

w hutach żelaznych i stalowniach.....7,897
w rzeźniach 7,121
w kopalniach węgla 7,370
w hutach szklanych 671
w przemyśle wełnianym 2,159
w przemyśle jedwabniczym 259
w przemyśle bawełnianym 8,920
w stolarstwie 482
w garbarstwie 2,799
w przemyśle naftowym 1,031
w przemyśle cukrowniczym 1,758
w przemyśle tytoniowym 850

Z liczb tych widać, że badania rzeczonej Komisji objęły ledwie drobną bardzo garstkę naszego elementu robotniczego, ale i z nich można sobie wyrobić pojęcie o rodzaju zarobkowania naszych rodaków. Janowski wyciąga z tablic tych ogólną średnią zarobku i porównuje, czy Polacy w czasie, który był jego badaniami objęty, t. j. w pierwszej ćwierci w. XX-go, dociągali do niej, czy nie. Zarobki były obliczane tygodniowo:

a) Kopalnie rudy żelaznej: ogólna średnia 12.72 dol. Polacy zarabiali 14.06 (Szwedzi i Irlandczycy po 15 dol.).

b) Huty żelazne i stalowe: ogólna średnia 14.35, Polacy 12.69 (Walijczycy 22.75).

c) Przemysł Wełniany: ogólna średnia 10.49, Polacy 8.57 (Szkoci, Anglicy, Holendrzy po 12 dol.).

d) Przemysł Bawełniany: ogólna średnia 9.68, Polacy 7.84 (Bułgarzy 18, Szwedzi, Szkoci po 12).

e) Garbarstwo: ogólna średnia 10.64, Polacy 9.88 (Kanadyjczycy, Duńczycy, Żydzi po 12).

f) Przemysł Naftowy: ogólna średnia 13.81, Polacy 12.68 (Szkoci 17, Irlandczycy 15).

Tak więc prawie wszędzie Polacy nie dociągali do ogólnej średniej zarobku, byli raczej w zarobkach prześcigani przez innych immigrantów.

Tak było przed pierwszą Wojną Światową. Po tej Wojnie, w znacznie zmienionych warunkach ekonomicznych, pozostał stosunek przeważnie ten sam, bez zmian zasadniczych; stwierdza to pewnik, znany tu ogólnie, że robotnik polski, chociaż jest jednym z najlepszych, chwytającym się ochotnie by najcięższej roboty, której nie chce robotnik irlandzki, czy niemiecki, nie tylko pracuje pilnie, rzetelnie, stale i wytrwale, ale jest też robotnikiem najtańszym: rzec przeto można, iż więcej on społeczeństwu amerykańskiemu daje, niż odeń otrzymuje.

Z dalszych obliczeń A. Janowskiego przytaczamy jeszcze następujące:

Biorąc podług płci i wieku, zarabiają tygodniowo:
Mężczyźni od lat 16—18 ogólna średnia 6.42, Polacy 5.95 dol.
Mężczyźni ponad lat 18 ogólna średnia 12.64, Polacy 11.06 dol.
Kobiety od lat 16—18 ogólna średnia 5.46, Polki 5.43 dol.
Kobiety ponad lat 18 ogólna średnia 7.96, Polki 5.21.

Kobiety polskie dochodzą zatem bliżej przeciętnego zarobku, niż mężczyźni.

Ciekawe było zestawienie ówczesnego—przed pierwszą Wojną Światową, rocznego dochodu na rodzinę. Średni dochód obliczany był na 721 dol. rocznie, lecz rodzina polska miała średnio 595., gdy czeska miała 773., angielska — 956., norweska — 1015., a szkocka—1142., t. j. prawie dwa razy tyle, co polska; nawet litewska rodzina miała wykazany dochód roczny 636 dol., a jedynie Słowacy, Rusini i Południowi Włosi miewali dochodu rocznego przeciętnie mniej jeszcze od Polaków.

Prof. Janowski kończył swoje studja o zarobkowych stosunkach rodaków tutejszych konkluzją trafną—następującą:

"Naogół biorąc, Polak stanowi potężną siłę roboczą w przemyśle Stanów Zj., zwłaszcza w gałęziach: metalurgicznej, tkackiej, cukrowniczej, węglowej, garbarskiej i rzeźniczej. Ciężką swą pracę daje taniej od innych immigrantów, zarobki jego nigdzie nie dociągają do średniej cyfry zarobkowania, a bardzo są dalekie od wyższych zarobków. Pracuje przeważnie po fabrykach i wogóle w przemyśle. Polacy chętniej osiadają po miastach, jakkolwiek rolników-farmerów posiadamy też licznych w Stanach: Wisconsin, Illinois, Indiana, Ohio, Iowa, Nebraska, New York i innych; w niektórych okolicach, n. p. w środkowym Wiskonsinie, są całe polskie miasteczka farmerskie. Główna jednak masa Polonji skupia się po wielkich miastach, gdzie po największej części znajdują się wielkie fabryki, w których nasi łatwo, a stosunkowo popłatne znajdują zajęcia."

W r. 1938, a więc krótko już przed datą końcową badań i studjów, w niniejszej książce zawartych drugą Wojną Światową (koniec r. 1939 i roku 1940), referat Nowojorskiego Konsulatu Rzeplitej Polskiej zawiera szczegóły następujące:

Wychodźtwo nasze na roli osiadło zrazu w Stanach Środkowych Zachodu, w których do roku 1900 liczba osad polskich miała wynosić około 150. Później osadnictwo rolne rozszerzyło się i na Stany Wschodnie—Nowej Anglji, New Jersey, Pennsylwanję i Nowy York.

W przemyśle pracujemy—we włókiennictwie (Nowa Anglja, New Jersey, Pennsylvania, etc.), w górnictwie (Pennsylwania, Illinois, Ohio, New York), w przemyśle automobilowym (Michigan: "polskie miasto" Hamtramck), w przemyśle okrętowo-budowlanym (New Jersey, New York, Pennsylvania i t. d.).

Wzmiankowany referent zgadza się z przytoczonemi przedtem obserwacjami wcześniejszego zbioru, na punkcie tym, że robotnik polski zarabia zwykle mniej niż inni; mniej też oszczędza, mniej ma; razem z tem, w czasach normalnego przebiegu prac i produkcji—ma się dobrze. Dorobiwszy się co-nieco na pracy we fabryce, kupuje dom, idzie w interes jakiś, po miastach zakłada

mniejszego typu składy, spożywcze, gospody, przedsiębiostwa rękodzielnicze i t. p., daje lepiej uczyć dzieci i—nie żałuje grosza na sprawy społeczne.

Zarobki w Ameryce zawsze były wyższe, niż w Starym Świecie; przed pierwszą Wojną Światową, podczas i po niej — były czas jakiś bardzo wysokie, lecz też i koszt życia bardzo był wygórowany. Później przyszły lata długiej i ciężkiej depresji ekonomicznej, z której ostatnio podniósł się kraj znowu — silnie wzmożoną produkcją wojenną.

Żeśmy tu przetrwali, gdy—w stosunku do stu-trzydziestomiljonowej ludności Stanów Zjedn.—kilka miljonów naszych wysepkę ledwie wśród obconarodowego morza stanowić może, że istniejemy, że nadal—jako Polacy chcemy istnieć, to jest zasługą i wynikiem naszego zorganizowania się. Z tęsknoty za utraconą Ojczyzną, z poczucia samotności i odosobnienia, z potrzeby wynurzenia się, pogadania ze swojakiem, szukania u niego rady, pomocy—wynikły najpierwsze zbliżenia się nasze — przed trzema wieku ćwierciami. Schodzili się, radzili rodacy, niby rozbitki ze zatopionego okrętu—na wyspie obcej zratowani, użalali się sobie wzajem, że to im—nie jak w Starym Kraju, że człek ani "po ludzku" rozmówić się nie może, ani u polskiego księdza na Wielkanoc duszę z grzechu oczyścić, ani to pisemka ujrzeć polskiego . . . I zaczęli przemyśliwać — jakby sobie wzajem pomóc w owem osamotnieniu dusznem; aż zrozumieli, że gdyby się tak w kilkunastu, kilkudziesięciu zebrali, a usiłowania połączyli, toby im przecie pod niejednym względem lżej i lepiej być mogło. Z takich to poczuć i serdecznych tęsknic zrodziła się wśród wychodźców inicjatywa pierwszego grupowania się, myśl pierwszych skupień w towarzystwa i parafje. Parafja jest w Ameryce matką Polskości, najpierwszą po Ojczyźnie, parafja jest podstawowym typem organizacji wychodźtwa naszego i do dziś pozostała ostoją, ogniskiem, wszelkich prac społecznych i narodowych Polonji.

PRZYPISKI

KS. LEOPOLD MOCZYGEMBA

Ks. Leopold Moczygemba urodził się 18go października, 1824 r. w Płużnicy, w powiecie Strzelce, na Śląsku. Po naukach średnich udał się do Rzymu, tam odbył nauki teologiczne, zapoznał się z obcemi językami, a wyświęcony w roku 1849 na kapłana, wstąpił do Zakonu OO. Franciszkanów i został spowiednikiem w kościele św. Piotra. Ponieważ mu klimat włoski nie służył, udał się za pozwoleniem przełożonych do Niemiec, poczem wyjechał jako misjonarz do Ameryki, gdzie już było sporo polskich wychodźców, lecz mało księży, którzyby znali ich język i mogli zaspakajać ich potrzeby duchowne. Ks. Moczygemba jeździł od miasta do miasta, pouczał, zachęcał, przynosił pomoc—duchowną i materjalną, bo gdzie się większa liczba Polaków zebrała, tworzył towarzystwa, albo zakładał parafje. Oprócz kilku mniejszych kościołów, powstał za staraniem Ks. Moczygemby wspaniały kościół Najśw. Panny Marji w Syracuse, N. Y., kościół w Lemont, Ill. i jeden z kościołów polskich w Detroit, Michigan.

Gdy po r. 1863, oraz w czasie walki kulturnej ("Kulturkampf") liczni kapłani z Polski przybyli do Ameryki, Ks. Moczygemba służył im radą i czynem; zajmował się też usilnie i skutecznie wychodźcami naszymi, których z roku na rok przybywało coraz więcej.

Rząd Stanów Zjedn. był mu przychylny—za to, że się wielce przyczynił do podniesienia mało zaludnionego Stanu Texas—przez tworzenie tam osad rolniczych. Zakupił mianowicie Ks. Moczygemba wielki obszar gruntu, na którym założył pięć osad dla polskich rolników: do dziś one istnieją. Najważniejsze i największe z tych osad są: "Panna Marya" i "Częstochowa", leżące o kilka mil od miasta San Antonio. Ks. Moczygemba sprzedawał ziemię rodakom, których sprowadzał po większej części z Górnego Śląska, lub z miast amerykańskich. Pierwsza ekspedycja z Polski przybyła w r. 1854; w niej brali udział czterej bracia Ks. Moczygemby; liczyła ona kilkaset dusz z powiatu Strzelce i Gliwice. Ks. Moczygemba sprowadzał też rzemieślników, aby osadnicy mieli na miejscu czego im trzeba. Chociaż ziemię sprzedawał tanio, zyskał jednak tyle, że mógł stawiać i uposażać kościoły i szkoły w zakładanych osadach; do zakładanych szkół parafjalnych sprowadził zakonnice polskie z Krakowa.

Wysoce zasłużony ten kapłan-patrjota zmarł 23go lutego, 1891 r., a pochowany jest w jednym ze wzniesionych przez niego kościołów, w Detroit, Michigan.

KS. WINCENTY BARZYŃSKI, C.R.

Ks. Wincenty Barzyński był proboszczem największej polskiej i wogóle jednej z największych w świecie parafij, pod wezwaniem św. Stanisława w Chicago, oraz Prowincjałem XX. Zmartwychwstańców. Urodził się on w roku 1838, w Sulisławicach, pod ówczesnym zaborem rosyjskim; seminarjum duchowne w Lublinie ukończył i został w roku 1860 wyświęcony na kapłana; pełnił obowiązki w Horodle nad Bugiem, w Zamościu i w Tomaszowie.

W czasie Powstania 1863 r. Ks. Barzyński wspierał walczących o wolność Ojczyzny, skutkiem czego musiał ratować się ucieczką do Krakowa,

gdzie uwięziony i oskarżony o knowania polityczne, trzymany był we więzieniu—zgórą półtora roku. Kiedy wreszcie otrzymał pozwolenie na wyjazd za granicę, udał się do Paryża, a tam poznawszy się z pierwszymi członkami polskiego Zgromadzenia XX. Zmartwychwstańców, Ks. Kajsiewiczem, Ks. Semeneńką i Ks. Jełowickim, przyłączył się do ich grona i w roku 1866 złożył śluby zakonne, poczem wyjechał do Ameryki. Tu objął początkowo zarząd misji polskiej w San Antonio, Texas; w r. 1874 przybył do Chicago, do parafji św. Stanisława Kostki, w której już pracował do końca życia. Parafja ta i zasoby jej były zrazu oczywiście niewielkie, pod rządami jednak Ks. Barzyńskiego rozwinęły się niesłychanie — tak, że pod koniec życia jego liczba dusz w tej parafji przenosiła 35,000, a liczba dziatwy w szkole św. Stanisława dochodziła w niektóre lata do 4,000.

Oprócz pracy w rzeczonej parafji, działał Ks. W. Barzyński niestrudzenie i w dalszych kołach, swym rozległym wpływom podanych. Mianowany Prowincjałem Zgromadzenia, posiadał wielkie znaczenie w Archidiecezji Chicagoskiej, organizował inne polskie parafje, budował kościoły, szkoły i domy sierot, zakładał towarzystwa i organizacje, był jednym z twórców "Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego", założył Kollegjum św. Stanisława w Chicago, Dom dla Starców p. w. św. Józefa i dał początek "Dziennikowi Chicagoskiemu", swego czasu największemu i najpoważniejszemu pismu codziennemu poza Polską.

Tenże "Dziennik Chicagoski" tak charakteryzuje Ks. W. Barzyńskiego:

"Po Bogu pierwsze u niego miejsce zajmowała Polska, za nią niegdyś cierpiał, dla niej całe życie pracował, dla niej setki i tysiące obronił od wynarodowienia; umożliwiał nauki, tworzył szkoły, zakładał patrjotyczne organizacje: taką była w Chicago—"Organizacja Patrjotyczna Polska, pod opieką Królowej Korony Polskiej", taką była "Liga Polska", takiem jest "Zjednoczenie Pol. Rzym. Kat.", takiemi były liczne towarzystwa, które oddawał na usługi społeczne. Był to człowiek olbrzymiej pracy, wielkich zdolności, niezrównanej prawości i niespożytych zasług: wierny żołnierz Chrystusa i prawy syn Ojczyzny".

Zmarł w 1899 r., w Chicago i tamże pochowany.

Z DOLI-NIEDOLI DAWNYCH WYCHODŹCÓW: WYZYSK EMIGRANTÓW

Znawca spraw emigracji naszego ludu, Dr. Leopold Caro, adwokat w Krakowie, pisze w swej książce "Wychodźtwo Polskie (Kraków 1911), że rok rocznie (przed Wojną Światową pierwszą), emigracja wynosiła z trzech zaborów do Ameryki północnej i południowej przeszło 100,000 dusz, a około 600,000 na roboty sezonowe, przeważnie do Niemiec, czyli na Saksy... Rosja ze swej strony starała się skierować pewną część wychodźców polskich z Królestwa polskiego na wschód, do Syberji.

Lud nasz rozpraszał się po całym świecie: łudzony i oszukiwany przez niegodziwych agentów, oszustów, porwany przykładem drugich, wreszcie zmuszony potrzebą, szedł w świat szukać chleba. A wszędzie ten ciemny i łatwowierny lud nasz oszukiwano, wyzyskiwano w sposób oburzający, jeszcze nawet przed wyjazdem do Ameryki!

Najwięcej oszustw i nadużyć dopuszczali się agenci przed i w czasie wychodźtwa (1890-91) ludu naszego. Rozchodziło im się o wysłanie jak naj-

większej liczby wychodźców do Ameryki: główny agent pobierał od emigranta po 18 koron (około 4 dol.), z czego trzecią część odstępował swym pomocnikom. Dla powiększenia zysku używali agenci i ich pomocnicy różnych niegodziwych środków: gdy się udawało, posługiwali się przekupstwem, wzbudzali w podejrzliwym chłopie nieufność do panów i księży, którzy im emigrację odradzali; wreszcie wyzyskiwali ciemnotę i korzystali z łatwowierności ludu.

"W roku 1890 w Oświęcimiu sławną była agencja, prowadzona przez żydów Klausnera i Herza. Ci ludzie przekupili starostę, straż skarbową, urzędników kolejowych, konduktorów, żandarmerję, urzędników cłowych, jednem słowem—wszystkich, w tym celu, aby bezkarnie módz łupić emigrantów. Wszystkich kierowano do agencji w Oświęcimiu, a tam za bilety okrętowe brano większe ceny, niż się należało. Obowiązani do służby wojskowej płacili często podwójnie za kartę; sprzedawano też niejednokrotnie bezwartościowe kartki reklamowe nie umiejącym czytać, jako bilety okrętowe; oszukiwano wychodźców przy zmianie pieniędzy i t. d. Jeżeli się kto opierał, zamykano go do chlewa, albo bito; a gdy ktoś mimo to absolutnie nie chciał płacić, usłużna żandarmerja odsyłała go napowrót do wsi rodzinnej.

Ciekawe "figle" urządzał "dyrektor" Abraham Landerer: aby wyciągnąć chłopu 4 do 5 reńskich z kieszeni, nakręcał budzik, twierdząc, że to telefon do Hamburga i w ten sposób zapytywał, czy jest jeszcze miejsce na okręcie? W parę chwil później budzik dzwonił i "odpowiedź nadchodziła", że miejsce jest. Potem znowu budzik nakręcano, nibyto dla zapytania cesarza amerykańskiego, czy chce przyjąć nowych poddanych, i za to znowu była brana zapłata! ...

Kiedy przebrany za doktora jeden z oszustów nie chciał przyjąć, po "zbadaniu", wychodźcy, wspólnicy po cichu szeptali chłopu, aby coś "lekarzowi" wcisnął w łapę ...

Wreszcie i sukmanę trzeba było zostawić w domu, bo do Ameryki nikogo, jak twierdzono, nie wpuszcza się w przebraniu chłopskiem. Na tem znowu zarabiał do spółki należący, żyd, Loevenberg, który miał skład gotowych ubrań ..."

Agenci umieli podejść i władze austrjackie, uśpić ich czujność, gdy chodziło o wyjazd dorosłych chłopaków, obowiązanych do służby wojskowej: jeżeli który z nich zamierzał jechać do Ameryki przez porty włoskie, radzono mu, żeby powiedział, że pojedzie do Rzymu zobaczyć Ojca św. lub, że tam ma brata, który jest księdzem i t. p.

Powszechnie znanym był bremeński agent, osławiony Missler, który jeszcze w 1899 roku ludzi, chcących jechać do Kanady, namówił i wysłał, w liczbie 350, na roboty w plantacjach kawy na Hawai: sprzedawał on ich po prostu jak niewolników; w podobny sposób też z nimi obchodzono się na okręcie, a później na wspomnianych wyspach.

Nie wiele lepszymi byli inni agenci, którzy ludziom rozsyłali, prócz ogłoszeń, małe prezenty, podarunki: jak chusteczki, kalendarzyki, mapki itp. Lud nasz tym, którzy mu odradzali wychodźtwo w podobnych warunkach, nie wierzył; natomiast wierzył w bajki agentów żydowskich. Tak n. p. w Galicji opowiadano chłopom, że Brazylja jest prowincją austrjacką, w której panuje arcyksiążę Rudolf (który już nie żył); w parlamencie austrjackim powiadał w roku 1896 poseł Wielowiejski, że wierzono agentom, opowiadającym, iż w Ameryce rosną drzewa mleczne, wystarczy je tylko nacinać i świe-

że mleko z nich płynie, a posługi domowe w Ameryce spełniają małpy, którym za to nic się naturalnie nie płaci. (Autentyczne!...)

Tak postępowali agenci z polskim ludem — przed wyjazdem do Ameryki. W podróży zasię też niejednej przykrości doznawał nasz lud, zanim dostał się do owego zachwalanego raju amerykańskiego. Byliśmy przez kilka miesięcy w Antwerpji—pisze Dr. Caro—dla zaopiekowania się polskimi emigrantami przed ich zamorską podróżą; o niejednem nadużyciu niesumiennych agentów słyszeliśmy, na niejedną krzywdę patrzyliśmy, a nie zawsze można było złemu zapobiedz. Często gromadki polskich emigrantów błąkały się po mieście jak zgubione owce, a Belgowie z politowaniem powtarzali: "To biedni Polacy!"...

Z DOLI-NIEDOLI DAWNYCH WYCHODŹCÓW: PODRÓŻ "CWISZENDEKIEM"

Ułatwienia i wygody obecnej podróży transoceanicznej były nieznane w ubiegłym wieku, a jeśli dzielniejsze i bardziej oświecone jednostki, mogły sobie lepiej dawać radę w przygotowaniu się do tej podróży i w czasie pobytu na statku, to jednak o wiele smętniej przedstawiał się los emigrantów ze wsi, wędrujących dla zarobku, tego ludu, który znał w domu tylko obszar dokoła wioski, niebo nad chatą i las sąsiedni.

Droga przez Ocean wiodła bynajmniej nie gładką powierzchnią wód, lecz raczej—poprzez bezmiary łez i niedoli. Koszt podróży pokrywano lichwiarskiemi pożyczkami. Po przebyciu całej gehenny wyzysku w pajęczych łapach agentów szyfkartowych, emigrant trafiał do portu, zupełnie obcego mu, gdzie musiał szukać przytułku w oberżach, hotelikach i spelunkach, wszędzie niemiłosiernie wyzyskiwany. W niemieckich portach sprzedawano emigrantom po cenach niebywałych, prawie gwałtem, ubrania, bieliznę, kufry, miednice i t. p. W Genui, jednym z portów, ześrodkowujących wielkie transporty emigrantów z Austrji, prowadzono wprost z dworca chłopów naszych do najwstrętniejszych jaskiń, gdzie za nędzne pomieszczenie w ciasnych pokoikach, bez powietrza i światła, oraz najskromniejsze pożywienie, wyłudzano od nich grosz ostatni.

Rozpoczynała się potem podróż morska, która za dawniejszych lat była dla emigrantów prawdziwem pasmem udręczeń, bo ładowano ich jak śledzie w beczce, odżywiano bardzo licho i wieziono długo. Najgorsza była podróż okrętami niemieckiemi. Najlichsze i najmniejsze statki podejmowały się przewozu tych ludzi, traktowanych szorstko i brutalnie. Emigranta naszego trapiła choroba w tej podróży, o ulżenie której nikt się nie starał,—wszak to był tylko pasażer "Zwischendeck'u", a najsilniej dokuczał niepokój, czy aby wolna Ameryka nie zamknie przed nim swych wrót.

Transportowanie emigrantów było przed pierwszą Wojną Światową świetnie prosperującem przedsiębiorstwem, wymykającem się niemal zupełnie z pod kontroli organów opieki społecznej. Za niebywałe procenty, zarobione na krzywdzie polskich chłopów powstały wielkie towarzystwa żeglugowe niemieckie, zorganizowane od r. 1905 w potężny kartel "Północno Niemiecki Pool", z udziałem francuskich i austrjackich kompanij okrętowych. Prawie trzy czwarte ogółu emigrantów polskich przewoziły za Ocean statki hamburskie i bremeńskie—tak, iż potężne towarzystwa przewozowe niemieckie rozwój swój do r. 1924 zawdzięczały w poważnym stopniu polskim pasażerom.

Wyzysk wychodźców nie kończył się bynajmniej na okręcie; ograbiano ich i długo i "dobrze"—także już w Ameryce, gdzie przez pierwszych lat parę przechodzili oni wszelkie stadja ukoporzeń, poniżeń i wyzysku; łupił ich, kto mógł: pracodawcy, pośrednicy, agenci rodzaju wszelkiego. Dopiero pewne obycie się, zapoznanie ze stosunkami, zapomnienie dawnej, wioskowej nieśmiałości, uległości—sprowadzało poprawę opłakanej doli tułaczej. Czytajcie nowellę Sienkiewicza "Za Chlebem", w niej znajdziecie wierne, bez krzty przesady, odzwierciedlenie przejść naszego wychodźcy, którego imię — nie Miljon, a — kilka miljonów.

IV.

POLONJI CHARAKTERYSTYKA OGÓLNA A RELIGIJNOŚĆ JEJ W SZCZEGÓLNOŚCI

Nazywamy się tu, na Ziemi Amerykańskiej — nieodrodnemi dziećmi Matki Polski; głosimy to z dumą i—ze zupełnem uzasadnieniem. Wychodźcy z Polski przywożą do Ameryki obyczaje, nawyki, zalety i wady narodowe—i tu się ich trzymają, nawet może wierniej, niż inni przybysze swych się trzymają obyczajów —tak dalce, że we wielu wypadkach nawet trzecia jeszcze generacja zachowuje bodaj ważniejsze polskie, po ojcach odziedziczone, wierzenia i umiłowania. Z wielu tych zalet i—z wad niektórych daliśmy się tu nawet poznać obcym, którzy często nie pojmują zalet, więc nie doceniają ich, a przesadzają i uogólniają wady. W każdym razie wyróżniamy się tu niezaprzeczenie, a stanowczo dodatnio z pośród wszystkich plemion słowiańskich: jedni Czesi przewyższają nas dorobkiem materjalnym, bo zwykle zasobniejsi z ojczyzny już przyjeżdżali, a są więcej od nas zapobiegliwi, oszczędni i—skąpi; my zato wydajemy i—dajemy tu więcej, choć sami mniej posiadamy dóbr doczesnych. Jednak dorobkiem cywilizacyjnym, udziałem kulturalnym we współżyciu amerykańskiem bierzemy wszystkich Słowian—i Czechów nie wyłączając.

Jak w Europie, tak i na Ziemi Amerykańskiej wyróżniają się Polacy wielu i wybitnemi uzdolnieniami zpośród wszystkich Słowian, nieledwie zpośród wszystkich immigrantów: znani jesteśmy z wielkiej pojętności, bystrości umysłu, a z rzetelnej, wytrwałej pracowitości. Właśnie z tych to cech charakterystycznych poznali nas Amerykanie i jeśli tylko bezstronni a sprawiedliwi, dają temu znamienne świadectwa—bez zastrzeżeń i ujmy. Dla przykładu powiemy, że Henryk Ford, który sam z robociarza wyrósł na pierwszego w Stanach Zjedn. pracodawcę, w książkach swych

wzmiankuje robotników polskich bardzo korzystnie, z uznaniem mówi o ich pomysłowości rzutkiej, o wszechstronnych zdolnościach i o rzetelnej ich, usilnej pracowitości. Wiadoma to też ogólnie rzecz, że nasi wychodźcy, zwłaszcza czasy dawniejszemi, imali się tu najcięższych, najtrudniejszych robót i wykonywali je nieodmiennie ku zadowoleniu a uznaniu pracodawców. Z takiej uczciwej pracy naszej urósł wielki i wartościowy dorobek polski w Ameryce.

Są Polacy z usposobienia weseli, umysłu jasnego, nie podatni melancholiczno-fatalistycznym nastrojom, jak Rosjanie i jak inne ludy ruskie, nad któremi wszystkiemi górujemy inteligencją i zdolnościami, oraz przystępnością dla wszelkich kulturalnych idej, dla nowoczesnych myślenia i życia sposobów. Przytem jesteśmy i tu, jak w Polsce, nadzwyczaj gościnni, ofiarni, miłosierni i sumienni, choć mniej pilni i wytrwali w przedsięwzięciach; lojalni i wierni; uczuciowi bardzo, porywczy i unoszący się, lecz nie zawzięci; o nader bogatej wyobraźni, o bujnej inicjatywie; odważni i śmiali, dlatego—jak byliśmy zawsze, jesteśmy i tu świetnym materjałem na żołnierza, toteż wyróżniliśmy się zaszczytnie we wszystkich wojnach Stanów Zjednoczonych.

Do ujemnych cech naszych zaliczyć należy nasz słaby zmysł oszczędności, nie tyle może z wrodzonej rozrzutności, jak—z ochoty do zabawy, zwłaszcza przy okazjach odświętnych i więcej uroczystych (sławne tu były—dawniej zwłaszcza—polskie burzliwe i hałaśne chrzciny i wesela . . .); do wypitki—zawsześmy skorzy, a wtedy i do wybitki gotowi . . . Grzeszymy silnie swarliwością, brakiem jednoty myśli i działań, a co się u nas zwie indywidualizmem, często wyradza się w samowolę, lub zgoła we warcholstwo. Niestety—przejawów tego nie braknie wcale w naszem współżyciu amerykańskiem. Dumni jesteśmy i — pokorni zarazem: dumni — słusznie ze sławnych dziejów naszej przeszłości historycznej, a przecie w zbytecznej nieraz pokorze gotowiśmy poniechać wartości własnych, by aż nadto skwapliwie przejmować się pozorami, świeżo nabywanemi w amerykańskiem środowisku; stąd skłonność do wynaradawiania się, a choćby do chwytania powierzchownych tylko naleciałości tutejszych, pod któremi jed-

nak pozostaje najczęściej niezepsuta dobra, szczera natura polska.

Naogół mamy dobrą sławę i ugruntowaną opinję żywiołu—wysoce wartościowego. "Polacy są arystokratami rasy Słowian" — pisze o nas Bruce Boswell, Profesor Uniwersytetu w Liverpoolu—w książce swej p. t. "Poland and the Poles". Kultura zachodu, jaką przesiąknął od dawna Naród Polski, otrzymana z chrześcijaństwem zachodniego obrządku, wyróżniła nas nader charakterystycznie, a dodatnio zpośród innych plemion i szczepów pobratymczych, które przyjęły były—za wyjątkiem Czechów —wschodni obrządek; stądto Polacy górują nad niemi znakomicie kulturą i tą wszechstronnością cywilizacji, jaką właśnie dały nam wpływy cywilizacyjne Rzymu.

Do szczególniejszych umiłowań i serdecznych przywiązań Polaków w Ameryce należy zachowanie Wiary ojców i wierne oddanie dla religji katolickiej. Tak—jak w Starym Kraju poczucie polskości łączy się u naszego ludu z przywiązaniem do katolicyzmu, tak samo w Polonji Amerykańskiej całe życie indywidualne i społeczne kontynuacją jest tych wierzeń, tych tradycyj, tej idei, która wyraża się w słowach hasła: "Bóg i Ojczyzna.

Owo zespolenie odwieczne religji z patrjotyzmem zaznaczyło się w całym dziejowym rozwoju Polski: to zespolenie było i jest również czynnikiem ożywczym, a przewodnim, jest źródłem energji wszelkich prac naszej społeczności w Ameryce, przeto mu poświęcimy poniższych parę uwag, by zarazem wyjaśnić, w jaki sposób stała się religijność taką charakterystyczną—że powiemy integralną cechą Polaka amerykańskiego.

W Polsce to zespolenie Wiary z Narodowością przetrwało nierozerwalnie chwile złe i dobre, jasne i mroczne, a ugruntowane na dziesięciu zgórą wiekach świetnej kultury chrześcijańskiej, stało się cechą postępowania i działania Polaka w całej jego styczności ze światem innonarodowym i innowierczym. Polityka Polski była ściśle chrześcijańska, wszelkie prawa krajowe opierały się na religji, a zmiany i reformy, w nich przeprowadzane, stosowano i odnoszono zawsze do Kościoła, który był i sędzią najwyższym i ucieczką dla każdego najbezpieczniejszą.

Jakże wobec religji, prawdziwie narodowej religji—katolickiej, zachowywał się lud polski? Panowie i magnaci służyli Kościołowi szumnie i świetnie; lud, na szarym końcu stojący, służył mu tak, jak służy dzisiaj: miłością, przywiązaniem i oddaniem, przejmującem całe życie, nie znającem wahań i wątpliwości. Lud polski w swem usposobieniu ma jako wybitną cechę charakteru ogromne, wierne przywiązanie do religji Ojców, które nie dopuszcza żadnych reform ni odmian, a stawa im oporem upartym, nie dając się przełamać ni prośbą, ni groźbą. Dzieje nasze w Polsce tego dowodzą. Ten sam rys zasadniczy charakteru pozostał nam—wszędzie poza Polską. Gdy w Ojczyźnie, gdzie warunki bytu były, zwłaszcza w okresie zaborów, niezmiernie ciężkie i trudne, wyrzucał chłopa z chaty rodzinnej żyd — lichwiarz, albo Prusak — wywłaszczyciel; wtedy biedak ów, opuszczając zagrodę ojcową, zostawiał nieraz w niej wszystko, a brał ze sobą na tułaczkę, na resztę chmurną życia—obraz Matki Bożej, który dla nowego właściciela sadyby nie miał pieniężnej wartości. A gdy się zaglądnęło do węzełków i tłomoków tych tułaczy z Polski, którzy tu przybywali, to w ich "zapasach" podróżnych znalazło się nieodmiennie ubóstwo z biedą—to pewne, nie mniej jednak był tam i obrazek święty z cudownych stron starokrajskich i książka do nabożeństwa, — a pancerzem tych wygnańców, który miał ich bronić od wszech przeciwności, był szkaplerz, od dziecięctwa na piersi noszony!...

Więc ten obraz prawdziwy religijności Polaków w Ameryce, jaki tu podajemy, ugruntowany jest mocno w przywiezionej z Polski Wierze i w jej tradycjach; w tym jednym bodaj względzie —jest to nieodmienną, jak rzekliśmy, kontynuacją życia polskiego, nastrojów, pojęć—Myśli Polskiej. Lud nasz w Ameryce, choć wszystek wprzężony w kierat bardzo znojnej pracy, choć mniej od innych zasobny i nie zdołał wciąż jeszcze zająć odpowiedniego do swej liczby stanowiska,—to jednak na kościół ofiar nie szczędzi, a często i od ust sobie odejmuje, byle do parafji dobra móc się przyczynić. Największą ambicją tutejszej osady polskiej jest —mieć własną świątynię, polskiego księdza, polskie nabożeństwo: dla tego celu niema ofiary za wielkiej, ni pracy zanadto ciężkiej; toteż dorobek nasz na tem polu jest tak chlubny, że go

nam tu innonarodowcy mogą pozazdrościć, a kościoły polskie należą do najpiękniejszych i do najokazalszych w Ameryce.

Bo też religja ma wielką życiową dla nas wagę i znaczenie, które sprawiają, że *Katolicyzm stał się najpierwszą a był długo jedyną ostoją Polonji w Ameryce.* Porozbiorowa dola wygnała z Ojczyzny wielki zastęp Polaków, którzy po różnych rozproszyli się krajach całego świata; największa gromada naszych przybyła do Ameryki. Polacy—emigranci—w krajach europejskich należeli zawsze do klas oświeceńszych, więcej uświadomionych; jako tacy mniej byli narażeni na zatratę uczuć i tradycyj rodzinnych, a z czasem—wszędzie prawie, gdzie zaszli, zajęli stanowiska, sobie odpowiednie, często nawet wybitne, czem roznieśli po świecie dobrą sławę nauki, przedsiębiorczości i wogóle talentów polskich. Wychodźtwo nasze w Ameryce rekrutuje się niemal wyłącznie z ludu, który był i jest jeszcze we większości znacznej najmniej uświadomioną warstwą naszego narodu.

Lud ten, pogrążony od wieków w ciemnocie, lekceważony często, lub zapoznawany długo przez czynniki, wyżej stojące w hierarchji społecznego ustroju, wyzyskiwany przez złe rządy, obce mu duchem, rządy, które zniszczyły narodu dobrobyt, lud ów biedny i nieumiejętny uciekał z Ojczyzny przed nędzą moralną i materjalną, a przybywał tu—do kraju, nawskroś obcego, do innych ludzi, do nieznanej mowy, odmiennych stosunków i nowych, nierzadko wrogich warunków życiowych. Stawał bezradny nasz wychodźca na bruku wielkiego miasta, ogłuszony, otumaniony tylu naraz nowościami, tylu dziwami, o jakich mu się dotąd ani śniło! Przeszedłszy twardą szkołę początków, szkołę łez, chłodu i głodu, pogardy i wyzysku, znalazł tu wreszcie chłop polski kawał chleba pewniejszy i osiadał—na stałe życie.

Odtąd—przeważnie płynęło to życie dość znośnie, bo po oswojeniu się ze zmianą warunków, praca rąk dawała byt miernie dostatni, pozwalała utrzymać rodzinę, oraz robić oszczędności na przyszłość, gromadzić zasoby, zagospodarowywać się coraz dostatniej. Więc strona materjalna, średnio wziąwszy, wyglądała korzystnie. Inaczej wyglądała w dawnych początkach — strona moralna.

Na całym olbrzymim Stanów Zjednoczonych obszarze znajdujemy wychodźców polskich, rozrzuconych bądź to pojedyńczo, bądź skupionych, w osady. O tych, których losy zagnały tam, gdzie niema osady polskiej, o tych—nawet już myśleć nie można, ni wymagać, by po wielu latach przebywania wśród obcych Polakami zostali: jeśli samotni, pobrali żony—obce, wynarodowili się sami; dzieciom ich ani przez myśl nie przejdzie, że ojciec ich jest, czy był z pochodzenia Polakiem; jeśli byli żonaci, to i tak otoczeni zewsząd żywiołami obconarodowemi, zmuszeni koniecznością stosunków codziennych, przywykli do używania obcej mowy, do służenia obcym obyczajom, obserwowania świąt—razem z innymi i do stosowania się do tych innych—na każdym kroku. A każdy krok to był postęp nieuchronnego wynarodowienia. Ilu rodaków przepadło w ten sposób dla polskości, wskazują tu często nazwiska o polskiem brzmieniu—u osób, wcale już za Polaków się nie uznających, a które napewne są naszego pochodzenia. Świadczą też o tem dawne zapiski, gazety i broszury, których też już dziś większość poginęła, lub—zapomniana.

W miejscowościach zasię, gdzie zebrały się większe grupy Polonji, jakkolwiek dziś w niektórych miastach na setki tysięcy liczyć je można, było dawniej—przez długi czas—również źle i ciężko, bo wychodźcy nasi bywali przecie tylko garstką wobec obcych im żywiołów tutejszych; lepiej było może, o tyle tylko, że łatwiej i dłużej zachowywała się choć pamięć mowy rodzinnej, obyczaju i Wiary ojczystej. Starsi trzymali się, ale młódź ich rosła, nowemi już przesiąknięta naukami, bo znicza narodowości wśród niej—nie było komu podsycać. Tak oto działo się wszędzie—w początkowym naszego wychodźtwa okresie. O Polakach, choć ich było tu sporo, nie wiedział nikt, ba—często sami ci ludzie o sobie nie wiedzieli, że są Polakami! Skądże mieli wiedzieć? Szkół nie było, kościołów nie mieli, księży, ni nabożeństw polskich nie było: żyli rozproszeni, zapoznani... Oto obraz Polonji z przed lat—około 75-ciu.

Dziś jest zupełnie inaczej. Dziś Polacy, przeważnie już poorganizowani, tworzą wszędzie, gdzie są, poważne, jednolite grupy, znane i uznawane, mające reprezentację i udział w amery-

kańskiem współżyciu, ich zaś samych życie narodowe rozkrzewiło się tak silnie, że stanąwszy u szczytu w okresie pierwszej Wojny Światowej, dało swych wartości najwspanialsze, dziejowo doniosłe przejawy. Parafje tu dla Polaków zapoczęły to wszystko, one stworzyły podłoże, one dały i podtrzymywały szkoły polskie, one organizowały stowarzyszenia i instytucje, propagowały kult naszych pamiątek dziejowych, one patrjotyzm słowa przekuwały w patrjotyzm czynu — wartości, ważnej dla Polski i dla Ameryki. Parafje były tą komórką organizacyjną—najpierwszą, z której wyrosło tu—nasze wszystko. Spojrzyjmy na polski dorobek tutejszy, zgromadzony w imię religji i narodowości, z nią zespolonej: zaiste lepsi jesteśmy pod tym względem od wielu innych, bo żadna z grup narodowościowych w tak krótkim stosunkowo czasie nie zrobiła tu tyle dla swej sprawy—co my. Setki parafij polskich, setki szkół i kościołów polskich, zastępy tysiączne własnej polsko-amerykańskiej inteligencji, szereg towarzystw, instytucyj, organizacyj,—a to wszystko działa, żyje, choć dziś już może minęło szczyt czysto polskiego poczucia, ale żyje, działa około górnego utrzymania wartości polsko-amerykańskiego dorobku. Praca to nie pusta i nie gołosłowna, praca w kościele, w szkole, w społeczeństwie, praca prawdziwie obywatelska, prawdziwie patrjotyczna.

Olbrzymią masę zasługi w tej pracy ponosi Kościół Katolicki. Przez kapłanów-patrjotów dał on i daje impuls do czynu, uczy, wskazuje, skupia nas u ognisk narodowości i Wiary, a broni przed niekorzystnemi, tłumiącemi wpływami obczyzny. Kościół to robi, bez niego bylibyśmy tu niczem, jak przed laty zgórą 75-ciu;—bez niego dziś nie bylibyśmy tu wcale! Kościół to robi, a nikogo nie było, coby mógł go w tem zastąpić, ubiedz, lub współzawodniczyć z nim. Do zapomnianych, nieznanych osad naszych w Ameryce—przyszedł kapłan-rodak — przyszedł—jak misjonarz i uczył modlić się, uczył czytać po polsku, mówił, co to ta Polska, czem jest lud polski, jakie są jego poczucia i powinności. Kapłani ci, wraz z ludem, fundowali tu nasze parafje, wznosili świątynie, budowali szkoły, schroniska i szpitale, zakładali bractwa i towarzystwa, szczepili myśl zgody i jedności,

organizowali pomoc bratnią, słowem—tworzyli z bezładnych gromad — społeczeństwo. Że tu jesteśmy Polakami, że istnieje Polonja Amerykańska, to plon religijności naszej, to zasługa Kościoła Rzymsko-Katolickiego—Wiary Ojców naszych. Stąd wynika to uprzywilejowane, to wyjątkowe w czci, powszechnie uznawanej, stanowisko religji w społeczności polsko-amerykańskiej; stąd i ta ofiarność ogromna, która—pod opieką Kościoła—cały nasz dorobek stworzyła; stąd religijność, która do dziś jest równowagą współżycia naszego i dyrektywą dla przyszłych pokoleń.

Podając przecie ten wierny obraz Polonji na tle zasadniczem jej religijności budującej, musimy rzec słów kilka i o "odwrotnej stronie medalu", napisać, choć po krótce, o ujemnych przejawach naszych spraw religijnych i życia. Z ujemnych tych i nie zaszczytnych stron wskazać trzeba—"niezależnictwo": tu się z tem załatwimy, by nie wracać do tego, by zapomnieć o tem.

Stosunki amerykańskie, pełne zbyt może wybujałej wolności, wyradzającej się często w samowolę, popsuły niektórych; podszepty złych i przewrotnych wykoleiły z prostej drogi część naszej braci. Błąd ich niezawsze jest ich winą wyłączną, bo uwodziciele wszelacy—dla własnych ambicyj i korzyści pogwałcili hasło jedności i pokalali w błocie prywaty—święcone przez ogół ideały.

Istnieje w Polonji amerykańskiej kilka grup sekciarzy—t. zw. "niezależnych", ponieważ nie uznają władz katolickiej hierarchji. Jest ich—wobec naszych miljonów—znikoma liczba, nikt nie liczy się z nimi poważnie, nikt ich naprawdę w rachubę nie bierze.

Nie uważam za potrzebne wchodzić w tej książce w omawianie niechwalebnego—poczęcia i—niedorozwoju prymitywnych w naśladownictwie organizacji i obrządków katolickich—"niezależniczych" sekt; wystarczy, gdy zaznaczę, bo i cienie obok świateł w obrazie potrzebne, że to—"jeszcze" jest, że powstało wyłącznie i nieodmiennie z materjalnych pobudek różnych wykolejeńców, księży lichych, poróżnionych z władzami, podanych pod cenzury i rygory, oraz aferzystów, którym uczciwie pracować się nie chce, co nie byli i nie są—ni ludźmi wierzącymi, ni Polakami dobrymi.

Przyznał to sam główny dziś przywódca niezależnictwa, niegdyś katolicki ksiądz, Fr. Hodur, gdy w latach już swej starości, pytany przez wyższego urzędnika polskiego, jakie były oryginalne motywy stworzenia przez niego sekty "niezależnych", odpowiedział—w przystępie znać wyjątkowej szczerości: "Motywy te — wyznać muszę—zgoła nie były ideowemi" ... Potwierdza to nasze, wyżej stwierdzone poglądy na początki i powody "niezależnictwa". Z własnych jeszcze doświadczeń, dawniejszych o wiele, przytaczam tu interesujące wspomnienie o rozmowie ciekawej tegoż samego X. Fr. Hodura z głośnym swego czasu filozofem polskim, W. Lutosławskim, której byłem świadkiem za jego przed laty pobytu wśród Polonji Amerykańskiej: wówczas wymową Lutosławskiego skruszony, X. Hodur oświadczył gotowość odwołania błędów i naprawienia złego; ... niestety—w dalszym rozwoju wydarzeń, z tej rozmowy wynikłych, gotowości pokutnej przewódcy "niezależnictwa" nie można było zrealizować. *(Patrz Przypiski.)*

Kościołowi oczywiście nie zaszkodzili "niezależni" i nie szkodzą: przestali dlań istnieć i na tem rachunki zostały zamknięte. Pozostały jednak rachunki ze społeczeństwem—niewyrównane. Bo "niezależni" zerwali łączność, zburzyli jednolitość ogółu polskiego, wywołali w nim walki bratnie i zawziętości wzajemne, a tem przynieśli ogromną szkodę moralną; "niezależni" dali zgorszenie wszystkim tutejszym katolikom i narazili Polaków na nieprzychylną krytykę innonarodowców, potępiających słusznie waśń między członkami jednego ludu. Nie mogą "niezależni"—wobec tego wszystkiego—herezji lichej zwać "Kościołem Narodowym", bo to obraza i ujma dla narodowości polskiej, której szkodę tylko sprawiają. Prawdziwie narodowy Kościół Polaków oparty jest na Katolickiej Wierze! O tem wie dobrze i Polska i jej lud wszystek, gdziekolwiek się znajduje, o jego zaś sposobie myślenia w Ameryce—świadczą fakta, które do przekonania każdemu starczyć powinny. Tyle—na tem miejscu o "niezależnych".

By skończyć z "opozycją" względem naszej religijności nadmienimy jeszcze, że mamy w Polonji i takich, którzy, "swobodniej" usposobieni, zwracają się przeciwko duchowieństwu z uprze-

dzeniami, krytykując zwłaszcza—"politykę" księży; inni jeszcze religijność wogóle lekceważą, mniemając, iż jest ona równoznaczna ze zacofaniem: o tych poglądach przeto—uwag zda się kilka —dla całości naszego przedstawienia charakterystyki i umysłowości Polaków amerykańskich.

Owi "swobodni", wyzwoleni z religijnych "przesądów", lubią tu zwać się liberałami, choć z reguły ani nie wiedzą dobrze— co to liberalizm; zwą się sami "postępowymi"—tylko że ten ich postęp jest notorycznie nieproduktywny—zwłaszcza wobec masy zasług—religijnego ogółu. Toteż wiadomo w Polonji, że krzykactwo owo nie popłaca, a gdy trzeba wykonać coś rzeczywiście wartościowego, poprzeć czynem, ofiarą—akcję ważną, sprawę dobrą, to—czyni to nieodmiennie ogół religijny, nie zważając na krzyki i krytyki "postępowców". Powtarzamy: wszystko, co Polonja Amerykańska zrobiła, wszystko, czem jest, to zrobił jej zdrowy, nie gardłujący, a pracowity i ofiarny ogół religijno-ludowy i religijnie-patrjotyczny, a dopiero — gdy zrobił, przyszli... inni i "nasiali kąkolu" na żyzne niwy, tedy wśród plonów jest i jego trochę, ale naprawdę—bardzo go niewiele wobec ogromnie przeważnych mas rzetelnie wartościowego dorobku. Nie polemiczne to są, a faktyczne stwierdzenia: pewnych stron ujemnych nie można pominąć dla całości przedstawienia rzeczy, ale staramy się zaznaczać je jak najzwięźlej i najoględniej.

Że duchowieństwo, mające ludzi przeważnie wykształconych, zyskuje większe wpływy wśród ogółu, to rzecz zrozumiała i to bywa wszędzie—jako wynik prostej konieczności, boć zawsze społeczność wierząca chętniej idzie za tymi, którzy jej Wiarę przypominają i reprezentują—także i poza obrządkami religijnemi. Na niechętnych, uprzedzonych, upartych, niema leku, ni argumentu, tedy i tu nie będziemy dłużej zajmowali się nimi. Przeciwnicy duchowieństwa krytykują mieszanie się jego do spraw świeckich i gniewają się o wpływy, przez kapłanów na tok tych spraw wywierane, czyli — jak mówią, właśnie na tę "politykę księży". Lecz kapłan jest przecie obywatelem na równi z każdym świeckim, więc jako taki, ma prawo—co więcej, ma obowiązek interesować się sprawami publicznemi, narodowemi, wogóle po-

winien on zajmować się ową "polityką", zresztą powinność ta wynika również z jego nauczycielskiego urzędu i z obowiązującej kapłana dbałości o dobro współbraci, dobro ogółu.

Księża polscy w Ameryce—jako obywatele, jako patrjoci, jako przewodnicy mniej oświeconych gromad wychodźczego pospólstwa, zrobili w Polonji ogromnie wiele, zaiste—ze wszystkich warstw naszej społeczności wyróżnili i zasłużyli się najwybitniej. Przykłady i dowody tego są liczne: znajdziesz je wszędzie, we wszelkich współżycia polsko-amerykańskiego dziedzinach i znajdziesz je w tej książce, na świadectwo prawdzie spisane. A że to nie wszystkim może się podobać, to znowu inna historja, stara i znana; lecz powód tego—nie w "polityce" księży, jeno w zarozumieniach indywidualnych, a w braku u nas poczucia solidarności, którego braku w całym narodzie naszym nadmiar od dawna. I pod tym więc względem Polonja Amerykańska jest . . . "odroślą od tych samych pni z dawnych dni"—jak powiedział Wyspiański.

PRZYPISKI

KS. JAN PIECHOWSKI, C.R.

Jednym z najdzielniejszych i najbezwzględniejszych gromicieli "niezależnictwa", zwłaszcza w pierwszych jego czasach, był Ks. Jan Piechowski, C.R., któremu z tej racji poświęcam tę wzmiankę, zarazem dla zobrazowania stosunków, jakie w owych czasach panowały:

Ks. Jan Piechowski urodził się w r. 1863 w Stawiskach, w Prusiech Zachodnich; poświęciwszy się duchownemu stanowi, nauki teologiczne odbył w Rzymie i we Lwowie, gdzie otrzymał święcenia kapłańskie w r. 1891. Tam też pracował zrazu—przy internacie XX. Zmartwychwstańców, do którego to Zgromadzenia wstąpił. W r. 1891 wysłany przez władze Zgromadzenia, do Ameryki przybył i całe życie przepracował tu owocnie. Przydzielony do parafji p. w. św. Stanisława, której proboszczem był wówczas Ks. Wincenty Barzyński, C.R., pracował tam—jako asystent, potem jako katecheta i dyrektor szkoły, a następnie czas jakiś sprawował stanowisko rektora tworzącego się wówczas Kollegjum św. Stanisława.

Kiedy wybuchła schizma "niezależnictwa" wśród Polaków w Chicago, Ks. Jan Piechowski został zamianowany proboszczem parafji św. Jadwigi: były tam czasy wtedy tak burzliwe, iż księdzu katolickiemu śmiercią grozili "niezależni". Na odjezdne do parafji owej dawali Ks. Janowi Piechowskiemu re-

wolwer nabity, ku obronie własnej, ale on powiedział, że nie z rewolwerem, lecz z krzyżem i ze sercem bratniem idzie do zbłąkanych. (Autentyczne.)

I poszedł. Opowiadano mi—wiele lat później, że widywano nieraz, jak chadzał przed wieczorem po podwórzu parafjalnem, brewiarz czytając, a z zapłotów nań wyzwiska, nawet kamienie ciskano! Nie zważał, wytrwał na stanowisku—dzielny kapłan. I ujrzał rychło odmianę korzystną w zbuntowanej parafji, o której nie zwątpił, a dla której z nadzwyczajnem poświęceniem pracował, walcząc o jej ducha—jej katolicyzm i polskość. Aż walkę tę wygrał: przez niezmordowaną pracę Ks. Piechowskiego odżyła parafja i dzielnica ogromna—cała w duchu katolickim; po kilkunastu latach pasterzowania doprowadził Ks. Piechowski parafję tę do nadzwyczajnego rozkwitu, wybudował tam kościół wspaniały i szkołę, utrzymywał serdecznie braterski nastrój, ducha szczerze polskiego i religijnego, wobec którego "niezależnicza" schizma marniała i topniała, schodząc do nieznacznej garści malkontentów i wyrzutków. Zasługą się to stało dzielnego kapłana, który jako "pogromca niezależnictwa" zasłynął w dziejach Polonji amerykańskiej.

W r. 1916 Ks. Jan Piechowski, C.R., został zamianowany Przełożonym Domu Kollegjum św. Stanisława. Zmarł w Chicago 19-go kwietnia, 1921 r.

KS. FRANCISZEK HODUR

Ks. Franciszek Hodur ur. 1866 r. w Żarkach, w Małopolsce zachodniej; średnie szkoły niższe odbywał w Krakowie, podobnież Seminarjum duchowne, którego nie skończył, wydalony za niesubordynację i liberalizm. Udał się do Ameryki, tu kończył Seminarjum i został wyświęcony na księdza rzymsko-katolickiego dla diecezji Scranton, Pa. W r. 1907 stanął na czele gromadki polskich malkontentów, zbuntowanych przeciw Ks. Biskupowi O'Hare i założył swą "sektę" niezależniczą; exkomunikowany i wyklęty, zrobił się "biskupem" w r. 1909, po "sakrę" pojechał do "Staro-Katolików" i w Utrechcie, w Holandji, został wyświęcony przez jansenistycznego arcybiskupa Gerarda Gula. Następnych "biskupów" niezależnych obierają "synody", a konsekruje ich X. Hodur, jako "pierwszy biskup". Sprawa legalności święceń X. Hodura, oraz udzielanych przez niego, święceń biskupich i kapłańskich—jest kwestją niepewną: idzie tu o t. zw. sukcesję apostolską, którą jednak "Staro-Katolicy" —zdaje się posiadają...

PROF. W. LUTOSŁAWSKI I X. FR. HODUR

Było to w sierpniu, 1908 r. Od Prof. Wincentego Lutosławskiego, bawiącego wówczas w Polonji, a odpoczywającego po wykładach we wegetarjańskiem sanatorjum, w Hinsdale, niedaleko Chicago, dostałem list, proszący mnie na świadka rozmowy ważnej, którą miał L. odbyć z X. Franciszkiem Hodurem, naczelnikiem "niezależników"; prosił też, ażebym odszukał X. H. w jego hotelu i zajął się przywiezieniem go do Hinsdale. Rad—nierad udałem się do wskazanego hotelu, spotkałem X. H., który zaraz przy powitaniu —nie omieszkał mnie poprawić, że on jest "*Biskup H.*", nie "ksiądz H.", na co odpowiedziałem, że—"wiem, iż jest Księdzem dawnym", takim więc dla mnie zostaje, ale jakim jest biskupem, tego nie wiem, przeto wolę tego nie tykać... W Hinsdale odszukaliśmy sanatorjum, gdzie nam kazano wspinać się na strych, a ze strychu—po drabinie do wysoko nad dachem umieszczonej "latarni" oszklonej, w której Prof. L. odbywał całodzienne kąpiele słonecz-

ne... Komiczne było drapanie się do owego "gołębnika": korpulentny podówczas X. H. lazł pierwszy, ja za nim... Znalazłszy się nareszcie u celu, ujrzeliśmy L.—w stroju, który dała mu matka w chwili urodzin: goły był jak Diogenes—tylko, że nie w beczce, a w latarni... Wziął jakiś ręcznik ów "turecki święty", opasał się nim i po ceremonjach powitania — zaczęła się— owa rozmowa... Trwała długo—całe po-południu. Niewiele wtrącałem się do niej, bo miałem być tylko świadkiem. Niemożliwem byłoby mi streszczać dziś tę dyskusję, zresztą nie była to nawet dyskusja, a była raczej dość surowa egzorta i w tonie apodyktycznym, acz grzecznym, prowadzona—indagacja: indagował Lutosławski, indagowanym był X. Hodur. Widoczne było odrazu nadzwyczajne górowanie wybitnego bądź-co-bądź filozofa i doskonałego dialektyka—nad X. H. Poprostu Lutosławski skruszył przeciwnika do tego stopnia, że X. H. drżał—jak w febrze i płakał—jak dziecię!... Prawdziwie wzruszającym był widok, gdy Lutosławski wtedy wziął go w ramiona i serdecznie pocieszał, a nakłaniał usilnie—do nawrotu na dobrą drogę... "Mój biedny, błądzący bracie,—mówił do niego — niechaj cię moje przedstawienia i prośby poruszą... Wejrzyj, wejdź w siebie, ratuj własną duszę i dusze tych, którym przewodzisz, a za których najstraszniejszą przed Bogiem ponosisz odpowiedzialność, bo oni błądzą z niewiadomości, a ty ich wiedziesz do zła w pełnem uświadomieniu. Mój biedny, błądzący bracie!... Wytrwaj w dzisiejszym, widocznie szczerym odruchu duszy i napraw zło spełnione. Daj świadectwo Prawdzie, a twój błąd w zasługę się zmieni! Ja także błądziłem ciężko i wiele—mówił L.—ja również grzeszyłem przeciwko Bogu i braciom, grzeszę— pychą i zarozumiałością, lecz walczę z tem i Boga proszę o łaskę widzenia prostej drogi przed sobą na prace dalsze życia mego. I ty Go proś o to, a ja za ciebie, aby ci dane było, modlić się będę"... Nastrój tej chwili był niezwykle podniosły...

Gdyśmy żegnali Lutosławskiego, stanęło na tem, że porozumie się on z przewodnimi Księżmi polskimi i z władzą biskupią w Scranton, gdzie siedziba X. Hodura, poczem w tem mieście odbędą publiczną rozmowę—w duchu—nie walki, a pojednania braterskiego. Nie wiadomo, coby z tego było wynikło, jednak Lutosławskiemu ani Duchowieństwo polskie nie radziło, ani Ordynarjusz Skrantoński nie pozwolił na ową rozmowę.

KS. W. CHRZANOWSKI O NIEZALEŻNYCH

Ks. W. Chrzanowski w swej pracy p. t. "Prawda o Wychodźtwie Polskiem w Ameryce", tak pisze o "niezależnych": Ze wszystkich "sekt niezależnych" najznaczniejszą jeszcze jest "Polsko-Narodowo-Katolicki Kościół" X. Hodura; liczba zwolenników niezależnictwa nie przekracza wogóle 70,000 dusz, liczba parafij—pół setki, majątek kościelny ich wynosi około $600,000. (Ks. W. Chrzanowski pisał to krótko po pierwszej Wojnie Światowej.)

Według obliczeń samego X. F. Hodura liczba parafij wynosiła w r. 1920 —60, wiernych zaś 200,000: są to jednak cyfry absolutnie niezgodne z rzeczywistością i znacznie wygórowane.

Aczkolwiek X. F. Hodur i jego zwolennicy głoszą, że własność parafjalna jest własnością ludu polskiego, nie "biskupów rzymskich i ajryszów", ma to jednak tylko teoretyczne znaczenie: tak X. F. Hodur, jak i podwładni mu księża i parafjanie swych majątków kościelnych nie mogliby przekazać nikomu, parafje nie mają również charakteru narodowego. Parafje niezależne są

pewnego rodzaju prywatnemi spółkami akcyjnemi, z kapitałem jednak złożonym na zasadzie zwyczajnych regulacyj korporacyjnych.

Pod względem narodowym "Kościół Niezależny" nie przedstawia większej wartości, aczkolwiek zwie on się "narodowym", gdyż cechuje go separatyzm, który go pcha w objęcia potężnych wyznań protestanckich, z któremi też stale kooperuje: grozi to bezwarunkowo tem szybszem wynarodowieniem. Polska z "Kościoła Niezależnego" pożytku nie miała, nie ma i nie będzie miała.

Lud należący do parafij niezależnych we większości swej nie rozumie wcale walki wyznaniowej, prowadzonej przez swych "ojców duchownych"; w gruncie rzeczy jest on poczciwy, dobry i skoro tylko w danej miejscowości znajdzie się gorliwy kapłan rzymsko-katolicki a zarazem dzielny działacz społeczno-narodowy, to lud ten masowo wraca do parafji rzymsko-katolickiej. Stąd parafje niezależne mają charakter efemeryczny i słabo wegetują: powstają tam, gdzie nastąpiło nieporozumienie między proboszczem a parafjanami, znikają zaś—skoro powód niezgody przeminie. Parafje niezależne powstają nie z filozofowania wyznaniowego i ze zwątpień dogmatycznych wychodźcy, a przeważnie ze zrobienia "na złość" czy proboszczowi, czy biskupowi, jeśli się zaś ludzie z nimi pogodzą, parafja niezależna traci szybko grunt, gdyż powrotnicy z Kościoła Niezależnego stają się najgorliwszymi rzymskimi katolikami. Wielu przytem aktualnych członków Kościoła Narodowego związanych jest z nim jedynie inwestycjami finansowemi w parafji, albo ubezpieczeniem w "Spójni", organizacji niezależnej, której konstytucja orzeka, że wystąpienie z "Kościoła Narodowego" połączone jest z utratą wkładek na ubezpieczenie w "Spójni"...

O upadku i powolnem konaniu niezależnictwa mówił obszernie sam X. Hodur na synodzie swoich adherentów w czerwcu, 1931 r., żaląc się gorzko: "Kościół nasz osłabł, więzi duchowej nie ma, bo u nas tylko dolar decyduje; byle był zysk i kasa napełniona! Wskutek tego parafje upadły i wytworzyły się stosunki takie, że Bóg powinien spalić taki Kościół"!!!... Autentyczny i charakterystyczny to osąd samego twórcy niezależnictwa o jego własnem dziele...

V.

PARAFJE POLSKIE I ZJEDNOCZENIE KAPŁANÓW POLSKICH

Trzeba nam zkolei opowiedzieć, jak powstaje w Ameryce parafja polska. Robi się to i dziś tak, jak robiło się lat temu pół setki i więcej. Osiedla się gdzieś polskich robotników gromadka, za inicjatywą kilku śmielszych porozumiewają się oni w sprawie założenia parafji; na razie chodzą na nabożeństwa do katolików obco-narodowych, aż urządziwszy konskrypcję między sobą i zebrawszy trochę funduszu, przyczem zwykle nie obywa się bez znacznych, osobistych ofiar, w setki dolarów idących, udają się do diecezjalnego Ordynarjusza—z prośbą o pozwolenie na zorganizowanie parafji. X. Biskup rozpatruje sprawę, bada warunki miejscowe, finansowe—ostatecznie udziela pozwolenia i naznacza proboszcza, który z komitetem grunt kupuje pod kościół; budują zrazu prowizoryczny jakiś budynek, poczem — w miarę wzrostu parafji i spłaty jej długów — rozbudowuje się budynki parafjalne: wznoszą kościół stały, szkołę, plebanję, dom dla SS. Nauczycielek; proces ten trwa nieraz lat kilkanaście — do dwudziestu, aż parafja dojdzie do kompletu swego dobytku, jednocześnie spłacając długi, poczem dopiero—podług praw, obowiązujących w Ameryce—następuje pełna i stała konsekracja jej kościoła, bo dotąd poświęcenie miało tylko tymczasowy charakter.

To jest przebieg rzeczy normalny i korzystny.

Ale bywa też inaczej—zwłaszcza bywa tak w ostatnich czasach: Biskup diecezjalny może pozwolenia nie udzielić, może parafji nie chcieć: ... bywa tak, zwłaszcza, że amerykanizatorskie zakusy sięgają — niestety — w sfery i sprawy nawet religijne. Ludzka rzecz, znana w świecie; Polska wiele miała do cierpienia od polityki zwierzchników kościelnych n. p. pod pruskim zaborem; mamy i my sporo trudności z rozmaicie przejawiającemi się

tendencjami amerykanizatorskiemi, zwłaszcza po pierwszej Wojnie Światowej uwydatnianemi. W razie takich trudności rodacy, chcący organizować parafję, która z reguły bywa silną placówką polskości, dlatego jej amerykanizatorzy nie chcą, muszą nieraz apelować i kołatać do władz kościelnych wyższych, a jeżeli ich rzeczy przedstawienie zyska posłuch i przeważy, wówczas dopiero —pod presją sprawa przechodzi, a czasem i—nie przechodzi długo — ku ciężkiej oczywiście stracie żywiołu polskiego i katolickiego w danej okolicy.

Ostatnio w Ameryce stosować poczynają kościelne rozporządzenia, polecające tworzyć parafje terytorjalne, nie nacjonalne— w tem nowa trudność wielka i ograniczenie, polegające na tem, iż zaleca się organizowanie parafij nowych po miastach—na podstawie pewnych kompleksów dzielnicowych: do parafji nowej ma należeć cała ludność katolicka danego kompleksu—bez różnicy narodowości; wówczas słowo Boże w takiej parafji i kościele ma być głoszone po angielsku, angielską ma być szkoła parafjalna i t. p. Początki takich parafij, podług nowego tego przepisu organizowanych—mamy już w Polonji, a gdy w dawniej zorganizowanych parafjach od lat zgórą 50-ciu głosi się kazania polskie, uczy się i śpiewa po polsku, w tych nowych bywają już choć raz w niedzielę kazania w języku angielskim, a nadto istnieją zakusy na szkołę parafjalną, o czem więcej napiszemy, omawiając bliżej sprawy szkolne.

Jak u innych narodowości, tak i u nas w każdej parafji tytuł własności parafjalnej musi być zapisany na diecezjalnego Biskupa — a to na podstawie wymagań korporacyjnego prawa amerykańskiego, mianowicie—dla ułatwienia procedury z władzami transakcyj finansowych, podejmowania i dochodzenia zobowiązań i t. p.

Parafją rządzi proboszcz z Komitetem Parafjalnym, którego jest przewodniczącym w zastępstwie Ks. Biskupa, faktycznego przewodniczącego wszystkich Komitetów Parafjalnych danej diecezji; zwykle też Ks. Proboszcz jest Kasjerem Komitetu. We wielu razach kasą parafjalną zawiaduje komitet, który płaci pensje Ks. Proboszczowi, innym Księżom, SS. Nauczycielkom, składa

sprawozdania parafjalne roczne i t. p. Z właścicielem tytułu własności, t.j. z X. Biskupem diecezjalnym, znosi się Komitet, lub X. Proboszcz jedynie we ważniejszych kwestjach budowy, czy przebudowy jakiejś, zaciągnięcia pożyczki, rozszerzenia parafji, podziału jej i t. p.—tak, że poza tem autonomja parafji jest dość znaczna, a po wypłaceniu jej długów—nawet zupełna, stanowisko zaś X. Proboszcza — nieledwie niezawisłe, gdyż usunąć go Biskup może jedynie na podstawie procesu kanonicznego.

Zupełnie błędnem jest głoszone przez niechętnych parafjom przypuszczenie, lub utrzymywanie—jakoby X. Biskup mógł rozporządzać dowolnie majętnością parafij — jakby swą prywatną własnością: majątki kościelne należą do diecezji, która wobec prawa jest jednostką korporacyjną i zależna jest nie od osoby Biskupa, a od jego urzędu—jako pierwszej osoby danej korporacji, jest przeto całością stałą i nietykalną. Podług prawa akt fundacji i tytuł majątku parafjalnego przechodzą wprawdzie na Biskupa, jednak przytem obowiązuje zastrzeżenie, że ma ten majątek pozostać na zawsze—na użytek, zgodny z celem fundatorów, a X. Biskup nie może bez zgody parafjan zamienić n. p. kościół, założony—jako polski, na kościół innej narodowości.

Mimo to wielu żywi żale, często podnoszone publicznie, iż dobra parafjalne są w Ameryce zapisywane na diecezje — nie polskie, czyli—jak się popularnie powiada—na "ajryskich biskupów". Racja w tych żalach jest—tylko pozorna. Wyjaśnimy tę kwestję:

Dobra parafjalne muszą być zapisane na diecezję—nie na Biskupa wcale, bo imiennemi te zapisy nie są, a każdy Biskup danej diecezji—jest zapisów tych i majątków zawiadowcą, odpowiedzialnym wobec prawa, jak już zaznaczono. Ale właśnie tego wymaga prawo krajowe i wymaganie to jest słuszne, a nawet praktyczne, gdyż daje ono cenne oparcie finansowe i prawne poszczególnym parafjom. Nie wszystkie mianowicie parafje są zasobne, duże, bogate; większa jest liczba—małych i ubogich, a takie parafijki — nierazby dawno poupadały, pobankrutowały, gdyby właśnie nie miały oparcia i opieki finansowo-prawnej w owym zapisie majętności na diecezję, do której należą. Z takich

to stosunków, z takich okoliczności—rozwinęły się, wyrosły dzisiejsze wielkie parafje nasze, które—prawda—dziś już tak tej pomocy, ni opieki nie potrzebują, ale gdy zaczynały, gdy były młode i małe—potrzebowały jej przecie — i bardzo. Ksiądz w małej, początkującej parafji nie znalazłby może kredytu, nie dostałby go ani komitet parafjalny—zwłaszcza złożony, jak u nas bywa, z ludzi niezamożnych, z czegóżby tedy budowano kościoły i szkoły i domy Sióstr i plebanje? Bez kredytu nie podobna byłoby zrobić niczego, więc ludzie zniechęciliby się, ofiary ich przepadłyby i parafja rozleciałaby się. Tymczasem—Biskup, diecezja, mają kredyt, bo reprezentują majątek, o wiele większy, ale diecezja i jej włodarz ręczyć muszą za wszystkie zobowiązania poszczególnych parafij, które tylko tem uzyskują kredyt łatwy, wieloletni i mogą nieraz bardzo znaczne nawet zobowiązania podjąć, a spłacają je w ciągu dziesiątków lat. Zato właśnie i dlatego parafje zapisują majątek własny—do ogólnego mienia diecezjalnego; jest to więc stosunek wzajemnych świadczeń i współdziałań.

Biskup tem diecezjalnem mieniem zarządza—nie sam, a z konsultorami—z radcami swymi; ci konsultorzy radzą zasię tak, radzić powinni, ażeby interesy narodowości wszystkich były należycie brane w rachubę. O ile tak się dzieje—to wszystko w porządku, bo ingerencja władzy biskupiej bywa często nominalna, Biskup—poza naznaczaniem proboszcza — zazwyczaj nie wtrąca się w porządną, normalną gospodarkę parafjalną, wdaje się zaś dopiero i tylko wtedy, gdy zachodzi jakaś potrzeba ku temu, co na szczęście u nas bywa dosyć rzadko.

Na zakończenie wiadomości o organizacji parafjalnej i w łączności z niemi, będzie tu na miejscu treściwe podanie ogólnego bodaj zestawienia naszego dorobku, rozwoju i rozszerzenia się żywiołu naszego w Stanach Zjedn.—właśnie na tle parafjalnego zorganizowania:

Podług statystyki, zestawionej przez Zarząd Zjednoczenia Kapłanów Polskich w Ameryce, posiadamy około tysiąc parafij, rozmieszczonych w blisko stu dziesięciu diecezjach: ogółem jest w Ameryce—Archidiecezyj 8, Diecezyj 90 i dwie małe greckokatolickie; widzimy z tego, iż jak we wszystkich Stanach są osie-

dliska polskie, tak niemal we wszystkich diecezjach istnieją polskie parafje, w niektórych zasię tworzą one siłę prawdziwą katolicyzmu, i to bardzo wydatną siłę. Około r. 1925go obliczano wartość naszych majątków kościelnych na jakieś ćwierć miljarda. (Podług materjałów statystycznych Konsulatu Polskiego w Nowym Yorku.)

W dużych, przemysłowych miastach należy ludności polskiej mniej-więcej około 75% do swych parafij (dawniej procent ten był wyższy); osiedla górnicze po małych miastach wykazują procent ten znacznie wyższy: tam 95% naszych należy do swoich parafij, tam też religijność i polskość z nią razem—trzymają się najsilniej jeszcze. Po wielkich miastach postęp amerykanizacji jest większy i szybszy: z nim młode generacje wykazują zwykle o wiele mniej gorliwości religijnej i przywiązania do parafij macierzystych. W każdym jednak razie Polacy tu wszędzie mają opinję wiernych katolików, silnie do Kościoła przywiązanych, stanowią też w amerykańskim Katolicyzmie żywioł pierwszorzędnego znaczenia i siły istotnej.

Mimo tego dość mało mają Polacy uznania u Wyższego Kleru amerykańskiego, a do dziś, ściśle biorąc, równouprawnienia nie mają należnego we wyższej Hierarchji kościelnej. Po części winę tu ponoszą pewną i Polacy sami, oraz ich, dawniejsze zwłaszcza, starania i zabiegi, nie systematyczne, rozbieżne, niesolidarne, a często nietaktowne—wogóle niewłaściwie podejmowane. Na początku wieku trzy Polskie Kongresy Katolickie i ich Wydziały Wykonawcze czyniły usilne starania w Rzymie celem złamania uprzedzeń i przeszkód. W r. 1905 otrzymujemy pierwszy tych wysiłków skutek: Papież Pius X. przysłał do Polonji Amerykańskiej specjalnego Delegata, w osobie zasłużonego patrjoty, X. Arcybiskupa Albina Symona, który spędził w Ameryce parę miesięcy, zwiedzając osady, parafje, badając stosunki, poczem z podróży swej złożył nader pomyślne dla zabiegów naszych, sprawozdanie. O tem — więcej znajdzie Czytelnik w Rozdziale następującym.

A kiedy wreszcie po wielu latach kołatań i starań Polacy uzyskali swoich "supplices preces" spełnienie, zamianowany zo-

stał w r. 1908 pierwszy Polak w Ameryce—naprzód na stanowisko Koadjutora-Biskupa Archidiecezji Chicagoskiej, a potem na Biskupa Diecezji Green Bay, Wis.: jest to do dziś tam włodarzący Ks. Paweł Rhode, znakomity przodownik Polonji Amerykańskiej w sprawach jej narodowo-społecznych, po równi z religijnemi, mąż wysoce i wszechstronnie zasłużony. Po nim przybyło nam jeszcze kilku Biskupów-Rodaków, których—na dacie tej pracy—mamy trzech—o wiele za mało w proporcji do wielkiej liczby Polaków-Katolików w Ameryce. *(Patrz Przypiski.)*

Za inicjatywą i na wezwanie J.E. Ks. Biskupa Rhodego, oraz przy jego współpracy powstało "Zjednoczenie Kapłanów Polskich w Ameryce", które składało się dawniej ze stu kilku diecezjalnych Grup kapłanów—na całym Stanów Zj. obszarze. Przeważna część kleru polskiego została objęta tą organizacją, której celem być ma podnoszenie i utrzymywanie górne Katolicyzmu w Polonji, a przezeń Polskości, obrona jej, oraz wywalczanie Polakom uznania we wszelkich dziedzinach spraw i reprezentacji katolickiej w Ameryce i w świecie. Zjednoczenie Kapłanów zrazu rozwinęło się pomyślnie i działało nader sprawnie; n. p. w czasie pierwszej Wojny Światowej we wszelkich sprawach i potrzebach Narodu, targanego walką orjentacyj i sprzecznych polityk, współczuło i współdziałało zawsze z ogółem rodaczym, a w pracach dla Sprawy Polskiej kler zorganizowany brał udział żywy, ochotny, przewodni i przykładem pociągający. Kapłani polscy zawsze i wszędzie byli z Ludem polskim we wszystkich sprawach jego, religijnych, czy narodowych; dokładali starań—jak przedtem, by naszą polskość i jej świadomość utrzymać, tak później, by tę polskość bojowo spotęgować, a dla Ojczyzny pożyteczną i ofiarną uczynić. Więc Zjednoczenie Kapłanów brało udział wybitny we wszystkich akcjach, w odniesieniu do spraw i potrzeb Polski podejmowanych; Duchowieństwo pracowało w komisjach i zarządach Polskiej Rady Narodowej i Polskiego Wydziału Narodowego, urządzało składki, zbierało ofiary, rozpisywało i składało podatek narodowy, specjalnie przez Zjednoczenie Kapłanów postanowiony na potrzeby Ojczyzny; zebrało też krocie tysięcy dolarów z własnych ofiar nie skąpych i ze swych parafij, a pomogło znakomicie do zebrania zapomogowych miljonów, które z

Polonji do Polski płynęły. Uczestniczyło również Duchowieństwo żywo i ochotnie w rekrutacji Armji Polskiej i wiele jej pomogło wpływem swym, słowem, głoszonem w myśl tradycyjnego hasła "Bóg i Ojczyzna".

Od tego Zjednoczenia Kapłanów Polskich i później, długo wychodzi myśl przewodnia na całe, pozostałe w Ameryce osadnictwo polskie, a przejawem najpożądańszym działań na przyszłość tej Organizacji Duchowieństwa miała być obrona ludu polskiego przed gwałtowną amerykanizacją, jakąby szowiniści—do Kościoła nawet transplantować zechcieli: więc—obrona praw naszego ludu przy zakładaniu paraij, popieranie jego apelacyj w razie sprzeciwów i trudności czynionych, reprezentacja odpowiednia Polaków w Kościele Katolickim: oto były cele i prace Organizacji omawianej; zaiste—sprawy to były i są żywotne i niesłychanie doniosłe.

Niestety—w ciągu ostatnich lat, kilkunastu już pewnie, "Zjednoczenie Kapłanów Polskich w Ameryce" mniej znacznie wykazuje inicjatywy zbiorowej, a energji twórczej. Czcigodny inicjator, zrażony przykrościami wielu, których doznał od swoich i od obcych—za to, że się zbytnio za swoimi ujmował, usunął się w swej diecezji zacisze, młodszym dając sposobność i pole działania! Poszczególne Grupy Organizacji, jak pittsburska, filadelfijska i inne—są bardzo czynne i przedsiębiorcze, ale wpływy ich ograniczone są oczywiście tylko do danych diecezyj; natomiast nie widać od dawna inicjatywy naczelnej, myśli i woli przewodniej, któraby koncentrowała i wyrażała myśl i wolę całego polskiego, zjednoczonego Duchowieństwa Katolickiego w Ameryce.

O samemże więc jeszcze Duchowieństwie naszem zdań kilka:

Duchowieństwo odegrało i odgrywa w Polonji, jak już zaznaczono — bardzo ważną, przewodnią rolę, która wyraźnie się przejawia w kształtowaniu pojęć społecznych, narodowych i politycznych. Ksiądz polski w parafji swej, jako nieraz jedyny intellekt, jest i dziś, a dawniej bywał niemal zawsze—wszystkiem dosłownie dla swej braci: duchownym, nauczycielem, doradcą prawnym, pośrednikiem, a nadto był i bywa—bo musi—ekonomem, finansistą, budowniczym, itd. Wyrabia to nadzwyczajną wszech-

stronność uzdolnień, rzutkość i przedsiębiorczość, zapobiegliwość, oszczędność i wogóle doskonały zmysł organizacyjno-administracyjny: pod tym względem odróżnia się ksiądz polsko-amerykański nader dodatnio od księży w Polsce, a także od duchownych innych narodowości w Ameryce. Wśród trwale zasłużonych kapłanów naszych mieliśmy—dawniej wielu, dziś już coraz mniej—księży, święconych w Polsce, którzy do Ameryki się przenieśli: nie brak wśród nich—teologów, kształconych w znakomitych Uniwersytetach europejskich—w Rzymie, Lovanium, Fryburgu, Insbruku i t. p.:wielu ich upamiętniło się pracami naukowemi i kaznodziejskiemi. To jakby pierwsza, najdawniejsza grupa. Do drugiej należą bardzo liczni wychowankowie Seminarjum Polskiego w Orchard Lake (o Zakładzie tym mowa w Rozdziale o Uczelniach): i ta grupa ma bardzo wielu działaczy wybitnych, księży piszących, społeczników i patrjotów, niespożycie zasłużonych. Do grupy trzeciej zaliczyć trzeba kapłanów, wykształconych w zakładach wyższych, nie-polskich: ci—często łamią się z trudnościami wielkiemi, gdy ich władze do polskich przydzielą parafij, w których kazać muszą, spowiadać—po polsku, choć się polskiego nie uczyli języka: najczęściej przełamują z czasem te trudności, iż sprostać mogą pracy duchownej i obywatelskiej, dorównując w niej swym konfratrom, poprzednio wzmiankowanym. Szczerze twierdzimy i wierzymy: Duch Śty ich wspomaga, dobra wola polska sił dodaje, więc podołają powinnościom swego wzniosłego powołania.

Mamy w Polonji kapłanów świeckich i zakonnych: w tej drugiej grupie są: OO. Zmartwychwstańcy, OO. Krzyżowcy, OO. Salezjanie, OO. Franciszkanie, OO. Bernardyni i jeszcze inni. We wszystkich diecezjach, mających liczniejsze Polaków zastępy — posiadamy Prałatów, Konsultorów, czyli członków Rad Biskupich, członków Sądów Biskupich, Egzaminatorów Kleru i t. p.; nie wszędzie oni i nie dość ich w proporcji do ludności katolickiej polskiego pochodzenia.

Kler nasz pracuje nad utrzymaniem polskości — rzecz na czasy obecne szczególnie ważna—wobec dużego postępu amerykanizacji: przejawami ważnemi tej błogosławionej iście tendencji

są zjazdy Duchowieństwa Polskiego, jak był n. p. Zjazd Duchowieństwa Polskiego, w Pittsburghu, w r. 1939 odbyty i Zjazd Homiletyczny dla krzewienia i wzmożenia kaznadziejstwa polskiego, odbyty w Detroit, w r. 1941: jakkolwiek oba te zjazdy datami są właściwie już poza tych dziejów założonemi ramami, jednak oba one mają do znacznego stopnia i retrospektywny charakter, bo streszczają prace dawniejsze i dotyczą kwestyj, od lat w Polonji żywotnych i aktualnych, z ujęcia ich zasię właściwego i zreferowania starają się wywieść ważkie wskazania na przyszłość; dlatego napiszemy tu jeszcze i o tych obu zjazdach.

Zaczniemy od Zjazdu Homiletycznego.* Zainicjowany przez Ks. A. Syskiego, członka grona nauczycielskiego Seminarjum Polskiego w Detroit, wzbudził zjazd ten, pierwszy w tym rodzaju—w kołach naszego Duchowieństwa zajęcie duże; odbył się on—jak rzekłem—w Detroit, Mich., na wiosnę, 1941 roku. Program zjazdu był obszerny, część referatów była ściśle ze zasadą religijną celu złączona; część—bodaj większa—otrzymała zabarwienie ogółowi bliższe—narodowe, patrjotyczne: tem właśnie rzecz zyskała szersze, ogólniejsze, społeczne zainteresowanie.

N.p. Ks. Dr. E. Dworaczyk,** z Panna Maria, Texas, mówił o "Kulcie Świętych Polskich na Ambonie Polskiej w Ameryce": tytuł referatu mówi o jego treści, bliskiej i miłej. "Sprawy Polskie, Język Polski na Ambonie Polskiej w Ameryce" to drugi, bliski ogólnym zainteresowaniom narodowym referat na omawianym zjeździe, powierzono go doświadczonemu i zasłużonemu pra-

---

* HOMILETYKA—wyraz, pochodzący z greckiego "homilein"—obcować, porozumiewać się, w dyskusję się wdawać, dalej: nauczać drogą dyskusji, dowodzenia, stąd—uczyć, głosić nauki; szczególniej stosowany jest termin ten w kaznodziejstwie, w naukach religijnych—w odniesieniu do kazań: homiletyka jest częścią teologji praktycznej; w najzwyczajniejszem znaczeniu odnosi się do kaznodziejstwa, a więc zjazd homiletyczny był poświęcony tej jednej z najważniejszych funkcyj kapłańskich, urzędowi nauczania, głoszenia kazań, mównictwa religijnego i kościelnego.

** Ks. Dr. E. Dworaczyk jest autorem cennej monografji "The First Polish Colonies in America": streścił on w niej dzieje texaskich osad polskich; tenże sam pracowity i zamiłowany w działalności literackiej kapłan—przetłumaczył na język angielski "Kazania o Eucharystji Śtej" Ks. Piotra Skargi.

cownikowi niw wychowawczych tutejszych, Ks. Władysławowi Zapale, C.R., byłemu Generałowi XX. Zmartwychwstańców.

Takie referaty, jak dwa wyżej wzmiankowane, a podobnie ważnych był szereg cały—dały zjazdowi temu treść rodzimą, i wskazały Duchowieństwu polsko-amerykańskiemu kierunek działań w daleką — oby jak najdalszą przyszłość istnienia Polonji Amerykańskiej, tak szczerze przywiązanej do Wiary ojców, a pragnącej w tej Wierze mieć podtrzymywanie i utwierdzenie.

O zjeździe tym autor tej książki pisał w czasopiśmie "Gwiazda", wychodzącem we Filadelfji — co następuje, streszczając społeczny pogląd na kwestję kościelnego nauczania:

"Jeżeliśmy w Ameryce w licznych osiedlach naszych zakładali parafje i kościoły budowali, czyniliśmy to dlatego, ażeby — z Bożej myśli i miłości biorąc pobudkę a wskazania, chronić lud rodaczy przed zatratą wynarodowienia—tem, co do niego zdawien dawna najsilniej przemawia, co mu najbliższe, najdroższe, najbardziej i najpowszechniej zrozumiałe, a tem jest—religja katolicka naszych ojców i dziadów. Z jej ukochania wywodzi się wszystko, cośmy w tym Kraju stworzyli. Lud nasz, zakładając swe parafje, budując polskie kościoły, pragnął i pragnie dusznie —mieć w nich nabożeństwo polskie—takie, do jakiego od wieków nawyknął, które umiłował. Stanowi zasię to nabożeństwo *polskie*—to, co mu cechy polskości niezawodnie daje i zachowuje, przedewszystkiem słowo polskie, a więc mowa ojczysta—w nauce kościelnej, w kazaniu, w pieśni kościelnej i wogóle w służbie Bożej. Gdy łacińską, katolicką, to znaczy powszechną jest Msza śta, temci bliższa, tem bardziej doraźna, zrozumiała, integralnie nieodłączna, jest w polskiem nabożeństwie nauka, kazanie w języku polskim, które dla ludu naszego jest zaspokojeniem najgłówniejszem jego łaknienia pouczeń i pociechy, w jego własnej podawanych mowie.

Było tak tu przed laty; ani gadania być nie mogło o tem, ażeby innych próbowano praktyk. Dzisiaj jest gorzej, obecnie powiada się, że młodzież polsko-amerykańska kazania polskiego nie rozumie, że przeto angielskich dla niej nauk i kazań potrzeba. Nam się wydaje, że jeśli ujmiemy rzecz właściwie, sięgniemy do

początków niedomagania, to i bez owej ostateczności usuwania kazań polskich — obyć się może i — powinno. Wychować lepiej młode pokolenia, to nie będzie trzeba przystosowywać naszych zasadniczych postulatów, religijnych nawet, do tego, co nie podobna inaczej określać, jak obniżanie przez nas samych—polskich wartości, jako najboleśniejszą retrogresję samopoczucia narodowego."

Z uznaniem i ulgą obserwujemy coraz potęgującą się inicjatywę przewodnią Duchowieństwa polsko-amerykańskiego w zakresie spraw społecznych i narodowych. Wspomniany przedtem zjazd Duchowieństwa w Pittsburgu, oraz wyżej omówiony zjazd homiletyczny, są przejawami tej pulsującej coraz silniej w Polonji naszej inicjatywy przewodniej, zmierzającej ku temu, ażeby sfery kapłańskie, najbardziej w Polonji wpływowe, ująć, pobudzić i poprowadzić w kierunku ocalania Polskości od zatraty w zalewie obcości amerykańskiej, zewsząd nas ogarniającym.

Tedy jeszcze o pittsburskim tym zjeździe napiszę na zakończenie tego Rozdziału—dla skompletowania ostatnich danych o wpływach i działaniach polskiego, katolickiego Duchowieństwa:

Stan duchowy Polonji Amerykańskiej w ciągu lat szeregu przed drugą Wojną Światową, nie był i nie jest zadawalający, u wielu nawet budzi obawy o przyszłość, o przetrwanie polskości na Ziemi Amerykańskiej.

Za długo spała Polonja! Zasnęła od czasu skończenia wielkich działań zbiorowych w okresie pierwszej Wojny Światowej i po niej lat najbliższych; odrętwiałość nas ogarnęła jakaś; byli, co mówili, że to już "rigor mortis" obejmuje nas... Większość zdawała się już i godzić się z tą ewentualnością fatalną. Trudno: zgubiliśmy nasz własny "Złoty Róg"... Ostatni raz zagraliśmy na nim na Wielką Wojnę, zwołując tu wojaków polskich i skrzykując braci do ofiar na cele Matki Ojczyzny za morzami... Ale cudna i świetna melodja przebrzmiała, a "chwila dziwnie osobliwa" wielkich czynów przeszła, przeminęła ponad nami, rzuciwszy niektórym z nas kwiaty uznania, a wielu, krociom tysięcy, bodaj miljonom, jeno szarość zapomnienia u obcych i co boleśniejsze—u swoich. Tak zatraciliśmy drogę w przyszłość. Da-

wniej wiedzieli tu wszyscy, dokąd idą: do Polski wolnej! Lecz Polska swemi poszła szlaki, a my—w kraju innym, w społeczeństwie nawskroś odmiennem, innemi podążać musimy drogami. A jakie one? Ani całkiem polskie, ani w zupełności amerykańskie. Oto problem, oto trudność, nad którą biedzą się i mozolą od lat już nasi przewódcy!

Przybyła nam jednak pomoc wydatna: oto inicjatywa Duchowieństwa polskiego, które nawiązując do ogromnych, nieprzedawnionych zasług Kościoła Katolickiego, położonych w Polonji Amerykańskiej i dla niej, dla jej bytu podtrzymania, gdy pracownicy społeczni od lat wskazują potrzebę wyrwania się z apatji —na nowe życie, własne, zdrowe i silne, gdy głos ich w znacznej mierze był i jest głosem wołających na puszczy, — daje nam wsparcie Kapłana-Patrjoty, wsparcie Polskiego Księdza, który podejmuje czyn, zdało się zapomniany, łamać się pragnie z trudem, dla wszystkich dotąd nadmiernym i nieprzemożonym. Więc —gdy—zdałoby się—pora zmroku nas ogarnia, jakby się zbierało na wieczór tu istnienia naszego, do czynu staje Kościół Katolicki, oraz jego wierni i oddani pracownicy, nasi Kapłani, już teraz nasi właśni synowie i wychowankowie, co poczuwając się w słusznej powinności dziedziców wielkich poprzedników, podejmują inicjatywę budzenia Polonji Amerykańskiej i biorą na się zadanie, któremu dotąd nikt nie sprostał.

Wierzymy, że oni—sprostają. Nasz lud za głosem Kościoła i Księdza pójdzie skoro i ochotnie, przeto podejmowana robota nowa, pod opiekuńcze godła Kościoła schroniona, otrzyma zapewnienie Bożego błogosławieństwa i ludzką pilność a wytrwałość usilną.

Zjazd w Pittsburghu roku 1940go ujął i streścił swe cele w dwu zasadniczych postulatach: Pierwszy — to Akcja Katolicka, rozumiana i wykonywana na wielką, społeczną skalę, którąby wyprowadzono z krucht i suteren parafjalnych na rozległe tory życia, by to życie całe przejęła, zwłaszcza teraz, gdy w niem na świecie całym przejawia się rozstrój socjalny i rozkład moralny: teraz zpowrotem skupiać je i ku dobremu zawracać . . . A drugi problem—to Utrzymanie Polskości pod Kościoła i religijno-

ści opieką i schroną. Ważne to rzeczy, ważniejsze być nie mogą. Faktycznie— obejmują one wszystko, co nas dotyczy, wszystko, co nas tu obchodzić, interesować może. Podniesienie moralne i zachowanie polskości — to najtreściwsze ujęcie zadań na przyszłość, które gdy rozwiązać zdołamy, to nie będą nam straszne obawy wynarodowienia i zatracenia się na obczyźnie; będziemy i zostaniemy nadal pożądanym, dodatnim czynnikiem tak dla Ameryki, jak dla dawnej Ojczyzny. Podniesieni moralnie i utrwaleni w należyty sposób w Polskości, przy całej, postępowej i wiernej po polsku Amerykańskości naszej, będziemy mili Bogu i warci więcej ludziom. Oby zapoczątkował prace nad tem, nawiązując do dawnych tradycyj i niezapomnianych zasług w Polonji Amerykańskiej—zjazd pittsburski Duchowieństwa Polskiego w Ameryce.

Kapłani nasi dali inicjatywę; aleć sami księża przedewszystkiem muszą uzgodnić pomiędzy sobą sposoby działania zbiorowego, aby jednomiernie i jednakowo prowadzić je wszędzie, by wyjątków nie było, by wyłamywań się nie było, by robota dobra szła całą pełnią, wszystkich—wszystko obejmująca: tak uzupełnianie się wzajemne, a szczere może dać akord znamienity w tej pracy, od której tak wiele, od której wszystko zależy!

Trzeba ku temu propagandy — tak roległej, by nic jej nie zdołało ni sprostać, ni oprzeć się: ku robocie tej, podejmowanej, dla dobra Sprawy najwznioślejszej—żaden czynnik, by najdrobniejszy z pozoru, nie powinien być zlekceważony, ni pominięty. Nie lekceważąc, nie odsuwając nikogo, trzeba wszystkich do tej pracy powołać, wszystkich skupić u zamierzonego celu, wszystkich godzić i bratać. Zjednoczenie z Duchowieństwem polskiej Prasy, Organizacyj, Inteligencji naszej tutejszej, na rzecz Akcji Katolickiej i Polskiej—oto niezmiernie ważna, a czysto praktyczna dorada, jaką stosujemy pod adresem inicjatorów, uczestników i wykonawców postanowień pittsburskiego Zjazdu Duchowieństwa Polskiego w Ameryce, po którym Polonja spodziewa się tak wiele, od którego wygląda wskazań co do rozwiązania swych zasadniczych problemów—obecnych i na przyszłość.

PRZYPISKI

J.E. KS. BISKUP PAWEŁ P. RHODE

J.E. Ks. Biskup Paweł P. Rhode, pierwszy Biskup-Polak w Ameryce, urodził się 16-go września, 1870 r., w Wejherowie, w Prusach Zachodnich. W dziewiątym roku życia przybył do Ameryki z matką. Studja odbywał w Kollegjum Najśw. Marji Panny w St. Mary's, Ky., oraz w Kollegjum św. Ignacego w Chicago. Następnie kształcił się w Seminarjum św. Franciszka w St. Francis, Wisc., po którego ukończeniu święcenia kapłańskie otrzymał w r. 1894. Pracował początkowo w Chicago, w parafji św. Wojciecha, poczem został proboszczem nowej parafji ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła, którą zorganizował i w której zbudował kościół. W r. 1897 Ks. P. Rhode został proboszczem parafji św. Michała Archanioła, w South Chicago, na którem to stanowisku w r. 1908 wyniesiony został do godności Biskupa-Koadjutora Archidiecezji Chicagoskiej. Wieść o jego wyniesieniu napełniła całą Polonję radością, a dzień konsekracji w Chicago pierwszego Biskupa-Rodaka naszego upamiętnił się manifestacją polską olbrzymich rozmiarów, oraz zjazdem Duchowieństwa i Obywatelstwa polskiego z całej Ameryki.

Polonja, dawno wyglądająca równouprawnienia Kleru swego we wyższej hierarchji Kościoła Katolickiego, pozyskała w Ks. Biskupie Rhodem znakomitego przodownika i arcypasterza, powszechnie a szczerze szanowanego. Ks. Biskup całą też Polonję pieczą swą otaczał i o wszystkich sprawach naszych społecznych pamiętał; jego to był piękny projekt "Związku Jedności", z którym wystąpił na Sejmie Zjednoczenia w Cleveland, Ohio, w roku 1909. Później, kiedy w okresie pierwszej Wojny Światowej polityczna sytuacja w Ojczyźnie poruszyła i Amerykańską Polonję. Ks. Biskup Rhode stanął na czele połączonych kół rodaczych, jako Honorowy Prezes wspólnego Komitetu Obrony Narodowej, później zaś, jako Prezes Polskiej Rady Narodowej, a wreszcie —Honorowy Prezes Polskiego Wydziału Narodowego w Ameryce. Ks. Biskup Rhode jest wreszcie inicjatorem Zjednoczenia Kapłanów Polskich w Ameryce.

Zjednoczenie Polskie Rzym. Kat. zamianowało Ks. Biskupa Rhodego swym Honorowym Kapelanem, a rząd Polski—za mnogie prace i zasługi nadał mu wysokie odznaczenie.

Po kilku latach działalności owocnej na stanowisku Koadjutora Chicagoskiego został Ks. Biskup Rhode zamianowany Biskupem-Ordynarjuszem diecezji Green Bay, Wis., na którem stanowisku w r. 1933 obchodził srebrny swej sakry biskupiej Jubileusz.

Wiekiem już starszy i zdrowia nienajlepszego, a także niejedną przykrością ze strony swoich i obcych zrażony—od lat szeregu, niestety, nie udziela się już Ks. Biskup Rhode—jak dawniej, sprawom Polonji, a zajął się wyłącznie włodarstwem swej diecezji.

Ś. P. KS. BISKUP EDWARD KOZŁOWSKI

Ś. p. Ks. Biskup Edward Kozłowski był drugim Biskupem polskim w Ameryce. Urodził się w Tarnowie, 1860 r. Nauki średnie odbył w Starym Kraju, poczem słuchał prawa na Uniwersytecie we Wiedniu. Powziąwszy powołanie do stanu duchownego, obrał Północną Amerykę za teren pracy i w r. 1885 przybył do Chicago. Studjował w prowincjonalnem Seminarjum, w

Milwaukee, Wis., gdze otrzymał święcenia kapłańskie w 1887 r. Pracował przy parafji św. Brygidy w Midland, Mich.; nieraz tam pono w głodzie i chłodzie trwać było trzeba, a gdy wybuchła schizma w polskiej parafji w Saginaw, Mich., Biskup polecił Ks. Kozłowskiemu objąć parafję tę — jako misję; Ks. Kozłowski przywrócił parafję do równowagi i we wzorowym porządku oddał ją swemu następcy. Misjonarską iście pracę Ks. Kozłowskiego cenili wszyscy, a szczególnie Polacy, których organizacją zajął się energicznie, założył kilka szkół polskich, a zdrowy ten posiew wydał znakomite owoce— w postaci dzisiejszych, kwitnących tam parafij polskich.

Następnie działał Ks. Kozłowski w Manistee, Mich., uspokoił wzburzoną tamtejszą parafję polską, przywrócił porządek, ulepszył szkołę, założył czytelnię parafjalną własnym kosztem i nowy gmach szkolny zbudował. Od r. 1900 działał Ks. Kozłowski w Bay City, Mich.: w tej parafji spłacił długi, przyozdobił kościół, chylący się do upadku, dom Sióstr przebudował i plebanję odrestaurował. Dbały o szkołę, znakomicie ją rozwinął i udoskonalił. Tamże założył drugą parafję św. Jacka i wybudował dla niej najpiękniejszy i najlepiej podówczas w całej diecezji urządzony gmach szkolny. Następnie zorganizował parafję w Fisherville, wybudował tam również piękny kościół, oraz plebanję; założył wreszcie parafje w Mt. Forest i w Nine Mile, tworząc nowe polskie placówki, do dziś istniejące. Z własnych funduszów założył w tych wszystkich parafjach czytelnie.

Ks. Edward Kozłowski był wzorem przykładnego kapłana, gorącego patrjoty i niestrudzonego szermierza dobra społecznego; działalność jego prawdziwie znamionuje człowieka o żelaznej energji i nieugiętej woli: zalety te powoliły mu w stosunkowo krótkim czasie dokonać tylu doniosłych dzieł. Więc otoczony czcią i wdzięcznością powszechną, cieszył się powagą i zaufaniem rodaków. W diecezji Grand Rapids sprawował godność konsultora. W r. 1913 został Ks. E. Kozłowski wyniesiony do godności Biskupa, którą uwieńczono zasługi jego: powołany na stanowisko Koadjutora Archidiecezji w Milwaukee, krótko—niestety na niem pozostawał, zmarł bowiem w sile wieku—w r. 1915.

Ś. P. KS. BISKUP JÓZEF PLAGENS

Długie lata po zgonie ś. p. Ks. Biskupa Edwarda Kozłowskiego—jednego tylko mieliśmy przedstawiciela wśród wyższej Hierarchji Katolickiej w Ameryce—Ks. Biskupa Pawła Rhodego.

Aż wreszcie w r. 1924, wyniesiony został do godności biskupiej Ks. Józef Plagens, który przez lat szereg sprawował urząd Koadjutora ówczesnej diecezji, obecnie zaś Archidiecezji Detroit.

Ś. p. Ks. Józef Plagens urodził się 5-go lutego, 1880 r., w Czesławie, we Województwie Poznańskiem. W r. 1884 z rodzicami przyjechał do Ameryki, do Detroit, Mich. Po ukończeniu nauk Ks. J. Plagens został wyświęcony na kapłana 5go czerwca, 1903 r. Pracował w diecezji detroickiej gdzie z czasem został mianowany proboszczem parafji p. w. Najsł. Serca Marji, tamże został zamianowany Biskupem-Sufraganem diecezji detroickiej, konsekrowany dnia 30go września, 1924 roku.

Po jedenastu latach pracy w Detroit został przeniesiony na stolicę biskupią w Marquette dnia 16-go listopada, 1935 r., skąd w r. 1941, w dniu 18-go lutego został przeniesiony na Biskupa diecezji Grand Rapids, Mich., gdzie życia świątobliwego dokonał 31go marca, 1943r.

Ś. p. Ks. Biskup Józef Plagens był znakomitym mówcą, a w pięknych swych przemówieniach, tak w angielskim, jak w polskim języku, zagrzewał do miłowania Boga w Kościele i życiu, a Ojczyzny w rodzinnej mowie i ofiarności. Polonja Amerykańska znała cała Ks. Biskupa Plagensa, gdyż udzielał się zawsze chętnie, jeżeli sprawa Kościoła lub Polski go wzywała. Jako doskonały mówca porywał słuchaczy swemi przemówieniami, tchnącemi miłością Ojczyzny i pełnemi wzniosłych poleceń.

Dla swojej pracy duszpasterskiej ś. p. Ks. Biskup Plagens ma piękną i niezwykle chlubną kartę w dziejach Polonji Amerykańskiej. Należał on do tych kapłanów starszej generacji, którzy poza pracą dla Kościoła katolickiego zawsze znaleźli dość sił, aby pracować dla Polski i dla dobra ludu polskiego w Ameryce. Ś. p. Ks. Biskup Plagens zawsze okazywał żywe zainteresowanie dla spraw narodowych, a w sprawach polskich, w czasie pierwszej Wojny Światowej bardzo czynny brał udział; nie mniej czynny był i we wszystkich innych potrzebach narodowych.

KS. BISKUP STANISŁAW BONA

W roku 1932 wyniesiony został do godności biskupiej Ks. Dr. Stanisław Bona z Chicago, wychowanek Kollegjum św. Stanisława. Wyświęcony na kapłana w r. 1912, został mianowany Biskupem diecezji Grand Island, Neb., a konsekrowany został 25go lutego, 1932. Wybitny kapłan katolickiego Kościoła w Ameryce, doskonały działacz społeczny i narodowy, Ks. Biskup Stanisław Bona znany jest w całej Polonji, której sprawom udziela się chętnie i owocnie.

KS. BISKUP STEFAN WOŹNICKI

W roku 1938 został mianowany Biskupem-Koadjutorem Archidiecezji Detroit Ks. Stefan Woźnicki, proboszcz tamtejszej parafji św. Jacka. Konsekrowany na Biskupa dnia 25-go stycznia rzeczonego roku—jest Wikarym Generalnym Archidiecezji. W sprawach polsko-amerykańskich bierze udział chętny, a głos jego i wpływy mają znaczenie przewodnie, przez rodaków chętnie i szczerze uznawane.

VI.

O RÓWNOUPRAWNIENIU WE WYŻSZEJ HIERARCHJI KATOLICKIEJ.

Sprawa, wymieniona w nadpisie, popularnie mówiąc—starania o pozyskanie Biskupów polskich w Ameryce, nie nowa jest: stanowi ona jeden z głównych, najsilniej podniecających motywów współdziałań i ambicyj polskich w Stanach Zjedn. Już przed przeszło pięćdziesięciu laty myślano tu o Biskupach Polskich, choć Polaków było wtedy jeszcze niewielu w całej Ameryce. Prawdopodobnie były to "pia desideria" ideowe, nie mające praktycznego zastosowania, choć wiemy, iż już X. Kardynał Ledóchowski myślał o uzyskaniu u Stolicy Śtej—przysłania do Ameryki wygnanego z Wilna przez Rosjan, X. Biskupa Hryniewieckiego.

To najpierwszy rzeczy wątek, stąd nawiązanie nici zabiegów, omawianych w niniejszym Rozdziale. Jak wspomniałem w Rozdziale poprzednim, bawił w Ameryce w r. 1905 X. Arcybiskup Albin Symon,przysłany tu przez Watykan dla zbadania stosunków polskich, a to na skutek starań, od lat już wówczas trwających ze strony Duchowieństwa i społeczeństwa polsko-amerykańskiego o równouprawnienie dlań we wyższej hierarchji Kościoła Katolickiego. O sprawie tej wtedy pisano i mówiono wiele, lecz długo starania te były bez rezultatu. Winę ponosili po części Polacy sami, jakkolwiek bowiem stanowili i stanowią potęgę liczbową i majątkową wśród katolików amerykańskich, nie umieli zabiegów swoich uczynić skutecznemi: były one mianowicie zbyt rozbieżne i niesolidarne. Sprawa poczęła układać się lepiej, kiedy ją ujęły w ręce Kongresy Polskie Katolickie, których mieliśmy trzy, jak poprzednio wspomniałem, a których Wydziały Wykonawcze publicznie i prywatnie czyniły starania w Rzymie celem złamania uprzedzeń, oraz oporu Biskupów irlandzkich i niemie-

ckich, którzy Polakom usilnie przeszkadzali. Wysłano wreszcie delegację polską do Rzymu w tej sprawie, z Ks. Wacławem Kruszką na czele *(Patrz Przypiski)*, a w kilka lat potem Polonja witała w r. 1905 specjalnego do Polaków amerykańskich Delegata Papieskiego, właśnie X. Arcybiskupa Albina Symona—przysłanego tu dla zbadania stosunków. X. Arcybiskup Symon zwiedził wszystkie ważniejsze parafje i osiedla polskie, wszędzie z rozrzewniającą witany serdecznością; spędził w Ameryce kilka miesięcy, poczem z podróży swej Papieżowi Piusowi X-mu nader pomyślne dla sprawy naszej złożył sprawozdanie. W sprawie równouprawnienia Polaków amerykańskich w Kościele Katolickim X. Arcybiskup A. Symon położył tym aktem zasługi ogromne, zapisując swe imię we wdzięcznej pamięci naszej Polonji *(Patrz Przypiski)*.

Memorjał ów, dla nas jak najżyczliwiej zredagowany, stał się niewątpliwie głównym argumentem, na naszą korzyść przemawiającym, gdy sprawa równouprawnienia kleru naszego u władz kościelnych do rozstrzygnięcia dojrzała. W memorjale owym X. Arcybiskup Symon przedstawił słuszność sprawy polsko-amerykańskiej tak wymownie, popierał ją argumentami tak silnemi, że istotnie lepszego nie mogła sprawa nasza otrzymać obrońcy i rzecznika; podniósł tam X. Abp. Symon wszystko, co mogło szalę ostatecznie na naszą stronę przeważyć, odpierał i zbijał wszystkie utrudnienia i przeszkody, z odwagą nawet po imieniu je nazywając; wskazywał ich źródła i przyczyny, a cały sądów swych światłych wniosek ostateczny zamknął żądaniem, zgodnem z głosem całej Polonji Amerykańskiej—głosem, proszącym usilnie o przyznanie nam praw, nie o łaskę, na którąbyśmy nie zasługiwali, do którejbyśmy nie dorastali, ale o należny nam, na równi z innemi narodami katolickimi, udział we wyższych kościelnych dostojeństwach, abyśmy nie byli wiecznie ostatnimi, wiecznie cicho, bez uznania pracującymi, lecz byśmy też i nagrodę otrzymali za trudy nasze, za trudów tych świetne rezultaty, nagrodę i zachętę, a uznanie ze strony samego Kościoła Katolickiego, którego „wiecznie wierną" dziatwą jesteśmy i być nie przestaniemy.

Sprawozdanie omawiane wydał X. A. Symon we formie obszernej, gruntownie opracowanej broszury; pisał w niej tak dokładnie o naszych stosunkach kościelno-narodowych, że podane argumenty, odpowiednio przystosowane, i dziśby wagę mieć mogły, z osnowy zaś tej broszury poznać może każdy, jaka stale dzieje się nam niesprawiedliwość, jak bardzo słuszne są nasze żądania i prośby, jak więc na zupełne zasługują uwzględnienie. W swej broszurze omawiał X. Abp. Symon przyczyny, dla których tak bardzo trudno Polakom uzyskać coś w sprawie równouprawnienia ich kleru w Ameryce. Oświadczył po prostu, że tutejszy kler niepolski, tendencyjnie występuje przeciw wszelkim naszym staraniom, przedstawia Polaków i ich Duchowieństwo w świetle ujemnem, a nie uwzględnia praw naszych kapłanów i ludu—tam, gdzie to w jego możności i powinności. Na dowód przytaczał X. Symon daty statystyczne i wzmiankował niewielką (stosunkowo i dziś jeszcze) liczbę naszych proboszczów nienaruszalnych i konsultorów. Tych nie mając po diecezjach, nie możemy przedstawiać naszych kandydatów, a posiadając niewielu wśród naszych kapłanów—prałatów i innych wyższych dygnitarzy kościelnych, pozbawieni jesteśmy możności prowadzenia doraźnych starań; tak—zamyka się przed nami wszelkie drogi do pragnień naszych spełnienia. Wobec tych oczywistych krzywd, nam świadczonych, podnosił X. Abp. Symon wielkie zalety ludu polskiego w Ameryce i jego kapłanów, a przytoczone dowody opierał niezbicie na swem kilkakrotnie zanaczonem: "Sam ich widziałem—poznałem, byłem wśród nich, słuchałem ich próśb i błagań i oceniłem ich słuszności." Dał tem ważne świadectwo X. Abp. Symon, że kler polski w niczem niżej od wszelkiego innego nie stoi, że pracuje nad siły nieraz, że wzorową wiedzie gospodarkę, a w tak bardzo skrępowanych — jak wyżej wspomniano — warunkach, zdziałał więcej, niżby wiarę dać można. Wystawił również X. Symon i ludowi naszemu jak najlepsze świadectwo, opisując kościoły, szkoły, kollegja, szpitale i inne instytucje dobroczynne i naukowe — ręką i groszem ludu polskiego wzniesione, podniósł jego ogromną miłość do Wiary św. i dowodził, jak bardzo, jak silnie utwierdzi się to uczucie, gdy Stolica Apostolska uzna prośby Po-

lonji Amerykańskiej i da jej Duchowieństwu—nic więcej—jak tylko równouprawnienie.

W trzy lata po bytności w Polonji X. Abpa. Symona i po jego świetnem z tej wizytacji sprawozdaniu, w r. 1908 zostaje zamianowany Biskupem Ks. Paweł Rhode; krótko potem w roku 1913 Biskupem zostaje Ks. Edward Kozłowski. *(Patrz R. V. i Przypiski doń.)*

Trzecim został dopiero w r. 1927 zamianowany, jako Sufragan diecezji Detroit, Ks. Biskup J. Plagens, późniejszy Ordynarjusz diecezji Grand Rapids, Mich. Czwartym był zkolei Ks. Biskup Stanisław Bona, Ordynarjusz w Grand Island, Neb., a piątym Ks. Biskup Stefan Woźnicki, Koadjutor w Detroit, Mich.

Na tem koniec—do daty książki niniejszej.

Wspomnieć należy, że lat kilka spędził w Polonji Amerykańskiej, w okresie przed pierwszą Wojną Światową—X. Arcybiskup Józef Weber, C.R., dawniejszy Koadjutor Archidiecezji Lwowskiej; był on tu Prowincjałem XX. Zmartwychwstańców i funkcyj biskupich nie sprawował. Umarł w Chicago, w r. 1918. Wreszcie w r. 1924 objeżdżał osiedla polskie w Ameryce—jako pewnego rodzaju Delegat Papieski, Ks. Arcybiskup Cieplak, który tu zmarł w r. 1926, pozostawiając po sobie pamięć piękną i wzniosłą. *(Patrz Przypiski)*

Wielkie i dawne, znakomicie zorganizowane skupienia polskie w Ameryce — po diecezjach takich, jak Chicago, Buffalo, Piitsburgh, Cleveland i w innych, posiadające setki ogromnych parafij polskich, nie mają wciąż reprezentacji, ni głosu we wyższej hierarchji kościelnej, co oczywista niekorzystnie odbija się na całokształcie spraw polskich. Swego czasu Arcybiskup chicagoski, Ks. Jerzy Mundelein czynił nadzieje, iż zamianuje w swej ogromnej i bogatej Archidiecezji—Sufragana z pośród polskich księży, choćby dlatego, iż parafij polskich w Archidiecezji owej jest około stu, a wśród nich są niektóre wielkie, jak niejedna diecezja; nadto polski kapłan—jako zastępca i pomocnik Ordynarjusza, mógłby oddziaływać korzystnie i wśród innych mnogich Słowian, którzy tam również liczne posiadają parafje; wreszcie

w Archidiecezji Chicagoskiej istnieje precedens, że miała już ona Sufragana—Polaka, był nim, jak wspomniano, przed laty—Ks. Biskup P. Rhode. Aliści—po wyniesieniu Ks. Mundeleina do godności kardynalskiej—widocznie odmieniła się jego orjentacja w kwestji omawianej, a choć dla znających sprawy owe nie jest tajemnicą, że zamianowanie Sufragana zależne jest głównie od Ordynarjusza, mimo to stolica Polonji Amerykańskiej Biskuparodaka nie dostała. Wskazywano na to, że Ks. Kard. Chicagoski ma w Rzymie wpływy i znaczenie duże, gdyby tedy był podkreślił zamianowanie polskiego Sufragana jako konieczność u siebie, jako czynnik, potrzebny ku rozszerzeniu Kościoła Katolickiego w Chicago i w Ameryce wogóle, to niezawodnie Rzym nie sprzeciwiałby mu się i owszem zamianowałby, a raczej zatwierdziłby tego, kogoby mu sam Ks. Kardynał do zamianowania przedstawił. Wówczas sprawy te utknęły na martwym punkcie. Próbowano je poruszyć i popchnąć z Polski, ale robiono to—źle i niezręcznie. Czytywałem w gazetach polskich pełne oburzeń interpelacje, dyskusje sejmowe itp., artykuły, krytykujące ostro wewnętrzne sprawy Stanów Zjednoczonych—właśnie z powodu nieuwzględniania Polaków we wyższej hierarchji katolickiej *(Patrz Przypiski)*. Były to wszystko wystąpienia nader niefortunne, nietaktowne, a nam w Ameryce — szkodzące. Dla zrozumienia wyobraźmy sobie odwrotne postawienie rzeczy: czyby n. p. Episkopat polski chciał tolerować, gdyby mu się zaczął w takie sprawy, czysto wewnętrzno polskie, wtrącać element amerykański? ... Z pewnością — nie. A właśnie to czyniono z Polski względem Episkopatu amerykańskiego, t. j. próbowano czynić, szkodząc nieoględnością—zamiast pomagać w kwestji omawianej.

Amerykański Episkopat najzupełniej słusznie uważa sprawę mianowania Biskupów w Stanach Zjednoczonych za rzecz wewnętrzną, własną, czysto-amerykańską. Polacy amerykańscy są też przedewszystkiem Amerykanami, za takich są brani i chcą być brani ze strony wszelkich władz i czynników społecznych życia amerykańskiego—a więc i ze strony religijnej, przeto Biskupi, o których idzie, z pośród nich jedynie być mogą; muszą być przedewszystkiem Amerykanami i o tem orzekać mogą jedynie

Biskupi amerykańscy, nam zaś może iść tylko o to, by ci Biskupi dla nas tu—byli Amerykanami polskiego pochodzenia, jak tego właśnie pragnie cała, rozumnie uświadomiona, Polonja Amerykańska.

Co dotyczy starań na przyszłość o równouprawnienie w hierarchji kościelnej — to przedewszystkiem należy postępować zgodnie z nauką Kościoła, a dalej—taktownie i rozważnie. Oczywista—uważamy, iż się nam tu równouprawnienie należy, żeśmy go warci i godni, jesteśmy też pewni, że je otrzymamy—prędzej, czy później. Ale prędzej to będzie, gdy będziemy działali roztropnie, nie będziemy popełniali nietaktów, jakich sami dotychczas mamy na sumieniu—w tej właśnie sprawie—ogromnie wiele: to przyzna każdy, kto zna daną sprawę; prędzej to osiągniemy, gdy nie ponad danych władz głowy i przeciwko nim, lecz w porozumieniu z niemi i lojalnie względem nich postępować i działać będziemy, szanując zaś drogi, przyjęte dla spraw pewnych, poprowadzimy właśnie niemi nasze interesy, nie torując nowych, które nas doprowadzić mogą do strat, zawodów i zwłok—w najlepszym razie, niepożądanych i niezasłużonych.

Amerykańscy Polacy, mówiąc o równouprawnieniu w hierarchji kościelnej, rozumieć winni, iż tu idzie nietylko nawet o samych Biskupów! Oto powinniśmy mieć po diecezjach—tam, gdzie Polacy są liczni—konsultorów, czyli radców biskupich w liczbie odpowiedniej, którzyby naszych praw i dobra strzegli, a dochodzili, powinniśmy mieć kanclerzy, powinniśmy mieć wogóle takich samych diecezjalnych przedstawicieli przy Biskupie, jakich się tu mianuje z innych narodowości. Dotychczas tych właśnie przedstawicieli Polaków bywa po diecezjach tutejszych nadzwyczaj niewielu, ledwie wyjątkowo się trafiają—i w tem też jest spory kawał naszego pokrzywdzenia, oraz lekceważenia żywiołu polskiego—katolickiego w Ameryce. Żądając zatem równouprawnienia—nietylko o samych Biskupów prosimy; powtarzamy—chcemy równouprawnienia, należnego nam w diecezjach, ażebyśmy czuli, że wspólnem ich mieniem, w którem jest naszego dorobku część ogromna, także i my rządzimy, oraz nasi reprezentanci, nasi właśni księża-rodacy, że oni tam też mają coś do

powiedzenia, że tem wspólnem mieniem—my współwładamy, a nietylko jesteśmy tymi, nad którymi się włada. Mamy do tego warunki wszelkie: jesteśmy silnym filarem katolicyzmu w Ameryce, księży mamy wybitnych i zasłużonych—nie tylko równie dobrych obcym, ale nieraz nierównie lepszych: zatem prosząc o równouprawnienie w Kościele—dla nich, prosimy o uwzględnienie nam należne na wszystkich szczeblach dykasterji kościelnej.

Każdy kraj i lud ma prawo starać się o takie uwzględnienia dla swoich przynależnych, ma prawo podejmować dyplomatycznie podobne starania we Watykanie. Za złe brać nie należy ani owych starań i zabiegów, ani tych ambicyj — pożytecznych i szlachetnych, — to każdy przyzna. Ale idzie o to, by starania te były rzeczywiście dyplomatyczne . . .

We wszystkich sprawach, wprowadzających nas tu w jakąbądź styczność z innonarodowemi żywiołami, dotyczących naszych kwestyj narodowych, winniśmy zachowywać szczególniejszą ostrożność, oraz subtelność poczucia skomplikowanej sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Pamiętać mianowicie należy, iż Polonja Amerykańska—nie jest kolonją Polski, jak wielu w Polsce myśli, stąd nie może stosować się ani do dyrektyw z Polski, ani nie może uprawiać wyłączności, czy odrębności nacjonalistycznych w Kraju tutejszym. Wskazania Polski, jej rządu, co do jej narodowych spraw i interesów miarodajnemi być mogą jedynie dla tych, którzy są Polski przynależnymi, t.j. nie są obywatelami amerykańskimi, a tych są tu dziś przeważnie mniejszości, lub też grają oni mniej ważną w Polonji tutejszej rolę: wiedzieć o tem i liczyć się z tem trzeba. To daremne—inaczej być nie może: Polska—powtarzamy—kolonji tu nie ma, a lud jej mieszka tu na prawie—albo gościnności, pod zwierzchnictwem reprezentacji rządu polskiego, to są nie-obywatele,—albo też przyjął obywatestwo amerykańskie, a w tym razie może pozostawać jedynie w ideowej—zresztą bardzo serdecznej i daleko idącej, kooperacji z dawną Ojczyzną, ale winien bezwzględnie pierwszeństwo w poczuciu lojalności—Stanom Zjedn. Nie może inaczej być, ci Polacy są Amerykanami, więc władzom, sprawom, interesom tutejszym winni pierwsze służby. Inaczej sądzić — mogą tylko nie rozumiejący spraw tych, albo — szowiniści.

Otóż w stosunku naszym do tutejszych innonarodowych współobywateli winniśmy zachowywać tę pierwszą lojalność dla Ameryki, nie wolno nam zasię i nietaktownem byłoby wysuwać na plan pierwszy jakiekolwiek tendencje separatystyczne, jakieś wyodrębnienia, patrjotyzmy swoiste, czy interesy wyłącznie nasze własne: to nas obowiązuje w stosunku do władz kraju, do rządu naszej Republiki. Mutatis mutandis, zasada ta musi kierować nami także w naszych interesach z kierarchją amerykańską katolickiego Kościoła, a więc i w staraniach naszych o równouprawnienie w niej Polaków amerykańskiego przynależenia—nie polskiego, bo ci tu praw ni pretensyj takich żywić nie mogą, lub też —gdy kto woli—Amerykanów — polskiego pochodzenia.

Dodać wypada, że na sprawę omawianą istnieje jeszcze pogląd odmienny — zasadniczo różny, mianowicie są zwolennicy czynienia zabiegów o tworzenie w Stanach Zjedn. diecezyj czystopolskich—z tem, by tutejsi Polacy do jurysdykcji takich właśnie diecezyj należeli. Rzecznikiem tego poglądu na sprawę był przedewszystkiem wzmiankowany powyżej X. W. Kruszka. Argumentem na rzecz tej koncepcji sprawy jest 1. precedens, że podobne wyłączności w administracji Kościoła—istnieją—n.p. grecko-katolicy i ich diecezje tutejsze, oraz 2. że życie kościelne i religijne polskie wykazuje pewne odmiany, pewne odrębności, gdzie indziej nie obserwowane. Zdaniem naszem, argumenty to, acz wcale rzeczowe, ale nie dość mocne, nie przekonujące; co do grecko-katolików, to ci mają odmienną liturgję, nie łaciński język kościelny i całą odmienną organizację obrządków, to więc im ułatwia sytuację w kwestji omawianej,—a co do naszych różnic i odrębności w obrzędach—to są one raczej tylko obyczajowe, więc łatwo zmianom ulegające i mniejszego znaczenia; przytem—w miarę wzrostu u nas poczucia amerykańskości—owe tendencje ku wyodrębnianiu się—można być pewnym — byłyby nie dość silne, nawet niepopularne i z pewnością nie doznałyby powszechnego zgodnego podtrzymania a poparcia.

Autor książki niniejszej, współdziałając w ciągu lat wielu z raz poraz wznawianemi w tej sprawie zabiegami, napisał o niej i dla niej szereg cały artykułów, memorjałów i memorandów; w

jednym z nich, chronologicznie ostatnim, podanym na zjazd Duchowieństwa w Pittsburghu w r. 1939, streszczam nasze starania i nadal wskazuję im drogi, radząc, co następuje:

Kościół jest instytucją Bożą, ale też i ludzką zarazem, więc względy ludzkie, sympatje i antypatje ludzkie w nim też swoje znaczenie mieć muszą: tu się mieszczą wpływy polityczne, nacjonalne orjentacje, dyrektywy, intencje amerykanizacyjne itp. Jeżeli mimo takie nawet względy wychylać się zdołają nazwiska "episcopales" rodaków—to uważać to należy za okoliczność bardzo o nas zaszczytnie świadczącą i mimo wszystko — pomyślnie zapowiadającą na przyszłość. Że ta przyszłość nie przybywa ku nam zaraz — natychmiast, to nam tylko może zdać się zbyt powolne i przykre: w dziejach i w życiu Kościoła lata i lat szeregi chwilą są ledwie—i na to już niema rady. Przytem nasze starania bywają zbyt wątłe, mało konsekwentne, mało wytrwałe, mało zespolone, dorywcze raczej—niźli stałe: jeśli porównamy starania te i zabiegi, ofiary dla tej sprawy materjalne—z tem, co robią, co świadczą stale—inni, to uznać musimy, że bardzo mało robi się z naszej strony w tej sprawie. Ludzka to też jest rzecz, ale ma swe wielkie znaczenie, a Kościół, jak rzekliśmy, jest właśnie i ludzką instytucją. Dochodzą do tego rozmaite intryżki, wystąpienia niepoważne, nieraz wprost niepoczciwe—zresztą także tylko ludzkie, a całość sprawia — jeśli nie złe, to w każdym razie słabe warunki dla realizacji naszych ambicyj w omawianej dziedzinie.

Osobno zaznaczam, iż bardzo tu mało — zdaniem tych, co znają te rzeczy—pomóc nam może Polska i wpływy, czy wstawiennictwa jej Episkopatu—tem mniej innych czynników: w każdym razie takie wpływy mogą być stosowane jedynie bardzo dyskretnie, bo narzucane otwarcie—tylkoby szkodzić musiały. Mianowanie Polaków na biskupstwa amerykańskie — jest ponad wszystko, o ile zakresu ludzkich spraw dotyczy, rzeczą wybitnie amerykańską: tak to pojmuje, tak stosuje amerykański Episkopat, który musiałby z niechęcią odnosić się do wpływów narzucanych sobie z zewnątrz, z innego jakiegobądź kraju. Jeśli tu nasz (albo i nie nasz) jaki kapłan zostaje Biskupem—to zostaje nim, nie

jako Polak (lub kto inny), ale jako wybitny i zasługujący na to członek Kleru amerykańskiego, jako Amerykanin. W tem niema niczego nadzwyczajnego, ani zdrożnego. Dlatego powtarzam, że o ile to wogóle jest możliwe, pomoc z Polski w tej spraw dziedzinie może być i powinna być prowadzona tylko bardzo ostrożnie, dyplomatycznie. Żadne rezolucje naszych zjazdów i sejmów, żadne uchwały Sejmu Polskiego—nic tu nie pomogły; przeciwnie —poszkodziły.

Spróbujmy podać plan-projekt praktycznej akcji, która, jak wyżej wzmiankuję, mogłaby w sposób zorganizowany, systematyczny, dążyć do celu; plan ten jest możliwy do zrealizowania, a może okazać się praktycznym i skutecznym—w perspektywie odpowiednio rozwiniętych działań. Należy mianowicie do roboty tej skupić tutejsze polskie koła już zorganizowane, przedewszystkiem instytucje, stojące na gruncie katolickim, choć można być pewnym, że względem tej sprawy i takiej roboty nie pozostałyby obojętne i inne organizacje nasze, zwłaszcza największe i najpoważniejsze. Obrać grono ludzi, którzy akcją kierować będą i— wysłać jej emisarjuszy—do Rzymu. Niechaj to będzie nasza delegacja, nasza reprezentacja, właściwa i godna powagą, stanowiskiem, intellektem i silnem postawieniem w świecie katolickim; niechaj—jak ongi—zaniesie ona nasze "supplices preces" do samego Papieża, a zarazem niech nasze interesy i pragnienia zreferuje odpowiednio w sferach Watykanu. To—jest do zrobienia, a sami to zrobić musimy, nie zdając się na niczyje fawory, czy protekcje. Reprezentacja taka winna być złożona wyłącznie z ludzi świeckich, katolików; nie z Duchowieństwa—dlatego, by mieć tem wolniejsze ręce i sposoby postępowania tu, w Kraju i tam, we Watykanie. Księża, jeśliby w tem byli, lub choćby tylko w tutejszej uczestniczyli robocie, naraziliby się tutejszym swoim zwierzchnikom i spowodowaliby ich sprzeciwy, zakazy etc. Reprezentacja polska we Watykanie powinna tam przebywać stale, w każdym razie czas dłuższy, odpowiednio do konjunktur, jakie spotka i stworzy; stanowczo nie powinna porzucać rzeczy poczętych zbyt wcześnie, przeciwnie ma zawsze być gotowa i na miejscu—do przeciwdziałania niechętnym wpływom, których napew-

ne nie braknie. Reprezentacja nasza mogłaby taktownie i dyskretnie współdziałać z dyplomatycznemi wpływami Państwa i Episkopatu polskiego, który mógłby jej być prywatnie pomocny w otwieraniu i ułatwianiu dostępu, gdzieby trzeba było i w przedstawianiu życzliwem naszych starań w kołach decydujących, do których nasi delegaci mogliby nie docierać: to jednak tylko w największej dyskrecji powinno być robione, by przedwczesne, lub wogóle niewczesne wyjawienie takich współdziałań nie wywołało w Ameryce łatwo zrozumiałych reakcyj. Nie trzeba dodawać, iż reprezentacja nasza, mając odpowiednie wpływy i środki, powinna ich używać taktownie, by dalej i jak najdalej "zajechać", bo powtarzam: Kościół jest nie tylko Bożą, ale i ludzką instytucją, więc i ludzkich środków i względów pomijać nie należy.

Oczywista — robota taka jest kosztowna: ani słowa. Aleć dawniejszemi czasy zdobywaliśmy się na środki finansowe dla nierównie kosztowniejszych jeszcze zamierzeń (n. p. w okresie pierwszej Wojny Światowej), zatem koszta przestraszać nas, ni uniemożliwiać zamierzeń tych nie powinny. Organizacje nasze, które od dawna kłopocą się o te sprawy, niechajby tę inicjatywę podjęły, stworzyły odpowiednie porozumienia i początek dały tej robocie. Jestem pewny, że grono, które umiałoby się zdobyć na akcję taką, zdobyłoby się i na jej ukonstytuowanie należyte. Dla tej akcji stworzyć trzeba wyłączną grupę działań i działaczy, postawić ich pod należytą odpowiedzialność względem grona współdziałających instytucyj, dać im środki, w odpowiedniem oczywista ujęciu kontrolnem i—do Rzymu ich posłać. Tam—u źródła działać, z Głową mieć do czynienia, nie kim innym. Z tego, choć może nie natychmiast, byłyby niezawodnie pożądane przez ogół polski i katolicki rezultaty.

PRZYPISKI

KS. WACŁAW KRUSZKA

Urodził się w roku 1868, w Słabomierzu, w Poznańskiem. Niższe szkoły i średnie odbył w Polsce, teologję studjował w "Gregorianum" w Rzymie, a dokończył studjów w Ameryce; wyświęcony na kapłana w St. Francis, Wis., w r. 1895. Zorganizował parafję św. Wacława w Ripon, Wis. i przez lat szereg był jej proboszczem; następnie przeniesiony do Milwaukee, Wis., tamże sprawował urząd proboszcza parafji św. Wojciecha—aż do zgonu—w r. 1937. Był na przełomie wieku delegatem Polonji do Rzymu, dokąd go wysłano w sprawie polsko-amerykańskich starań o równouprawnienie Polaków amerykańskich w hierarchji wyższej Kościoła Katolickiego, której to sprawy przez życie całe był wiernym a gorliwym rzecznikiem i bojownikiem. Wiele o niej pisał i kazał, propagując pogląd tworzenia odrębnych diecezyj polskich w Ameryce, z jurysdykcją dla Polaków wyłącznie. Dużo pisywał: jest autorem pierwszej "Historji Polskiej w Ameryce", która właściwie nie jest historją w ścisłem tego słowa znaczeniu, a zbiorem materjałów do niej. Dzieło to, w każdym razie podstawowe, zawiera wiele zapisków, dziś rzadkich; wydane zostało w r. 1905; obecnie już trochę przestarzałe, nie mniej cenne; w ciągu opracowywania nowego wydania, które zapowiadało się dużo obszerniejszem, a więcej krytycznem, autor zmarł—przedwcześnie. Pozostawił nadto sporo innych książek i broszur, jak: "Rzym", "Anarchizm i jego stosunek do Socjalizmu", "The Unbeliever before the Tribunal of Reason", "Siedm Siedmioleci" i inne. Był Ks. Wacław Kruszka dobrym mówcą i wysoce zasłużonym działaczem społeczno-narodowym, a wśród Polonji Amerykańskiej pozostawił po sobie pamięć dobrą jednego z najdzielniejszych pracowników jej równouprawnienia w Kościele Katolickim w Stanach Zjednoczonych.

KS. ARCYBISKUP ALBIN SYMON

Delegat Papieski do Polonji Amerykańskiej—w r. 1904-tym, przysłany na skutek starań polskich w Rzymie o równouprawnienie w hierarchji wyższej Kościoła Katolickiego w Stanach Zjedn. Bawił tu kilka miesięcy, zwiedzając wszystkie parafje i ważniejsze centra współżycia naszego, konferując z przedstawicielami Duchowieństwa, Organizacyj i wogóle studjując nadzwyczaj gruntownie sprawy nasze, o których następnie złożył Ojcu Świętemu omówione w osnowie Rozdziału niezmiernie doniosłe, a bardzo życzliwe dla Polonji sprawozdanie.

Urodził się Ks. Franciszek Albin Symon w r. 1841, w Dubowcu, pod Żytomierzem, gdzie ukończył Seminarjum; poczem studjował w Akademji Duchownej w Petersburgu, a następnie w Uniwersytecie w Monachjum. Wyświęcony na kapłana w r. 1864, był profesorem wymienionej Akademji w Petersburgu aż do r. 1877, później był jej rektorem. W r. 1891 wyniesiony do godności biskupiej—zostaje Koadjutorem mohylowskim. W r. 1897 został Biskupem Diecezji Płockiej w Polsce, której jednak — zpowodu sprzeciwu władz rosyjskich—nie objął, natomiast nakazano mu pobyt w Odessie gdzie przebywał aż do czasu—zwolnienia z warunkiem wyjazdu za granicę. Osiadł tedy w Rzymie, gdzie w r. 1901 został wyniesiony do godności Arcybiskupa: w niejednej tam sprawie przysłużył się Polsce, poświęcał się pracom naukowym i pisarskim: napisał "Historję Seminarjum Wileńskiego Głównego",

"Historję Akademji Duchownej w Petersburgu" (po łacinie), "Hymny Kościelne" i "Tłumaczenie Pisma Śtego Starego" i "Nowego Testamentu" (po polsku), oraz szereg innych prac i artykułów. Zmarł w Krakowie, w r. 1918.

KS. ARCYBISKUP JAN CIEPLAK

Ks. Jan F. Cieplak urodził się w Dąbrowie w Polsce; pochodził z rodziny włościańskiej. Studja teologiczne ukończył w Petersburgu, gdzie następnie przez 25 lat był Profesorem Teologji dogmatycznej w Seminarjum duchownem. W r. 1908 mianowany został Biskupem-Sufraganem diecezji mohilewskiej, a w r. 1919 Arcybiskupem-Metropolitą. Aresztowany przez rosyjski rząd bolszewicki, w 1920 r., trzymany był we więzieniu dwa lata, a w roku 1923, po sławnym na świat cały procesie—został skazany na śmierć, za szerzenie i obronę Wiary katolickiej, oraz za propagandę patrjotyczną na rzecz Polski. Za wstawieniem się wszystkich państw europejskich i Stanów Zjednoczonych, bolszewicy zamienili mu wyrok śmierci na 10-letnie więzienie. Przecierpiał w niem srogie, duchowe i fizyczne katusze pełne dwa lata, aż podupadł ciężko na zdrowiu; wtedy władze bolszewickie znaglone staraniem wszystkich państw i Papieża Piusa XIgo, uwolniły Ks. Arcybiskupa Cieplaka, skazując go na wygnanie. Odstawili go w 1925 r. do granicy łotewskiej, skąd Ks. Arcybiskup Cieplak udał się do Polski, a stamtąd do Rzymu. Tam przyszedłszy do zdrowia, udał się w r. 1925 w specjalnej misji od Ojca św. do Stanów Zjednoczonych. Zwiedził tu przeszło 300 polskich parafij, badał istniejące stosunki po kościołach i szkołach, zachęcał do nauk i zachowania ducha narodowego wśród młodzieży, a wśród starszych jedności. Mianowany Arcybiskupem-Metropolitą we Wilnie, miał złożyć swe relacje Papieżowi i udać się na swą stolicę do Wilna, gdy, niestety, zaziębił się i zmarł w Passaic, N. J., 17-go lutego, 1926 roku, dzień przed datą naznaczoną na wyjazd do Europy. Zwłoki czcigodnego Arcybiskupa-Patrjoty kosztem rządu polskiego przewieziono do Wilna i pochowano w archikatedrze św. Kazimierza.

VII.

SZKOLNICTWO.

a.) Szkoły Parafjalne.

"Na głębszych fundamentach wyższy mur stać może" — to Mickiewicza wskazanie przyjęliśmy swego czasu za motyw przewodni książki, napisanej przed laty, a poświęconej polskiemu "Szkolnictwu i Wychowaniu" w Ameryce,* które omówiliśmy tam obszernie, podając wiele wskazań naprzyszłościowych: w znacznej mierze ich aktualność i dziś nie straciła na tych lat upływie. W Rozdziale niniejszej książki, poświęconym Szkołom, tylko krótkie streszczenie rzeczy dać możemy, o ile Szkolnictwo stanowi właśnie sporą i ważną część naszego dorobku w Ameryce.

Główną, jedyną prawie podstawą szkół polskich w Ameryce były i są do dziś—parafje, które same jedne wśród emigracji i nią wytworzonych najtrudniejszych warunków stworzyły i utrzymują tu szkolnictwo nasze, skupiają młode pokolenia, uczą bodaj jako-tako mowy ojczystej, powinności obywatelskich, a chronią przed zobojętnieniem względem religji, tak częstem i powszechnem wśród wychowanków amerykańskich szkół publicznych. Szkoła przy każdej prawie parafji polskiej istnieje: początkowo małą—rozwija się ją statecznie w miarę potrzeby i wzrostu parafji.

Ze zwyczajnych trzech typów i stopni szkół—mamy tu niższe, elementarne i średnie; szkoły wyższej—w znaczeniu uniwersytetu—dotąd nie mamy, choć zaraz wspomnieć się godzi, że swego czasu i o tem w Polonji już myślano, a nawet próby pewne w tym kierunku podejmowano; wówczas zadanie okazało się ponad siły. Obecnie również podnoszą się głosy, by Seminarjum Polskie w Orchard Lake, Mich., przetworzyć na Uniwersytet, ale

* K. Wachtl: "Szkolnictwo i Wychowanie". Chicago, Ill., 1904.

pewnie—nie wnet przyjdzie do tego... (O Seminarjum tem piszę więcej w części, poświęconej Szkołom Średnim.)

Średnich szkół mamy około pięćdziesiąt, przeważnie dobre, wszystkie prawie uznane i akredytowane przez odnośne władze szkolne; dają one wychowankom wstęp bez większych trudności do najwyższego typu uczelni, Uniwersytetów, Kollegjów akademicko-profesyjnych, jak: szkół medyckich, prawniczych, technicznych i t. p. Taką szkołę w Chicago prowadzą od lat 50 XX. Zmartwychwstańcy — to Kollegjum św. Stanisława; takiem jest wzmiankowane wyżej Polskie Seminarjum w Orchard Lake pod Detroit, Mich., które wychowało zastępy całe kapłanów polskich w Ameryce; Związek Narodowy Polski założył i prowadzi od ćwierćwiecza zgórą szkołę średnią w Cambridge Springs, N. Y., i t. p. Ale o tych uczelniach piszę właściwie w dalszej części Rozdziału niniejszego.

Jak w każdem społeczeństwie, tak i u nas najważniejszemi są szkoły najprzystępniejsze, najpowszechniejsze — elementarne, te bowiem wykluczają analfabetyzm i dają pewien zasadniczo zrównany, choć minimalny, stopień oświaty, niezbędnej każdemu do przeciętnie kulturalnego bytowania w postępowem społeczeństwie. Jak rzekłem, te szkoły mamy przy każdej prawie parafji polskiej. Zwyczajnie są one podzielone na ośm stopni, stosownie do przepisów krajowych; nie wszystkie miewały odrazu tych stopni ośm, póki n.p. parafja była mała, lub młoda; lecz w zasadzie wszystkie szkoły owe do takiego minimum dążą, osiągnąwszy je zaś, bywają uznane przez lokalne władze szkolne, a uczniowie ich i uczennice otrzymują dostęp do szkół średnich.

W szkołach parafjalnych uczą SS. Nauczycielki rozmaitych Zgromadzeń Zakonnych; wytworzyło się to z przyczyny tej, iż nauczycieli i nauczycielek świeckich nie mieliśmy dawniej, nie mamy ich i dziś w Polonji tak, że stan ten i zawód nie istnieje u nas prawie zupełnie; parafje nasze, ze składkowego grosza organizowane, nie mogłyby zdobyć się na płacenie dostatnich pensyj nauczycielom świeckim; tylko Zgromadzenia Zakonne mogły we warunkach takich — sprostać ciężkiemu postulatowi dostarczania sił nauczycielskich za bagatelne wprost wynagrodzenia, nie sto-

jące w najmniejszej proporcji z dawaną za nie pracą. Dlatego to zasługi SS. Nauczycielek w szkolnictwie polsko-amerykańskiem są wprost nieocenione—w najdosłowniejszem wyrazów tych znaczeniu i dlatego je tu podnoszę na pierwszem miejscu, mówiąc o parafjalnych uczelniach, które są SS. Nauczycielek naszych najzaszczytniejszem polem pracy. Dodać należy, iż nauczycielki zakonne kształcą się wciąż, że usilnie pracują nad sobą, Zgromadzenia ich łożą na to, że szkoły, im oddane, ulepszają się tem stale, a niektóre osiągnęły już wysokie bardzo stopnie doskonałości; większość ich w niczem nie ustępuje równorzędnym szkołom amerykańskim, indyferentywnym co do religji i silnie amerykanizatorskim; przeciwnie nasze szkoły przewyższają nawet publiczne, co się wykazuje stale i często.

Dla zrozumienia kwestji trzeba nam o publicznych amerykańskich szkołach powiedzieć zdań kilka:

Szkoły publiczne mają otwarcie, a niewłaściwie aplikowany —amerykanizatorski charakter i sposoby działania, już więc z tego samego względu nie powinny one być dla nas pożądane; przeciwnie bronić się przed niemi wypada. Nadto szkoły te są bezwyznaniowe, bezreligijne, tem samem pozbawiają swych wychowanków tych życiowych zasad moralnych, które tylko religja dać może. W tych to szkołach właśnie początek bierze wiele ujemnych stron amerykańskiej społeczności, że tylko wspomnimy: rozterki rodzinne, rozwody, tak ogromnie częste, sekciarstwo, wybujałe tak dziwacznie, jak nigdzie na świecie, bezskrupulatność w postępowaniu "byznesowem", aż nadto częsta, rozluźnienie więzi moralnych i wiele innych ujemnych przejawów. Przed tem wszystkiem chronić pragniemy nasze młode pokolenia, a że u nas tradycjonalnie łączy się wierność dla Religji ojców z poczuciem narodowem, zatem i w Ameryce składa się tak—nieodmiennie, iż ze zatratą religji — i amerykanizacja postępuje tem szybciej, przeto w samym choćby tylko narodowym interesie—leży dbałość o utrzymanie religijności w młodych generacjach, oraz o wszelkie instytucje, które religijną stronę życia umacniają, a więc o szkoły parafjalne przedewszystkiem.

Szkoły nasze, poza pełnym, przepisanym planem naukowym, dają jeszcze na swym programie religję, oraz najprymitywniejsze

przynajmniej wiadomości ze zakresu polonistyki. Niestety — z przykrością przychodzi stwierdzić, że w Polonji nigdzie niema stu procentowego zrozumienia i uznania doniosłości ogromnej szkół parafjalnych; gdyby ono było silne, a solidarne, sameż te szkoły możnaby zrobić nierównie lepszemi jeszcze—i w polskim i w amerykańskim kierunku. Choć przeważna większość naszych wszędzie należy do parafji, wielu jest właśnie na punkcie szkół parafjalnych—obojętnych, lub niesłusznie uprzedzonych: ci grzeszą ciężko przeciwko narodowo-plemiennej solidarności, gdy posyłają swą dziatwę do szkół publicznych, które imponują im może większą zasobnością, wspanialszemi gmachami, a zachęcają mniejszą skalą wymagań. Wielu mamy niechętnych szkołom naszym z powodów zupełnie błahych, wielu jest uparcie przeciwnych takich, co szkoły parafjalne odsądzają od zasług i wartości, nie pomnąc, że kalają własnych rodaków dorobek ciężki i cenny. A przecie o tej rzeczy takby sądzić należało, że gdyby te szkoły naprawdę nawet gorsze były od innych, co stanowczo nie jest prawdą, jak już zaznaczyłem, to jednak—choćby dlatego, że nasze są, że polskie, że nasze dzieci choć trochę po polsku nauczą, jużci nam one milsze i bliższe być winny—od obcych. Niestety—w zacietrzewieniach, często nieuświadomionych nawet, zapomina się o tem z wielką szkodą dla zasadniczej sprawy i dla harmonijnych wogóle nastrojów w Polonji.

Szkołom parafjalnym utrudnia współzawodnictwo z publicznemi i ta okoliczność, iż publiczne szkoły są bezpłatne, gdy w naszych parafjanie opłacać muszą po 50, lub 75 centów od dziecka —miesięczne; jeżeli w rodzinie chodzi do szkoły kilkoro dzieci, to ostatecznie może to stanowić różnicę w budżecie rodziny. Dodać jednak należy, iż nasze szkoły — w dodatku do programu szkolnego—dają rozmaite, zaprawiające młodzież do przyszłego życia społecznego, pouczenia i okazje, bo istnieją przy nich kółka i towarzystwa śpiewacze, sceniczne, oszczędnościowe, bibljoteczki, towarzystwa alumnackie i t. p., czego wszystkiego nie szukać w szkołach publicznych, sucho rutynicznych, nie zbliżających młodzi do instytucji macierzystej, nie troszczących się o nią poza godzinami nauki i nie dających poza nauką—absolutnie niczego na resztę życia. Jest to wada amerykańskiego szkolnictwa, znana i

wskazywana zdawna przez pedgogów i specjalistów. Konkludujemy stanowczo na podstawie wieloletnich doświadczeń i obserwacyj, najzupełniej bezstronnych, że amerykańskie szkoły publiczne w żadnym względzie nie wytrzymują dla nas—porównania z równorzędnemi polskiemi szkołami parafjalnemi.

Jest życzeniem i tendencją powszechną, tak Duchowieństwa naszego jak i reszty ogółu, ażeby parafjom dać szkoły jak najtaniej, o ile możności zupełnie bezpłatnie, ażeby dzieciom rodziców, którzy w znoju ciężkim na chleb codzienny pracują i ze skromnych dochodów utrzymują księdza i kościół, dać naukę darmo: przyciągnęłoby się tem i przywiązałoby się ludzi tem mocniej do kościoła i do szkoły, a zarazem uczyniłoby się tę szkołę dla nich cenną i drogą. W dalszej konsekwencji dbanoby więcej o dyscyplinę szkolną, o współpracę ze szkołą, o to — by się władzom szkolnym nie narażać, dzieci w domu nie zatrzymywać i t. p. Ideał ten jednakże jest jeszcze dość dalekim spełnienia; powoli —powoli zaczyna on się tu i ówdzie zbliżać do możliwości; w niektórych parafjach, większych i zasobniejszych, już są szkoły bezpłatne, ogółem jednak biorąc, nie prędko jeszcze da się to upowszechnić, parafje bowiem polskie są przeważnie długami obciążone, więc zbierane fundusze muszą obracać na spłatę swych zobowiązań—przed wszystkiem innem.

Wobec ubogich narazie warunków szkół parafjalnych, najważniejszą jest przy omawianiu ich utrzymania i rozwoju kwestja ich dochodów. Dla powiększenia tychże należałoby starać się o stałe subwencje i poparcie ze strony zarządów miejskich, powiatowych, czy stanowych. Dobrzeby było, gdyby szkoły parafjalne mogły uzyskiwać drogą zbiorowych petycyj jakie-takie zasiłki od władz miejscowych, które to subwencje stanowiłyby pewien fundusz podstawowy, na który w każdym razie liczyćby zawsze można. Niechby zasiłek taki był i niezbyt duży, niechby był zastosowany do wielkości szkoły, dla większych—większy, dla mniejszych—mniejszy, zawsze byłby on bardzo ważnem dla szkół naszych wspomożeniem, które możnaby zużywać n. p. na opłatę czy poprawę pensyj nauczycielskich, na angażowanie sił nowych, podczas gdy resztę dochodów możnaby obracać na stworzenie in-

wentarza środków naukowych, bibljoteki i t. p. O zasiłki takie koniecznie starać się należy, a spodziewać się można, że drogą gremjalnego wystąpienia, przy poparciu i wpływach władz kościelnych, oraz w łączności z innonarodowymi katolikami, możnaby to uzyskać, wobec znanej hojności dla oświaty ogółu amerykańskiego. Swego czasu kwestja ta była dosyć aktualna i z ożywieniem była omawiana w naszych kołach i w naszej Prasie; ostatnio—jakby poszła w zapomnienie. Należałoby ją ożywić, bo akcja tego rodzaju zbliżałaby nas i szkoły nasze do oficjalnych kół i sfer amerykańskich, wytworzyłaby pewne porozumienia, zrozumienia i wyrozumienia wzajemne, któreby choć po części zażegnały owe amerykanizacyjne zakusy, a uświadomiłyby Amerykanów o ważności istotnej szkół naszych, które przecie władzom ujmują wiele kosztów i kłopotów, biorąc na się naukę tysięcy dzieci, dla których trzebaby przecie o tyleż więcej szkolnych gmachów, sił nauczycielskich i t. d. Niechby władze zastrzegły sobie nawet pewną ingerencję i kontrolę co do planów nauk, udzielanych w szkołach parafjalnych: ingerencje takie do pewnego stopnia i tak przecie istnieją: niechby były i doraźniejsze jeszcze, zgodzić się z niemi możnaby przecie, jeśliby władze w zamian dawały jakąś wydatną materjalną pomoc. Spodziewać się można, że wymagania władz byłyby prawdopodobnie formalnością niezbyt uciążliwą, a w każdym razie dla naszych szkół, zwykle prowadzonych bardzo sumiennie i skrupulatnie, nie stanowiłyby trudności. Oczywista zastrzega się zasadniczo, że ingerencje władz nie mogłyby wkraczać w dziedzinę nauki religji i polonistyki: ograniczeń w tych dziedzinach przyjąćbyśmy nie mogli; ale też pewnie i nie wymaganoby od nas takich rygorów, jeśliby tylko w każdym innym względzie nasze szkoły parafjalne wymaganiom władz odpowiadały.

Wspominaliśmy, że szkoły parafjalne mają przeciwników, którzy posyłają dzieci do szkół publicznych, krytykując nasze, polskie uczelnie dlatego, iż rzekomo mniej, czy gorzej uczyć mają!... Zarzut najzupełniej niesłuszny: stwierdzamy to z całą stanowczością. Gdybyż bezkrytyczni krytycy lepiej spojrzeli na tę dziatwę polską, która z ich protekcji—uczy się w szkołach publicznych, gdyby badali, jaką jest dziatwy tej polskość—jakeśmy

— i nieraz to czynili, toby ujrzeli dopiero, dokąd pędzą młodzież naszą i możeby wstrzymali się w szkodniczej robocie! Idźcie do domów i rodzin tych Polaków, co dzieci do szkół posyłają publicznych i przekonajcie się sami! Dzieci tam—przedewszystkiem mówią wyłącznie po angielsku, a gdyby ktoś zarzucił, że tą mową posługuje się także i większość uczniów szkół parafjalnych, to poprowadźmy dalej kontrolę i porównanie z dziatwą parafjalnych szkół i popytajmy, jak też uczniowie publiczni umieją czytać i pisać po polsku, co wiedzą o polskich dziejach i piśmiennictwie, choćby tylko z grubsza, z najgrubszego? . . .

Jak zaznaczono, przeprowadzaliśmy w kwestji tej badania: autor w ciągu lat wielu zajmował się szkolnictwem,* więc z doświadczenia, potwierdzonego szeregiem faktów, utrzymuje, że wśród młodzieży, uczącej się w szkołach publicznych, wiadomości ze zakresu przedmiotów wspomnianych, choćby elementarne, te, które znamionują narodowość i pochodzenie ucznia, są—nie skąpe, lub niewystarczające, ale są wprost—żadne!

Pytaliśmy uczniów nawet nie najniższych klas szkół publicznych, pytaliśmy ich o polskie czytanie i pisanie: nie umieli ni jednego, ni drugiego; pytaliśmy o dzieje Polski, o fakty najprostsze, z zakresu już nie poważnej nauki, ale choćby prostej opowieści, bajeczki, jaką się dzieciom małym podaje: znajdowaliśmy ignorancję tak głęboką, że naprawdę trzeba się zastanowić, czemże właściwie dzieci owe zaznaczą swą do polskiej narodowości przynależność, czem się od innonarodowców różnią, skoro nie mówią po polsku, nie czytają o Polsce i nic, absolutnie nic, o niej nie wiedzą? Nie na tem koniec: mieliśmy sposobność obcować z młodzieżą, kształcącą się po tutejszych szkołach średnich i wyższych, nie polskich; wyniki owych zetknięć, przy wglądzie w sferę polskości, tem były smutniejsze, że się widziało nad tą młodzieżą zawisłe nieubłaganie widmo wynarodowienia zupełnego, o tyle przykrzejszego jeszcze, że połączonego z dużym stopniem cynicznej wprost niefrasobliwości i niedbalstwa wobec tego narodowościowego zaniedbania. Oburzenie zbierało, gdy się słyszało ucz-

* K. Wachtl: "Szkolnictwo i Wychowanie", jak poprzednio notowano.

niów fakultetów prawniczych, medycznych i t. p. dających odpowiedzi, świadczące o zaniku kompletnym zajęcia się tem, co polskie, wszelakiego interesu, choćby cienia zamiłowania do rzeczy polskich i dbałości o nie. Ta obojętność jest gorsza i smutniejsza jeszcze—od samej ignorancji. To produkt, to byli wychowankowie szkół publicznych, których "patrjotyczni" rodzice w "liberalno-postępowym" zapędzie—"wyzwolili" z pod wpływów parafjalnych. Czy to ich postępowanie i takie jego rezultaty są, podług ich sumienia—uczciwe względem narodu i jego tutejszej przyszłości? Niech na to sami odpowiedzą—ci, co tu winę ponoszą. W tym wywodzie umyślnie dotąd nie wspomniałam o stronie religijnej tego wykształcenia, dawanego w szkołach publicznych, ale wierzcie, iż poziom religijny wychowanków szkół bezwyznaniowych jest równie smutny, jak stan ich poczucia plemiennego; wspominani poprzednio "akademicy" nie umieli zmówić ani "Ojcze Nasz" po polsku (autentyczne).

Od lat szeregu w niektórych Stanach i miastach zaprowadzają poza-szkolną naukę religji, wyznań najpowszechniej praktykowanych; nie wszędzie to jest, ale gdzie jest — to i lepsze, niż nic.

Polskie szkoły parafjalne dla polskiej młodzieży szkół publicznych urządzają kursy katechizacyjne, by te dzieci choć do Pierwszej Komunji Śtej przygotować jako-tako; niestety i tej nauki po polsku prowadzić nie można, bo dziatwa ta po polsku nie rozumie do tyla, by zasady Wiary śtej pojąć mogła; wykład przeto odbywać się musi—po angielsku.

Z tem wszystkiem cośmy rzekli o szkołach publicznych nie należy nas pomieniać, że potępiamy je bezwzględnie; nie — sądzimy tylko, że one są dla polskości szkodliwe i że wiele strat już jej rzeczywiście przysporzyły. Nie utrzymujemy również, że parafjalne szkoły polskie są bez zarzutu, są idealne! Bynajmniej: mają wad i braków niemało, ale razem z niemi — są nam one bliższe i droższe—bo nasze, bo własne, jako takie—są dla nas lepsze i najlepsze. Doskonalić je—nie pustą gadaniną, nie zwalczać ich niezasłużenie, a wspólnym wysiłkiem ulepszać statecznie; w tem rzecz na teraz i na przeszłość. Wszakże zdrowy rozum na-

kazuje, aby to, co jest dobre—w pewnym choćby tylko stopniu, choćby tylko możliwe, przyjąć, a wspólnie pracować nad jego ulepszeniem i podnoszeniem — aż do doskonałości. Praca około doskonalenia naszego szkolnictwa to działanie piękne i szlachetne bardzo; chwała i zasługa tym, co je wiodą uczciwie i szczerze, a żałować wypada, że nie wszyscy o tę najszczytniejszą ubiegają się zasługę.

Z kolei—nieco statystyki, dotyczącej szkół elementarnych, zwłaszcza parafjalnych: Dokładnej i systematycznej statystyki, dłuższy okres czasu obejmującej, nie posiadamy; istnieją tylko dorywcze daty, obliczenia, szczegóły, które tu podajemy dla zillustrowania naszych wywodów.

Przed pierwszą Wojną Światową (r. 1908) wzmiankowany już poprzednio prof. A. Janowski badał sprawy tu omawiane, a w lat parę potem (r. 1911) pisał o nich w Polsce—m. i.:

"Rządowa Komisja Edukacyjna zbadała sprawy szkolne 37 miast, gdzie uczyło się w czasie objętym badaniami—w szkołach publicznych 1,815,217 dzieci, w czem polskich było 25,225, niemieckich—211,460, żydowskich—272,457, włoskich—115,149. Naszych dzieci było w Chicago 7,463, w Buffalo—4,687, Cleveland—1,352, Detroit—1,284, w Nowym Yorku—2,812, w innych miastach—znacznie mniej.

W Buffalo nasze dzieci stanowią prawie 19 proc. uczących się w szkołach publicznych. (Dziś o wiele więcej, niestety. Przypisek autora.) Jednakże rozpatrując stopień pobieranego wykształcenia, widać, że dzieci polskie otrzymują tylko najelementarniejszą naukę, bo na 100 ich przypada: w ochronkach 5.8 proc., w "Primary"—72.8, w "Grammar Schools"—20.0, w "High Schools"—1.6. Szkoci mają w—"High Schools" 9.7 proc., Kanadyjczycy—6.9 proc. Duży procent naszych dzieci kończy tylko parafjalne, początkowe szkoły i idzie zarobkować, by pomagać w domu. Wynika to głównie z niskiego stopnia kultury rodziców."

Dziś wszystkie liczby w rubrykach wzmiankowanych są wyższe, dziś zato więcej i coraz więcej mamy młodzieży w szkołach średnich.

Charakterystyczne jest bardzo ciążenie do szkoły parafjalnej, tak więc n. p. w Detroit na 1,284 polskich dzieci w szkołach publicznych przypada 5,456 chodzących do szkół parafjalnych. Widoczną jest tu pobudka religijna, bo inno-narodowi katolicy jednak kształcą dzieci raczej w szkołach publicznych; w tem samem Detroit mieli:

	w szkołach publicznych	*w szkołach parafjalnych*
Czesi i Morawianie	292	61
Włosi północni	420	109
Włosi południowi	215	159
Irlandczycy	694	584

Nawet więc religijnie gorliwi Irlandczycy przeszło połowę dzieci oddają do szkół publicznych.

Baltimore wykazuje polskich dzieci w szkołach publicznych 383, a w parafjalnych 1,076: w tem samem mieście katoliccy Litwini mają 234 dzieci w szkołach publicznych, a 28 tylko w parafjalnej. Liczby te, jak rzekłem wyżej, pochodzą z czasów przed pierwszą Wojną Światową, t. j. z pierwszego i drugiego dziesiątka bieżącego wieku. Są to rezultaty jeszcze niezłe, bo niespełna 20 proc. dzieci polskich chodzi do szkół niepolskich, licząc przeciętnie, a wszędzie obserwuje się ciążenie do szkół parafjalnych, religijnych, u nas o wiele silniejsze, niż u innych narodowości. Niestety — następni badacze tych spraw o wiele już gorsze znajdują przejawy. Oto Ks. Franciszek Bolek, swego czasu katecheta Kollegjum Związku Nar. Polskiego w Cambridge Springs, Pa., który gromadził materjały statystyczne, dotyczące spraw naszych, podaje, że w r. 1920 było w Stanach Zjedn. 559 szkół parafjalnych (w około 800 parafjach), w których wykładało 5,519 nauczycielskich sił (przeważnie Siostry Zakonne), a do których uczęszczało łącznie 287,478 dzieci. 70 procent Sióstr Zakonnych miało posiadać pełne kwalifikacje nauczycielskie, a 30 procent niezupełne. W szkołach parafjalnych wykładało w tym czasie 4,330 członkiń Zakonów polskich i 1,189 członkiń Zakonów niepolskich: te niepolskie Siostry Zakonne były używane do nauki przedmiotów po angielsku wykładanych. Tenże autor utrzymuje, że w r. 1930 połowa już dzieci polskich nie uczęszczała do polskich szkół; tu więc widać niepomyślny postęp wynaradawiających

wpływów, głównie z powodu obojętności i niedbalstwa rodziców. Dziś, niestety, już nawet mniej niż połowa, bo tylko 45 procent dzieci polskich—pobiera naukę w polskich szkołach parafjalnych. Wynarodowienie postępuje tem szybciej i silniej.

Ks. Wacław Kruszka, przygotowując materjały do nowego wydania swej "Historji Polaków w Ameryce" podaje następujące niżej ciekawe wykazy liczbowe, odnoszące się do trzydziestych lat bieżącego wieku:

"Dzieci polskich we wieku szkolnym jest około 600,000, a z tego w polskich szkołach parafjalnych jest tylko 250,000; przeszło połowa, bo 320,000 dzieci polskich uczęszcza do szkół publicznych, w których ani o Bogu, ani o Polsce nie słyszą. Postęp niepomyślny w tej dziedzinie, który wiele też przyczynia się do coraz silniej występującego wynarodowienia, przypisujemy przyczynowo nieuświadomieniu i niedbalstwu rodziców, oraz naciskowi poza-polskich czynników amerykanizacyjnych, niewstrzymanie działających na szkodę polskości."

Ks. Fr. Bolek w swych "Materjałach Statystycznych" pisze o siłach nauczycielskich, co następuje:

"Nauczycielstwo szkół parafjalnych stanowią w przeważnej liczbie Siostry Zakonne. Około 70% Sióstr posiada pełne kwalifikacje nauczycielskie i egzaminy, złożone pod kierunkiem stanowych komisyj.

"Liczba nauczycielek w polskich szkołach parafjalnych w dniu 1-go stycznia, 1930 r. wynosiła 5,519 osób. Polskie Zakony żeńskie, pracujące w polskiem szkolnictwie parafjalnem, na następujące: Siostry Felicjanki—1,576, Siostry Nazaretanki—856, Polskie Siostry św. Józefa—493, Siostry Bernardynki—349, Siostry św. Kunegundy — 229. Polskie Siostry Szkolne — 126, Siostry Zmartwychwstanki—176, Siostry Niepokalanego Poczęcia—42, Siostry św. Ducha—38.

"Zakony żeńskie, niepolskie, pracujące w polskiem szkolnictwie przy pomocy Sióstr polskich, które u siebie kształcą i posyłają do polskich szkół parafjalnych, są następujące: Siostry Notredamki, Siostry Franciszkanki, Franciszkanki Konwentualne, Siostry Miłosierdzia, Siostry św. Franciszka, Siostry Bernardyn-

ki, Siostry Dominikanki, Siostry Opatrzności, Siostry Słowa Wcielonego, Siostry Nieustającej Adoracji, Siostry Benedyktynki, Siostry św. Krzyża, Siostry Najdroższej Krwi, Franciszkanki z Lourdes, Misjonarki, Siostry św. Antoniego, Siostry Niepokalanej P. Marji, Urszulanki, Siostry Pomocnicze Apostolstwa.

"Sióstr w polskich Zakonach żeńskich jest około 4,300, nauczycielstwa świeckiego w polskich szkołach parafjalnych około 150; Sióstr w Zakonach niepolskich jest około 1,300."

Stanu nauczycielskiego polskiego — poza Zgromadzeniami Sióstr, wyżej wzmiankowanemi—jak rzekłem—nie mamy wcale. Z Polski nauczycieli tu nie sprowadzano, chyba w rzadkich wyjątkach, a ci, co tu sami przybyli, jako emigranci, wnet do popłatniejszych przerzucili się zajęć. Dlatego to parafjalne uczelnie nasze, nie mogąc dostać odpowiednich sił nauczycielskich, musiały uciekać się do jakich-takich zastępczych, tymczasowych czynników, a temi zrazu stały się i temi pozostały na stałe, wyrabiając się znakomicie—Siostry Zakonne. Działo się to na początku bieżącego wieku, kiedy po osiedlach naszych obudzony duch narodowego uświadomienia wytwarzał silne, a nie cierpiące zwłoki zapotrzebowanie szkół, szkółek i—nauczycielskich sił do nich: uczyli wtedy księża sami, organiści, uczył—kto wogóle mógł czegoś, choć trochę nauczyć; wtedy też zaczęto używać do nauki szkolnej Zgromadzeń Zakonnych żeńskich, oraz tworzyć nowe, nasze własne, dla celów uczelnictwa, obok zakonnego, religijnego poświęcenia. Zgromadzenia, nie mogąc nastarczyć zapotrzebowaniom, przyjmowały początkowo wszystkie kandydatki, nie bardzo przebierając, a po jakiem-takiem przygotowaniu ich, odsyłały je na posterunki—do szkół. Oczywista—takie siły nauczycielskie ani nie były dostatecznie ukwalifikowane, ani też na długo nie mogły być wystarczające. Siostry zakonne jednakże, pracując w szkołach w ciągu lat stosunkowo niewielu, nabierały rutyny, doświadczenia, znajomości metod i sposobów, a ponieważ od początku ujęto je w systemy pracy nad sobą, dokształcania się pedagogicznego, urządzano dla nich kursy poza-szkolne, wakacyjne i t. p., przeto rychło zaczęły nadrabiać początkowe braki i wyrównywać niedomagania. W ten sposób starsze, dawniejsze

Siostry stawały się również pożytecznemi i wypróbowanemi pracownicami szkół parafjalnych, a jednocześnie otrzymywano coraz lepsze nowe siły; nowe kandydatki mianowicie przyjmowano już przebrakowane i dawano im możliwie najlepsze przygotowanie zawodowo-nauczycielskie. To szło szybko, a sprawiło, że we wszystkich Zgromadzeniach Sióstr Zakonnych pozaprowadzano wymagania i cenzusy pedagogiczne, które dzisiaj są już rzeczą powszechną i obowiązkową: wiele Sióstr, we wszystkich tych Zgromadzeniach, ma pokończone Seminarja i Kollegja, mają nawet stopnie kollegjalne i uniwersyteckie. Dziś wyjątkami nie są polskie Siostry z Doktoratami nawet, a ogół tych sił nauczycielskich jest w całem tego słowa znaczeniu—pierwszorzędny co do ukwalifikowań pedagogicznych. Wobec tego zarzuty przeciwników szkół parafjalnych, że Siostry—nie są nauczycielkami, że nie umieją uczyć, że uczą źle i t. p., nie wytrzymują żadnej krytyki, są zresztą w największej liczbie wypadków—"gadaniem ślepego o kolorach".

Tak, jak dziś jest, z domowem wychowaniem tutejszego młodego pokolenia jest bardzo licho, a to jest w przeważnej mierze wina samegoż domu, samej rodziny, lepiej rzec—rodziców. W ośmdziesięciu co najmniej procentach rodzin naszych—młodzież jest w bardzo rychłym czasie swego kształcenia się nierównie inteligentniejsza od rodziców: zwłaszcza sprawdza się to w odniesieniu do rodziców, pochodzących z ludu, z wychodźców; w mniejszej zachodzi to mierze w rodzinach, w których rodzice stanowią już drugie, tu zrodzone, albo przynajmniej wychowane, pokolenie: w takich razach, o ile sami nie są bezpowrotnie zamerykanizowani, a lepiej rzec z polskości wyzbyci, o ile więc ci rodzice o polskość dbają, tam dziatwa nawet w trzeciem pokoleniu mówi po polsku; wypadki takie znamy; nie jest ich wiele, ale są. W domach i rodzinach wychodźczych bywa zasię tak, iż często rodzice są zupełnymi illiteratami, często mają obyczaje nader prymitywne, nieraz nawet niezbyt budujące, stopa życia najniższa im wystarcza, a młodzież—widzi to, porównuje i ocenia. Porównanie i ocena wypadają na niekorzyść rodziców, rodziny, domu, a ponieważ ten dom z polskością się im identyfikuje, więc i polskość na tem tracić musi dotkliwie.

Dużoby o tem pisać można, mnożyć przykłady w nieskończoność; ale—to tu nie należy, więc—konkluzja: *dom wychowywać trzeba, rodziny poprawiać*, aby szanowanie polskości i wpajanie jej młodym od domu rodzicielskiego, od najpierwszych jego, najsilniejszych wrażeń, młodym mogło być dawane, aby rodzice wiedzieli, naprzód sami i rozumieli to dobrze, jakie wielkie i cenne Dobro podać, przekazać mają dzieciom, nakłaniając je do polskości, przykazując, by po polsku mówiły, po polsku czytały, by nie tylko w szkole parafjalnej na lekcji polskiego, ale i poza tem, w życiu codziennem, polskością młódź nasza żyła i polskiego używała. Rodzice tu powinni też ściśle i roztropnie współdziałać ze szkołą, której wpływy i prace znów powinny być dobrze kontrolowane przez Księży Proboszczów, jako dyrektorów "ex officio" szkół parafjalnych, aby n.p. SS. Nauczycielki koniecznie do dzieci i poza lekcjami mówiły po polsku, nie—jak bywa, że "dla prędkości i łatwości" angielszczyzny się używa—przeważnie.

Wspomnieliśmy współdziałanie ze szkołą domu rodzicielskiego; w tem współdziałaniu szkoły mogą właśnie pomagać wychowywać rodziny i rodziców, odbywając z nimi zebrania, konferencje, światle a przystępnie pouczając rodziców, jak mają naukę szkolną w polskim zakresie uzupełniać, kontynuować, pogłębiać wpływami rodzinnemi. Bardzo wiele tu zrobić mogą, pożytecznie działające po diecezjach tutejszych Towarzystwa Rodziców i Nauczycieli (Parents' and Teachers' Associations): amerykańskich —nie brak nigdzie, ale polskie są ledwie wyjątkami i tych wyjątków działania mają dotąd zakresy ograniczone ledwie do materjalnych pomocy dla szkoły, a gdy i to dobre, nie słychać wiele o moralnych pomocach, rodzinom dawanych przez szkoły, przez te światłe czynniki, które się przy szkołach skupiają. Więc Księża nasi swym wpływem i powagą i zachętą miarodajną, więc Siostry Nauczycielki praktycznem pouczeniem—powinny podjąć to oddziaływanie na rodziny, na domy w parafji każdej: jesteśmy przekonani, że parę lat takiej roboty da pierwszorzędne, tak pożądane, takie potrzebne rezultaty dodatnie.

Popularyzując zasady rozumnej i szlachetnej amerykanizacji, należy wskazywać, że *amerykanizacja nie jest angliczeniem*

się, ani nie jest renegacją, a przy najlepszej umiejętności mowy angielskiej, jako krajowej tutejszej, należy znać i pielęgnować mowę polską, znać bodaj prymitywa dziejów, piśmiennictwa i kultury polskiej. Dla tego celu trzeba podjąć zaniedbane zadanie *wychowywania przedewszystkiem domu rodzicielskiego,* aby odpowiednio oddziaływał na dzieci od najwcześniejszej młodości, aby nie tolerował ich wynaradawiania się, ich lekceważenia swojskości i polskości, aby dom rodzicielski współpracował dokładnie i ściśle ze szkołą parafjalną. Ta zasię również powinna być kontrolowana, aby tę trochę polonistyki, jaką dawać może, podtrzymywała także poza lekcjami—lekturą prywatną, zachętą do niej, rozmowami z dziatwą, zabawą i t. p. Współdziałanie domu ze szkołą ujęte być może skutecznie we wyżej wzmiankowanych Towarzystwach Rodziców i Nauczycieli, w które roztropnie należy ująć wspieranie szkoły w zakresie jej potrzeb przez ogół parafjan, a wzajem—szkoła i jej siły nauczycielskie niechajby urabiały dobre rozumienia rodziców w kierunku powinności baczenia na dzieci poza szkołą, na ich postępowanie moralne, na ich odnoszenie się do polskości i t. p. Rodzicom naszych wychodźczych rodzin trzeba wskazywać te powinności i pouczać o nich, pouczać—jak je spełniać mogą i mają, ponieważ we wielkiej, największej liczbie wypadków właśnie rodzice pojęcia o tem nie mają i tem sami pomagają do wynaradawiania się młodzieży, do wyzbywania się resztek polskości. Praca taka, zgodzona z religijną tendencją, żywo i szczerze, nie powierzchownie apostołowana, powinna w ciągu niedługiego stosunkowo czasu dać rezultaty pożądane.

Na zakończenie Rozdziału o Szkołach Parafjalnych przytoczymy wyjątki z postulatów, omawianych na zjeździe Duchowieństwa Polskiego, odbytym w Pittsburgu w r. 1939, gdzie wiele poświęcono troski kwestjom, złączonym z nauką polonistyki i wstrzymania nieopatrznego, bo ze zupełnem zapoznaniem walorów polskości idącego wynarodowienia. Oto, co pisaliśmy dla zjazdu tego:

"Utrzymanie polskości w dalszych pokoleniach winno być prowadzone na gruncie religijnym, katolickim, podjęte i prowadzone odrazu — wszędzie i równocześnie, jak najintensywniej.

Należy unikać wszelkiej dorywczości, a przyjąwszy uznany i uzgodniony plan, działać trzeba na całej linji, obejmując siecią tego polskiego "połowu dusz"—całą dzisiejszą społeczność naszą, troskliwie bacząc, by nie było luk, ni przerw w robocie—od nizin do szczytów, od najpierwszych do ostatnich ogniw łańcucha.

"Ogniwem najpierwszem jest *dom rodzicielski*, komórka pierwsza i najważniejsza w parafjalnym zespole. Pisze się, głosi się, żeby rodzice zważali na dzieci, na młodzież i żeby nakłaniali ją do polskości, dając do szkoły polskiej, zważając, by dzieci po polsku rozmawiały i czytały, należały do polskich kółek parafjalnych, potem do towarzystw i organizacyj polskich rozleglejszego zasięgu — i t. p. Aby rodzice, aby dom rodzicielski mógł w taki właśnie sposób na młodzież oddziaływać, musimy przedewszystkiem jąć się zaniedbanego dotąd dotkliwie zadania, a mianowicie — nim damy rodzinom zlecenie polskiego wychowania dzieci, przedtem należy *przedewszystkiem wychowywać—uświadomić rodziców samych*, a to już sprawa nie dotycząca szkolnictwa, to postulat społeczno-narodowy, pierwszorzędnej wagi, który wszystkie czynniki naszego współżycia winny intensywnie wszelkiemi możliwemi sposoby realizować, bo to kwestja naszego bytu, lub nie-bytu, naszego przetrwania w Ameryce."

* * *

b.) Szkoły Średnie i Wyższe

Polskie Szkoły Średnie, Kollegja i Seminarja, o których już też wspomniałem na początku Rozdziału, stanowią po szkołach elementarnych wyższy stopień nauki, dlatego je tu "szkołami wyższemi" nazywają. Pełny kurs takiej naszej szkoły wyższej daje wcale już rozległe pojęcia wiedzy, zwłaszcza w niektórych dziedzinach, a świadectwo ukończonej szkoły takiej jest censusem inteligencji powszechnie przyjętym, wystarczającym w życiu dla bardzo znacznej liczby osób, nie chcących, lub nie mogących uczyć się jeszcze dalej.

Dziś w Ameryce przeważna ilość ludzi, zajmujących stanowiska publiczne (wyjąwszy te, które specjalnie studjów uniwersyteckich wymagają), posiada już zawsze przynajmniej to wy-

kształcenie średnie, którego do niedawna jeszcze—koniecznie—nie było tu trzeba, boć robotnik, ledwie podpisać się umiejący, mógł dochodzić i dochodził nierzadko do wysokich stanowisk; z biegiem lat jednakże potrzeba nauki zdobywa sobie wszędzie należyte uznanie; i nasze obecne młode pokolenia są, przeciętnie biorąc, zawsze już prawie jako-tako wykształcone.

Ruch ten i dążność ku pozyskaniu nauki wzrasta więc i wśród Polaków amerykańskich z każdym rokiem: zaczynamy wszyscy rozumieć, że dziś szkoły są najzwyklejszą i najpewniejszą drogą, wiodącą na wyżyny; to też wykształcenia przynajmniej średniego wymagają wszędzie i pytają o nie na każdym kroku: bez niego ledwie robotnikiem być można, z niem zaś zyskuje się wstęp na najwyższe szczeble drabiny społeczeństwa. I my się musimy przystosować do tego upowszechniającego się wymagania. Prawda, że byt dobry można sobie stworzyć i bez szkół, można go mieć, będąc nieuczonym robotnikiem, ale robotnik jest zawsze tem najniższem, ostatniem ogniwem w łańcuchu społeczeństwa, droga zaś do wybicia się na jakiś stopień niezawisłości, albo wyróżnienie z tłumu, są dlań, zwłaszcza obecnie, już tu prawie niemożliwe.

Takimi to pionkami, takiemi roboczemi mrówkami byli tu do niedawna prawie wszyscy Polacy, dola ich ciężka była bardzo, gdy w krwawym znoju i pocie czoła chleb codzienny zdobywali. ... Czemu? Bo—niewykształceni, bo nic, albo mało uczyć się mogli, czy chcieli. Niech zato na ich szkodzie uczą się synowie, niech oni się kształcą, ile tylko mogą, bo im więcej się nauczą, tem wybitniej, tem samodzielnej, a wyżej staną wśród współobywateli.

Szkoły polskie, średnie, niższe i wyższe, powinny znajdować się w każdem naszem osiedlu większem: obecnie mamy je, ale jest ich—w proporcji do liczby Polaków w Ameryce — jeszcze niewiele, co ujemnie odbija się na stosunkach i rozwoju umysłowym Polonji. Dotychczas—wciąż "gorączka" kształcenia się wyższego nie przejawiła się zbyt silnie pośród nas, a nieraz—dość często nawet—zaniedbuje się kształcenie młodzieży, choć i zasoby znalazłyby się po temu—i szkoły są. Niepodobna niedomagań na-

szych w tej dziedzinie odnosić wyłącznie do braku sposobności, czy możności, braku uczelni; jeżeli jest brak czego—to brak powszechnego zrozumienia wartości nauki, brak woli do jej osiągnięcia.

Cel główny naszych średnich szkół—ukwalifikowanie młodzieży do nauk ścisłych, uniwersyteckich—jest w miarę możności przeprowadzany w programach naukowych omawianych uczelni, które przeważnie odpowiadają niezgorzej uczelniom amerykańskim, równorzędnym; wszelkie przepisy, urządzenia, cała systematyka pedagogiczna stosują się w nich do szkół średnich krajowych. Zwyczajny plan nauk obejmuje dodatkowo religję, polski język, polską historję i literaturę: niestety mało tego bywa, bo inne przedmioty, wymagane przez władze szkolne, amerykańskie, niewiele dla polonistyki zostawiają czasu i myśli. W trudnych warunkach, finansowo ograniczonych, szkoły te robią co mogą i robią wiele dobrego. Język w nich wykładowy podobnie, jak w szkołach niższych — angielski w ogólnych przedmiotach, polski—w polskich. Polskich sił nauczycielskich—lepszych brak wszędzie i we wszystkich szkołach; o ile jednak w szkołach elementarnych brak świeckich sił nauczycielskich zastępować się daje w zupełności Siostrami Zakonnemi, o tyle substytucja taka w szkołach średnich i wyższych jest niemożliwa; w żeńskich szkołach wyższych wykładają i uczą odpowiednio ukwalifikowane SS. Nauczycielki, ale w męskich naszych szkołach średnich i wyższych—często dobór profesorów jest bardzo mankamentalny, a brak ukwalifikowanych sił nauczycielskich jest trudnością wielką i—dotąd nieprzemożoną.

Wszystko, co się powiedziało ogólnie o szkołach—w pierwszej części niniejszego Rozdziału, gdzie mowa o szkołach elementarnych, więc: o porównywaniu *naszych* z publicznemi, o potrzebie lepszej szkół polskich oceny przez ogół rodaków, ściślejszej, inteligentnej, kooperacji z niemi, o ich finansowaniu i stałem doskonaleniu,—to wszystko w całej osnowie odnosi się i do szkół średnich, które w Polonji Amerykańskiej stanowią bodaj najwyższy stopień uczelni, najogólniej dostępnych, a wpływom bezpośrednim polskiego środowiska podległych. Obyż to środo-

wisko podtrzymywało i dźwigało te szkoły, najwartościowsze, dla nas najlepsze we warunkach amerykańskich, a wśród rozlicznych trudności wypełniające dobrze — zadania podjęte. Przeważnie też szkoły te nasze są już akredytowane przez władze stanowe, przez Uniwersytety i t. p., ku czemu musiały one wziąć na się zobowiązanie, iż stawiane im w zakresie wykładu przedmiotów wyznaczonych wymagania wykonywać będą ściśle, co w znacznej mierze krępuje wpływy polskie i wykład polonistyki,—ale zato ułatwia to absolwentom szkół naszych wstęp do Kollegjów i Uniwersytetów krajowych, a to jest wzgląd—nad wszystkie względy ważniejszy—decydujący.

Historja powstawania i rozwoju naszych szkół średnich — to jużby musiała być raczej historja poszczególnych zakładów i uczelni; na tem przeto miejscu muszę zkonieczności ograniczyć się do zaznaczenia, że najstarszą szkołą polską średnią i wyższą w Ameryce jest Seminarjum Polskie pod wezw. ŚŚ. Cyryla i Metodego, założone przez Ks. Józefa Dąbrowskiego w Detroit, Mich. w r. 1885, później przeniesione do Orchard Lake, Mich. i tam obecnie istniejące. Zakład ten posiada kursy średnie, kollegjalne i wyższe, seminaryjne: pierwsze wykształciły spory zastęp świeciej inteligencji polsko-amerykańskiej, drugie dały Polonji przeszło tysiąc kapłanów: plon to zaiste spory i bardzo czcigodny. Do najstarszych zkolei należą Kollegjum św. Stanisława Kostki w Chicago, założone przez Ks. Wincentego Barzyńskiego, C.R., w roku 1890, później przemianowane na "Szkołę Średnią im. X. Abpa Webera" i Akademja p. w. Najśw. Rodziny, szkoła średnia dla dziewcząt, utworzona w r. 1887, w Chicago, przez SS. Nazaretanki; do dziś działa ona bardzo pożytecznie jako pierwszorzędnie rozwinięta uczelnia. To są polskie szkoły wyższe—najstarsze. Inne są już znacznie młodsze; wśród nich wzmiankujemy na pierwszem miejscu—wielkie i zasobne, bo mające dobroczynne poparcie "Związku Narodowego Polskiego", Kollegjum Związkowe w Cambridge Springs, Pa.: powstało ono w r. 1912, zdziałało i działa wiele dla polskości w Ameryce. O niektórych tych szkołach naszych i o ich pracownikach wybitniejszych — więcej informacyj znajdzie Czytelnik w Przypiskach do niniejszego Roz-

działu, na tem zaś miejscu jeszcze wspominamy bodaj—uczelnie, które zasługują na wyróżnienie, a mianowicie: wzorowo prowadzone i doskonale działające Kollegjum św. Jana Kantego, w Erie, Pa., prowadzone przez OO. Misjonarzy św. Wincentego a Paulo, Kollegjum OO. Franciszkanów (O.F.M) w Sturtevant, Wis., — Kollegja w Athol Springs, pod Buffalo, N. Y. i w Granby, Mass. prowadzą OO. Franciszkanie (O.M.C.);—od lat szeregu Księża Salezjanie utrzymują Kollegjum w Ramsey, N. J. We Filadelfji przed laty kilkunastu założył był Kollegjum p. w. św. Jana Kantego, zasłużony działacz Ks. Dr. J. Godrycz, a choć ono krótko stosunkowo istniało, jednakże zdziałało tak wiele, że ślady jego wpływów dobroczynnych znać do dziś w Polonji filadelfijskiej.

Pewna liczba naszych Parafij zasobniejszych posiada własne szkoły średnie—z pełną liczbą lat nauki, lub z kursami niższemi: od dwudziestu przeszło lat n. p. Parafja św. Trójcy w Chicago posiada założoną przez Ks. K. Sztuczkę, C.S.C., doskonałą szkołę średnią, w której uczą pedagogicznie przygotowani Bracia ze Zgromadzenia św. Krzyża; we Filadelfji szkołę średnią założył niedawno w Parafji św. Józefata Ks. Ludwik Stachowicz, w Camden, N. J. to samo przy miejscowej szkole parafjalnej zrobił Ks. Prałat Artur Streński; podobnież w innych naszych osiedlach utworzono dawniej, lub tworzy się w ostatnich latach szkoły średnie; w niektórych zakłada się również kursy handlowe, o charakterze uczelni średnich.

Uczelni Polskich o średnim zakresie dla dziewcząt mamy też kilkanaście; prócz wzmiankowanej poprzednio Akademji SS. Nazaretanek w Chicago, drugą takąż Akademję prowadzi to samo Zgromadzenie w Torresdale, pod Filadelfją, a trzecią w Bellevue, koło Pittsburgha; pięknie urządzone szkoły tego rodzaju i stopnia prowadzą również SS. Notredamki, SS. Bernardynki, SS. Franciszkanki i inne: wszystkie te zakłady działają bardzo poprawnie i na zaszczytne w tej książce o naszym Dorobku zasługują miejsce. *(Patrz Przypiski.)* Ogółem wszystkich uczelni, średnich i wyższych, wszelkiego typu i zakresu, dla chłopców i dla dziewcząt, mamy w Polonji Amerykańskiej około pół setki.

c.) Szkoły Najwyższe: Uniwersytety: Polskie Kursy i Katedry

Dotychczas Uniwersytetu własnego w Polonji Amerykańskiej nie mamy, a próby utrzymywania wykładów polskich na Uniwersytetach amerykańskich dają znikome rezultaty. Trudno, by było inaczej: takie wykłady są—paljatywami, są pozorami, że coś niby jest, że coś się robi i że to—coś znaczy: naprawdę znaczy niewiele. Najważniejszym z powodów jest ten, iż w największej liczbie wypadków prawi się na tych wykładach o kolorach—ślepym. Wiem o tem również z własnego doświadczenia; wykładałem (bodaj pierwszy) takim tutejszym—akademikom i bardzo prędko zorjentowałem się, że im nie o historji, nie o literaturze gadać, ale o—"spellowaniu". I mówże tu takim o twórczości ducha polskiego i o zawrotnych wyżynach jego osiągnięć!... Dobre są wykłady o Polsce po angielsku, bo one swoim i obcym dobre powiadają rzeczy, miarodajne o nas dają informacje. Kursy, o jakich mowa, istnieją prowadzone na Uniwersytetach "Columbia" w N. Yorku, "De Paul" i "Loyola" w Chicago; są w Ann Arbor Uniwersytecie, w Stanie Michigan; były na Stanowym Uniwersytecie we Wisconsin i jeszcze w paru innych; ale to wszystko nie były—nie są wykłady takie, jakich dla podtrzymania i podniesienia polskości potrzeba dla tych, co mają być kwiatem inteligencji polsko-amerykańskiej, co mają zostać przewodnikami i pracownikami naczelnymi przyszłych pokoleń, co mają—uczyć innych... Czegóż się ich samych tu wprzódy naucza? Co oni z tej polskości w swoich latach akademickich dostają? Nic zgoła i to jest brak—fatalny.

Trzeba nam wyższej inteligencji—własnej, równie dobrze polskiej, jak amerykańskiej. Obecni nasi profesjoniści, wykonawcy wyzwolonych zawodów, głównie lekarze i adwokaci, są nierzadko doskonałymi istotnie profesjonistami, ale w zakresie spraw i rzeczy polskich — są wprost ignorantami. Pojęcie inteligencji, zwłaszcza wyższej inteligencji, zawiera znaczną dozę wszechstronności—wiadomości i osądu, a ci nasi tego nie mają, powtarzam to—głównie w odniesieniu do rzeczy polskich, a to, co mówię, mówię zaś bez chęci osobistych przytyków—odnosi się i do innych zawodów, czy kierunków wykształcenia, *bez żadnego*

wyjątku: nie wchodźmy w to ściślej. Inteligencja nie koniecznie musi się identyfikować z profesją wyższego typu: może być n. p. inteligent-samouk, inteligentny robociarz — i takich też znamy niemało...

Polonji Amerykańskiej żywnie trzeba polskiej inteligencji. Tylko ta nas w lepszą, ustaloną powiedzie przyszłość. Dać ją może *Uniwersytet*. Myśl to nie nowa, a realizacja jej nie jest niemożliwa. Przed laty już—nawet dwukrotnie—podejmowano próby w tym kierunku: zamierzano w Chicago Kollegjum św. Stanisława doprowadzić do czegoś w rodzaju Uniwersytetu—bodaj w przyszłości... Później o rzeczy tej rozmawialiśmy nieraz ze ś. p. Ks. Kłowo, Rektorem Polskiego Seminarjum w Orchard Lake i—żaden z nas projektu takiego nie uważał za niemożliwy... Faktycznie, *zakład w Orchard Lake ma wszelkie dane po temu, by go przekształcić na Uniwersytet*. W zabiegach około tego zamierzenia należałoby skupić wszystkie nasze środki i siły—tutejsze, a co ważniejsza także środki i siły z Polski. Nieraz pytają z Polski, coby można zrobić dla Polonji, dla jej tu utrzymania i utrwalenia narodowo-duchowego: oto jest rzecz, którą nam Polska może zrobić, a przynajmniej może nam walnie pomóc do jej zrobienia: Uniwersytet Polsko-Amerykański.

Uczelnię w Orchard Lake wskazujemy dlatego, iż posiada ona najwięcej ku temu danych i najlepsze warunki: najlepszą lokację tuż koło wielkiego miasta, jednego z największych centrów Polonji; ma wspaniałe budynki, ma pomieszczenie na bibljoteki, gabinety i laboratorja, ma już nawet jeden wydział prawie gotowy—Seminarjum duchowne, który łatwo byłoby rozwinąć w pełno-uniwersyteckim zakresie Teologji. To są dane, jakich tu żadna inna nie posiada uczelnia, dlatego—należałoby zająć się szczególniej, tym właśnie zakładem, nie innym. Dodamy jeszcze, iż Orchard Lake posiada w całym kraju ogromny zastęp alumnów, przyjaciół, zwolenników, którzy i moralnie i materjalnie pewnieby wsparli takie plany, a jeśli rzecz będzie porządnie zaprogramowana i rozpropagowana, to naprawdę nietrudno możnaby stworzyć—*pierwszy Polsko-Amerykański Uniwersytet*.

d.) Szkółki Dokształcające i Uzupełniające

Szkoły, a raczej szkółki, określone nadpisem, prowadzone są od lat około dwudziestu pięciu po większych osiedlach Polonji. Pierwsze zorganizowano w r. 1915 w N. Yorku, a myśl tworzenia ich wyłoniła się w głównej mierze w kołach poza-parafjalnych, z niechęci względem szkół parafjalnych. Zakładano je—rzekomo, by więcej i lepiej uczyć po polsku, głównie też dla dziatwy, uczęszczającej do szkół publicznych. Zajmowały się niemi i zajmują do dziś pewne szczególniejsze koła rodacze, oraz niektóre organizacje. Dużo w swoim czasie łożył na nie n. p. "Związek Narodowy Polski". Najlepiej jeszcze prosperowały szkoły te w latach po pierwszej Wojnie Światowej i później do roku mniejwięcej 1935, kiedy tu z Polski słano dla tych szkół specjalnych organizatorów, inspektorów i t. p., którzy musząc wykazać się pewnemi rezultatami, zakładali takie szkółki, urządzali kursy nauczycieli dla nich i próbowali zdobyć dla nich ogólniejsze w Polonji wzięcie i zainteresowanie. Miało być tych szkółek podówczas w całej Polonji Amerykańskiej około 150—jak utrzymuje istniejąca do dziś w N. Yorku Centrala Szkół Dokształcających, urządzająca od czasu do czasu zjazdy i popisy swych szkółek i ich uczniów.

Usiłowania te zawsze były bardzo ubogie w pożytki istotne; szkółki ledwie założone, upadały, nie mogąc współzawodniczyć ze zwyczajnemi, systematycznemi uczelniami, o nauczycieli, poważnie ukwalifikowanych zawsze było niezmiernie trudno, o fundusze—podobnież; jakże się mogło rozwinąć szkolnictwo takie, zwłaszcza gdy poczęte było z myśli, nie budującej kooperacji z tem, co społeczeństwo nasze już stworzyło, już miało, a przeważnie z waśniących intencyj opozycji i "emancypacji"—z pod wpływów parafjalnych. Kooperacja — mogła pomóc wiele naszym szkołom; opozycja zbytnio nie poszkodziła—chyba sobie samej. Szkółki dokształcające grają przeważnie rolę—bardzo znikomą, choć nie można zaprzeczyć, że niektóre, w pewnych osiedlach—starają się—jak mogą—działać najlepiej i dają zawsze jakie-takie rezultaty dodatnie, zwłaszcza wśród młodzieży, wyłącznie do szkół publicznych uczęszczającej: do takich należą—chętnie i z uznaniem

notuję—Szkółka w Nowym Yorku, Szkółka prowadzona w Domu Polskim we Filadelfji i kilka innych.

Dodać należy, że w latach dwudziestych bieżącego wieku Szkółki Dokształcające zajmowały się skutecznie krzewieniem harcerstwa i "skautingu"—to mogło być bardzo dobre i pożądane; niestety rychło ta właśnie część nauczania wymknęła się, czy też zabrana została z pod wpływów Szkółek, a odnośne organizacje zajmujące się nią, jak "Związek Narodowy Polski" i "Zjednoczenie Polskie Rz. Katolickie" same utworzyły Wydziały własne dla Harcerzy i Skautów, dotychczas z powodzeniem prowadzone.

PRZYPISKI

SEMINARJUM POLSKIE ŚW. CYRYLA I METODEGO

Seminarjum Polskie założone zostało w r. 1885, w Detroit, Michigan. Początkowo miało ono tylko wydział klasyczny (gimnazjum), potem utworzono też wydziały—filozoficzny i teologiczny. Głównem zadaniem tej uczelni było przygotowanie kandydatów do stanu duchownego. Wobec tłumnej immigracji polskiej w czasach przedwojennych potrzeba kapłanów-rodaków dla szybko mnożących się i rosnących osad polskich była nakazem, wysoce aktualnym.

Od r. 1920 istnieją w dawnem Seminarjum trzy Wydziały naukowe, mianowicie dwa świeckie, a jeden—najwyższy, duchowny: ten podział trwa do dni obecnych. Szkoła średnia (St. Mary's High School) wydaje absolwentom dyplomy, ważne i uznane przez uczelnie krajowe; Kollegjum (St. Mary's College) wydaje też stopnie naukowe, mianowicie udziela Bakalaureatu Sztuk (A.B.), Bakalaureatu Filozofji (Ph.B.), oraz Bakalaureatu Umiejętności (B.S.): Wydziały te oba są akredytowane i uznane przez władze uniwersyteckie i stanowe.

Kurs polonistyki prowadzony jest w Kollegjum: z kursu tego korzystają często SS. Nauczycielki—w czasach wakacyjnych, otrzymując potrzebne im "kredyty" naukowe.

Z Orchard Lake czyniono starania w r. 1937, aby język polski był uznany na równi z językami obcemi, nowoczesnemi, na terytorjum Stanu Michigan, co jednak dotychczas pozostaje raczej wciąż—w teorji i w sferze pragnień.

Wydział Teologiczny (SS. Cyril and Methodius Seminary), czyli Seminarjum Duchowne przygotowuje kandydatów polskich do stanu duchownego: ten Wydział ma już za sobą półwiekową historję, pełną zasługi; dość rzec, że Seminarjum Polskie wydało ponad tysiąc kapłanów dla Polonji Amerykańskiej.

W r. 1909 Seminarjum zostało przeniesione do Orchard Lake, niedaleko Detroit.

Przez zakłady naukowe w Orchard Lake przesunęło się w ciągu 50-ciu przeszło lat zgórą dwanaście tysięcy studentów: pomiędzy alumnami jego jest Ks. Biskup Stefan Woźnicki, Sufragan Detroicki, kilkudziesięciu Prałatów, Dziekanów i Konsultorów diecezjalnych, oprócz setek Proboszczów i Wikarych. Z tysięcy alumnów świeckich wielu czołowe zajmuje pozycje i na wybitnych są stanowiskach w Polonji i w Kraju: są wśród nich Kongresmani, majorowie miast, różni urzędnicy, profesjoniści i t. p.

Przy Seminarjum Polskiem znajdują się Redakcje "Sodalisa", czasopisma studenckiego (miesięcznik), oraz "Alumnusa" Organu Stowarzyszenia Alumnów (kwartalnik) i "Kazalnicy Popularnej" (kwartalnik), redagowanych przez członków fakultetu.

Roczna największa frekwencja studentów na wszystkich trzech Wydziałach wynosiła 543; kleryków w najlepszym roku było 189—na obu Wydziałach Filozofji i Teologji. W ostatnich latach frekwencja obniżyła się nieco.

Złoty Jubileusz Seminarjum Polskie obchodziło uroczyście w r. 1935.

Przez wiele lat tak pożytecznej i zaszczytnej działalności Seminarjum to nasze walczyło z ciężkiemi trudnościami finansowemi; od lat kilku zasłużone we wielu dziedzinach polsko-amerykańskiego współżycia Zjednoczenie Pol. Rzym. Katolickie wspiera corocznie zakład omawiany subsydjami, pochodzącemi z opodatkowania członków rzeczonej Organizacji.

KS. JÓZEF DĄBROWSKI

Ks. Józef Dąbrowski urodził się 10-go stycznia, r. 1842, w Żółtańcach, w Kaliskiem. Brał udział w Powstaniu 1863 r., skutkiem czego musiał Polskę opuścić. Po paru latach tułaczki poświęcił się stanowi duchownemu, a odbywszy w Rzymie studja teologiczne, święcenia kapłańskie otrzymał dnia 1go sierpnia, 1869. Wiosną r. 1870 przybył do Ameryki do miejscowości Poland Corner, w Diecezji Green Bay, w Stanie Wisconsin. Istniała tam już parafja polska, ale w opłakanem była położeniu, prym tam wodzili ludzie niepowołani, osobiste mający na oku cele. Ks. Dąbrowski z zapałem zabrał się do naprawy stosunków: ręką silną ujął władzę, czem pozyskał sobie serca dobrze myślących parafjan. Nie obyło się bez walki, skutkiem której Ks. Dąbrowski, w porozumieniu z Ks. Biskupem, przeniósł Parafję w sąsiedztwo, do nowej osady, którą nazwano—Polonja. Budynki i kościół przeniesiono na nowe miejsce, Irlandczyk, McAglerr, darował na kościół 20 akrów gruntu, na nowej tej ziemi przystąpiono do budowy nowego kościoła, używając do tego częściowo materjału z rozebranego kościoła w Poland Corner. Powoli osada zaczęła się rozrastać. Opozycjoniści, nie mogąc przeboleć utraty wpływów, wytoczyli Ks. Biskupowi, Ks. Dąbrowskiemu i osadzie Polonja—proces, który długo toczył się przez wszystkie instancje, aż wreszcie Najwyższy Sąd Stanowy zawyrokował na korzyść Polonji i Ks. Dąbrowskiego. Potem przyszły klęski materjalne na biedną Parafję: dwukrotnie pożar zniszczył kościół i plebanję; Ks. Dąbrowski jednak nie upadał na duchu, więc za każdym razem podnosiła się Parafja z upadku i odradzała się coraz silniejsza: na miejsce drewnianego kościoła wyrosła murowana świątynia, nadto Ks. Dąbrowski wystawił szkołę i sprowadził do niej SS. Felicjanki z Krakowa.

Dzieje tej Parafji—iście symbolicznie zwącej się—Polonja, oraz jej Proboszcza Ks. Dąbrowskiego—są prawdziwie typowemi przykłady dla stosunków polsko-amerykańskich.

Około 1870 r. Polacy coraz tłumniej przybywali do Ameryki, więc trzeba było starać się o pomoc dla nich duchowną. Biskupi amerykańscy zwracali się do Ks. Kardynała Ledóchowskiego, w Rzymie, z prośbami o przysłanie im polskich księży: Ks. Kardynał nie mógł uczynić zadość tym żądaniom bardzo licznym, bo nie rozporządzał dostatecznym zastępem kapłanów, podał więc myśl założenia seminarjum polskiego w Ameryce: projekt ten powierzył Ks. Leopoldowi Moczygembie, który przybywszy do Ameryki, zaczął zbierać ofiary na założenie owego seminarjum. Zebrał około ośmiu tysięcy dol., ale że był już w podeszłym wieku, więc nie czując się na siłach do podjęcia dzieła tego, powierzył je Ks. J. Dąbrowskiemu. Wybór był ze wszech miar szczęśliwy: Ks Dąbrowski podjął tę pracę i dokonał dzieła—dzięki ofiarności rodaków.

Ks. J. Dąbrowski obrał na siedzibę seminarjum—miasto Detroit—jako położone w centrum osadnictwa polskiego: liczyło ono wówczas już około 40,000 dusz polskich. Po zebraniu odpowiedniego funduszu zakupiono w Detroit dwa i pół akra ziemi przy zbiegu ulic St. Aubin i Forest, w r. 1884 rozpoczęto budowę, a w r. 1887 gmach został ukończony; otwarcie nastąpiło 15go grudnia, 1887 r. Skromne były początki tego Seminarjum; zapisało się zrazu tylko sześciu studentów, lecz już z końcem pierwszego roku szkolnego było ich w Seminarjum dwudziestu kilku z różnych stron Stanów Zjedn.

Nowemu Seminarjum Polskiemu trzeba było nauczycieli. Ks. Dąbrowski udał się do Europy po profesorów, był i w Rzymie, ale nie wiele mógł wskórać; wreszcie udało mu się sprowadzić kilku nauczycieli: z Krakowa przybyli Ks. Bronikowski, z Rzymu Ks. Witold Buhaczkowski, który został Wicerektorem; później przybyli Ks. Mieczysław Borabasz, Ks. Ciemieński, Ks. Dr. Godrycz, Ks. Kisielewicz i Ks. Ćwiąkała, a ze świeckich Karol Laskowski, Romuald Piątkowski, Dr. Igacy Machnikowski, Józef Gardulski, Andrzej Piwowarski, Antoni Fijałkowski i Franciszek Gorzelniawski.

Praca długoletnia, a pełna poświęcenia — odbiła się ciężko na zdrowiu Ks. Józefa Dąbrowskiego: troski i trudności liczne osłabiły to dzielne serce; wreszcie niezmordowany pracownik zmarł na atak serca 15go lutego, 1902 r. Dla Seminarjum Polskiego żył, dla niego poświęcił się, ono też było i jest najdonioślejszą pracowitego jego żywota zasługą, którą Ks. Józef Dąbrowski wzniósł sobie w Polonji pomnik—wiecznej pamięci.

NASTĘPCY KS. J. DĄBROWSKIEGO

Drugim rektorem Seminarjum Polskiego był Ks. Witold Buchaczkowski; dokonał on dwukrotnie rozbudowy gmachu seminaryjnego, ciągle z ciasnotą i brakiem pomieszczenia walczącego. Wreszcie—w maju, 1909 roku, nabył dla Seminarjum zabudowania po nieczynnej Akademji Wojskowej w Orchard Lake, pod Detroit: jest to posiadłość przeszło sto-akrowa z kompleksem kilkunastu budynków, dziś znakomicie przystosowanych i rozbudowanych. Zmarł w roku 1925.

Trzeci rektor, Ks. Prałat Michał Grupa, powiększył jeszcze i adaptował niektóre budynki, oraz wzniósł nowe. Za jego czasu zaprowadzono podział

zakładu na trzy odrębne Wydziały naukowe; nadto uzyskano konieczne akredytacje władz szkolnych, uniwersyteckich i stanowych.

Czwarty rektor, Ks. Prałat Antoni Kłowo, już jako Wicerektor pracował nad zorganizowaniem Stowarzyszenia Alumnów, których związał w silną organizację, znaną i działającą w całej Polonji; założył on również Pismo studenckie "Sodalis".

Piątym rektorem — był Ks. Prałat Władysław Krzyżosiak, urodzony w Braddock, Pa., w r. 1896, wychowanek i absolwent tegoż Seminarjum, którem później zarządzał. Wyświęcony w r. 1922, pracował cały czas swego kapłaństwa w Seminarjum, którego administratorem został po zgonie Ks. Prałata Kłowo. W r. 1938 został mianowany rektorem, a w r. 1941 został wyniesiony do godności Prałata. Z powodu słabego zdrowia ustąpił z urzędu rektora w roku 1943. Na dacie wydawania tej książki zarząd Seminarjum jest—prowizoryczny.

KS. ANTONI KŁOWO

Ks. Antoni Kłowo urodził się w Polsce, w r. 1886. W młodzieńczym wieku do Stanów Zjedn. przybył, tu się kształcił, tu poświęcił się stanowi duchownemu i wyświęcony został na kapłana w r. 1913 dla Archidiecezji Chicagoskiej. W niej pracował wydatnie przez szereg pierwszych lat, jako asystent przy Parafji p. w. Najśw. Serca Pana Jezusa, w południowej części miasta Chicago, potem jako wice-moderator "Macierzy Polskiej" i jako kapelan SS. Nazaretanek w Des Plaines: najchętniej pracował wśród młodzieży, dla niej poświęcał się najgorliwiej, organizował jej towarzystwa, kluby, kółka, usilnie podtrzymując w niej Wiarę i Polskość. Później do Seminarjum Polskiego w Orchard Lake się przeniósł: był zrazu jego profesorem i dyscyplinarjuszem, potem—wicerektorem za rektoratu Ks. Prałata M. Grupy; jednocześnie pracował w dalszym ciągu nad własnemi studjami, dla których dopełnienia udał się do Rzymu i tam w "Gregorianum" otrzymał Doktorat Filozofji. Po powrocie do Ameryki, oraz po ustąpieniu z rektorstwa Seminarjum Ks. Prałata Grupy, Ks. Dr. A. Kłowo został zakładu tego rektorem, a niedługo później, w r. 1934, został wyniesiony do godności Prałata. Na stanowisku rektora Ks. Prałat Kłowo rozwinął nadzwyczajnie energiczną, a wszechstronną działalność w kierunku reform, dawno potrzebnych: zreorganizował i usprawnił administrację zakładu, ożywił a właściwie stworzył na nowo jego Alumnat, który zbudził do współpracy ze zakładem, pozyskał też dla Seminarjum rozległe koła przyjaciół i wydatne dochodów źródła. Jednocześnie pogłębił działalność naukową instytucji, podniósł poziom nauk wykładanych przez dobór sił pedagogicznych, przez unowocześnienie wykładów i rozwinięcie wszechstronne poszczególnych wydziałów. Marzeniem było Ks. Kłowo, by kiedyś—z czasem—zamienić Seminarjum na pierwszy Uniwersytet Polsko-Amerykański! Niestety czasu na to mu nie stało: przepracowanie ciężkie, nie żałowanie sił własnych i zdrowia—nadwyrężyły jego zdrowie, dały początek ciężkiej, nieuleczalnej chorobie serca, która też przedwcześnie położyła kres temu, tak niezmiernie pożytecznemu życiu. Zmarł w Orchard Lake, Mich., w roku 1937.

Autor znał ś. p. Ks. Prałata Kłowo od czasów jeszcze seminaryjnych, kiedy był studentem-klerykiem; potem—w Chicago współdziałaliśmy długo—razem organizowaliśmy Kółka Literackie i Dramatyczne młodzieży, bodaj do

dziś istniejące... grało się tam rzeczy tylko dobre i wartościowe i grało się dobrze—dzięki jego poparciu i pomocy. Potem—już tylko listy ze Seminarjum i ze Rzymu. Potem — od czasu do czasu krótkie widzenia się, trochę dziennikarsko-literackich kontaktów... Wiedziałem o jego pragnieniach planach od niego samego, a że go znałem tak dobrze, piszę, iż — onby je wykonał, gdyby—zdrowie—gdyby mu żyć było danem... Był Kapłanem wzorowym, Polakiem niezłomnie patrjotycznego ducha, znakomitym obywatelem i społecznikiem pierwszorzędnym.

KOLLEGIUM ŚW. STANISŁAWA KOSTKI W CHICAGO

Kollegium pod wezwaniem św. Stanisława Kostki w Chicago założył w r. 1890 Ks. Wincenty Barzyński, C.R. Początkowo istniał ten zakład przy Parafji św. Stanisława, mieszcząc się w małym drewnianym budynku: pierwszym rektorem jego był Ks. Józef Halter, C.R. Po nim rektorem został Ks. Jan Piechowski, C.R., późniejszy zasłużony Proboszcz Parafji p. w. św. Jadwigi w Chicago i nieustraszony pogromca niezależnictwa. Z kolei po nim został rektorem Ks. Jan Kruszyński, C.R., który zarządzał Kollegium od r. 1895 aż do 1906 roku.

W roku 1899 Kollegium św. Stanisława Kostki zostało przeniesione do wielkiego, własnego gmachu, w którym mieści się po dzień dzisiejszy.

W roku 1901 najstarsi abiturjenci Kollegium tego założyli Stowarzyszenie Alumnów, dziś to poważna i wpływowa organizacja naszej chicagoskiej inteligencji.

W r. 1906 rektorem został Ks. Jan Kosiński, C.R.: za jego czasów Kollegium otrzymało doskonały program szkolny, oraz plan nauk, dorównujący angielskim równorzędnym uczelniom. Dzięki sumiennej pracy kierowników, Kollegium św. Stanisława osiągnęło wtedy taki stopień zalet, że ówczesny Arcybiskup Chicagoski, Ks. J. Quigley, wskazywał szkołę tę naszą — jako jedną z najlepszych w Archidiecezji. Ks. J. Kosiński uzyskał dla Kollegium św. Stanisława wszystkie przywileje i uznanie władz stanowych, nadto Kollegium otrzymało uznanie swych dyplomów ze strony Uniwersytetu Gregorjańskiego w Rzymie.

W 1909 r. został rektorem wysoce da zakładu zasłużony—Ks. Władysław Zapała, C.R. W r. 1911-12 zorganizowano przy Kollegium kursy handlowe, dzienne i wieczorne; przybytkiem tego samego roku były bogate gabinety przyrodnicze, zoologiczny i biologiczny. Ks. W. Zapała pracował nader owocnie, przez szereg lat dla Kollegium, które za czasów jego było silnem, żywem ogniskiem polskości: z tych czasów datuje się świetna działalność "extra muros" tej uczelni, która w swą specjalną pieczę przejęła kult patrjotyczny wielkich tradycji narodowych. Szczegóły o tem znajdzie Czytelnik w życiorysie Ks. Władysława Zapały, który na stanowisku Rektora Kollegjum św. Stanisława, pozostawał aż do obioru go w r. 1920 na urząd Przełożonego Generalnego Zgrom. XX. Zmartwychwstańców. Po nim pełnił urząd rektora Kollegium św. Stanisława, dalej nad rozwojem uczelni tej pracując wydatnie, Ks. Tadeusz Ligman, C.R.

W latach ostatnich zmieniono nazwę Kollegium—na "Szkoła Wyższa im. Ks. Arcybiskupa Webera, C.R."; zakład—jak dawniej wydatnie i pożytecznie pracuje dla Polonji. W r. 1940 obchodził on nader okazale i uroczyście Złoty Jubileusz swej wysoce pożytecznej działalności.

KS. WŁADYSŁAW ZAPAŁA, C.R.

Ks. Władysław Zapała urodził się w Małopolsce zachodniej, w r. 1871; kształcił się i święcony był w Polsce, poczem po kilku latach pierwszych prac kapłańskich w Ojczyźnie, przysłany został do Ameryki, kiedy to w Chicago, w największej podówczas parafji polskiej p. w. św. Stanisława, był proboszczem, a zarazem zwierzchnikiem XX. Zmartwychwstańców w Ameryce, działacz zasłużony, ś. p. Ks. Wincenty Barzyński, C.R. Zrazu pracował Ks. Zapała jako asystent przy parafji św. Stanisława w Chicago, później przydzielony został do Kollegium św. Stanisława, założonego przez Ks. W. Barzyńskiego, jako profesor Polonistyki; jeszcze później został wicerektorem wymienionego zakładu, wreszcie został jego rektorem, na którem to stanowisku pracował przez lat szereg, jednocześnie pracując wydatnie na niwie spraw społeczno-narodowych, oraz biorąc udział ważki w naszem współżyciu organizacyjnem. W czasach tych należał Ks. Władysław Zapała do wielu komitetów obywatelskich i narodowych, był sekretarzem Polskiego Wydziału Narodowego w Chicago, organizacji przewodniej w okresie Wielkiej Wojny, a jednocześnie był sekretarzem jeneralnym Zjednoczenia Kapłanów Polskich, zorganizowanego przez Ks. Biskupa P. P. Rhodego, której organizacji również organ urzędowy redagował.

W czasie tym Ks. Władysław Zapała należał do najwybitniejszych osobistości wśród Kleru polskiego w Ameryce, a bezsprzecznie zasłużył się niemało w całym szeregu spraw ważnych. Osobno podkreślić należy jego rzeczywiste i wartościowe zasługi około podniesienia i utrzymania Kollegium św. Stanisława, a zarazem około utrwalenia polskości wśród młodzieży tego zakładu. Okres rektoratu Ks. W. Zapały należał do najpomyślniejszych w tym względzie. Kollegjum to promieniowało w tym czasie inicjatywą kulturalną na całą Polonję chicagoską, a nawet daleko poza nią: rocznice narodowe, kult naszych Wielkich, reprezentacja Sztuki polskiej—wszystko to znajdowało pamięć poczesną i reprezentację, nieraz—świetną zaiste. Kollegium to uczyło, jaką wspaniałą jest twórczość polska, a wspaniałości tej dawać umiało wyraz, nierzadko sięgający wysoko ponad przeciętne przejawy, że tylko wspomnimy szereg doskonałych występów scenicznych, przedstawień dzieł autorów, polskich i obcych, na co pod protektoratem Ks. Zapały nie żałowano kosztów, pracy, ni czasu. Nigdy od owych lat nie widziano już w Polonji chicagoskiej, ni gdzie indziej więcej—takich prawdziwie znakomitych występów i tak świetnych popisów polskości, krzewionej na ziemi tutejszej... Zasłużony taką działalnością Ks. W. Zapała został w r. 1920 obrany Przełożonym Jeneralnym Zgromadzenia XX. Zmartwychwstańców i odtąd przebywał w Rzymie w ciągu dwu kadencyj swego na tem stanowisku urzędowania; po upłynięciu terminu swego wyboru pojechał do Polski, gdzie przez lat parę w Poznaniu piastował stanowisko proboszcza nowo-organizowanej parafji XX. Zmartwychwstańców, następnie zaś powrócił do Stanów Zjedn., gdzie zajmuje się pracą misjonarsko-kaznodziejską. Znany w całej Polonji—jako doskonały kaznodzieja, mówca wybitny, działacz, wielostronnie zasłużony, Ks. Władysław Zapała cieszy się sympatją Duchowieństwa i rozległych sfer obywatelskich.

W czasie bytności w Chicago na wiosnę, 1941 r., premjera Polski Walczącej, Generała W. Sikorskiego—na uroczystem nabożeństwie w kościele św. Jana Kantego Ks. W. Zapała wygłosił patrjotyczne kazanie, w którem witał Wodza Polski, a Polonję Amerykańską oraz jej zasługi dawne i bieżące godnie

mu przedstawił; wspomnę wreszcie, że Ks. W. Zapała był również kaznodzieją żałobnej Summy, odprawionej za spokój duszy ś. p. I. J. Paderewskiego w Katedrze Nowojorskiej, w lipcu, 1941 r. i tem życiorys wybitnego kapłana-patrjoty doprowadzam do chwili bieżącej.

AKADEMJA P. W. NAJŚW. RODZINY W CHICAGO

Akademja pod wezwaniem Najśw. Rodziny została utworzona w Chicago w r. 1887 przez Zgromadzenie SS. Najświętszej Rodziny z Nazaretu.

Plan nauk Akademji zawiera w angielskim języku wszystkie przedmioty, objęte programem równorzędnych szkół żeńskich, krajowych, z dołączeniem religji, jakoteż literatury i historji polskiej. Oprócz czteroletniego kursu akademickiego zakład posiada także kursy buchalterji i stenografji, oraz kursy gospodarstwa domowego, muzyki i innych przedmiotów młódź żeńską zajmujących.

Akademja pod wezwaniem Najśw. Rodziny z Nazaretu była długo jedynym wyższym zakładem naukowym w Ameryce, przeznaczonym dla dziewcząt polskich; później przybyło ich więcej. Założona zrazu w niewielkim budynku, rozwijała się pomyślnie, a dzięki pracy niestrudzonej SS. Nazaretanek, pod światłemi, pełnemi poświęcenia kierowniczkami, instytucja rozwinęła się i zasług zdobyła plon poważny. Z czasem zbudowano dla niej gmach wielki i okazały, a gdy i ten za małym się okazał, dobudowano obok większy jeszcze, w którym iście pierwszorzędne pomieszczono urządzenia, wspaniałe gabinety, bibljotekę, basen do pływania, sale gimnastyczne i t. p.

Z roku na rok Akademja ta wysyła w świat zastępy młodych, inteligentnych Polek: ma ona w tym względzie ustaloną opinję i niemałe zasługi. Pierwszą Przełożoną Akademji była Matka M. Rafaela, pierwszą zaś dyrektorką tej szkoły była M. Franciszka. Jedną z najwięcej zasłużonych pracownic SS. Nazaretanek wogóle, była kierowniczka zakładu omawianego, niezapomniana Matka Stanisława, która stała się iście dobrym duchem Akademji, a której wskazania pełne gorącego patrjotyzmu — do dziś dnia żyją w tej szkole.

MATKA M. STANISŁAWA

Matka Marja Stanisława (Józefa Sierpińska) urodziła się w Krakowie dnia 9-go marca, 1863 r.; wykształcenie otrzymała w krakowskiej szkole św. Scholastyki, a w 18-tym roku życia wstąpiła do Zgromadzenia SS. Nazaretanek. Po roku powołano ją do Rzymu, poczem wysłano ją do Ameryki na pracę misyjną; była to jedna z pierwszych dwunastu Sióstr Nazaretanek, które przed laty przybyły do pracy wśród Polonji Amerykańskiej. W pracy tej ś. p. Matka Stanisława przebyła lat 27, działając na całym szeregu posterunków, nieraz trudnych ale zaszczytnych i zasługi pełnych: uczyła kolejno w szkołach polskich w Scranton, Pa., w So. Chicago, we Filadelfji, w Pittsburgu, w Cleveland i znów w Chicago, zajmując przez 20 lat zgórą stanowisko Przełożonej w szkołach wyżej wymienionych miejscowości; wreszcie powołano ją na urzędy Asystentki Prowincjalnej i Przełożonej Akademji Najśw. Rodziny w Chicago. Zmarła na tem stanowisku w Chicago dnia 2-go lutego, 1912 roku. Wieloletnią pracą na niwie pedagogicznej Matka Stanisława położyła zasługi wielkie, a nauczycielskiemi swemi zdolnościami, charakte-

rem pięknym, energicznym a śmiałym, oraz wielkim i gorącym patrjotyzmem zdobyła sobie cześć i miłość powszechną; znali ją i kochali wszyscy, co się z nią zetknęli, pozostała po niej trwała pamięć w Polonji, której wykształciła i wychowała kilka generacyj—dobrych matek i żon, godnych cór polskiego narodu.

WYŻSZA SZKOŁA P. W. ŚW. BONAWENTURY

Wyższa szkoła św. Bonawentury, poprzednio zwana Kollegjum św. Bonawentury, została założona przez OO. Franciszkanów (O.F.M.), w r. 1901, w Pułaski, Wis. Nauki rozpoczęto dnia 9-go września, naprzód w klasztorze; później zbudowano osobny dom i przeprowadzono doń, Kollegjum w lutym, 1903 roku.

Liczba studentów, zrazu mała, z roku na rok się powiększała — tak, że musiano zakład powiększyć, więc w 1910 r. dobudowano do pierwszego budynku nową część obszerną, ale i te zabudowania, wskutek coraz bardziej powiększającej się liczby uczniów okazały się za małe, OO. Franciszkanie postarali się wreszcie o miejsce, któreby mogło pomieścić wszystkich zgłaszających się i nabyli Akademję w Mt. Pleasant, Sturtevant, Wis., dokąd w r. 1922 przeniesiono Kollegjum omawiane.

Szkoła znajduje się na wzgórzu, skąd piękny widok roztacza się dokoła na całą okolicę; budynki obszerne posiadają wszelkie nowoczesne urządzenia. W szkole uczą OO. Franciszkanie: obejmuje ona cztery klasy, stanowiące kompletny kurs klasyczny i jest akredytowana przez Uniwersytet Stanowy, więc stopnie, przedmioty i poziom nauki znajdują uznanie we wszystkich Szkołach Wyższych, do których uczniowie przejść mogą bez straty czasu.

Wielkim dobrodziejem zakładu tego był Senjor Polskiego Duchowieństwa w Archidiecezji Chicagoskiej, Ks. Franciszek Wojtalewicz, który własnym kosztem zbudował dla Kollegjum tego nowe rozległe, pierwszorzędnie urządzone budynki. Wyjątkowy to zaiste w dziejach szkolnictwa naszego przykład ofiarności obywatelskiej, zasługujący na największe uznanie.

KS. FRANCISZEK WOJTALEWICZ

Jeden z najwybitniejszych kapłanów-działaczy polskich w Ameryce bieżącej doby. Urodził się w Zalesiu, Prusy Zachodnie, w r. 1861, do Ameryki przybył w r. 1869, kształcił się w Seminarjum St. Francis, pod Milwaukee, Wis. i w St. Meinard, Ind., na kapłana został wyświęcony w 1889 r. W ciągu swej działalności kapłańskiej założył trzy polskie parafje w okolicy Chicago, w którego południowej dzielnicy, we wielkiej Parafji p. w. Najśw. Marji Panny Niepokalanego Poczęcia był Proboszczem przez lat pięćdziesiąt. W parafji tej wzniósł wspaniałe zabudowania, rozwinął ją i zagospodarował tak, że jest ona jedną z największych i najważniejszych w olbrzymiej Archidiecezji Chicagoskiej. Ks. Fr. Wojtalewicz poza pracą parafjalną zawsze ochotnie udzielał się sprawom społecznym i patrjotycznym: przez szereg lat był kapelanem Zjednoczenia Polskiego Rzym. Katolickiego, dla którego niemałe położył zasługi. Znany ze swej wielkiej ofiarności, niejednemu dobremu pomógł dziełu. Był założycielem czasopisma chicagoskiego "Polonja", którego autor tej książki był przed laty—pierwszym Redaktorem. Ks. Fr. Wojtalewicz zmarł w Chicago, w r. 1942.

KS. KAZIMIERZ SZTUCZKO

Urodził się w Mirosławiu, w Polsce, w r. 1867; do Ameryki przybył w r. 1882, a poświęciwszy się stanowi duchownemu, kształcił się w Notre Dame, Ind. Na księdza wyświęcony został w r. 1891; jest najwybitniejszym polskim członkiem Zgromadzenia św. Krzyża (C.S.C.). Działalność Ks. Kazimierza Sztuczki zrosła się z wielką chicagoską Parafją św. Trójcy, którą przed półwieczem zastał w rozterce i schizmie, a którą uporządkował i uspokoił—dobrocią serca wielką i taktownem postępowaniem. Wszystko w tej Parafji jego sprawą i zasługą się stało, a do dziś istnieje. Ma ona obecnie wspaniałą świątynię, wielkie gmachy szkolne, ma własną dobrze prowadzoną szkołę średnią.

Dziś już wiekiem starszy — był jednak przed laty Ks. K. Sztuczko "*spiritus movens*" niejednej ważnej i dobrej akcji; był n.p. długo sekretarzem wykonawczym "Federacji Polaków-Katolików w Ameryce" — jednej z ważniejszych prób scentralizowania wszystkich Polaków—jednej myśli u jednego ogniska. Wielki i szczery patrjota, wzorowy kapłan i obywatel, działacz przewodni na niwie religijnej i społecznej, Ks. Kazimierz Sztuczko należy do najczcigodniejszych postaci wśród polsko-amerykańskiego duchowieństwa.

SS. FELICJANKI I PIERWSZA POLSKA SZKOŁA W AMERYCE

Ks. Jan Dąbrowski przybywszy do Stanów Zjedn. w r. 1869, otrzymał zamianowanie na Proboszcza Parafji Polonja w północnej części Stanu Wisconsin, dziś w Diecezji Green Bay. Pragnąc założyć w tej Parafji szkółkę polską, zwrócił się do Zgromadzenia SS. Felicjanek w Krakowie i sprowadził pięć pierwszych Sióstr do szkółki w Polonja. Było to w listopadzie, 1874 r.

Ze zapisków SS. Felicjanek cytujemy dalej:

Dnia 3-go grudnia, 1874 roku, Siostry otworzyły szkółkę i podzieliły dzieci na dwie klasy. Choć to była pora zimowa, tęgie mrozy i złe drogi, dzieci—pomimo odległości—pilnie uczęszczały do szkoły. Niektóre familje z dalszych miasteczek umieściły swe dzieci u rodzin bliżej kościoła, a kilka dziewcząt stołowało się w domu Sióstr.

Ponieważ liczba dzieci szkolnych wzrastała, Siostry ograniczyły swoje mieszkanie do dwóch izb sypialnych, a więcej domu oddały na szkołę. Wdzięczni parafjanie oceniali pracę i poświęcenie Sióstr, okazywali im serdeczną życzliwość i w naturze znosili im co tylko mogli. Niedługo potem dzięki Ks. Dąbrowskiemu, zbudowali osobną szkółkę parafjalną przy kościele. Jest to najstarsza szkoła w Ameryce, w parafji Najsłodszego Serca Jezusowego w Polonia, Wis.

Przed przyjazdem Sióstr Felicjanek, dzieci uczęszczały do szkół publicznych, lecz odkąd Siostry objęły szkołę polską w Polonji, rodacy nasi nie tylko z bliska, ale i z dalszych miasteczek przysyłali dzieci do szkoły Ks. J. Dąbrowskiego. Jedna z uczennic tego czasu jeszcze żyje, w r. 1939 i jest Siostrą Felicjanką — opowiada, jak jej ojciec, gdy dowiedział się od Ks. Dąbrowskiego, że kto chce, to może przysłać swe córki na naukę do Polonji, gdzie polskie zakonnice uczą, tak się wyraził do swej żony: "Poślijmy naszą córkę, niech choć jedna ma polską szkołę". I posłali: Pan Bóg wynagrodził ich, bo córka w 1875 r. wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Felicjanek.

Po kilku latach Siostry opuściły Polonia, Wis., jako nie nadające się do szerszego zakresu pracy i dzięki ofiarności dobrodziejów, zbudowały klasztor

w Detroit, do którego przeniosły się w r. 1882. Otworzyły przy nim Internat i Sierociniec dla dziewcząt, a klasztorek w Polonji zamieniły na zakład dla chłopców-sierót.

Odtąd z zadziwiającą szybkością mnożyły się szkoły parafjalne, a wezwań o Siostry Nauczycielki było coraz więcej: gdyż były to czasy, kiedy ziomkowie nasi najliczniej emigrowali do Ameryki. Pole pracy rozszerzało się z każdym rokiem: budowano szkoły coraz to większe, gmachy liczące po kilkaset, a nawet ponad tysiąc dzieci.

ZŁOTY JUBILEUSZ POLSKIEJ SZKOŁY PARAFJALNEJ

Dla przykładu rozwoju i uznania dla naszych szkół parafjalnych przytaczamy w streszczeniu opis "Gwiazdy"—Jubileuszu Złotego Szkoły Parafjalnej, działającej w najstarszej polskiej Parafji — we Filadelfji:

"Parafja Św. Wawrzyńca, matka polskich parafij w Archidiecezji Filadelfijskiej, a razem z nią cała Polonja, obchodziła Jubileusz Złoty istnienia i patrjotycznego działania Szkoły Parafjalnej w tej Parafji, pierwszej polskiej szkoły w tej stronie Kraju, uczelni, z której wyszedł—legjon dobrych Polaków i Polek, dobrych Amerykanów i Amerykanek, profesjonistów, byznesistów, obywateli i obywatelek. Pięćdziesiąt lat nauki polskiej, pół wieku pracy na niwie nauczania polskości z takim rezultatem, iż gdy zewsząd zagraża wynarodowienie, tam jednak stale mówi się i uczy się po polsku, to jest rzecz bardzo wielka i ważna, ogrom prac największego godnych uznania, wytrwałości trzymania się na gruncie narodowym. oraz wychowania katolickiego, wogóle tego wiernego, niezachwianego dążenia ku celom wzniosłym, zawartym w pilnem, konsekwentnem, pieczołowitem realizowaniu idei, którą zawieramy w haśle—*Bóg i Ojczyzna.* Wszystkie nasze Szkoły Parafjalne działają w sposób nieoszacowanie wartościowy: na oddanie ich znaczenia wprost słów brakuje—dostatecznie wymownych! Uczcić je wszystkie — w tym Jubileuszu Złotym jednej z najstarszych polsko-amerykańskich uczelni, oto cel tej bodaj krótkiej wzmianki.

Ks. Kardynał Dougherty, Arcybiskup Filadelfji, przesłał Ks. Michałowi Wyborskiemu, Proboszczowi Parafji Św. Wawrzyńca—z okazji Jubileuszu omawianego—list osobisty, który poniżej podajemy w tłumaczeniu:

"Dowiedziawszy się z przyjemnością, że Wasza Szkoła Parafjalna zamierza obchodzić Złoty Jubileusz swego założenia, pragnę Tobie, innym Księżom w Twej Parafji i wszystkim Parafjanom przesłać moje gratulacje zpowodu tego szczęsnego wydarzenia, oraz życzenia najlepsze—zbierania w dalszym ciągu dobrych owoców, dotychczas wydawanych przez tę Szkołę. Z łaski Bożej dziesięciu Księży i czterdzieści Sióstr Zakonnych wyszło z tej szkoły: to jest zaiste rekord do pozazdroszczenia.

Cieszę się z Tobą razem i z Twymi Parafjanami, — tym tak niezwykle świetnym rekordem, dokonanym przez Szkołę Waszą w ciągu pięćdziesięciolecia jej istnienia. Twoi Parafjanie mają słuszną przyczynę, by się szczycić z tych poświęceń i ofiar, jakie ponieśli, zakładając i utrzymując tę Szkołę swoją. Wyrażam im podziękę za ich współpracę i proszę ich, by nadal trwali w tem czynieniu dobrze. Tobie, Twym Asystentom, Siostrom i całej Parafji przesyłam szczególniejsze błogosławieństwo na ten Jubileusz.

"Pozostaję z prawdziwą życzliwością, drogi Księże Wyborski,

Oddany Wam szczerze,

D. KARDYNAŁ DOUGHERTY,

Arcybiskup Filadelfji."

KOLLEGJUM ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO

Sejm Z.N.P. we Wilkes Barres, Pa., odbyty w r. 1903, postanowił powołać do życia Wyższą Szkołę Związkową: w tym celu wybrał Komisję Szkolnictwa i polecił przeprowadzić zbiórkę w organizacji, aby w możliwie najkrótszym czasie zrealizować ten ważny projekt. Na Sejmie w St. Louis, Mo., Komisja Szkolnictwa wykazała taką sumę ($75,000), że Sejm polecił, aby przystąpiono do budowy Szkoły, ewentualnie nabycia budynku na ten cel. Ówczesny Cenzor Z.N.P., A. Schreiber, zwołał zjazd wybitnych działaczy społecznych i Prasy polskiej do Cambridge Springs, Pa., gdzie zapadła uchwała nabycia i przerobienia na szkołę hotelu Vanadium w tejże miejscowości. Uroczyste otwarcie odbyło się 28go listopada, 1912 r., przy udziale Prezydenta Stanów Zjedn., H. Tafta i wybitnych gości z całego Kraju. Zarządcą szkoły został Marjan Stęczyński, były prezes Z.N.P., a dyrektorem jej obrano Romualda Piątkowskiego, profesora Seminarjum Polskiego w Detroit. Uczniów zgłosiło się odrazu zgórą 300. Odtąd Kollegjum Związkowe rozwijało się normalnie, mając za sobą szczodre poparcie największej polskiej Organizacji, nie mniej przechodziło i ono wstrząsy poważne, a do takich należał wielki pożar w r. 1939, który pochłonął cały dotychczasowy dorobek materjalny Szkoły. Katastrofy tej ofiarą padły bogato urządzone laboratorja przyrodnicze, bibljoteka o 12,000 tomów, oraz wartościowe archiwum z wielu ważnemi dokumentami, dotyczącemi dziejów tej Organizacji i całej Polonji. Gmachy wnet odbudowano i rozbudowano ogniotrwale, a dziś Szkoła ma w całem tego słowa znaczeniu nowocześnie urządzone pawilony, dormitorja, zabudowania administracyjne, gospodarcze i t. p.

Szkoła Związkowa była prowadzona początkowo w duchu wybitnie polskim, z polskim językiem wykładowym, wnet jednak przekonano się, że kierunek taki nie godził się z krajowym, amerykańskim duchem kształcenia i ograniczał wychowanków związkowych nader dotkliwie, uszczuplając ich kwalifikacje przy przechodzeniu do uczelni wyższego typu. Uświadomienie tego stanu rzeczy spowodowało rewizję programu nauczania i uzgodnienia go z krajowemi wymaganiami. Obecnie Kollegjum posiada — na równi ze zakładami równorzędnemi — akredytacje należne, a jego absolwenci bez trudności przechodzą do szkół wyższych.

Przy szkole Związkowej prowadzone też są od lat szeregu Kursy Rękodzielnicze, założone w r. 1915.

W okresie pierwszej Wojny Światowej i przygotowań do naszego w niej udziału urządzono w Cambridge Springs Kursa Podoficerskie Sokolstwa, Szkołę Podchorążych Ochotniczej Armji Polskiej z Ameryki i Kurs Zawodowego Wykształcenia dla Żołnierzy Armji Amerykańskiej. Po wojnie zasię Szkoła Związkowa zaopiekowała się ofiarnie kilkudziesięciu polskiemi sierotami ze Syberji, przysłanemi tu, oraz dała im fachowe przygotowanie w zakresie mechanicznym i technicznym na swych poprzednio wzmiankowanych Kursach Rękodzielniczych.

Temi pięknemi i ważnemi pracami, których ogniskiem było Kollegjum Związkowe, zapisało się ono trwale a bardzo zaszczytnie w pracach polsko-amerykańskich dla odbudowy Polski.

ROMUALD PIĄTKOWSKI

Romuald Piątkowski urodził się w 1857 r. w Zbarażu, w Małopolsce wschodniej. Do gimnazjum uczęszczał w Tarnopolu, a po studjach pracował w Polsce na polu szkolnictwa. W r. 1892 przybył do Stanów Zjedn.: przyje-

chał do Detroit, do Seminarjum Polskiego, gdzie zaangażowany został na profesora przez Ks. Józefa Dąbrowskiego, założyciela i rektora tegoż Seminarjum. Studentów w tym czasie było w Seminarjum na wszystkich wydziałach około czterdziestu. Początkowo uczył w miarę potrzeby różnych przedmiotów na wydziale klasycznym, później uczył także na filozoficznym wydziale. Nadto redagował tygodniówkę "Niedziela" — aż do zamknięcia Pisma tego w roku 1907.

Przy koniecznej specjalizacji przedmiotów i gdy grono nauczycielskie powiększyło się, zakres wykładanych przez R. Piątkowskiego przedmiotów naukowych ograniczył się do literatury polskiej, filozofji, oraz—astronomji. Te przedmioty wykładał przez długi szereg lat. Poza Seminarjum działał dodatnio w Polonji przez popularne wykłady, wraz z innymi profesorami urządzane.

Po sejmie Związku Nar. Pol., w r. 1909 powołany został R. Piątkowski do Chicago na szefa Biura Informacyjno-Prasowego, którem zawiadywał do r. 1912. W tym czasie przygotował i opracował program Kongresu Wychodźtwa Polskiego we Waszyngtonie, oraz zredagował Pamiętnik Kongresu, którego był sekretarzem. W r. 1912 R. Piątkowski powołany został przez Z.N.P. na pierwszego rektora Kollegjum Związkowego w Cambridge Springs. Cztery lata pozostawał na stanowisku kierownika Szkoły Związkowej, w której zaskarbił sobie serca studentów i powszechny zdobył szacunek. W roku 1917 R. Piątkowski został angażowany przez Ks. Michała Grupę, rektora Seminarjum Polskiego, na profesora tej uczelni, a odtąd przez lat 22 służył jej aż do końca życia. Przez szereg lat Prof. Piątkowski dawał wykłady w czasach wakacyjnych różnym Zgromadzeniom Zakonnym żeńskim, najdłużej SS. Felicjankom w Detroit i Lodi, N. J., SS. Franciszkankom w Toledo, O., SS. Nazaretankom we Filadelfji i SS. Bernardynkom w Reading, Pa. Wykłady te cieszyły się zawsze wielką popularnością. W pierwszych latach po przybyciu do Ameryki R. Piątkowski przetłumaczył Kanta — "Krytykę Czystego Rozumu" i "Prolegomena". Tłumaczenia te z wielkiem uznaniem wspomina w pismach swych Henryk Struve, wybitny filozof polski. "Prolegomena" Kanta w tłumaczeniu Prof. Piątkowskiego, wydała w roku 1901 Kasa Mianowskiego we Warszawie. R. Piątkowski zmarł w Orchard Lake, Mich., 30-go listopada, 1939. Posiadał Papieski Order św. Grzegorza W. i Komandorję Orderu "Polonia Restituta".

KOLLEGJUM P. W. ŚW. JANA KANTEGO

Wr. 1912 wznieśli i otworzyli Księża Misjonarze od Śtego Wincentego a Paulo—w pobliżu miasta Erie, w Stanie Pennsylwania, Kollegjum, do którego budowy przyczynił się finansowo szereg społeczniczo usposobionych Rodaków, wśród nich Ks. Prałat Andrzej Ignasiak, Proboszcz polskiej Parafji św. Stanisława w Erie. Gmach pierwotny z czasem rozbudowano; dziś Kollegjum jest kompleksem urządzonych nowocześnie budynków, w których kształci się i mieszka przeciętnie stu kilkudziesięciu studentów corocznie. W roku 1937-ym Kollegjum to obchodziło swe Dwudziesto-Pięcio-Lecie: z tej okazji wydano piękną, a nader starannie opracowaną historję Zakładu. Rektorami Kollegjum św. Jana Kantego byli Księża Misjonarze następujący: Ks. Jerzy Głogowski, Ks. Stanisław Konieczny, Ks. Michał Sadowski i Ks. Józef Studziński. Zakład posiada piękną kaplicę i zasobną bibljotekę, polską i angielską, sale dla przedstawień scenicznych, dla ćwiczeń gimnastycznych i

sportowych, boiska, park rozległy i położenie malownicze. Kollegjum św. Jana Kantego należy do bardzo zasłużonych naszych zakładów średnio-wyższych, ożywia je duch szczerze polski i patrjotyczny, wydało ono już zastęp spory działających w Polonji Amerykańskiej, kapłanów i profesjonistów różnych zawodów.

JESZCZE O KURSACH POLSKICH NA UNIWERSYTETACH

Najpierwsze takie kursy, zupełnie dowolnie prowadzone, i to przez czas krótki, były—zdaje się urządzone w Chicago przed trzydziestu kilku laty (wykładać "próbował" autor tej książki: nie poszło...). Później przy Columbia Uniwersytecie w Nowym Yorku zorganizowano jakby lektorat polski, z którego rozwinął się Dział Slawistyki i Polonistyki, prowadzony do dziś; wykłada prof. A. Coleman; Kursy te są poważnie traktowane, ale też rozporządzają współpracą kół inteligencji europejskiej, wśród której znajdują sporo słuchaczy. Uniwersytet Katolicki we Waszyngtonie ma Kursy Polskie, dla studentów-kleryków polskich i dla Sióstr Nauczycielek, kształcących się na nim. W składzie fąkultetu tej Uczelni mamy Ks. Prof. F. Rolbieckiego, pedagoga i pisarza.

Na Michigańskim Uniwersytecie Stanowym w Ann Arbor utworzono przed kilkunastu laty katedrę polonistyki, o której swego czasu pisał wykładowca prof. T. Mitana, co następuje—w streszczeniu:

"Katedra Polska na Uniwersytecie michigańskim, istniejąca dzięki ofiarności jednostek i organizacyj polskich w Detroit, stara się skutecznie spełniać rolę tego bodaj najważniejszego źródła wiadomości, jakiem dla gruntownego poznania narodu są sprawy kultury wogóle, a nauki, sztuki i literatury w szczególności. Podnieść należy zmianę nastroju wobec niej ze strony władz uniwersyteckich. Początkowa nieufność i neutralność zaczęła stopniowo przechodzić w podstawę zupełnego zaufania i szczerej życzliwości dla Kursu Literatury Polskiej. Nieuzasadniona obawa, że kurs może stać się ogniskiem propagandy politycznej, zniknęła zupełnie. Utworzono Koło studentów polskiego pochodzenia "Polonia Literary Circle": ci młodzi Amerykanie pochodzenia polskiego dobrze przysłużyli się idei zbliżenia kulturalnego Polski i Ameryki przez przelanie całkowitego funduszu Koła w sumie $843 na rzecz Bibljoteki Uniwersyteckiej, z tem, że fundusz ten użyty będzie wyłącznie na zakupno książek i dzieł o Polsce w języku zarówno polskim jak angielskim.

W obecnym stanie rozwoju, prowadzone są trzy kursy: dwa kursy językowe (Elementary Polish i Advanced Polish), przeważnie lub wyłącznie w języku polskim, oraz specjalny kurs literatury i historji polskiej, przeznaczony głównie dla studentów rdzennie amerykańskich i to tylko dwóch ostatnich lat, t. zw. juniors i seniors. Ten ostatni kurs prowadzony jest wyłącznie w języku angielskim, a znajomość języka polskiego nie jest zupełnie wymagana. Co do kursów ściśle językowych, to z nielicznemi wyjątkami złożone są one przeważnie z uczniów pochodzenia polskiego, którzy pragną pogłębić swą wiedzę o języku ojczystym. Kurs niższy językowy obejmuje cztery godziny tygodniowo, a wyższy trzy godziny. Ilość uczniów na obu kursach nie przekroczyła nigdy liczby piętnastu. (Z tego widać, że kursy owe były faktycznie niczem więcej jak nauką języka polskiego nieledwie elementarną; przynajmniej takie były owe dwa niższe kursy; liczba zasię uczniów była zawsze znikomo niewielka—niestety!... Przypisek autora.)

Główny nacisk przesuwa się na kurs literatury i historji polskiej. On niewątpliwie jest ogniskiem całej pracy i na niego zwrócone są przedewszystkiem oczy władz uniwersyteckich. Pierwsze półrocze istnienia Katedry zaczęło się od skromnej liczby 18 słuchaczy, a w drugiem liczebność kursu podniosła się do 28. Normalnie liczebność tego kursu wynosi od 25 do 40 uczniów. Na ten kurs przeznaczone są trzy godziny w tygodniu. Za wszystkie wymienione kursy władze uniwersyteckie udzielają pełnowartościowe normalne kredyty. Zależne to jest od spełnienia przez uczniów odpowiednich wymagań w postaci samodzielnych wypracowań."

Obecnie najbardziej systematyczne i zdaje się—najlepiej prowadzone Kursy polonistyki istnieją na chicagoskim Uniwersytecie "De Paul", utrzymywanym przez Księży Misjonarzy Paulistów (C.M.). W tej Uczelni nareszcie wciągnięto polonistykę do curriculum uniwersyteckiego, a studenci, pracujący nad uzyskaniem Bakalaureatu ("Bachelor of Science"), mogą obrać polski język—jako jeden ze studjowanych poza angielskim. Wykłada prof. W. Skłodowski; rozkład prac na poszczególnych kursach podano następujący:

Intermediate. Continued practice in acquiring the facility of rapid and accurate reading, and written exercises. Stress placed on reference to its development during the past centuries. Reading with literary interpretation of prose and poetry. (To znowu właściwie przeważnie nauka języka polskiego.)

Reading and Composition. Intensive reading of the literary masterpieces in Polish literature, with attention given to matter and form, historical and literary background. Practice in creative writing. (Prerequisite: Course 4). Major. (Wyższy stopień nauki polskiego języka—stylistyka?)

Polish Literature to 1700. A brief survey course in which selection of the outstanding writers are read and discussed. Special emphasis upon the Polish literature of the Golden Age. Major.

Polish Romanticism. The movement as shown in the poetry and drama of Brodzinski, Mickiewicz, Słowacki, and Norwid. Reading and reports. Major.

Polish Civilization. This course is designed to give a knowledge of the historical and social background of modern Poland.

Drama in the 18th Century. Two or three plays are read in class; others are assigned as collateral reading. Major.

Polish Contemporary Novel. Reading in class of a leading work of fiction; two or three others assigned as colateral reading. Major.

Ostatnie kursy zawierają naukę literatury polskiej, opartą na podkładzie historycznym i socjalnym—jak wyżej wzmiankowano—i na lekturze arcydzieł. Te kursy—jak sądzić można z powyżej streszczonego planu, najgruntowniej ujmują i najsystematyczniej prowadzą naukę polonistyki ze wszystkich uniwersyteckich tego pokroju kursów, ale—jak również z owego planu wnosić należy—nie sięgają one, ściśle biorąc, poziomu studjum uniwersyteckiego w znaczeniu słów tych, rozumianem na Uniwersytetach polskich.

VIII.

ORGANIZACJE.

"Gromada to wielki człowiek" — prawdziwości tego przysłowia uczą się na własnej doli Polacy-Amerykanie, wyszedłszy ze starej Ojczyzny, której niedoli—brak jednolitości myśli społecznej, waśń i niezgoda—*magna pars fuit*. A choć i w Ameryce nie wyleczyliśmy się z tego nie naszego tylko, ale raczej powszechno-słowiańskiego nałogu, jakim jest skłonność do wadzenia się, a brak ducha ustępstw i to równie u jednostek, jak w zbiorowych ciałach i wystąpieniach, to jednak mimo wszystko, zaprzeczyć się nie da, że—nauczyły nas tu czegoś nowe, nad wyraz trudne warunki życiowe, w jakich znaleźli się wychodźcy nasi, przerzuceni z ziemi nad Wisłą—w prerje ponad Mississippi. Tak pisałem przed laty w mej "Historji Zjednoczenia Polskiego".

Odosobienie w kraju obcym—zwłaszcza w stosunkach i czasach przed laty kilkudziesięciu, gdy ludzi tu było o trzy czwarte mniej, poczucie samoty, bezsilności, upośledzenia, jakiego długo doznaje przybysz tutejszy w środowisku tak bardzo, tak żywiołowo odmiennem od dawniejszego, wreszcie tęsknota za utraconą a raczej porzuconą Ojczyzną—oto momenty i motywy psychologiczne, które przekształcają tu silnie, szybko dusze i umysły, stają się im szkołą życiową, ciężką, ale skuteczną i skłaniają je ku sobie wzajem w porozumienia i wyrozumienia wzajemne.

Kiedyż i jakie odnaleźć możemy ślady pierwsze naszych pomysłów organizacyjnych?

Stanisław Osada — przechodząc na wstępie swej "Historji Związku N. P." koleje i fazy rozmaite społecznej myśli polskiej na tutejszem wychodźtwie, podaje, iż pierwszy ślad owych myśli w polskich gromadach wychodźczych spostrzec się daje w roku 1842, w założonem przez dawniejszych żołnierzy z lat 1830-31 "Towarzystwie Polaków w Ameryce" — którego organizatorem

był zasłużony Dr. Henryk Kałusowski. *(Patrz Przypiski)* O działalności tego Towarzystwa nie wiele wiadomo; losy tej pierwszej polsko-amerykańskiej organizacji utonęły w pomroce lat, choć nie tak dawnych, ale pozbawionych wszelkich nieledwie aktów i zapisków kronikarskich.

W roku 1852, zawiązuje się w Nowym Yorku "Towarzystwo Demokratyczne Wygnańców Polskich w Ameryce", którego jednym z celów głównych było organizowanie udziału Polaków w polityce tutejszych partyj krajowych: istnieją dowody funkcjonowania organizacji tej jeszcze po r. 1858; późniejsze losy jej—znowu niewiadome. Rodacy tutejsi czynni byli również w roku 1863 około zbierania ofiar na Powstanie w Polsce, a dr. Kałusowski był nawet mianowany delegatem i poborcą podatków czy nawet Komisarzem Powstańczego Rządu Narodowego. W czasie owym działał w N. Yorku "Polski Centralny Komitet", w którego skład wchodzili: Dr. Kałusowski, Dr. Mackiewicz, R. Raczewski, W. Kochanowski, W. Biskupski, M. Markowicz, A. Zieliński, J. Wiśniowski, J. Gacek, K. Karczewski, E. Kulikowski i R. Jaworski.

Po powstaniu, które—jak wiadomo—przyczyniło się do pomnożenia szeregów wychodźczych, natrafiamy w Chicago, w r. 1866, poważniejszą próbę stworzenia większego Towarzystwa polskiego dla skupienia amerykańskiej emigracji: była to "Gmina Polska", o której X. W. Kruszka w swej "Historji Polaków w Ameryce" podaje, że jednak i ta instytucja nie zdołała się rozwinąć,—choć przyczyniła się niemało do rozkrzewienia poczucia polskości i tworzenia nowych Towarzystw narodowych w Ameryce.

W r. 1870 pojawia się projekt ustawy "Zjednoczenia Polaków w Ameryce", który jednak pozostał na zawsze tylko projektem, a organizacja owego "Zjednoczenia" nie przekroczyła nigdy granic nawet pierwszej formacji, głównie z powodu nieznajomości rzeczy samych organizatorów, oraz bardzo niesprzyjających jeszcze wówczas okoliczności; w każdym razie wiemy z projektu tego, a także i z dawniejszych dokumentów, że już wówczas istniało po kolonjach polskich kilka Towarzystw rodaczych,

szczególnie w Nowym Yorku i w Chicago. Więc myśl zorganizowania się nie gasła, a wola ku niemu wzmagała się; raz po raz tworzyły się komitety przygodne, różnemi okazjami dziejowemi pobudzane, n.p. w okresie wojny prusko-francuskiej (1870-71), lecz po przeminięciu tych okazyj—i komitety nasze zamierały i niknęły.

Po tylu nieudałych próbach, mimo szeregu niepowodzeń—przecie nie upada tu organizacyjna inicjatywa i nie zatraca się myśl społecznicza. W r. 1873—Jan Barzyński, brat znakomitego działacza Polonji Amerykańskiej, Ks. Wincentego Barzyńskiego —wydawca tygodnika "Pielgrzym", wychodzącego w Union, Mo., ogłasza pomysł utworzenia powszechnej "Organizacji Polskiej w Ameryce", jednakże przed tą jeszcze inicjatywą—która zresztą, jak poprzednie, pozostała w sferze prób przemijających, w czerwcu, roku 1873, Ks. Teodor Gieryk, proboszcz parafji polskiej w Detroit, Mich., ogłasza odezwę, wzywającą do założenia Organizacji polskiej, katolickiej; ta odezwa stała się zarodkiem do dziś istniejącego "Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego", najstarszej ze wszystkich działających Organizacyj polskich w Ameryce. *(Patrz Przypiski)*

W siedm lat później—t.j. w r. 1880, powstaje "Związek Narodowy Polski" *(Patrz Przypiski)* pod hasłem wybitnie narodowem—dla odróżnienia swoich zwolenników od religijno-narodowego "Zjednoczenia". Pomiędzy obu temi organizacjami wywiązuje się rywalizacja, częstokroć bardzo w środkach nie przebierająca, by się o tem łagodnie wyrazić; po przewlekłym okresie walk, dosadnie charakteryzujących nasze usposobienie niezgodne, po stadjach zamętu zacietrzewień, najczęściej prywatnych, osobistych —obie organizacje, przeszedłszy ewolucję najrozmaitszych, bardzo zmiennych faz, fluktuacyj upadku i podnoszenia się ponownego,—stanęły z biegiem lat na wyżynie takiej potęgi rozmiarów, wpływów, liczby członków i zasobu finansów, że obecnie nie grozi im już nikt i nic, a zapewne długo jeszcze będą obie mogły nieść pożyteczne służby społeczeństwu, zarówno polskiemu, jak amerykańskiemu. Z uznaniem zaznaczyć trzeba, że od lat już wielu walki, ongi tak zacięte, poszły w zapomnienie, a "Związek" ze

"Zjednoczeniem" pracują zgodnie i jeśli współzawodniczą, to—pokojowo, z godnością i pożytkiem dla obu instytucyj.

Dzisiaj na owe historje patrzy się z bardzo już historycznego oddalenia: naprawdę pomniejszają się w niem różnice, nikną odcienie, maleją "wojny zaściankowe"; dziś także widzimy coś więcej jeszcze, że te wojenki, te "burze w szklance wody" w dawniejszych czasach nawet i swoje dobre sprawiły, bo bywały podnietą, pobudzeniem do pracy organizacyjnej, wytwarzały emulację, która stronom obu na zdrowie wyszła, na wzrost i rozwój—tem silniejszy. Gdy zasię przyszła potrzeba, naprawdę ważna i poważna, gdy Ojczyzna zawezwała, gdy wreszcie we Wojnie Światowej pierwszej znalazła się jej Sprawa święta, wówczas nasze „Związki" i "Zjednoczenia" i wszystkie inne Organizacje stanęły razem —do współdziałania ofiarnego, do sypania szczodrych składek i datków, do pracy nad tem wszystkiem, co dobrze obrani przodownicy, którzy odrazu posłuch u wszystkich znaleźli, wskazywali—jako pożądane, pożyteczne, potrzebne, lub wprost konieczne i niezbędne. Wtedy—precz zczezły różnice i współzawodnictwa, wtedy pracowaliśmy wszyscy tak, jak Polsce było zdrowo, wtedy nad przewodniemi Organizacjami i nad całą Polonją, zjednoliconą, zgodzoną, wzeszła wielka łaska Boża, która pozwoliła nam tak trwale, tak znakomicie zasłużyć się dla odbudowy Polski niepodległej, dała nam się zapisać tak świetnie w dziejach odzyskania jej wolności, że imię Amerykańskich Polaków zaprawdę na najpiękniejszej karcie tych nowych dziejów polskich — na zawsze zostanie.

Tymczasem—wracając do naszego opowiadania, dodamy, że w owych wcześniejszych jeszcze latach dość ogólnego niewyrobienia i "nagminnej" niezgodności—oprócz "Zjednoczenia" i "Związku", a po części odłączając się od tych dwu największych i najpoważniejszych Organizacyj—powstawały dużo już mniejsze, odrębne, jakby stanowe skupienia rodaków; do takich należą — "Zjednoczenie Polsko Rzymsko-Katolickie pod op. Matki Boskiej", powstałe w Chicago, w 1887 r.—"Unia Polska Rzymsko-Katolicka", założona we Wilkes Barre, Pa., 1889 r.,—"Zjednoczenie Rz. Kat. w Bay City, Mich.", powstałe w r. 1892,—"Sto-

warzyszenie Polaków w Ameryce Pol. Rzym. Kat.",—"Organizacja pod opieką św. Trójcy", utworzone w Milwaukee w r. 1895,—"Macierz Polska", założona głównie dla młodzieży polsko-amerykańskiej w r. 1898. *(Patrz Przypiski)* Tu należą też młodsze Organizacje, jak założony w r. 1898 a bardzo pomyślnie prosperujący "Związek Polek",—"Związek Polaków w Ohio",—"Unia p. w. św. Józefa" w Pittsburghu,—"Kasa pod op. św. Jana Kantego" we Filadelfji,—"Unja Polek" we Filadelfji, utworzona z oddziałów "Białego Krzyża", zapoczątkowanych przez Helenę Paderewską w okresie pierwszej Wojny Światowej—i wiele innych. Ogółem mamy w Stanach Zjednoczonych około pięćdziesięciu mniejszych Organizacyj bratniej pomocy.

Majątek ośmiu największych Organizacyj przewyższa sumę miljona dolarów w każdej. Na pierwszem miejscu co do liczby członków i zasobów stoi "Związek Narodowy Polski", posiadający około 250,000 członków i majątek przeszło 30 miljonów dolarów; następuje—starsze, lecz mniejsze "Zjednoczenie Polskie Rzymsko Katolickie" z majątkiem zgórą dwudziestu miljonów dolarów i ze 150,000 członków. Dalej idą: "Związek Polek" w Ameryce—pięć miljonów dolarów i 65,000 członkiń, "Unia Polska w Ameryce", z siedzibą we Wilkes Barre, Pa., przeszło trzy miljony dolarów i około 35,000 członków; "Unia Polska" z siedzibą w Buffalo—dwa miljony dolarów i około 18,000 członków, "Polska Narodowa Unia" w Ameryce—około dwa miljony dolarów, "Zjednoczenie Polsko-Narodowe", z siedzibą w Brooklynie, N. Y.—blisko dwa miljony dol. i około 16,000 członków, "Stowarzyszenie Synów Polski" w Jersey City, N. J.—około półtora miljona dolarów i 17,000 członków, "Stowarzyszenie Polaków w Ameryce", z siedzibą w Milwaukee—przeszło miljon dolarów i około 20,000 członków, oraz kilka innych.

Poniżej miljona dolarów mają następujące Organizacje: "Macierz Polska w Ameryce" w Chicago, "Sokolstwo Polskie w Ameryce" w Pittsburgh, Pa., "Stowarzyszenie Polskie Rzymsko-Katolickie p. o. Świętej Trójcy" w Detroit, Mich., "Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie" w Cleveland, Ohio, "Stowarzyszenie Kasy Pośmiertnej" w Nanticoke, Pa., "Związek Polski w Amery-

ce" w Plymouth, Pa., "Unia Św. Józefa" w Pittsburgh, Pa., "Stowarzyszenie Kasy p. o. Św. Jana Kantego" we Filadelfji, Pa., "Unja Polek w Ameryce" we Filadelfji, Pa., "Związek Polaków w Am." w Cleveland, O., "Wolne Polki na Ziemi Waszyngtona" w Chicago, "Stowarzyszenie Polek" w Cleveland, O., "Zjednoczenie P.R.K. p. o. Matki Boskiej" w Cleveland, O., "Zjednoczenie P.R. K. pod opieką Matki Boskiej Częstochowskiej" w Bay City, Mich., "Koło Polek", w Kingston, Pa., "Polska Robotnicza Kasa Chorych" w Nowym Yorku, N. Y. i sporo jeszcze mniejszych.

Przyjmując, że majątek jednej takiej Organizacji wynosi przeciętnie pół miljona dolarów, to majątek dwudziestu ich można określić na jakieś dziesięć miljonów dolarów. Dodawszy do tego majątek siedmiu, na początku wymienionych Organizacyj, który przedstawia się w sumie około $60,000,000 — majątek wszystkich polskich zrzeszeń w Ameryce wynosi dobrze ponad siedmdziesiąt miljonów dolarów. Jak na kilkomiljonową Polonję —nie jest to znowu zdumiewająco wiele; ale — to co jest, jest pewne, dobrze zabezpieczone, oparte wszędzie na prawach stanowych—pod kontrolą stanowych Wydziałów Asekuracji, a zgromadzone jest do narodowego spichrza zmysłem i dłońmi ludu naszego—samego, z jego własnej inicjatywy, wzorowanej jedynie na przykładach amerykańskich.

Od dłuższego czasu urabia się w Polonji opinję—na rzecz jednoczenia, łączenia małych Organizacyj z większemi i największemi. Myśl to z każdego względu zbawienna, więc polecenia i podtrzymania godna, ale realizacja jej idzie tępo, bo na przeszkodzie stają interesów finansowych komplikacje, nieraz zbyt trudne do rozwiązania, zwłaszcza przy różnorakich prawach stanowych, a także przeszkadzają niemało ambicje lokalne, niezrozumienie korzyści, mogących urastać z projektowanych połączeń i różne inne względy. Na razie nie widać możności bliskiej takiego zjednolicenia Polonji, a tymczasem niejedna z małych organizacyj usycha na starczy uwiąd, czasem zaś i wymaganiom nowoczesnym władz—sprostać nie zdoła; nie dużo takich, ale są; dla nich stop z większemi organizacjami byłby ratunkiem.

Wszystkie wzmiankowane instytucje są organizacjami "bratniej pomocy"—to znaczy, że zasadniczem ich zadaniem jest, skupiając rodaków dla ideowych celów—zabezpieczanie ich samych, oraz ich rodzin—na wypadek zgonu, choroby, kalectwa, itp., ku czemu pobierają od członków stosowne, naogół bardzo niskie opłaty miesięczne. Polonja Amerykańska zdobyła się jednak wcześnie także i na organizacje czysto ideowe, których cele nie mają nic wspólnego z wszelkiego rodzaju zabezpieczeniem, lub korzyściami materjalnemi wogóle, a polegają w pracach nad podniesieniem świadomości patrjotycznej i zachowaniem narodowej odrębności, nad przeciwdziałaniem wynarodowieniu, utrzymaniem duchowej z Ojczyzną łączności itp. Do takich organizacyj należała—założona jeszcze w roku 1894, dziś nie istniejąca już "Liga Polska"; tu wymienić należy "Federację Polaków Katolików w Ameryce", utworzoną przez trzy wielkie Kongresy polskie: pierwszy w Buffalo—r. 1896, drugi w Buffalo—1901 r.; trzeci w Pittsburghu—r. 1904; przebieg Kongresów tych był bardzo podniosły, a uchwały, zwłaszcza pierwszego i ostatniego, bardzo szlachetnie pomyślane, niestety rezultaty pozostały w aktach przeważnie, a "Federacja"—nigdy nie rozwiązana—znaku życia nie daje już od lat długiego szeregu. Wspomnieć w tej kategorji Organizacyj wypada założony w roku 1894 "Związek Młodzieży", którego charakter miał być nawet—wojskowy; zdołał on rzeczywiście, choć chwilowo skupić i ożywić duchem patrjotycznym niektóre grupy młodzieży polsko-amerykańskiej.

Do ważnych prób organizacyjnych zaliczyć trzeba projekt "Związku Jedności", wypracowany i podany społeczeństwu polsko-amerykańskiemu na Sejmie "Zjednoczenia" w Cleveland, r. 1909, przez Ks. Pawła Rhodego, pierwszego Biskupa polskiego w Ameryce. Pomysł ten, w założeniu świetny, w szczegółach ogarniający całokształt naszych spraw i potrzeb na wychodźtwie tutejszem—nie zdołał—niestety, przekroczyć ram dobrych chęci grona uświadomionych, doniosłość jego doceniających działaczy: brak porozumienia i ducha ustępstw, rozterka i waśń zatryumfowały wówczas dowodnie nad sprawą dobra powszechnego, ku trwałej i wielkiej szkodzie i stracie Polonji.

W późniejszych latach powstały jeszcze dwie w Polonji amerykańskiej instytucje ideowe—stworzone polityczną sytuacją w Europie: mianowicie w czasie wojen, toczących się na Bałkanie—w latach 1912-13, gdy spodziewano się, że lada dzień walki owe przeniosą się na pola Europy środkowej, że mocarstwa tamtejsze, zgrupowane w "przymierza" i "porozumienia", do broni się porwą przeciw sobie: wówczas to jasnem się być zdawało, że i Ojczyzna nasza nie będzie mogła pozostać bierna wobec wyczekiwanej Wojny Europejskiej; uderzyły więc serca polskie nadzieją silną—nigdy zresztą nie słabnącą, a gdy brano się w Starym Kraju do przygotowań, ruszyliśmy się i my w Ameryce. Powstał tu "Komitet Obrony Narodowej", mający za zadanie gromadzenie funduszów na cele wojenne polskie, a w komitecie tym zrazu zgodnie współdziałały obie główne grupy i orjentacje polsko-amerykańskie, religijno-patrjotyczna i liberalnie-narodowa. Ale okres porozumienia był krótki: zawiści i niechęci prywatne, z typowemi przejawami warcholstwa w najlichszym gatunku, przy zachłanności na prerogatywy i przywileje, decydować mające o stanowisku całej, dobrze myślącej Polonji, zmusiły wnet żywioły umiarkowane do usunięcia się od roboty "Komitetu Obrony Narodowej", a zarazem skłoniły do utworzenia instytucji nowej pod nazwą: "Polskiej Rady Narodowej w Ameryce", która założona w lecie 1913 r., w Chicago, podjęła po prawej stronie—podobnie, jak "Komitet Obrony Nar."—po lewej—akcję przygotowawczą na wypadek wojny w Polsce, a zarazem przejęła idee, projektowanego przez Ks. Biskupa Rhodego "Związku Jedności". Instytucja ta młoda zatoczyła odrazu kręgi bardzo rozległe, ogarniając wszyskie niemal osady i parafje polskie w tym kraju; rozwinęła ona działalność bardzo bogatą i wszechstronną, a przekształcona w czasie pierwszej Wojny Światowej w Polski Wydział Narodowy w Ameryce, zasłużyła się prawdziwie historycznie w dziele odbudowy Polski i w jej po wojnie odnowie.

Polonja Amerykańska posiada ponadto dobrze prosperujący "Związek Sokołów", założony w 1893 r., zasłużony niezapomnianie przy formowaniu Armji Polskiej w Ameryce, w czasie pierwszej Wojny Światowej. "Polska Rada Narodowa" podjęła też

piękną myśl organizowania po osadach, parafjach i szkołach parafjalnych—"Skauta" i drużyn jego, idąc w tem, jak we wszystkiem, za wzorem i przykładem Ojczyzny. Równocześnie "Związek Narodowy Polski" tworzy hufce Harcerzy, urządzając dla nich kursy wyszkolenia, obozy itp.

Posiadamy wreszcie po wszystkich naszych, zwłaszcza większych osiedlach, Towarzystwa muzyczne i śpiewacze, które nawet własny "Związek Śpiewaków" utworzyły; w każdej parafji — by najmniejszej—istnieją Towarzystwa, Kluby i Bractwa dla najprzeróżniejszych celów i przeznaczenia — ideowe, humanitarne, oświatowe, obywatelskie itp.,—działające samodzielnie w sferze najczęściej lokalnych, rodaczych spraw i interesów, wszystkie pożyteczne i zasłużone.

W roku 1911 na pierwszym Wiecu Polskiego Duchowieństwa w Ameryce, zwołanym w Detroit, Mich., przez X. Biskupa P. Rhodego — założono "Zjednoczenie Kapłanów Polskich w Ameryce", o którem wspomniano już w jednym z poprzednich Rozdziałów; przyłączyły się do niego dawniejsze, oraz powstały nowe Grupy diecezjalne polskich księży—zresztą w działalności swej i układzie organizacyjnym odrębne i niezawisłe: dziś—choć Grupy poszczególne działają, Organizacja—jako całość—jest raczej w zastoju—niestety.

Posiadamy nareszcie szereg wcale poważnych polskich Towarzystw profesyjnych, które już aktualna wytwarza potrzeba przy szybko rozrastających się naszych agendach tutejszych: do takich instytucyj należy zaliczyć "Tow. Lekarzy Polskich w Ameryce", "Towarzystwo Prawników Polskich" i "Stowarzyszenie Organistów Polskich i Litewskich", oraz wiele innych stowarzyszeń zawodowych, o których też piszemy w Rozdziale następującym.

Od dawna pracuje się z nie-najlepszemi rezultaty nad zorganizowaniem Kupiectwa polskiego, brak bowiem uświadomienia nawet na punkcie osobistych korzyści—hamuje rozwój tej akcji. Słabo również przedstawia się sprawa Towarzystw literackich i dziennikarskich. Wprawdzie po wielu parafjach istnieją Kółka literackie, ale to raczej małe—oczywiście pożyteczne i pożądane

—ogniska samokształcenia zaniedbanej na punkcie piśmiennictwa ojczystego, młodzieży polsko-amerykańskiej: z literaturą i z jej stroną twórczą nic one nie mają wspólnego. O Towarzystwach dziennikarskich też niewiele więcej rzec można: w Chicago—największem mieście Polonji Amerykańskiej, gdzie się bądź co bądź skupia—choć bardzo ubogi—cały prawie umysłowy ruch polsko-amerykański, gdzie Pism polskich istnieje kilkanaście—próbowano kilkakrotnie — już i przed wielu laty tworzyć Towarzystwa Dziennikarzy i Kluby Prasowe, niestety—zawsze po krótkiej wegetacji—próby owe kończyły się na niczem. Obecnie posiadamy w Polonji dwa Towarzystwa Dziennikarzy, niezbyt wzorowo współdziałające; wogóle działają one niewiele, nie łączą wszystkich dziennikarzy i wpływy mają—po prawdzie—nieznaczne.

Na koniec były w Polonji, dawniej zwłaszcza—jako wytwór oryginalny, specyficznie amerykański — Towarzystwa „wojskowe": rozmaite pułki, kompanie, regimenty, itp., mocno barwne, krasno strojne, ale w rzeczywistości—bezwartościowe; istniał nawet "Związek Wojsk Polskich"—zresztą zgoła nie niebezpieczny; działalność tych Towarzystw była nieznaczna, a ideowa ich wartość—ledwie nominalna; nie rzadko posiadały one zresztą tylko tytuły i nazwy takie wojownicze, a w rzeczywistości były zupełnie pokojowemi kasami "bratniej pomocy". Po pierwszej Wojnie Światowej, kiedy formowaliśmy prawdziwą Armję Polską—stare Towarzystwa "wojskowe" zeszły cicho do parafjalnych partykularzy i poszły prawie w zapomnienie; dziś nawet ich świetnych uniformów już odnaleźć nie można, by je bodaj—jako miłą pamiątkę w Muzeum Polonji przechować . . .

Pozostaje—na zamknięcie Rozdziału rzec choć zdań kilka o ogólnym do się stosunku wszystkich polsko-amerykańskich Towarzystw, Stowarzyszeń i o ideowej sumie ich prac i usiłowań:

Wszystkie one są naogół dobre i pożyteczne bardzo — dwu zdań co do tego być nie może; wszystkie skupiają brać rodaczą, łączą ją, reprezentują, bronią jej, gdy zachodzi potrzeba — w środowiskach, przeważnie innonarodowych, wszystkie lud nasz, często bardzo zaniedbany, podnoszą, uświadamiają, kształcą, wyrabiają towarzysko i parlamentarnie; zwłaszcza wiele zrobiły

dawniej w tej spraw dziedzinie. A strzegąc dóbr duchowych narodu, jego tradycyj i idej, krzepiąc i podtrzymując narodową odrębność, broniąc przed zalewem wynarodowienia—pełniły i pełnią wszystkie instytucje nasze—zacną dla Ojczyzny służbę i zato należy się im uznanie, które na tem tu wyrażamy miejscu: dla Polski one wszystkie wiele ofiar dały — wszystkie, wiele położyły zasług.

Ale... niestety—jest i "ale", którem niezaprzeczenie trzeba uznać brak spoistości prac poszczególnych Towarzystw i Organizacyj—bo za nim idą wszystkie, napomknięte poprzednio cechy naszej nieodmiennej, nieuleczalnej po dziś dzień wady—niezgodności. Stosunki w Polonji Amerykańskiej są zasadniczo takie, że dobrze już jest, gdy jedna Organizacja nie wojuje z drugą, jeśli jedna drugą—toleruje! Co prawda — przyznać należy, że niechęci wzajemne utrzymują przedewszystkiem wzmiankowane poprzednio grupy—religijno-patrjotyczna i liberalnie-narodowa; w odrębie—w łonie grup tych Towarzystwa i Organizacje więcej już lgną ku sobie, jednakowoż do ścisłej ideowej spójni daleko nam—nawet i w kolisku owych grup zasadniczych, nie mówiąc już o możliwości zespolenia samychże głównych, sobie przeciwnych obozów. W całym przeszło półwiecznym ciągu trwania emigracji amerykańskiej zaledwie parę sporadycznych okazyj wyliczyćby można, przy których—owe obozy schodziły się razem i wspólnie coś poczynały, coś działały, w których chwilowe trafiały się im zbliżenia, po których zasię każda strona znowu szła—sobie "w swoją stronę", a charakterystyczna waśń i niezgodność wracały w całej pełni.

Co do działalności społecznej Organizacyj naszych, to owo rozbicie, odosobnienie, owo rozdrabnianie sił mienimy — najujemniejszą stroną obrazu omawianego: ono wytwarza zgubną rywalizację, niepotrzebną i nieszlachetnie prowadzoną konkurencję — nic z godziwem, zacnem współzawodnictwem nie mającą wspólnego. Nie można zresztą i zbytnio dziwić się temu, zważając, że emigracja nasza przecie niedawna jest, nie wyrobiona, że materjał jej jest prymitywny; materjał ten dostawaliśmy przybyły z warunków ojczystych, duchowo, intellektualnie opłakanych

—tak, iż wielu naszych tu dopiero dowiadywało się, że są Polakami, tu się przekonywali, że poza chlebem powszednim i wyrobniczem, marnem życiem—jest jeszcze coś więcej dla człowieka; tu się więc leczyli z grubego analfabetyzmu duchowego, tedy — nie dziw, że wad, usterek wszystkich wyzbyć się nie zdołali. Rezultat jest taki, że długo tu żyliśmy rozbici, szamocąc się na pojedynkę, zamknięci w szczupłym zakresie pojęć osobistych ograniczonych, nie rozumiejąc, lub nie uznając wielkiej i moralnej potęgi altruizmu, nie oglądając się na dobro ogółu, które każdej chwili gotowiśmy podporządkować własnym ambicjom i pożytkom. Tak było dawniej, było długo; dziś jest już o wiele lepiej, ale razem z tem nie bardzo się jeszcze zanosi na koniec rozterkom, wśród nas grasującym! Toteż z nadzwyczajnym trudem idą prace około organizowania całego społeczeństwa naszego w jednomyślne koła, a wszelkie dążenia ku sprowadzeniu grasujących różnic do pewnego "wspólnego mianownika" do postawienia ich na wspólnej podstawie, były dotychczas bezowocne. W czasach obecnych, drugiej Wojny Światowej prace trudne Rady Polonji, naczelnej naszej Organizacji, są dowodem słuszności powyższych naszych obserwacyj.

Gdy instytucje waśnią się między sobą, takie samo usposobienie panuje wśród polskich partyj politycznych, niepotrzebnie transplantowanych z Polski, ba — nawet w samem łonie tychże partyj, w łonach poszczególnych Organizacyj i Towarzystw często niema jedności myśli, niema zupełnej zgody. Pisma polsko-amerykańskie wywieszają—niby szyldy—wieczyste hasła, jak: "W jedności siła", "Zgoda buduje", itd., lecz frazesy te nie przeszkadzają im bynajmniej lżyć się i zwalczać się wzajem, częstokroć przy pomocy środków bardzo nieetycznych. W czasie pierwszej Wojny Światowej Sprawa Polska chwilowo—przejściowo złączyła Polonję i sprowadziła "*Treuga Dei*" (pokój Boży) wśród przeciwników, ale nie trwało to długo, bo wnet po Wojnie nasza zgoda poszła na manowce i do dziś dobrej drogi do nas—naprawdę nie znalazła. Dużo tu z Polski zawiniono, nasiewając na niwy nasze kąkol i chwasty partyjniczego warcholenia; smutno, że tak *było*, aleć to i jest jeszcze wciąż, jeszcze i teraz—mimo nasze ostatniej doby tak ciężkie, narodowe nieszczęścia.

Jedno jeszcze powiedzieć należy, to mianowicie, że wśród młodych pokoleń jest naogół mniej skłonności do waśni i rozterek. Bogu dzięki i za to! Wadzili się tu przedewszystkiem starzy —świeć Panie ich duszom; młodzi, nie mając bezpośrednich, osobistych zainteresowań, ni racyj do warcholenia, potępiają kłótnie starych, lecz—choć spokojniejsi i więcej zrównoważeni, przecie też nie gardzą "argumentem"—jak to się z angielska powiada i—nieodrodni synowie swoich ojców, zwaśnią się między sobą łatwo i prędko, a w uporze trwają i zacietrzewić się potrafią —po staremu!... Uroszczenia i pretensje, często, najczęściej— błahe i nieuzasadnione, jak to u Polaków bywa, z krzykactwem przesadnem i napuszonem, też nam nie obcem, przy braku wyrobienia towarzyskiego i intellektualnego—oto wady, które u nas wyjaskrawiają się z naszej własnej winy—nieraz bardzo drastycznie. Zaiste—trudno w takich warunkach o zniesienie różnic, o zestrój i harmonję: wierzmy, że z postępem oświecenia i wyrobienia ogólnego—wady te zacierać się będą—na korzyść prawdziwej rozumnej i zbawczej—zgody.

PRZYPISKI

"TOWARZYSTWO POLAKÓW W AMERYCE"

Inicjatywę zawdzięczało Odezwie Komisji Emigracyjnej do Polaków w Ameryce, wydanej we Francji (Poitiers, 15 marca, 1841 r.). Grono nowojorskich rodaków zorganizowało wymienione Towarzystwo, do którego zapisało się zgórą 60-ciu naszych—pod przewodem Ks. Ludwika Jeżykowicza; wśród członków byli: H. Kałusowski, W. Lange, J. Tyssowski,* F. Wierzbicki, I. Czarnowski, N. Łepkowski, B. Jaroszyński. Towarzystwo to urządzało obchody narodowe; n.p. w r. 1844 urządziło w N. Yorku ku czci i pamięci Powstania Listopadowego obchód, na który przybyli rodacy z Filadelfji, Baltimore, Buffalo nawet; wybitni Amerykanie uczestniczyli w obchodzie, jak również przedstawiciele Skandynawów i Włochów. Ów obchód—zdaje się—wielki i okazały, był najpiękniej zapisaną kartą Towarzystwa, o którem więcej niema wiadomości i które—zdaje się—z braku zainteresowania ogólniejszego—zbyt rychło zeszło z widowni.

---

* Jan Tyssowski—niefortunny dyktator powstańczej ruchawki w Krakowie w r. 1846. Do Ameryki przybył w r. 1847 na skutek austrjackiego wyroku banicji; redagował w N. Yorku niemiecką gazetę "rewolucyjną"; potem był w służbie rządowej we Waszyngtonie, gdzie zmarł w r. 1857.

"TOWARZYSTWO DEMOKRATYCZNE WYGNAŃCÓW POLSKICH W AMERYCE"

Powstało w r. 1852, za staraniem Henryka Kałusowskiego ,jednego z najdzielniejszych przewodnich działaczy ówczesnej Polonji. Wśród celów tego Towarzystwa było uczestniczenie we współżyciu obywatelskiem, przeciwdziałanie niewolnictwu, oraz utrzymanie ducha patrjotycznego wśród członków, których liczba—w najlepszej fazie rozwoju doszła 200... Ostatnie zapiski o Towarzystwie tem znajdujemy z r. 1858.

DR. HENRYK KAŁUSOWSKI

Jeden z najwybitniejszych przodowników dawnej immigracji polskiej w Ameryce, urodził się H. Kałusowski w Polsce, pod zaborem rosyjskim, w r. 1806. Służył w Armji Polskiej w latach 1830-31, poczem z gromadką wygnańców naszych przybył do Stanów Zjedn. w r. 1834. Osiadł we Waszyngtonie, był organizatorem "Towarzystwa Polaków w Ameryce", w r. 1842, a w dziesięć lat później dał inicjatywę do utworzenia "Towarzystwa Demokratycznego Wygnańców Polskich w Ameryce". Należał do najpierwszych twórców i członków "Związku Nar. Polskiego". On to, korespondując z Agatonem Gillerem, uzyskał od niego list—apel do Polaków Amerykańskich, przytoczony na dalszem miejscu w "Przypiskach" niniejszych. W r. 1863-cim był Komisarzem Rządu Narodowego na Polonję Amerykańską, oraz upełnomocnionym kollektorem składek i podatków na rzecz Powstania Styczniowego. Był założycielem Bibljoteki i Archiwum (oraz Muzeum niewielkiego) przy "Związku Nar. Polskim", któremu ofiarował całą swoją bibljotekę. Dla rządu Stanów Zj. tłumaczył z rosyjskiego dokumenty, dotyczące nabycia Alaski od Rosji. Zmarł dobrze zasłużony i szanowany przez swoich i obcych, we Waszyngtonie, w roku 1895-tym.

"ZJEDNOCZENIE POLSKIE RZYMSKO-KATOLICKIE"

Zjednoczenie jest najstarszą z istniejących, wielkich Organizacyj polskich w Ameryce. Z okazji jednego z jego jubileuszów pisaliśmy o Zjednoczeniu:

"Jakże wiele pamiętamy etapów tej drogi—pracy, jaką "Zjednoczenie" przebyło w ciągu blisko trzech ćwierci wieku istnienia. Pamiętamy "Zjednoczenie", gdy miało niespełna dziesięć tysięcy członków i należeliśmy do tych, co wtedy, w niezmiernie ciężkich warunkach, nie opuszczali rąk i nie dawali za wygraną... Na kilka zawodów prowadziliśmy Organ Urzędowy "Zjednoczenia", na szeregu sejmów co-nieco "miało się do gadania"; potem—napisaliśmy pierwsze dzieje Organizacji... Byliśmy wśród zakładających Wydział Naukowy, i Wydział Wsparć w Kalectwie, i wśród budujących gmach własny Zjednoczenia w Chicago, i wśród inicjatorów jego bibljoteki, którą pierwszą okrężną organizowaliśmy w tutejszej Polonji... To było kiedyś... dawno... Dziś "Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie" jest drugą największą polsko-amerykańską, a pewnie i polską wogóle Organizacją, skupiającą dziesiątki tysięcy rodaków i wiele miljonów ich zbiorowego dorobku."

"Zjednoczenie" powstało w r. 1873, w czerwcu, za staraniem Ks. Teodora Gieryka, Ks. W. Barzyńskiego, oraz Jana Barzyńskiego i Piotra Kiołbasy, na pierwszym sejmie w Chicago; cel jego określono: utrzymać ducha religijnego i narodowego, bronić immigrację od utraty wiary katolickiej i polskości, chronić młodzież od wynarodowienia, przez wychowanie jej w duchu polskim

i katolickim, oraz zakładać i podnosić szkoły parafjalne polskie—w Stanach Zjednoczonych. W początkach swych "Zjednoczenie" nie posiadało kasy pośmiertnej i nie wypłacało wsparć, ale z biegiem czasu rozszerzono zakres działalności, a w r. 1886, utwierdzono Organizację finansowo—przez zaprowadzenie systematycznych opłat członkowskich, czyli t. zw. "podatków" i oparto się na systemie ubezpieczeniowym.

Konkretny fundament kasy pośmiertnej położono dopiero na sejmie chicagoskim, w r. 1887, kiedy uchwalono postarać się o inkorporację i tak zw. "charter"—akt inkorporacyjny, prawny przywilej organizowania się i działania. Postanowiono na tymże Sejmie przyjmowanie do Organizacji i całych Towarzystw, lub większych zrzeszeń członków, nie tylko pojedyńczych członków. Już w r. 1890 "Zjednoczenie" wypłacało pośmiertne po zmarłym członku Organizacji—po 600 dolarów, po zmarłej zaś członkini, wypłacało po 300 dolarów. Później sumy ubezpieczeń podniesiono, wprowadzając odpowiednie tabele opłat zabezpieczeniowych. Z czasem ułożono konstytucję, postarano się o prawo działania we wszystkich Stanach Unji i założono organ urzędowy p. n. "Naród Polski".

Na przełomie wieku "Zjednoczenie" ciężkie przechodziło czasy i podupadło co do liczby członków; jednakże po roku 1900 podniosło się znowu i rozwinęło znakomicie: przybyło mu Towarzystw i członków, zasoby wzrosły, stworzono nowe Wydziały, jak Pomocy Naukowej i Wsparć w Kalectwie, Skautów i inne; wreszcie zbudowano wielki i wspaniały gmach własny w Chicago. Dziś "Zjednoczenie" ma dwa wielkie gmachy własne, liczy przeszło 170,000 członków, a w kasach ma kilkadziesiąt miljonów dolarów.

Pierwszym prezesem "Zjednoczenia" był do r. 1876 Ks. Teodor Gieryk z Detroit, Mich., współzałożycielem i pierwszym kapelanem był Ks. Wincenty Barzyński, C.R. Wybitniejszymi prezesami Zjednoczenia byli: Piotr Kiołbassa—od r. 1889 do r. 1892, Stanisław Adamkiewicz—od r. 1909 do r. 1913, Adw. N. L. Piotrowski—od r. 1917 do r. 1922, Józef Kania—od r. 1934 do r. 1942; obecnie prezesem jest Jan Olejniczak, który powtórnie już piastuje to stanowisko.

Dla więcej szczegółowego uzupełnienia obrazu tej olbrzymiej Organizacji podajemy ze statystyk co następuje: "Zjednoczenie" liczy około 170,000 członków; około 70,000 jest samych niewiast, które mają własny Wydział; 30,000 dziatwy należy do "Zjednoczenia". Ubezpieczenia wynoszą łącznie około $90,000,000, a co miesiąca wypłaca się około $80,000.00 zabezpieczeń rozmaitej kategorji. "Zjednoczenie" posiada Towarzystwa i Gminy w dwudziestu czterech Stanach Unji. Od r. 1910, w którym został założony Wydział Pomocy Naukowej, Organizacja wydała w stypendjach przeszło $300,000.00. Organizacja ma również Wydział Wsparć w Kalectwie, który co miesiąca wypłaca około $2,000.00 zapomóg rozmaitego rodzaju i wysokości.

"Zjednoczenie" posiada, jak wyżej wspomniano, dwa gmachy własne w Chicago: oba wielkie, trzypiętrowe, rozległe, nowocześnie urządzone. Mieszczą się w nich: w głównym, specjalnie dla Organizacji zbudowanym, biura Zarządu Głównego, redakcja Pism i lokale drukarni, a na wyższych piętrach Bibljoteka, Czytelnia, Archiwum i Muzeum, jedyne poważne w pełni wartości i powołania podobnej instytucji, założone zaledwie przed kilku laty, a już bardzo pięknie rozwinięte i świetne rokujące nadzieje—tak dla Polonji Amerykańskiej, jak dla Polski doniosłe. W drugim budynku mieści się t. zw. "Dom Młodzieży": tam jest sala rozległa z dobrą sceną, lokale dla rozmaitych kółek, ich prac, kursów itp.

"Zjednoczenie" bierze przewodni udział w pracach narodowych, patrjotycznych, o czem więcej—na innych miejscach książki.

KS. TEODOR GIERYK

Jeden z kapłanów-pionierów. Urodził się w r. 1837 w Radomskiem, w Polsce. Przybył do Ameryki w r. 1872. Naprzód pracował w Detroit, Mich., poczem dla poratowania słabego zdrowia objął farmerską parafijkę polską w Radomiu, w Illinois, gdzie zmarł w r. 1878. Z jego inicjatywy został zwołany pierwszy zjazd Polaków do Detroit, w r. 1873, na którym zjeździe założono "Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie", którego też Ks. Gieryk został pierwszym prezesem. Był to szczery i gorliwy bojownik praw polskich w tym Kraju, obrońca dobra duchowego i materjalnego rodaków tutejszych. "Zjednoczenie" zbudowało wspaniały pomnik na jego grobie, na Cmentarzu św. Michała, w Radomiu, Ill.

PIOTR KIOŁBASSA

Piotr Kiołbassa, jeden z najwybitniejszych działaczy-pionierów Polonji, urodził się w r. 1837 w Świbiu, na Śląsku. Do Ameryki przybył w r. 1855 i osiadł w Panna Maria, Texas, gdzie X. Moczygemba zakładał osady polskie; był tam organistą i pierwszym nauczycielem polskim w Ameryce. We Wojnie Domowej dosłużył się stopnia kapitana. Po wojnie osiedlił się w Chicago, glzie był jednym z organizatorów Parafji św. Stanisława; należał do najwybitniejszych i najzacniejszych pracowników Polonji. Był jednym ze założycieli —a przez lat kilka prezesem "Zjednoczenia Pol. Rz. Kat." Brał też udział w sprawach administracji miasta Chicago i Stanu Illinois; piastował różne stanowiska i posłował do Legislatury stanowej. W r. 1891 wybrany został skarbnikiem miasta Chicago, ale że był człowiekiem niezamożnym, a z urzędem skarbnika złączona była obowiązkowo kilko-miljonowa kaucja, przeto kaucję tę złożyło drogą dobrowolnej subskrypcji obywatelstwo amerykańskie (nie Polacy), w czem dowód, jakiem uważaniem cieszył się Kiołbassa i jak wierzono w jego uczciwość osobistą. Później był radnym miasta i jeszcze inne piastował urzędy. Zmarł w Chicago, w r. 1905. Był jednym z najpiękniejszych typów Polaka-Amerykanina. Jego olbrzymi pogrzeb, w którym udział wzięły Stan i miasto, należał do największych manifestacyj tego rodzaju w Chicago.

NIKODEM PIOTROWSKI

Najwybitniejszy z prezesów "Zjednoczenia Pol. Rz. Katolickiego"—Nikodem Piotrowski urodził się w r. 1863, w Bninie, w Poznańskiem i jako niespełna dwudziesto letni młodzieniec, przybył w r. 1883 do Ameryki, tutaj ukończył szkoły średnie, a następnie studjował prawo w Uniwersytetach "Valparaiso" i "Notre Dame", w Indiana, gdzie czas jakiś był również nauczycielem; po skończeniu kursów prawniczych przeniósł się do Detroit, Mich., a potem do Chicago, Ill., gdzie praktykował przez długie lata—jako adwokat. Należał do wielu polskich Organizacyj; życie jego złączone jest wybitnie z dziejami Polonji Amerykańskiej w bieżącym wieku. Wolnemi chwilami pisywał też korespondencje i artykuły dla gazet polskich i angielskich, jeździł nawet jako korespondent Pism chicagoskich w czasie pierwszej Wojny Światowej do Europy, skąd pisywał interesujące listy. Piotrowski piastował rozliczne stanowiska w administracji miasta Chicago, którego był skarbnikiem i syndykiem przez lat szereg.

Był on naprzód syndykiem "Zjednoczenia", następnie zaś — w latach 1917 do 1922—jego prezesem. Przeprowadził w Organizacji tej doniosłą normalizację spraw asekuracyjnych, które postawił na trwałych byznesowych podstawach, podwyższając odpowiednio opłaty członkowskie i wprowadzając metody urzędowania, właściwe kompanjom asekuracyjnym: zasłużył się tem znakomicie, bo "Zjednoczenie" uratował od ciężkich strat i przesileń, a położył mocne fundamenty pod jego dalszy rozwój. W okresie pierwszej Wojny Światowej zasłużył się też wybitnie, jako skarbnik "Wydziału Narodowego": wówczas Piotrowski uczestniczył we wszystkich pracach tego "Wydziału", poświęcając Polski sprawom wszystek nieledwie swój czas i siły: Polska nagrodziła te służby zacne wysokiem odznaczeniem—Odbudowanej Ojczyzny.

Nikodem Piotrowski zmarł w Chicago, w r. 1932

"ZWIĄZEK NARODOWY POLSKI"

W roku 1879—tak napisano w broszurce, wydanej przez Zarząd Związku Nar. Pol. r. 1894—pojawia się w "Ogniwie", tygodniku, wychodzącym przez czas niedługi w Nowym Yorku, następnie przedrukowany przez "Gazetę Polską" w Chicago, artykuł pióra znanego patrjoty, Agatona Gillera, zatytułowany: "Organizacja Polaków w Ameryce", wzywający do zgody, wspólności, jedności działań dla sprawy ojczystej. Grono Polaków we Filadelfji, zebrane dnia 15 lutego, 1880 roku, dla narad nad wspólnym losem, podjęło myśl Agatona Gillera i zaproponowało połączenie wszystkich Towarzystw polskich w Stanach Zjednoczonych w jedną Organizację pod nazwą "Związku Narodowego Polskiego", na zasadach federacji, warującej każdemu Towarzystwu zupełny samorząd wewnętrzny. Do pracy nad urzeczywistnieniem tej myśli przystąpiono, nie zwlekając; na rozesłany okólnik niebawem zaczęły napływać odpowiedzi rozmaitych Towarzystw, oświadczające zgodę na przystąpienie do takiego Związku.

Tak tedy powstał "Związek Narodowy Polski", którego pierwszy sejm zwołano na dzień 20-go września, 1880 r. do Chicago.

Tak we Filadelfji, w kolebce amerykańskiej wolności, skrzesano inicjatywę utworzenia "Związku". Zasługi to Juljusza Andrzejkowicza, Jana Popielińskiego, Juljusza Szajnerta i innych. Z małego gorczycznego ziarnka, w "Grodzie Bratniej Miłości" zasadzonego, wzrosła wnet drzewina krzepka, szybko rozwijała się, potężniała, a cień dobroczynnych wpływów coraz szerzej, obszerniej, rozleglej roztaczała nad amerykańską Polonją... Różnie też przytem bywało: gorzej i lepiej, pogodnie i burzliwie: zwyczajne—ludzkie rzeczy, przez które przechodziły wszystkie nasze instytucje i organizacje, które przecie zakładali ludzie zwyczajni, przeciętni, a pracowali w nich niejednokrotnie ludzie—bardzo niewyrobieni. "Związek", co to miał w swych szeregach niby "liberałów", wolnomyślnych, urządzał harce przeciw "kropidlarzom", czyli kościelnikom, to znaczy tym, co przy parafjach się opowiadali; z nawiązką oddawali liberałom związkowym kropidlarze zjednoczeniowi, a najpocieszniejszem ze wszystkiego to było, że jedni i drudzy do tychże samych przeważnie należeli parafij.

Dzisiaj "Związek Narodowy Polski" ma już wyrobioną tradycję wielkich prac i zasług, ma dzieje, niezmiernie zaszczytne, dorobek nader cenny, który zwłaszcza tu, poza Polską—ogromny stanowi majątek materjalny, a stokroć jeszcze ogromniejszy—skarb moralny: dziedzictwo to bardzo drogie, bardzo zacne. Zawsze na czele, zawsze w pierwszym szeregu ofiarnych, przewodnich,

niezmordowanych, najszczerzej polskich! Jego wspaniały rekord patrjotycznych zasług pozyskał mu mir i zaufanie najogólniejsze—w całej Polonji, olbrzymio rozszerzył ramy jego działań, spotęgował jego zasoby, roztysiącznił jego szeregi: Pisma, wydawnictwa, działy przeróżne wszechstronnych zaiste prac, pomoc bratnia dla starych i dla młodych, skautostwo, szkolnictwo średnie, czytelnie, bibljoteka—nie wyliczyć wszystkich tylu dziedzin pracy społeczno-narodowej, zawsze podnoszącej, zawsze kształcącej, nawskroś humanitarnej i patrjotycznej! Dziś Związek ma możności i zasoby tak znaczne, że mu owe działania, od dawna na tory właściwe wprowadzone, przychodzą—łatwo; ale podkreślić i zapamiętać należy, że nie zawsze tak było przecie; dawniej — te zasoby były mniejsze, pracowników bywało mniej o wiele, a jednak "Związek" robił swoje, trwał na posterunku naczelnym i zawsze—niewstrzymanie naprzód —"szedł i świecił"!

Powiedzieliśmy na wstępie, że "Związek" jest największą polską społeczniczo-patrjotyczną organizacją: istotnie—nie było i niema w całej Polsce, ni poza Polską, organizacji większej, któraby tak rozległe podejmowała prace, jak te, które wyżej wspominamy i któraby je wykonywała z tak świetnym plonem—najwspanialszego, niespożycie wartościowego dorobku.

W chwili założenia—zasoby "Związku" wynosiły około 160 dolarów; dzisiaj przekraczają 30 miljonów dolarów—przy ogólnej liczbie członków, przekraczającej 250,000. Zarząd i biura "Związku" mieszczą się we wspaniałych gmachach—w Chicago. Najwyższa władza prawodawcza "Związku" spoczywa w sejmie, który zbiera się co cztery lata. Władzę wykonawczą sprawuje zarząd centralny—pod przewodnictwem Cenzora i Prezesa, odpowiedzialnych przed sejmem. Trzecim organem Związku jest władza sądowniczo-nadzorcza, zwana Radą Nazorczą, która stanowi najwyższy trybunał sądowy, apelacyjny i nadzorczy poza sejmami; Rada ta składa się z cenzora, wicecenzora i komisarzy, których jest 25-ciu. Komisarzom podlegają Okręgi rozsiane po całym obszarze Ameryki. Każdy Okręg składa się z Gmin, na których czele stoją zarządy, Gminy zaś dzielą się jeszcze na Grupy, znów pod własnemi zarządami. "Związek" wydaje jedną gazetę codzienną "Dziennik Związkowy" i jeden tygodnik "Zgoda".

Do czasu pierwszej Wojny Światowej zastępu członków dostarczała napływowa fala wychodźtwa; po wojnie tej, wskutek restrykcyj immigracyjnych „Związek" stanął wobec poważnego zagadnienia utraty części członków —z racji wymierania jednych, lub wycofywania się drugich. Wobec tego przeprowadza się plan zainteresowania sprawami "Związku" drugiego i trzeciego pokolenia tutejszych Polaków i to się w znacznej części udaje. Postarano się o zorganizowanie różnych rodzajów sportów, towarzyskich rozrywek, udzielania specjalnych stypendjów naukowych w różnych Uniwersytetach, systemem pożyczek dla zdobywania wyższego wykształcenia, wycieczek do Polski itd. Obecnie i od lat zgórą dziesięciu Cenzorem "Związku N. P." jest Adwokat, Prof. Franciszek X. Świetlik, a Prezesem jest Adwokat, Karol Rozmarek.

Dodać należy, że "Związek Nar. Pol." założył i prowadzi znakomicie urządzoną szkołę średnią w Cambridge Springs, Pa., która już mnogie wydała zastępy polsko-amerykańskich działaczy.

W okresie pierwszej Wojny Światowej "Związek N. P." zasłużył się świetnie we współpracach Polonji Amerykańskiej dla Sprawy Polskiej, nie szczędząc ofiar i wpływów swoich i współdziałając we "Wydziale Narodowym" z innemi Organizacjami. Piszemy o tem więcej na innem miejscu tej książki.

LIST AGATONA GILLERA

Wybitny pisarz polityczny, przewodni działacz narodowy z lat przed Powstaniem 1863-1864 roku, Agaton Giller ur. w 1831—um. 1887, członek Komitetu Centralnego, który następnie przetworzył się w powstańczy Rząd Narodowy, pozostawał w bliskim kontakcie z Polakami w Ameryce. On to — w czasie swego pobytu w Szwajcarji—wystosował w r. 1879 List-Memorjał o potrzebie zorganizowania Amerykańskiej Polonji. List ten, drukowany naprzód w "Gazecie Narodowej" we Lwowie, przedrukowany w r. 1879 w "Gazecie Polskiej" w Chicago—był pobudką najwalniejszą ku utworzeniu "Związku Nar. Polskiego". Przytaczam najważniejszy z owego dokumentu urywek. Stwierdziwszy, że w Ameryce są krociowe masy ludu polskiego, podatne do zorganizowania, tak radzi Agaton Giller:

"Nie ulega wątpliwości, że przy wytworzeniu się, lub zgromadzeniu narodowej w Ameryce inteligencji, ta masa, liczna pod względem narodowym, zamienić się może i musi w gromadę ludności czynnej, pożyteczną dla sprawy Ojczyzny. Aby jej stworzyć możność stania się pożyteczną i zarazem otoczyć ją warunkami, któreby nie dopuszczały do wynarodowienia, potrzeba pojedyńczych ludzi skupiać w koła, lub gromady, mniej lub więcej liczne, i łączyć je w ten sposób, ażeby wytworzona Organizacja, służąc myśli i zadaniu Polskiej Sprawy, była jednocześnie nie tylko pożyteczną, ale i konieczną dla prywatnych interesów każdego swojego członka. W miarę, jak koła czy gromady organizacyjne w Ameryce tworzyć i rozwijać się będą, zwiększać się będzie wykształcenie narodowe tamtejszych Polaków i utrwalać się będą warunki zachowania narodowości; samo już bowiem życie w organizacji oświecać ich i wzmacniać będzie i sprawi, że każdy też dbać będzie, ażeby i potomkowie jego byli wychowani w polskiej narodowości. Moralnie i narodowo podniesiona przez fakt połączenia się, przy dobrym bycie, o który staranie musi być także jednem ze zadań organizacyj, gdy masa Polaków w Ameryce dobrze będzie reprezentować imię polskie, już przez to samo odda Polsce wielkie usługi. Usługi te z czasem mogą się stać bardzo znaczne, zwłaszcza— gdy już Polacy tamtejsi zaczną wywierać wpływ na życie publiczne w Stanach Zjednoczonych, gdy będą rozszerzać wśród Amerykanów dokładne pojęcie o Sprawie Polskiej, o dziejach, literaturze, oraz sztuce Narodu naszego, — gdy wreszcie staną się pośrednikami pomiędzy Polską a potężną Republiką, zdolnymi utrzymać sympatję dla usiłowań naszego oswobodzenia się i rozpłomienić je—aż do zapału, w czynie wyrażonego: wtedy też dopiero nastąpić może to, co byłoby wielce pożądanem, to jest, że wykształceni w praktycznych zawodach, ze zdobytą wiedzą i zamożnością w Ameryce, powracać poczną wychodźcy do Ojczyzny—jako pożyteczni obywatele obdarzeni siłą, jaką daje rozum i bogactwo. Tak więc Organizacja—nietylko, że zachować może dla narodowości masę polskiego żywiołu w Ameryce, nie tylko, że może go wykształcić i wyrobić na czynnik użyteczny dla Sprawy Polskiej na terytorjum Republiki, z której wpływem i potęgą rachuje się Europa—ale może przysposobić i powrócić Ojczyźnie niejednego z tych, którzy ją dobrowolnie lub przymusowo opuścili. Nie stawiamy na widoku tych korzyści, jakie wielka Organizacja czyli uspołecznienie Polaków w Ameryce — może przynieść w stanowczej chwili rozstrzygnięcia się losów Ojczyzny, bo łatwo się ich domyśleć można, wskazywanie zaś tych korzyści dzisiaj jest rzeczą zbyteczną — zwłaszcza, że narazićby mogło amerykańskie uspołecznienie na działanie, przeciwne sternikom kraju, którzy wodząc od lat kilkunastu nawę narodową po obcych portach na pożytek obcych potencyj, nie chcą słyszeć o takiem jej kie-

rowaniu, któreby najmniejszą i najdalszą siłę polską zwróciło ku wielkiej żegludze — do własnego portu. A jednak do tego portu wszyscy i wszystko u nas zmierzać powinno, temu jednemu celowi wszyscy służyć winni, gdziekolwiek ich los nieprzyjazny zagnał. We wielkiej sprawie Narodu—to tylko kierownictwo jest rozumne, które żadnej siły pojedyńczej lub zbiorowej nie traci z oczu, żadnej nie uznaje za mało znaczącą, lub nie do użycia, a rozproszone lub zbłąkane zgarnia do gromady i prowadzi właściwemi drogami do służb, które podnoszą znaczenie, potęgę i blask Ojczyzny, oraz jej samodzielność".

Niektóre zwroty i myśli z powyższego listu Agatona Gillera i dzisiaj są zupełnie aktualne, jak n.p. wmianka o roli Polaków-Amerykanów, jako ewentualnych pośredników między Ameryką a Polską, albo—o tem, że powracający z Ameryki do Polski mogą być nauczycielami, w Polsce pożądanymi — tego wszystkiego, co zagranicą widzieli, czego się nauczyli. To już bywało i to jeszcze być może w przyszłości... Piękny list Gillera powinien być wytyczną ideowych prac dla naszych tutejszych Organizacyj, a "Związek N. P." słusznie uważa go, za swój narodowy mandat, który pełnić pragnie wydatnie i wiernie.

ANTONI SCHREIBER

Antoni Schreiber urodził się w Raciążu, w Polsce, w 1864 r. Rodzina jego brała udział w Powstaniu 1863 r., stąd miał rozliczne trudności z władzami, z którego powodu wyjechał do Ameryki. Pracował zrazu jako robotnik, ale po kilku latach wybił się na reprezentanta handlowego swej firmy. Z biegiem lat osiedlił się w Buffalo, gdzie założył browar, który się rozwinął na wielkie przedsiębiorstwo. Wcześnie wstąpił do "Związku Nar. Polskiego", który go czterokrotnie, od r. 1905 do 1913, obierał na urząd cenzora. Za czasów jego urzędowania był zwołany Kongres Polski we Waszyngtonie — z okazji odsłonięcia pomników Kościuszki i Pułaskiego. W okresie cenzorstwa Antoniego Schreibera powstał Polski Dom Emigracyjny w N. Yorku i Szkoła Związkowa w Cambridge Springs. Antoni Schreiber wybitnie zasłużył się dla Organizacji swej i dla Polonji Amerykańskiej, w której był propagatorem porozumienia, jedności i współpracy między-organizacyjnej.

Osobiście nader ofiarny, uczynny, a wysoce patrjotyczny działacz społeczny i narodowy, należał Antoni Schreiber do najwybitniejszych Polaków-Amerykanów swego czasu. Zmarł w Buffalo w r. 1938.

MARJAN STĘCZYŃSKI

Marjan Stęczyński urodził się w Polsce w r. 1866. Z zawodu był ogrodnikiem. W młodości przybył do Stanów Zj., wstąpił do "Związku Nar. Polskiego", a obrany tegoż Zarządu Centralnego prezesem, piastował to stanowisko do r. 1911-go. Był jednym z inicjatorów i przewodniczących Kongresu Polskiego we Waszyngtonie, w r. 1910-tym, na którym to Kongresie przyjęto i ogłoszono znamienną rezolucję, stwierdzającą przed całym światem prawa Narodu Polskiego do niepodległości i swobody. W r. 1912 został administratorem Szkoły "Związku Nar. Pol." w Cambridge Springs, Pa., dla której — jak wogóle dla "Związku" zasłużył się wybitnie i trwale. Zmarł w Cambridge Springs, w r. 1939. Jego pamięć, do dziś chowana w czci "związkowców", wskazuje nań—jako na jednego z najzasłużeńszych działaczy Polonji.

FRANCISZEK ŚWIETLIK

Franciszek Ksawery Świetlik—urodził się w r. 1889, w Milwaukee, Wis. Kształcił się na Wydziale Prawa Uniwersytetu "Marquette" i w r. 1914 rozpoczął w Milwaukee praktykę adwokacką. W pierwszej Wojnie Światowej służył w Armji Stanów Zj., w której osiągnął rangę kapitana. W r. 1931 został obrany Cenzorem "Związku Nar. Polskiego", na którem to przewodniem stanowisku pozostaje obecnie. Powołany na stanowisko Dziekana Wydziału Prawa Uniwersytetu "Marquette", poświęca wykładom wiele czasu i pracy. W okresie drugiej Wojny Światowej został obrany Prezesem "Rady Polonji", a jako taki piastuje naczelne, przewodnie stanowisko w Polonji Amerykańskiej. Człowiek światły, niezmiernie pracowity, wybitny mówca i działacz wszechstronny—jest Franciszek Świetlik jednym z najlepszych typów Polaka-Amerykanina generacji młodszej, oraz przedstawicielem kierunku, godzącego patrjotyzm amerykański z przywiązaniem do Polskiej Macierzy.

"ZWIĄZEK POLEK"

"Związek Polek" w Ameryce jest bardzo wielką i silną organizacją niewieścią. Dziś liczy ona blisko 60,000 członkiń, a zasoby Organizacji wynoszą zgórą sześć miljonów dolarów, nadto posiada ona wielki i okazały gmach własny w Chicago, które jest siedzibą zarządu Organizacji. Za początek "Związku" tego można uważać Towarzystwo "Grosz Polski" w Chicago, istniało ono wprawdzie krótko tylko, ale w każdym razie dało Polkom impuls do organizowania się. Głównym celem Towarzystwa było zbieranie funduszów na wykupywanie ziem polskich pod zaborem pruskim, kształcenie dziewcząt polskich itp. W roku 1887 powstało istniejące dotychczas w "Związku", najstarsze Towarzystwo żeńskie "Gwiazda Zwycięstwa", a wkrótce potem zorganizowane zostało do dziś dnia samodzielnie istniejące, a liczące kilkaset członkiń "Tow. Centralne Polek"; w r. 1895 zorganizował się "Klub Patrjotycznych Polek". Wszystkie te Towarzystwa długo istniały oddzielnie, nie mając ze sobą żadnego związku. Dopiero w r. 1898 zorganizowane zostało Towarzystwo "Związek Polek"—z myślą połączenia Towarzystw kobiecych, aby utworzyć z nich Organizację—jeden "Związek Polek": w przeciągu kilku miesięcy założyło się jeszcze kilka Towarzystw, które pod koniec tego samego roku 1898 odbyły w Chicago 1-szy swój zjazd: takim był—w krótkości opowiedziany początek "Związku Polek".

"Związek Polek" rozwija się bardzo dobrze, posiada własny organ, bibljotekę i piękny budynek w Chicago. Dziś Organizacja ta uczestniczy przewodnio we wszystkich sprawach i pracach obywatelskich i patrjotycznych, tak amerykańskich jak polskich, a jej działalność wszechstronna, jej hojność nadzwyczajna na cele narodowe i humanitarne—pozyskują jej powszechne uznanie i wielka a zasłużona popularność.

Wśród dawniejszych pracownic "Związku Polek"—najwybitniejszą była Emilia Napieralska, wieloletnia sekretarka, a później prezeska Organizacji; obecnie prezeską "Związku Polek" jest od lat kilku Honorata Wołowska.

STEFANJA CHMIELIŃSKA

Stefanja Chmielińska, ur. r. 1866, w Polsce, do Ameryki przybyła w r. 1891. Należała do grona najpierwszych założycielek "Związku Polek" i była pierwszą prezeską jego Zarządu Głównego. W r. 1900, za jej inicjatywą, założono "Głos Polek", organ urzędowy "Związku Polek". W uznaniu jej zasług—mianował ją "Związek Polek" Honorową Prezeską, a Rząd Polski odznaczył ją Krzyżem Zasługi. Umarła w Chicago, w r. 1939.

EMILJA NAPIERALSKA

Urodziła się w Chicago w r. 1886. Była przez długi lat szereg Sekretarką Jeneralną, a następnie Prezeską Zarządu Głównego "Związku Polek". W okresie pierwszej Wojny Światowej zasłużyła się wydatnie dla Sprawy Polskiej. Emilja Napieralska była bezsprzecznie jedną z najwybitniejszych niewiast, jakie Polonja Amerykańska wydała; zasłużyła się pierwszorzędnie dla "Związku Polek", który pod jej administracją rozrósł się na wszystkie ważniejsze osiedla polskie kraju; co ważniejsze, poprowadziła ona tę Organizację tak, iż "Związek Polek" położył znakomite zasługi we wspólnem dziele naszego przyczynku do odbudowy Polski niepodległej. Za prace swe i zasługi Emilja Napieralska otrzymała wysokie odznaczenia—polskie i inne. Zmarła w Chicago, w r. 1943.

HONORATA WOŁOWSKA

Urodziła się w Toruniu, w Polsce, w r. 1890. Wybitna i zasłużona pracownica społeczna. W młodych latach przybyła do Ameryki, a osiadłszy w Pittsburghu, zaciągnęła się wcześnie do działań patrjotycznych — pod znakiem "Sokoła". Wyróżniła się w pracach obywatelskich i rekrutacyjnych na rzecz Armji Polskiej, formowanej w Ameryce. Była założycielką "Polskich Szarych Samarytanek", które zasłużyły się wybitnie w okresie wojny Polski z Rosją (r. 1920); w okresie tym pracowała w Polsce i została odznaczona Krzyżem Walecznych. Po powrocie do Stanów Zjedn. została obrana w r. 1935 Prezeską Zarządu "Związku Polek", które to stanowisko piastuje i obecnie. H. Wołowska jest w pełni znaczenia tego słowa przewodnią działaczką Organizacji, na której stoi czele, a nadto należy do najwybitniejszych i najzasłużeńszych niewiast polskich w Ameryce—doby bieżącej.

"MACIERZ POLSKA"

Ks. Wincenty Barzyński, C. R., dał w Chicago w roku 1897 inicjatywę zorganizowania „Macierzy Polskiej", aby ratować młodzież od wynarodowienia. Ks. Franciszek Gordon, C.R., na zlecenie, otrzymane od Ks. Barzyńskiego, zajął się Towarzystwem Sokołów w Parafji św. Stanisława w Chicago i w niem rozwinął myśl założenia nowej Organizacji dla młodzieży polskiej, katolickiej. Znając działalność "Macierzy Polskiej" w Ojczyźnie, postanowiono przejąć jej cele i działać w jej duchu. Przyjęto też nazwę "Macierz Polska" —jako najodpowiedniejszą dla nowej Organizacji, która miała być więcej ideową, niż ubezpieczeniową. Tak powstał zawiązek tej Organizacji; z czasem jednak zaprowadzono też w "Macierzy" zabezpieczenie na życie i przyjęto system asekuracyjnych opłat. Obecnie "Macierz Polska" liczy wśród członków wielu kapłanów, lekarzy, sędziów, adwokatów, przemysłowców, wogóle skupia większy stosunkowo procent inteligencji. Organizacja rozwinęła się bardzo pomyślnie i uczestniczy nader żywotnie we współpracach narodowych i obywatelskich Polonji.

KS. FRANCISZEK GORDON, C.R.

Ks. Franciszek Gordon urodził się w r. 1860, w Tryszczyniu, w Poznańskiem; do Ameryki przyjechał w r. 1881; studja odbył w Rzymie, na kapłana wyświęcony został w r. 1890. W Ameryce pracował przy parafji św. Stanisława Kostki, w Chicago, jako asystent i dyrektor szkoły parafjalnej. Przenie-

siony przez władze Zgromadzenia XX. Zmartwychwstańców do Europy, pracował w Bułgarji, w Adrjanopolu, potem w Krakowie, skąd przeniesiony do Rzymu, piastował stanowiska wiceprokuratora, a później sekretarza Generała Zgromadzenia. Przeniesiony z powrotem do Chicago, został mianowany zarządcą Polskiej Spółki Wydawniczej "Dziennika Chicagoskiego", założonej przez Ks. W. Barzyńskiego, C.R. W roku 1899 zorganizował parafję Najśw. Panny Marji Anielskiej, której przez długie lata był proboszczem. Był organizatorem i przez wiele lat moderatorem "Macierzy Polskiej". W późniejszych latach życia był Delegatem Generała Zgromadzenia na Stany Zjednoczone, a do końca życia stał na czele wzmiankowanej poprzednio Spółki Wydawniczej, którą zarządzał nader sprawnie. Wydał drukiem zbiór kazań i opis swej podróży do Ziemi Świętej. Ks. Fr. Gordon, C.R. zmarł w Chicago w roku 1931.

UNJE POLSKIE—WE WILKES BARRE I W BUFFALO

Unja Polska powstała w roku 1889, utworzona przez kilkunastu Księży polskich, należących do "Związku Nar. Polskiego", na znak ich sprzeciwu względem liberalnego kierunku, podówczas w 'Związku" zbyt krzykliwie przejawianego. Ks. Prałat D. Majer ze St. Paul, Min., dał początek nowej tej Organizacji, która miała łączyć harmonijnie wierną katolickość "Zjednoczenia" i patrjotyzm gorący "Związku".

"Unja Polska" z czasem podzieliła się znowu—mianowicie na dwie Organizacje, z których większa i silniejsza ma siedzibę we Wilkes Barre, Pa., a mniejszej nieco siedziba znajduje się w Buffalo, N. Y. Obie te Organizacje—stoją silnie na gruncie religijno-narodowym, obie dziś zasobne i poważne, działają nader pożytecznie, prowadzone znakomicie przez poważne i doświadczone zarządy.

"ZWIĄZEK MŁODZIEŻY POLSKIEJ W AMERYCE"

Dążność do założenia ogólnej Organizacji, któraby skupiała młodzież polską w całej Ameryce, przejawiła się silniej około r. 1890, kiedy to garstka młodzieży, złączonej w "Towarzystwo Patrjotyczno-Naukowe" w Chicago, nawiązała stosunki z rozlicznemi Towarzystwami młodzieży amerykańsko-polskiej po całym kraju, popularyzując myśl połączenia się w Organizację. W r. 1895 doszło wreszcie do utworzenia "Związku Młodzieży Polskiej". Związek ten wzrastał pomyślnie, a w roku 1905 wspólnie ze Sokołami przyłączył się do "Związku Nar. Polskiego". Podpisano wówczas wspólną deklarację połączenia, później jednak młodzież wycofała się znowu i pozostała nadal w Organizacji samodzielnej. Wnet i ta Organizacja, zrazu wyłącznie ideowa, przyjęła metody byznesowe, przekształcając się w instytucję, opartą na "bratniej pomocy" członków. W okresie pierwszej Wojny Światowej "Związek Młodzieży" rozwijał bardzo intensywną akcję patrjotyczną, a Organizacja była na drodze do pomyślnego rozkwitu, po wojnie jednak podupadła, a w latach ostatnich mało słychać o jej działalności.

"UNJA POLEK W AMERYCE"

Drugą po "Związku Polek" największą Organizacją niewieścią jest "Unja Polek", założona we Filadelfji, w r. 1920, za sprawą Franciszki Szwedowej, Agnieszki Karlewskiej, Heleny Janoskiej i kilku innych społecznie i patrjotycznie usposobionych rodaczek. Umyśliły one przetworzyć Koła Polskiego

"Białego Krzyża", organizowanego przez Helenę Paderewską w Polonji Amerykańskiej—po pierwszej Wojnie Światowej, na Organizację stałą, niewieścią, któraby służyła trwale—po równi Ojczyźnie starej, jak nowej, a pomagała do utrzymania polskości w młodych generacjach. Myśl ta przyjęła się i zrealizowała pomyślnie w poważną dziś i szybko wzrastającą instytucję. Obecnie "Unja Polek" posiada około sto grup, doskonale obmyślony system siostrzanej pomocy i zabezpieczenia, a prowadzona przez światły, patrjotyczny zarząd—współdziała wydatnie we wielkich sprawach patrjotycznych, obywatelskich i humanitarnych—z resztą społeczeństwa. Organem Unji Polek jest "Gwiazda" we Filadelfji, redagowana przez Melanię Łukasiak.

FRANCISZKA SZWEDOWA

Franciszka Szwedowa, z domu Kownacka, urodziła się w 1875 r., w Konstancjowie, na Pomorzu. W czternastym życia roku przyjechała do Stanów Zj., do Wilkes Barre, później przeniosła się do Filadelfji, gdzie już pozostała na stałe. Wcześnie zaciągnęła się do pracy społecznej i narodowej; należała do całego szeregu Organizacyj, a w okresie pierwszej Wojny Światowej niestrudzenie pracowała w zakresie patrjotycznej i humanitarnej działalności. Na wezwanie Heleny Paderewskiej powstał w tych czasach w Polonji Amerykańskiej "Polski Biały Krzyż", który zajmował się niesieniem pomocy żołnierzom polskim i ofiarom wojny w Polsce. Franciszka Szwedowa organizowała we Filadelfji i po okolicznych miejscowościach Koła Ofiarnej Pracy—Polek, usposobionych społecznie i patrjotycznie. Z tych to Kół umyśliła Fr. Szwedowa zorganizować niewieścią, polską, katolicką Organizację i we Filadelfji założyła jej siedzibę. Franciszka Szwedowa, znalazłszy dzielne i światłe współpracownice, oraz poparcie chętne w społeczeństwie, poświęciła wszystką resztę życia pracowitego na rozbudowanie "Unji Polek", której prezeską Zarządu była do zgonu, w r. 1940.

STOWARZYSZENIE KASY P. O. ŚW. JANA KANTEGO

"Stowarzyszenie Kasy p. w. Św. Jana Kantego" założone zostało w roku 1889, we Filadelfji, za inicjatywą grupy społecznie usposobionych księży i obywateli świeckich; wśród założycieli byli: Ks. Prałat M. Kopytkiewicz, Ks. Gabrjel Kraus, obywatele: P. Milewicz, F. Jaśkowiak, J. Wessel, W. Nowak. T. Męczyński i inni. Polonja zainteresowała się żywo nową tą Organizacją, więc Kasa wzrastała szybko, a pozyskiwała uznanie i poparcie rzetelnem i pożytecznem działaniem, oraz uczestniczeniem żywem i chętnem w ogólno społecznych sprawach narodowych, polskich i amerykańskich. Dziś—po latach kilkudziesięciu już zasłużonego istnienia — "Stowarzyszenie Kasy p. o. św. Kana Kantego" stoi bardzo pomyślnie pod względem liczby swoich Grup i członków, jak również pod względem swych finansów; cieszy się też zasłużenie najlepszą opinją ogólną—tak Polaków tutejszych, jak całej Polonji Amerykańskiej, jak wreszcie—ogółu współobywateli-Amerykanów.

SOKOLI POLSCY W AMERYCE

Hasła Sokole w Polonji Amerykańskiej silniejsze obudziły echa w ostatnim prawie dziesiątku lat minionego wieku, lecz pierwsze Gniazdo Sokole założono w Chicago jeszcze w r. 1886. Inicjatorami byli J. K. Pietrowicz, S. Terczewski, A. Osiński, L. Mieczyński i K. Żychliński, późniejszy prezes zasłużony "Związku Nar. Polskiego". Za wzorem Chicago powstawały Gniazda

Sokole i w innych większych osiedlach polskich, a w r. 1895 złączono je w "Związek Sokołów", którego prezesem obrano K. Żychlińskiego. W dwa lata później założono miesięcznik "Sokół"—dla celów krzewienia idei sokolej. Z początkiem nowego stulecia należało do "Związku" około trzydzieści Gniazd, ale że czysto ideowa organizacja spotykała trudności nieprzemożone na drodze swego rozwoju, uchwalono na zlocie w Chicago, w r. 1905, połączenie się ze "Związkiem Nar. Polskim", otrzymując autonomję—jako oddzielny Wydział Sokolstwa. Krok ten sprawił wzrost znaczny, bo około r. 1910 było już w Polonji sokolich Gniazd 140, a idee sokole tak silnie i szczerze przejmowały nasze zastępy Sokołów, że sprowadzono z Polski wybitnego instruktora, Włodzimierza Świątkiewicza, który prowadził tu kursy dla instruktorów Gniazd z dużem powodzeniem.

W r. 1909 Sokolstwo, czując się już na siłach oddzieliło się od "Związku Nar. Polskiego"; jednocześnie "Związek Sokolstwa" podzielił się na dwie grupy—jedną ze siedzibą w Chicago, a drugą ze siedzibą w Nowym Yorku: oba zrzeszenia rozwijały się pomyślnie, rosnąc w liczbę Gniazd i członków. Około r. 1910 zaczęły mnożyć się zapowiedzi Wielkiej Wojny. Sokoli z Ameryki pojechali do Polski na Obchód 500-setnej Rocznicy Zwycięstwa pod Grunwaldem i tam zasłyszeli o przygotowaniach zbrojnych, podejmowanych przez Sokolstwo, przez Związki Strzeleckie i wszystką młodzież patrjotyczną: Polacy gotowali się do czynnego udziału w oczekiwanej wojnie.

Z takiemi wieściami i hasłami wrócili wszyscy delegaci Polonji Amerykańskiej z owego pamiętnego zjazdu; zaraz też Sokoli jęli tu propagować myśl przyspasabiania się do walki, a w akcji, tą myślą przejętej, połączyły się znów oba zrzeszenia sokole, na czele ich zasię stanął zasłużony Dr. T. Starzyński, późniejszy Polskiej Armji pułkownik; Polonja zorganizowała "Komitet Obrony Narodowej" (r. 1912); Sokolstwo zaczęło szkolić instruktorów wojskowych; po Gniazdach wrzała praca patrjotyczna, pełna entuzjazmu. W miesiąc po wybuchu pierwszej Wojny Światowej Sokolstwo miało już 1500 żołnierzy przeszkolonych: był to początek Armji Polskiej w Ameryce, do której utworzenia Sokolstwo nasze walnie się przyczyniło.

Następne lata dziejów Sokolstwa w Ameryce—to właściwie dzieje owej Armji polsko-amerykańskiej, w której służyło 600 Sokołów naszych, ale pamiętać należy, że około 10,000 Sokołów wstąpiło z obowiązku pierwszej powinności — do Armji Stanów Zjedn.: liczby te są zaiste bardzo wymownem świadectwem patrjotyzmu i poświęcenia się naszych Sokołów — dla sprawy wolności ludów i niepodległości Polski.

Po Wojnie Światowej osłabł znacznie duch ten dzielny, niknęła, zatracała się wola ku współdziałaniom w całej Polonji Amerykańskiej, wtedy i Sokolstwo podupadło znacznie. Aby ratować się, zaprowadziło u siebie — za wzorem innych Organizacyj — ubezpieczenie i zajęło się werbowaniem młodzieży, by ją przed wynarodowieniem ratować, a fizycznie ćwiczyć i wyrabiać. Ruch w tym kierunku trwa, a choć nie można rzec, by zbyt świetne dawał rezultaty, jednakże pożyteczna działalność Sokolstwa nie ustaje; niestety — spoistość organizacyjna wśród Gniazd wiele pozostawia do życzenia. "Związek Sokołów" w każdym razie poważną liczy gromadę członków, a we współpracach ideowo-narodowych żadnej innej Organizacji wyprzedzać się nie daje.

"Związek Sokołów" wydaje od lat organ własny, czasopismo "Sokół", którego zasłużonym dla idei sokolej redaktorem—był przez czas długi Stanisław Osada, wybitny dizennikarz i literat polsko-amerykański (o którym też mowa na innem miejscu książki).

WAŻNIEJSZE ORGANIZACJE POLSKIE W AMERYCE

Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie: siedziba — Chicago; liczba członków przeszło 175,000; zasoby około $20,000,000.00.

Związek Narodowy Polski: siedziba — Chicago; liczba członków około 275,000; zasoby zgórą $30,000,000.00.

Związek Polek: siedziba w Chicago; liczba członkiń zgórą 60,000, zasoby przeszło $7,000,000.00.

Unja Polska: siedziba we Wilkes Barre, Pa.; liczba członków około 30,000; zasoby zgórą $3,000,000.00.

Unja Polska: siedziba—Buffalo, N. Y.: liczba członków przeszło 18,000; zasoby zgórą $2,000,000.00.

Stowarzyszenie Polaków w Ameryce: siedziba w Milwaukee, Wis.; liczy około 10,000 członków, zasoby przeszło $1,000,000.00.

Zjednoczenie Polsko-Narodowe: siedziba—Brooklyn, N. Y.: liczba członków przeszło 16,000; zasoby $1,000,000.00.

Stowarzyszenie Synów Polski: siedziba—Jersey City, N. J.; członków liczy przeszło 15,000; zasoby półtora miljona dolarów.

Macierz Polska: siedziba—Chicago; liczy członków przeszło 6,000, zasoby około $750,000.00.

Stowarzyszenie Kasy Św. Jana Kantego: siedziba—Filadelfja; członków liczy blisko 24,000; zasoby—półtora miljona dolarów.

Unja Polek w Ameryce: siedziba—Filadelfja; liczba członkiń ośm tysięcy, zasoby przeszło pół miljona dolarów.

Związek Polaków w Ameryce: siedziba w Cleveland, O.: członków liczy około 12,000; zasoby zgórą miljon dolarów.

Stowarzyszenie Polskie Rzym. Kat.: siedziba—Detroit, Mich.: członków liczy blisko dwadzieścia tysięcy.

Zjednoczenie Pol. pod opieką Matki Boskiej Częstochowskiej: siedziba w Cleveland, O.: liczy członków blisko 10,000.

Zjednoczenie Polskie Rzym. Kat. w St. Michigan: siedziba w Bay City, Mich.; liczba członków dochodzi 10,000.

Unja p. w. św. Józefa: siedziba Pittsburgh, Pa., członków ma przeszło 5,000.

Związek Sokołów Polskich: siedziba Pittsburgh, Pa.: członków — zgórą 10,000; zasoby—pół miljona dolarów.

Spójnia Polsko-Narodowa: siedziba—Scranton, Pa.: organizacja niezależnych, liczy około dwadzieścia tysięcy członków, zasoby około $2,000,000.00.

Liczby te nie są zupełnie ścisłe, bo nie mogą, jako że w ciągu pisania i druku tej książki parokrotnie nawet ulegały zmianom, naogół jednak w dość dobrem przybliżeniu przedstawiają liczebność i zasoby najważniejszych polsko-amerykańskich Organizacyj w czasie zakończenia pracy niniejszej.

IX.

Z DOROBKU SPOŁECZNEGO.

Instytucje Humanitarne, Zawodowe i Inne.

Na tle zorganizowania zasadniczego, parafjalnego, tworzą się w Polonji Amerykańskiej zaraz po szkołach, mniej-więcej z początkiem bieżącego stulecia, rozmaite instytucje, stanowiące przejawy widocznie postępującego uspołecznienia luźnych zrazu gromad i osad. W miarę wyrabiania się poczucia wspólnoty pochodzenia, wierzeń, mowy i dążeń — powstają we formach coraz lepszych, poważniejszych i potężniejszych zakłady rozmaitego zapotrzebowania komunalnego, często o roległym zasięgu. Tworzą je przeważnie nasi przewódcy tutejsi, a więc przedewszystkiem Duchowieństwo, z którem uświadomione sfery Obywatelstwa współdziałają ofiarnie i wiernie. Zrazu instytucje omawiane walczą, jak zwykle bywa, z początkami niezmiernie trudnemi, bo nie tylko brak było środków, ale brak był i ludzi do pracy, dostatecznie wyrobionych, ukwalifikowanych, więc przy zakładaniu owych ważnych pracy polskiej, myśli polskiej centrów—trzeba było niemało wysiłków i poświęceń: było nas ongiś mniej, byliśmy rozrzuceni z rzadka na obszarach kraju—przeogromnych, więc trudno było o skupienie potrzebnych sił i środków. Z czasem, z postępem lat, w miarę przybywania osiedli, parafij, Organizacyj i ludzi światlejszych — prace te szły już łatwiej i prędzej, a dziś wszystkie dawniejsze Instytucje nasze, w niniejszym omawiane Rozdziale—mają już grunt, zdawna ufundowany mocno i byt zapewniony, nowe zaś przybywają bez takich już nadmiernych trudów, jakie dawniej — przed półwieczem — towarzyszyły narodzinom omawianych zakładów i ich działania początkom.

Najpierwsze w tej spraw dziedzinie były instytucje humanitarne, filantropijne, poczęte z przykazania o Miłości Bliźniego, umocnionej jeszcze poczuciem plemiennej wspólnoty: powstawa-

ły one przed kilku dziesiątkami lat w Polonji Amerykańskiej— jako Sierocińce, Domy Starców, Szpitale, Ochronki i t. p. Te instytucje czyniły zadość najnaglejszym zapotrzebowaniom, w których trzeba było opatrzyć biedaków rodaczych, dać im przytułek, gdy tu nikogo nie mieli na obczyźnie i zająć sie sierotami polskiemi; do tego doszły później Szpitale, których kilka istnieje w Polonji—prawdziwie pierwszorzędnych; z dalszym rozwojem naszych stosunków tutejszych obudził się duch łączności i współdziałania w jeszcze innych i coraz nowych kierunkach, w czem niezawodnie przewodnią były nam wzory i przykłady, z amerykańskiego brane społeczeństwa, które ma chyba najwięcej na świecie zrzeszeń, spółek, zorganizowań — wszelkiego rodzaju. Zaczęliśmy zatem i my zakładać spółki pożyczkowo-budowlane i zrzeszenia profesyjne, zaczęliśmy budować Domy Narodowe i t. d. i d. Dziś tego wszystkiego jest wcale wiele, aczkolwiek dalecy jesteśmy od dorównania w tym względzie Amerykanom, a także i wśród grup napływowych nie jesteśmy na pierwszem co do tego miejscu, bo nas na punkcie zorganizowania i społecznictwa przewyższają Niemcy, Czesi i Skandynawowie. Wspomnimy tu bodaj po krótce co najważniejsze instytucje nasze w Ameryce ze założonej w tym Rozdziale kategorji.

Bodaj najpierwszym dobroczynnym zakładem polskim w Ameryce był Dom Przytułku Św. Józefa, założony w Chicago na początku wieku bieżącego przez Ks. Wincentego Barzyńskiego i jednego z największych społeczników naszych Ks. Andrzeja Spetza *(Patrz Przypiski)*. Trudności przy tworzeniu tego zakładu były tak mnogie i wielkie, że zdawało się, iż im się nie podoła: nie było komu po prostu—zająć się prowadzeniem takiego zakładu. Sióstr zakonnych dla szkół wówczas nie było dosyć, a skąże miało ich starczyć dla innych jeszcze zapotrzebowań .... Tedy Ks. Andrzej Spetz założył nowe Zgromadzenie SS. Franciszkanek pod wezw. św. Kunegundy i jemu powierzył prowadzenie rzeczonego Domu Św. Józefa. Długo to było trudno i ciężko i biednie ... zato dziś Zgromadzenie rozrosło się licznie, posiada kilkadziesiąt Domów Missyjnych, a ów Dom Św. Józefa w Chicago jest wspaniale rozbudowanym zakładem, nowocześnie urządzonym i prowadzonym wzorowo. Zrazu Dom ten był przy-

tułkiem—również pierwszym, także dla sierót polskich; z biegiem lat sieroty zostały przeniesione do Sierocińca p. w. Św. Jadwigi w Norwood Park, pod Chicago, a w Domu Św. Józefa zostali starcy tylko. Tam też mieści się Macierzysty Dom wymienionego wyżej Zgromadzenia.

Sierociniec Św. Jadwigi powstał około r. 1910, ale myśl utworzenia go, już wcześniej podana, skupiała w gromadzeniu nań funduszów całą Polonję w Archidiecezji Chicagoskiej. Olbrzymi ten zakład posiada rozległe grunta, gospodarkę rolną, prowadzi własną dla dziatwy swej szkołę, oraz kursy zawodowo-rzemieślnicze. Kierują nim wzorowo SS. Felicjanki. Do utworzenia tej instytucji, iście imponującej rozmiarami i rozległością działań, inicjatywę dał: Ks. Biskup P. Rhode, podówczas Koadjutor Chicagoski, a zasłużyli się w tem dziele pamiętnie: Ks. Andrzej Spetz, Ks. Fr. Wojtalewicz, Ks. K. Sztuczko, oraz Ks. Fr. Rush, który od początku jest zakładu tego zarządcą i kapelanem. Z roku na rok mieszka i kształci się w tym Sierocińcu po kilkaset sierot polskich, z ich grona zaś wyszła spora gromada wybitnych profesjonistów i działaczy różnych kół naszego współżycia.

Podobnych, acz może nie tak wielkich zakładów dobroczynnych — mamy w Polonji o wiele więcej. Na szczególniejsze wzmiankowanie zasługują: znakomicie prowadzona Ochronka Polska pod wezw. Najśw. Rodziny w Emsworth, w Diecezji Pittsburgh, również od kilkudziesięciu już lat ze wszech miar pożytecznie działająca; zakład ten, prowadzony przez SS. Nazaretanki, stale zajmuje się kilkuset sierotami; posiada on rozległe zabudowania szkolne, mieszkalne, gospodarcze, a utrzymywany jest z kontrybucyj, składanych przez polskie parafje wymienionej Diecezji.

SS. Nazaretanki prowadzą również Sierociniec polski w Archidiecezji Filadelfijskiej, mieszczący się w Ambler, Pa. Przy zakładach takich prowadzone są zawsze szkoły niższe, a młodzież zdolna posyłana jest z nich również i do szkół średnich.

W New Britain, w Stanie Connecticut, przed czterdziestu laty założył Sierociniec i Dom dla Starców zasłużony działacz tamtejszy, Ks. Łucjan Bójnowski; zakłady te działają z wielkim

dla licznych osad polskich w Stanach wschodnich—pożytkiem; zajmują się niemi Siostry zakonne ze Zgromadzenia Niepokalanego Poczęcia Najśw. P. Marji, założonego również przez Ks. Bójnowskiego. Obecnie zarówno rzeczone zakłady, jak wymienione Zgromadzenie rozwinęły się znakomicie, a Siostry Niepokalanki pracują ponadto w szeregu Missyj i szkół. Zabudowania tak Sierocińca, jak Domu Starców w New Britain — są ogniotrwale wzniesione, imponują rozległością i okazałością, są prawdziwą ozdobą i chwałą miasta i Polonji.

W Reading, Pa., wielki i wzorowo urządzony Sierociniec prowadzą Siostry Bernardynki, owocnie pracujące w Archidiecezji Filadelfijskiej i w kilku Diecezjach Pennsylwanji.

Jak rzekłem, instytucyj tego rodzaju jest w Polonji naszej znacznie więcej, acz na jej liczbę przeszło czterech miljonów — pewnie ich nie za wiele.

Od tych naszych, wybitnie dobroczynnych instytucyj—krok najbliższy stanowią Szpitale polskie. To są zakłady bardzo kosztowne, o ile przystosowane do nowoczesnych wymagań naukowych i nieustannego a szybkiego postępu wiedzy leczniczej: mamy ich w Polonji Amerykańskiej tylko kilka, ale zato pierwszorzędne — tak, że zwracają uwagę i wyróżniane są korzystnie wśród najlepszych i najbardziej postępowych szpitali amerykańskich, najświetniejszych niezawodnie na świecie. Specjalność niejako w utrzymywaniu i prowadzeniu tych zakładów mają nasze Siostry Nazaretanki, które od lat blisko pięćdziesięciu prowadzą wspaniały Szpital pod wezw. Najśw. Marji Panny w Chicago; niedawno założyły one również wielki, w pełni nowoczesny Szpital pod wezw. Najśw Rodziny — we Filadelfji; nadto utrzymują Domy Zdrowia w południowych Stanach. Nie trzeba dodawać, że Szpitale owe są ważnemi i niezmiernie pożądanemi ogniskami praktycznie studjowanej wiedzy leczniczej dla lekarzy polskich, których już wielu wybitnych wyszło z nich i praktykuje przy nich stale. Szpitale te, jak wszystkie, jak i poprzednio wzmiankowane instytucje dobroczynne — gotowe są zawsze służyć ubogim pomocą możliwie bezinteresowną, lub jak najprzystępniej umiarkowaną co do kosztów; kto może, płaci, bo powinien; uboższy otrzymuje ulgi i świadczenia; podobnież—kto może, bodaj czę-

ściowo opłaca pobyt w Domach dla Starców, lub utrzymanie sierót w Sierocińcach, naogół opłaty te są jednak niewielkie i pewnie nie wystarczyłyby na utrzymanie owych zakładów; gdyby ich potrzeb stałych nie opędzano ze składek społecznych, kontrybucyj parafjalnych i t. p.

Przejdźmy zkolei do instytucyj o charakterze więcej byznesowym. Tu wzmiankujemy naprzód finansowe i zawodowe spółki i zrzeszenia, banki i towarzystwa pożyczkowo-budowlane. Te powstawać poczęły w pierwszej ćwierci wieku XXgo, a choć i dawniej się trafiały po większych osiedlach, lecz wyjątkowo tylko można je było spotykać u Polaków i większej nie grały roli. Pierwsze miejsce należy się tu spółkom i towarzystwom pożyczkowo-budowlanym, które najrychlej tworzyć się zaczęły w największych osiedlach, w Chicago, Buffalo, Detroit, Milwaukee, wzorowane na amerykańskich tego rodzaju instytucjach, których tu było i jest bardzo wiele. Można bez przesady powiedzieć, że w największej liczbie większych i ważniejszych, a nawet i pomniejszych osad polskich, spółki owe przyczyniły się walnie do zagospodarowania się "na swojem" przybyszów, one sprawiły, że rodacy nasi od dawna już wszędzie mają po największej części własne domy mieszkalne, a niemało jest takich, co ich mają i po kilka, i to nie byle jakich.

Owe spółki tak są zorganizowane, że członkowie ich zakupują w nich udziały, a gdy złożywszy co-nieco grosza z tych udziałów, kupią grunt, otrzymują nań pożyczkę na budowę domu, dług zaś zaciągnięty spłacają ratami, płaconemi miesięcznie, lub nawet tygodniowo, z codziennych zarobków. Bywa też, że ktoś kupuje dom gotowy, a w spółce zaciąga pożyczkę, na spłatę jego; spłaca więc nie obcemu, a swoim — we warunkach łatwiejszych, skalkulowanych tak, że przy każdej spłacie umniejsza się procent od zaciągniętego długu: zwyczajny cykl spłat takich w normalnych warunkach ekonomicznych kraju zazwyczaj nie przekracza okresu lat kilkunastu. Jest to bardzo solidna, systematyczna, pewna a łatwa metoda nabywania posiadłości własnej, niezmiernie w Polonji naszej popularna. Toteż spółki i towarzystwa budowlane istnieją, jak rzekłem — we wszystkich bodaj jako-tako zagospodarowanych osiedlach polskich w Ameryce.

Spółki te mają też swoje rozległe związki, należą do ogólnoamerykańskich koncernów odnośnych; ostatnio wiele ich otrzymało nawet rządowe gwarancje: są to tak zwane Federalne Spółki, czy Towarzystwa, w których można też składać pieniądze na rachunek oszczędnościowy, przyczem rząd federalny (stąd nazwa tych zrzeszeń) gwarantuje każdemu udziałowcowi pewność i bezpieczeństwo jego depozytów do wysokości $5,000.00: rzecz to niezmiernie ważna i korzystna. Kto ma więcej, może należeć do dwu, lub trzech takich federalnych Towarzystw, uzyskując zupełne swoich oszczędności zabezpieczenie — na wypadek przesileń ekonomicznych, których też nie brak w Ameryce, jak wszędzie... Właśnie ów ostatnio omówiony typ towarzystw oszczędnościowych został utworzony po niedawnej wielkiej a długotrwałej depresji finansowej, która całemu krajowi dała się fatalnie, we znaki, a wskutek której upadło też wiele banków, spółek pożyczkowo-budowlanych—i naszych także, przyczem Polacy niemało stracili pieniędzy. By na przyszłość ratować oszczędności ludzkie, rząd federalny umyślił wprowadzenie systemu tych swoich federalnych towarzystw oszczędnościowych i—kontrolując je ściśle, dał im rzeczoną wyżej gwarancję swoją, która na przyszłość wyklucza straty dla najliczniejszych depozytarjuszy—najmniej zamożnych.

Jednym z najdzielniejszych propagatorów spółek pożyczkowo budowlanych w Polonji Amerykańskiej był Albert Wachowski *(Patrz Przypiski)*, który rozpowszechnienie tych spółek wśród rodaków przyjął za cel najbardziej umiłowany życia całego: jego inicjatywie zawdzięcza powstanie swe zpewnością kilkadziesiąt przynajmniej spółek takich, istniejących w Chicago i okolicy, a całe dzielnice miasta tego i okolicznych osiedli rozrosły się dzięki spółkom, przez Wachowskiego zakładanym. Po Wachowskim pracował wydatnie w tejże spraw dziedzinie Jan Czekała, który był nawet prezesem Polsko-Amerykańskich Stowarzyszeń Pożyczkowo-Budowlanych na cały Stan Illinois.

Następnie wspomnieć wypada towarzystwa kupieckie i inne zawodowe zgrupowania: tych mamy stosunkowo niewiele, a powodem tego jest to, że wychodźcy polscy rekrutowali się przeważnie ze sfer rolniczo-wyrobniczych, zatem brak wśród nich

osobników, ukwalifikowanych do zawodów kupieckich, czy przemysłowych; razem z tem — nie brak nam i kupców i przemysłowców, choć—minorum gentium, a po wszystkich osadach mamy jednostki więcej przedsiębiorcze, które dorobiwszy się grosza w ciężkiej pracy wyrobniczej, pozakładali i zakładają — to składy żywnościowe, lub inne, to warsztaty jakieś, często zużytkowując korzystnie doświadczenia, nabyte już w tutejszym kraju. Składów wielkich w amerykańskim stylu—nie mamy właściwie, ale są nierzadko wcale spore, zwłaszcza po większych centrach Polonji. Z przemysłowych zakładów istnieje i prosperuje kilka browarów polskich — w Chicago, w Buffalo, kilka hut żelaznych, na mniejsze skale prowadzonych, kilka tkalni, n. p. we wschodniej Pennsylwanji i—to pewnie wszystko. Banków mamy niewiele, ale też są. W Chicago przez lat dwadzieścia zgórą działał pożytecznie tak zwany "Bank Polski", właściwa firma opiewała "Northwestern Savings Bank"; bank ten został utworzony przez więcej przedsiębiorczych polskich kupców i przemysłowców — pod przewodnictwem Jana Smulskiego, o którym piszemy więcej na innem miejscu tej książki; niestety—bank ten upadł przed kilkunastu laty, a upadek jego był jednym z poważniejszych wstrząsów i dotkliwszy zawodów dla rozległych kół Polonji. W Nanticoke, Pa., założył poważny bank "Miners' National Bank"—Emil Malinowski *(Patrz Przypiski)*, a we Filadelfji od lat szeregu istnieje "Rzepski Bank" założony w r. 1907 przez Tomasza Rzepskiego, do dziś zpowodzeniem przez synów założyciela prowadzony. W Bostonie prowadzi od lat interes bankowy "Hanover Trust Co." wydawca tamtejszego *"Kurjera Codziennego"*, E. H. Chmieliński. Wszystkie polskie banki, acz ni porównać się nie mogą z amerykańskiemi kolosami finansowemi, przecie Polonji służą pożytecznie i przydają jej uważania w środowiskach byznesowych—amerykańskich.

Na kilka zawodów próbowano zorganizować kupiectwo polskie w Stanach Zjedn. i—długo to nie szło. Brak uświadomienia społeczniczego, brak kwalifikacyj zawodowych — w poważniejszem rozumieniu rzeczy — to były—i są — główne trudności i przeszkody w doprowadzeniu do utworzenia kupieckiej organizacji na większą i na trwałą skalę. Od kilkunastu lat istnieje

wprawdzie Towarzystwo Polskich Kupców i Przemysłowców w Ameryce, z centralą w Detroit, ale działalność jego — mimo najlepszych, godnych ogólniejszego ocenienia i poparcia—wysiłków przewodnich jednostek—jest bardzo ograniczona, a Towarzystwo to poza siedzibą swą — na dalsze osady polskie wpływ posiada minimalny. Ostatnio próbują w niem przygotowywać się do uczestnictwa instytucji wzmiankowanej w naprzyszłych wymianach handlowych pomiędzy Polską a Stanami Zjedn. po drugiej Wojnie Światowej ... Nie bardzo możliwa wydaje nam się realizacja tej pięknej i uznania godnej myśli — wobec zasadniczego braku — powszechnego, silnego zorganizowania, a stąd i braku środków—funduszów, które dla ruszenia takch interesów są przecie niezbędne. W zakresie kupiectwa mamy kilkanaście kooperatyw po większych osiedlach, które wszystkie prosperują; mimo to ruch współdzielczy nie zdaje się postępować ni rozszerzać w Polonji; jakoś — zmysłu do tego nie wykazujemy: tak, jak w Polsce.

We wielu osiedlach polsko-amerykańskich istnieją Domy Narodowe. Są to instytucje społeczne, ideowe w założeniu, choć często prowadzone również w rodzaju spółek udziałowych, zazwyczaj niezgorzej prosperujących. Wiele ich powstało z częściowej opozycji względem miejscowych parafij, jako—że ludzie pragnęli mieć dom, salę, lokale, w których mogliby się schodzić, bawić, zwłaszcza ci, so schodzić się chcą nie koniecznie na gruncie parafjalnym, kościelnym: w takich więc Domach przytułek znajdują Towarzystwa, nie uznawane przez parafje, nie przyjęte przez nie, bo mamy i takie przecie; a czasem w parafji danej niema sali dość rozległej na obchody, przedstawienia i zabawy, zatem ludzie budują, lub kupują społem Dom Narodowy i w nim urządzają obchody, zabawy i t. p. Przy Domach tych istnieją też Kluby rozmaite, czasem mieszczą się w nich bibljoteczki, przeważnie niezbyt zasobne, raczej na popularnym utrzymywane poziomie; działają drużyny sportowe dla młodzieży i t. p. Domy te są dosyć liczne i popularne, a wiele ich jest prowadzonych bardzo porządnie; reprezentują one dobrze dane osiedle, czy dzielnicę miasta polską przed obcymi, a służą swoim pożytecznie; naogół Domy te nie są zbyt wielkie, ni bogate, zazwyczaj nie

odróżniają się wiele od reszty danej dzielnicy polskiej, czy osiedla.

W okresie lat kilku po pierwszej Wojnie Światowej, była Polonja Amerykańska widownią i terenem niebywałych iście zawodów — wyścigów o nasze dolary... Były to agitacje na rzecz, jak głoszono, odbudowania i zagospodarowania nowej Polski. Przybywali wtedy do Ameryki najrozmaitsi, coraz nowi, coraz więcej pomysłowi antreprenerzy rozlicznych planów i projektów, reprezentanci różnych interesów, przeważnie podobłocznych więc mocno niepewnych, a jak się później okazało, nieodmiennie złudnych i wyzyskowych. Agenci od przeróżnych spółek akcyjnych urządzali objazdy po osiedlach polskich, aranżowali zebrania masowe, a trafiając do wszystkich kół i sfer naszych, wszystkie na owe akcyjne przedsiębiorstwa naciągali—skutecznie: wszyscy wtedy ponieśliśmy duże straty, zyskując jedynie — rozczarowanie, rozgoryczenie, doświadczenie, aby w przyszłości — nie ufać i nie dowierzać... Lecz wtedy—wtedy jakże było nie wierzyć, kiedy przedstawiciele owych interesów trafiali do najlepszych i najświatlejszych w społeczności polsko-amerykańskiej, więc ich nawet umieli przekonać i—nabrać, ich również uzyskiwali poparcie! . . . Wieluż to księży naszych, wielu z inteligencji — grube wówczas potraciło sumy! Poszły nieraz zarobki i oszczędności wielu lat całego żywota znojnego! I jeszcze jak było nie wierzyć, skoro wszyscy tak pięknie, tak górnie mówili o patrjotyzmie, o miłości Ojczyzny, której — byle pomóc do odbudowy do zagospodarowania się sowicie, to opłaci się to w stokrotnych miarach! Ogłaszano więc odbudowę poniszczonych wojną miast polskich, budowano flotę polską, zakładano przerozmaite fabryki, przemysły, interesy, a wszystko — na akcje przystępne, wszystko na udziały: każdy prostaczek-chudziak mógł stać się współwłaścicielem tych okrętów, tych fabryk!... Ba, przecie znaleźli się tacy już oczywiści, rozmyślni oszuści, co sprzedawali —akcje—na odbudowę kościołów w Polsce, zburzonych we wojnie, jak gdyby kościoły, czy wogóle Kościół był—przedsiębiorstwem akcyjnem... Ludzie naciągać się dawali łatwo, a Polonja Amerykańska straciła w tych czasach około trzydzieści miljonów dolarów, jeśli nie więcej... Niektóre z tych akcyjnych Towa-

rzystw miały nawet niezłe myśli podstawowe i przewodnie, niektóre zrazu rozwinęły się wcale nieźle, że wzmiankujemy takie, jak "Stowarzyszenie Mechaników", jak "Palatine Commercial Corp.", albo "Ursus Motor Co.", iż tylko największe wzmiankujemy; przecie zawsze wkońcu okazały się braki—czy ukwalifikowania kierowników (to najczęściej), czy nierzetelne nawet posunięcia (też nierzadko), czy wreszcie nieznajomość stosunków w Polsce (notoryczna), dość — że wszystkie te instytucje poupadały: nie utrzymała się — ani jedna. Niektóre były wprost humbugierskiemi szopkami: dla przykładu wymienimy osławioną w swoim czasie "Nową Warszawę", albo różne spółki nawigacyjne, co flotę polską handlową budować miały; jeszcze inne— były prowadzone w całem tych słów znaczeniu nieudolnie, marnie, a rozrzutnie przez ignorantów i nieuczciwych organizatorów, którzy łatwo napływające tysiące i dziesiątki tysięcy akcyjnych pieniędzy rozrzucali na prawo i lewo po całej Europie . . .

Zrozumieć łatwo, że rzeczy takie mogły dziać się tylko w tak bardzo chaotycznych stosunkach, jakie panowały po pierwszej wojnie światowej — w całym świecie. Nie troszczyły się o te sprawy władze amerykańskie, które zajęte były trudną normalizacją własnych stosunków powojennych; nie miał możności zapewne, ani zrazu nie umiał — ująć tych rzeczy i ludzi w karby kontroli—nowy rząd w Polsce, z masą trudności we własnym kraju zmagający się; najwięcej winy ponosi pewnie każdy—sam z tych, co wtedy stracili, bo dał się wziąć na obietnice łatwych korzyści, bo łakomił się na duże zyski, zawsze niepewne . . . Spekulacje te i straty, w nich poniesione, dały fatalne rezultaty, a wpływy wywarły niepomyślne na długo, bo późniejsza reakcja owych doświadczeń była bardzo niekorzystna dla poważnych, rzetelnych poczynań polskich, czy polsko-amerykańskich w byznesowych dziedzinach; wpływy te i do dziś odczuwać się dają w powszechnej u nas niechęci do jakichkolwiek interesów, w nieufności i niedowierzaniu ogólnem, utrudniającem dotkliwie dobre, poważne inicjatywy handlowe, czy przemysłowe. Rozwój takich interesów w Polonji Amerykańskiej zahamowany jest — niestety—dotkliwie i trwale.

PRZYPISKI

KS. ANDRZEJ SPETZ, C. R.

Ks. Andrzej Spetz urodził się w r. 1858, w Kitchener, w Kanadzie; nauki pobierał w tamtejszem Kollegjum XX. Zmartwychwstańców, do których Zgromadzenia wstąpił w r. 1881. Pracował w Bułgarji; wyświęcony w Adrjanopolu, przebywał tam przez lat pięć. W roku 1890, został powołany na stanowisko wicerektora Kollegjum Polskiego w Rzymie, a w r. 1893 został przeniesiony do Ameryki, na stanowisko profesora w Kollegjum XX. Zmartwychwstańców p. w. Najśw. Panny Marji, w Kentucky. Po trzech latach przeniesiony do Chicago i zamianowany prokuratorem wszystkich chicagoskich misyj XX. Zmartwychwstańców, na tem stanowisku pozostał właściwie do końca życia. W ostatnich latach Ks. A. Spetz sprawował obowiązki przełożonego Domu XX. Zmartwychwstańców w St. Mary's, Ky., gdzie zmarł w r. 1918.

Był Ks. Spetz jednym z najwybitniejszych naszych społecznych działaczy. Niewyczerpany w szlachetnej inicjatywie, niezmordowany w dobroczynnej działalności, wszędzie był pierwszy — gdzie szło o rzecz godziwą i pożyteczną, wszędzie służył ochotnie, o wszystko i za wszystkich się troskał, sam tylko dla siebie czasu nigdy nie miał, dla siebie nie potrzebował nigdy—niczego.

Szczególniejszem polem działalności Ks. Spetza było miłosierdzie i opieka nad sierotami i ubogimi; pod tym względem niemasz w Polonji zasłużeńszego od niego. Jego to staraniem powstawały ochronki, on założył Dom Sierot i Starców p. w. św. Józefa w Chicago i niezmordowaną swą pracą przyczynił się wiele do instytucji tej rozkwitu: słusznie nazywano go "Ojcem sierot i ubogich" i to jest jego najpiękniejszy i najzaszczytniejszy tytuł do trwałej pamięci. W obfitej w plony pracy wieloletniej—Ks. Andrzeja Spetza, jeden jest jeszcze rys, szczególnie sympatyczny; oto—choć nie Polak z urodzenia, jednak tak zżył się z nami, że nigdy inaczej nie mówił jak: "my Polacy", "nas—Polaków" itp. Daj Boże każdemu tak godnie pracować dla narodowości polskiej i tak ją zacnie reprezentować—jak czynił ten kapłan, co choć nie — *gente Polonus*, był naszym z ducha polskiego w całem tego słowa znaczeniu i dlatego go tu wśród naszych najzasłużeńszych zapisujemy.

EMIL MALINOWSKI

Emil Malinowski urodził się w 1860 r., w Malborgu, w Polsce. Z zawodu maszynista, wyjechał do Stanów Zjednoczonych w r. 1883. Osiedliwszy się w Nanticoke, Pa., pracował w Susquehanna Coal Company, lecz już w pięć lat założył własne przedsiębiorstwo, które z dużem powodzeniem prowadził. Zaangażowany na zarządcę wielkiego browaru, pozostawał na tem stanowisku do roku 1911, poczem założył własny browar pod nazwą "Franklin Brewing Co.", który doprowadził do świetnego rozwoju, prowadząc go przez lat 10.

W r. 1920 Malinowski zorganizował bank polski pod firmą "Miners' Trust Company" w Nanticoke, Pa. Jako prezes tego jedynego polskiego banku w Zagłębiu Węglowem, rozwinął go znakomicie. Brał żywy i czynny udział we wszystkich pracach o charakterze społecznym i narodowym. W czasie Wojny Światowej Malinowski zasłużył się pamiętnie na stanowisku przewodniczącego Komitetu Obywatelskiego: nie skąpił grosza na Armję Polską, formowaną w Ameryce, wspomagał hojnie sieroty polskie, wywiezione w czasie pierwszej Światowej Wojny ze Syberji do Japonji, wspierał cały szereg instytucyj do-

broczynnych i społecznych. W Unji Polskiej (Zarząd we Wilkes Barre, Pa.) przez lat szereg piastował stanowisko prezesa Zarządu. Zmarł w r. 1933, we Filadelfji; pochowany we Wilkes Barre, Pa.

ALBERT WACHOWSKI

Albert Wachowski w młodych latach przybył tu z Polski—z pod zaboru pruskiego. W początkach ciężko—jak wszyscy, pracował na życie, lecz stykając się z obconarodowcami, przejął od nich przedsiębiorczość, właściwą Amerykanom: stał się w tutejszej szkole życia—znakomicie uzdolnionym uczniem. Rychło wziął się Wachowski do stosowania widzianych u innych wzorów — w praktyce wśród swoich. Może i przykłady Czechów chicagoskich, zdawna doskonale zagospodarowanych, wywarły wpływ na Wachowskiego, dość, że pod działaniem tych wpływów i wzorów zabrał się do organizowania spółek budowlano-pożyczkowych wśród Polaków. W ciągu lat zorganizował ich sam —kilkadziesiąt — dosłownie, nadto stworzył parę innych instytucyj finansowych. W tej spraw dziedzinie działalność Alberta Wachowskiego była i jest dotąd u nas najzupełniej bez porównania i bez konkurencji; nikt z działaczy naszych, dawniejszych, czy nowszych, nie sięga ogromu prac tego niezmordowanego na omawianem polu działacza. O tych pracach jego, o jego zasługach —mówią dziesiątki spółek, przy których pomocy pobudowały się w Chicago i okolicy i w innych miastach — całe dzielnice, całe miasteczka polskie: z tej racji można Wachowskiego nazwać słusznie—budowniczym domków, skromnych, ale własnych — setek tysięcy Polaków-Amerykanów.

JAN CZEKAŁA

Jan Czekała urodził się w r. 1861, w miejscowości Rosko, we Wielkiem Księstwie Poznańskiem. W r. 1868 przybył do Ameryki; rodzice jego zrazu mieszkali w Dunkirk, N. Y., w r. 1872 przenieśli się do Chicago, gdzie Jan Czekała spędził już życie całe i gdzie zmarł w r. 1938. Jan Czekała był jednym z najpopularniejszych członków Zjednoczenia Pol. Rz. Katolickiego, dla którego założył kilka Towarzystw i w którego Zarządzie różne sprawował urzędy: za długoletnią pracę obywatelską i organizacyjną Zjednoczenie odznaczyło Czekałę Krzyżem Zasługi. W życiu obywatelskiem starał się Czekała pracować pożytecznie dla rodaków i dla społeczeństwa całego. Piastował czas jakiś stanowisko radnego miasta Chicago, na którem zyskał sobie wszystkich uczynnością i sumiennością, a przyczynił się wydatnie do wysunięcia wielu Polaków na wyższe stanowiska. Był gorliwym pracownikiem polskich współdzielni pożyczkowo-budowlanych, dla których znaczne położył zasługi, dzięki czemu obrano go prezesem organizacji Polsko-Amerykańskich Stowarzyszeń Pożyczkowo-Budowlanych w Stanie Illinois.

KORPORACJE, TWORZONE W POLONJI PO PIERWSZEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ:

"Stowarzyszenie Mechaników" — dla rozwoju przemysłu w Polsce; kapitał $3,000,000;

"Union Liberty Co."—export i import, bank we Warszawie; kapitał przeszło $2,000,000;

"Palatine Commercial Corp." — exploatacja kopalni, budowa automobilów; kapitał przeszło $2,000,000;

"Polish Navigation Corp." — żegluga morska, budowa okrętów—kapitał około $1,000,000;

"Polish-American Navigation Co." — żegluga morska, budowa okrętów, kapitał $2,500,000;

"Nowa Warszawa" — budowa miast (!) w Polsce—kapitał zebrany — około pół miljona dolarów;

"Ursus Motor Company" — budowa automobilów ciężarowych — kapitał $6,000,000;

"Polus" — wytwórnia obuwia — kapitał $500,000;

"Polonia Soap Co."—fabryka mydła—kapitał $500,000;

to tylko największe z tych spółek akcyjnych; ogółem było ich pewnie około pół setki! Samych żeglugowych spółek było siedm, exportowych przedsiębiorstw miało być ze dwadzieścia, budowlanych—kilkanaście itd., itd.

DLACZEGO POUPADAŁY POLSKIE KORPORACJE

Dla poparcia i poszerzenia wywodów, skreślonych w głównej osnowie Rozdziału IXgo, podaję, co pisał o tem w swoim czasie "Dziennik Chicagoski": "Dużo się o tem gada i pisze, że budować nie umiemy, lub nie chcemy. Pobudzeni przecie motywami politycznemi, odnową samodzielnego bytu Ojczyzny naszej, zaczęliśmy próbować — tę samodzielność stosować w byznesie. Polacy-Amerykanie, którym się wydało, iż nauczyliśmy się tak wiele w tym kraju, zabraliśmy się do formowania korporacyj najprzeróżniejszych celów, widoków, planów i zamiarów. Namnożyło się tego "do licha i jeszcze trochę", a wszystkie owe poczynania, jako że pieniędzy u nas mało, chorowały na chroniczny brak grosza. Rzucono się zatem do sprzedawania akcyj i udziałów, angażując najszersze koła rodaków w spekulacje i kombinacje przemysłowe. Większość ich szła dobrze, póki akcje sprzedawano, a pieniądz z nich napływał, lecz gdy nastały czasy gorsze i ustał napływ pieniędzy z akcyjnych źródeł, zaczęto się oglądać za jakimś z owych pieniędzy, od paru lat wpłacanych, zyskiem: ludziom przypomniało się, że przecie ktoś dał tam tyle, ówdzie wpłacił tyle, więc jęto się dopytywać, co z tego mieć można, zaczęto się dobijać o zyski, procenty, dywidendy — lub zwroty... Tu się zaczęły awantury, kłopoty, katastrofy... Poczęły walić się jedna za drugą budowle, z kart klecone, i oto mamy już tych smutnych rozwalisk i ruin pewnie kilkadziesiąt. Co było tego powodem?

"Przedewszystkiem — bardzo znaczna liczba tych korporacyj była założona—źle, a prowadzona—jeszcze gorzej. Do zakładania ich brali się ludzie najczęściej kompletnie niekompetentni, pojęcia nie mający o danych interesach. Były wypadki, w których właściciel pralni brał się do budowania wagonów kolejowych, a robotnik z garbarni organizować chciał w Polsce przemysł automobilowy... Brali się ludzie — nie do swego, brali się głupio, niedołężnie, skutkiem tego tracili na każdym kroku, a dawali się naciągać rozmaitym, czyhającym na takich naiwnych "łapichłopom": uczyli się w tej szkole, prawda, ale za tę naukę płacili nadmiernie drogo — i oni sami i całe społeczeństwo. Żeby to się byli wzięli do rzeczy, jak należy, żeby krawcy złączyli się byli n.p. w kooperatywę krawiecką—w Polsce, czy dla Polski, a szewcy w szewską, toby szans rozwoju i utrzymania się miały takie przedsiębiorstwa o sto procent więcej; a tak—"gadał ciemny o kolorach" i "niósł ślepy kulawego": nie dziw, że legła w rowie cała kompanja podobnych interesów i ich organizatorów.

"Dalej — korporacje, przez niewłaściwych, niekompetentnych ludzi — kiepsko założone, zbyt długo też były kiepsko prowadzone. Już to my wogóle do tego zmysłu wiele nie mamy! Więc — szczędzono we wielu razach na rzeczy niezbędne, ale nie żałowano na inne — mniej potrzebne, a już najmniej żałowano sobie — na pensje! Znamy przykłady, w których ludzie, co przed utworzeniem korporacyj nie mieli całych inexprimabli, potem wnet posiadali majątki, rezydencje, automobile, najczęściej ostrożnie zaintabulowane, gdy ich korporacje — dawno upadły, lub zostały najpoważniej zachwiane. W innych razach korporacje, które ledwie — ledwie wegetowały, płaciły swoim organizatorom i urzędnikom pensje, idące w dziesiątki tysięcy dolarów, toteż ci panowie — nie wiedzieli, na co wyrzucać pieniądze — tu i w Europie; za to akcjonarjusze często ich do dziś wspominają...

Zdarzało się także, iż korporacje — na sposoby się brały ciekawe, wprost nielegalne, ażeby podtrzymać do czasu pozory powodzenia; n. p. znamy takie, które — choć bynajmniej na mocnych nogach nie stały, gdy akcjonarjusze już zbyt natarczywie domagali się jakichś zysków, ażeby ich uciszyć, ogłaszały "wypłatę dywidendy"... Dywidendy wypłata, gdy akcje sprzedawało się jeszcze! To było nielegalne, a jednak robiło się i to, choć z tej "dywidendy" akcjonarjusze nie utyli, bo im ją najczęściej prędzej jeszcze odbierano: jeszcze na tem samem posiedzeniu, na którem ją płacono, wytłumaczono jednemu i drugiemu, jak to świetnie interes rozwija się, skoro już płaci—więc sprzedano im — jeszcze więcej akcyj!... W rezultacie akcjonarjusze odchodzili nie ze zyskiem, ale jeszcze winni zostawali... Wypadków tego rodzaju i sztuczek—było sporo...

Takie organizowanie, takie prowadzenie polskich korporacyj miało stać się główną ich niepowodzeń przyczyną; niekompetencja z jednej, a nieuczciwość z drugiej strony — podkopały i obaliły te przedsiębiorstwa, powodując miljonowe straty dla całej Polonji, oraz osłabiając jej twórczą inicjatywę byznesową w daleką przyszłość.

X.

UDZIAŁ POLAKÓW AMERYKAŃSKICH W RZĄDZIE KRAJOWYM, ORAZ W SAMORZĄDACH STANOWYCH I LOKALNYCH.

W miarę postępu zorganizowania się polskiego uwidocznia się coraz lepiej i udział Obywateli amerykańskich polskiego pochodzenia we wszystkich działach administracji krajowej, stanowej i lokalnej. Szło to długo — bardzo zwolna, a przybiera na tempie—dopiero w ostatnich latach—powiedzmy dwudziestu, w których Polak na wybitnym urzędzie nie jest tu już rzadkością, bo dawniej bywał wyjątkiem. Że tak się działo—to wina znów nasza własna przedewszystkiem. Przybysze z Polski bardzo długo nie troszczyli się o pozyskanie obywatelstwa, którego dostojeństwo, tak wysoko cenione przez Amerykanów, było naszym niezrozumiałe, więc i nie cenione. Pamiętamy czasy, w których trzeba tu było Polaków nakłaniać usilnie, wprost przemocą ciągnąć do starania się o "papiery obywatelskie", których uzyskanie wówczas było zgoła nietrudne; do dziś jeszcze jest wielu, zwłaszcza starszych, po naszych osiedlach, którzy tych papierów nie posiadają, bo nie postarawszy się o nie wtedy, kiedy było zupełnie łatwo je dostać, nie mogą dziś sprostać trudnościom, obecnie na tym punkcie stawianym. Taki stan rzeczy trwał długo, a odbijał się bardzo niekorzystnie na opinji, na szacowaniu Polaków tutejszych przez Amerykanów: uważano naszych za żywioł mniej wartościowy, pozbawiony praw i przywilejów obywatelskich i traktowano ich odpowiednio. Stąd w minionym wieku wyjątkowo tylko zdarzało się, iż Polak, obywatel polskiego pochodzenia, wybierany był na jakieś wybitniejsze stanowisko; czasem bywał na nie mianowany; tak n. p. stanowiska we Waszyngtonie (raczej dalszorzędne) mieli Jan Tyssowski, Dr. Henryk Kałusowski, Pułkownik Smoliński—i inni. Jedynym przykładem popularności i czci obywatelskiej był w r. 1891 wybór Piotra Kiołbassy na sta-

nowisko skarbnika miasta Chicago, przyczem za obranego ogół obywateli kaucję złożył kilko-miljonową, bo Kiołbassa, człowiek niezamożny, wymaganej po temu sumy nie mógłby był dostarczyć... Kiołbassa dał się poznać jeszcze przedtem—jako poseł do Legislatury Stanu Illinois i wzorowy urzędnik; razem z nim posłował też do Legislatury w tym samym Stanie—W. Mierosławski, krewniak Ludwika Mierosławskiego, wodza ruchu powstańczego w Polsce—z r. 1846.

Długo potem nie znajdujemy nazwisk polskich—nigdzie na wybitniejszych stanowiskach "politycznych" — jak się to w Polonji i wogóle w Ameryce powiada. Dopiero w dziewięćdziesiątych latach zeszłego wieku i później mamy znowu Polaków na urzędach—po większych tylko i największych osiedlach polskich, głównie więc w Chicago, gdzie radnymi miejskimi byli Stanisław Kunz, weteran polsko-amerykańskiej "polityki", Jan Sherman (Smarzewski) i August Kowalski; S. Kunz posłował również do Legislatury, a później był senatorem stanowym w Illinois; takimże senatorem stanowym na Wisconsin był Michał Kruszka, wydawca "Kurjera Polskiego" w Milwaukee.

Z początkiem bieżącego stulecia poprawiają się znacznie nasze udziały i szanse w administracjach miejskich przedewszystkiem, oraz powiatowych; jeszcze wciąż na stanowe i krajowe urzędy dostać się nie możemy, wprost niesięgalne zdają się nam one, a przyczyną tego słabość głosów polskich, brak obywateli polskiego pochodzenia, nie tylko do głosowania uprawnionych, ale dostatecznie uświadomionych, aby dobijać się uznania i udziału w zarządzie spraw ogólno-amerykańskich. Po większych miastach polskich mamy już coraz częściej radnych miejskich, po Stanach, w których więcej mieszka Polaków, mamy posłów do Legislatur stanowych, ale są to urzędy choć ważne, raczej pomniejsze, o znaczeniu i wpływach ograniczonych i lokalnych.

Nareszcie zrozumiano, że trudno jest forsować nas na stanowiska wybitniejsze — bez dostatecznego oparcia, bez tła — w żywiole własnym, bez obywateli i głosów polskiego pochodzenia, a traktując sprawę racjonalnie, zabrano się żywo do agitacji celem upowszechnienia wśród mas immigrantów polskich zrozumienia ważności i wartości obywatelstwa amerykańskiego i za-

częto intensywnie nakłaniać Polaków do starania się o papiery obywatelskie. Zasłużył się w tym względzie poważnie młody dziennikarz polsko-amerykański, Szczepan Kolanowski, który, widząc kłopoty rodaków w odpowiadaniu na pytania przy egzaminach obywatelskich, wpadł na pomysł urządzania "szkół obywatelskich", w których uczył kandydatów, werbowanych w towarzystwach, parafjach, dzielnicach miasta Chicago, jak się wysłowić, jak odpowiadać na pytania, zadawane w angielskim języku; i języka tego przytem uczył przystępnie, objaśniał nadto zasady demokratyczne, zawarte w Konstytucji Stanów Zjedn. Pomysł okazał się znakomitym: wnet w Chicago namnożyło się szkół takich, rychło powstawać zaczęły i w innych miastach i osiedlach polskich, a rezultatem tej akcji było wnet prowadzenie całych gromad polskich kandydatów do obywatelstwa — po papiery i do przysięgi, przy ich otrzymaniu składanej: zpewnością dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy przybyło nam wówczas obywateli amerykańskich polskiego pochodzenia, a zasługa w tym względzie Kolanowskiego—jest nie do przeoczenia, ni przepomnienia.

Po tem i skutkiem tego podniosła się wnet wydatnie liczba głosów polskich we wszystkich Stanach i miastach o większym ludności naszej procencie; rychło też wysuwać się zaczęli kandydaci polscy coraz lepsi, coraz poważniejsi—na coraz ważniejsze stanowiska z wyboru wolnego, jednocześnie zaś wyrabiać się poczęła i opinja korzystniejsza o sile głosu polskiego, coraz wzrastającej, o solidności polskiego żywiołu i wartościowości Polaków-Amerykanów dla Kraju i dla Stanów poszczególnych.

Z początkiem wieku najwybitniejszym z Polaków "w polityce" był Jan Smulski, zrazu radny miasta, później jego skarbnik, a wreszcie skarbnik Stanu Illinois; cieszył się on bardzo dużem wzięciem i powagą u swoich i obcych—i dosyć ważną grał rolę w sprawach samorządu chicagoskiego i stanowego (w Illinois). Obok niego w latach dwudziestych wysunął się na czoło sędzia Edward Jarecki, do dziś piastujący stanowisko sędziego powiatowego; różne stanowiska, z wyboru i ze zamianowania, poważne i wybitne, piastowali chicagowianie: Antoni Czarnecki, dziennikarz amerykański, Juljusz Śmietanka, Nikodem Piotrowski i kilku innych. W późniejszych jeszcze latach wyróżnił się

Mieczysław Szymczak, który był kontrolerem m. Chicago, a gdy ówczesny jego burmistrz, A. Cermak, zginął nagle, w zamachu, urządzonym na Prezydenta Roosevelta (r. 1933), Szymczak—na podstawie statutu miejskiego—został "acting mayor" miasta (zastępcą majora, czyli burmistrza) i był nim przez czas dłuższy, poczem został zamianowany przez Prezydenta członkiem zarządu Banku Rezerw Federalnych, stanowisko—zapewne najwyższe ze wszystkich, dotąd piastowanych przez Polaków w tym Kraju. *(Patrz Przypiski)*

Na miejscu będzie wspomnieć niemało ważną rolę, jaką odegrali obywatele polskiego pochodzenia w pamiętnej, przełomowej dobie wyboru na urząd Prezydenta Woodrowa Wilsona w roku 1912. Kandydatura Wilsona zrazu nie była popularną wśród Polaków-Amerykanów — dlatego, że Wilson wyraził się niekorzystnie o Polakach w najważniejszem dziele swem "History of the American Nation" (Tom V., Str. 212). Wybitny polski lider po stronie Partji Demokratycznej, a ta Partja wysunęła była kandydaturę Wilsona, adwokat Nikodem Piotrowski, udał się wtedy osobiście do Wilsona, przedstawił mu wyłaniające się trudności w pozyskaniu dlań głosów polskich i uzyskał od niego rzecz niezmiernie wartościową, przynoszącą prawdziwy zaszczyt wielkiemu Prezydentowi, a dającą Polakom kompletną satysfakcję: oto Wilson ogłosił w Prasie całego Kraju oświadczenie, iż nie miał wcale zamiaru obrazić Polaków, a wyrażenie się, użyte we wzmiankowanej książce, odnosić się miało do mniej wartościowych żywiołów immigracyjnych, które znajdzie się w każdym narodzie i społeczeństwie, lecz bynajmniej nie może być odnoszone do Narodu Polskiego, ni też ujmy mu nie powinno przynosić. Oświadczenie to zostało przyjęte, a po elekcji ogólnie pisano, gdy Wilson przeszedł nieznaczną tylko większością, iż głosy polskie były prawdopodobnie tym "językiem u wagi", który przechylił się na stronę Wilsona i zadecydował o jego wyborze. Odtąd Wilson był zawsze szczerze zobowiązany i oddany Polakom. Wiadomo nam, iż po wyborze, gdy — zwyczajem amerykańskim — zwycięzcy rozdzielali stanowiska i urzędy, zapytywano i przewodnich Polaków, coby otrzymać pragnęli w uznaniu za dane Wilsonowi poparcie; wtedy komitet polski, z Piotrowskim na czele, oświadczył Wil-

sonowi, jako że to już zanosiło się na wojnę światową w Europie, a po niej odbudowy Polski spodziewano się pewnie, że—"Polacy niczego nie pragną, niczego nie chcemy dla siebie, tylko prosimy, aby—gdy pora nadejdzie odpowiednia, Prezydent — pamiętał o Polsce, o Starym Kraju Polaków Amerykańskich." Wilson przyrzekł i słowa dotrzymał—jak wiadomo. Odtąd stale znosił się z Polakami w sprawie Polski, poznał gruntownie tę sprawę naszą, poszukiwał co do niej porad i pouczeń u tutejszych Polaków wybitnych, wreszcie zrobił z Polski wzór — przykład pojmowania idealnego na przyszłość zasady samo-stanowienia o sobie Narodu i Kraju. Pośród streszczonych celów wojny światowej i warunków jej zakończenia W. Wilson Sprawę Polski stawił jako swój najszczęśliwszy, jak utrzymywał, Punkt XIII. To była wyłącznie Polaków Amerykańskich zasługa, wyraźnie zaznaczona w sprawie odbudowy Państwa Polskiego, stwierdzona i zapisana —prawdziwie historycznie.

Po pierwszej Wojnie Światowej jeszcze żywiej i ważniej występują Polacy-Amerykanie w stosunkach krajowej polityki, jednocześnie na urzędach stanowych, powiatowych i miejskich—nazwisk polskich przybywa nieustannie. Stanowiska sędziowskie—długo były nam niesięgalne; teraz jednak mamy już wcale sporo rodaków na niższych i wyższych urzędach sędziowskich — zwłaszcza po większych miastach polsko-amerykańskich, jak w Chicago, gdzie od dość dawna mamy sędziów—dziś pewnie kilkunastu, w Detroit, w Milwaukee, w Pittsburghu, we Filadelfji, w Jersey City, w Nowym Yorku i w innych osiedlach. Również mandaty do Kongresu, najwyższego ciała prawodawczego Stanów Zjedn. były nam trudne do zdobycia; wreszcie pierwszym posłem do Kongresu, Izby Posłów, był milwaucki adwokat, Jan Kleczka (1918-1924), obecnie sędzia okręgowy w Milwaukee; po nim był posłem do Kongresu ze Stanu Waszyngton Marjan Antoni Zajączek (1933-1937); w ostatnich latach, które tu omówić możemy, posiadamy już dziesięciu Posłów do Kongresu, a mianowicie ze Stanów Illinois, Wisconsin, Michigan, Connecticut i New York, czyli mniej więcej z okolic, najliczniej zamieszkanych przez ludność polską. Zaznaczyć należy z uznaniem, że w okresie drugiej Wojny Światowej polscy Posłowie do Kongresu skutecznie i

godnie występują z rzecznictwem w sprawach, dotączących Polski, pozyskując dla niej powinną uwagę w kołach waszyngtońskich i ogólno krajowych. *(Patrz Przypiski)*

Do Senatu Stanów Zjedn. dotychczas nie zdołała Polonja wprowadzić swego przedstawiciela . . .

Wspomnieć też warto, że w "polityce" naszej udział nie do przeoczenia posiadają niewiasty i nierzadko piastują stanowiska, tak z wyboru, jak ze zamianowania; dla przykładu notujemy, że w Scranton, Pa., była niedawno asesorem miejskim p. Matylda Żurowska, później obrana skarbnikiem miasta, a w Chicago komisarzem służby cywilnej była przez lat szereg Emilja Napieralska, długoletnia prezeska Związku Polek.

Pod względem partyjnym—rodacy nasi znajdują się mniej więcej równie licznie w obu głównych Partjach krajowych, to znaczy—w republikańskiej i w demokratycznej, z pewną przewagą na rzecz tej drugiej, która uchodzi za partję ludową, gdy pierwsza uważana jest za—raczej kapitalistyczną, choć dystynkcje takie żadnego—ściśle biorąc—nie mają uzasadnienia, bo w obu Partjach po równi są tak kapitaliści, jak masy ludowe; nie brak naszych również w Partji socjalistycznej, naogół nielicznej i raczej teoretyczne, nie istotne mającej znaczenie: wolność słowa, wolność przekonań, wolność zrzeszania się—w Stanach Zjedn. wyznawane są i wykonywane żywo i wiernie, przeto nie tylko socjaliści, ale nawet komuniści Partje tu swoje mieć mogą, jest ich jednak tak niewiele, że wpływu żadnego na tok spraw krajowych ni politycznych nie posiadają. *(Patrz Przypiski)*

Osobno uwag kilka poświęcić tu należy się specjalnemu typowi zorganizowania się polsko-amerykańskiego, dla celów udziału naszego w sprawach administracji miejscowej i krajowej — mianowicie tak zwanym Klubom Politycznym: Kluby te wyłoniły i rozmnożyły się w pierwszej ćwierci bieżącego wieku — ze wspomnianych poprzednio Szkół Obywatelstwa, których kierownicy, pragnąc utrzymać w zwartości trwalszej gromady uobywatelonych rodaków, chcąc wpływać na nich i kierować nimi w sprawach i kampanjach politycznych, organizowali owe Kluby, które szybko rozpowszechniły się po całej Polonji. Dziś mamy je we wszystkich chyba osiedlach polsko-amerykańskich: często one

— co prawda — niewielkie, niewiele też znaczą, ale nie brak, zwłaszcza po ważniejszych skupiskach naszych i wielkich, wpływowych organizacyj politycznych, grających przewodnie role w danych osiedlach i mających niezaprzeczone wpływy—zarówno na głosy polskie, jak na stosunki polityczne odnośnych miast, a nawet Stanów.

Polonja Amerykańska dojrzewa pod każdym względem, a więc zyskuje na znaczeniu i w omawianej tu spraw dziedzinie, stąd nasze Kluby polityczne, o ile tylko postępują—w myśl swoich nieodmiennie szlachetnych i słusznych założeń, o ile nie służą wyłącznie ambitnym jednostkom, bo i to bywa, a propagują, wypracowują ogólno-polskie, obywatelskie pożytki i korzyści, zasługują ze wszech miar na słowa pochwały i poparcie jak najpowszechniejsze. Podobnie, jak są inno-plemiennych obywateli Kluby takie liczne i wpływowe, podobnież i polskie pożądane są bardzo, gdyż stanowić mogą doniosły czynnik upowszechniania uświadomień obywatelskich wśród naszych rodaków, a pozyskują im uznanie i uwagę obcych. Polacy idą naprzód, Polonja Amerykańska pnie się wgórę—może tempo tego postępu nie jest zbyt pospieszne, ale—to nie szkodzi, zato ten postęp jest gruntowniejszy i tem mocniejszy: Polacy-Amerykanie, albo jak to tu się lepiej powiada, Amerykanie polskiego pochodzenia, zajmują statecznie należne im pozycje i stanowiska, a że nieodmiennie sprawują swe urzędy porządnie, rzetelnie, zdolnie i lojalnie—przeto przysparzają dobrze zarobionej chwały dla Imienia Polskiego w Ameryce. *(Patrz Przypiski)*

PRZYPISKI

MICHAŁ BŁEŃSKI

Urodzony w r. 1862, w Polsce; w 18-tym roku życia przybył do Ameryki; pracował zrazu w różnych zawodach; za czasów Prezydenta Clevelanda otrzymał zamianowanie na stanowisko urzędnicze (mniej ważne) we Waszyngtonie; tam studjował wieczorami prawo, które ukończył w r. 1899. Wróciwszy do Wisconsin, służył w Milicji Stanowej, w pamiętnej "Gwardji imienia Kościuszki"; później był sędzią miejskim w Milwaukee. Brał żywy udział w pracach naszych Organizacyj, a w Związku Nar. Polskim piastował urząd Cenzora przez lat kilka. Zmarł w r. 1930.

ROBERT MOSZCZYŃSKI (MOSCHZISKER)

Pochodzenia polskiego, do którego się przyznawał, choć już po polsku nie umiał. Urodzony w r. 1870, we Filadelfji; zmarł tamże w r. 1939. Wybitny prawnik, grał ważną rolę w polityce m. Filadelfji i Stanu Pennsylwanja. Mianowany i obrany na rozmaite urzędy, był naprzód sędzia Sądu Kryminalnego, a następnie członkiem, wreszcie Przewodniczącym Sędzią Najwyższego Trybunału Stanowego. Brał udział w sprawach polskich—w okresie pierwszej Wojny Światowej, zaco otrzymał odznaczenie od rządu Polski Odnowionej.

JAN KLECZKA

Urodzony w 1885 r., w Milwaukee; studjował prawo na Uniwersytecie "Marquette"; piastował różne urzędy stanowe; w r. 1918 obrany Posłem do Kongresu służył w nim przez dwie kadencje; obecnie jest Sędzią Okręgowym w Milwaukee.

EDMUND JARECKI

Urodzony w Poznaniu, w r. 1880; w dzieciństwie przybył do Stanów Zj.; zrazu pracował w różnych zawodach, jednocześnie kształcił się w "Northwestern University", gdzie skończył prawo w r. 1908. Mianowany sędzia miejskim w Chicago, został w r. 1922 obrany Sędzia Powiatowym; kilkakrotnie obierany ponownie, zawiaduje sprawami wyborczemi powiatu Cook; na temże stanowisku pozostaje obecnie.

PIOTR SCHWABA

Adwokat chicagoski, był sędzia miejskim; w r. 1935 został obrany Sędzią Wyższego Trybunału, na którem stanowisku pozostaje obecnie.

FRANCISZEK PIEKARSKI

Urodzony w r. 1879, w Nanticoke, Pa., kształcił się na Wydziale Prawa Uniwersytetu Pennsylvania, który ukończył w r. 1905. Brał—zwłaszcza dawniej — czynny udział w życiu naszych Organizacyj i zasłużył się wydatnie dla Sprawy Polskiej. Piastuje stanowisko Sędziego Powiatowego w Pittsburghu.

MIECZYSŁAW SZYMCZAK

Urodzony w Chicago, w r. 1894 studjował, potem uczył ekonomji — na Uniwersytecie "De Paul", w Chicago. Obrany Kontrolerem m. Chicago — sprawował jego burmistrzowski zarząd po nagłym w r. 1933 zgonie burmistrza A. Cermaka. Przez Prez. Roosevelta mianowany członkiem Wydziału Rezerw Federalnych, na stanowisku tem pozostaje dotychczas.

PAWEŁ DRZYMALSKI

Urodzony w Polsce w r. 1878. W dziecięctwie przybył do Ameryki; własną ciężką od młodu pracą—dorobił się mienia i szacunku w społeczeństwie. Był wybitnym kupcem ze zawodu, a że zajmował się pilnie i ofiarnie sprawami dobroczynnemi, był powołany na rozmaite stanowiska obywatelskie. Pia-

stował też urzędy polityczne miejskie, był członkiem Rady Polonji i całego szeregu Organizacyj i instytucyj polsko-amerykańskich. Odznaczony orderem "Polonia Restituta" i papieskim Krzyżem Rycerskim św. Grzegorza. Zmarł w Chicago w r. 1944.

POLACY W KONGRESIE

W czasie opracowywania i wydania książki niniejszej—zasiadają w Kongresie Stanów Zjedn. następujący Amerykanie polskiego pochodzenia: z Illinois: Marcin Górski, Leonard Schuetz, Tomasz Gordon; z Michigan: Jerzy Sadowski, Jan Lesiński, Jan Dingell (Dzięgielewski); z Nowego Yorku—Józef Mruk; z Wisconsin—Tadeusz Wasielewski i Albin Okoński; z Connecticut—Bolesław Monkiewicz.

L. Schuetz zmarł w r. 1944; w miejsce jego wstąpił W. Link.

XI.

PRASA.

Rozdział ten powinien właściwie stanowić część następnego, który poświęcamy wszelkim przejawom kulturalnego dorobku polsko-amerykańskiego, ale ze względu na to, iż w dziejach i w społecznym rozwoju Polaków Amerykańskich Prasa odegrała rolę specjalną, ogromnie ważną, a w działalności swej—popularnego zakresu, ogólno-informacyjnego i przystępnie kształcącego, nie wyrobiła ważniejszych, wyłącznie artystycznych form,—dlatego podajemy Rozdział, poświęcony Prasie, osobno: posłuży on nam—jako przejście do następnego Rozdziału, omawiającego sprawy wyłącznie kulturalnego mienia i życia polsko-amerykańskiego.

W opracowaniu Rozdziału niniejszego korzystam szczególniej—zwłaszcza w streszczeniu rzeczy dawniejszych—najlepszego i najbardziej szczegółowego a najdalej wstecz ku początkom wychodźtwa sięgającego referatu Henryka Nagla, swego czasu redaktora "Dziennika Chicagoskiego", który opracował go na Wystawę Polską we Lwowie, w r. 1894, pod nazwą—"Dziennikarstwo Polskie w Ameryce".

Otóż początek Dziennikarstwa polskiego w Ameryce datuje się od roku 1863, kiedy to grono emigrantów, patrjotów polskich, założyło w Nowym Yorku Pismo p. t. *"Echo z Polski"*: służyć ono miało celom politycznym, głównie też sprawom Powstania Styczniowego było poświęcone. Pierwszy numer Pisma tego ukazał się dnia 1go czerwca, 1863 r.: z początku wychodziło ono trzy razy na miesiąc, później—co tydzień; po upadku Powstania, gdy duch narodowy, wszędzie przygnębiony, osłabł i w tutejszych nielicznych wtedy gromadkach naszych tułaczy, *"Echo z Polski"* upadło również.

W roku 1870, powstało we Washington, Mo., nowe Pismo polskie p. t. *"Orzeł Polski"*. Dwa wymienione Pisma są najstar-

szemi w dziennikarstwie polsko-amerykańskiem. Od tych początków do obecnych czasów powstało w Polonji Amerykańskiej ogółem kilkaset Pism, z których atoli dziś istnieje tylko około ośmdziesiąt.

Sięgając jednak samychże owych początków, wspomnieć należy, że jeszcze i przed wspomnianemi wyżej, najstarszemi gazetami *polskiemi*—próbowano wydawać w Ameryce Pismo *polskie —po angielsku:* mianowicie w latach 1842-3 Paweł Sobolewski, zasłużony działacz i tłumacz poezyj polskich na język angielski, założył wraz z Eustachym Wyszyńskim Pismo illustrowane p. t. *"Poland" (Patrz Przypiski)*, które wychodziło we formie "magazynu"—przez czas krótki; tylko parę jego zeszytów Spółka rzeczona wydać zdołała.*

Po upadku tego Pisma polskiego, po angielsku—mamy dopiero w dwadzieścia lat później wzmiankowane poprzednio Pisma z okresu Powstania Styczniowego, *"Echo z Polski"* i *"Orła Polskiego"*. H. Nagiel tak pisze o tych prawdziwej polskiej Prasy naszej początkach: "Pierwszem odruchowem dążeniem wychodźców było skupianie się. W gromadzie, pośród swoich czują się silniejsi i zdolniejsi do odparcia obcych, wrogich im wpływów. Skupiają się w osadach, parafjach, organizacjach i towarzystwach. Za łącznik służy im od lat najdawniejszych — gazeta. Ona przenosiła wiadomości z jednej osady do drugiej; ona ułatwiała organizację w towarzystwa; ona—podawała wiadomości ze Starego Kraju, za któremi emigranci, w pierwszych szczególniej latach pobytu na obczyźnie, tak mocno tęsknili; ona obznajmiała powoli, przygodnie, swych czytelników z życiem i warunkami miejscowemi obcego kraju; ona wreszcie była terenem starć i walk naszych stronnictw i partyj niekiedy bardzo ostrych. Toteż gdzie tylko utworzyła się większa kolonja, tam niedługo ukazała się i polska gazeta. Z jednej strony przyczyniały się do tego potrzeby rzeczywiste, a z drugiej ułatwiały to miejscowe warunki społeczne i polityczne. Na założenie wydawnictwa nie potrzeba tu było w owych czasach środków zbyt wielkich. Ludzi, o tyle o ile zdatnych, lub gotowych do podjęcia się pracy dziennikarskiej,

* Autor znalazł jeden zeszyt Pisma tego, w pewnym antykwarjacie, we Filadelfji i ten prawdopodobnie unikat—złożył w Muzeum Polonji w Chicago.

z pośród wykolejonej inteligencji, stanowiącej zawsze spory procent emigracji, znalazło się dosyć; toteż dało się zauważyć, że wśród tych dziennikarzy byli ludzie o niezwykle wysokiej inteligencji i wykształceniu, jak też byli i tacy, którzy ledwo czytać i pisać umieli, a pomimo tych braków do dziennikarstwa się brali. Czyż dziwić się można, że wobec takiego stanu, zwłaszcza wobec niesumienności wydawców-wyzyskiwaczy, którzy tylko o własne dobro troszczyli się—Pisma powstawały i . . . upadały. Z czasem sytuacja zaczęła się poprawiać, jeśli idzie o rozwój wydawnictw, gdy zaczęto wkładać w nie większy kapitał, który zaczął przynosić zyski wydawcom—z uszczerbkiem dla pracowników pióra."

"Charakter Prasy polsko-amerykańskiej był, jest i będzie prawdopodobnie do końca, przeważnie informacyjny, w najszerszym zakresie tego wyrazu. Jakkolwiek przez pierwszych lat 17 (od początków *"Orła Polskiego"*, w roku 1879) mieliśmy tylko same tygodniki, lub nawet Pisma rzadziej, niż co tydzień wychodzące, nie miały one bynajmniej charakteru tygodnika w europejskiem tego wyrazu znaczenia: były to raczej dzienniki—skondensowane do wydania tygodniowego; dodać jednak trzeba, że pomimo różnych nieraz braków i wad, były one i są poważnemi dźwigniami oświaty i umoralnienia."

Umyślnie podajemy to dłuższe przytoczenie z broszury H. Nagla, w którem nasz Czytelnik otrzymuje treściwe a trafne opisanie okoliczności, w jakich tu Pisma polskie powstawały dawniej, oraz ich pracowników, ich charakterystykę, mającą i dziś jeszcze zastosowanie—w dużej mierze.

Wzmiankowane na początku, *"Echo z Polski"*, (wydawca—Schriftgieser, redaktor—R. Jaworski) wychodziło jakieś dwa lata (1863-1865); w pięć lat później, t. j. w r. 1870, powstaje we Washington, Mo., tygodnik *"Orzeł Polski"*, który redagowany przez Ignacego Wendzińskiego *(Patrz Przypiski)*, egzystował również lat dwa, jednakże tuż po jego likwidacji — w tej samej miejscowości i drukarni poczyna wychodzić w r. 1872 *"Pielgrzym"*, wydawany i redagowany przez Jana Barzyńskiego. Odtąd mnożą się coraz żwawiej tygodniówki polskie po różnych większych osiedlach naszych; upadają niektóre — dziwnie szybko, lecz wraz powstają nowe; przejaw ten odnieść można do po-

spiesznych, dorywczych warunków powstawania i rozwijania się, lub podupadania osad polskich w Ameryce; n. p. w Missouri próbowano skupić Polaków na roli—ściągano ich tam, stąd powstają tam jedne z pierwszych Pisma polskie; wnet jednak osady owe podupadły, i Pisemka polskie wraz z niemi minęły, lub przeniosły się do nowych skupisk polskich, większych i trwalszych.

Najstarszem do dziś istniejącem, a stale wychodzącem Pismem polskiem w Ameryce—jest tygodnik *"Zgoda"*, organ urzędowy "Związku Narodowego Polskiego": wychodzi ono lat przeszło 60; najstarszym dziennikiem polskim jest *"Kurjer Polski"* w Milwaukee, założony przez Michała Kruszkę w r. 1888, wychodzi więc lat przeszło 55 (na dacie książki niniejszej).

Bardzo silnie rozwinęła się Prasa polska w Ameryce w czasie przed pierwszą Wojną Światową, a najżywiej i najpoważniej były redagowane Pisma nasze w tym kraju—w okresie trwania tejże Wojny. Niepoślednie siły znajdujemy podówczas w redakcjach naszych gazet, a wpływ Pism na tok spraw społecznych i narodowych polskich, wcale nie polsko-amerykańskich tylko, a polskich wogóle, był bardzo widoczny i ważny. *(Patrz Przypiski.)*

"Dziennik Chicagoski" był podówczas największem codziennem Pismem—polskiem, nie polsko-amerykańskiem, a dzienniki, jak *"Związkowy"*, *"Chicagoski"*, wywierały nie do przeoczenia wpływy na dyskusję, toczącą się podówczas o Sprawie Polskiej, o Polski prawach i roli w świecie, o jej przyszłych granicach i t. d. Mieliśmy w Polonji w czasie onym codziennych Pism ze dwadzieścia, a tygodniowych—zgórą sto . . . Dziś tego już o wiele—wiele mniej . . .

Po pierwszej Wojnie Światowej piśmiennictwo polsko-amerykańskie dość szybko podupadać zaczyna; pierwsze — padają dzienniki—tak, że w czasie, gdy książkę tę podaję do druku, istnieje w Polonji Amerykańskiej dzienników tylko dziewięć, a mianowicie: *"Kurjer Polski"*—istnieje 55 lat, *"Dziennik Chicagoski"* —istnieje 53 lat, *"Nowy Świat"*—46 lat (właściwie znacznie krócej, lecz liczy lata od tygodniowych gazet, z których się wyłonił, *"Wolnej Polski"* i *"Telegramu"*), *"Dziennik Polski"* — 39 lat, *"Nowiny Polskie"*—37 lat, *"Dziennik dla Wszystkich"*—36 lat, *"Dziennik Związkowy"*—36 lat, *"Kurjer Codzienny"* — 29 lat,

"Wiadomości Codzienne"—28 lat. Z tygodniowych Pism istniejących—wyliczam następujące, co najważniejsze i starsze: *"Ameryka-Echo"*, w Toledo, O.,—57 lat; *"Naród Polski"*, w Chicago, Ill., — 57 lat; *"Patrjota"*, we Filadelfji — 54 lat; *"Rolnik"*, w Stevens Point, Wis.,—52 lat; *"Jedność-Polonia"*, w Baltimore,—52 lat; *"Górnik"*, w Wilkes-Barre, Pa.,—50 lat; *"Robotnik"*, w Detroit, Mich.,—47 lat; *"Straż"*, w Scranton, Pa.,—47 lat; *"Sokół Polski"*, w Pittsburgh, Pa.,—47 lat; *"Goniec Polski"*, w So. Bend., Ind.,—47 lat; *"Głos Polek"*, w Chicago,—43 lat; *"Głos Narodu"*, w Jersey City, N. J.,—42 lat; *"Gwiazda"*, we Filadelfji —42 lat; *"Czas"*, w Brooklynie—38 lat; *"Przewodnik Katolicki"*, w New Britain, Conn.,—36 lat; *"Gwiazda Polarna"*, w Stevens Point, Wis.,35 lat; *"Kronika"*, w Newark, N. J.,—35 lat; *"Gazeta Polska"*, w Winnipeg, Manitoba, Kanada, — 34 lat; *"Nowa Anglja"*—28 lat; *"Gość Niedzielny"*, w Chicago,—27 lat; *"Pittsburczanin"*—24 lat; *"Weteran"*—22 lat. Młodszych, mniejszych i zupełnie małych niema potrzeby wzmiankować: i dawniej i dziś roli ważniejszej nie grały i nie grają, jakkolwiek w lokalnych okolicznościach niezaprzeczenie pożyteczne pełnią funkcje. *(Patrz Przypiski: Statystyka i Charakterystyka Prasy.)*

Dziennikarstwo polsko-amerykańskie cechuje wielka ruchliwość, ale i niepewność a zmienność zarazem. Największą bodaj tamą w rozwoju jego — to kwestja finansowa, żadne bowiem z Pism polskich nie jest do tyla uposażone materjalnie, aby okres wstępny ugruntowania się swego mogło przebyć łatwo i pomyślnie. W dawniejszych, prymitywniejszych czasach — podejmowano wydawanie gazet—w sposób najdosłowniej amatorski, bez jakichkolwiek wiadomości, czy kwalifikacyj po temu. Dlatego topiono tysiące dolarów w przedsiębiorstwach, najkompletniej nieproduktywnych, które wiedli na bezdroża aż do upadku—ograniczeni wydawcy, kiepscy zarządcy i jeszcze gorsi kierownicy redakcyjni, często rekrutowani z pośród ludzi bez jakiegokolwiek wykształcenia, lub co gorsza — bez jakichkolwiek zasad; egzemplarze "dziennikarzy" takich długo tu dawały się we znaki — zresztą nie u nas jednych; wszystkie wychodźcze grupy przechodziły to samo. Kiedy nareszcie zrozumiano i nauczono się, że chcąc prowadzić wydawnictwo gazety, nie można tego robić bez

poważniejszych kapitałów, oraz bez powierzenia go w ręce ludzi fachowych, wtedy zakładane Pisma otrzymywały zazwyczaj dogodniejsze nieco i pomyślniejsze początki i te gazety trwały dłużej, a służyły dobrze. Z tych najstarszych i najzasłużeńszych tygodniówek, które powstały w pierwszych latach lepiej zorganizowanego życia Polonji Amerykańskiej — wychodziły jeszcze przed laty kilkunastu w Chicago *"Gazeta Katolicka"* i *"Gazeta Polska"*, oraz *"Wiarus"* we Winonie, Minnesota, a z dzienników *"Polak w Ameryce"* w Buffalo, N. Y.

Wiele Pism polsko-amerykańskich jest redagowanych umiejętnie, te są cenionymi orędownikami naszych spraw narodowych i języka ojczystego, — są tu zarazem rzecznikami praw naszych, a propagatorami uświadomienia obywatelskiego i narodowego. Kierunki—dwa najwyraźniej uwidoczniają się w naszej Prasie: kierunek religijno-narodowy (*"Dziennik Chicagoski"*, *"Nowiny"* w Milwaukee, *"Naród Polski"* ... dla przykładu wzmiankuję) i kierunek narodowy (n. p. Pisma *"Związku Narodowego"*, *"Zgoda"* i *"Dziennik Związkowy"*); są jeszcze pisma, nie liczne—na szczęście, o kierunku niezdecydowanym, niewyraźne (jak *"Ameryka-Echo"*), socjalistyczny *"Robotnik"* i komunistyczna gazetka w Detroit. Wszystkie Pisma, bez względu na zasadniczy kierunek, utrzymane są w sposobie redagowania i przemawiania do czytelników—przystępnym, popularnym, ludowym.

Ogólną liczbę prenumeratorów Pism polskich—można, licząc skromnie, podać na około ćwierć miljona; liczba czytelnictwa całego—podług zwyczajnie branej normy—powinna być co najmniej trzy do pięciu razy większa. Gdy się te ostatnie rozważy szczegóły, a porówna się je z przypuszczalnie bliską rzeczywistości liczbą Polonji amerykańskiej—przeszło 4,000,000, dojdziemy do wniosku, iż mniej-więcej jedna czwarta tylko część—czyta po polsku: rezultat to zgoła nie pocieszający. Ponieważ znaczna bardzo część Polonji, pokolenie młode, tu zrodzone i wychowane, czyta przeważnie gazety angielskie, więc gdy tych liczbę przyjmiemy również na jakiś miljon, to odliczając nieletnich, — dojdziemy do rezultatu, że jeszcze zgórą miljon naszych nie czyta wcale—ani polskich, ani angielskich gazet: obserwacja—bynajmniej nie chwalebna.

Wielkim brakiem Prasy Polskiej zdawna i stale odczuwać się dającym był i jest brak odpowiednich sił pracowniczych—redakcyjnych: zwykle garnęły się do tutejszego dziennikarstwa jednostki niepowołane, niestałe, a nawet takie, których przeszłość powinna je wykluczać od zajmowania stanowisk wybitnych, przewodnich, jakiemi są w uporządkowanych normalnie społeczeństwach posterunki dziennikarskie. Młoda społeczność polsko-amerykańska, niewyrobiona i niezbyt krytyczna, tolerowała wiele w tym względzie ku swej własnej szkodzie i ujmie. Amerykańska wolność nadmierna dawała tu ludziom, nieraz wprost bez czci i wiary, bezkarność grasowania, z drugiej zaś strony nagromadzenie we wychodźczych ciężkich warunkach—ludzi prostych, o poziomie umysłowym niskim, powodowało nieumiejętność orjentowania się w tem, co uchodzi, a co nie, co godziwe, co niegodne —słowem — powodowało brak najprymitywniejszego choćby kryterjum opinji publicznej.

Dziś już lepiej bywa pod tym względem, lecz dawne lata pozostawiały ogromnie wiele do życzenia. Ale przetarło się to, przerobiło, przemocowało—i przeszło. Nie chcemy o tem pisać zbyt szczegółowo, bo ostatecznie za potrzebne nie uważam tych szczegółów, lepiej więc ogólnie zaznaczam to—co było, a nie jest.

Należałoby jeszcze zaznaczyć, że są gazety polsko-amerykańskie dość wojownicze. Tak. Różnice sposobów myślenia bywają w nich dość wyraźnie, dość silnie uwydatniane, więc trudno —zwłaszcza u nas—bez walki się obyć; zresztą walka—to też przecie życie, to sama energja życia; bez walki—sen, gnuśność. Tylko niechby to była walka zaszczytna, polemika godziwa — kształcąca, nie osobiste kalanie się wzajemne i napaści i rozbój czci prywatnej! A właśnie tego bywało tu dużo i to była ta bardzo zła, a niepiękna strona polsko-amerykańskiej Prasy. Dziś— i pod tym względem jest już o wiele lepiej i poważniej.

Zaradą na wszelkie niedomagania polsko-amerykańskiej Prasy byłoby zorganizowanie się. Projekty i próby takiego zorganizowania od dość długiego już czasu pokutują w Polonji, dotychczas jednak nie dały się przeprowadzić w pełni dla wielu— wielu przyczyn, z których najważniejszą—to, że prawdziwi, poważni dziennikarze — nie wszyscy chcą garnąć się do klubów,

"syndykatów", towarzystw, zbierających, przyjmujących często ludzi, nic z Prasą rzeczywiście nie mających wspólnego. Gdyby Prasa polska w Ameryce była należycie zorganizowana, gdyby posiadała poważne stowarzyszenie, koncentrujące i wyrównujące jej poglądy, dające im pewien, zgodny wyraz, byłoby to pożyteczne wysoce, jest więc wskazane ze wszech miar — dla społecznego dobra Polonji. Obecnie istnieją jedno czy dwa—dobrze nie wiadomo, bo coraz to się dzielą—to znowu się łączą, Towarzystwa Dziennikarzy i Wydawców; nie skupiają one ani wszystkich wydawców, ani wszystkich dziennikarzy, dla profesji znaczą nie wiele, a dla spraw społeczno narodowych — mniej jeszcze. A przecie towarzystwa dziennikarzy stały się wszędzie główną dźwignią spraw Prasy. Mają je wszystkie narody i społeczeństwa, dlaczegóż więc—ani rusz — nie mogą takiego—poważnego zrzeszenia stworzyć miljony Polaków amerykańskich i sto ich pism i wydawnictw perjodycznych!? Gdybyśmy w Polonji taką instytucję posiadali, moglibyśmy o wiele łatwiej propagować nasze narodowe interesy, mielibyśmy zgodność akcji, reprezentację odpowiednią i poważny referat prasowy we wszystkich kwestjach, wchodzących w styczność z innonarodowcami; mielibyśmy też większe znaczenie w polityce, równie amerykańskiej, jak światowej, bo wystąpienia naszego, zgodnego, solidarnego a poważnego, z pewnością lekceważyćby nie śmiano. Nauczyliby się szanować nas a cenić lepiej i Rodacy w Ojczyźnie, którzy dotychczas o piśmiennictwie i dziennikarstwie polsko-amerykańskiem wcale nie szczególne mają pojęcia; respektowaliby nas Amerykanie, którzy dotąd przeważnie lekceważą—powiedzmy sobie prawdę—Pisma nie angielskie, zwąc je niesłusznie "the foreign press", gdy Pisma te —"foreign" wcale nie są, są amerykańskie, tak dobrze, jak inne, tylko—nie po angielsku wydawane. I dla samych dziennikarzy, w ich zawodowym interesie byłoby poważne Towarzystwo Dziennikarzy bardzo pożądanym, uzdrawiającym czynnikiem, wyrabiałoby bowiem właściwą powagę traktowania zawodu, pogłębiałoby kwalifikacje i zalety jego pracowników, a oczyszczałoby Prasę naszą z aferzystów i przybłędów razporaz w niej się trafiających.

Przed laty już lepiej było, niż obecnie, na punkcie zorgani-

zowania Prasy Amerykańskiej, a w czasie pierwszej Wojny Światowej przy naszym, znakomicie działającym Wydziale Narodowym istniała stale Komisja Prasowo-Informacyjna, która była niejako Wydziału rzecznikiem, czy głośnikiem spraw, przezeń podawanych społeczeństwu; niejednokrotnie w rzeczach ważnych Komisja ta zabierała głos wysoce miarodajny i określała stanowisko decydujących kół narodowych Polonji *(Patrz Przypiski)*. Z czasem w Komisji tej wyłoniła się myśl stworzenia poważnego Polskiego Klubu Prasowego; niestety—niedługiem było jego poważne funkcjonowanie, a gdy Komisja z expiracją Wydziału Narodowego mandat swój też utraciła, Klub przeżył ją niedługo tylko, a pod koniec istnienia nawet i pierwotny swój charakter profesyjny stracił. Takich prób było więcej. Powodem ich niepowodzeń mienimy być słabe stosunkowo wyrobienie pojęcia doniosłości prasowej profesji w społeczeństwie polsko-amerykańskiem, brak dostatecznie silnej niezależności finansowej wydawnictw, zmuszonych do posługiwania się personalem najtańszym, więc mało wartym: wiele Pism mniejszych n. p. niema właściwie redaktorów, funkcje ich nożyczkowo pełnią zecerzy, często przygodni wydawcy — nierzadko ignoranci, nie zdolni ocenić, a nie mogący pozwolić sobie na redaktora. Przy rozrzuceniu Polonji na olbrzymich obszarach Kraju, a wobec biednego egzystowania, nieraz tylko wegetowania, Pism polskich w różnych osiedlach, trudno pracownikom prasowym porozumiewać się znosić się w sprawach —czy ogólnych, czy profesyjnych. Tylko zamożniejsi mogą przybyć na jakiś zjazd, a nawet najlepiej sytuowani są zależni od wydawców, którzy notorycznie nie doceniają stanowiska i pracy redaktorów i raczej się ich pozbędą, zastąpią byle kim, nimby zgodzili się uznać ich choćby najsłuszniejsze pretensje. W takich warunkach, ogólnie odczuwanych, a wysoce niekorzystnych dla lepszego wyrobienia i poważnego postawienia profesji, nie mogą powstać poważne zrzeszenia pracowników tejże, dlatego—te, co były—z rzadkiemi wyjątkami i te, co są—mało są poważne. Wolelibyśmy o tem pisać inaczej—dużo lepiej, ale — *"amicus Plato, sed magis amica—veritas."*

Bardzo życzyćby należało, by wzmiankowane wyżej, egzystujące obecnie Towarzystwo Dziennikarzy—zdołało—przebrnąw-

szy początkowych trudności stadja, wydostać się na głębsze i czystsze wody: skrystalizować się w profesji, brać mniej, a zato tylko prawdziwych i poważnych dziennikarzy i dążyć do wytworzenia co do nich, ich pracy zawodowej, kryterjum należytego: wtedy ich głos, ich osąd będzie miarodajnym opinji publicznej wyrokiem, z którym ogół rodaków liczyć się będzie.

Na rzecz zawodowego wyrobienia dziennikarstwa polsko-amerykańskiego—różne podejmowano próby; najważniejszą było zaprowadzenie w roku 1935-tym Kursu, czy Wydziału Dziennikarstwa przy Seminarjum Polskiem w Orchard Lake, Mich.; próba ta była krótkotrwała i nie pozyskała większego powodzenia. Prasie naszej poświęcono również kilka prac literackich, jak właśnie wspomniany na wstępie referat Henryka Nagla, jeszcze z r. 1894; znacznie później dość gruntowną rozprawę dłuższą napisał o przedmiocie omawianym Stanisław Osada *(Patrz Przypiski)* p. t. "Prasa i Publicystyka Polska w Ameryce", Pittsburgh, 1930. W języku angielskim napisał Edmund Olszyk "The Polish Press in America", broszurę, wydaną staraniem Uniwersytetu Marquette w r. 1940. Książka Osady jest przeglądem i rejestrem Pism polsko-amerykańskich, z krótkiemi biografjami ważniejszych dziennikarzy; książka Olszyka jest raczej ogólno syntetyczną pracą, zresztą—zdaniem naszem—dosyć pobieżną.

Różne tu mieliśmy i mamy Pisma polskie. Najpowszechniejszym jest typ ogólno-informacyjny; tego typu jest "okazów" najwięcej; grupę ich najsilniejszą stanowią gazety, będące urzędowemi organami jakichś Organizacyj; niektóre z takich organów są dobrze i pewnie sytuowane, więc pozwolić sobie mogą na ulepszenia, inwestycje, na większą swobodę ruchów. Większość lokalnych pism, zwłaszcza tygodniowych — niema tej swobody, tych więc warunki egzystencji są nieraz — więcej niż skromne. Dzienników — jak wzmiankowano, dawniej było — prawie za wiele, dlatego niektóre miały byt ciężki; dziś dużo ich mniej i naogół wszystkie mają się niezgorzej, choć prawdziwie wielkich Pism codziennych, rzeczywiście niezawisłych finansowo, posiadamy — najwyżej trzy, dwa w Chicago i jeden w Buffalo.

Pism czysto literackich w Polonji Amerykańskiej niema. Niegdyś—przed laty i tego próby czyniono: n. p. *"Wiadomości*

Artystycznych" wydaliśmy w Chicago, w roku 1919 kilka zeszytów, ale — na tem się skończyło: wydawał Marjan Różycki, redagował—autor; za wysokie były, za trudne, nie mogły mieć powodzenia. Były też próby stworzenia polskiego—na wzór amerykańskich—"magazynu": Worzałłowie w Stevens Point, Wisconsin, wydawali "*Jaskółkę*", która wychodziła przez parę lat; było to Pismo o poziomie popularnym, raczej ludowym. Przed pierwszą Wojną Światową Ks. Dr. J. Godrycz we Filadelfji wydawał czas niedługi miesięczny magazyn w dwu językach, pod nazwą "*The People's Friend*".

Dla dziatwy i młodzieży wydawał przez lat blisko dziesięć w Chicago Ks. Feliks Ładoń, C.R., doskonale redagowanego "*Przyjaciela Dzieci*"; niestety—pisemko to zrazu rozwinięte wcale nieźle—z czasem natknęło się na trudności natury finansowej—nie do przezwyciężenia i Ks. Ładoń zlikwidował je w r. 1920. Wydawca i redaktor, prawdziwy przyjaciel młodzieży *(Patrz Przypiski)* pragnął objąć pisemkiem swem ważniejsze bodaj osiedla polskie, gdy mu to jednak nie udało się, zniechęcony, opuścił ręce; odtąd Pisma dla dzieci o rozleglejszym zasięgu i o wydatniejszem, ważniejszem pokierowaniu—nie posiadamy. Niektóre Zgromadzenia zakonne wydają pisemka dla szkół, przez siebie prowadzonych, ale są to wydawnictwa zupełnie małe, więcej dewocyjne, często o lokalnym tylko charakterze; do najlepszych należą: "*Słoneczko*" wydawane na Trójcowie, w Chicago, kilka pisemek wydawanych przez SS. Felicjanki, pisemko wydawane w Brooklynie przez XX. Misjonarzy p. t. "*Patron*" i parę innych. Brak lepszego, powszechniejszego Pisma dla dzieci i młodzieży o rozplanowaniu, ogół obejmującem i kierunku wyraźnym, jakiem był wspomniany wyżej "*Przyjaciel Dzieci*", jest bardzo dotkliwy.

Zawodowych Pism—teraz niema wcale. Miesięczników mamy parę, reprezentujących pewne profesje, jak więc bardzo skromniuchny rozmiarami "*Medical and Dental Bulletin*" redagowany w dwu językach, wydawany w Chicago przez "Stowarzyszenie Lekarzy i Dentystów", jak "*Weteran*", wychodzący w Nowym Yorku, poświęcony sprawom "Stowarzyszenia Byłych Żołnierzy" dawnej Armji Polskiej, zrekrutowanej w Ameryce w czasach pierwszej Wojny Światowej. Miesięczniki o religijnym

charakterze wydaje kilka Zgromadzeń zakonnych, jak: *"Skarb Rodziny"* XX. Misjonarzy, *"Kronika Seraficka"* XX. Franciszkanów i parę innych. Miesięcznik p. n. *"Sodalis"*, starannie redagowany, wydaje od lat Seminarjum Polskie w Orchard Lake. Pisma te wszystkie w miarę możności omawiają również bieżące sprawy społeczne i narodowe, odbijając osąd o nich—grup, które reprezentują; zauważyliśmy tego sporo we wzmiankowanych wyżej, *"Biuletynie"* Medyków i w *"Sodalisie"*. Pismo homiletyczne *"Kazalnica Popularna"* wydaje grupa Kapłanów pod przewodem Ks. W. Stancelewskiego *(Patrz Przypiski)*.

Wiele w ciągu półwiecza minionego podejmowano w Polonji prób przeróżnych we wydawniczym kierunku; mieliśmy o krótkotrwałym bycie Pisma literackie, językoznawcze (bardzo dobry *"Orędownik Językowy"* Ks. B. Górala), profesyjne, n. p. kupieckie, rzemieślnicze, poświęcone sprawom morskim, sportowym, nawet filatelistycznym; przeważnie to były efemerydy, krótkotrwałe, o których większości—już nawet pamięć się zatraca .... ważniejszej roli zresztą nie odegrały. Humorystycznych Pism było kilka w ciągu półwiecza — przeważnie słabe i krótkotrwałe, nieraz wprost marne i liche—paszkwilistyczne; najlepsze i najwartościowsze w tym rodzaju pisemka prowadził S. Zahajkiewicz *(Patrz Przypiski następnego rodziału)*.

W ostatnich dwu lat dziesiątkach wiele Pism polsko-amerykańskich zamieszcza mniej lub więcej obszerne działy, redagowane w języku angielskim: celem tego jest pozyskanie dla polskiej Prasy czytelnictwa i poparcia generacyj młodszych, już w Ameryce zrodzonych, z których wielu nie czyta po polsku wcale, a w najlepszym razie niewiele. Tem spowodowany stały ubytek polskiego czytelnictwa jest jedną z głównych przyczyn podupadania Prasy polskiej w Ameryce; usiłuje się zatem przeciwdziałać temu właśnie przez zaprowadzanie i podawanie działów angielskich w polskich gazetach: rezultat bywa dość mało pocieszający. Pisma polskie młodzieży zwłaszcza—nie pociągają, a starszym, których ubywa szybko, działy angielskie nie podobają się,—więc: "i tak źle—i tak niedobrze", a gazety stale cierpią z powodu umniejszającego się czytelnictwa. Owe działy angielskie miewają przeważnie dzienniki, podają w nich wiadomości ze sportowych

dziedzin, ale i inne, poważniejsze trafiają się tam artykuły.

Tu mi przejście do Pism polskich, wydawanych w języku angielskim. Jak wspomniano na wstępie niniejszego Rozdziału, pierwszem takiem Pismem było właściwie pierwsze też polskie Pismo w Ameryce, choć po angielsku wydawane—"*Poland*" z r. 1842; miało ono powiadać o Polsce — Amerykanom. Od jego czasów odległych—dopiero w okresie pierwszej Wojny Światowej mieliśmy tu poważne Pismo polskie, po angielsku wydawane, które wychodziło przez szereg lat, dobrą i ważną dając służbę. Było to "*Free Poland*" *(Patrz Przypiski)*, założone w r. 1914, prowadzone—jako tygodnik w ciągu wszystkich lat owej wojny. Stworzone przez "Polskę Radę Narodową w Chicago", Pismo to rozwinęło się było—znakomicie, redagowane doskonale przez Komitety Redakcyjne, możliwie najlepiej dobierane, uzyskało wielką poczytność, popularność i zasięg wpływów bardzo duży, oddało też znamienite usługi Sprawie Polskiej, która—jak wiadomo—w Ameryce konkretne otrzymała kształty i formy. Z konsolidacją prac naszych patrjotycznych Rada odstąpiła Pismo swe Wydziałowi Narodowemu, który je przeniósł do Waszyngtonu, a po wojnie odstąpił je utworzonej w Nowym Yorku "Amerykańsko-Polskiej Izbie Handlowej", która wydawała je, zamienione w miesięcznik, pod nazwą "*Poland*" przez lat kilka. Ale Pismo odtąd straciło właściwie charakter swój zasadniczy, a prowadzone słabo—chyliło się do upadku; odstąpione wreszcie przez ową Izbę Handlową w ręce prywatne, zostało—bezpotrzebnie, na niezastąpioną szkodę Sprawy Polskiej, zamknięte w N. Yorku, w r. 1933.

W czasie pierwszej Wojny wydawano też czas niedługi pisemko "*Freedom*"—aż w San Francisco, nad Pacyfikiem, które nie zdołało się utrzymać dłużej, ni zaważyć tyle, co "*Free Poland*" —w rozwoju i losach Sprawy Polskiej w Ameryce.

Pozostaje nam podać bodaj jeszcze wzmianek kilka o samychże Pismach, choć co najważniejszych, zarówno o istniejących, jak o tych, które już nie wychodzą: należy im się takie — wspomnienie. Z dawnych więc wspomnieć należy starą "Dyniewiczówkę", czyli "*Gazetę Polską*", założoną w roku 1873; przez długie lata była ona wydawana w Chicago przez Władysława

Dyniewicza *(Patrz Przypiski)*; była to gazeta ogromnych rozmiarów—same przedruki! ... Od czasu do czasu zabierała jednak głos w kwestjach bieżących, narodowych i zasłużyła się dla rozwoju "Związku Nar. Polskiego" niemało. Długo "obywała się" bez redaktorów, pod koniec najbardziej wyróżnił się, jako jej redaktor, Stanisław Osada *(Patrz Przypiski)*. Przestała wychodzić w roku 1913.

Zaraz na drugiem co do zasług miejscu stawimy *"Gazetę Katolicką"*, założoną w r. 1874, wydawaną w Chicago przez firmę nakładową Władysława Smulskiego. Po Wojnie Światowej pierwszej wymienione firmy Dyniewicza i Smulskiego złączono razem, obie gazety zlikwidowano, a pozostała po nich tylko księgarnia, do dziś egzystująca w Chicago.

Z dzienników najstarszym jest egzystujący do dziś *"Kurjer Polski"* założony w roku 1888 przez M. Kruszkę, jak wyżej już wspomniałem: dawniej wpływ miał dużo większy, dziś ograniczony do kół raczej miejscowych.

O *"Dzienniku Chicagoskim"*, założonym w r. 1899, pisałem też już wyżej i piszę o nim w "Przypiskach"; było to bezsprzecznie najpoważniejsze swego czasu codzienne Pismo Polonji.

Z dzienników bardzo poprawnie i poważnie był prowadzony przez lat szereg w narodowym kierunku, wydawany w Detroit, *"Rekord Codzienny"* zwinięty przed kilkunastu laty.

W Chicago przez lat dwadzieścia kilka wychodziły—liberalny *"Dziennik Narodowy"* i socjalistyczny *"Dziennik Ludowy"*; w Milwaukee przez czas krótki wychodził na początku wieku bieżącego *"Dziennik Milwaucki"*, a w Cleveland *"Monitor"*, zlikwidowany w trzydziestych latach bieżącego wieku.

Do najstarszych Pism polskich w Ameryce należał, założony w r. 1887 przez Ks. Jana Pitassa w Buffalo, redagowany długie lata przez Stanisława Slisza *(Patrz Przypiski) "Polak w Ameryce"*; zrazu tygodnik, później dziennik ten—był przedstawicielem katolicyzmu wojującego, a gdy wojować przestał wkońcu — i sam się też skończył w r. 1920, a na jego miejsce powstał w Buffalo *"Dziennik dla Wszystkich"*, obecnie jedno z największych Pism codziennych Polonji Amerykańskiej, aczkolwiek mniej wyróżniające się pod względem wyrazistości kierunku.

Przed laty niespełna dziesięciu, licząc od daty książki, zamknięto w Nowym Yorku wydawany tam przez lat kilka *"Kurjer Narodowy"*, poważny dziennik prawicowego charakteru; po jego likwidacji pozostał tam tylko*"Nowy Świat"*, dziennik liberalny, dawniej charakterystycznie "sanacyjnego" kierunku. Wśród zlikwidowanych z różnych powodów, przeważnie finansowych, należy jeszcze wspomnieć: *"Dziennik Zjednoczenia"*, wydawany w Chicago w latach 1921-1926 i *"Dziennik Pittsburski"*.

Z pism tygodniowych nie można pominąć *"Ameryki"*, tygodnika, założonego w r. 1889 w Toledo, Ohio, przez drukarza, A. Paryskiego; pismo to zawsze bardzo radykalne, rzecznik wszelkiej opozycji względem—wszystkiego, dziś bardzo podupadłe—wegetuje jeszcze, wydawane przez Paryskiego następców. W Stevens Point, Wisconsin, istnieje od roku 1891 wielki tygodnik *"Gwiazda Polarna"*; we Winona, Minnesota, wydawał *"Wiarusa"* od r. 1886 przez lat zgórą czterdzieści—Hieronim Derdowski, zasłużony rymopis kaszubski *(Patrz Przypiski)*; we Filadelfji od półwiecza blisko istnieją Pisma tygodniowe *"Patrjota"* i *"Gwiazda"*, a w New Britain, Connecticut, wydaje od roku 1907 tygodniówkę *"Przewodnik Katolicki"*—Ks. L. Bójnowski, polski chorąży "Ecclesiae Militantis" w Ameryce. Pisma polskie wychodzą we wszystkich ważniejszych osiedlach naszych; mamy je: w Bostonie, Brooklynie, w Jersey City, w Baltimore, w Pittsburghu, we Wilkes Barre, nawet—w odległem Omaha: są to — jak zaznaczono, przeważnie gazety o zasięgu lokalnym, niezaprzeczenie pożyteczne—wszystkie, ale niestety—ról ważniejszych dziś już nie grające.

Powiadają, że Prasa polska w Ameryce do upadku się chyli... Nie ze wszystkiem godzę się z tym poglądem. Niezawodnie—minęła ona zenit swego rozwoju i znaczenia, ale do upadku jej zupełnego—daleko; powiem więcej: przypuszczam i godzę się na to, że z dziennikami jest gorzej, bo te skazane na czytelnictwo polskie, a mające expens duży, trudniejsze mają warunki bytu i przetrwania, — starych bo, czytających im ubywa, a młodzi ich nie potrzebują, gdyż dla nowin i wiadomości mają większe, częściej wychodzące dzienniki angielskie; natomiast tygodniówki lepiej się trzymają i łatwiej utrzymują: wydatki wydawnictw ich

są dużo mniejsze, a zakres wiadomości polskich, podawany przez nie, potrzebny bywa nawet tym z młodszych, co już więcej po angielsku mówią, ale których czy interesy, czy zainteresowania— przecie w kontakcie z polskością utrzymują: bo jeśli chcą cośkolwiek wiedzieć o Polsce, o sprawach naszych — a takich, mimo wszystko—jest sporo, muszą do ręki wziąć bodaj tę tygodniową gazetę polską; jeśli w dodatku—jak właśnie bywa, gazeta ta jest organem urzędowym Organizacji, do której należą, to jużci bez niej nawet obyć się nie mogą. Te okoliczności znacznie przedłużają tygodniówkom szanse przetrzymania.

Jedną z przyczyn podupadania Prasy—nietylko polskiej w Ameryce, ale wogóle—nie angielskiej, stało się ograniczenie emigracji—tak znaczne, iż blisko ze zamknięciem jej zupełnem graniczące. Przewiduje się, że te ograniczenia mogą być zluźnione w przyszłości — n.p. po drugiej Wojnie Światowej, gdy Ameryka znowu ludzi, rąk do pracy — będzie potrzebować; zapewne nie otworzą tu już naoścież wrót immigracyjnych, ale chyba ich uchylić zechcą, traktując zaś problemy immigracyjne racjonalniej, niż to dawniej i dotąd bywało, więcej postępowo, naukowo, a tolerancyjnie, nie będą tu potrzebowali bać się zalewu żywiołów obcych, lecz zużytkują je dla Kraju roztropniej a wydatniej. Jeśli do tego przyjdzie rzeczywiście, to polska immigracja znów się wzmoże i zasili, a wtedy jej intellektualne potrzeby, a z niemi i gazety polskie—otrzymają przedłużenie znaczne mandatów bytu i działania. Najważniejszą, najogólniej odczuwaną przyczyną podupadania Prasy polsko-amerykańskiej jest — amerykanizacja i jej postęp w ostatnich lat dziesiątkach — szczególnie szybki; z amerykanizacji postępem tracą oczywiście wszystkie agendy polskie—zatem i Prasa. O amerykanizacji napiszemy więcej w osobnym Rozdziale.

Czytaliśmy dyskusje o różnych powodach chylenia się Pism polsko-amerykańskich ku upadkowi, a wśród powodów tych wspomina się często wzmiankowany już poprzednio niski poziom Pism polskich, który odnoszono przedewszystkiem do oportunizmu i niekompetencji wydawców, ich lichej administracji, a także do słabych sił redakcyjnych. O ile idzie o czasy dawniejsze, to zgodzimy się na wszystkie te mankamenty gazet naszych. Mie-

liśmy rzeczywiście lichych wydawców, mało inteligentnych oportunistów, przybłąkanych z byle jakich zawodów, więc oczywiście nie mających pojęcia o porządnem administrowaniu gazet, które traktowali — jako wyzyskowy interes jedynie; dlatego dobierali sobie godnych siebie, im wystarczających "redaktorów": w takich warunkach i z takimi zespołami pracowników poziom Pism musiał być niski. Ale to się odmieniło od dawna! Dziś i wśród wydawców niema już byle szewców, krawców, szynkarzy — jak dawniej bywało (n.b. wzmiankuję te zawody bez ujmy dla profesji szewskiej, krawieckiej, czy choćby szynkarskiej), a choć chęci zysku nikt się chyba nie wyrzecze, ale w lepszych i poważniejszych Pismach mają już też wszędzie przyzwoitych i kompetentnych administratorów i redaktorów. Tu trzeba koniecznie podkreślić, że redaktorzy polscy w Ameryce—to są specjaliści, których nie można przyrównywać do pisarzy i literatów w Polsce: tam—to panowie, co pisują rozprawy i dyssertacje—jedną, dwie na tydzień; pamiętamy to z własnych zetknięć się i doświadczeń; gdyby im tak kazano pisać co dnia "edytorjały", jak się pisuje w Ameryce, a przytem zająć się w gazecie, lub przynajmniej potrafić zająć się dosłownie wszystkiem, żaden z nich nie dałby rady! Nasi tutejsi redaktorzy — nie są literatami, przynajmniej większość ich ani pretensyj nie ma do tego, ale to są przeważnie profesjoniści—pierwszorzędni, kwalifikacjami w technicznych spraw zakresie — bijący wszystkich europejczyków. To tu jest rzecz wprost — systemu amerykańskiego, przejętego, choć w skalach odpowiednio pomniejszonych, z Prasy amerykańskiej i temu systemowi literaci z Europy nie sprostają. Widzieliśmy tych panów przy robocie: tylko kłopot był z nimi, bo pretensyj było co niemiara, a kwalifikacje żadne, roboty mało; co gorsza — ni woli dobrej nawet nie bywało do jakiego-takiego przystosowania się. Dla przykładu—bez ujmy znowu—tylko dla przykładu—wzmiankuję, że taki Wacław Gąsiorowski, niepowszedni przecież pisarz i literat z Polski, który lat szereg przebył w Ameryce, trzy Pisma sam—dosłownie zarznął i przewrócił, a jeszcze go zato nierównie drożej od amerykańskich "prasiarzy" opłacać trzeba było: książki —pisał dobre, nawet o Polakach w Ameryce doskonałą jedną napisał ("Ach, te Chamy w Ameryce"), ale polsko-amerykańskich

gazet redagować nie potrafił. Nie on jeden był taki. Polscy dziennikarze w Ameryce—jużci nie urodzili się dziennikarzami ze specjalnemi kompetencjami, ale gdy jeden—drugi i dziesiąty adept dziennikarstwa naszego musiał z młodu, z pierwszych emigranckiej doli czasów, popracować ciężko, to na farmie, to w kopalni, to w hucie, więc gdy się później do gazety dostał, to lekka mu się praca w niej wydała, zatem nie lekceważył jej, nie mądrował, a robił, co mu kazano, robił jedno za drugiem, aż przejrzał i poznał technikę gazet tutejszych, co mu o tyle przychodziło łatwiej, że inteligentniejszy od ogółu, z którym się stykał, mógł służyć—prędzej i lepiej. Tak się powyrabiało wielu polsko-amerykańskich redaktorów—na siły prawdziwie pierwszorzędne, a ze wszech miar szanowne; tak otrzymaliśmy "self-made" profesjonistów prasowych, nieraz wprost — doskonałych, z których wielu zapisało nazwiska swe na kartach publicystyki polsko-amerykańskiej w sposób—niezapomniany. Gdy z biegiem lat, z postępem pojęć godności osobistej i zawodowej, pojęć etycznych, obowiązujących i w gazeciarstwie, poprawił się jeszcze—i to wydatnie, dawniej szorstki, niewybredny ton polemik, bywało tak ognistych, tak ciętych, że tego nie było szukać gdzieindziej, gdy to się zreformowało, wówczas poziom dziennikarstwa naszego naprawdę podniósł się znacznie i korzystnie. Oczywiście i dziś jeszcze trafiają się wycieczki osobiste po gazetach tutejszych, których używa się czasem do załatwiania porachunków osobistych z kimś niemiłym, z przeciwnikiem może zbyt groźnym, którego chce się zniszczyć za wszelką cenę,—ale trafia się to już rzadko, stosowane tylko w gazetkach mniejszych, lichszych—gdzieś na partykularzach, dokąd jeszcze ów postęp, o jakim wyżej piszę, nie dotarł... I tego bywa—coraz mniej—ku szczerej pochwale Prasy Polsko-Amerykańskiej.

W Przypiskach do niniejszego Rozdziału zamieszczam kilka charakterystycznych opinij o tem, dlaczego upada Prasa polska w Ameryce, oraz trochę bodaj—krótkich z konieczności wzmianek o polsko-amerykańskich wydawcach i dziennikarzach — co najważniejszych.

PRZYPISKI

"POLAND" Z ROKU 1842

Najstarsze wydawnictwo polskie w Ameryce: Nowojorski "The New World" z 28go maja, 1842, donosi w rubryce zatytułowanej "The Literary World", co następuje:

"*Poland*, Historical, Literary, Monumental and Picturesque". Published by Sobolewski, Wyszynski & Co., No. 2 Pine str., New York. Three numbers of this popular and interesting work have already appeared. Each number is embellished with engravings, and contains well written and authentic articles on various subjects relating to unfortunate Poland. The work is worthy of patronage, and we hope the American public will extend to it a liberal support. It is published at the low price of fifty cents a number."

W "Bibljografji Polskiej 19-go Stulecia", wydanej przez Akademję Umiejętności w Krakowie w r. 1878 podano, co następuje:

"Sobolewski Paweł (zmarł w Quarto, dnia 8go października, 1846) i Wyszyński Eustachy, wydawcy "*Poland*, historical, literaty and picturesque" New York, 1842 w 4ce; czasopismo zeszytowe."

Na odkładce odnalezionego przez autora tej książki numeru znajdujemy informacje o treści zeszytu, który zawierał artykuły następujące: "Coronation of Boleslas the Great", "Thadeus Kościuszko", "Castle of Oyców", "Costumes of the Polish Peasantry", oraz dwie strony muzyczne, na których zamieszczony "Polonez Kościuszki". Winietę tytułową stanowią godła i sztandary amerykańskie i polskie: jako wydawcy figurują Sobolewski i Wyszyński, a jako redaktor Paweł Sobolewski.

Od daty pojawienia się pierwszego numeru "Poland" w roku 1842 liczą słusznie Polacy Amerykańscy wiek Prasy polskiej w Stanach Zjednoczonych, dochodzący stulecia. "Poland", aczkolwiek w języku angielskim wydawane, było nawskroś polskie z ducha i dla celów polskich istniało wyłącznie, przeto nie można go uznawać inaczej, jak tylko za Pismo polskie.

IGNACY WENDZIŃSKI

Jeden z najstarszych redaktorów polskich w Ameryce: wybitny działacz społeczny i narodowy. Urodził się w r. 1828 w Bydgoszczy, w Polsce, był ze zawodu nauczycielem; brał udział w porywach wolnościowych r. 1848 i w Powstaniu 1863 r., po którem uszedł do Ameryki. Był redaktorem "*Orła Polskiego*" w Krakowie, Mo., w r. 1870, poczem był nauczycielem szkoły św. Stanisława Kostki w Chicago. Następnie pracował w redakcjach różnych Pism polsko-amerykańskich, jak "*Gazety Polskiej*" i "*Zgody*". Zmarł w Milwaukee w roku 1901.

1,746 PISM POLSKICH POZA POLSKĄ

W komunikacie Światowego Związku Polaków Zagranicznych z r. 1936 czytamy:

W r. 1935 Związek wydał "Bibljografję Czasopism Polskich za Granicą": autorem jest Stanisław Zieliński, który zbierał wszystkie spisy, wykazy, roczniki, informacje; słowem, wszystkie źródła w dziedzinie czasopism, wydawanych przez Polaków, rozproszonych po świecie. Pisma polskie w Stanach Zj. zajmują w tym spisie najpokaźniejsze miejsce.

Wedle posiadanych informacyj od r. 1830 do r. 1934 wychodziło ogółem w 276-ciu punktach kuli ziemskiej, poza granicami Rzeczpospolitej, oraz w Gdańsku, 1,746 pism polskich; z tej liczby w Stanach Zjedn.—583.

Pisma polskie za granicą Zieliński dzieli na krótkotrwałe i na długowieczne. W pierwszem pięćdziesięcioleciu istnienia Prasy polskiej za granicą było 128 pism, które powstały i upadły w ciągu jednego roku.

Jeszcze przed rokiem 1830 ukazywały się pisma polskie za granicą. Powstania Listopadowe i Styczniowe spowodowały tworzenie za granicami Polski gazet o charakterze patrjotyczno-politycznym.

Do roku 1880 czasopisma polskie za granicą są pismami politycznemi. W Ameryce Północnej w Nowym Yorku wydane były dwa takie pisma około r. 1842 przez emigrantów polskich, Sobolewskiego i Wyszyńskiego, jedno, wydane w języku angielskim, nosiło tytuł *"Poland"*, drugie w języku polskim nazywało się *"Echa z Polski"*.

Immigracja zarobkowa w Stanach Zjedn. od r. 1870 zaczęła tworzyć własne czasopiśmiennictwo. W r. 1872 obok *"Orła Polskiego"*, wychodzącego od r. 1870 w Krakowie, Mo., powstają *"Gazeta Nowojorska"* i *"Swoboda"* w Nowym Yorku, *"Progres"* i *"Pielgrzym"* w Union, w Stanie Missouri, w r. 1873 *"Gazeta Polska"*, a w r. 1874 *"Ziemianin"* w Chicago, oraz *"Gazeta New-Yorska"*.

Od tych czasów Prasa polska w Stanach Zjedn. staje się już coraz liczniejsza; do r. 1880 powstaje w Stanach Zjedn. 16 Pism, a okres od r. 1880 do 1890 wykazuje 52 nowych Pism polskich w Ameryce Północnej. Ogółem wychodźtwo w Stanach Zjedn. i w Kanadzie stworzyło od 1885 do 1934 zgórą 580 Pism polskich.

Pisma polskie wychodziły nadto w Anglji, Argentynie, Australji, Belgji, Brazylji, Bułgarji, Czechach, Danji, Egipcie, Francji, Holandji, Japonji, Kanadzie, Litwie, Luksemburgu, Łotwie, Mandżurji, Niemczech, Rosji, Rumunji, Szwajcarji, na Węgrzech, we Włoszech i w Gdańsku.

Przeglądając tę Bibljografję, czytający odczuwa zdumienie, że uboga polska emigracja, rozproszona po całym świecie, potrafiła stworzyć 1,746 pism polskich i to w najodleglejszych zakątkach świata!

"Ognisko"

Osobną wzmiankę warto mu poświęcić, choć płonęło to "Ognisko" dość swędzącym płomieniem — tylko dwa lata—od 1887 r. do 1889. Było ono przytułkiem wszelkiego rodzaju zbieraniny inteligentnej, wśród której nie brakło rzeczywiście utalentowanych literatów i dziennikarzy, nawet profesorów uniwersyteckich, ale też trafiała się wszelaka "arystokratyczna hołota", jak ich przezywano w Polonji. Nagel zwie tę grupę "inteligentną cyganerją", która wieszała się przy tygodniówce, drukowanej — na czerwonym papierze, a uprawiała — jak się o nich Osada wyraża, "mocno rozczochrane idee". Jako wydawca figurował Leon Wild, który nierzadko w pokra wygrywał pieniądze na wydanie numeru, ale dawał przytułek rozmaitym przybłędom zaoceanicznym, którzy mieszkali i sypiali w drukarni Pisma, często na workach pocztowych, w braku lepszej pościeli. Do grupy tej należeli: Alfons Chrostowski, J. J. Chrzanowski, hr. Piotr Wodzicki, hr. Ledochowski, Dr. Julian Czupka, Stanisław Bernolak, kilku z polska żydowskich socjalistów, żyd, ale dobry Polak, N. K. Złotnicki (właściwie Korngold) i jeszcze inni; wielu ich pierwszą w tem "Ognisku" znajdywało ostoję na gruncie amerykańskim, a niektórzy z czasem wyrobili się na poważnych działaczy Polonji i na niepowszednich dziennikarzy.

STATYSTYKA I CHARAKTERYSTYKA PRASY POLSKO-AMERYKAŃSKIEJ

Ostatnie dokładniejsze wiadomości, dotyczące statystyki Prasy polsko-amerykańskiej, posiadamy z lat około 1925; podają one: Pism codziennych—20, drukowały łącznie około 400,000 egzemplarzy; Pism tygodniowych 60 (przeszło), drukowały razem 800,000 egzemplarzy: miesięczników—12, drukowały około 120,000 egzemplarzy: razem Pism blisko 100, które drukowały około 1,320,000 egzemplarzy.

Charakterystyka kierunku Pism tych w czasie wyżej wzmiankowanym streszcza się, jak następuje: Kierunek postępowo-narodowy zaznaczał się w 14 dziennikach, o nakładzie 300,000 egzemplarzy i w 40-tu tygodnikach, o nakładzie 634,400 egzemplarzy: łączny nakład 934,000. Kierunek religijno-narodowy zaznaczał się w 2 dziennikach o nakładzie 50,000, 10-ciu tygodnikach o nakładzie 127,000 i 5 miesięcznikach o nakładzie 44,300: łączny nakład 221,300. Kierunek socjalistyczny reprezentowały 3 dzienniki o nakładzie 56,000 i 2 tygodniki o nakładzie 17,000. Nadto "niezależni" mieli jeden tygodnik o nakładzie 5,000 — a polscy baptyści 2 miesięczniki o nakładzie 15,000. Z pism fachowych 2 tygodniki i 4 miesięczniki poświęcone były sprawom handlowym i przemysłowym, a jeden miesięcznik — technicznym: łączny nakład 95,000.

Starcia partyjne, których widownią była Polska, odzwierciadlały się w Prasie polsko-amerykańskiej w sposób następujący:

Komunikaty Wydziału Narodowego, popierającego prawicę w Polsce, pomieszczało, albo opinję wielce zbliżoną wypowiadało 8 dzienników o nakładzie 155,000 i 21 tygodników o nakładzie 345,000: łączny nakład 498,000. Za "lewicą" oświadczało się 6 dzienników o nakładzie 80,000 i 5 tygodników o nakładzie 30,000: łączny nakład 131,000. Komuniści mieli 1 dziennik i 1 tygodnik o łącznym nakładzie około 9 tysięcy. Reszta Pism wyraźniej się nie wypowiadała.

Po przewrocie majowym w Polsce, z r. 1926 i nastaniu tam tak zwanych "sanacyjnych" rządów dużo czyniono z Polski zabiegów agitacyjnych, ażeby owej "sanacji" partyjne orjentacje przenieść na grunt polsko-amerykański; wiele wówczas nasiano tu rozterek i jątrzeń, a skłócono Polonję tak, jak tego dawniej w najbardziej zaciętych niebywało sporach; dużo z tego pozostałości, szkodliwych na później utrzymało się—niestety i wielu Amerykanów polskiego pochodzenia, z młodszych pokoleń, zrażało do Polski; razem z tem jednak większość Prasy polsko-amerykańskiej pozostała szczerze patrjotyczna i taka jest—nieodmiennie.

DLACZEGO UPADA PRASA POLSKA W AMERYCE

Dr. E. Nowicki—w jednym z dzienników chicagoskich w latach trzydziestych bieżącego wieku trafnie zestawiał faktu, wymienionego w nadpisie, powody, jak niżej przytaczam:

Zamknięcie dopływu emigracji; wymieranie emigrantów starszych; amerykanizacja młodzieży; niski poziom Pism polskich; oportunizm wydawców i nieudolna administracja Pism.

Z wyżej wspomnianych czynników zaledwie na dwa nie możemy mieć wpływu: nie możemy otworzyć wrót dla emigrantów, aby nasze Pisma mogły mieć więcej czytelników i—nie możemy wstrzymać ubytku z powodu śmierci starszych.

Z amerykanizacją, powierzchowną i szkodliwą, staramy się walczyć wszyscy, a Prasa nasza lwią część tej pracy wykonuje; wskutek amerykanizacji Polonja ponosi wielkie straty, Prasa polska czytelników młodych posiada niewiele.

Powiada się, że niski poziom Prasy polskiej w Stanach Zjednocz. jest jedną z przyczyn jej powolnego, lecz stałego upadku: określenie "niski poziom" jest względnem, gdyż dla prostaczka nawet najgorsza gazeta może mieć poziom za wysoki, a dla człowieka kulturalnego,—poziom najlepszego pisma może jeszcze stosunkowo wiele pozostawiać do życzenia. Za "niski" poziom Pism polskich nie należy winić ich redaktorów. Jest to często tragedją dziennikarstwa polsko-amerykańskiego, że redaktorzy, ludzie światli i wykształceni, redagują Pisma o poziomie niskim, nie odpowiadającym ani ich poglądom, ani pojęciom: zapracowani bywają do tego stopnia, że na odświeżanie umysłu, zapoznanie się z najnowszą literaturą, z nowszemi zdobyczami nauki, najczęściej czasu nie mają; nie dziw, że w Pismach, przez nich redagowanych, często brakuje nowych myśli i rozmaitości, wskutek czego Pisma te tracą czytelników. Winę za to, za takie wegetowanie, a nie rzadko za upadek Pisma ponoszą wydawcy. Oportunizm wydawców ogranicza i krępuje redaktorów, zniża ich polot myśli, robi ich automatami, służącemi do osiągnięcia celów czysto handlowych.

"Niebyznesowe" prowadzenie Pism również przyczynia się do ich upadku, a wszakże było i jest w Polonji wiele Pism, które się opłacają, inaczej wydawcy dawnoby już wszyscy zbankrutowali. Ale brak kompetencyj handlowych zgubił już nie jedno Pismo. Zatem postawić Pisma nasze na "byznesowej" stopie i prowadzić je handlowo-kompetentnie, to w ten sposób zwiększy się cyrkulację Pism, łatwiej będzie otrzymać ogłoszenia i Pisma dłużej się utrzymają na pożytek i sławę Polonji: radzi Dr. E. Nowicki.

PRZYGANA I OBRONA DZIENNIKARZY POLSKO-AMERYKAŃSKICH

Ks. W. Chrzanowski, kilkakrotnie cytowany w tej książce, który w latach dwudziestych bieżącego wieku napisał nie ze wszystkiem prawdziwą "Prawdę" o Wychodźtwie Polskiem w Ameryce, pisze i o dziennikarzach polsko-amerykańskich; niektórym wprawdzie to i owo przyznał, ale na ogół potraktował ich bardzo ostro: "matołki, nieuki, nie mają pojęcia o gramatyce i ortografji, a cóż dopiero mówić o stylistyce". Żaden z nich "nie wart butów czyścić porządnemu redaktorowi w Polsce", bo nie tylko pisać nie umieją, ale jeszcze są narzędziem w rękach wydawców i "prędzej się będą wysługiwać jakiemuś handlarzowi, czy saluniście, który się w Piśmie ogłasza, aniżeli jakiejkolwiek godnej idei". Dziennikarze polsko-amerykańscy stoją daleko niżej od dziennikarzy polskich—tak, że wprost porównywać nie można pierwszych z drugimi, a co najgorsze, stoją również niżej od dziennikarzy amerykańskich: konkluduje Ks. W. Chrzanowski.

Odpowiadając na jego "komplementy" niezawodnie—niezasłużone, p. A. Bartosz, redaktor "Jedności" w Baltimore, tak trafnie odpowiada:

"Nie zamierzam argumentować o wartości polskich dziennikarzy w Ameryce z Ks. Chrzanowskim, który *nie zna stosunków polsko-amerykańskich;* kto je zna, z tym argumentować nie trzeba, bo on dobrze wie, że w Omaha, albo w Perth Amboy nie można redagować tygodnika polskiego—po warszawsku, czy po krakowsku, jak również wie o tem, że i najzdolniejszy publicysta polski "zrobi klapę" na stolcu redaktorskim "*Górnika*" czy "*Gwiazdy Polarnej*". Wobec tego szkoda czasu i papieru na dyskusję o tych sprawach. Nie mogę

przecie ścierpieć, jeżeli ktoś polsko-amerykańskich redaktorów stawia niżej od amerykańskich—pod względem moralnym, czy ideowym.

"Przyznam, że można naszym dziennikarzom zarzucić, że może nie piszą tak po literacku, ani tak naukowo, jak koledzy w Polsce, bo też nie redagują Pism dla inteligencji wysokiej, ale nie można wszystkich w czambuł potępiać i przypisywać im braki, których nie mają. Dziennikarstwo anglo-amerykańskie we wielu razach wykazuje zdumiewającą ignorancję—zwłaszcza, gdy idzie o sprawy poza Stanami Zj.; tego w Pismach polskich niema przecie.

"Przyznam, że Prasa polska w Ameryce nie dorównuje pod wielu względami Prasie polskiej, ale w tem właśnie tkwi jej *wartość praktyczna*, bo gdyby dorównywała, nie mogłaby odgrywać tej roli na Wychodźtwie, jaką odgrywa, a nawet—nie mogłaby istnieć. Wiemy przecież o próbach, podejmowanych w tym kierunku; wiemy o dobrych pisarzach z Polski, którzy próbowali redagować tutejsze Pisma "po polsku", ale tem ogółowi czytelnictwa żadnej przysługi nie wyświadczyli, a wydawnictwom naczynili szkody. Wartość dla Wychodźtwa mieli tylko ci redaktorzy, którzy pojęli, jak dostosować się do środowiska, w którem działać im dano i do poziomu swego czytelnictwa. Ważne jest słowo, które potrafi sięgnąć do duszy i do serca polskiego wychodźcy i jego dzieci, a nie piękny może, lecz niezrozumiały styl, obleczony w górnolotne frazesy."

O wartości redaktorów polsko-amerykańskich jeden z *turystów*-korespondentów tak pisze w "*Kurjerze Poznańskim*" z r. 1924: "Była i jest wartość ta rozmaita niezmiernie. Zależy to od uzdolnień i charakteru osobistego redaktorów, których skala jest bardzo szeroka: byli i są w ich liczbie kompletni analfabeci, obok ludzi z uniwersyteckiem wykształceniem i z istotnym talentem, oraz samouków, którzy twardą pracą i zdolnościami wybili się bardzo wysoko. Byli i są między nimi ludziei idei, całem sercem sprawie narodu polskiego oddani i w całem tego słowa znaczeniu uczciwi, wartościowi i pożyteczni, obok—nicponiów, aferzystów, oraz w dosłownem znaczeniu kryminalistów i najrozmaitszych wykolejeńców z Polski, inteligentów i pół-inteligentów, którzy w Ameryce zwykle czepiają się przedewszystkiem dziennikarstwa, jako zajęcia, dla nich najdostępniejszego, obniżając jego poziom moralny. Skoro jeszcze dodamy, że o kierunku Pisma, a nawet o tem, co się ma pomieszczać i w jakiem oświetleniu, decydują — nie redaktorzy, ale wydawcy, dobierający sobie do potrzeb chwili—ludzi, jakich im w danym momencie potrzeba, to łatwo zrozumiemy te prawdziwie opłakane stosunki, w jakich pracować tam przychodzi ludziom idei."

Może to trochę zbyt ciemnemi barwami malowany — ten obraz powyższy, bo jak w osnowie głównej Rozdziału stwierdzamy, stosunki już się poprawiły wydatnie i pod każdym względem; nie mniej jednak w przytoczeniu powyższem dużo też prawdy — jeśli nie jest, to było do niedawna. Przeto Ks. Stanisław Iciek, znający Prasę polsko-amerykańską z bliskich kontaktów, z dużem uzasadnieniem bierze w słuszną obronę jej wydawców i dziennikarzy, a tak o tem orzeka w "Pittsburczaninie" z r. 1934:

"Polskie czasopisma, z bardzo niewielkiemi wyjątkami, stoją na wysokim poziomie dziennikarskim i zasługują na absolutne poparcie Wychodźtwa! Artykuły redakcyjne w dziennikach i niektórych tygodnikach polsko-amerykańskich, nie ustępują w niczem pierwszorzędnym artykułom Pism angielskich. Jednakowoż wychodźtwo stało się w tych sprawach obojętne, wprost—martwe! Przecież to nie takie dawne czasy, gdy nasz immigrant, obarczony gromadą dzieci, przy małych zarobkach, budował kościoły, wspierał organizacje polskie, należał do klubów i towarzystw, a zawsze jeszcze znalazł parę dolarów,

aby zaprenumerować polskie czasopismo. Z jaką to niecierpliwością "starzy" czekali na "dziennik", czy "tygodnik"; jak to wszystko siedziało i słuchało, gdy ojciec, lub dziadek — czytał wszystko od A do Z. Ciężko im było o tego dolara, dwa, ale przecie prenumerowali. Teraz zmieniły się warunki. Młody Polak musi mieć radjo, musi zmieniać samochód, wyjechać na wywczasy, więc na gazetę polską nie ma pieniędzy. A wydawca i redaktor, którzy nocami ślęczą a biedują, pracują ponad siły, nie dojedzą i nie dośpią, widzą, jak im się grunt z pod nóg usuwa. Ratować, podtrzymać trzeba koniecznie Pisma nasze! Duchowieństwo pierwsze powinno należycie ocenić grozę sytuacji! Parafje bez katolickiej Prasy, — to fortece bez armat! Należałoby we wszystkich polskich parafjach uderzyć na alarm, zachęcać starszych i młodzież do czytania Pism polskich; należałoby tworzyć kluby prasowe, literackie i podać rękę tym, którzy w naszym interesie od lat mozolnie pracują. Poprzyjmy ich nietylko moralnie, ale finansowo, gdyż bez czujnej a silnej Prasy narodowej, nie podołamy "amerykanizacji". Dodajmy jeszcze, że i polscy kupcy i przemysłowcy również ponoszą tu winę, gdyż w czasopismach polskich nie ogłaszają się i gazet, które lud zachęcają do popierania kupców i przemysłowców, rodaków, nie prenumerują. Żądajcie od tych, z którymi prowadzicie interesa, aby się w polskich czasopismach ogłaszali i towar w polskich gazetach ogłaszany kupowali i sprzedawali!" I dalej—i nieraz w tym duchu pisano—ze wszech miar godnym uznania i upowszechnienia.

WYDAWNICTWA POLSKO-AMERYKAŃSKIE W ROKU WYDANIA KSIĄŻKI NINIEJSZEJ

Dzienniki:

Dziennik Chicagoski, Chicago, Illinois.
Dziennik Związkowy, Chicago, Illinois.
Dziennik dla Wszystkich, Buffalo, New York
Dziennik Polski, Detroit, Michigan.
Kuryer Codzienny, South Boston, Massachusetts.
Kurjer Polski, Milwaukee, Wisconsin.
Nowiny Polskie, Milwaukee, Wisconsin.
Nowy Świat, New York, New York.
Wiadomości Codzienne, Cleveland, Ohio.

3 razy w tygodniu:

Goniec Polski, South Bend, Indiana.

Tygodniki:

Zgoda, Chicago, Illinois: Organ Związku Narodowego Polskiego.
Naród Polski, Chicago, Illinois: Organ Zjednoczenia Pol. Rz. Katol.
Czas, Brooklyn, New York: Organ Zjednoczenia Polsko-Narodowego.
Gazeta Polska, Winnipeg, Man., Canada: Organ Zjedn. Polaków w Kan.
Gazeta Tygodniowa, Schenectady, New York.
Głos Ludowy, Detroit, Michigan.
Głos Narodu, Jersey City, New Jersey: Organ Stow. Synów Polski.
Głos Polek, Chicago, Illinois: Organ Związku Polek w Ameryce.
Górnik, Wilkes-Barre, Pa.: Organ Unji Polskiej w Stanach Zjedn.
Gwiazda, Philadelphia, Pa.
Gwiazda Polarna, Stevens Point, Wisconsin.
Gwiazda Zachodu, Omaha, Nebraska.
Jedność, Philadelphia, Pa.

Jedność-Polonia, Baltimore, Maryland.
Kronika, Newark, New Jersey.
Nasz Świat, Illustrowane Pismo, Detroit, Michigan.
Nowa Anglja, Chicopee, Massachusetts.
Nowiny, Camden, New Jersey.
Nowiny Minnesockie, St. Paul, Minnesota.
Nowiny Polskie, Syracuse, N. Y.
Patryota, Philadelphia, Pa.
Pittsburczanin, Pittsburgh, Pa.
Polak Amerykański, Perth Amboy, New Jersey.
Gość Niedzielny, Chicago, Niles Center, Illinois.
Polonia, South Chicago, Illinois.
Przewodnik Katolicki, New Britain, Connecticut.
Gwiazda, Holyoke, Massachusetts.
Przewodnik Polski, St. Louis, Missouri.
Przyjaciel Wolności, Trenton, New Jersey.
Ameryka-Echo, Toledo, Ohio.
Republika-Górnik, Scranton, Pa.
Sokół Polski, Piitsburgh, Pa.: Organ Związku Sokolstwa Pol. w Amer.
Trybuna, New Bedford, Massachusetts.
Wolność, Chicago, Illinois: Organ Amer. Związku Wyzwolenia Polski.
Przebudzenie, Chicago, Illinois: Organ Niezależnych.
Straż, Scranton, Pa.: Organ "Spójni" i "Niezależnych".

Miesięczniki:

Ave Maria, Buffalo, New York: wyd. przez SS. Felicjanki.
Kronika Seraficka, Hartland, Wis.: wyd. przez Ks. Franciszkanów.
Medical and Dental Bulletin, The, Chicago, Illinois: Organ Stowarzyszenia Lekarzy i Dentystów Polskich.
Nasze Pisemko, Detroit, Michigan: wyd. przez SS. Felicjanki.
Posłaniec M. B. Saletyńskiej, Ware, Mass.: wyd. przez Ks. Saletynów.
Posłaniec Serca Jezusa, Chicago, Illinois: wyd. przez OO. Jezuitów.
Promyk, Chicago, Illinois: wyd. przez SS. Felicjanki.
Skarb Rodziny, Erie, Pa.: wyd. przez Kollegjum Św. Jana Kantego.
Sodalis Marjański, Orchard Lake, Michigan, Seminarjum Polskie.
Weteran, New York, New York: Organ Stow. Weteranów Armji Pol.
Future, New York, New York: Organ Friends of Poland, Inc.
Morze, Chicago, Ill.: Organ Ligi Morskiej w Ameryce.
Neptun, Philadelphia, Pa., Mimjografowane: Organ Oddz. "Batory",
Rozgłos Salezjański, Ramsey, New Jersey.
Patron: wyd. przez Parafję Św. Stanisława w Brooklynie.
Miesięcznik dla Kierowników Młodzieży Związkowej, Chicago, Illinois: zawiera materjał instrukcyjny i informacyjny.
Polonus, Cicero, Illinois: Organ Polonus Philatelic Society.
Miesięcznik Franciszkański, Pulaski, Wisconsin.
Kazalnica Popularna, Orchard Lake, Michigan.
Liga Morska w Ameryce.

Kwartalniki:

Alumnus, Orchard Lake, Michigan.
Kalendarz Krzyżowca, Washington, D. C.

Roczniki:

Annals of the Polish Roman Catholic Union Archives and Museum, Chicago, Illinois.

POLSKO-AMERYKAŃSCY WYDAWCY

Wzmiankujemy jedynie najważniejsze osobistości i firmy:

Władysław Dyniewicz

Urodzony w roku 1843; pochodził z Poznańskiego, był ze zawodu kowalem; przybył do Stanów Zjednoczonych w roku 1866, pracował zrazu w kolejowych warsztatach, wcześnie brał udział w życiu społecznem i narodowem; należał do najstarszych członków "Związku Nar. Polskiego". Odczuwając potrzebę pracy oświatowej, zakupił od Piotra Kiołbassy małą księgarnię w Chicago, potem założył drukarnię i przystąpił do wydawania *"Gazety Polskiej"*, zwanej od wydawcy imienia—*"Dyniewiczówką"*; jednocześnie przedrukowywał małe popularne broszurki, baśnie, podania, powiastki ludowe: tem uczył czytać, przyzwyczajał do czytania. Wydawnictwa te, bardzo liche początkowo, należą dziś do rzadkości bibljograficznych w Muzeum i Archiwum Polonji. Z czasem przedrukowywał książki coraz większe i lepsze: wydał ich olbrzymią masę, a katalog jego wydawnictw obejmował kilka tysięcy numerów. Jednocześnie rozwinął znacznie drukarnię i gazetę: *"Gazeta Polska"* była wielką i wpływową, a czytelników miała po trzydzieści i więcej tysięcy; ale gdy stary Dyniewicz—dla wieku podeszłego od wydawnictwa się usunął, gdy brakło jego silnej ręki i dobrej do interesu głowy, firma podupadła, a *"Gazeta Polska"* wychodzić przestała w r. 1923. Działalność starego Dyniewicza w Polonji Amerykańskiej można porównać z pioniersko-edukacyjną działalnością popularną K. Miarki na Śląsku, a że w Dyniewicza przedrukach było niemało pobieżności, pośpiechu i — "swobody" w rozporządzaniu się autorską własnością—cudzą, to nie on tu był jeden taki: robiono tak w Ameryce powszechnie, w Polonji zaś ostatecznie zrobiło się tem więcej dobrego, niż—niedobrego, a to rzecz—o kwestji decydująca. W. Dyniewicz zmarł w Chicago w r. 1928. Wydawnictwo jego zostało połączone z firmą wydawniczą Smulskich; z obu firm do dziś istnieje tylko księgarnia w Chicago.

Smulski Publishing Co.

Początek firmy odnosić trzeba aż do Jana Barzyńskiego, który jeszcze we Washington, Mo., wydawał w r. 1872 *"Pielgrzyma"* (jak o tem—w osnowie głównej Rozdziału); później Barzyński przeniósł się do Detroit, potem do Chicago i tu założył w r. 1874 *"Gazetę Katolicką"* przy poparciu Ks. Wincentego Barzyńskiego, C.R.; współpracował w tem z powinowatym, czy krewniakiem Władysławem Smulskim (nazwisko przybrane: prawdziwe—Jakiński): razem założyli drukarnię, która wydawała *"Gazetę Katolicką"* przez długie lata, oraz przedrukowywała popularne książki, a następnie specjalizowała się w przedrukowywniu polskich podręczników naukowych i czytanek dla szkół parafjalnych. Po ustąpieniu Barzyńskiego z firmy, a po zgonie Władysława Smulskiego drukarnię i księgarnię prowadziła wdowa po Smulskim. Firma złączona została w dwudziestych latach bieżącego wieku z firmą nakładową Dyniewicza; w tychże latach zlikwidowano obie tygodniówki *"Gazetę Polską"* i *"Gazetę Katolicką"*, a po obu wielkich przed laty interesach pozostała obecnie tylko wzmiankowana księgarnia niewielka w Chicago.

Kruszka Michał

Urodzony w r. 1860; pochodził z Poznańskiego; przybył w r. 1880 do Stanów Zjedn. i tu uczęszczał do szkół, jednocześnie pracując na życie. Założył i wydawał w Milwaukee, Wis., naprzód *"Krytykę"*, czasopismo tygodniowe, a w r. 1888 założył pierwszy dziennik polsko-amerykański *"Kurjer Polski"*, do dziś wychodzący. Brał udział w polityce i posłował do Legislatury wiskon-

zyńskiej, oraz do jej senatu stanowego. W r. 1909 obrano go prezesem ogólno-milwauckiego Stowarzyszenia Wydawców gazet codziennych. Zmarł w Milwaukee, w roku 1918.

Józef i Szczepan Worzałłowie

Szczepan Worzałła urodził się w r. 1872 w Polsce, na Pomorzu; w dziecięctwie przybył do Ameryki i osiadł z rodzicami we Winona, Minnesota; potem przeniósł się do Stevens Point, Wis., gdzie pracował jako drukarz w drukarni Z. Hutlera, którą wykupił wraz z bratem, Józefem i razem zaczęli wydawać czy zreorganizowali tygodniowe pismo "*Rolnik*" w r. 1891; z biegiem lat znacznie je rozwinęli, a w r. 1908 wydawać zaczęli tygodniówkę wielkich rozmiarów "*Gwiazda Polarna*": później oba Pisma złączono razem i jako takie —do dziś egzystują. W r. 1927 firma Worzałłów podjęła myśl wydawania powieściowego "magazynu", za przykładem tego rodzaju amerykańskich publikacyj: "*Jaskółka*" zrazu prosperowała nieźle, po latach jednak kilku miesięcznik ów upadł. Firma Worzałłów rozwinęła się dość okazale; posiada ona szereg zabudowań, nowoczesne maszyny i wydała wielką liczbę — przedrukowo przeważnie—książek, głównie ze zakresu popularnego czytelnictwa. Szczepan Worzałła zmarł w Stevens Point, Wis., w r. 1931.

Józef Worzałła, brat poprzedniego, urodził się w Polsce, na Pomorzu, w r. 1875, przybył w r. 1878 do Stanów Zjedn., a do Stevens Point, Wis., w r. 1890 i tu przez życie całe współpracował z bratem, Szczepanem, we firmie "Worzałła Publishing Co." Zmarł w Stevens Point, Wis., w r. 1940.

Franciszek i Józef Ruszkiewicze

Franciszek Ruszkiewicz pochodził z Prus Zachodnich; urodził się w r. 1875; przybył do Ameryki w r. 1888 i osiadł w Buffalo, N. Y.: zarabiając na życie, kształcił się, a że wcześnie zainteresował się miejscową "polityką", różne piastował posady miejskie. W r. 1911 zakupił wraz z braćmi drukarnię i założył "*Dziennik dla Wszystkich*", dziś jeden z większych w Polonji Amerykańskiej, posiadający wielką, nowocześnie urządzoną drukarnię i prowadzony na sposób gazet amerykańskich. Józef Ruszkiewicz zajmował się pilnie kierownictwem Pisma, brał żywy udział w sprawach miejskich i obywatelskich, jednocześnie uczestnicząc i w życiu społecznem polsko-amerykańskiem. Zmarł w Buffalo, w r. 1933. *Dziennik dla Wszystkich*" nadal jest własnością rodziny Ruszkiewiczów, a należy do zasobniejszych i ważniejszych Pism polskich w Ameryre.

Józef Ruszkiewicz, brat poprzedniego, urodził się w Buffalo, N. Y., w r. 1890; współpracował z bratem, Franciszkiem, we wydawnictwie "*Dziennika dla Wszystkich*", przyczynił się wydatnie do jego rozwoju, a po śmierci brata Pismo prowadził, jednocześnie biorąc żywy udział w życiu społecznem miasta Buffalo i Polonji Amerykańskiej. Zmarł w r. 1937, w Buffalo.

Paweł Kurdziel

Urodził się w r. 1877, pochodził z Małopolski zachodniej; w r. 1892 przybył do Stanów Zjedn.; brał od początku bardzo dzielny udział w narodowem życiu Polonji; dość rzec, że założył sześćdziesiąt Grup dla "Związku Narodowego Polskiego" i trzydzieści dwa "gniazd" dla "Związku Sokołów". Ze zawodu robotnik, ciężko pracujący, dorobił się jakiego-takiego mienia; w r. 1920 przejął istniejący już od lat kilku w Cleveland, Ohio, dziennik "*Wiadomości Codzienne*", jeden z mniejszych, ale żywo redagowanych dzienników polsko-amerykańskich, którym zarządzał osobiście aż do zgonu w Cleveland, w r. 1940.

Antoni Paryski

Antoni Paryski (nazwisko przybrane, prawdziwe—Panek) urodził się we Województwie Warszawskiem w r. 1865, a do Ameryki przybył w r. 1883. Był ze zawodu drukarzem, osiadł zrazu w Detroit, Mich., za młodu pisywał do gazet polsko-amerykańskich, był także współpracownikiem i redaktorem Pism polskich w Chicago i w Milwaukee; potem pracował—jako reporter gazet angielskich w Cleveland i we Filadelfji. W r. 1886 osiadł w Toledo, Ohio, gdzie założył tygodniówkę *"Gwiazda"*, później przemienioną na *"Amerykę"*, a wreszcie na *"Ameryka-Echo"* od małego dzienniczka *"Echo"*, który również czas jakiś wydawał. W kierownictwie swej firmy wydawniczej wykazał niezaprzeczony spryt i duże zdolności organizacyjne: *"Ameryka-Echo"* było w ciągu lat szeregu największem co do cyrkulacji Pismem tygodniowem polsko-amerykańskiem, a że prowadzone było w typie jaskrawo radykalnym, miało wzięcie u łaknących sensacyj mas. Jednocześnie wydawał Paryski książeczki tanie, łatwo "idące", nierzadko nadzwyczaj liche i zupełnie bezwartościowe, nawet szkodnicze, bo posiewające malkontentacje i waśnie społeczne w Polonji. Te wydawnictwa, jak i całokształt działalności Paryskiego, nie należą do dodatnich przejawów publicystyki polsko-amerykańskiej. Ale firma wzrosła i bogaciła się: obliczają, że Paryski wydał zgórą dwa tysiące książek i broszur, o łącznej liczbie przeszło pięciu miljonów egzemplarzy. Dla sprawiedliwości dodać należy, że Paryski przedrukował też znaczną liczbę książek dobrych: powieści, historycznych, naukowych i t. p. Antoni Paryski zmarł w Toledo, Ohio, w r. 1935. Nakładową jego firmę, znacznie podupadłą ostatniemi laty, prowadzi dalej rodzina.

DZIENNIKARZE POLSKO-AMERYKAŃSCY

Starsi:

Tylko najwybitniejszych, więc i najważniejszych zamieścimy w tem miejscu; o niektórych jeszcze też znajdą się wzmianki w Rozdziale następnym:

Najstarsi: R. J. Jaworowski, redagował *"Echo z Polski"*; bliższych danych o nim niema w znanych nam zapiskach.

Aleksander Szczepankiewicz—redagował *"Orła Białego"*, podpisując go nazwiskiem "Dr. Sakoni": człowiek inteligentny, ale pisał słabo; był lekarzem, więc porzuciwszy dziennikarstwo, oddał się medycynie.

Ignacy Wendziński, typowy redaktor polsko-amerykański: wydawca, redaktor, administrator i zecer—wszystko w jednej osobie; zaczął pracę jeszcze u *"Orła Białego"*, potem pracował w całym szeregu Pism: zmarł w r. 1901 w Milwaukee, Wis. (wzmiankowany powyżej).

Zbigniew Brodowski—w r. 1874 redagował *"Kurjer Nowojorski"*, później pisywał do związkowej *"Zgody"* i wreszcie był jej redaktorem; był również prezesem "Związku Nar. Polskiego". Był autorem memorjału o Niepodległości Polski, który rozesłał rządom europejskim. Rząd Stanów Zjedn. mianował go swym konsulem w Solingen, w Niemczech, gdzie zmarł w r. 1901.

Z innych wymienimy tu: *J. Horaina*, który mieszkał w Kalifornji i stamtąd pisywał korespondencje do polskich Pism—w Polsce i w Ameryce, z których to prac znał go Henryk Sienkiewicz w okresie jego pierwszej do Ameryki podróży w r. 1876.

Dr. Julian Czupka—współpracował w całym szeregu Pism polsko-amerykańskich, także w krótkotrwałych—humorystycznych, jak *"Osa"* i *"Kukuryku"*: jest autorem śpiewanej przed laty słynnej piosenki, w której każda wrotka kończy się refrenem: "Ta Ameryka—to śliczny wolny kraj: wszystkiego dosyć ma—to ziemski raj!"

Z późniejszych nieco wspomnimy następujących:

Franciszek Jabłoński był jednym z najpoważniejszych redaktorów "*Zgody*" związkowej dawniejszego okresu; był również prezesem "Związku Nar. Polskiego": umarł w r .1908 w Chicago.

Ks. Dominik Domagalski nadzwyczajnie cięty polemista, współpracował we "*Wiarusie*" w Winona, Minn.

Jan Chrzanowski—był redaktorem "*Kurjera Polskiego*" w Milwaukee, a później "*Dziennika Narodowego*" w Chicago, który upadł wnet po pierwszej Wojnie Światowej.

Nikodem Złotnicki (Korngold) był wydawcą i redaktorem rozmaitych pisemek humorystycznych, coraz upadających i wznawianych, jak chicagoski "*Dzwon Niedzielny*", "*Cepy*" i innych. Był przez długi szereg lat członkiem dyrekcji "Związku Narodowego Polskiego".

Kazimierz Neuman był redaktorem "*Kurjera Polskiego*" w Milwaukee, a następnie "*Dziennika Chicagoskiego*", na którem stanowisku zmarł w Chicago w r. 1907.

Stanisław Ślisz, redaktor od r. 1887 do r. 1889 wojowniczego "*Kropidła*" w Chicago, i nie przebierający w metodach polemicznych zwolennik "Ecclesiae militantis"; następnie od r. 1889 do r. 1908 redaktor wydawanego w Buffalo przez Ks. Jana Pitassa dziennika "*Polak w Ameryce*". Później założył własny dziennik "*Polak Amerykański*"—w Buffalo, który jednak wychodził niedługo. Zmarł w Buffalo w r. 1909.

Stanisław Szwajkart: Urodził się w Stanisławowie, w Małopolsce, w r. 1857. Do Stanów Zjedn. przybył w r. 1880; przez lat kilka pracował, gdzie i jak się dało; przybywszy do Chicago był nauczycielem Szkoły św. Stanisława, a w r. 1892 został redaktorem "*Dziennika Chicagoskiego*", na którem stanowisku pozostawał do zgonu—w Chicago, w r. 1917. Należał do najpoważniejszych dziennikarzy polsko-amerykańskich; otrzymał wysokie odznaczenie papieskie "Order Św. Grzegorza", był w okresie pierwszej Wojny Światowej członkiem Wydziału Narodowego. Głos jego poważny i miarodajny—duże i ogólnie uznawane miał znaczenie w Polonji, a jego broszura "My a Wojna" zawarła treściwie a trafnie program polsko-amerykański w odniesieniu do owego kataklizmu dziejowego, z którego po wieku niewoli wyłonić się miała niepodległa Rzecz Pospolita Polska. Napisał też poemat dramatyczny p. t. "Mistrz Twardowski", część pierwszą planowanej, lecz nigdy nie wykonanej trylogji.

Młodsi:

Stefan Barszczewski—był w dziewięćdziesiątych latach wieku zeszłego redaktorem "*Sokoła*", potem "*Zgody*" związkowej; w r. 1901 wrócił do Warszawy i tam długie jeszcze lata pracował w dziennikarstwie. Zmarł w r. 1937.

Stanisław Osada: Urodzony w Polsce, w r. 1868, przybył do Ameryki w r. 1893; był redaktorem całego szeregu Pism polsko-amerykańskich, między innemi—"*Dziennika Milwauckiego*", krótko istniejącego na początku bieżącego wieku, potem "*Kurjera Polskiego*" w Milwaukee, "*Zgody*" w Chicago i "*Sokoła*" w Pittsburghu. Napisał wiele prac ze zakresu polsko-amerykańskich spraw i dziejów; samouk, lecz człowiek wysoce zdolny i pracowity; był pożytecznym działaczem społecznym i patrjotycznym Polonji Amerykańskiej. Zmarł w Pittsburghu w r. 1940.

Stanisław Orpiszewski: kowal, samouk, niezmiernie pracowity, wyrobił się na pożytecznego pracownika społecznego; był długi szereg lat redaktorem związkowej "*Zgody*", na którem stanowisku zmarł w r. 1920.

Leon Machnikowski: współpracownik wielu Pism, między innemi *"Wielkopolanina"* w Pittsburghu i autor książek popularnego typu: działał w pierwszej ćwierci bieżącego stulecia.

Tomasz Siemiradzki: Urodził się w Polsce w r. 1850. Był z zawodu nauczycielem gimnazjów w różnych miastach Polski i Rosji: uczył języków klasycznych. Sprowadzony do Seminarjum Polskiego w Detroit w r. 1895-tym; w lat kilka potem przerzucił się do dziennikarstwa; był angażowany przez Związek Nar. Polski do wygłaszania wykładów narodowo uświadamiających po osiedlach polsko-amerykańskich. Od r. 1901 do r. 1913 był redaktorem organu związkowego *"Zgoda"*. W okresie pierwszej Wojny Światowej stał na czele wyznawców tutejszych orjentacji centralnej, pro-niemieckiej i był prezesem głośnego "Komitetu Obrony Narodowej", który niepomyślnie odróżniał się od myślenia i prac olbrzymiej większości patrjotycznej Polonji, stojącej pod sztandarem Wydziału Narodowego i Polski z Koalicją, walczącej przeciw Niemcom. Od r. 1918 redagował *"Wiadomości Codzienne"* w Cleveland, gdzie zmarł w r. 1939-tym.

Antoni Czarnecki: uzdolniony dziennikarz amerykański pochodzenia polskiego; od szeregu lat współredaktor wpływowego dziennika *"Chicago Daily News"*; w czasie pierwszej Wojny Światowej dał się poznać—jako pierwszorzędny korespondent wojenny Prasy amerykańskiej; bierze żywy udział w polityce miejskiej i krajowej i na wybitne był mianowany urzędy; w polskiem życiu narodowem i społecznem uczestniczy szczerze i ze wszech miar pożytecznie.

Wachtl Karol, Dr.: Urodził się w Jarosławiu, w Polsce, w r. 1879. Uniwersytet — we Lwowie, gdzie był członkiem redakcji *"Wiadomości Artystycznych"* i katolickiego dziennika *"Przedświt"*. Do Stanów Zjedn. przybył w r. 1903 angażowany przez tygodnik *"Promień"* (La Salle, Ill.); następnie przez lat kilka redagował *"Naród Polski"*, organ urzędowy Zjednoczenia Pol. Rz. Katolickiego; wspólnie z Ks. Fr. Wojtalewiczem założył i redagował tygodniowe Pismo *"Polonia"* w So. Chicago, do dziś wychodzące. Współredaktor *"Dziennika Chicagoskiego"* od r. r. 1907, a od r. 1917 tegoż redaktor naczelny. Po pierwszej Wojnie Światowej wyjechał na lat parę do Polski; po powrocie był redaktorem naczelnym *"Kurjera Narodowego"* w Nowym Yorku, następnie czas jakiś redaktorem wydawnictw spółki "Polonia Publishing Co." w Trenton, N. J.; ostatnio od lat szeregu redaguje *"Gwiazdę"* we Filadelfji. Był w czasie pierwszej Wojny Światowej sekretarzem "Polskiej Rady Narodowej", pod której egidą utworzył i redagował Pismo *"Free Poland"*, Pismo po angielsku wydawane dla formowania opinji anglo-amerykańskiej na rzecz Sprawy Polskiej. Był również członkiem Wydziału Narodowego i przewodniczącym jego Komisji Prasowej. Wreszcie przez długi szereg lat był profesorem polonistyki w polskich Szkołach wyższych w Chicago.

Franciszek Barć: Pracę dziennikarską rozpoczął w *"Polaku w Ameryce"* w Buffalo; następnie pracował przy rozmaitych Pismach w Chicago i w Detroit, gdzie wraz z bratem założył, wydawał i redagował *"Ognisko Domowe"*, oraz *"Tygodnik Obywatelski"*. Na parę zawodów był obierany redaktorem *"Narodu Polskiego"*, organu urzędowego "Zjednoczenia Polskiego Rzym. Katolickiego". Dziennikarz zdolny i wybitny działacz Polonji Amerykańskiej.

Wiktor Alski: Dziennikarską pracę zaczął już w Polsce; od r. 1907 przebywa w Stanach Zjedn., gdzie pracował zrazu w *"Dzienniku Związkowym"* i w innych Pismach, a w r. 1920 założył *"Pittsburczanina"*, który czas jakiś wychodził też jako dziennik, później został przemieniony na Pismo tygodniowe. Zasłużony działacz społeczny i narodowy.

Orłowski J. Dr.: Wydawca i dziennikarz krakowski; do Ameryki przybył po ciężkich przejściach osobistych w r. 1907; był współpracownikiem wielu Pism polsko-amerykańskich i korespondentem z Ameryki Pism w Polsce. Należał do współpracowników Paderewskiego w Polonji Amerykańskiej. Zmarł w Chicago w r. 1940.

Tomasz Kozak: wybitnie lewicowy pisarz i współpracownik Pism tego autoramentu, jak "*Ameryka-Echo*", socjalistyczne "*Robotnik*" i "*Dziennik Ludowy*", który wychodził w Chicago przez lat kilkanaście w pierwszej ćwierci wieku bieżącego; później redaktor "*Dziennika dla Wszystkich*" w Buffalo: bardzo zdolny, ale nieumiarkowany w napadaniu i odsądzaniu od wartości wszystkiego, co się z jego osobistym nie zgadzało sposobem myślenia. Zmarł w Buffalo w r. 1930.

Czesław Łukaszkiewicz: talent—niezaprzeczenie wybitny, niestety wypaczony i zmarnowany w kierunku niepoprawnego a niesprawiedliwego kpiarstwa i szyderstwa bez skrupułów ze wszystkiego, co wyższe było i jest ponad jego metody; od lat współpracownik "*Ameryki-Echa*" i propagator niezależnictwa wśród Polaków Amerykańskich.

Jan Przyprawa: długoletni i na kilka zawodów redaktor "*Dziennika Związkowego*" w Chicago; przez lat szereg redagował też dziennik "*Monitor*" w Cleveland. Był w okresie pierwszej Wojny Światowej oficerem rekrutacyjnym Armji Polskiej, w której służył następnie, a po wojnie powrócił do zawodu dziennikarskiego. Pisarz zdolny i wybitny a pracowity działacz społeczny i narodowy. Zmarł w kwietniu, 1944.

Najmłodsi:

Karol Piątkiewicz: Zaczął pracę dziennikarską jeszcze we Lwowie; w Ameryce pracował w kilku Pismach codziennych, od czeregu zaś lat jest naczelnym redaktorem "*Dziennika Związkowego*".

Józef Przydatek: przez lat kilka redaktor "*Dziennika Chicagoskiego*"; obecnie urzędnik bankowy w Chicago.

Tomasz Jasiorkowski: dawniej redaktor "*Sokoła*" i "*Dziennika Zjednoczenia*"; w latach ostatnich redaktor codziennych "*Nowin*" milwauckich.

Zygmunt Stefanowicz: redaktor "*Dziennika Zjednoczenia*", a ostatnio organu Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego "*Narodu Polskiego*".

Ignacy Morawski: pracował w rozmaitych gazetach polsko-amerykańskich, oraz w miesięczniku "*Poland*", wydawanym w Nowym Yorku—w następstwie po "*Free Poland*", założonem w Chicago w okresie pierwszej Wojny Światowej; ostatnio redaktor "*Nowego Świata*" w Nowym Yorku.

Piotr Yolles: uzdolniony dziennikarz i pracownik społeczny, długoletni redaktor "*Nowego Świata*".

Adam Bartosz: dawniej redaktor "*Jedności*" w Baltimore, ostatniemi laty jest członkiem redakcji "*Gwiazdy Polarnej*" w Stevens Point.

Jan Cepura: jest redaktorem "*Dziennika dla Wszystkich*" w Buffalo.

* * *

Bodaj wzmiankować jeszcze wypada nam nazwiska następujących, co ważniejszych pracowników Prasy polsko-amerykańskiej: by ich choć zapamiętać w tej księdze o rzeczach i ludziach Amerykańskiej Polonji:

Aleksander Leon, redaktor "*Gwiazdy*" we Filadelfji i działacz społeczny, *Bernolak Stanisław* (długie lata członek redakcji "*Polaka w Ameryce*" Buffalo), *Boruń Tadeusz, Burke Karol, Czuwara B.* (oficer Armji Polskiej z Ameryki), *Dybowski Z.* (członek redakcji "*Wiadomości Codziennych*" w

Cleveland), *Głuchowski K., Gmernicki M., Ks. Dr. Godrycz J.* (wydawał przez lat kilka we Filadelfji miesięcznik polsko-angielski *"Przyjaciel Ludu"*), *Ks. Gordon Fr., C.R.* (długoletni zarządca *"Dziennika Chicagoskiego"*), *Kamiński B.* (długoletni redaktor *"Pittsburczanina"*), *Karłowiczowa J.* (redaktorka *"Głosu Polek"*, organu "Związku Polek" w Chicago), *Kolanowski S.* (zasłużony twórca szkół obywatelskich), *Kostrubala J.* (porucznik Armji Polskiej z Ameryki), *Krakowski L., Ks. Krol Fr.* (nadzwyczaj cięty polemista lat dawnych), *Kryszak Marja, Kułakowski B.* (zdolny, lecz bardzo niezrównoważony propagandysta socjalizmu i orjentacji pro-centralnej w okresie pierwszej Wojny Światowej), *Ks. Dr. Kwiatkowski W., C.R.* (wydawca *"Abstynenta"*, wydawanego czas niedługi w latach około 1910 r.), *Chrzanowska Stefanja* (redaktorka *"Głosu Polek"* i innych Pism współpracowniczka), *Leśnicki L., Lokański H., Matyka J., Mirski J. Napieralski S.* (wydawał czas jakiś w Chicago miesięcznik, poświęcony rolniczym sprawom i farmerstwu), *Nestorowicz Melanja* (długoletnia współpracowniczka *"Dziennika dla Wszystkich"* w Buffalo), *Openchowski Fr., Osostowicz M., Ostrowski J., Papara W., Paruch M., Pasterz A., Rayzacher S., Rąpała J.* (wieloletni współpracownik *"Nowin"* milwauckich), *Soyda W., Stachowicz Z.* (oficer rekrutacyjny Armji Polskiej z Ameryki), *Szczerbowski K., Szopiński L.* (zarządca *"Gazety Katolickiej"* w ciągu wielu lat i prezes "Zjednoczenia Pol. Rz. Katol.), *Wąsowicz T.* i *Stefan Nowaczyk*, wydawca *"Gwiazdy"* we Filadelfji, *Wedda Jan, Wendt W.* (należący do najstarszych wydawców tygodniówek polsko-amerykańskich), *Wild T., Zaklikiewicz S.* i *Żubr R.*

XII.

SZTUKI I WIEDZA

Społeczeństwo polsko-amerykańskie, jakkolwiek młode, młode nawet wśród ogółu napływowych tutejszych żywiołów narodowościowych, choć wyszłe z warunków ojczystych—najniekorzystniejszych, jakie tylko wyobrazić sobie można, jako że w Polsce zaborcy prześladowali i wyzyskiwali lud nasz, nie dawali mu się uczyć, ni pracować nad sobą, tendencyjnie utrzymując go ciemnym i ubogim,—społeczeństwo to — z racji swego intellektualnego upośledzenia—niezawinionego, było i tu również ciężko i długo skrępowane a wielostronnie upośledzone. Przecie—mimo tych trudności i przeszkód, nie tylko lud nasz tu ostał się, w znacznej mierze odrębność swą zachowując, nie roztopił się w morzu obcem, pogrążyć się nie dał, nie tylko, że stworzył sobie tu trwały byt i średni przynajmniej dobrobyt, ale jeszcze wytworzył życia swego społecznego i narodowego przejawy bardzo wartościowe, w ogólnem zesumowaniu stanowczo korzystnie o nas świadczące. To, cośmy o rzeczach naszych dotychczas napisali, o parafjach i organizacjach, o szkołach i Prasie, aczkolwiek — powtarzam — nie żywimy zarozumień niewczesnych, by to wszystko doskonałością było, jest jednak cennym dorobkiem i świadectwem bardzo poważnem, że lud nasz—to nie darmozjadów bezmyślna gromada, ale wartościowy żywioł w zespole tak polskim, jak ogólnoamerykańskim, którego nie wolno lekceważyć, a przeciwnie uznać mu należy jego dotychczasowe trudy i pomagać mu w pracach na przyszłość, bo one nie dla Polaków już tylko, ale i dla Ameryki właśnie doniosłe, co Amerykanie światli ochotnie uznają.

W Rozdziale niniejszym pragniemy omówić najwyższy rodzaj, najciekawszy zarazem—przejawów pracy umysłowej Polaków amerykańskich, dorobek ich już czysto—kulturalny, ideowy, wprawdzie skromny jeszcze, początkowe wciąż przechodzący sta-

dja, ale również już wcale pokaźny, świadczący, iż Polacy w Ameryce—po zabezpieczeniu bytu swego w tym kraju, myślą zkolei o upiększeniu, umileniu i uszlachetnieniu bytowania tutejszego, a korzystając ze zdolności wrodzonych naszemu ludowi, zaczynają tworzyć i—żyć duchem. Ambicje to i aspiracje—niezaprzeczenie bardzo zacne, bardzo szlachetne.

Omówimy tu—co ważniejsze z tych prób naszych w dziedzinach rozmaitych Sztuki i Wiedzy. Zaczynamy od piśmiennictwa, które łączy się z Prasą, w poprzednim Rozdziale omówioną.

PIŚMIENNICTWO

Ściśle rzecz biorąc, nie może być jeszcze mowy o oryginalnem, polsko-amerykańskiem piśmiennictwie, o literaturze prawdziwej, wychowanej wśród tutejszych osiedli polskich, jej samodzielnemi talentami wykwitłej i podtrzymywanej, wszystko bowiem, co wogóle w dziedzinach tu omawianych — wartościowego znachodzi się w Polonji, zdziałano przeważnie siłami, zaczerpniętemi z Polski; w każdym jednak razie i środowiska amerykańskiego wpływy są tu znamienne i widoczne, co się objawia w piściennictwie literackiem, oraz w Sztuce—naśladowaniem wzorów tutejszych, wyraźnem i charakterystycznem. Polsko-amerykańscy pisarze i artyści, a mamy tu tylko indywidualności prawdziwie wartościowe na myśli—to Grupa pierwsza, liczniejsza; talenty to ze Starego Kraju—a właściwie pisarze i artyści polscy, zaaklimatyzowani w Ameryce. Niejeden z nich znany był i ceniony także w Ojczyźnie, choć nieraz konsekwencją oddalenia zapomina się tam o nim, naprawdę niezasłużenie. Grupa druga, młodsza i mniej liczna narazie—to tutejsze talenty, to Amerykanie polskiego pochodzenia, piszący po angielsku najwięcej, nie mniej przeto poczuwający się do łączności z ojców piśmiennictwem, na którem się też kształcą i w niemałej mierze wzorują: znać na nich wpływy amerykańskich pojęć, prądów literackich i artystycznych, znać je w każdej dziedzinie twórczości. Obie grupy dość są odrębne, dosyć się zdala od siebie trzymają: polscy pisarze i artyści, to przeważnie starsi—amerykańscy, po angielsku piszący—to wyłącznie młodzi, zatem te same różnice, jakie się tu przejawiają na innych

polach naszych prac społecznych i narodowych między starszymi a młodymi, uwidoczniają się tem wyraźniej w dziedzinach twórczości umysłowej i duchowej.

O obu grupach zasadniczo rzec można, że talentów niezaprzeczonych w nich wiele, znacznie mniej wyrobienia artystycznego, na które jednak zpewnością czas przyjdzie; zbliża się ono nawet —zwłaszcza wśród młodych dosyć szybko: dotychczas społeczeństwo polsko-amerykańskie indywidualności literackich poważniejszej miary—jeszcze nie produkuje, zaczyna się to dopiero, ale razem z tem—mamy już w Polonji przecie i w omawianych dziedzinach poważne siły, a jednostki bardzo pożyteczne, wprost niezastąpione,—że zasię dziennikarstwo było tu i jest głównym propagatorem i protektorem ojczystego piśmiennictwa, przeto wielu dziennikarzy polsko-amerykańskich zajmuje i w piśmiennictwie naszem stanowiska wybitne. Przejdźmy do szczegółów i nazwisk:

Z najstarszych wzmiankujemy tu Juliana Horaina *(Patrz Przypiski)*, a po nim poprzednio już też wspomnianego Henryka Nagla *(Patrz Przypiski)*, właściwie pisarza z Polski, którego jednak sporo działania zostało wśród Amerykańskiej Polonji: napisał on tu kilka powieści, z których największa i bodaj najwartościowsza—to dawniej znana ogólnie, obszerna, odbijająca dobrze dolę wychodźczą, powieść "Kara Boża Idzie Przez Oceany". Po nim powieści o Polonji Amerykańskiej pisał dopiero Stanisław Osada *(Patrz Przypiski)*, autor licznych też rozpraw aktualnych o narodowych i politycznych problemach Polonji. Trzeciego w tej grupie wymienić muszę (choć nie rad) Czesława Łukaszkiewicza, który mimo nie przeczonego talentu—pisuje marne, iście paszszkwilanckie historje, które mają być wzięte z życia Polonji . . .

Z poetów długo pisano tu różnego rodzaju i miernej przeważnie wartości wierszydełka—ot takie, przygodne; trochę satyrycznych utworów napisał dawno—pół wieku temu Dr. Julian Czupka *(Patrz Przypiski)*; później znacznie pisywał je—nazbyt zjadliwe, Telesfor Chełchowski pod pseudonimem "Szczypawka". Dużo wierszy pisano w stylu ludowym, lecz o patrjotycznym polocie; często literacka wartość tych utworów była i bywa niewielka, ale oddają one wiernie ducha Polonji—szczerego, ofiarnego, gorąco patrjotycznego.

Poetą pierwszym Polonji w poważniejszem pojęciu — była niewiasta, wybitna działaczka narodowa, Teofila Samolińska, która dużo poezyj drukowała po ówczesnych (ośmdziesiąte lata zeszłego wieku) gazetach naszych *(Patrz Przypiski)*.

Po niej wyróżnia się—już nie do przeoczenia Szczęsny Zahajkiewicz *(Patrz Przypiski)*, poeta istotnie dużych zdolności, o wielkiej łatwości pisania, którego jednak ta łatwość właśnie, oraz chęć przystosowania się do poziomu, wśród którego działał przyprawiły—niestety—o znaczne lotów obniżenie, czego—ze względu na duży jego talent—żałować należy. Zahajkiewicz pisał najwięcej pod koniec minionego wieku; z licznych utworów jego — lepsze i trwalsze co do wartości są dramatyczne: "Perła Cylejska", "Dzieci Izraela"; pisał wiele bardzo dla młodzieży ("Ja się chlubię, żem Polakiem", piękny, dawniej ogólnie znany wiersz, szkoda, że zapomniany . . .).

W tej grupie pisarzy, dziś już starszych—i o sobie wspomnieć przychodzi: Karol Wachtl napisał i wydał dwa spore zbiory poezyj "Ciche Pieśni", I. i II., oraz w okresie pierwszej wojny światowej "Pieśni Orężne" (wydane w Polsce); nadto szereg cały utworów dramatycznych, oryginalnych i tłumaczonych z obcych języków.

Ze starszych wspomnimy jeszcze utalentowanego Stanisława Łempickiego, autora poematów dramatycznych "Surmy", "Sonata Duchów" i "Dzieci Słońca", oraz Hieronima Derdowskiego, długoletniego wydawcę i redaktora tygodnika "Wiarus" we Winonie, Minnesota, wychodzącego; Derdowski napisał parę poematów ludowych w narzeczu kaszubskiem, czem w piśmiennictwie polskiem zapewne unikat stanowi, ciekawy i wartościowy *(Patrz Przypiski)*.

Wśród pisarzy o wybitnie ludowym charakterze utworów, ze starokrajskiego ludu niezawodnie wyszłych, samouków, nierzadko utalentowanych wybitnie, wymienimy: dziennikarza poprzednio wzmiankowanego, Stanisława Orpiszewskiego, autora wielu wierszy patrjotycznych, Seweryna Skulskiego, Bronisławę Kasprzyńską, Kazimierza Ciepielę i Józefa Makowieckiego. Wyższym nierównie polotem, a lepszem znacznie wyrobieniem literackiem odznaczają się piękne utwory wybitnie uzdolnionego Janu-

sza Ostrowskiego (zmarł 1936 r.). Jadwiga Karłowiczowa, a także Marja Chybowska, Czesława Chądzyńska i Adam Bartosz zasługują również na wzmianki zaszczytne; na dalszem miejscu stawię utwory Franciszka Politowskiego (napisał zbiór poezyj "Ku Gwiazdom"), Stanisława Klukowskiego i Walerego Fronczaka.

Zamiłowania poetyckie, a myśl podniosłą, religijno-patrjotyczną, wykazują piękne wiersze Ks. Tomasza Bony, pisane pod pseudoninem K.T.Z. (skrót: "Kółko Tomasza Zana", którego wzmiankowany pisarz był współtwórcą); Ks. Feliks Ładoń, C.R., wspomniany poprzednio wydawca i redaktor "Przyjaciela Dzieci", napisał kilka bardzo udatnych i miłych powieści i powiastek dla wieku młodego. Ks. Dr. Mieczysław Barabasz napisał udatną sztukę sceniczną p. t. "Łupieżcy". W pierwszem ćwierćwieczu bawił w Polonji Ks. Dr. Alfred Wróblewski, napisał on tu sporo pięknych, a łatwych poezyj, przeważnie w duchu patrjotycznym, natchnionych przejściami narodowemi; autor ten wydał jeszcze w Starym Kraju "Marjologję w Polsce" oraz "Nauki Rekolekcyjne" a ostatnio—wielką monografję o Rzymie. Ks. Stanisław Iciek napisał i wydał kilka książek o swych po Stanach Zj. podróżach i sporo gawęd na tematy społeczne i patrjotyczne. Obrazki dramatyczne o patrjotycznej tendencji—dla młodzieży przeważnie —napisali Stefanja Chrzanowska i Ks. Aleksander Syski, a kilku utworów dramatycznych, na większe zamierzonych skale, autorem jest Albert Kowal, pisarz o europejskiem wykształceniu, który od 1909 r. osiadł w Polonji, w Buffalo—jako nauczyciel ("Bolesław Śmiały", "Królowa Jadwiga" i inne).

Wśród najmłodszej, współczesnej drużyny literackiej wymienimy — jako najzdolniejszego i bezsprzecznie najwybitniejszego, dziennikarza, M. A. Niedźwieckiego, którego duży zbiór wierszy, pod tytułem "Żarna Niebieskie", zawiera wiele prawdziwie wartościowych dowodów jego rzeczywistego talentu. Alfons Wolanin, archiwarjusz Muzeum Polonji w Chicago, zajmuje się pilnie i z widocznem uzdolnieniem poszukiwaniami historycznemi, dotyczącemi Polaków w Ameryce, oraz napisał powieść p. t. "Gama Warszawy". Z ducha polskie, choć po angielsku—piękne pisuje utwory utalentowana Halina Drelenkiewicz-Rekwart ("Wester-

platte" i "Muse of 1943"). Helena Staś pisywała w pierwszej ćwierci wieku bieżącego patrjotyczne i popularne powieści i powiastki. I. J. Orłowski, pisarz z Polski, osiadły wśród Polonji napisał tu kilka powieści, oraz życiorysy obszerne I. J. Paderewskiego i Heleny Paderewskiej. Po angielsku pisze nastrojowe wiersze, wybitnie duchem polskim natchnione, utalentowana Wiktorja Janda ("Star Hunger"), Monika Krawczyk ("No Man Alone", "Quilts" i inne).

Osobno omówić trzeba naszych tłumaczy literackich: Mamy ich już sporą gromadkę, która stworzyła tu bogatą wiązankę przekładów na język angielski utworów polskich; zalety literackie tych przekładów nierzadko są prawdziwe i wysokie. Na pierwszem tu stawiam miejscu Ks. Józefa Wachowskiego, pisarza o bardzo wybitnym talencie, niestety—przedwcześnie zgasłego: cykl jego przekładów, jak n. p. "Ojca Zadżumionych" Słowackiego, stanowi niezmiernie cenny przyczynek do angielskich przekładów z polskiej literatury. Wymieniamy dalej: Ks. S. Warakomskiego, Ks. K. Pijanowskiego, Jana Skibińskiego, Ks. J. Grochowskiego, Ks. A. Dworaczyka (przełożył niektóre kazania Ks. Piotra Skargi), E. Obecnego i M. Dziewickiego. Poczet tłumaczy wciąż wzrasta, bo mu przybywa adeptów literackich z nowych pokoleń młodych, z polsko-amerykańskiej inteligencji: młodzi nasi coraz liczniej, coraz chętniej podejmują studja odnośne i coraz wydatniej współpracują na polu przyswajania czytelnictwu amerykańskiemu i mowie angielskiej—nieznanych dotąd skarbów, z piśmiennictwa polskiego czerpanych. Ze starszych jeszcze tłumaczy na poczesnem wymienię miejscu Maksymiljana Drzymałę, zasłużonego tłumacza kilku dzieł Henryka Sienkiewicza: Maksymiljan Drzymała przejął po Hieronimie Curtin'ie mandat przekładów Sienkiewicza na język angielski i wywiązał się zeń znakomicie, nietylko bowiem język jego angielski odznacza się świetnemi walorami literackiemi, ale i zmysł artystyczny tłumacza, niepośledni widocznie, przydał zalet jego pracom, oddającym wspaniale mistrzowskie cechy oryginałów.

Jeszcze w r. 1883-cim Paweł Sobolewski opracował i wydał obszerną antologję przekładów angielskich z poetów polskich: przekłady, w tej książce zawarte, w znacznej części są przez Sobo-

lewskiego dokonane; nadto dzieło zawiera zwięzłe, udatne życiorysy tłumaczonych autorów. Nie wszystkie przekłady Sobolewskiego są arcydziełami, ale całość dzieła—jest po dziś-dzień jedynym podręcznikiem literatury polskiej po angielsku, wraz z odpowiedniemi wypisami. Książki tej wyszły trzy wydania, dwa pierwsze dziś już rzadkie.

Zaznaczyć należy, że działają w Ameryce — niewielu, niewielu jeszcze, ale są już—Amerykanie, miłośnicy—tłumacze arcydzieł polskich na angielski język. Tu należą: Prof. A. P. Coleman, wykładowca literatur słowiańskich w "Columbia University" w Nowym Yorku, oraz jego małżonka, Marion Coleman: razem oni przełożyli z dużym i widocznym pietyzmem kilka utworów polskich, dawniejszych i nowoczesnych, że tylko wspomnimy "Marję Stuart" Słowackiego i "Marję" Malczewskiego. Marja Mańkowska przetłumaczyła bardzo udatnie B. Prusa "Faraona" i kilka innych książek polskich; pisuje też stale do angielskich czasopism. Najznakomitszym zasię Amerykaninem, tłumaczem arcydzieł polskich jest Prof. Jerzy Rapall Noyes, wykładający od lat filologję w Berkeley Uniwersytecie, w Kalifornji *(Patrz Przypiski)*. Profesor Noyes, wraz z małżonką, p. Florentyną Noyes, specjalne poświęcili i długie studja językowi polskiemu, który znają tak niezawodnie, jak go nie zna pewnie wielu Polaków: dzięki temu przełożyli na język angielski z niezrównaną subtelnością artystyczną, a zarazem ścisłością zdumiewającą — wspaniały nasz epos, "Pana Tadeusza", oraz cykl cały poematów Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Kochanowskiego, Wyspiańskiego, Fredry i innych jeszcze. Profesor Jerzy R. Noyes jest zaiste najzasłużeńszym, jak jest niezaprzeczenie najwybitniejszym—z przekładowców angielskich z języka i piśmiennictwa polskiego, które znakomitemu temu pisarzowi i uczonemu zawdzięcza niezmiernie wiele w dziedzinie uprzystępnienia dorobku kultury polskiej światu poza-polskiemu.

Na zakończenie tej części Rozdziału wypada nieodzownie rzec uwag kilka bodaj o niektórych rodzajach specyficznie amerykańskich polskiego piśmiennictwa, utylitarnych, kommercjalnych, a przecie też nie pozbawionych, choć czasami, historycznych i literackich wartości: są to kalendarze, pamiętniki i księgi pa-

miątkowe, albumy okolicznościowe, wreszcie książki i książeczki religijne i dewocyjne. Rzeczy tych opracowuje się w Polonji Amerykańskiej z roku na rok liczbę bardzo wielką, a niektóre z nich są prawdziwie imponujących rozmiarów i trwałego znaczenia. Do takich należą wydawane przez "Związek Nar. Polski" od lat wielu Kalendarze, sporo podające pożytecznej lektury przedrukowej; z ksiąg pamiątkowych należy koniecznie wzmiankować ogromne rozmiarami i w treść obfite Album, wydane w r. 1917 w Chicago—z okazji Złotego Jubileuszu olbrzymiej tamtejszej Parafji św. Stanisława.* Po angielsku wydano też szereg takich ksiąg i albumów, jak n. p. "Poles of Chicago" (1837-1937), książka ciekawa, starannie i gruntownie opracowana. We Filadelfji wydano opisanie obszerne wszystkich Parafij polskich w obrębie Archidiecezji Filadelfijskiej znajdujących się. Publikacyj takich jest wiele więcej: zasługują one na uwagę wszystkich, studjujących dzieje i sprawy Polaków w Ameryce, zawierają bobiem bardzo wiele cennych i ciekawych materjałów.

W zakresie wydawnictw dewocyjnych wymienić należy książki do nabożeństwa, przeważnie przedruki polskich z Europy, rozliczne książeczki podręczne do nabożeństw szczególniejszych, kazania, życiorysy Świętych Pańskich i t. p.: rzeczy tych jest drukowanych dużo, ale z tem wszystkiem do chwili, w której ta książka w świat idzie, nie posiadamy w Polonji tutejszej dobrej, do potrzeb i pojęć przystosowanej językowo i myślowo—książki do nabożeństwa polskiej, ani też niema podręczników rytualnych katolickich, a Duchowieństwo nasze posługuje się albo łacińskiemi albo z konieczności angielskiemi. Zaznaczyć należy, że o tych rzeczach myślano od dość dawna, nawet przygotowywano do takich opracowań materjały — w Chicago; ostatnio planuje się i opracowuje publikacje tego zapotrzebowania—we Filadelfji.

Katechetyczne podręczniki pisał najlepsze, nader uproszczone, Ks. Feliks Ładoń, C.R., autor zarazem bardzo obszernego i gruntownego przewodnika dla nauczycieli katechizmu. Homiletyczne studja od lat uprawia Ks. Aleksander Syski *(Patrz Przypiski)*, inicjator pierwszego w Polonji zjazdu homiletycznego, o

* Zredagowane przez autora książki niniejszej.

którym też w poprzednich Rozdziałach wspominałem: Ks. Syski napisał i ogłosił kilka zbiorów kazań, a od paru lat wydaje Pismo homiletyczne *"Kazalnica Popularna"*; drugie w tym rodzaju Pismo p. t. *"Kazalnica"* wydają Ks. Wincenty Stancelewski i Ks. S. Iciek *(Patrz Przypiski)*: oba te wydawnictwa dają pożądaną bardzo pomoc dla młodych przedewszystkiem kapłanów polsko-amerykańskich, często kształconych w zakładach niepolskich, więc pozbawionych studjów polonistyki. Zbiory kazań, większe, lub mniejsze, wydało wielu — starszych zwłaszcza, księży polskich; niektóre z nich bardzo piękne, także o literackich walorach, a wszystkie mają w stosunkach polsko-amerykańskich wartość praktyczną wielką i trwałą.

PRZYPISKI

JULIAN HORAIN

Właściwie to pisarz polski, ale lat szereg spędził w Ameryce. Urodził się w r. 1821, do Stanów Zjedn. przybył w r. 1871; mieszkał w Hoboken, pod Nowym Yorkiem, skąd pisywał do Pism w Polsce udatne, przeważnie humorystyczne korespondencje i szkice. Korespondował z Sienkiewiczem, którego zachęcał do odwiedzenia Ameryki; wygłaszał w Nowym Yorku odczyty o piśmiennictwie polskiem. Wrócił do Polski w r. 1880, osiadł we Lwowie, później w Krakowie, gdzie zmarł w r. 1885. Napisał sporo obrazków i nowell, w tem niemało z życia amerykańskiego; najważniejszą jest powieść "5P—IR". Książki jego wydawane też były w Polonji Amerykańskiej.

HENRYK NAGIEL

Urodzony w r. 1859, we Warszawie: w r. 1887 przybył do Stanów Zjedn., gdzie redagował gazety polsko-amerykańskie w Nowym Yorku, w Buffalo i w Chicago. Do Polski wrócił w r. 1896 i redagował we Lwowie *"Słowo Polskie"* do zgonu—w r. 1900. Napisał kilka powieści popularnych, z tych najbardziej znane w Polsce—"Tajemnice Nalewek", a w Ameryce "Kara Boża Idzie przez Oceany". Jest autorem cennej rozprawy *"Dziennikarstwo Polskie w Ameryce"*.

STANISŁAW OSADA

Dziennikarz polsko-amerykański, jak podano w *Przypiskach* do Rozdziału o Prasie. Napisał szereg cały książek o sprawach polskich w Polonji Amerykańskiej, oraz kilka powieści, z tych najważniejsze, wykazujące literackie zalety autora, p. t. "W Dniach Nędzy i Zbrodni" i "Z Pennsylwańskiego Piekła", powieści na tle życia polsko-amerykańskiego.

DR. JULJAN CZUPKA

Z zawodu adwokat, ze zamiłowania literat (nie nadzwyczajny); urodzony w Czortkowie, w Małopolsce, w r. 1854, przybył do Ameryki w r. 1882, redagował tu kilka gazet i wydawał humorystyczne pisemka "Osa" w Nowym Yorku, a następnie "Kukuryku" w Buffalo. Porzuciwszy dziennikarstwo, wrócił do adwokatury, praktykował we Filadelfji, gdzie zdaje się umarł (rok zgonu nieznany). Jest autorem m. i. słynnej swego czasu piosenki o Ameryce żartobliwej, dziś rzadkiej; dlatego ją przypominamy poniżej:

Ameryka, To Śliczny, Wolny Kraj...

Gdy w domu ci jest źle,
Wolności ci się chce,
Porzuć ten brzydki dom,
Jedź do naszych stron.
A tu ci błogi los
Napełni złotem trzos,
Zaświta szczęście ci
Wesołych dni!
Bo to Ameryka
To śliczny wolny kraj
Wszystkiego dosyć ma,
To ziemski raj!

Gdy skradniesz chleba kęs,
By zaspokoić głód,
Zamkną cię tu na rok
I nie wypuszczą wprzód—
Lecz skradnij złota trzos,
To świetny zrobisz los,
Postawisz tylko bejl
Otworzą ci wnet dziejl.
Bo to Ameryka
To śliczny wolny kraj,
Wszystkiego dosyć ma,
To ziemski raj!

Zarobku pełno tu
I pracy wielka moc:
Szukasz jej bez tchu,
Biegając dzień i noc.
A gdy świadectwa masz
Aż z jakultetów dwóch
Posadę dadzą ci
Do dojenia krów!
Bo to Ameryka,
To śliczny wolny kraj,
Wszystkiego dosyć ma,
To ziemski raj!

TEOFILA SAMOLIŃSKA

Żyła i działała w Chicago, w siedmdziesiątych i ośmdziesiątych latach zeszłego wieku. Pilna pracownica społeczna i utalentowana pisarka: poezje jej pokazywały się często na szpaltach Pism naszych. W r. 1880 otrzymała pierwszą nagrodę na konkursie literackim we Warszawie — za komedję p. t. "Trzy Flory". Była autorką listu do Agatona Gillera, na który odpowiedź jego stała się bodźcem do założenia "Związku Narodowego Polskiego". W r. 1879 na zlecenie Polsko-Amerykańskiego Komitetu napisała piękny rymowany adres dla I. J. Kraszewskiego — z okazji jego literackiego jubileuszu.

SZCZĘSNY ZAHAJKIEWICZ

Urodził się w Stanisławowie, w Małopolsce, w r. 1861. Był ze zawodu nauczycielem; w Polsce wydawał popularne pisemko dla dziatwy pod nazwą *"Światełko"*; pisywał poezje do Pism literackich, humorystycznych i artykuły do Pism zawodowych. W r. 1889 przybył do Ameryki, osiadł w Chicago, gdzie był przez długie lata nauczycielem Szkoły św. Stanisława. Czas jakiś wydawał humorystyczne pisemko "Komar". Napisał długi szereg utworów poetycznych i dramatycznych dla teatrów amatorskich, ludowych; wiele ich zaginęło —niewydanych. Do najlepszych i najważniejszych prac Zahajkiewicza nale-

żą: "Rymy" i "Poezje"—zbiórki utworów poetycznych, oraz: "Dwie Baśnie", "Pamiętniki Mądrej Muchy", "Wśród Indjan", "O Janie Karolu Chodkiewiczu", "Czarownik", "Trzy Ziarnka Grochu" i inne: są to powiastki bardzo udatne dla wieku młodego; sceniczne utwory: "Dzieci Izraela", "Noc Czarodziejska", "Jasna Góra", "Perła Cylejska", "Królowa Jadwiga", "Muras" i inne. We wszystkich tych utworach, których nie zliczyć tak ich było wiele, podawał Zahajkiewicz myśli dobre i piękne, a naukę narodową czystą: uczył, bawił, organizował kółka literackie i sceniczne; był w tej dziedzinie niezapomnianym i niezastąpionym pracownikiem, bo zastąpić go wówczas nie było komu, był w swoim rodzaju—jedyny. Zmarł w Chicago, w r. 1917.

HIERONIM DERDOWSKI

Urodził się we Wielu, na Pomorzu Kaszubskiem, w r. 1852. Współpracował w gazetach polskich, pisząc najwięcej o Kaszubach. Do Ameryki przybył w r. 1884. Dziennikarz z zawodu, redagował tu kilka gazet, najdłużej "Wiarusa" we Winonie, Minn. Pisywał również pod pseudoninem "Herus Derda". Zmarł we Winonie, w r. 1902. Jest autorem wielu wierszowanych utworów i jedynego w swym rodzaju poematu, napisanego w polsko-kaszubskiem narzeczu, pod tytułem "O Ponu Czorlińścim". Utwory Derdowskiego znane są dobrze do dziś—na Kaszubach, wśród których należy on do przewodnich budzicieli ducha narodowego. Jego działań szlachetnem hasłem był dwuwiersz: "Czujcie to ze serca toni—skład nasz apostolski: Niema Kaszeb bez Polonji, a bez Kaszeb Polści".

JERZY RAPALL NOYES

Profesor Jerzy Rapall Noyes, wybitny uczony i pisarz amerykański, zapoznał się z piśmiennictwem polskiem w r. 1898, kiedy studjując na Uniwersytecie Petersburskim języki słowiańskie, zetknął się z uczonymi polskimi; odtąd przez kilka dziesiątków lat ze szczególniejszem umiłowaniem pracuje nad literaturą polską; poznał język polski źródłowo i gruntownie, a z pod pióra jego wyszedł szereg cały znakomitych przekładów arcydzieł polskich na język angielski, w których to pracach pomaga mu stale jego małżonka p. Florentyna Noyes, również literatka miary zgoła niepospolitej. Lista dotychczasowych przekładów Prof. Noyes'a przedstawia się jak następuje:

Pan Tadeusz, A. Mickiewicza, Londyn 1917. (Następnie wyszły dwa jeszcze nakłady).

The Dismissal of Grecian Envoys, (Odprawa Posłów Greckich). J. Kochanowskiego, Berkeley, 1918.

Laments (Treny), J. Kochanowskiego, Berkeley, 1920.

Konrad Wallenrod and other Writings of Adam Mickiewicz, Berkeley, 1925 (zawiera prócz Wallenroda, Farysa, Dziady, część 2-gą, Ballady, Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego).

Forefather's Eve. (Dziady, Prolog, części I—IV), Mickiewicza, 1926.

Iridion. Z. Krasińskiego, Oxford, 1927 (przetłumaczony przez p. Florentynę Noyes pod redakcją i z przedmową Prof. G. R. Noyesa).

Poems, J. Kochanowski, Berkeley, 1928.

Ladies and Hussars, (Damy i Huzary) Al. Fredry, New York, 1925. (wspólne tłumaczenie państwa Noyes).

The Religion of Ancient Greece, Tad. Zielińskiego, Oxford, 1926.

Anhelli, J. Słowackiego, Londyn, 1930.

Father of Plague-Stricken (Ojciec Zadżumionych) Słowackiego, Londyn, 1932.

Protesilaus and Laodamia, S. Wyspiańskiego, Londyn, 1933.

Meleager, S. Wyspiańskiego, 1935.

Nie wszystkie z tych dzieł Prof. Noyes tłumaczył sam, wszystkich jednak przekładów był redaktorem. Pomocnikami Jego, oprócz p. Florentyny Noyes, byli przeważnie słuchacze jego wykładów literatury słowiańskiej, które prof. Noyes z wielkiem powodzeniem prowadzi w Berkeley już przeszło ćwierć wieku. Prof. Noyes jest również członkiem szkoły studjów słowiańskich w King's College na Uniwersytecie Londyńskim, członkiem Instytutu Słowiańskiego w Pradze i członkiem Amerykańskiej Akademji Sztuki i Umiejętności.

W uznaniu wysoce zasłużonej pracy Prof. Noyes'a, Polska Akademja Umiejętności w Krakowie wybrała go w r. 1927 współpracownikiem Komisji Literackiej, a w r. 1930 członkiem korespondentem swego Zagranicznego Wydziału Filologicznego. Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie nadał mu honorowy doktorat w r. 1929, z okazji 350-tej rocznicy swego założenia; w r. 1930 rząd polski odznaczył go oficerskim krzyżem "Polonia Restituta".

KS. ALEKSANDER SYSKI

Wykształcony w petersburskiej Akademji Duchownej, przybył do Stanów Zjedn. krótko przed pierwszą Wojną Światową. W pierwszych latach był proboszczem jednej z parafij polskich pod Bostonem; od szeregu lat przeniósł się do Seminarjum Polskiego w Orchard Lake, gdzie należy do grona nauczycielskiego. Pisuje stale do różnych Pism polsko-amerykańskich; jest autorem sporej liczby utworów popularnych dla młodzieży i ludu, oraz obszernej biografji Ks. Józefa Dombrowskiego, założyciela Seminarjum Polskiego w Ameryce. Napisał też i wydał kilka tomów kazań polskich na niedziele i święta, oraz przygodnych: wszystkie odznaczają się czystością języka, piękną formą i treścią podniosłą. Od r. 1937 wydaje *"Kazalnicę Popularną"*, a w r. 1937 zaaranżował pierwszy polski zjazd homiletyczny w Ameryce.

KS. WINCENTY STANCELEWSKI

Urodził się w Pittsburghu, w r. 1894; kształcił się na Uniwersytecie Duquesne i w Seminarjum św. Wincentego, w Latrobe, Pa.; święcenia kapłańskie otrzymał w r. 1918. Organizator i Proboszcz parafji ŚŚ. Filipa i Jakóba w New Castle, Pa. Pierwszorzędny działacz niw religijnych i społecznych, kilkakrotny prezes Stow. Kapłanów Polskich Diecezji Pittsburskiej; inicjator i organizator pamiętnego Zjazdu Duchowieństwa Polskiego, w r. 1938, o którym w jednym z poprzednich Rozdziałów pisałem obszernie. Wydawca "Kazalnicy", miesięcznika homiletycznego.

KS. STANISŁAW ICIEK

Urodził się w Hilliard, Mich., w r. 1882. Kształcił się w Seminarjum Polskiem, w Detroit, Mich. Pracował w Archidiecezji St. Paul; w czasie pierwszej Wojny Światowej wstąpił do Armji Polskiej, jako kapelan. Po powrocie z wojny osiadł w Nowej Anglji, gdzie przez kilkanaście lat był Proboszczem parafji polskiej w Norwich, Conn. Pisywał do gazet polskich o sprawach społecznych i narodowych, wydał kilka opisów swych podróży; redagował miesięcznik homiletyczny "Kazalnica". Zmarł 18go marca, 1944 r.

Muzyka polsko-amerykańska była pod względem twórczym do niedawna uboga bardzo. Wydawane tu kompozycje naszych domorosłych muzyków, mało oryginalne, delikatnie powiedziawszy,—są właściwie przeróbkami utworów europejskich kompozytorów, często nawet nie polskich; dopiero ostatniemi czasy zyskaliśmy poważnych muzyków jak: Aleksandra Karczyńskiego i Eugenjusza Walkiewicza *(Patrz Przypiski)*, którzy na polu muzyki i pieśni, zwłaszcza kościelnej, wykazują szereg opusów — pięknych i cennych: muzycy to są miary wysokiej i bardzo poważnej.

Odtwórcza strona naszej muzyki o wiele lepiej się przedstawia: zespołów śpiewaczych i orkiestralnych mamy sporo—bardzo dobrych, śpiewacze istnieją przeważnie po parafjach: z takich wzmiankować wypada najstarszy bodaj w Polonji naszej Chór św. Stanisława Kostki w Chicago, założony jeszcze w r. 1875-tym, którego twórcą i kierownikiem przez przeszło półwiecze był zasłużony pracownik i dobry muzyk, Andrzej Kwasigroch; wymienić tu dalej należy zasłużonego trwale Emila Wiedemana, kierownika od wielu lat chórów w parafji św. Jadwigi w Chicago, w parafji zaś św. Trójcy w Chicago dziesiątki lat pracował senior muzyków i organistów polsko-amerykańskich, Antoni Małłek, kompozytor wielu popularnych pieśni *(Patrz Przypiski)*.

Młodszych, coraz lepiej zawodowo kształconych organistów posiadamy dziś we wszystkich większych parafjach i osiedlach.

Z pośród kompozytorów i muzyków młodszych, polsko-amerykańskich generacyj wymienimy uzdolnionego pianistę, Władysława Fifielskiego: jeszcze młodszym, jest wysoce utalentowany kompozytor i pianista Tadeusz Kożuch *(Patrz Przypiski)*. Przypomnieć też należy Bronisława Rybowiaka, długoletniego kierownika szkoły muzycznej w Chicago i dyrygenta długo najlepszego w Polonji, męskiego Chóru "Filaterów".

Pożytecznie pracuje na niwie muzycznej od czasów po pierwszej wojnie światowej dyrygent i kierownik chórów, Szczepan Sieja *(Patrz Przypiski)*. Wzmianka życzliwa należy się również jednemu z najstarszych w Polonji wydawców muzycznych, Bolesła-

wowi Zalewskiemu, oraz utalentowanemu, a niezwykle przedsiębiorczemu na niwie wydawniczo-muzycznej i pedagogicznej, pianiście, Marjanowi Różyckiemu, który działał w dwudziestych latach bieżącego stulecia.

Śpiewaków, bardzo dobrych, mamy w Polonji zastęp duży: jak się rzekło, po wszystkich parafjach i osiedlach są chóry, kierowane przez organistów, nie brak jednak i poza-kościelnych Towarzystw śpiewaczych, męskich, żeńskich i mieszanych — we wszystkich miastach polskich. Towarzystw tych spora część złączona jest w w Związek Śpiewaków *(Patrz Przypiski)*, posiadający liczne grupy i oddziały; działalność Związku tego z konieczności dość jest ograniczona, bo utrudniona rozrzuceniem drużyn śpiewaczych na wielkich przestrzeniach kraju. Przez długie lata prezesem Związku Śpiewaków byli wspomniani wyżej B. Zalewski, A. Małłek, ostatnio jest nim Wład. Panka. Śpiewaków — amatorów, o artystycznem nieraz wyszkoleniu i śpiewaczek—posiadamy dużo niepoślednich: z tych rozgłos znaczny w Polonji pozyskały swego czasu Chicagowianki, Róża Kwasigrochowa i Agnieszka Neringowa (zmarła w r. 1922).

Szkół śpiewu, konserwatorjów muzycznych — własnych nie posiadamy; były przed laty czynione próby utworzenia takich instytucyj, ale nie przekroczyły one stadjów początkowych o bardzo skromnym zasięgu.

We Filadelfji od kilku dziesiątek lat uczy muzyki i prowadzi chóry polskie muzyk wybitny, Prof. Władysław Grigaitis, a w Cincinnati, Ohio, w Konserwatorjum amerykańskiem jest profesorem Dr. Karol Liszniewski *(Patrz Przypiski)*.

W Nowym Yorku przebywają od lat wielu znakomici nasi pianiści—Zygmunt Stojowski *(Patrz Przypiski)* i Leopold Godowski, doskonały kontrapunkcista, którzy jednak dość dalekie z Polonją utrzymują stosunki. Bliższy nam był znacznie—lecz dopiero od wybuchu pierwszej Wojny Światowej—wielkiej sławy muzyk I. J. Paderewski, którego jednak działalność w Polonji Amerykańskiej należy do dziedzin politycznych, nie do artystycznej. Również w czasie tej pierwszej Wojny Światowej osiadł wśród Polonji i odtąd pracuje tu bardzo pożytecznie Tadeusz Wroński, dobry śpiewak—dawniej, do dziś doskonały organiza-

tor antrepryz operowych i dyrygent orkiestr *(Patrz Przypiski)*.

Jako osobną grupę wymieniamy muzyków, którzy właściwie do Polski należą—tylko w Ameryce osiedli; z Polonją Amerykańską nie utrzymywali oni i przeważnie nie utrzymują stosunków bliższych, bo długo—w dawniejszych latach Polonja ta znaczenia większego nie miała, zwłaszcza w świecie artystycznym, a później —bo zainteresowań nią nie wzbudzili w sobie wcześniej ci artyści polscy. Do grupy tej należą z najdawniejszych—wybitny pianista Antoni Kątski *(Patrz Przypiski)*, po nim bracia—Jan i Edward Reszkowie, światowej sławy śpiewacy i — świata raczej całego obywatele, którzy zresztą część tylko życia spędzili w Ameryce; bliższą nam była długie lata mieszkająca w Nowym Yorku, Marcelina Kochańska *(Patrz Przypiski)*, która z Polonją w okresie pierwszej Wojny Światowej zbliżyła się sympatycznie i współpracowała patrjotycznie. W Massachusetts od dawna mieszkają Zofja i Wanda Naimskie, oraz Józef i Antonina Adamowscy; pani Adamowska, wybitna pianistka, była długo solistką orkiestry symfonicznej w Bostonie *(Patrz Przypiski)*; mąż jej, Józef był również członkiem tej orkiestry — jako wiolonczelista *(Patrz Przypiski)*.

We Filadelfji od lat wielu jest profesorem muzyki w słynnym Curtis'ów Instytucie wirtuoz-pianista światowej sławy, Józef Hofman *(Patrz Przypiski)*; również działa tam poważny kompozytor, Tadeusz Górecki. Z młodszych wymienimy pianistę i dyrygenta wybitnego, Wiktora Łabuńskiego, również kompozytora niepośledniej miary, dalej dyrygentów orkiestr symfonicznych amerykańskich, Jerzego Bojanowskiego i Artura Rodzińskiego, bardzo cenionego i popularnego; do pochodzenia, czy powinowactwa z polskością teoretycznie ... przyznaje się i Leopold Stokowski, jeden z najpierwszych dyrygentów i orkiestratorów współczesnych. Z innych muzyków polskich, osiadłych w Stanach Zjedn., wymienimy jeszcze co najwybitniejszych—następujących: pianistki — Wandę Landowską i Helenę Morsztyn; skrzypkami o wirtuozowskich walorach są Michał Wilkomirski i Jerzy Szpinalski; ze śpiewaków upamiętnili się od lat Adam Didur, wieloletni członek pierwszej w świecie, "Metropolitan" opery w Nowym Yorku i Jan Kiepura; znanymi również i Amerykanom kompozytorami są Ta-

deusz Jarecki, Mieczysław Ziołkowski; nakoniec wspomnimy znanych zaszczytnie: Bronisława Hubermana, Pawła Kochańskiego, Ignacego Friedmana, Antoniego Rubinsteina i Grzegorza Fitelberga. Lista nazwisk—bynajmniej nie kompletna, bo też tylko najważniejsze i najbardziej znane tu wyliczono. Jak zaznaczyłem, wszystko to są muzycy raczej polscy, niż polsko-amerykańscy, którzy przez swe działanie artystyczne, przez swe występy w Ameryce—przymnażają tu sławy dobrej narodowości polskiej i bogacą jej kulturalny, międzynarodowej doniosłości, dorobek.

Z Polaków-Amerykanów zasię młode generacje wykazują talentów pięknych bardzo wiele; żaden z nich nie dobił się jeszcze sławy światowej, ale pożytecznie i chwalebnie działa ich dużo—tak w Polonji, jak poza nią. Znów tu tylko niektórych, co najwybitniejszych wymienić mogę, jak oto: Tadeusza Kożucha, pianistę *(Patrz Przypiski)*, dyrygentów i kompozytorów — Karola Chylińskiego i Andrzeja Skalskiego, pianistę, oraz kierownika orkiestr i chórów, Zdzisława Skubikowskiego, twórcę "Young People's Orchestra" w Chicago, skrzypka — Antoniego Beka, śpiewaczki Marję Broniarczykowną, Marję Gruszczyńską, Genowefę Zielińską. William Koprowski, pianista z Nowego Yorku, uzyskał nagrodę muzyczną Stanu New Jersey, oraz stypendjum Rządu Polskiego i z powodzeniem koncertował w Europie; Edmund Łukaszewski, organista, dyrygent i kompozytor, otrzymał nagrodę "Związku Światowego Polaków" i kończył studja w Warszawie, poczem powrócił do Stanów Zjednoczonych, gdzie pracuje pożytecznie i zaszczytnie.

Z biegiem lat i w miarę wyrabiania się intellektualnego, przybywa Polonji naszej pracowników światłych i artystów—we wszelkich dziedzinach: prace ich twórcze należą co prawda, raczej do ogólno-amerykańskiego świata, ale że z polskich wychodzą kół i sfer, nierzadko polskich pierwiastków narodowych zawierają echa, przysparzając cywilizacji amerykańskiej i kulturze nowych a cennych walorów i piękna—z Polskiej Pieśni wziętych.

* * *

W ostatnich latach znaczy się w Polonji ruch bardzo pożyteczny, a miejscami wcale ożywiony—w kierunku organizowania w Kluby Artystyczne wszystkich adeptów twórczych, lub choćby

tylko miłośników wszelkich rodzajów Sztuki, a więc: pisarzy i poetów, malarzy i rzeźbiarzy, muzyków i innych. Zaczęło się to w Chicago, w latach dwudziestych bieżącego wieku — pod nazwą "Polish Arts Club"; odtąd podobne Kluby potworzyły się w kilku innych, ważniejszych i większych osiedlach polskich. Przewodni a niezmordowany pracownik głównego Klubu—chicagoskiego, Tadeusz Śleszyński w referacie na zjazd Klubów takich w Nowym Yorku, w r. 1939-tym odbyty, tak określa ich cele i działania:

"Polski Klub Artystyczny, we formie, w jakiej istnieje w różnych miastach, jest stosunkowo nowem zjawiskiem. Zadaniem tych klubów jest prowadzenie, współpraca i zachęta następujących czynności:

1. Wystawy obrazów, rzeźb i rękodzielnictwa;
2. Koncerty i inne muzykalne przedsięwzięcia;
3. Dramatyczne przedstawienia;
4. Wykłady z dziedziny literatury lub innych sztuk pięknych.

Ażeby zillustrować postęp zrobiony w ostatnich piętnastu latach, niech mi będzie wolno wskazać na Wystawę Obrazów i Rzeźb urządzoną w Chicago w marcu, 1939, przez Polski Klub Artystyczny: w tym roku, po raz pierwszy, organizacje narodowe ofiarowały fundusze na nagrody; były to: Związek Narodowy Polski, Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie, Tow. Polskich Lekarzy, Stow. Polskich Adwokatów i Tow. "Chicago", składające się z profesjonistów różnych zawodów.

Nasi polsko-amerykańscy artyści zdobywają uznanie przez wystawianie swych prac w "Chicagoskim Instytucie Sztuk Pięknych", oraz w innych galeriach. Na ostatniej wystawie artystów z Chicago i okolicy w "Instytucie Sztuk Pięknych", sześciu polsko-amerykańskich artystów było reprezentowanych. Bez wątpienia doroczne wystawy urządzane pod egidą "Polskiego Klubu Artystycznego w Chicago" przez ostatnich dwanaście lat, zachęciły naszych artystów do kontynuowania starań, ażeby zdobyć uznanie wśród szerszych kół ogólno amerykańskich.

W dziedzinie muzyki też sporo zrobiono w ostatnich piętnastu latach. N. p. od roku 1926, "Polski Klub Artystyczny w Chicago" wprowadził muzykę polskich kompozytorów na poważne programy koncertowe w Chicago; polscy soliści i polskie chóry

asystowały Chicagoskiej Symfonicznej Orkiestrze w odtwarzaniu naszej muzyki."

Praca to bardzo piękna, szlachetna i uszlachetniająca. Chicagoski Klub faktycznie na całą Polonję oddziaływa swą inicjatywą i przykładem: zachęca do zakładania podobnych ośrodków w innych miastach polskich, rozpisuje konkursy literackie, pobudza twórczość pisarską na tematy polsko-amerykańskie, urządza wystawy, zjazdy i t. d. i d. Zrobił już dotąd wiele i niezawodnie zrobi jeszcze więcej—w przyszłości.

PRZYPISKI

ANTONI MAŁŁEK

Pochodził z Poznańskiego; urodził się w r. 1851. Do Ameryki przybył w r. 1871. Muzyk ze zamiłowania i z przygotowania zawodowego, pracował w parafjach polskich—jako organista w Milwaukee i w Chicago, gdzie przez lat długi szereg był organistą i kierownikiem Chórów w parafji św. Trójcy. Wydał wiele kompozycyj przystępnych i śpiewnik polski; założył i wydawał miesięcznik "Ziarno", poświęcony muzyce polskiej, który wychodził od r. 1886 do r. 1903. Był jednym ze założycieli "Związku Śpiewaków". Zmarł w Chicago, w r. 1917.

KARCZYŃSKI ALEKSANDER

Urodził się w Pelplinie, w Polsce, w r. 1882. Kształcił się w muzyce w Monachium. W r. 1907 przybył do Stanów Zjedn., gdzie od wielu lat pracuje zaszczytnie jako jeden z najlepszych organistów i kierowników chórów; uczy także w amerykańskich instytucjach muzycznych wyższego poziomu i pisuje do Pism polsko-amerykańskich; przez czas pewien wydawał i redagował muzyczne Pismo "Lutnia". W r. 1935 otrzymał pierwszą nagrodę na konkursie muzycznym, urządzonym przez Światowy Związek Polaków. Jest autorem wielu kompozycyj w zakresie muzyki kościelnej i ogólnej. Żyje w Chicago.

EUGENJUSZ WALKIEWICZ

Urodził się w Polsce, w Płockiem, w r. 1880. Studjował w Polsce i za granicą, w Ratysbonie i w Monachium. Do Ameryki przybył w r. 1910, osiadł w Plover, Wis., gdzie jest organistą miejscowej parafji polskiej. Poważny i wybitny kompozytor: napisał kilka oratorjów i oper, jak: "Chłopi", "Quo Vadis", szereg kompozycyj religijnych, oraz kilkaset pieśni, utworów na fortepian i organy. Kompozycje Walkiewicza odznaczają się oryginalnością i głębią pomysłów a melodyjnością i pięknością harmonizacji. Żałować należy, że większość rzeczy tych nie jest wydana.

ZWIĄZEK ŚPIEWAKÓW POLSKICH W AMERYCE

Na polu muzycznem, w dziale śpiewnictwa polskiego kościelnego i narodowego, w Ameryce wielkie zasługi położyli nasi organiści. Po parafjach wszędzie pozakładali najpierw poszczególne chóry, męskie i żeńskie, które w r. 1888, za inicjatywą ś. p. Antoniego Małka, połączyły się w jeden, wielki Związek. Z członków chóru Chopina w Chicago Antoni Małłek wybrał komitet organizacyjny, ażeby tenże wypracował program połączenia wszystkich Towarzystw śpiewackich w jedną całość. W pierwszem wspólnem zebraniu— w Szkole św. Trójcy w Chicago, w dniu 29go listopada, 1888 r., uczestniczyły delegacje chórów z Chicago, Milwaukee, La Salle i St. Paul. Tak przyszła do skutku myśl połączenia poszczególnych chórów w jedną całość pod nazwą: "Związek Śpiewaków Polskich w Ameryce". Odtąd corocznie Związek urządzał zjazdy, koncerty i konkursy. W ostatnich latach Związek Śpiewaków przycichł i podupadł; może to i amerykanizacja młodych temu winna, może—ubytek starych pracowników, entuzjastów... w każdym razie nie słychać już o działalności dawnej tego, tak pożytecznego i dobrze w dziejach Polonji zapisanego zrzeszenia.

ANTONI KĄTSKI

Antoni Kątski, urodzony w Krakowie, w r. 1817, był w swoim czasie światowej sławy pianistą-wirtuozem, zdumiewał zwłaszcza nadzwyczajną wprost techniką; wielokrotnie zjeździł, koncertując, świat cały. Był również cenionym wysoce pedagogiem muzycznym. Twórca zgórą dwustu kompozycyj wszelkiego rodzaju, pieśni, etiud, tańców, na fortepian i orkiestrę: dawniej rzeczy te były często grywane; do najsławniejszych należy fantazja "Przebudzenie się Lwa". W r. 1883 osiadł w Ameryce; mieszkał w Kalifornji, gdzie w Los Angeles obchodził w r. 1894, z wielką uroczystością świata artystycznego — swój złoty jubileusz. Krótko przed śmiercią wrócił do Polski, gdzie zmarł w Krakowie w r. 1902. Należał do najpopularniejszych, najbardziej lubionych, kompozytorów polskich w Ameryce, a utwory jego grywane były jeszcze w latach dwudziestych bieżącego wieku na polskich koncertach.

SZCZEPAN SIEJA

Współczesny muzyk z Polski, od paru dziesiątków lat osiadły w Stanach Zjedn. Kształcił się w Konsewatorjum Warszawskiem, potem uczył w szkołach muzycznych w Polsce i w Rosji. W Ameryce prowadził czas jakiś własną szkołę muzyczną w Chicago, dyrygował chórami, zakładał — nowość — chóry dziecięce, organizował orkiestry i urządzał koncerty; wyróżnił się również jako kompozytor.

TADEUSZ WROŃSKI

Muzyk z Polski, dawniej wybitny śpiewak oper polskich i włoskich; w okresie pierwszej Wojny Światowej przybył do Polonji Amerykańskiej i tu wyróżnił się tak zwaną "śpiewaną rekrutacją"; organizował mianowicie orkiestry i zespoły śpiewacze, urządzał koncerty ogromnie popularne w swoim czasie, na których werbowano ochotników do Armji Polskiej z Ameryki. Po wojnie osiadł w Detroit, gdzie zorganizował i prowadził własną kompanję operową. Obecnie mieszka stale w Stanie Michigan.

ZYGMUNT STOJOWSKI

Pochodzi z Polski; od młodych lat oddawał się z umiłowaniem muzyce, studjował w Krakowie, w Paryżu; był uczniem Paderewskiego; koncertował po miastach europejskich, a od r. 1905 mieszka stale w Ameryce: w Nowym Yorku założył Instytut Muzyki; jest pianistą — znakomitym i pedagogiem muzycznym, wysoce cenionym. Napisał sporo poważnych kompozycyj fortepianowych i orkiestralnych, oraz pieśni. Mieszka stale w Nowym Yorku.

MARCELINA KOCHAŃSKA-SEMBRICH

Światowej sławy śpiewaczka polska; urodzona w r. 1858, pochodziła z Małopolski; zrazu miała poświęcić się karjerze muzycznej—instrumentalnej; dopiero Franciszek Liszt zwrócił uwagę na jej głos i zalecił studja wokalne. Śpiewała po całej Europie, potem po świecie całym, zdobywając nadzwyczajną sławę i popularność. W "Metropolitan" operze, w Nowym Yorku debiutowała w r. 1883, odtąd przeważnie już śpiewała w Ameryce. Ustąpiła ze sceny w r. 1909 i do śmierci w r. 1935, mieszkała w Nowym Yorku. Ciało przewieziono do Drezna i pochowano w rodzinnym grobie męża. W okresie pierwszej Wojny Światowej zorganizowała Polsko-Amerykański Komitet Ratunkowy dla niesienia pomocy ofiarom wojny w Polsce; wówczas wydatnie współpracowała z Polonją Amerykańską i zasłużyła się trwale.

ADAMOWSCY

Tymoteusz, Józef i Antonina Adamowscy stanowili niezwyczajną zaiste trójkę artystów, muzyków, którzy przybywszy z Polski w ośmdziesiątych latach zeszłego wieku, przez kilkadziesiąt lat pracowali w Stanach Zjedn. na niwach muzycznych.

Tymoteusz Adamowski urodził się w r. 1857 we Warszawie, gdzie się też kształcił; w r. 1879 wyjechał do Ameryki; był koncertmistrzem, wiolinistą, orkiestry symfonicznej w Bostonie, Mass., oraz profesorem tamtejszego konserwatorjum.

Adamowski Józef, brat poprzedniego, wiolonczelista; urodzony we Warszawie, w r. 1861 kształcił się tamże i w Krakowie; w r. 1892 za namową brata wyjechał do Bostonu, Mass., gdzie był profesorem konserwatorjum i członkiem orkiestry symfonicznej. Ożenił się ze znakomitą pianistką, Antoniną Szumowską. Zmarł w r. 1930.

Antonina Szumowska-Adamowska, małżonka poprzedniego; urodziła się w r. 1868, w Lublinie; była uczennicą Paderewskiego. Przybyła do Stanów Zjedn. w r. 1898 i jako pianistka koncertowa, była członkiem orkiestry symfonicznej w Bostonie, oraz uczyła w konserwatorjum tamtejszem. W okresie pierwszej Wojny Światowej była przewodnio czynną w dziedzinie patrjotyczno-filantropijnej, współdziałała też z Heleną Paderewską; przeprowadziła wśród Amerykanów składkę miljonową na rzecz ofiar wojny w Polsce. W r. 1922 zaaranżowała odwiedziny w Ameryce Marji Skłodowskiej-Curie. Zmarła w Bostonie w r. 1938.

Adamowscy wszyscy troje należeli do bardzo cenionych w Ameryce muzyków; stworzyli oni tak zwane "Trio Adamowski", które koncertowało z powodzeniem we wielu miastach amerykańskich; na programach ich zawsze poczesne miejsce miała muzyka polska, o której odczytami p. Adamowska zwykle rozpoczynała koncerty, zawsze podkreślając przy okazji polityczne

prawa i dążenia Narodu Polskiego: takie koncerty niezmiernie wiele pożytku moralnego przynosiły Polsce, a stworzone przez Adamowską i Paderewską towarzystwo "Friends of Poland" dało Ojczyźnie dużo materjalnej pomocy—w okresie, kiedy jej Polska żywnie potrzebowała.

JÓZEF HOFMAN

Znakomity dziedzic sławy Paderewskiego, Józef Hofman, jeden z najpierwszych współczesnych pianistów-wirtuozów, urodził się w r. 1876, w Krakowie; od dziecięctwa okazywał niezwyczajne zdolności muzyczne i koncertował od chłopięcych lat: pierwszy jego koncert w Nowym Yorku odbył się w "Metropolitan" operowej sali w r. 1887: "Józio" liczył wtedy skończonych lat—dziesięć! Koncertem w tejże samej sali—w r. 1937 święcił złoty jubileusz swych wirtuozowskich występów, któremi świat zdobył i zachwycił. Przez długie lata był profesorem znakomitego Instytutu Muzycznego "Curtis Institute of Music", we Filadelfji; w r. 1939 przeniósł się do Kalifornji, skąd wyjeżdża na tury koncertowe po Stanach Zj., cieszące się niezmiennie olbrzymiemi sukcesy, oraz niepodzielnem uznaniem krytyków muzycznych. Napisał kilkadziesiąt kompozycyj na fortepian i kilka rozpraw ze zakresu wiedzy muzycznej, wydanych pod pseudonimem "Dworskiego".

DR. KAROL LISZNIEWSKI

Muzyk polski, od lat działający w Ameryce; członek grona nauczycielskiego konserwatorjum muzycznego w Cincinnati, Ohio; współpracował też z innemi instytucjami muzycznemi amerykańskiemi; świetny akompanjator; doskonały pianista i pedagog ceniony.

KOŻUCH TADEUSZ

Urodzony w Chicago, tamże się kształcił w muzyce i debiutował—jako pianista w r. 1937; zdobył pierwszą nagrodę w konkursie, urządzonym przez m. Chicago, w r. 1939. W r. 1938 otrzymał nagrodę muzyczną, udzieloną mu przez "Radę Polonji" za "Rapsodję Polską", napisaną na skrzypce i fortepian. Muzyk—bodaj najwybitniejszy z młodych polsko-amerykańskich talentów. Charakterystycznem jest, że tematy i natchnienia czerpie zarówno z motywów polskich, czego dowodzi wspomniana Rapsodja, jak z tematów amerykańskich: napisał mianowicie efektowną fantazję na orkiestrę na tle opowieści Edgara Allana Poe, pod tytułem "The Mask of the Red Death". Mieszka stale w Chicago, gdzie dość często koncertuje, pozyskując sobie uznanie krytyki i publiczności.

POLSKIE PROGRAMY RADJOWE

Po większych osiedlach prowadzone są już od lat polskie programy radiowe: większość ich to ogłoszeniowe agencje, urozmaicone "rekordowaną muzyką", t. j. "kręceniem" dysków gramofonowych, o poziomie ludowym, prymitywnym. Rzadko w programach tych trafi się coś wartościowego; czasem —w Nowym Yorku, lub w Chicago ktoś coś dobrego powie, z tej—owej radiostacji, ktoś zagra, lub zaśpiewa, zwłaszcza przy jakiej patrjotycznej okazji; pozatem wszędzie programy te są liche, niewybredne bardzo i wyłącznie skommercjonalizowane.

RZEŹBA I MALARSTWO

Przejdziemy do sztuk plastycznych: architektura, rzeźba, malarstwo, dziedziny rozległe i bogate—na niwach, bujnie skwitłych w kraju tutejszym; nasz na nich dorobek przedstawia się dotychczas bardzo skromnie, bo i warunki polskiego życia tutejszego, jak dowodzi wszystko, cośmy o niem na różnych miejscach tej książki napisali, stanowczo nie sprzyjały — i przeważnie nie sprzyjają nadal — poczynaniom naszym w dziedzinach Sztuki. Dość po nas, żeśmy tu byt swój ugruntowali, że młode pokolenia polskie do rzeczy tych pięknych bodaj przystępować — brać się mogą; biorą się też wcale nieźle, piękne dając zapowiedzi na rychłą przyszłość.

Architektów—nie mamy własnych wcale: to dla nas za drogie, nie sięgalne. W innych działach sztuk plastycznych—z najwybitniejszych twórców polskich posiadamy przedewszystkiem tych, których nam Ojczyzna dała, więc z malarzy wymienić należy T. Żukotyńskiego *(Patrz Przypiski)*, który kilku kościołom zostawił szereg dzieł niepośledniej wartości. Czas dłuższy bawił w Ameryce i malował Stanisław Grocholski *(Patrz Przypiski)*; jego prace m. i. znajdują się w kościele św. Jadwigi w Chicago.

Z rzeźbiarzy wybitnych—z Polski przybył i w Ameryce tworzył Kazimierz Chodziński, znakomity twórca pięknych pomników Kościuszki w Chicago i Pułaskiego we Waszyngtonie *(Patrz Przypiski)*, Sławomir Celiński pozostawił cenne pamiątki kilkoletniego pobytu wśród Polonji amerykańskiej; Antoni Popiel wzniósł we Waszyngtonie bardzo piękny pomnik pieszy Tadeusza Kościuszki.

Przypominamy na tem miejscu, że w Kapitolu Narodowym, we Waszyngtonie, znajdują się typowo-klasyczne biusty Bohaterów Polskich, Pułaskiego i Kościuszki, dłuta Henryka Dmochowskiego, rzeźbiarza starszej daty (ur. we Wilnie 1810 r., zginął w Powstaniu 1863 r.) i Dmochowski lat szereg bawił w Ameryce w okresie czasu przed Wojną Domową.

Do starszej generacji—artystów z Polski, lecz zdawna osiadłych w Ameryce, należy Władysław Benda, doskonały illustrator, który stworzył też własny, oryginalny "genre", wprowadzony

przezeń w świecie artystycznym, efektownych bardzo a charakterystycznych masek, będących czemś w rodzaju, łączącym rzeźbę z malarstwem: rzeczy to piękne i bardzo niezwykłe.

Ze współczesnych polsko-amerykańskich — w dosłownem znaczeniu — rzeźbiarzy wyszczególnić należy młodego i utalentowanego wysoce, choć o nazbyt wybujałej oryginalności pomysłów—często dziwacznych, Stanisława Szukalskiego, który również sztychy i obrazy tworzy, mocno niesamowite, ale uderzające i treścią i formą;—pięknemi rzeźbami, przejawiającemi wybitny talent, dała się poznać zaszczytnie Felicja Modrzejewska, synowa niezapomnianej Heleny; córka jej, Marja, jest wysoce utalentowaną malarką-rytowniczką: prace jej na wystawach zwracają uwagę subtelnością odczucia tematów, pełnych prawdziwego piękna i precyzyjnego wykonania. Władysław Krawiec *(Patrz Przypiski)*, od lat wielu rysownik *"Dziennika Chicagoskiego"*, jest i malarzem—portrecistą, o talencie zgoła niepowszednim; małżonka jego, Jadwiga, jest również artystką malarką, znaną z cennych prac w kołach polskich i amerykańskich. Bardzo dobrym rysownikiem, od lat pomieszczającym prace w *"Dzienniku Związkowym"* jest Kazimierz Majewski. S. Makielski, artysta-malarz wybitny, był przez kilka lat profesorem rysunków w jednym z Uniwersytetów Stanu Michigan; wreszcie wymienić tu należy ze zaszczytnem wyróżnieniem Franciszka Olstowskiego, rzeźbiarza, z którego nowojorskiej pracowni wyszedł szereg cały prac pięknych i wartościowych.

Z młodszych współczesnych artystów wzmiankować się godzi —następujących:

Dekoracyjną rzeźbę uprawiał tu z powodzeniem Antoni Malczewski z Milwaukee (zmarł w r. 1938); rzeźba portretowa jest dziedziną Leopolda Kozakiewicza (ur. 1903 r.), który przebywa we Worcester, Mass.: rzeźbił portret Ks. Arcybiskupa Cieplaka (w Muzeum Polonji, w Chicago), oraz wiele innych—na różnych amerykańskich wystawach zaszczytnie wyróżniany. Jan Szynalik-Fabian ostatnio wyróżnił się udatnym pomnikiem Chopina, który wzniesiono w Parku Chopina, w Chicago.

Malarstwo uprawiają: chicagowianka, doskonała portrecistka i autorka obrazów religijnych, Siostra M. Stanizja *(Patrz*

Przypiski); z Polski przybyłą, lecz tu wykształconą malarką niezwyczajnych zdolności jest Janina Federkiewicz, która w Bostonie w r. 1931 uzyskała na Wystawie pierwszą nagrodę. Edmund Lewandowski z Milwaukee uprawia malarstwo dekoracyjne —z uznaniem i powodzeniem rzetelnie zerobionem. Na Wystawie Światowej w San Francisco w r. 1940 dostał pierwszą nagrodę za swe doskonałe pejsaże — Józef Bakos, były profesor "School of Art", w Denver, Colorado; wielkie też uznanie wśród Amerykanów pozyskał nowojorczanin, Teodor Roszak, malarz i rzeźbiarz, którego prace były wyróżnione i nagrodzone na wystawach w Chicago, w r. 1933 i innych.

Osobną grupę stanowią malarze dekoracyjni—kościelni; tu wśród starszych należy wymienić Władysława Chodzińskiego, brata Kazimierza, rzeźbiarza, a z późniejszych — Władysława Mazura i Romana Przybylskiego; liczne kościoły polskie w Ameryce są okazałemi pokazami tej stosowanej sztuki wyżej wymienionych malarzy.

Widać z powyższego, że Polonja Amerykańska—jak może, podąża za Macierzą na każdem polu i w każdej dziedzinie duchowej twórczości. Coś-niecoś tu już zdziałaliśmy i sami; mało tego —wiemy, aleć młodziśmy stosunkowo, zaczynamy dopiero; zarozumień nie mamy, przeciwnie—jeżęli w jakim rodzaju, to przedewszystkiem pomocy duchowej i pouczenia wyglądamy od Polski. Nie mniej wzorujemy się na bogatej bardzo Sztuce młodej Ameryki, której społeczeństwo, pełne nadzwyczajnych energij życiowych, szybko idzie naprzód w artystycznej również—nie tylko praktycznej produkcji. Do niedawna Ameryka dla Sztuki była dość mało przystępną, mało podatną krainą: tworzono tu dziwactw artystycznych—co niemiara, powstawały istne "curiosa" czegoś, co za sztukę podawano, a prawdziwi artyści nie mieli tu pól do popisu—wartościowego. Ostatnie lat dziesiątki sprowadziły jednak zmiany nadzwyczaj wielkie, a wyłącznie korzystne — tak, że dziś Ameryka posiada znakomitych malarzy i rzeźbiarzy—już nie tylko "importowanych" i przyswojonych, ale własnych, Amerykanów, tu zrodzonych i wykształconych, tu tworzących. Za tych przykładem i wzorem, oraz jak zaznaczono z naciskiem, za wzorem Sztuki polskiej w Ojczyźnie, pracuje i tworzy

Polonja Amerykańska, oraz jej młodzi artyści, którzy mogą i winni stworzyć tu sobie mandat ogromnie ważny, bogaty, wartościowy—przyswojenia i użytkowania motywów polskich, ludowych i narodowych, Sztuce amerykańskiej—czystej i stosowanej. Bardzo to może być wdzięczne pole pracy: jestem pewny, że prędzej czy później artyści polsko-amerykańscy zwrócą się na nie.

Na miejscu tu będzie podać choć zwięzły opis pięknych najważniejszych pomników polskich w Ameryce, które zaszczytnie świadczą w tym kraju—zarówno o polskich w nim zasługach dziejowych, jak też o polskiej Sztuce, która je tu—dla społeczeństwa amerykańskiego stworzyła. Informacje odnośne przytaczam za wzmiankowanemi poprzednio chicagoskiemi *"Wiadomościami Artystycznemi"* (z r. 1919go).

Polskich pomników mamy sporą gromadkę w tym kraju: do najdawniejszych należą: pomnik Kościuszki w West Point, zbudowany przez rząd Stanów Zjednoczonych, pomnik Pułaskiego w Savannah, zbudowany przez tamtejsze obywatelstwo; wreszcie dwa popiersia Kościuszki i Pułaskiego, dłuta wzmiankowanego poprzednio Dmochowskiego, ustawione na Kapitolu, w stolicy kraju, Waszyngtonie, pośród mężów, szczególnie zasłużonych dla Ameryki.

Z nowszych wymienić należy: pomniki konne Kościuszki: w Chicago, dłuta K. Chodzińskiego i w Milwaukee dłuta rzeźbiarza włoskiego, Trentanove, pomniki piesze tegoż Bohatera naszego: we Waszyngtonie przed "Białym Domem", dłuta A. Popiela, w Yonkers, N. Y., w Cleveland, oraz wspaniały pomnik konny Kazimierza Pułaskiego—dłuta K. Chodzińskiego, wzniesiony przez rząd Stanów Zjednoczonych na jednym ze skwerów Waszyngtonu. Najpiękniejsze i najwspanialsze są oba pomniki w Waszyngtonie: Chodzińskiego—Pułaski i Popiela—Kościuszko.

Pomnik Pułaskiego przedstawia się imponująco: rzeźba—wspaniała; w mistrzowskiem iście wykończeniu ukazuje nam młodzieńczego naszego Bohatera w postaci śmiałej, dziarskiej, zamaszystej i buńczucznej—jakim istotnie był Pułaski. Rysy twarzy piękne, a wierne; odtworzył je artysta podług odszukanego przez się portretu, malowanego przez siostrę Pułaskiego. Strój Bohatera—historycznie prawdziwy; materjały doń zbierał Chodziński po

muzeach w Polsce i poza jej granicami. Siedzi sobie na koniu Pan Pułaski w bogatym płaszczu, spadającym z ramion, w pięknym stroju węgierskiego husarza—był to ulubiony ubiór naszego Bohatera; wypracowanie postaci przepiękne, twarz—wspaniała, wyrazista—wysoce charakterystyczna; pierś jeźdźca naprzód podana, prawica opuszczona, lewa ręka kieruje rumakiem, modelowanym prześlicznie, który uznają jako mistrzowską w całem tego słowa znaczeniu rzeźbę konia, doskonałą aż do najdrobniejszych szczegółów.

Drugi pomnik, Tadeusza Kościuszki, dłuta Antoniego Popiela, Profesora Politechniki we Lwowie, stoi na "Lafayette Square", tuż przed "Białym Domem". Przedstawia on "Bohatera dwu Światów" w postaci pieszej. Na piedestalu zdobnym pięknemi, symbolicznemi grupami, Kościuszko stoi wysmukły, wyniosły, na zdobytym—zda się szańcu, jak to wskazuje zrzucona z lawety i zaryta w ziemię armata; prawą rękę, w której trzyma w pół zwinięty zwój planów, wsparł na udzie podniesionej nieco nogi, lewą podtrzymuje szablę: spoczywa po walce, może po zwycięskim szturmie i w dal spogląda, jakby smętny, zadumany, jak gdyby żal mu ponosił bohaterską duszę, że to nie w Polsce jego zwycięskie o wolność bojowanie . . . że to nie w Polsce . . .

Twarz piękna, szlachetna, spokojna i spokojem tym—jakby wielkiego powołania poczuciem—wzniosła. Postać odtworzona bardzo szczęśliwie, z pietyzmem szczerym, a studjum głębokiem. Całość robi wrażenie bardzo podniosłe i nader sympatyczne, które znakomicie potęgują jeszcze grupy piedestalu, obmyślone trafnie, bogate pięknością kompozycji artystycznej.

Skromniejszym, lecz również bardzo pięknym i poprawnym jest wzniesiony przez Polaków w Chicago pomnik Kościuszki, dłuta K. Chodzińskiego; mniej udałe są: konny pomnik Kościuszki dłuta włoskiego rzeźbiarza, Trentanove, w Milwaukee, oraz pieszy pomnik Kościuszki, wzniesiony przez Polonję w Cleveland, Ohio.

PRZYPISKI

T. ŻUKOTYŃSKI

Tadeusz Żukotyński urodził się w r. 1860, kształcił się w Monachium i w Krakowie, gdzie był uczniem Jana Matejki; sprowadzony do Chicago przez Ks. Wincentego Barzyńskiego, Proboszcza kościoła św. Stanisława Kostki malował tę świątynię, której bardzo piękne i wartościowe jego prace do dziś są ozdobą. Malował też obrazy do kilku innych kościołów, polskich i obcych. Zmarł w Chicago, w r. 1910.

S. GROCHOLSKI

Stanisław Grocholski urodził się w r. 1858, kształcił się w Krakowie, Wiedniu i w Monachium. W r. 1889 przybył do Stanów Zjedn. i odtąd tu pozostawał do zgonu—w Buffalo, w r. 1932. Malował portrety i obrazy do kościołów; wiele swych prac ofiarował był zbiorom i muzeom w Polsce.

*KAZIMIERZ CHODZIŃSKI**

Kazimierz Chodziński urodził się w r. 1861, w Łańcucie. Studja artystyczne odbywał w Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie, pod kierownictwem mistrza Jana Matejki: otrzymał tam dwie nagrody konkursowe; wystawił już w 19-tym roku życia szereg prac rzeźbiarskich w Krakowie, a otrzymawszy stypendjum rządowe, wyjechał na dalsze studja do Wiednia, gdzie uzyskał dwie wysokie nagrody, wyznaczone przez ministerjum oświaty. Po powrocie do Krakowa, otworzył tam pracownię artystyczną, pracował wiele, pełno też w kraju rzeźb jego; przeniósł się potem do Warszawy, gdzie wykonał szereg prac artystycznych do kościołów i katedr we Warszawie, Włocławku, Sandomierzu, a ostatniemi czasy pobytu w Polsce stworzył olbrzymią statuę husarza polskiego, jako dar honorowy dla Sienkiewicza, oraz wielki pomnik (grupę religijną) dla miasta Kalisza. Wiele prac K. Chodzińskiego nagrodzono na wystawach medalami, a do tych należy medalion Adama Mickiewicza.

Nagrodzony na konkursie pomnika Kościuszki w Chicago, przybył do stolicy Polonji, gdzie pracy powierzonej chlubnie dokonał, o czem świadczy dzieło jego w chicagoskim parku Humboldta. Oprócz pomnika Kościuszki wykonał Chodziński w Ameryce wspaniały pomnik Pułaskiego we Waszyngtonie, pomnik dla żołnierzy, poległych we Wojnie Domowej i wielką liczbę biustów i płaskorzeźb. W r. 1910 odjechał do Polski, gdzie zakupił majątek koło Lwowa; w lat kilka później wojna zniszczyła jego mienie i spowodowała zgon całej prawie rodziny; zmarł we Lwowie w r. 1922.

WŁADYSŁAW BENDA

Wybitny malarz i rysownik, illustrator — z Polski, od długich lat osiadły w Stanach Zjedn.; mieszka stale w Nowym Yorku. Twórca kapitalnie charakterystycznych masek, które rzeźbi i barwi; po nim rodzaj ten niezwykły—wielu znalazł naśladowców. Namalował sporo obrazów cennych, przeważnie o motywach ludowych i narodowych, polskich, które jego piękne dzieła popularyzują wśród Amerykanów. Dużo prac jego jest w zbiorach polskich i w posiadaniu instytucyj polsko-amerykańskich, n. p. "Śmierć Ks. Skorupki" znajduje się w Muzeum Polonji w Chicago.

---

*Właściwe nazwisko rodzinne—ChUdziński.

WŁADYSŁAW KRAWIEC

Władysław Krawiec urodził się w Poznaniu, w r. 1889, lecz w dziecięctwie przybył z rodzicami do Ameryki; w Chicago uczył się i zarabiał w młodych latach na życie, oraz na studja malarskie w tamtejszym "Art Institute". Zaangażowany przez "Dziennik Chicagoski"—od wielu lat daje w nim co dnia rysunek aktualny; z rysunków owych niektóre wyróżniają się zarówno pomysłem, jak wykonaniem—tak, że je zamieszczały i inne pisma, polskie i angielskie. Pozatem maluje wiele, ze szczególnem zamiłowaniem tworzy portrety, których sporo wykonał, o zaletach wysokich i trwałych. Prace jego niejednokrotnie widnieją na wystawach amerykańskich, a pisma wyrażają się o nich z wielkiem uznaniem. Na wystawach chicagoskich obrazy jego były kilkakrotnie wyróżniane i nagrodzone.

Małżonka jego, Jadwiga, jest również wybitną malarką i absolwentką chicagoskiego "Art Institute", otrzymała na kilku amerykańskich wystawach zaszczytne wyróżnienia.

S. M. STANIZJA

Siostra Marja Stanizja (ze Zgromadzenia SS. Notre Dame, z domu Kurkowska) jest uczennicą T. Żukotyńskiego; studjowała w chicagoskim "Art Institute"; była w ciągu wielu lat nauczycielką malarstwa w szkołach wyższych, polskich i amerykańskich. Specjalnością jej są portrety, oraz kompozycje religijne; maluje też freski kościelne, a prac jej jest sporo—po kościołach polskich—głównie w Chicago. Jest autorką znanego portretu Papieża Piusa XII, malowanego w Rzymie, dokąd ją wysłała—dla tej specjalnie pracy—"American Art Society".

WYSTAWY ARTYSTÓW POLSKO-AMERYKAŃSKICH

Wspomniany na innem miejscu Rozdziału niniejszego, gdzie mowa o Muzyce, "Polski Klub Artystyczny" w Chicago ("Polish Arts Club") zainicjował już przed kilkunastu laty rzecz bardzo dobrą, mianowicie urządzanie dorocznych Wystaw artystów polsko-amerykańskich. Klub ten, pożytecznie bardzo i wszechstronnie działający, zdołał zainteresować swą akcją nawet amerykańskie instytucje, które Wystawom takim udzielają miejsca, poświęcają uwagę, czem i do Prasy amerykańskiej dostaje się działalność Klubu i artystów naszych. Ponadto Klub stara się u Organizacyj naszych uzyskać fundusze i z nich wyznacza nagrody, skromne narazie, ale zawsze przecie więcej zaszczytne, niż pieniężnie ważne. Żałować należy, że ta akcja koncentruje się tylko w Chicago, które—jakby nie było—skupia największą liczbę adeptów wszelakich dziedzin Sztuki, więc tam antrepryzy tego rodzaju najwięcej też są na miejscu i najlepiej się udają. Projekty Klubu, aby Wystawy takie wywieźć z Chicago, zrobić czemś w rodzaju okrężnych po osiedlach polskich—dotychczas nie powiodły się—zapewne z braku funduszów na tak kosztowne wycieczki. Być może—z czasem, gdy któraś z większych Organizacyj przecie podejmie i poprze zabiegi rzeczonego Klubu, Wystawy takie będą częstsze i o większym zasięgu co niezawodnie w całej Polonji zaznaczy się korzystnem wzmożeniem zainteresowań artystycznych.

SCENA I TEATR

W dziedzinie Teatru Polskiego — o poczynaniach zaledwie pisać można—z tem zaznaczeniem, że poczynania te dawniejszemi czasy — nawet o wiele lepiej się przedstawiały niż obecnie; dawniejszemi laty podnietą nam bywała, między innemi czynnikami, tradycja sukcesów niezapomnianej Heleny Modrzejewskiej na scenach amerykańskich, ponadto we większych osiedlach, gdzie choć trochę bywało inteligencji polskiej, łakniono — pragniono żywego słowa polskiego ze sceny, wyglądano przypomnienia, czy poznania arcydzieł polskiej twórczości. Dziś starsi — wymarli, młodsi się amerykanizują, dziś mało kto odczuwa owe tęsknoty, to też retrogresję obserwuje się w omawianej dziedzinie, a stałej, porządnej trupy nie mamy w żadnem z wielkich miast Ameryki, nie wyłączając "stołecznego" Chicago. Profesjonistów-aktorów wśród Polaków-Amerykanów nie mamy prawie wcale, za wyjątkiem kilku — dosłownie — jednostek. Nader prymitywne scenki po osiedlach naszych funkcjonują od przeszło pół wieku; grywa się na nich—z polskich rzeczy ludowe, dla sceny amatorskiej pisane, oraz religijne, najczęściej z angielskiego tłumaczone. Naogół są to wybitnie ludowe i młodzieżowe, często wprost szkolne, zespoły; tylko we większych osiedlach—dawniej grywały, a dziś wegetują jeszcze—amatorskie koła i kółka teatralne.

Podwaliny w tej dziedzinie pracy kładł w Polonji amerykańskiej wzmiankowany poprzednio Szczęsny Zahajkiewicz, który zajmując się kółkami teatralnemi, uczył grać, pisał dla sceny, a w znacznej mierze przyczynił się do poprawienia, podniesienia prymitywów i ludowego charakteru sceny polsko-amerykańskiej. Poważny, literacki repertoar polski wprowadził na deski sceniczne Polonji w Ameryce, w latach pierwszych bieżącego wieku—dopiero autor książki niniejszej, przed laty — dyrektor pierwszego "Teatru Polskiego" w Ameryce i kierownik wzorowych przedstawień, dawanych w ciągu lat kilkunastu, w Chicago: za jego w tej dziedzinie działalności i z jego inicjatywy wprowadzono na scenę polską w Ameryce Fredrę i wszystkie jego ważniejsze komedje, Wyspiańskiego ("Wesele" i "Warszawiankę"), Rydla ("Zaczarowane Koło" i "Na zawsze"); grano komedje Zabłockie-

go, Korzenioskiego, Dobrzańskiego, Bałuckiego, Abrahamowicza, Blizińskiego, Gawalewicza, sztuki Zapolskiej, Perzyńskiego i wielu, wielu innych, współczesnych autorów polskich; nie brakło również na scenie naszej obcych literatur przedstawicieli: grano ważniejsze komedje Moliera, "Zbójców" Schillera, Sudermana ("Jan Chrzciciel"), "Rewizora z Petersburga" Gogola, — a wreszcie i Szekspira nawet nie brakło. Były czasy w ciągu istnienia "Teatru Polskiego" w Chicago, iż n. p. w jednym miesiącu pięć premjer wystawiano, a przedstawienia te, dawane w teatrach śródmiejskich, zyskiwały poklask powszechny, oraz zaszczytną ocenę Prasy polskiej i angielskiej.

Niestety — wysiłki jednostek nie długo mogły dźwigać antrepryzę kosztowną, jak teatr, gdy za nią nie stanęło dostatecznie wyrobione społeczeństwo; więc "Teatr Polski" upaść musiał *(Patrz Przypiski)*. Obecnie mamy tylko mniej, lub więcej wartościowe Kółka amatorskie i parę groszowych teatrzyków po większych "polskich miastach"; teatrzyki te miewały, może i miewają jeszcze wśród programów kinematograficznych i kabaretowych—także i małe cztero-lub-pięcio-osobowe "trupki" polskie, grające jednoaktówki dla "najszerszej" — niewybrednej publiczności.

Warto zastanowić się trochę więcej szczegółowo nad powodami upadku doskonale założonego, a na tak wielką skalę zamierzonego "Teatru Polskiego" w Ameryce; tych powodów było kilka: ochotnie sami winy część sporą weźmiemy na siebie—bo jako kierownik antrepryzy, na literackim jechałem programie—za wysokim, podawałem arcydzieła najwyższych natchnień artystycznych i narodowych, których tu nie rozumiano. Inną przyczyną niepowodzenia była "republika" zarządu, z regimentem dyrektorów, z których każdy chciał czego innego, a wszyscy razem o teatrze nie mieli pojęcia. Razem przecie ze wszystkiemi brakami ów Teatr nasz był świetną zjawą Sceny polskiej poza Polską: nigdzie poza Ojczyzną—na tak rozległą i śmiałą próbę dotąd się nie zdobyto.

Drugie—większe, stale grające polsko-amerykańskie Towarzystwo teatralne, które kontynuowało tradycję Teatru Polskiego, więcej już jednak w charakterze ludowym, było po nim — rów-

nież w Chicago założone, pod nazwą "Tow. Miłośników Sceny": grało dużo i dobrze, ale był to, zdaniem mojem, jeszcze niekorzystniej co do zorganizowania pomyślany, experyment: to już była w całej pełni republika aktorska, z którąby—nie wiadomo kto do końca nie był doszedł; rozdrapano tam, rozgryziono i pożarto Sztukę samą, w tem Towarzystwie szukającą przytułku po upadku Polskiego Teatru. Potem—potem długo ani nie próbowano teatralnych antrepryz.

Jeszcze raz trzeci—po latach kilku podjęliśmy około r. 1912 próbę stworzenia stałego Teatru Polskiego w Chicago: wzięliśmy się do tej iście syzyfowej pracy, i—znowu nie poszło. Wynajęliśmy na sezon letni jeden z większych teatrów chicagoskich, nawet blisko największej dzielnicy polskiej leżący; lecz cóż—lato było akurat tak niebywale upalne i skwarne, że do teatru nikt chodzić nie chciał; w dodatku zarządca "byznesowy" popełnił sprzeniewierzenie, więc—kierownik artystyczny potem długo—długo wspominał nowe doświadczenia, płacąc rachunki za Jasną Panią Sztukę, taką niesiężną i tak niełaskawą dla wiernego służki swego... Ale i wtedy grało się—choć niedługo, rzeczy bardzo dobre—bardzo dobrze.

Wzmiankowane te trzy chicagoskie zespoły teatralne grały zawsze tylko pierwszorzędny repertoar—polski i obcy, a w ciągu szeregu lat podały Polonji ze sceny rzeczy bardzo cenne, bardzo piękne—tylko dobre, do dziś wdzięcznie wspominane: niechże prace te pozostaną upamiętnione i w tych dziejach Polonji Amerykańskiej.

W późniejszych latach stale podejmowałem prace teatralne, jeno trochę "z innego końca", a nieodmiennie i zawsze w duchu wielkiej tradycji Teatru Polskiego: mianowicie—kierowałem doskonałym zespołem amatorów sceny, zgranym pod mem kierownictwem wybornie, solidarnym i sprawnym: grało się rzadziej, kilka razy do roku w każdym razie, zato zawsze dobrze i z dużem powodzeniem, przeważnie na cele narodowe i kulturalne poświęcanem. Zapisać tu należy—na chlubne rzeczy upamiętnienie znakomite działania i wpływy Kollegjum św. Stanisława w Chicago, za rektoratu Ks. Władysława Zapały, C.R. *(Patrz Przypiski—do Rozdziału o Szkołach)*, który kochał się w tych występach i

przedstawieniach i nie żałował im poparcia, nie żałował na ich najświetniejszą, iście wzorową wystawę. W latach przed pierwszą Wojną Światową i podczas niej Kollegjum wymienione wiodło niezapomnianą, imponującą działalność kulturalną "*extra muros*" i było nietylko nauki ale i Sztuki polskiej rzeczywistem ogniskiem.

W ciągu lat, tu wspomnianych, działania nasze na teatralnej niwie miały chwile bardzo niezwyczajne, prawdziwie imponujące: dość będzie rzec dla dowodu, iż n. p. z okazji 300-lecia zgonu Szekspira wystawiono cykl jego sztuk—komedyj i tragedyj—po raz pierwszy po polsku—poza Polską; z okazji zaś 300-lecia zgonu Skargi—tylko w Krakowie i w Chicago wystawiliśmy —w koncepcji zupełnie podobnej, "Kazanie Sejmowe", przedstawiając podług znanego Matejki obrazu—wnętrze katedry, z dworem Zygmunta III, na wielkiej scenie jednego z śródmiejskich teatrów chicagoskich. Lata to były młode — przed wybuchem pierwszej Wojny Światowej, mniej-więcej od 1907go do 1914go. Wspomnę tu jeszcze z uznaniem bardzo czynne i pożytecznie działające Towarzystwa, jak "Nowe Życie" i "Promień": oba grywały przy udziale dobrze zgranych trup amatorskich — rzeczy wartościowe i nieraz grywały naprawdę doskonale. Wreszcie zanotować należy wieloletnie działania, niemałych zasług pełne, Kół Teatralno-Amatorskich — parafjalnych, jak n.p. istniejących długo przy parafji św. Stanisława, parafji św. Jana Kantego w Chicago i w innych.

Czytelnik zauważy, że w omówieniach powyższych wyłącznie niemal piszę o pracach, w Chicago prowadzonych; dlatego to, iż Chicago długo bardzo było po prawdzie głównym i jedynym w Polonji Amerykańskiej centrem jakiego-takiego ruchu umysłowego, działań kulturalnych i artystycznych; poza niem mało bardzo było przejawów podobnych; lecz zaznaczę, że dobre i sprawne koła amatorów sceny istniały—dawniejszemi zwłaszcza laty — w Milwaukee, oraz w Nowym Yorku, gdzie przecie najłatwiej było o inteligentnych inicjatorów i wykonawców; razem z tem — nigdzie nie było podjętych prób stworzenia teatru stałego—tylko w Chicago—i nigdzie ich na tak poważne nie podejmowano skale, jak w nadmiczygańskiej metropolji.

Pozostaje mi dla dopełnienia opisu spraw, złączonych ze Sceną polską w Ameryce dodać jeszcze parę rysów ciekawych. Oto na tle naszych kulturalnie wciąż jeszcze prymitywnych stosunków wytworzył się tu i funkcjonował przed laty nieznany gdzie indziej rodzaj małych teatrzyków dosłownie groszowych, które—jak poprzednio już też napomknąłem, łączono z początkującym wówczas kinematografem, mającym przecie też tylko dziesięciocentowe, a nawet "niklowe" przybytki najtańszej rozrywki publicznej. Po pierwszych, poważnych próbach teatru znalazło się po osiedlach większych sporo ludzi, którzy tworzyli minjatury takie niby-teatralne; i niechby to były minjatury, byle dobre, wartościowe z artystycznego punktu widzenia, nicby przeciw nim rzec nie było można; ale niestety bywały one najczęściej zupełnie bezwartościowe. Zbierała się grupka trzech, czterech "aktorów", często zupełnie licha wartych, często wprost analfabetów i—zakładali teatr; dolepiano do niego patrjotyczną firmę i godła i robiono pieniądze: skracano, przekręcano, psuto—dosłownie sztuki poważne, pisano głupstwa, najczęściej na tłusto przyprawiane i zgarniano gawiedź, z byle nonsensów śmiejącą się, publikę, której faktycznie—takie byle co wystarczało. Tem scenki owe faktycznie szkodziły nawet poważniejszym poczynaniom teatralnym, bo ludziska nawykali do tego, powiadając, że za "dajma", czy niechby za "kwodra"—mogli uśmiać się do "bóluboków"—w owych teatrzykach, pocóż im było płacić dużo więcej za przedstawienia poważniejsze? ... Bywali aktorzy, nawet utalentowani i wartościowi, którzy po nieudałych próbach poważniejszych zespołów grających—przechodzili do owych scenek groszowych—dla życia, dla chleba, którego, i tak chudego, niewiele też tam zarobić mogli ... Ich talentów naprawdę szkoda było. Z biegiem lat scenek owych zaczęło ubywać, jak i publiki lubującej się w nich, a w miarę popularyzowania się sztuki kinematograficznej—głośnej, "trupięta" owe polskie poczęły tracić rację bytu — do ostatka: migawkowe obrazy, które podminowały teatr prawdziwy, dobiły po drodze i te nasze maleństwa teatralne—zresztą nie ważne. Dziś nawet nie wiadomo, czy jakie z nich jeszcze wegetują; roli nie grały żadnej. *(Patrz Przypiski).*

Drugi, ważniejszy rys, potrzebny w całokształcie treściwego przedstawienia naszych spraw teatralnych, to udział Polaków amerykańskich w rozwoju Teatru tutejszego, Sceny ogólno-amerykańskiej. Długo na niej świeciła się świetnie sławna pamięć Heleny Modrzejewskiej; pamiętają ją i dzisiaj: powoli, bardzo powoli, zaczęli się pojawiać i Polacy w teatralnych programach Amerykanów, obecnie zaś—wiemy pewnie, że naszych—na deskach scen amerykańskich jest zastęp już wcale spory, wciąż rosnący, a choć nawet nazwisk polskich widać niewiele, ale są niezawodnie, tylko poosłaniane—jak to zwyczajne—scenicznemi pseudonimami. Zarówno w prawdziwym teatrze, jak w kinematografach bywają Polacy-Amerykanie: reżyserem był Bolesławski, zmarł w 1937 r.; są aktorzy (Gilda Grey—M. Michalska), śpiewacy, tancerze i tancerki (J. Frostówna) — słowem — trafiają się nasi razporaz we wszystkich dziedzinach teatralnej twórczości; może to nie są jeszcze indywidualności nadzwyczajne, pewnie nie skupiają na sobie —jak "gwiazdy"—zachwytu, ni poklasku ogólno-amerykańskiej społeczności, ale są w każdym razie zdolni odtwórcy, zapowiadający na przyszłość, zapewne coraz jaśniejszą—coraz też wydatniejszy i tem ważniejszy nasz współudział w amerykańskiej Sztuce—także teatralnej.

Tylko — jest co do tego "ale", jak i wogóle w całości spraw, omawianych w tym Rozdziale: oto prace duchowo-twórcze Polaków-Amerykanów, a lepiej rzec Amerykanów Polskiego Pochodzenia, znikomo już mało mają wspólnego ze Sztuką Polską. Trudna na to rada: prawdziwie—to i niema żadnej; więc i Teatr Polski mógłby może jeszcze odżyć . . . bodaj częściowo—w Ameryce—tylko przy najkompletniej odmienionych warunkach, na tle n.p. wzmożonej na nowo immigracji polskiej do Stanów Zjednoczonych.

I kto wie—może do tego jeszcze przyjdzie—zwłaszcza po niszczących ludy i kraje, wojnach, jakie na świat spadły w czterdziestych latach bieżącego wieku? Zapowiadają to niektórzy . . .

PRZYPISKI

HELENA MODRZEJEWSKA

Helena Modrzejewska urodziła się w r. 1842 w Krakowie; pochodziła z rodziny z dawna "aktorskiej", z której wyszli także dwaj jej bracia, również wybitni artyści—Feliks i Józef Bendowie. Bardzo wcześnie okazywała zdolności sceniczne, które rozwijała w urządzanych przez się przedstawieniach amatorskich. Mając lat 17, wyszła za ś. p. Gustawa Modrzejewskiego, z którym żyła lat kilka, aż do śmierci jego w 1865.

W r. 1861 wstąpiła do trupy Zimajera, potem Łobojki, z któremi jeździła po miasteczkach polskich, grywając wszystkie możliwe role ówczesnego repertoaru. Z końcem 1862 r. weszła w skład personalu teatru lwowskiego, lecz wnet znowu powróciła do trup prowincjonalnych; przez półtrzecia roku grała w trupie brata swego, Józefa Bendy, w Czerniowcach, zwracając uwagę niezwykłą talentu wszechstronnością. W r. 1865 wstępuje Modrzejewska do teatru krakowskiego, którego dyrekcję prowadził wówczas Adam Skorupka; tu zajął się artystką naszą i rozwinięciem jej zdolności, b. dyrektor teatru warszawskiego i sam niepośledni artysta, J. Jasiński, pod którego światłym kierunkiem Modrzejewska odnalazła właściwą sobie dziedzinę ról wielkiego stylu—i klasycznego repertuaru: występami w tym rodzaju zdobywa wstępnym bojem publiczność i powodzenie. Występy gościnne w Poznaniu i Warszawie pozyskały jej rozgłos na całą Polskę; angażowana do Warszawy, w Teatrze Wielkim grywa przez lat siedm, stanowiąc prawdziwą stołecznej sceny ozdobę. W r. 1868 wyszła Modrzejewska powtórnie zamąż, za Karola Chłapowskiego, z którym żyła do śmierci. W r. 1876 Chłapowscy opuścili Polskę i wyjechali do Ameryki, po części dla poratowania zdrowia artystki, znużonej wieloletnią już wytężającą pracą sceniczną, po części—by poszukać sukcesów i sławy w Świecie Nowym... Udali się do Kalifornji i zamieszkali blisko Los Angeles. W r. 1877 Modrzejewska powróciła na scenę; wystudjowawszy rolę "Adrjanny Lecouvreur", zgłosiła się do dyrektora J. McCullough w San Francisco i uzyskawszy występ 20go sierpnia, 1877, odniosła sukces zupełny, a tak wielki, że—jak ówczesne gazety pisały, podobnego w Ameryce nie widziano i nie pamiętano. Odtąd przez lat 25 Modrzejewska grywała w Ameryce, jeżdżąc po wielkich miastach jej i roznosząc wszędzie sławę i podziw dla Polskiej Sztuki, której była tak znakomitą przedstawicielką. Od czasu do czasu wyjeżdżała do Polski na występy gościnne, a w latach 1880 i 1882 występowała też w Londynie, zyskując również niepodzielne uznanie krytyki i publiczności.

W r. 1896 Modrzejewska wyjechała do Polski: zamierzała występować we Warszawie, spotkała się jednak z trudnościami ze strony rządu rosyjskiego —a to z powodu mowy, gorąco patrjotycznej, wygłoszonej przez Artystkę w czasie Wystawy Chicagoskiej, r. 1893 na Kobiecym Kongresie: w przemowie tej Modrzejewska ostro krytykowała rząd rosyjski, uciskający bezlitośnie Polaków pod swym zaborem; ten jej "występ" uniemożliwił jej później występowanie we Warszawie.

W r. 1905, syta chwały i laurów, ustąpiła ze sceny, z którą pożegnała się dnia 2-go maja, w teatrze "Metropolitan", w Nowym Yorku. Na przedstawieniu jej, z tej okazji urządzonem, zebrał się cały amerykański świat artystyczny, teatralny i literacki, by pożegnać znakomitą koleżankę... Odtąd przemieszkiwała z mężem w zaciszu prywatnem w Bay City, Orange Co., w Kali-

fornji, gdzie zmarła dnia 8-go kwietnia, 1908 r. Ciało jej przewieziono do Polski i pochowano w Krakowie.

Kilku słowy osobistych wspomnień zamknę życiorys Modrzejewskiej:

Często z Kalifornji przyjeżdżała do rodziny syna, w Chicago wówczas prowadzącej dom, w którym skupiała się Myśl Polska tamtejszej Polonji, co było wyłączną Pani Heleny zasługą; potem starała się o kontynuację tego synowa Felicja, z domu Bendówna, sama niepoślednia rzeźbiarka, którą na innem też wzmiankowałem miejscu. W tym domu poznałem Panią Helenę; mówiliśmy o teatrze polskim; przyszła na któreś nasze przedstawienie: chwaliła, a uznając naszą pracę, Żonie mej, grającej właśnie wtedy rolę "Porcji" w "Kupcu Weneckim", udzieliła swoich szat do sceny sądu (Akt IV); przedstawienie tak jej się podobało, że o mym "Szyloku" orzekła, iż jej Booth'a przypomniał, a odchodząc—"Wiesz—powiada—jeszczebym z Wami zagrała". "I owszem—odrzekłem—proszę wskazać sztukę, ja opracuję ją, przyjdzie Pani na jedną próbę i—zagramy". Obrała "Właściciela Kuźnic". Zabrałem się istotnie do ról, gdy przyszła wieść—o jej zgonie... Minęło mnie, a jakże byłoby mi cenne, doświadczenie, że pod mą reżyserją grałaby była—Modrzejewska... W parę dni później przemawiałem na wieczorze, czci jej poświęconym i pamięci... Garstkę pamiątek po niej osobistych oddałem do Muzeum Polonji w Chicago.

Helena Modrzejewska—od początku pobytu w Ameryce zawsze bliskie z Polonją utrzymywała stosunki: za pobytów swych w Chicago zawsze niedzielami bywała w kościele św. Stanisława Kostki, a raz, czy dwa razy—uproszona przez Zahajkiewicza wzięła udział w parafjalnego Kółka występach i w przedstawieniu "Chłopów Arystokratów": trzeba było widzieć "Kogucinę"-Modrzejewską, jak zamaszyście grała i wyśpiewywała:

"Arakiem się będę myła,
"Na obiad codzień gęsina;
"Już słyszę, jak ludzie krzyczą:
"Wiwat! Pani Kogucina!...."

Pisał o tym jej występie świadek jego ówczesny, Emil Dunikowski, wybitny geolog, profesor Uniwersytetu Lwowskiego, który wówczas (r. 1892) bawił w Ameryce, a wrażenia z pobytu tego, w którym blisko stykał się z Polonją, opisał w interesujących książkach swych: "Od Atlantyku po Góry Skaliste" i "Wśród Polonji w Ameryce".

TEATR POLSKI W CHICAGO

"Wiadomości Artystyczne" w Chicago, w r. 1919, pisały o "Teatrze Polskim", co następuje—w skróceniu: Teatr Polski w Chicago, jako Stowarzyszenie stale zorganizowane, był pierwszą, jedyną tego rodzaju i rozmiaru instytucją polską w Ameryce, która—jako zadanie podjęła Sztukę—prawdziwą, jej propagowanie i z nią rodaków w Ameryce zapoznawanie, oraz budzenie zamiłowań do sceny poważnej i formowanie oddanych jej drużyn artystycznych.

Myśl stworzenia takiego Teatru błąkała się w Polonji od dość dawna a jej urzeczywistnienie przybliżyło ostatecznie kilka poważnych, zgoła odmiennych od dawniejszych, przedstawień na scenach teatrów śródmiejskich i polskich w Chicago, w r. 1904 i 1905. Najwybitniejszymi pracownikami na tej niwie byli Szczęsny Zahajkiewicz, pierwszy nauczyciel-reżyser, oraz Karol Wachtl, pierwszy artysta-reżyser, który wprowadził na sceny nasze nowoczesny repertoar, polski i obcy; ci miłośnicy i pracownicy Sceny są i głównymi naszego prawdziwego Teatru twórcami. Zachęceni powodzeniem kilku lepszych

występów, zebrali grono wybitniejszych obywateli na radę, po której postanowiono zorganizować stały Teatr Polski w Chicago; doszło do tego w styczniu, 1906 r. Wybrano dyrekcję i poczyniono przygotowania do przedstawień systematycznych, które rozpoczęto w kwietniu rzeczonego roku "Murasem" S. Zahajkiewicza, granym w teatrze "Garrick" w śródmieściu, w Chicago. Tymczasem trwały prace organizacyjne, prowadzone energicznie przez pierwszą dyrekcję: kierownikami artystycznymi byli S. Zahajkiewicz i K. Wachtl, który był zarazem sekretarzem Teatru.

Urządzając od czasu do czasu przedstawienia, pracowano nad wewnętrznem ukonstytuowaniem i wyrobieniem trupy: Wachtl opracował statut Stowarzyszenia, jednocześnie zaś ujął Teatr w karby systemu, który mógł zapewnić byt instytucji. Tak uformował się projekt reorganizacji, a lepiej rzec—właściwego zorganizowania Teatru, którego dokonano z początkiem 1907 r.: ujęto Teatr w normy prawne, założono stałą trupę, angażowano Zarządcę (Business Manager) i wogóle poczyniono zarządzenia, które miały Teatr Polski w Chicago postawić na stopie, odpowiadającej choć w przybliżeniu innonarodowym instytucjom tego rodzaju.

Do trupy teatralnej zapisało się zgórą 50 osób; wśród nich było sporo niezłych sił i talentów, ustalono płace (acz skromne) na podstawie podziału na kategorje, bo płatność miała na celu przyzwyczajenie uczestników trupy do rzadkiej wśród amatorów obowiązkowości. Przy trupie zorganizowano Szkołę Dramatyczną, którą prowadził kierownik artystyczny.

Teatr Polski w Chicago egzystował lat parę—przechodząc koleje lepsze i gorsze: wystawił doskonale długi cykl wartościowych sztuk polskich i z obcych repertoarów; wielu nauczył grać i kochać scenę, krzewił wśród ogółu umiłowanie i szacunek dla tej wielkiej szkoły życia, jaką Teatr stanowi. Niestety—z braku finansowych środków i zrozumienia, a zatem i poparcia wydatniejszego ze strony ogółu, nie dość wyrobionego, Teatr Polski—chlubny byt swój zakończyć musiał.

AKTORZY I AMATORZY SCENY

Wyłoniła się potem gromada pracowników Sceny—wyłącznie z jej amatorstwa: najlepsi z niego wyszli i najwierniej oddani. Każde Kółko Teatralne miało swoich amatorów, wśród których najwybitniejsi zwykle wyrabiali się na reżyserów, do ludowych sztuk zupełnie wystarczających. Kiedy krótko przed pierwszą Wojną Światową bawił w Ameryce Dr. Zygmunt Gargas, jeden z inicjatorów Teatrów Chłopskich w Polsce i autor książki w tym temacie, opowiadał mi, że powracający z Ameryki do wsi polskich re-emigranci są tam propagatorami sceny wiejskiej, bardzo pożytecznymi i nierzadko wykazują duże zdolności oraz pewne wyrobienie: nauczyli się oni pracy na scenie—w Ameryce. Do takich, w swym rodzaju niezrównanych typów amatorów, bardzo pożytecznych, należeli ze starszych n. p. Jan Czekała (na innem też tej książki miejscu wzmiankowany), Jan Nering, Wincenty Jóźwiakowski, a z późniejszych i młodszych Józef Kamedulski i Szczepan Kolanowski.

Przy Teatrze Polskim, jak na swojem wzmiankowano miejscu, założono Szkołę Dramatyczną; niedługo ona funkcjonowała, a przecie zgromadziła duży zastęp adeptów i niejeden rozbudziła talent, który już pozostał Scenie oddany. Z grających w przedstawieniach trzech edycyj poważniejszych Teatru w Chicago, grywały panie: W. Chonarzewska, S. Dobrosielska, A. Jachimska, G. Więckowska, z młodszych L. Uczcikówna, W. Menkicka, z panów: Dr. A.

Szwajkart, J. Maciejewski, T. Eminowicz, S. Kosmowski, W. Ignaczak, S. Jachimski, J. Urbański, a z późniejszych: K. Kasperek, Fr. Scholl, K. Jedliński, S. Pawlicki, Dr. J. Sroka, Dr. J. Liss, K. Wojtowicz—że najważniejszych tylko wspominam; jeszcze później przybyli z Polski i grywali u nas: A. Bednarczyk, W. Krasowski i K. Majewski; o tych ostatnich wiadomo, że i w Polsce już grywali—mieli zatem do pewnego stopnia profesyjne przygotowanie, które przy niezaprzeczonych zdolnościach dały im tu szereg poważnych sukcesów.

Wspomniany poprzednio Tadeusz Eminowicz grywał już też w Polsce, w ludowych przeważnie zespołach; przez czas pewien współpracował w Towarzystwie Miłośników Sceny, utworzonem po upadku Teatru Polskiego; później dla względów zarobkowych przeszedł do owych pomniejszych, tanich teatrzyków, o których piszę w głównej osnowie Rozdziału, a których założył kilka w Milwaukee, Chicago i Detroit: w tych warunkach talent jego niezaprzeczony — ni wykształcić, ni rozwinąć się nie mógł: Eminowicz zmarł w roku 1914.

W Kole Młodzieży "*Nowe Życie*" reżyserował i grywał bardzo uzdolniony Jan Kochanowicz, który powróciwszy do Polski po pierwszej Wojnie Światowej—poświęcił się w zupełności pracy zawodowej w teatrach tamtejszych. "*Nowe Życie*" wystawiło m. i. Słowackiego "Kordjana" w Chicago. Inne Towarzystwo Młodzieży pod nazwą "*Promień*" — posiadało w ciągu wielu lat bardzo dobry zespół amatorów, a grało m. i. "Dziady" Mickiewicza, "Marję Stuart" Słowackiego, "Wesele" Wyspiańskiego i cały szereg innych sztuk pierwszorzędnego repertoaru.

Bodaj wymienić tu jeszcze pragnę nazwiska pożytecznych pracowników Sceny pań: A. Brzozowskiej, M. Kwiatkowskiej, W. Łysakowskiej, oraz panów: T. Kantora, S. Kajkowskiego, M. Marskiego, J. Repety, L. Lessla; wspominek też należy się znakomitemu charakteryzerowi—niegdyś z warszawskiego "Wielkiego Teatru", Józefowi Cichowiczowi.

Na końcu nie mogę zamilczeć, że w teatralnej robocie na amerykańskich niwach dołożyliśmy głów i ręki również oboje—autor tej książki i jego Małżonka: sam jestem uczniem Józefa Chmielińskiego, świetnego artysty Sceny lwowskiej i warszawskiej, a Żona ma jest uczennicą moją; jak na innem już podałem miejscu, Wika Wachtlowa jest jedyną na Scenie Polskiej, która w Szekspirze w "Kupcu Weneckim" grała "Porcję" w oryginalnych szatach Heleny Modrzejewskiej, przez nią jej udzielonych—w uznania dowodzie. Oboje grywaliśmy już w Polsce, w Polonji Amerykańskiej graliśmy razem w ciągu wielu lat — w dziesiątkach sztuk: z jak dużym rozmachem szły w swoim czasie te prace nasze i jakiem cieszyły się powodzeniem artystycznem (finansowem — nie zawsze), wspomnę dla dowodu, że n. p. "Zemstę" Fredry grano 23 razy, Rydla "Zaczarowane Koło"—7 razy, "Wesele" Wyspiańskiego—11 razy, "Kupca Weneckiego"—4 razy, "Poskromienie Złośnicy" Szekspira 4 razy itd. i d.

MARZYCIELE I PASORZYTY

Ze sprawą Teatru Polskiego w Ameryce łączy się od lat dużo poczciwych, ale nie praktycznych marzeń i projektów organizowania teatru, n. p. próby, swego czasu podejmowane w Nowym Yorku, oraz—pasorzytnictwa wszelakich nieuków i nierobów, grających po osiedlach polsko-amerykańskich i pompujących z nich dolary—na "teatr polski"; bywali naciągacze, co nawet u rządu w Polsce nieopatrzne wyłudzili subwencje — także na ten teatr; w

Ameryce przetrwonili je i nie zrobili niczego, bo zresztą żadnych po temu nie mieli kwalifikacyj. Tacy i tym podobni—obniżyli dostojność Sztuki, a utrudniali rzetelną, twórczą prawdziwie propagandę jej. O rzeczach tych od czasu do czasu pisano i piszą po gazetach polsko-amerykańskich, przyczem trafia się sporo przesady, bo właściwe spraw tych rozumienie nie należy w Polonji do przejawów powszechnych. Nawet do Polski pisywano o niektórych z omawianych antrepryz, też nie zawsze prawdziwie; zdarzyło się n. p., że "Światowemu Związkowi Polaków ze Zagranicy" opisano wzmiankowane wyżej teatrzyki groszowe i trupki przygodne—jako tyle a tyle "stałych teatrów polskich w Ameryce"—co oczywiście uznać można tylko za ignorancję, albo za blagę, o czem też swego czasu sporo pisały dzienniki takie, jak "Monitor" w Cleveland, "Dziennik Chicagoski", "Kurjer Narodowy" w N. Yorku i inne, potępiając słusznie takie błędne i szkodliwie zwodzące, informowanie Rodaków w Ojczyźnie. My nie potrzebujemy stroić się w cudze, czy sztuczne pióra i kolory, mamy tu bowiem zasługi rzetelne, w trwałym i wartościowym dorobku, choć dziś nie mamy poważnego teatru polskiego w Ameryce.

O NASZYCH SCENACH PARAFJALNYCH

Bodaj słów kilka jeszcze pragnę dorzucić do tego, co powiedziałem w osnowie głównej Rozdziału—o polsko-amerykańskich scenach parafjalnych. Sceny te, choć dzisiaj w dość ogólnem zaniedbaniu, dawniejszemi laty miały przecie daleko większe znaczenie i rola ich wśród społeczności polskiej w Ameryce—była o wiele wydatniejszą. Da się ta rola wskazać w dwu głównych kierunkach: Po pierwsze—sceny te i ich przedstawienia, ich wszystkie prace, *utrwalały obyczaj polski* na ziemi tutejszej, propagowały go, upowszechniały znajomość jego—w drugiej, nawet w trzeciej generacji: strój polski, ludowy, śpiewy polskie, niektóre zwyczaje nasze, jak "okrężne", "dożynki", jak "wigilja św. Andrzeja" i inne, ze scen schodziły w pamięć trwałą starszych, w poznanie młodych, a rzeczy te — robiły swoje stanowczo i robiły — dobrze. Drugi kierunek oddziaływań to konieczna w kółkach scenicznych parafjalnych, *nauka mowy polskiej*, wymawiania, możliwie najpoprawniejszego, deklamacji—choćby najprymitywniejszej: każdy przyzna, że to również na obczyźnie—musiało mieć wagę bardzo zasadniczą. Dlatego tworzono te "Kółka Dramatyczne", w których grywała młodzież parafjalna, przeważnie wyszła ze Szkół Parafjalnych; nieraz—niezgorzej grywała i niezłe rzeczy ludowych przeważnie naszych pisarzy. Trzeba było widzieć i słyszeć, jak to się zaśmiewano, jak się wzruszano temi historjami—na owych scenach przedstawianemi; ile to po udałem przedstawieniu, nad którem młodzież—często pod kierownictwem Ks. Proboszcza, czy Ks. Wikarego, lub i której ze Sióstr Nauczycielek, albo wreszcie p. Organisty — miesiącami nieraz "obkuwała się", ażeby podjęte przedstawienie oddać jak najlepiej... budziło się ambicyj—dobrych i pożytecznych, ile rzetelnie zasłużonej zbierało się pochwały! A jak się na tem wzorowała dziatwa szkolna podrastająca, widująca już siebie we wyobraźni przyszłych podobnych sukcesów... To były dobre, kształcące i uszlachetniające wpływy. Dzisiaj—niestety ponikło to, pozachodziło, pozapominało się w znacznej mierze. Pracowników brak przewodnich, amerykanizacja postąpiła — zastraszająco... Szkoda — niepowetowana!... Zahajkiewicz, wielki Parafjalnej Sceny pracownik, napisał nad jedną z nich, gdy ją budowano (w Chicago, na "Marjanowie"): "Daj Humor nam złoty, Karć Wady, Chwal Cnoty": ...robiła to sprawiedliwie polsko-amerykańska scena parafjalna robiła długo i dobrze; żal—że dalej nie robi...

Jak w całym dorobku intellektualnym Polonji Amerykańskiej, jak we wszystkich jego działach umysłowej i duchowej twórczości—tak i na Wiedzy rozległych polach—długo tu panowała posucha. Nie mieliśmy własnych uczonych wybitnych, bo po prawdzie—i potrzeby ich nie było; zajęci formowaniem i gruntowaniem bytu ekonomicznego i przystosowywaniem się do nowych warunków egzystencji w Ameryce, znaliśmy w ciągu dziesiątków lat tylko łatwiejsze, przystępniejsze, praktyczne dziedziny Wiedzy, a tylko wyjątkowo trafiały się wśród nas indywidualności nie powszednie, które wyżej wyrastały nad poziom rodaczy, pozyskując uwagę, z czasem uznanie ogólno-amerykańskie. Później i w tych rzeczy zakresie poprawiało się u nas, a młodsze generacje polsko-amerykańskie uczestniczą już we wszystkich działach i dziedzinach naukowej pracy i twórczości, niejeden pozyskuje tu imię poczesne i wykazuje zasługi bardzo poważne. Najlepiej będzie, jeśli podamy bodaj krótki i treściwy przegląd choć co najważniejszych gałęzi naukowych, wraz z nazwiskami polsko-amerykańskich pracowników im przynależnych.

Zacznijmy od religijnej dziedziny: Księży piszących, pracujących naukowo, i z samego początku mieliśmy najwięcej, a to w rozlicznych działach teologicznych umiejętności, lecz przeważnie znowu w takich, które miały i mają zastosowanie dla wiernych—praktyczne; filozoficzne dzieła pisał Ks. Dr. Jan Zybura ("Wstęp do Summy Teologicznej św. Tomasza", "Wiecznotrwała Żywotność Filozofji św. Tomasza" i inne; zmarł w r. 1934); Ks. Dr. Franciszek Węgier, profesor Seminarjum Polskiego w Orchard Lake, pisze dzieła o dialektyce, kryterjologji i metafizyce; Ks. Dr. Jan Rolbiecki, Profesor Uniwersytetu Katolickiego we Waszyngtonie, napisał szereg poważnych rozpraw i dzieł z dziedziny filozoficznej, wśród nich — "Historję Filozofji Średniowiecznej"; Ks. Dr. Władysław Kwiatkowski, C.R. *(Patrz Przypiski)* napisał kilka obszernych rozpraw, wśród tych najważniejsza—"Co nam daje Religja i Kościół", dzieło wydane z okazji setnej rocznicy zgonu Bohdana Jańskiego, założyciela Zgromadzenia Księży Zmartwychwstańców. Ks. Bernard Jarzembowski

jest autorem licznych rozpraw na tematy religijne; największem jego dziełem jest "Trylogja Chrystusa"; Ks. Józef Rybiński opracował podręcznik liturgiki; Ks. Jan Ciemniewski jest autorem szeregu książek z omawianej dziedziny, wśród nich najważniejsza zda się nam—"O Położeniu i Potrzebach Kościoła Katolickiego w Ameryce"; Ks. Jan Domaszewicz napisał i wydał kilkanaście krótszych i dłuższych rozpraw i książek z zakresu historji Kościoła i pouczeń popularnych, moralno-religijnych.

Homiletyką zajmuje się pilnie wzmiankowany poprzednio, Ks. Aleksander Syski, który wydał kilka zbiorów kazań, oraz redaguje Pismo, poświęcone kaznodziejstwu; katechetyką ze specjalnem zamiłowaniem zajmował się Ks. Feliks Ładoń, C.R., również już wzmiankowany poprzednio, napisał on kilka większych rozmiarów podręczników dla uczących katechizmu w naszych Szkołach. Filozofja ma w Polonji dwu jeszcze poważnych bardzo adeptów: pierwszym Prof. Romuald Piątkowski, wspomniany w Rozdziale o Uczelniach Średnich, który przetłumaczył znakomicie Kanta "Krytykę Czystego Rozumu" i "Prolegomena" (objaśnienia wstępne) do dzieł Kanta—oraz Dr. Anna Wyczółkowska, która napisała kilka książek po angielsku i po polsku ze zakresu psychologji. Ze współczesnych — psychologją zajmuje się Dr. Zygmunt Piotrowski, członek fakultetu profesorskiego Uniwersytetu "Columbia" w Nowym Yorku; jego liczne rozprawy i artykuły często się znajduje w naukowych czasopismach amerykańskich. Małżonka jego Dr. Irena Głębocka-Piotrowska jest jedynym dotąd w Polonji specjalistą w historji Sztuki: i jej artykuły są częstemi kontrybucjami Pism—polskich i angielskich.

Tu nam przejście dogodne do działów Historji: Na pierwszem w grupie tej stawimy miejscu Ks. Wacława Kruszkę z jego "Historją Polaków w Ameryce": dzieło to rozległe stanowi najważniejszy zbiór materjałów historycznych Polonji Amerykańskiej *(Patrz Przypiski)*, po nim Mieczysław Haiman *(Patrz Przypiski)* prowadzi nierównie gruntowniejsze, a więcej naukowo ujęte, poszukiwania źródeł przeszłości polskiej w Ameryce: rezultaty tych badań swoich zawarł w całym szeregu monografij historycznych, z których pewna część przetłumaczona została także i na język angielski; Tomasz Siemiradzki napisał "Porozbiorowe Dzieje Pol-

ski", Karol Wachtl napisał "Historję Zjednoczenia P.R.K." i jest autorem książki niniejszej; Stanisław Osada (wzmiankowany nieraz w tej książce) napisał "Historję Związku Narodowego Polskiego"; Dr. Corwin-Lewiński opracował po angielsku Historję Polski, wydaną przez "Polish Book Importing Co." w Nowym Yorku, jedyną poważnie prowadzoną Księgarnię Polską w Ameryce, która ostatnio i na wydawnicze wkracza z powodzeniem — dziedziny. Kilka rozpraw o dziejach różnych osad polskich w Ameryce napisał Franciszek Niklewicz ("Historja Pierwszej Polskiej Parafji w Ameryce, w Panna Maria, Texas"); o pierwszych tych osiedlach polskich w Texasie napisał gruntowną rozprawę Ks. A. Dworaczyk, wzmiankowany również już poprzednio. Z młodszych badaczy dziejów naszych należy wzmiankować Dra. Alfonsa Wolanina, archiwarjusza Polskiego Muzeum i Archiwum w Chicago, który zajmuje się bibljografją polsko-amerykańską,— i Siostrę Marję Neomizję (Rutkowską) Nazaretankę, autorkę kilku rozpraw na tematy historyczne.

Osobno stawię i wzmiankuję Adama Gurowskiego *(Patrz Przypiski)*, autora dwutomowych Pamiętników z czasu Wojny Domowej i Administracji Prezydenta Abrahama Linkolna ("Diary from March 4th, 1861—to October 18th, 1863"); pisarz to bardzo niemiarodajny w ocenianiu zjawisk i wydarzeń dziejowych swego czasu, wygłaszający wybitnie subjektywne a powierzchowne sądy, pełne stronniczości, osobistych niechęci i uprzedzeń; pamiętniki jego spotkały się z ostrą krytyką, a interesują głównie, jako ciekawy—bądź co bądź—znak czasu i nasz o sprawach jego głos, choć dość mało gruntowny.

Przejdziemy do innych dziedzin: Praktyczno-naukowym działem, obszerniej reprezentowanym w tym przeglądzie zwięzłym jest Pedagogika: mamy tu przecie precedensy bardzo dawne, bo wszakże zapiski najstarsze wzmiankują już w połowie wieku XVIIgo Aleksandra Karola Curtiusa (Kurczewskiego), który zaproszony z Polski do Nowego Amsterdamu (Nowego Yorku) w r. 1659, uczył klasycznych języków w szkołach amerykańskich, a podobno nawet akademję założył dla wyższych studjów w Nowym Yorku. O tym Curtiusu-Kurczewskim więcej znaleźć można w książkach M. Haimana, poświęconych przeszłości polskiej w

Ameryce. Później długo nie mamy tu niczego wydatniejszego — poza tem, co podano w Rozdziale o Szkolnictwie; w latach trzydziestych zeszłego wieku Marcin Rosienkiewicz, były profesor Liceum Krzemienieckiego, do Stanów Zjedn. wychodźca polityczny, uczył języka angielskiego we Filadelfji i w r. 1834 wydał pierwszą polską książkę w Ameryce: Podręcznik do nauki języka angielskiego. Książka owa nosiła podwójny tytuł: "Dialogue to Facilitate the Acquisition of the English Language by Polish Emigrants", oraz polski: "Rozmowy dla ułatwienia nauki języka angielskiego dla emigrantów polskich". Skromna ta książeczka wyszła z drukarni John'a Young'a we Filadelfji.

Na początku bieżącego wieku Szkolnictwem zajmuje się specjalnie jedyna większych rozmiarów praca, w tym zakresie napisana — przez autora książki niniejszej; na podstawie książki tej pod tytułem "Szkolnictwo i Wychowanie" Chicago, rok 1904 — Profesor W. Karbowiak wykładał w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim o Szkołach Polonji Amerykańskiej; Karol Wachtl opracował również trzy wydania polskich podręczników dla szkół polskich w Ameryce i był pierwszym, który przez szereg lat wykładał dzieje i literaturę polską na kursach, urządzanych przez Ks. Andrzeja Spetza, C.R., wzmiankowanego poprzednio, dla nauczycielek polskich (SS. Franciszkanek) w Chicago. Podręczniki dla szkół polsko-amerykańskich opracowywały i wydawały firmy nakładowe W. Dyniewicza i W. Smulskiego, "Polska Spółka Nakładowa" w Chicago i kilka innych. W zakresie pedagogicznych prac oraz opracowywania podręczników szkolnych wyróżnia się współcześnie Siostra M. Cyryla, Felicjanka, która kilka takich książek, bardzo udatnych, szkołom naszym podała. Ze współczesnych również wymienić jeszcze należy Prof. Pawła Fox'a, wykładowcę w kollegjach i Uniwersytetach, ostatnio w "Northwestern University" w Chicago, filologa o obszernym zakresie umiejętności, oraz autora kilku rozpraw, a wśród nich podręcznika do nauki języka polskiego dla Amerykanów. Pedagogów, profesorów o wybitniejszej indywidualności—wielu nie posiadamy, jakkolwiek jest już sporo Amerykanów polskiego pochodzenia we fakultetach Uniwersytetów Amerykańskich. Takim jest n.p. Edward Komorowski-Menge, profesor biologji na

kilku kolejno Uniwersytetach tutejszych, autor całego szeregu cennych rozpraw i dzieł w zakresach biologji, etnologji i pokrewnych: książki jego pozyskały mu poważne międzynarodowe wyróżnienia i odznaczenia. Socjologiem wybitnym, znanym w Polsce i w Ameryce jest Prof. Dr. Florjan Znaniecki—były członek fakultetu Uniwersytetu Chicagoskiego, ostatnio profesor Uniwersytetu Stanowego w Urbana, Illinois: napisał on razem z W. Thomasem kilkotomowe dzieło o charakterystyce wychodźcy polskiego do Ameryki i o jego przystosowywaniu się tutejszem: "The Polish Peasant in Europe and in America". Statystyką Polaków w Ameryce, jej zestawieniami i komentowaniem zajmuje się od lat wielu Ks. Franciszek Bolek, autor rozpraw z tej dziedziny. Ekonomję wykładał Mieczysław Szymczak na Uniwersytecie "De Paul" w Chicago, obecnie—Gubernator Banku Rezerw Federalnych, jak poprzednio wspomniano. Bankowość wykłada na Uniwersytecie "Pennsylwanja" we Filadelfji Kazimierz Sienkiewicz, Wiceprezes Filji Filadelfijskiej Banku Rezerw Federalnych. Matematyki wybitnym profesorem był jeszcze w zeszłym wieku Leopold Boeck—z Polski, który w Sorbonnie Paryskiej wykładał, a tu w Ameryce wyższej matematyki uczył w Uniwersytecie West Wirginji, oraz założył Instytut Politechniczny w Nowym Yorku; zmarł we Filadelfji, w r. 1896.

Medycyna ma u nas przedstawicieli, zgoła niepoślednich, często złączonych w wyższemi szkołami medycznemi. Najpierwszym znanym lekarzem — Polakiem był Dr. Feliks Wierzbicki *(Patrz Przypiski)*; Dr. Marja Zakrzewska, wybitny lekarz i zasłużona działaczka społeczna z drugiej połowy minionego wieku, uczyła w kollegjach medycznych Anglji i Stanów Zjedn. *(Patrz Przypiski)*. W pierwszej ćwierci wieku bieżącego wykładał okulistykę w "Rush Medical College" w Chicago—Dr. Julian Szymański, były asystent słynnego Gałęzowskiego w Paryżu, a po restytucji Polski Profesor Uniwersytetu im. Stefana Batorego we Wilnie. Dr. Franciszek Eustachy Fronczak jest od lat szeregu Fizykiem miasta Buffalo; zasłużony to działacz społeczny i narodowy. Dr. Fronczak napisał też kilka rozpraw na tematy, z medycyny zaczerpnięte *(Patrz Przypiski)*. Antropologja jest specjalnością uczonego o sławie międzynarodowej, Dra. Bronisława

Malinowskiego, który uczył tej wiedzy w Londynie, a potem w Ameryce w "Harvard" i "Yale" Uniwersytetach. Dzieła Dra. Malinowskiego są w swoim rodzaju prawdziwie klasyczne, tłumaczone na różne języki (zmarł w r. 1942).

Technika, fizyka i chemia: Inżynjerem budowniczym kolei z czasów jeszcze przed Wojną Domową był Aleksander Bielaski, który poległ w tej wojnie, w r. 1861, jak wzmiankowano w swojem miejscu książki; Kazimierz Bielawski, urodzony w Polsce w r. 1815, był w Stanach Zjedn. inżynjerem-geometrą: wymierzał granice Stanów i powiatów; zmarł w Kalifornji, w r. 1900. Był K. Bielawski autorem wspólnego protestu tutejszych rodaków przeciwko uciskowi Polaków i germanizacji ich przez Niemców. Inżynjerami budowniczymi mostów, o wielkiej w kraju tutejszym reputacji, byli: Kazimierz Gzowski (ur. 1813 w Piotrogrodzie, zmarł w Toronto, Kanada, w r. 1898); był on budowniczym mostu wiszącego nad Niagarą; zaciągnął się do armji kanadyjskiej i do wysokich doszedł w niej godności; Rudolf Modjeski (ur. w r. 1861, w Polsce, zmarł w 1940 r. w Kalifornji), syn znakomitej naszej artystki dramatycznej, Heleny Modrzejewskiej, budowniczy całego szeregu wielkich mostów w Stanach Zjednoczonych i poza niemi. Wybitnym inżynjerem, hydro-mechanikiem, specjalistą w zakresie turbin, był Prof. Stanisław Zwierzchowski (ur. w Polsce w r. 1880—zmarł w r. 1940, w Milwaukee, Wis.); uczył tu w kilku szkołach technicznych i urządzał zakłady hydrauliczne. Obecnie uczy inżynjerji w Ann Arbor Uniwersytecie, w Michigan, Prof. Władysław Różycki; w "Lewis Institute" w Chicago, uczy Inżynjer Józef Kozaczka, a chemji w "Duquesne" Uniwersytecie, w Pittsburgu, uczy Prof. Jan Matejczyk. Nie brak nam nawet i wynalazców, i to niebyle jakich: August Dombrowski wynalazł działo przeciwlotnicze, wyrzucające pociski z nadzwyczajną szybkością i precyzyjnością: rząd Stanów Zjedn. zakupił od Dombrowskiego ów wynalazek; inni Polacy poczynili ważne ulepszenia w awiatyce, inni w różnych działach mechaniki i techniki wogóle, że dla przykładu wspomnimy tylko inżynjera Wacława Szukiewicza, wynalazcę gumy sztucznej, który wprawdzie z Polski pochodzi, lecz osiadł od lat szeregu w Ameryce i ma laboratorjum we Filadelfji. Inżynjerowie i wynalazcy polscy

i polskiego pochodzenia—mają w Ameryce Stowarzyszenie własne, zawodowe, które—zwłaszcza w ostatnich latach działa wcale dobrze, dając poznać techników polskich swoim i obcym, oraz biorąc udział w życiu społecznem i patrjotycznem Polonji.

Językoznawstwo polskie ma w Polonji naszej jednego tylko, lecz zato bardzo poważnego, a zwłaszcza z lat nieco dawniejszych —zasłużonego pracownika: jest to Ks. Bolesław Góral, były profesor filologji i polonistyki w Kollegjum St. Francis, koło Milwaukee, Wisconsin; Ks. Góral w młodości swej umiłował studjum polonistyki i umiłowanie to pozostało mu zapewne na życie całe. W pierwszych latach bieżącego wieku wydawał on i redagował miesięcznik pod nazwą *"Orędownik Językowy"*, czasopismo, które jedynie z wydawanym niegdyś w Polsce *"Poradnikiem Językowym"* porównać można, a *"Orędownik"* Ks. Górala porównanie to w zupełności wytrzymywał. W Piśmie swem wydawca i redaktor zachęcał do pielęgnowania mowy polskiej a potępiał amerykanizmy i krytykował je poważnie. Pismo, niestety, mało miało zrozumienia i poparcia, a gdy Ks. Góral działalność wydawniczą zwrócił na więcej ogólne tory, podejmując wydawanie w Milwaukee gazety codziennej *"Nowiny"*, wnet *"Orędownik"* przestał wychodzić.

* * *

Tu nam miejsce poświęcić uwag kilka właśnie też językowi polskiemu w Ameryce. Jużcić — błędów i braków mamy tu i znamy do wykazania niemało. Język polski bywa zapoznawany, spychany na plan dalszy, często bagatelizowany, a nawet gardzony (przez głupców). Bywa tak zawsze i wszędzie wśród społeczności immigracyjnych, na które z konieczności działają przemożnie wpływy środowisk, do których immigranci przybywają i którym—bądź co bądź podlegać muszą. Z potrzeby trzeba się uczyć języka krajowego, którym w Stanach Zjedn. jest angielski, światlejsi opanowują go szybciej i poprawnie, ludzie—nie uczeni i nie roztropni nabywają zeń tylko po troszę—co zwyczajniejszych słów i wyrażeń, któremi zaprawiają język ojczysty i myślą, że mówią po "amerykańsku". Stąd zachwaściła się tu mowa nasza amerykanizmami—bardzo niepożądanemi: niczem był dawny makaronizm w Polsce wobec tego zaniedbania i zapuszczenia: on

był przynajmniej nalotem łaciny na mowę klas światlejszych, "lepszych" (nie zawsze),—u nas nalot amerykanizmów zanieczyszcza mowę polską mas najliczniejszych, ludzi zwyczajnych, mało uczonych, często zupełnie ograniczonych. Widzi się to i słyszy na każdym kroku, nawet w Prasie spotyka się i wogóle w mowie drukowanej. Oczywista, mamy i wyjątki dodatnie, a to nawet wśród Amerykanów, pochodzących z polskich przybyszów —drugiej i trzeciej generacji, ale—to są wyjątki szczególnie światłe, wykształcone, prawdziwie—inteligentne. Tymczasem nawet t. zw. inteligencja polsko-amerykańska na ogół mówi po polsku kiepsko i używa owych amerykanizmów. Jest to rzecz zdrożna i szkodliwa, ale nieledwie—*male necessarium*, wprost nie do uniknienia. Tak tu jest nie tylko z nami, ale ze wszystkiemi grupami—nie angielskiemi. Razem z tem w niczem to zło nie wpływa na umniejszanie się zamiłowań naszych do polskości, ani nie krępuje przejawów szczerego patrjotyzmu, ni działań polsko-amerykańskich, nim natchnionych. Nie potrzebnem tedy—zdaniem naszem, jest wyogromnianie tej usterki, a już wprost nie możemy pojąć, jak można było tej kwestji wyłącznie poświęcać całą rozprawę niby-naukową, jak to zrobił n. p. Witold Dorszewski, który w r. 1938 wydał książkę o przeszło 250 stronicach wielkiego formatu właśnie o "Języku Polskim w Stanach Zjednoczonych", w której z bardzo powierzchownych przesłanek i przelotnych obserwacyj wysnuwa wnioski—zgoła nie naukowe, a łapiąc nie wiadomo gdzie i skąd przejawy i powiedzenia, usterki nawet takie cytuje, o jakich prawdziwie znającym sprawy i stosunki polsko-amerykańskie—nie śniło się nawet. Mniemamy, że było wprost—marnowaniem funduszów, składanych "na zasiłek pracom nad kulturą narodową" wydanie tej zupełnie błahej, niepotrzebnej a wiele błędów wykazującej książki, przez "Warszawskie Towarzystwo Naukowe", tem bardziej—że obfitującej w przykłady mankamentalnej poprawności języka—jej autora.

* * *

My tu—jak możemy—chronimy polskość, tłumioną obcością, przeważającą na każdym kroku: w kołach prawdziwie światłych umiemy przeprowadzać rozgraniczenia pomiędzy amerykańskością i amerykanizacją, o której w dalszej części książki

piszemy, a—polskością. Pracujemy nad tępieniem nieuctwa, którego masy dało nam wychodźtwo z Polski, nadrabiamy zaniedbania wytrwale, a tak się nam zdaje, że zrobiliśmy nawet w tej niezmiernie trudnej dziedzinie—dość wiele.ł N. p. w Chicago, w czasach około 1910go roku, założono jedynie z patrjotycznej myśli powstały, "*Uniwersytet Ludowy*", czem się upamiętnił w Polonji jego inicjator i najdzielniejszy w ciągu lat kilku pracownik, Dr. Julian Szymański, poprzednio już też wzmiankowany. "Uniwersytet" ów, acz w zakresie działań swych bardzo skromny i skrępowany—brakiem środków, brakiem wykładowców, brakiem zrozumienia i poparcia w społeczeństwie, tak przeważnie obywającem się bez rozleglejszych widnokręgów, a gruntowniejszej wiedzy, przecie działa do naszych czasów, a na czele jego stoi obecnie wspomniany też powyżej Dr. Paweł Fox, pedagog i działacz społeczny, znany i ceniony — wśród Polaków i wśród Amerykanów.

* * *

Innym przejawem, wysoce wartościowym, stworzonym na podstawie patrjotycznej dbałości o Polskość w Ameryce, jest *Fundacja Kościuszkowska*", której inicjatorem i pracownikiem wytrwałym, a niezmiernie zasłużonym jest Prof. Stefan Mierzwa *(Patrz Przypiski)*. "Fundacja Kościuszkowska" została założona w r. 1925, a celem jej jest stworzenie i umożliwienie wymian i współprac naukowych pomiędzy Ameryką a Polską: Ameryka ma się dowiadywać o Polsce, młodzi — odpowiednio przygotowani, Amerykanie mają w polonistyce kształcić się w Polsce, mają tam zarazem transplantować idee i metody amerykańskie. Ku temu aranżowano bardzo interesujące i wartościowe wymiany wykładowców, z których upamiętniły sim nam tu cykle całe prelekcyj o Polsce i o jej kulturze — wybitnych naszych uczonych, historyków, literatów; podobnież profesorowie amerykańscy jeździli do Polski i wykładali we wyższych uczelniach tamtejszych. Nadto "Fundacja dała dziesiątkom studentów stypendja na pobyt w Polsce dla celów naukowych, wykształciła niejednego Amerykanina w polonistyce, nauczyła go znać Polskość gruntownie i służyć jej pożytecznie na gruncie tutejszym. Taka działalność obfituje rzeczywiście w nieobliczalnie dobroczynne skutki, a jeszcze poza tem

"Fundacja" propaguje tu rzeczy polskie przy każdej nadarzonej sposobności, wydaje książki i broszury odpowiednie i skupia poważne grona uczonych Amerykanów w przyjaznem zajmowaniu się Polską. Życzyć wypada, by w przyszłości, w pomyślnie unormowanych warunkach bytu narodowo-państwowego Polski—takie wymiany i współprace, jakie tu zapoczątkowała "Fundacja Kościuszkowska", rozwinęły się jak najrozleglej, najzasobniej i jak najskuteczniej.

Obok "Fundacji Kościuszkowskiej" została utworzona w latach, współczesnych pracom nad książka naszą—*"Fundacja Pułaskiego"*, która jest instytucją mającą przedewszystkiem na celu propagandę polską w Ameryce—dla pozyskiwania tu Polsce należycie uświadomionych przyjaciół i stronników.

* * *

Bibljotek wielkich i zasobnych mamy najważniejsze—dwie: Związkowa w Chicago, założona przed laty i prowadzona bardzo pożytecznie przez "Związek Narodowy Polski", oraz Bibljoteka "Zjednoczenia Polskiego Rz. Kat.", która była pierwszą w Polonji, rozsyłającą dobierane stosownie komplety książek do swych Towarzystw po odległych nawet osiedlach polsko-amerykańskich. Obie te bibljoteki liczą każda po kilkadziesiąt tysięcy tomów dzieł naukowych i książek do czytania rozmaitej treści. Prócz tego mniejszą bibljotekę posiada "Związek Polek", a wreszcie mamy kilka większych księgozbiorów prywatnych, jak: w Seminarjum Polskiem w Orchard Lake, w Kollegjum św. Stanisława w Chicago; wspomniany poprzednio Ks. Bolesław Góral posiada duży zbiór książek ze zakresu polonistyki, oraz dziejów i piśmiennictwa polskiego; duży też księgozbiór posiadał Ks. Józef Wachowski *(Patrz Przypiski)*, którego książki—zdaje się—zostały przekazane Seminarjum Polskiemu. Wspomnieć należy, że do stworzenia bibljoteki "Związku Narodowego Polskiego" przyczynił się znakomicie, a raczej dał jej początek księgozbiór Dra. Henryka Kałusowskiego, patrjotycznego działacza, wspomnianego poprzednio, który swą zasobną prywatną bibljotekę przekazał "Związkowi"; zasłużył się tu również wybitny działacz związkowy Inżynjer Erazm Jerzmanowski z Polski (ur. 1844, um. 1909), który lat kilkanaście spędził w Ameryce i dorobił się znacznego

majątku, a w czasie swego tu pobytu należał do przewodnich działaczy "Związku Narodowego Polskiego". Bibljoteka "Zjednoczenia Polskiego Rzymsko Katolickiego" została założona za prezydentury Stanisława Adamkiewicza, wybitnego i zasłużonego pracownika tej Organizacji.

* * *

Przy "Zjednoczeniu" i pod jego dobroczynną egidą powstała nakoniec—najszanowniejsza bodaj ze wszystkich kulturalnych instytucyj polsko-amerykańskich, mianowicie *Muzeum i Archiwum Polonji*, placówka młoda jeszcze, a jednak dziś już rozwinięta bardzo okazale i przedstawiająca się ze wszech miar poważnie. Trzeba zaznaczyć, że myśl muzealnego gromadzenia zbiorów, z polskością złączonych, oraz pamiątek polsko-amerykańskich, nie była nową. Pierwsze, acz małe i skromniuchne—"muzeum" istniało już w "Związku Narodowym Polskim", prowadzone bardzo po amatorsku — w jego starym Domu Związkowym w Chicago: było tam trochę naszych tutejszych pamiątek, fotografij dawnych, zbiór wartościowy monet—polskich i obcych, oraz cenne autografy i listy. Muzeum to, przeniesione do Szkoły Związkowej w Cambridge Springs, zniszczało doszczętnie w pożarze r. 1939. "Związek" i dziś posiada kollekcję bardzo ciekawych i wartościowych pamiątek, utrzymywaną w nowych jego budynkach — w Chicago.

Muzeum Polonji zostało założone przez "Zjednoczenie Polskie Rz. Kat." za prezydentury Józefa Kani, w r. 1935, lecz artykuły, wskazujące konieczność chronienia, zbierania i przechowywania pamiątek polskich w Ameryce trafiały się w Pismach dużo wcześniej.* Wskazania te i zachęty dopiero "Zjednoczenie" podjęło, odziało w konkretne uchwały i formy, w czem zasługa największa jest jego prezesa, Józefa L. Kani, który zlecił prace wstępne, bardzo trudne, Mieczysławowi Haimanowi *(Patrz Przypiski)*, a przez dwie kadencje swego urzędowania ze szczególniejszą pieczołowitością zajmował się gromadzonemi zbiorami, uzyskując dla nich lokal w budynku "Zjednoczenia", urządzenia i fundusze.

---

* Pisaliśmy o tem n.p. w nowojorskim "Kurjerze Narodowym" w r. 1929 i później kilkakrotnie.

Odtąd Zarząd Główny "Zjednoczenia" z największą troskliwością i chwalebną szczodrością zajmuje się naszem Muzeum, które pod światłem kierownictwem M. Haimana i przy jego mrówczej pracy, pełnej zamiłowania i poświęcenia—w ciągu niewielu przecie lat istnienia swego—wyrosło na Rapperswyl polsko-amerykański. Muzeum to posiada już bardzo wartościowe zbiory pamiątek polskich i polsko-amerykańskich, w czem znajdują się n.p. pamiątki po Paderewskim, ma niezgorszą galerję obrazów, w której są m. i. szkice oryginalne Jana Matejki, obrazy: Wyspiańskiego, Fałata, Stanisławskiego, Kossaka, Podkowińskiego, Malczewskiego i wielu innych, pamiątki po Modrzejewskiej, po Księciu Józefie Poniatowskim—i inne; osobny stanowią dział zabytki z najpierwszych czasów immigracji polsko-amerykańskiej. Przy Muzeum prowadzone jest Archiwum, posiadające listy Kościuszki, Poniatowskiego, Sienkiewicza, Paderewskiego, papiery po "Polskim Wydziale Narodowym" z okresu pierwszej Wojny Światowej i t. p. Osobno są gromadzone wydawnictwa polsko-amerykańskie, starsze — dziś bardzo rzadkie. Wreszcie przy Muzeum i Archiwum od lat kilku istnieje i działa "Towarzystwo Historyczne Polsko-Amerykańskie", którego uczestnicy zajmują się studjami spraw i dziejów polskich i polsko-amerykańskich.

W okresie, w którym książka ta powstaje, a to jest okres opłakany drugiej Wojny Światowej, gdy Polska tak straszliwie ucierpiała, że wprost cywilizacja i kultura Narodu Polskiego są zagrożone wyniszczeniem i niepowetowane poniosły szkody, akcja podjęta i prowadzona przez Muzeum Polonji i jego oddziały —jest żywotnem poratowaniem twórczości polskiej, duchowego dorobku polskiego: w potopie zła, zbrodni, zaguby—Muzeum to jest arką ocalenia, jest świątynia Myśli Polskiej, schronionej pośród Amerykańskiej Polonji.

KS. WŁADYSŁAW KWIATKOWSKI, C.R.

Ks. Władysław Kwiatkowski urodził się w Polsce, w r. 1879. Kształcił się w Rzymie, gdzie w Uniwersytecie Gregorjańskim uzyskał Doktorat Teologji. Jako członek Zgromadzenia Księży Zmartwychwstańców, pracował na-

przód w chicagoskich ich parafjach, potem był kolejno profesorem, wicerektorem i rektorem Kollegjum św. Stanisława. Po pierwszej Wojnie Światowej, pracował w Polsce, jako dyscyplinarjusz i rektor lwowskich zakładów Księży Zmartwychwstańców. Obrany do Rady Głównej Zgromadzenia, przeniósł się do Rzymu, gdzie w r. 1933 został mianowany rektorem Papieskiego Kollegjum Polskiego, a w roku 1939 został obrany Wice-Generałem wymienionego Zgromadzenia, po zgonie zaś Generała, ś. p. Ks. Michała Jagłowicza — w roku 1943, został Przełożonym Generalnym Zgromadzenia. Przebywa w Rzymie. Napisał szereg rozpraw z zakresów teologji i filozofji, życiorys Bohdana Jańskiego, założyciela Zgrom. Księży Zmartwychwstańców, a około roku 1910go wydawał przez lat parę i redagował Pismo "Abstynent", poświęcone celom wstrzemięźliwości zupełnej.

MIECZYSŁAW HAIMAN

Mieczysław Haiman urodził się w r. 1888, w Złoczowie, w Polsce; szkoły —we Lwowie. W r. 1913 przybył do Stanów Zj., pracował przy redakcjach rozmaitych Pism w Bostonie, Buffalo i w Chicago. Po założeniu przez Zjednoczenie Polskie Rz. Kat. Muzeum i Archiwum Polskiego w Ameryce—został jego kustoszem i odtąd jest jego niezmiernie pilnym, wytrwałym pracownikiem: na stanowisku tem położył wielkie i trwałe zasługi. W pracach naukowo-literackich wyspecjalizował się M. Haiman w poszukiwaniach początków polskich w Ameryce, a w tej dziedzinie zdziałał również ogromnie wiele; napisał cały szereg większych i mniejszych studjów, szkiców, opowiadań ze zakresu Historji Polsko-Amerykańskiej; do najważniejszych należą: "Polacy w Ameryce", "Polacy w Walce o Niepodległość Ameryki", "Historja Udziału Polaków w Amerykańskiej Wojnie Domowej"; nadto napisał cykl rozpraw o pierwszych osiedlach polskich w Texas, Kentucky i w innych Stanach; niektóre z tych prac i studjów są tłumaczone na język angielski. Ostatnią i największą jego pracą jest obszerne studjum, poświęcone Tadeuszowi Kościuszce, oraz jego roli, jego udziałowi we wojnie Stanów Zjedn. o Wyzwolenie: ta praca wydana jest w języku angielskim przez "Polski Instytut Naukowy" w Nowym Yorku, działający w Polonji — w okresie drugiej Wojny Światowej. Mieczysław Haiman za wartościowe wysoce prace swe został odznaczony przez rząd Polski odbudowanej, oraz jest członkiem naukowych i literackich instytucyj polskich i amerykańskich.

ADAM GUROWSKI

Urodził się w Polsce w r. 1805. Był ze zawodu prawnikiem. W Ameryce służył w armji północnej w czasie Wojny Domowej, z której pierwszej połowy napisał ciekawe "Pamiętniki" (do października 1863); napisał też studjum historyczne "Slavery in History" i kilka innych książek. Najważniejszem jego dziełem są wymienione "Pamiętniki", w których bezwzględnie i napastliwie krytykuje Administrację Prezydenta Lincolna.

DR. FELIKS WIERZBICKI

Urodził się w Polsce w r. 1815; brał udział w Powstaniu 1830 r. ujęty i deportowany przez Austrjaków do Ameryki, studjował tu medycynę i jako lekarz wojskowy uczestniczył we wojnie z Mexykiem, w r. 1846, poczem osiadł w Kalifornji, gdzie był cenionym ogólnie działaczem społecznym i na-

ukowym. Napisał pierwszą książkę o Kalifornji (po angielsku), zawierającą opis jej i jej bogactw naturalnych; nadto napisał rozprawę "Człowiek Idealny". Zmarł w San Francisco, Cal. w r. 1860.

DR. MARJA ZAKRZEWSKA

Urodziła się w r. 1829, w Polsce. Życie jej i działalność wysoce pożyteczna spłynęły w Ameryce, gdzie uczyła ginekologji w Kollegjach Medycznych Nowego Yorku i Nowej Anglji; założyła pierwszy szpital dla kobiet i dla dzieci, należała do organizatorek pierwszej w Ameryce Szkoły dla Pielęgniarek, pierwsza też propagowała boiska zabawowe i dozór zdrowotny dla dziatwy w zagęszczonych ludnościowo dystryktach miejskich; wreszcie należała do zwolenniczek zniesienia niewoli i równouprawnienia obywatelskiego kobiet. Zmarła w r. 1902.

DR. FRANCISZEK FRONCZAK

Urodził się w Buffalo, N. Y., w r. 1874, gdzie też ukończył studja medyczne. Jest od szeregu lat Fizykiem miasta Buffalo i ma godność pułkownika w Armji Stanów Zjedn. W okresie pierwszej Wojny Światowej był przedstawicielem Polonji Amerykańskiej w Komitecie Narodowym Polskim w Paryżu. Napisał szereg rozpraw ze zakresu medycyny. Należy do wysoce zasłużonych działaczy społecznych i posiada w pełni zasłużone odznaczenia amerykańskie i polskie.

KS. BOLESŁAW GÓRAL

Urodził się w Polsce, w r. 1876. W młodości przybył do Stanów Zjedn., tu się kształcił naprzód w Polskiem Seminarjum — podówczas w Detroit, później w St. Francis, pod Milwaukee, Wis., gdzie wyświęcony został na kapłana, w r. 1899. Przez lat kilka był profesorem filologji klasycznej i polonistyki w St. Francis Kollegjum. W tym czasie założył, wydawał i redagował Pismo, poświęcone językoznawstwu polskiemu, pod nazwą *"Orędownik Językowy"*, prowadzone doskonale, lecz — jak na warunki polsko-amerykańskie za trudne, nieprzystępne: w Piśmie tem propagował poznawanie i umiłowanie języka polskiego, przykazywał jego poprawność, a wytykał amerykanizmy. Od r. 1906 pasterzuje w Parafjach milwauckich, ostatnio w parafji św. Jacka; w r. 1921 otrzymał godność Prałata. Zaznaczyć należy, że Ks. Bolesław Góral jest też założycielem dziennika milwauckiego, *"Nowiny"*, który prowadził przez lat kilka, poczem Pismo to przeszło w ręce OO. Franciszkanów.

STEFAN MIERZWA

Urodzony w Polsce, w r. 1892; do Stanów Zjedn. przybył w r. 1910. Tu zrazu pracą ciężką zarabiał na życie, jednocześnie jednak kształcił się pilnie —naprzód na kursach wieczornych, później studjował na kilku Uniwersytetach, wreszcie w r. 1921, otrzymał Magistrat Wiedzy na "Harvard" Uniwersytecie. Przez następnych lat parę wykładał ekonomję w "Drake" Uniwersytecie w Des Moines, Iowa, później w "Harvard" Uniwersytecie, przy którym założył Komitet Stypendjalny Polski, który—być może stał się zawiązkiem, albo przynajmniej dał Mierzwie pomysł utworzenia "Fundacji Kościuszkowskiej" w r. 1925-tym, od którego to czasu jest on tej instytucji sekretarzem i

zarządzającym dyrektorem. Mieszka stale w Nowym Yorku, gdzie jest nader czynny na polach wymian naukowych, oraz współprac uczonych i studjujących między Polską a Stanami Zjednoczonemi. Napisał też kilka rozpraw naukowych w języku angielskim; m. i. zwięzły życiorys Mikołaja Kopernika. wydany z okazji 400lecia jego zgonu.

KS. JÓZEF WACHOWSKI

Ks. Józef Wachowski urodził się w r. 1886 w Cleveland, Ohio, zmarł tamże w r. 1941. Słabego był zdrowia, skutkiem tego nawet ustąpił z pól pracy parafjalnej, a oddał się w zupełności artystycznym swym umiłowaniom i współpracom patrjotycznym polskim. Będąc z rodziny zamożnym, mieszkał we willi, niedaleko Cleveland, gdzie się poświęcił w zupełności polonistyce i studjom nad nią, oraz ulubionemu kollekcjonerstwu. Ks. Wachowski był też niepowszednim poetą: tłumaczył doskonale arcydzieła poezji polskiej na język angielski, n. p. przetłumaczył "Słowackiego "Ojca Zadżumionych", "Gorzkie Żale" i wiele innych utworów i poematów, przed laty drukowanych; pisał wzorową angielszczyzną, a równie dobrze znał język polski, którym władał istotnie po literácku. Poza literaturą miał Ks. Wachowski zamiłowania kollekcjonerskie: zgromadził on największą prywatną bibljotekę polską w Ameryce, a nadto zbierał dobre obrazy i starożytności polskie. Swego czasu nabył n. p. zgórą 70 listów Tadeusza Kościuszki, wszystkie dotyczące tutejszej jego działalności: o listów tych doniosłości świadczy to, że n. p. najważniejszy z biografów Kościuszki, T. Korzon, nie wiedział o nich i w dziele swem o Bohaterze dwu Światów nie zużytkował ich. Nadto miał ś. p. Ks. Wachowski autografy i dekrety wielu królów polskich, listy Jana IIIgo, zbiór pięknych sztychów (Van Dyck, Rembrandt i inne). Ks. Józef Wachowski był naturą nawskroś artystyczną, wrażliwą i uczuciową; z usposobienia cichy i łagodny, zagłębiony w swych ulubionych księgach i studjach, był więcej literatem i uczonym, niźliby się nadawał na kierownika parafji ze skomplikowanemi jej sprawami: dlatego właśnie porzucił sprawowanie obowiązków proboszcza, a przebywał—zdala od spraw świata wśród umiłowanych ksiąg i zbiorów swoich, wśród których zmarł—przedwcześnie . . .

XIII.

NA POMOC POLSCE

W niniejszym Rozdziale zawrzeć pragnę te przejawy zbiorowego życia Polonji Amerykańskiej, które—natchnione myślą polityczną, a przejęte patrjotyzmem polskim, manifestowały się zawsze bardzo silnie, lecz w przeciągu pierwszej Wojny Światowej osiągnęły znaczenie najważniejsze—tak dalece, że zaważyły znakomicie w dziele odbudowy niepodległości Rzeczy Pospolitej Polskiej.

Polonja Amerykańska, największe skupienie narodowe Polaków poza Ojczyzną, zorganizowane silnie, pod tym względem nawet w lepszych od Ojczyzny pozostające warunkach, gdyż w Polsce przeważnie nie wolno było organizować się na zasadzie myśli narodowej, — Polonja nasza dość wcześnie — już nawet na długo przed pierwszą Wojną Światową — garnęła się do politycznych wystąpień, na rzecz Polski pomyślanych, lecz wystąpienia te przeważnie ograniczały się do teoretycznych jakichś wypowiedzeń się, a więc do adresów, przy różnych okazjach redagowanych, memorjałów, słanych do Kongresu Stanów Zjednoczonych i na Konferencje pokojowe, w Hadze urządzane w pierwszych latach wieku bieżącego, oraz na inne międzynarodowe zebrania. Nieledwie każdy polski "sejm" w Ameryce—sejmami zowiemy zjazdy walne, urządzane przez organizacje polsko-amerykańskie—zawierał w uchwalanych rezolucjach jakieś polityczne i patrjotyczne klauzule; najpoważniejsze sejmy takie urządzają wielkie organizacje, "Związek Narodowy Polski" i "Zjednoczenie Polsko Rzymsko Katolickie", bardzo też poważne były t. zw. kongresy polskie, których trzy zwołała na przełomie wieku Federacja Polaków-Katolików, bodaj najpoważniejsza i najdłużej trwała próba zcentralizowania większości naszej Polonji i jej zrzeszeń, o której organizacji w jednym z poprzednich pisaliśmy Rozdziałów.

Powszechniejszy jeszcze charakter i znaczenie istotnie ogólno-amerykańskie osiągnął, urządzony przez "Związek Narodowy Polski" we Waszyngtonie w r. 1910 Kongres Polski, na który przybyła również pewna liczba Polaków z Polski; Kongres ów urządzono z okazji odsłonięcia w tymże roku dwu polskich pomników we Waszyngtonie, Kościuszki i Pułaskiego (o czem była mowa poprzednio), a ze zjazdu tego wydał "Związek" interesujący Pamiętnik, we formie obszernego tomu, zawierający wartościowe wiadomości o Polonji Amerykańskiej, oraz referaty, na Kongres zgłoszone i na nim czytane. Na Kongresie tym po raz pierwszy od lat wielu mówiono wyraźnie o dążeniach Polski do odzyskania niepodległości i na forum międzynarodowych zainteresowań wnoszono tę sprawę, bo zresztą były tam już wśród nas, jak w świecie całym odczuwane nastroje, rychłą burzę wojenną wróżące, o której mieliśmy tę pewność, że się nie obędzie w niej bez Polaków, a w rezultacie jej—wierzyliśmy—że nastąpi taka światowych stosunków przemiana, iż i Polski niepodległość będzie wskrzeszona, a państwowa niezawisłość jej—wznowiona. Ku temu chcieliśmy pomagać ze wszystkich sił, zasobów i wpływów naszych.

Jednakowoż w omawianiu polsko-amerykańskich inicjatyw politycznych—dla porządku—cofnąć się nam wypada do dawniejszych jeszcze, choć czysto teoretycznych porywów podobnych Polonji, myślą szczerze polską pobudzonych. Pierwszem, znamienniejszem, politycznem wystąpieniem zbiorowem Polaków Amerykańskich, wystąpieniem, które pozyskało—acz chwilowo tylko, uwagę międzynarodową, była inicjatywa na rzecz zorganizowania akcji politycznej — celem niesienia pomocy Ojczyźnie w czasie wojny Rosji z Japonją w r. 1904-5. Wówczas to powstał i działał w łonie Polonji wspólny "Komitet Narodowy", który ogłosił w dniu 29go ltuego, 1904, w kilku językach wydane, rezolucje, wymierzone przeciwko jednemu z wielkich gnębicieli naszych — przeciw Rosji, a wyrażające sympatje dla walecznego, wówczas niezawodnie o sam byt swój walczącego, japońskiego narodu. Dla upamiętnienia tej mało znanej, a dziś zupełnie zapomnianej akcji, która jednak w swoim czasie na Polaków Amerykańskich zwróciła

uwagę Prasy i opinji obcej w Europie i Ameryce—przytaczamy odnośny dokument w skróceniu:

"Na posiedzeniu przedstawicieli Organizacyj polskich i Prasy, w dniu 29go lutego, 1904 r., w Chicago, przyjęto jednogłośnie następujące rezolucje:

"Ponieważ konflikt zbrojny japońsko-rosyjski posiada wielkie znaczenie polityczne dla całego świata cywilizowanego i wywołuje wszystkich narodów uzasadnione zainteresowanie; ponieważ obchodzi on w szczególności cały Naród Polski ze względu na to, że trzy czwarte terytorjum Polski znajdują się pod panowaniem rosyjskiem:

"My, Polacy, Obywatele Amerykańscy, w liczbie przeszło dwóch (podówczas—Przypisek autora) miljonów w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej zamieszkali, *korzystając z naszego prawa obywatelskiego,* oświadczamy przez usta podpisanych zarządów naszych Organizacyj narodowych i przedstawicieli naszej Prasy, co następuje:

"Zważywszy, że wolny i bohaterski naród japoński, najmłodszy syn cywilizacji amerykańskiej, jest jedynym w całej Azji przedstawicielem wolności politycznej i rozwinięcia na wyższą skalę życia duchowego i umysłowego;

"Że naród ten podjął ciężką i niebezpieczną walkę z przeciwnikiem, o wiele od siebie potężniejszym, jedynie z konieczności bronienia swego bytu narodowego i swej przyszłości państwowej przed wszystko pochłaniającą zaborczością Rosji;

"Zważywszy dalej, że Rosja jest dziś jedyną w Europie przedstawicielką tak nienawistnej dla każdego Polaka i Amerykanina despotycznej formy rządu;

"Że od dwóch wieków państwo rosyjskie żyje tylko zaborami sąsiednich państw i narodów, oraz wyzyskiwaniem ich mienia i pracy;

"Że przywłaszczywszy sobie podstępem i przemocą trzy czwarte obszarów dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, Rosja przeszło wiek cały dręczyła i dręczy Naród Polski bezwzględnem prześladowaniem naszej narodowości, religji, języka i zwyczajów narodowych;

"Że Naród Polski, który podczas swej świetnej egzystencji politycznej służył zawsze sprawie wolności i cywilizacji, dziś cierpi z ręki Rosji niezasłużone prześladowanie;

"Że podobną politykę wynaradawiania i prześladowania Rosja stosuje niezmiennie do wszystkich innych zawojowanych przez siebie narodów, czego ostatnim dowodem jest pozbawienie Finlandji jej praw konstytucyjnych, oraz kwawe prześladowania i pogromy żydów;

"Że w stosunku do swego własnego narodu państwo rosyjskie okazuje się nie matką, lecz złą macochą, bo odmawia temu narodowi—przyrodzonych człowiekowi, praw do wolności i bezpieczeństwa osoby i mienia, do wolności wyznań, słowa, prasy i stowarzyszeń, oraz do udziału narodu w rządzeniu państwem;—

"Odpieramy z oburzeniem rozsiewane tu i ówdzie przez agentów rosyjskich w Prasie amerykańskiej i europejskiej pogłoski fałszywe o sympatjach politycznych dla Rosji i Niemiec — jakoby w pewnej przynajmniej części Narodu Polskiego żywionych;

"Wyrażamy najmocniejsze przekonanie, że w obecnym konflikcie i we wszystkiem, co z niego wyniknąć może, każdy prawy Polak będzie umiał stanąć po stronie sprawiedliwości, wolności i cywilizacji.

"Zwracamy uwagę Prasy amerykańskiej na to, że istnieją liczne polskie Organizacje, oraz Komitet Informacyjny Polski — w mieście Chicago, do którego—jako do jedynie kompetentnego źródła—prosimy zwracać się o informacje we wszystkich kwestjach politycznych i narodowościowych, dotyczących Polaków tu—i w starej Polsce.

"Powtarzamy raz jeszcze, że czynimy powyższe oświadczenie z poczucia naszego obowiązku obywatelskiego, w tem mocnem przekonaniu, że stając śmiało i otwarcie po stronie Japonji, nie tylko postępujemy jako prawi Polacy, lecz i utrafiamy w historyczne tradycje i zasady Stanów Zjednoczonych, oraz w myśl większości Narodu Amerykańskiego, który zawsze sprzyjał słabym i uciskanym i dawał im swą obronę.

Stwierdzamy dalej:

"Że przez systematyczne obniżanie oświaty i wyniszczanie

siły ekonomicznej na całej swej przestrzeni państwo rosyjskie okazuje się być prawdziwym wrogiem stu-trzynastu miljonów ludzi na jego terytorjum zamieszkałych;

"Że dzięki swej sile państwo rosyjskie wywiera zgubny wpływ na życie polityczne i społeczne wszystkich narodów cywilizowanych, gdyż rzuca tę siłę zawsze i wszędzie na szalę—przeciw uprawnionym dążeniom ludów do polepszenia bytu materjalnego i umysłowego;

My, *Polacy, Obywatele Amerykańscy, wierni prawom, zasadom i ideałom wielkiej Rzeczypospolitej Amerykańskiej,* która zawsze i wszędzie popierała sprawy dobre i sprawiedliwe,—oraz wierni tradycjom i ideałom historycznym naszej starej Ojczyzny, Polski, której piękne i bohaterskie dzieje świadczą niezbicie o jej niezłomnej służbie dla spraw wolności, postępu i cywilizacji;

"Oświadczamy sympatję i podziw rycerskiemu narodowi japońskiemu;

"Wyrażamy najgorętsze życzenie, aby bohaterskie jego wysiłki zostały jak najrychlej uwieńczone zupełnem zwycięstwem i powodzeniem.

Podpisano: Organizacje Polskie: "Związek Narodowy Polski", "Zjednoczenie Polskie Rzymsko Katolickie", "Federacja Polska Rzymsko-Katolicka".

Prasa Polska: Władysław Dyniewicz, "Gazeta Polska"; T. Siemiradzki, "Zgoda"; L. Szopiński, "Gazeta Katolicka"; K. Wachtl, "Naród Polski"; St. Szwajkart, K. Neuman, 'Dziennik Chicagoski"; M. Durski, Wł. Jaworowski, "Dziennik Narodowy".

Rezolucje powyższe rozesłano do Prasy polskiej i obcej w Europie i w Ameryce, oraz do rządu japońskiego—gdzie je z żywą przyjęto sympatją i skąd otrzymano liczne pisma, z uznaniem omawiające nasze wystąpienie, oraz listy, dziękujące nam za nie. W tymże czasie Pisma polsko-amerykańskie posyłano do Japonji, dla jeńców wojennych polskiej narodowości, którym władze japońskie chętnie i bez trudności gazety te doręczały. *(Patrz Przypiski)*

Prezesem ówczesnego naszego Komitetu Narodowego był prezes "Związku Narodowego Polskiego", M. B. Stęczyński, a sekretarzem autor książki niniejszej.

Akta sprawy tej stanowią ciekawe i cenne dokumenty zbliżenia, które—omal iż nie stało się zawiązkiem ważnych dla naszego narodu kombinacyj politycznych—bo przecie myślano nawet o formowaniu oddziałów polskich przy wojskach japońskich w Mandżurji, gdzie ogromnie wielu Polaków walczyło i—zginęło za nie polską sprawę; wielu ich też Japoni do niewoli zagarnęli: z tych to myślano oddziały pierwsze tworzyć... Przypominam, że w misji takiej jeździł do Japonji Józef Piłsudski. Wyrazicielem przeciwnej, rozważniejszej orjentacji był Roman Dmowski, który również w Japonji bawił i tam przekonał się osobiście, że akcja zbrojna, wyżej wzmiankowana, nie miałaby powodzenia, ni znaczenia trwalszego, bo zresztą i wojna już ku końcowi się miała. W powrotnej swej drodze z Japonji Dmowski bawił w Ameryce i wspomnianemu poprzednio naszemu Komitetowi Narodowemu sytuację, powyżej streszczoną, oraz rolę swą w tej sprawie — w szeregu zebrań i przemówień objaśnił.

Po tej pierwszej ważniejszej inicjatywie i wydatniejszej próbie wystąpienia politycznego Polaków w Ameryce — nie było przez czas jakiś sposobności do dalszych w tym rodzaju działań. Dopiero w czasie wojen na Bałkanie, w latach 1913-14, a raczej i wcześniej nieco (Kongres we Waszyngtonie 1910 roku), kiedy widocznem się stawało, iż w coraz częstszych międzynarodowych rozterkach i Polska udział ważny mieć będzie, wtedy pod wpływem wieści z Europy, zaczęły się znowu skupiać i ogniskować myśli polityczne i działania wśród Polaków tutejszych, aż się one wyraziły w zorganizowaniu t. zw. Komitetu Obrony Narodowej, na zjeździe w Pittsburghu, odbytym 16go grudnia, 1912 r. Komitet ten postanowił działać w celu zbierania funduszów na przyszłą wojnę w Polsce, w której—choć toczyłaby się ona—jak przewidywano—głównie pomiędzy Austrją a Rosją, Polacy udział wziąćby musieli—oczywiście.

Po osadach polskich odbywają się odtąd wiece i zebrania, organizują się Komitety lokalne, zbierają się fundusze, które Komitet, stojący na czele, posyła do Kraju—na ręce tamtejszej Komisji Tymczasowej Stronnictw Niepodległościowych. Stała Komisja owa pod wpływem przeważnym organizacyj socjalistycznych, stąd posyłaniu pieniędzy dla działań tej Komisji, oraz za-

ciąganiu się bez zastrzeżeń, na ślepo, pod hasła jej i znaki, sprzeciwiała się od początku istnienia naszego Komitetu—grupa delegatów, liczbowo mniejsza, ale reprezentująca stanowczą większość zorganizowanego polskiego ogółu w Ameryce, mianowicie przedstawiciele Organizacyj i Prasy narodowo-religijnej. Różnice, stąd powstałe, pogłębiane dawniejszemi uprzedzeniami i niechęciami wzajemnemi, oraz niesprawiedliwem traktowaniem tej liczbowej tylko mniejszości członków w rzeczonym Komitecie przez bezwzględnych zwolenników Komisji Tymczasowej w Kraju—doprowadziły w końcu do rozłamu. Przedstawiciele sposobu myślenia religijno-narodowego wystąpili w dniu 8-go czerwca, 1913 r. z Komitetu Obrony Narodowej i założyli nową organizację reprezentacji polskiej w Ameryce, mianowicie Polską Radę Narodową, z którą szybko łączą się wszystkie Organizacje i Pisma religijno-patrjotyczne, oraz olbrzymia większość komitetów lokalnych, dotychczas należących do K.O.N.

Na czele Polskiej Rady Narodowej stanął Ks. Biskup Paweł Rhode, jako przewodni działacz Polonji amerykańskiej, oraz Ks. Biskup Edward Kozłowski, podówczas świeżo mianowany, Koadjutor Archidiecezji Milwaukee *(Patrz Przypiski)*.

Wrzenia międzynarodowe w Europie, tłumione i przyciszane sztucznym wysiłkiem polityków kompromisu i łatactwa politycznego, wybuchnęły zrazu pożarem tylko na Bałkanie — to owe wojny lat 1912-1913; dopiero w połowie r. 1914—wielka pierwszej Światowej Wojny pożoga rozgorzała nad całą Europą, czyniąc odrazu w pełni aktualnemi spodziewania i przygotowania Polaków amerykańskich. Wojna ta rozpętała się na ziemiach polskich, które doszczętnie zniszczyły przemarsze wojsk wrogich potęg. Stąd wyniknęła naprzód ratunku potrzeba, a więc i akcja składkowania na pomoc materjalną dla Ojczyzny. Później nieco, gdy poczęła definiować się wyraźniej rola czynna Polski we wojnie,wówczas i nam losy udział, niemało ważny, wyznaczyły w niej. Sposób pojmowania tej roli czynnej, określenie politycznego przynależenia — po tej, czy po owej stronie walczącej—to były zagadnienia, które przez cały czas pierwszej Wojny Światowej, głównie zaś w jej początkowym okresie najsilniej absorbowały wszystkie koła polskie; u nas—zasadnicze pojęcia polityczne —

nazwano "orjentacjami", o które walka zacięta rychło bardzo poróżniła i rozdarła społeczeństwo nasze na dwa wrogie obozy.

Orjentacje streszczały się u samego początku wojny w zagadnieniu—po której nam stanąć należy stronie: losy zrządziły, iż w armjach jednej i drugiej strony znajdowali się nasi rodacy; Państwa Centralne, Austrja i Niemcy, z dwu zaborami Polski miały całą masę naszych w swych wojskach; po stronie Koalicji zasię była Rosja, ze zaborem trzecim, największym—i znowu z krociami naszych w jej armjach: obu stronom zależało na tem, by sympatje i współdziałania Polaków, narodu licznego, na którego ziemiach znaczna bardzo część walk się toczyła, pozyskać dla siebie—trwale; stąd pochodziły obietnice, Polakom czynione. Carat pierwszy ogłosił patetyczne, lecz bliżej nieokreślone obietnice poprawy stosunków polskich—w łączności z Rosją, która solennie obwieszczała zamiar połączenia wszystkich zaborów Polski pod swem władaniem i w ten sposób zamyślała niezawodnie realizować dawno żywione plany zagarnięcia Polski całej. Austrja i Niemcy—mniej obiecywały zrazu, zato Austrja nęciła Polaków pozorami swobód, których naród nasz rzeczywiście zażywał w jej zaborze; ze swobód tych wnioskowano tem lepsze ustosunkowanie spraw naszych w łączności z Austrją, unji z nią, czy pod jej protekcją. Niemcy nie obiecywały niczego, polegając widocznie na tem, co oferowały austrjackie możliwości . . . Kombinacje pro-austrjackich Polaków kazały im zamykać oczy na to, że Austrji sprzymierzeńcem były właśnie Niemcy, najgorszy i najgroźniejszy wróg Polski, zapominano krzywd, tak niedawnych, wywłaszczenia i germanizacji przemocą, byle iść z Centralnymi—byle przeciw Rosji! Taką orjentację wytworzył i forsował w Polsce, osławiony z nieskrupulatnych środków postępowania i ze zaciętości w walce z rodakami orjentacji przeciwnej, patrjotyczny raczej po austrjacku, niż po polsku, Naczelny Komitet Narodowy w Krakowie. Orjentacja przeciwna, skłaniała się ku Rosji, motywując swój sposób myślenia rozumowaniem takiem, iż bądźcobądź Rosjanie—to Słowianie, że przecie nie tacy oni źli, ni groźni, jak Niemcy, zwłaszcza że kulturalnie od Polaków — o wiele niżsi, coby dawało Polakom lepsze szanse we współżyciu z nimi.

Orjentacje od samego wybuchu pierwszej Wojny Światowej natychmiast znalazły odbicie godne w Polonji Amerykańskiej, w której zrazu nastał istny chaos i takie zgmatwanie politycznych pojęć, iż zdawało się, że stracimy zupełnie istotny wątek myśli narodowej, aby go nie znaleźć — chyba już nigdy! Po stronie austrjacko-polskiego N.K.N.'u (Naczelnego Komitetu Narodowego) opowiedział się tutejszy przeważnie socjalistyczny K.O.N. (Komitet Obrony Narodowej) i z właściwym swym ludziom tupetem zaczął występować nader agressywnie, odsądzając wszystkich, nie tak—jak oni myślących, od czci i wiary patrjotycznej. Po drugiej stronie inna była ostateczność, bo oto znalazła się garstka ludzi ograniczonych, którzy bezkrytycznie pokrzykiwali hasło "Ja — z Rosją!" także dla wielu niemiłe, raczej nienawistne. Droga właściwa nie odrazu się znalazła i nie była łatwą wśród ogólnego zamieszania.

Bodaj pierwszy, który historyczną odnosi zasługę wskazania Polonji amerykańskiej drogi, jedynie właściwej dla działań wszelkich na cały czas pierwszej Wojny Światowej, oraz stanowiska w niej — jedynie poprawnego, był *"Dziennik Chicagoski"*, podówczas największy i najpoważniejszy w Polonji, który podał rodakom wskazanie polityczne takie: Ni z Centralnymi nam być, ni z Rosją; nie z wrogiem żadnym nam spółka; po żadnym z dawnych zaborców Polska nie może spodziewać się niczego, z żadnym więc w kompromisy wchodzić nie powinna! *Polska oczekuje sprawiedliwości po Wojnie Światowej od Europy, od świata, od ludzkości cywilizowanej*, przeto pracować winna, nie angażując się zbytnio ni na tę, ni na ową stronę—nad przygotowaniem w świecie uświadomienia, zrozumienia Sprawy Polskiej—tak, aby gdy przyjdzie do sądzenia rzeczy—po wojnie, na Kongresie Pokojowym, uczestnicy jego wiedzieli i widzieli jasno, że jeśli pokoju trwałego pragną szczerze—to muszą wymierzyć sprawiedliwość Polsce, muszą wznowić Państwo Polskie, inaczej w samem Europy sercu pozostanie zawsze zarzewie dalszych walk i wojen, jako że Polacy nigdy dobrowolnie nie zrzeką się swoich praw do niepodległości—zupełnej, nie cząstkowej, nie połowicznej. Nie protektoratów nam chcieć—ni tej, ni owej—ze stron walczących, ale samodzielności, wolności, bośmy jej godni i dorośli do niej,

bo *sami o sobie stanowić chcemy i musimy*. Tę wytyczną polityki polskiej podjął zaraz szereg innych Pism polsko-amerykańskich, a nadewszystko propagować ją zaczął dzielnie organ Polskiej Rady Narodowej, omówiony już poprzednio tygodnik, po angielsku wydawany, *"Free Poland"*; cała też Rada ta stanęła wnet pod znakiem takiego referatu Sprawy Polskiej i takiej o niej "orjentacji".

Oto, co pisaliśmy w tej sprawie—jako "Credo" olbrzymio przeważającej już większości zorganizowanego społeczeństwa polsko-amerykańskiego, we wzmiankowanem czasopiśmie *"Free Poland"*, w grudniu, 1915 r. (w skróceniu):

"We desire a whole, free and independent Poland, and toward that goal we labor with all our strength and skill.

"A whole, free and independent Poland—is the only worthy postulate of our great nation, which has a thousand years old culture so valuable to mankind. All our leading organizations in America, together with the whole Polish Nation in Europe, stand by the Independence Program since the beginning of this war, which resurrected the Polish Question, and placed it in the political arena of the future upon the termination of this war.

"We reject various "orientations", siding with this or that belligerent, we brand them as a compromise, unworthy of men who truly desire the independent and spontaneous growth deciding the fortune of a nation, — as a vile bargaining with one's community, which, for the price of certain political dreams and imaginary combinations is to offer itself to this or that foe. For upright Poles there cannot be any other "orientation" than the *desire of an entirely free and independent Poland.*

In Europe and in the cultural world there must be room for the Polish Cause! Europe and the whole world will never experience permanent peace as long as that question shall remain in oblivion, as long as the ultimate solution shall be postponed and put off with half measures. The Poles are a peace-loving people; hence, we honestly desire peace as breath in our lungs. This terrible war is a historical nemesis for Europe, for the crime perpetrated on Poland, because it is proven that the causes of this strife reach back and connect with the criminal partition of the

Polish State over a century ago. This act of violence, committed on Poland, had sown the seed of the conflict among the accomplices in said crime — the seed that had taken root and now is grown into a bloody harvest—the present war.

"This war must not terminate otherwise than by a complete restitution of Poland's rights. We desire peace, but *not peace at any price* — not peace at the price of a compromise with our conscience, with our national honor and future. If this peace should grant us only a poor and partial list of privileges and rights, then it were better to perish, better to die a martyred nation of heroes, than to continue to live as slaves! If there be peace—it must be based on justice, it must right the wrongs perpetrated and restore what was stolen and seized by stronger powers. An unsatisfactory solution after this war of the question of all nationalities, hitherto oppressed by stronger, imperial, political systems, will only be a new deceit, a new beguiling of the people, *a phantom of peace — not real peace.* As long as might and violence continue to exist among the peoples, as long as a man physically weaker, a people numerically smaller, must fear the more powerful—who fattened at its expense, as in the case of Poland, — so long there cannot be any question of sincere brotherhood of peoples and lasting peace among them. A free, a strong and independent Poland will give a guarantee of peace and European equilibrium. Not for applause, not for self-advertising do we strive! We must hammer out the understanding of the Polish Cause in the world, proclaiming our goal: *a whole, free and independent Poland.*"

K.O.N. z uporem, godnym lepszej sprawy, trwał przy swoim sposobie myślenia: zrezygnował on z wielkiej dawnej Polski, a przystać był gotów na karykaturalnie małe państewko jakieś — w rodzaju nowego "Księstwa Warszawskiego", które nam mieli zafundować Centralni—pod Rzeszy Niemieckiej zwierzchnictwem, w zupełnej zależności politycznej, strategicznej, dyplomatycznej i ekonomicznej—od Niemiec . . . Ta koncepcja, taka zgoda—była u Polaków smutnym przejawem oczywistej zatraty narodowych ambicyj, degeneracji, z niewoli wynikłej, wypaczeniem pojęć państwowości wogóle, a państwowości narodowej w szczególności.

Nie trzeba chyba dowodzić absolutnej nonsensowości takiej polityki, bo—cóżby ta "Polska maluśka" znaczyła wobec ewentualnie zwycięskich,—tak się spodziewał przecie K.O.N.—olbrzymich mocarstw centralnych? ... Ot, skazana byłaby im na pożarcie "bez reszty"—i koniec. Na szczęście — grupa, wyrażająca taki sposób myślenia, była tak znikomo drobna, iż nie stanowiła ani jednego procentu w porównaniu z resztą Polonji.

Zasadą polityki drugiego stronnictwa, opowiadającego się po stronie Koalicji, tendencją główną, najważniejszą, było—zjednoczenie ziem polskich—zjednoczenie ich za wszelką cenę, choćby doczasowego—tak—superjoratu rosyjskiego. Rozumiano, że najfatalniejszem ze wszystkich nieszczęść, jakie na Polskę spadły, było to, żeśmy przez rozbiory zostali podzieleni—rozerwani, porozgraniczani kordonami, które w ciągu lat sprawiły, iż narodowość nasza zaczęła dzielić się na jakieś trzy subnacje, zaczęła odczuwać trój-lojalizmy, deprawujące i degenerujące! Przykładem najcharakterystyczniejszym tego pewnika—to właśnie omówiona powyżej, "orjentacja" K.O.N.—pro-austrjacka. Widzieli to ci, co się po stronie Koalicji opowiadali, przeto stawiali za zadanie pierwsze, nawet przed odzyskaniem niepodległości—zjednoczenie powrotne ziem i narodu, ażeby lud cały odrobić, ożywić—jako jeden silny i uświadomiony: z czasem—wierzyliśmy —samby on sobie wolność i niepodległość zdobył, zwłaszcza skoro po wojnie miała przecie i w caracie nawet zapanować demokracji idea. "Godzenie się" z taką myślą nie było koncesjonalizmem żadnym—nie, to było zrozumienie i uznanie owego *male necessarium*, smutnej konieczności,—więc nie rezygnacja to była z praw do niepodległości, ponieważ kierownictwo stronnictwa czyniło starania w Paryżu i w Londynie, ażeby Aljanci zachodni coś przecie konkretniejszego wypowiedzieli w Sprawie Polskiej: niestety—byli oni tak, jak my, do czasu Rosją skrępowani, która przecie sanowczo utrzymywała, że Sprawę Polską za swą wewnętrzną uważa i sama ją ureguluje, gdy ziemie polskie zjednoczy. Dopiero—gdy carat runął—natychmiast nam i Aljantom rozwiązały się dłonie, pojaśniały umysły — otworzyły się usta; bezzwłocznie wypowiedzieliśmy się my—jak należało, a Koalicja nam nasze prawa do swobody narodowej uznała. I nikt już po-

tem nie potrzebował budzić myśli niepodległościowej u tutejszych Polaków: ta myśl czuwała, jeno wysłowić się nie mogła, szansy wypowiedzenia się nie miała; ale skoro tylko otrzymała ją — oświadczyła się natychmiast—niemylnie niedwuznacznie—tak, że to słyszeć i uznać musieli—wszyscy: demokracjom amerykańskiej, francuskiej i wszelkim innym jakieby nie były — myśmy wstydu nie przynieśli. Ideę niepodległościową powiódł ku realizacji pragnień narodowych Polski Komitet Naczelny w Paryżu, na którego czele stanął Roman Dmowski: a tu, w Polonji Amerykańskiej, znakomitą expozyturę jego stworzył Wydział Narodowy, ukonstytuowany przy współdziałaniu Polskiej Rady Narodowej i najważniejszych naszych organizacyj pod przewodniem pokierowaniem I. J. Paderewskiego, oraz Ks. Biskupa Edwarda Kozłowskiego, którzy osobistych nie szczędzili zabiegów, by ów Wydział doprowadzić do najpełniejszej reprezentacji całej Polonji: wszedł więc w skład Wydziału dawniej już utworzony, Polski Centralny Komitet Narodowy, na którego czele stał Ks. Biskup Paweł Rhode, który obrany prezesem Wydziału Narodowego gorliwie udzielał się wszelkim pracom tej najrozleglej pomyślanej i najdzielniej, najwszechstronniej działającej organizacji naszej, skupiającej zarówno składkowo-ratunkowe roboty, jak i zabiegi polityczne.

Wydział Narodowy urządził dwa główne Sejmy całego Wychodźwa—pierwszy w Detroit, w lecie 1918 r., drugi w Buffalo, w jesieni 1919 r.; dwa te zjazdy były najprawdopodobniej najpowszechniej przyjętemi, najliczniej obesłanemi i najogólniej uznawanemi—w całych dotychczasowych dziejach Polonji Amerykańskiej.

Z samego początku i przez dłuższy czas pierwszych lat wojny działalność Wydziału Narodowego, a to znaczy—tutejsza polityka polska—zachowywała co do rozgrywających się we wojnie kwestyj, nawet Polski dotyczących, ścisłą neutralność: wymagała tego od nas neutralność doczasowa Stanów Zjednoczonych. Zajmowano się intensywnie gromadzeniem funduszów ratunkowych, których też parę miljonów dolarów zebrano i wysłano do przeróżnych Komitetów i Organizacyj w Polsce i poza Polską działających dla uchodźców. Dopiero po upadku caratu, gdy Rosja bol-

szewicka zawarła odrębny z Centralnymi pokój, a w Koalicji pozostali sami zachodni Aljanci, których Główna Rada Wojenna wypowiedziała się w Sprawie Polski bez zastrzeżeń dotychczasowych, idąc w tem za głosem i przykładem Prezydenta Stanów Zjednoczonych, Woodrowa Wilsona, który w jednym ze swych, na cały świat sławnych i ważnych, orędzi oświadczył się za niepodległą Polską, utworzoną z połączonych ziem, zamieszkałych przez Polaków, z dostępem do morza,—dopiero wówczas cała Polonja, nie licząc znikomej grupki zacietrzewionych stronników Austrji i Niemiec, opowiedziała się za Koalicją. To samo stało się w Polsce, gdzie narażano się nawet na represje i prześladowania ze strony Niemców i Austrjaków, trzymających wówczas jeszcze w okkupacji cały kraj; lecz w naszej Polonji, obecnie swobodnej we wyrażaniu sentymentu polskiego, teraz tem silniej, śmielej i otwarcie już przystąpiono do akcji politycznej—na rzecz Ojczyzny. Jeszcze znamienniej i potężniej zaznaczyła się akcja ta, gdy Stany Zjednoczone wystąpiły do wojny, gdy Koalicja uznała Polskę za ko-belligerenta (współwalczącą), oraz gdy Francja zaczęła u siebie organizację Armji Polskiej, mającej tam walczyć, we Francji, a ewentualnie w Polsce; robiło się to dla zamanifestowania, że Polska istotnie z bronią w ręku staje w szeregu Aljantów—przeciwko barbarzyństwu germańskiemu. We formowaniu tej armji dopomagała Anglja, a więcej jeszcze Stany Zjednoczone, które pozwoliły nawet na rekrutację w Polonji dla wojsk polskich — we warunkach, określonych odpowiedniemi zastrzeżeniami, warującemi—oczywiście prawa pierwsze armji amerykańskiej.

Piękne to i wzniosłe były chwile! Przygotowania do wojny Stanów Zjednoczonych, acz stosunkowo niedługie, rezultat dały wprost zdumiewający — w całem tego słowa znaczeniu: zadziwiły świat, przeraziły wroga i prawie dosłownie rzec można—wygrały wojnę. Faktem jest, iż Stany Zjednoczone nie zdołały nawet wykonać całego swego zamierzonego programu zbrojeń, obliczanego na 10 miljonów żołnierza, z odpowiedniem wyekwipowaniem; ledwie dwa miljony (niecałe) Amerykanów stanęły na teatrze wojny "over there", a jednocześnie Koalicja otrzymywać poczęła niezmierzone zasoby i zapasy żywności, broni, amunicji, wszelkiego sprzętu wojennego, płynące z za Oceanu—jak ocean

nieprzebrany. Wedy już wnet załamała się sztucznie wyogromniona, lecz bezduszna w rzeczywistości, potęga germanizmu i wojna w paru miesiącach skończyła się—najkompletniejszym pogromem Centralnych—klęską i upokorzeniem, jakich podobnych—dotąd dzieje nie wykazały.

We wszystkich tych sprawach Polacy tutejsi "*magna pars fuerunt*". Podzielaliśmy w całej, najjaśniejszej pełni—entuzjazm bojowy, jaki ogarnął kraj nasz, owszem, entuzjazm ten rozpotęgowaliśmy w sobie do extatycznych iście uniesień, bo dla nas ta wojna światowa—świętem była, od dawna utęsknionem, bo gdy przeciętnego Amerykanina wiodła do niej idea ogólnego dobra ludzkości, nas prowadziły, porywały w bój nie tylko te idee, może dla wielu niezupełnie dostępne, zrozumiałe, choć intuicją odczuwane w każdym razie, lecz obok nich wiodło nas do czynu zbrojnego — zrozumienie dobre polskiego interesu narodowego. Zgodziliśmy przepięknie w tej walce, w tej zbiorowej pracy, pojęcie dobra Ludzkości całej—z wielką ideą Amerykanizmu — w najpiękniejszem rzeczy tej rozumieniu—t. j. jako wyzwolenie i swoboda powszechna i poprawa bytu powszechna, w reszcie zaś złączona nam była ta wojna ze wszystkiem, czegośmy pragnąć mogli dla Polski! . . . Więc w nastrojach wojennych, w przygotowaniach zbrojeniowych, w poświęceniach ofiarnych byliśmy tu najpierwsi obok pierwszych—i to przyznają nam wszyscy, przyznały przedewszystkiem naczelne władze kraju, wielokrotnie Polonji Amerykańskiej uznanie powinne oddając. Gdy n.p. Stany Zjednoczone rozpisały zrazu tylko ochotnicze powołania pod znaki, Polacy byli pierwszymi, którzy śpieszyli pod broń—najochotniej; potem w powszechnie obowiązującej służbie wojskowej, w armji formowanej, okazało się, iż procent Polaków był znacznie większy od innych grup narodowościowych, wydatnie wyższy nad proporcję, na nas—stosownie do liczby ludności naszej—przypadającą. Gdy kilkakrotnie w całym kraju prowadzono kampanje—na rzecz rządowych pożyczek wojennych i wolnościowych —Polacy ze wszystkich grup narodowościowych zdobywali najpierwsze rekordy. To wszystko nie jest samochwalbą, ni eulogją żadną, to są rzeczy pewne, każdego czasu do stwierdzenia nietrudne.

A zważyć należy, iż te tak wielkie ofiary i mnogie poświęcenia polskie, ta powszechna polska do tej wojny ochota, gotowość oddania mienia i życia — na ołtarzu idei amerykańskiej, polskiej i ogólno-ludzkiej — to jeszcze nie było z naszej strony wszystkiem: tośmy robili tu—jako Amerykanie; lecz równocześnie a oddzielnie prowadzono nader intensywne akcje składkowe i rekrutacyjne na rzecz samej Polski i tej Polskiej Armji, naszej własnej, walczyć mającej we Francji. I na to znowu szły krocie tysięcy dolarów i tysiące ochotników, że zaś tych wszystkich, którzy mieli pierwsze zobowiązania względem Ameryki, krępowały powinności wojskowe względem armji amerykańskiej, przeto do Polskiej Armji szli ci, którzy byli wolni od owych zobowiązań, to znaczy: nie-obywatele, za młodzi, lub starsi wiekiem, albo z innych przyczyn wolni od służby wojskowej amerykańskiej. Jakże tam wiele było poświęceń, prawdziwie budujących, godnych niezapomnianych naszych tradycyj dziejowych, gdy do szeregów polskich—bywało—szli ludzie starsi, których żaden nie wiązał obowiązek; szli tacy, co mieli rodziny—zaopatrywali je jako-tako, a sami brali karabin na ramię; szli nieletni, młodziaki prawie: wielu matki nieledwie wprost z ław szkolnych przyprowadzały; wielu zgłaszało się z żonami, które mężom wśród łez dawały zezwolenia, bo tych wymagano, by odchodzili na tę "Polską Wojnę"... Nie brak bywało starców, co z płaczem błagali, by ich przyjąć, bo jeśli nie walczyć, to choć posługi w obozie pełnić pragną, konie czyścić i broń, byle tylko też pomagać umiłowanej Sprawie. Składki prowadzono wszędzie i na wszelkie możliwe sposoby: dzieci szkolne—szczędziły groszy na słodycze—a dawały na Polskę; wdowy oddawały biedne oszczędności, ludzie zapisywali swe pośmiertne police na cele Ojczyzny, zaciągali pożyczki na realności i uzyskane sumy oddawali, kupowali bondy pożyczek amerykańskich i składali je na Polskę, służąc w ten sposób sprawie jednej i drugiej.

Zaiste—najpiękniejsze to były i najwznioślejsze momenty rozentuzjazmowania całego społeczeństwa: takie to się wzniosłe przeżywało chwile, takie szlachetne, że je z najświetlniejszemi epizodami dziejów naszych porównywać można. Żyliśmy wtedy—nie chlebem powszednim—a ideą, oddychaliśmy nie powietrzem

—a jedno wspólne, wielkie tchnienie spodziewań narodowych podnosiło dusze nasze; gotowiśmy byli—jak niegdyś, jak ongi—stworzyć z piersi naszych mur niezłomny — na obronę Polski, Ameryki i Ludzkości.

Aże stanęliśmy na linji walk we Francji. Walczyły te nasze wojska nowe—wszędy, gdzie je słały kierujące wojennemi działaniami czynniki; spisaliśmy się dobrze, jak na Polaków przystało. Pisma amerykańskie pełne były owemi czasy nazwisk polskich: były one wśród ofiar wojny—polegli, ranieni, chorzy; nie brakło takich, którzy się odznaczyli bohaterstwem, męstwem, odwagą, o których wieść wtedy po całym kraju leciała, radując wszystkie serca polskie i słuszną je dumą napawając. Wychodziła temi czasy we Francji, w amerykańskiej armji i dla niej wydawana gazeta "Stars and Stripes", dochodziły nas numery jej, więc dla przykładu przypominamy numer pisma tego 25-ty z 1917 r.: na pierwszej stronie przedstawia on dużą dwukolumnową kliszę żołnierza, nad którą widnieje napis: "John Kuroski — Yank" ... To był nasz! Nasz rodak, Kurowski z Milwaukee, odznaczony Krzyżem Wielkiej Waleczności, pierwszy — tak dekorowany — ze wszystkich wojsk amerykańskich ... Było ich więcej, bo naszym dzielności, męstwa, odwagi nie brakło! Wiemy, iż nie żałowali ni ręki, ni krwi serdecznej, dla onej świętej Sprawy, o którą ludzkość cała walczyła—więc też listy ofiar co dnia szeregi całe nazwisk polskich podawały: udział nasz w przewagach amerykańskiego wojska na teatrze wojennym—był ważny i znaczny.

Jeszcze trochę wspomnień i przykładów: Jeden z dzienników w Chicago zamieścił był spis nazwisk chicagoskich żołnierzy, którzy figurowali we wykazach strat wojsk generała Pershinga, walczących we Francji—od chwili stawienia się wojsk owych na bojowym froncie, dnia 5-go listopada, 1917 r. W tej—chicagoskiej tylko liście czytaliśmy: zabitych 40, zmarłych z ran 17, zmarłych z innych przyczyn 33, ciężko ranionych 84, lekko ranionych 45, brakujących, lub zabranych w niewolę—6 tylko! Razem — 225. Liczba strat ogólno-krajowa była o wiele—wiele większa, oczywiście. Wśród tych 225ciu—Polaków było pewnych 36, nadto zaś wiele było nazwisk, brzmiących co najmniej z polska po

słowiańsku, tych nie zaliczam: zatem na ogólną liczbę strat 225 —mniej więcej szósta część pewna—to byli Polacy! Proporcja —jak na liczbę naszych w Stanach—bardzo wysoka, a tem samem bardzo dla nas zaszczytna. Dowodziły takie fakta, jak mnogim, jak gromadnym był udział nasz we wojskach amerykańskich, dowodziły światu i Amerykanom samym przedewszystkiem, że we wojsku owem my stanowiliśmy siłę faktyczną, że wielkiej Sprawie tej Wojny daliśmy naszych liczbę bardzo okazałą, więc lekceważyć naszego udziału w żadnej mierze—nie było można. Stąd również wyprowadzaliśmy niemylne wnioski, słuszną dumą napełniające nas, stwierdzające naszą lojalność amerykańską, nasze oddanie dla Gwiaździstego Sztandaru, oddanie, zapisane krwią polską na Listach Honorowych Amerykańskich. Więc na zamknięcie tego ustępu o wysoce zaszczytnym udziale Polaków-Amerykanów w onej Wojnie Ludów—dodamy taki tylko szczegół jeszcze, że i pierwszym żołnierzem amerykańskim, poległym we Francji—był również Polak! ... Jakże ciekawa koincydencja z owym pierwszym odznaczonym wśród Amerykanów—Polakiem!*

Później znacznie formowana od amerykańskiej — Armja Polska później też stanęła na teatrze wojny. Wodzem jej został wybitny Generał polski—Józef Haller: zrazu jeden z wodzów Legjonów Polskich, później przebił się z gromadą swoich na Bessarabję, przedostał się przez całą Rosję aż na Murmań i przybył do Francji, by połączyć się z Armją Polską, po stronie Aljantów tworzoną; w niej znalazł pole do rozwinięcia swoich organizacyjnych zdolności, a oficerowie jego, tak bardzo potrzebni, odrazu dostali roboty—pełne ręce, bo kadry pierwsze już były w ogniu na froncie, a nowi ochotnicy wciąż przybywali z Ameryki; później dochodzili i z Włoch, mianowicie z pośród jeńców austrjackich wybierani; wszystkich trzeba było szkolić na nowo i w pułki polskie formować. Pojawienie się Hallera było pierwszorzędnej doniosłości zdarzeniem w dziejach tej nowej Armji Polskiej, której właśnie i wodza trzeba było, popularnego i oficerów; gdy więc teraz znaleźli się pierwszy i drudzy, stanowisko i znaczenie armji naszej wzrosły niepomiernie. Czyn Generała Hallera był

* Pierwszym żołnierzem Armji St. Zj., poległym we Francji w 1-ej Wojnie Światowej w r. 1917, był Polak, P. Wojtalewicz z "Wojciechowa" w Chicago.

wysoce znamienny — również i z politycznego względu, był bowiem widomym dowodem, iż Legjony po stronie austrjackiej nie były aktem austrjackiego patrjotyzmu, były patrjotyzmem polskim, tylko przez mylną kierowanym orjentację; skoro zaś tragiczna pomyłka wyjaśniła się, wówczas — kto jeno mógł na dobrą przechodził stronę, byle dalej walczyć za Polskę. Wiadoma rzecz, że i Piłsudski, Legjonów twórca, gdy przejrzał, odsunął się od dowództwa, aże go Niemcy internowali; może obawiali się, iż uda mu się zrobić to samo, co zrobił Haller.

Udział bojowy wojsk naszych we wojnie był niedługim, bo to były już ostatnie jej fazy; przecie jednak otrzymaliśmy i my niejedną okazję przelania krwi za Polskę i za wspólną Ludów Sprawę. Najważniejszym i najświetniejszym był z onych dni sławny, zachowany do dziś w pamięci, epizod piękny z bitwy nad rzeką Marne'ą, w której na polskim odcinku żołnierze nasi wzięli pierwszych 213 Niemców—do niewoli! . . . Wieść o tem — jakże nam wiele powiadała o małej, młodej Armji Polskiej, co dopiero wysuniętej na front bojowy! Dopiero sformowana, ledwie wyszkolona, "ostrzeliwana" raz pierwszy—odznaczyła się odrazu—tak, iż ją w raportach wśród setek oddziałów zaszczytnie wzmiankowano. Rozradowały się tem serca polskie w Ameryce, a o tem wydarzeniu pamiętnem tak pisałem w "*Dzienniku Chicagoskim*":

"Więc są, walczą—w gigantycznych bojach owych udział bierze Orzeł Biały, a potężne szpony jego, już się w wrażej krwi nurzały! Więc tam nasi pomagają, mała drobna Polska Armja, która ledwie co pokazała się na froncie i po raz pierwszy znalazła się na przednich pozycjach; musiała jednak znakomicie się popisać, skoro tak Niemcom bytność swoją sławnie zadokumentowała . . . Niechże idą—niechaj biją, niech się im najświetniej wiedzie, niechaj sławą się okryją pod tym znakiem, co na przedzie! Patrzcie wszyscy, patrzcie Wy tu, jak się iści proroctw słowo, jak zstępuje z marzeń, z mitu, jak uderza—piorunowo! Górą nasi—górą wiara, przypomnimy czasy dawne! Nie zginęła dzielność stara, powróciły nam dni sławne. Jeno przyszły polskie chłopcy, pokazali, wiele mogą, że im bitew tan nie obcy, nie strwożą się ciżbą wrogą! Jeno przyszli, jak stanęli, jak na Szwa-

bów nie wygarną, zgórą 200 drabów wzięli! A to było tam—nad Marne'ą ... A to było z Bożej łaski, co nad ludy prawem świta, swobód nieci żywne blaski, odrodzeniem światu skwita! I to było tym zapałem, co się w duszach zacnych rodzi, co w tem naszem Wojsku małem—wszech-potęgą Ducha wschodzi! O, niech was ten duch poruszy, niech was porwie, niech przekona, niech wam głazy wyrwie z duszy, niech wam ogniem spłoni łona! Idźcie do nich—idźcie z nimi! Niech i was odzieje sława—na narodów bój olbrzymi—o wszech ludów święte prawa. Niech ta Polska Armja wzrośnie w miljonowy zastęp ludu, co wstał cały—wraz—radośnie, co się wszystek modli cudu, co wzniósł dłonie zgody czynem i daniną krwi ofiarną: Polski prawym stał się synem, jak ci nasi tam—na Marne'ą" ...

Polska zaznaczyła silnie, że walczy o wolność swoją i innych demokracyj, a do tego zaznaczenia niemało ważnie przyczyniła się Polonja Amerykańska.

Więc stała się Polska jednym z warunków Pokoju po pierwszej Światowej Wojnie, jak to jednozgodnie uznali wszyscy Aljanci, za inicjatywą Stanów Zjednoczonych. Zdawaliśmy sobie sprawę odrazu dobrze i jasno—z tego, iż zgodność owej rezolucji Aljantów w sprawie naszej — nie była bynajmniej czystym, niezmąconym niczem, idealizmem, że to nie specjalnie chciano karać ciemiężycieli dotychczasowych Polski, a nagrodzić jej krzywdy i ocenić zasługi; nie aktem bezinteresownej, w motywach swych niepokalanej, sprawiedliwości dokonać się miała restytucja, należna naszemu narodowi: polityce i jej przetargom daleko do zachowania czystości motywów, a najwznioślejsze idee nagina się w nich do bardzo realnych i nie zawsze prawych interesów. Pewnik ten odczuliśmy aż nadto dobrze przy załatwianiu sprawy naszej. Koalicja potrzebowała nas dla przeprowadzenia swoich kombinacyj, w których Polacy stanowili ogniwo ważne, bez którego obyć się w powojennych zamieszkach—byłoby trudniej; w dodatku jesteśmy ogniwem dość silnem—więc pominąć, zbagatelizować nas nie było można. Na świecie—nic darmo—szczególniej w polityce; przeto wznawiając Państwo Polskie, Koalicja stawiała zarazem pewne postulaty, za których wykonanie ofia-

rowała gwarancję międzynarodową dla naszego bytu politycznego i swobodnego rozwoju narodowego.

Na cóż w świecie, na cóż w ludów poczcie potrzebna Polska? Ażeby dawnego niemieckiego imperjum potęga nie urosła znowu do rozmiarów, zagrażających bezpośrednio sąsiadom, a pośrednio wszystkim ludom wolnym i w wojnie owej wyzwolonym; ażeby Niemcy nie zapalili znowu kiedyś w przyszłości pochodni wojny narodów nad światem,—pilnować mieli — przed innymi sąsiedzi, a dalej wszystkie w Lidze Ludów złączone, w działaniach jej uczestniczące narody. Jednym ze sąsiadów Niemiec, najbardziej bezpośrednio interesowanych przyszłym układem stosunków i pożycia z nimi—jest Polska. Ta—okradziona, rozdarta i gwałcona, ta przez wiek zgórą gnębiona—wszystko z poduszczenia niemieckiego, ta Polska, odbudowana, odnowiona także i w pojęciach swoich państwowych, nietylko w zarysie granic politycznych—miała stać się jednym z najważniejszych strażników spokoju Europy i świata: ona — wraz z Aljantami zachodnimi miała czuwać i działać dla utrzymania ładu spraw takiego, jaki Liga Ludów ustanowi. Takim był—takim miał być ów mandat Polski, taką miała być jej rola: tak je przynajmniej rozumieliśmy. Polska w ciągu swego wznowionego bytu niepodległego miała dowieść światu, że prawdą były i są argumenty naszych mężów stanu, naszych pisarzy, iż pokój pracy—jedynie z odnową Państwa Polskiego jest możliwy. Jako tak doniosły czynnik polityczny, Polska powinna mieć wymiary i zasoby dostatecznie spore, wpływy polityczne silne, ażeby móc przeciwważyć nawyki dawnej polityki austrjackiej i niemieckiej, znanej agressywności ducha germańskiego, zaborczego, a łakomego zawsze na cudze, oraz zawziętości, ugruntowanej zwłaszcza w poczuciu upokorzenia po straszliwie przegranej wojnie. Polska mogła mieć wszelkie warunki, wszelkie dane po temu, ażeby nawet w tak bardzo niepomyślnych okolicznościach, jak powojenne kraju wyniszczenie, jak organizowanie państwowości od nowa, od samych zaczątków i pierwocin życia samodzielnego,—dać sobie radę i ze swemi trudnościami i z wkładanemi na nią zadaniami międzynarodowemi. Żałować wypada, że jednak tak mało zachęty ku temu doznała Polska ze strony swych Aljantów, którzy umieli manda-

ty wkładać i oczekiwali zadań ważnych spełnienia, ale robili dla Polski tylko tyle, ile koniecznie było potrzeba, ile absolutnie musieli, czego już Polsce odmówić nie było można. Polakom odzyskanie niepodległości samo wystarczyć miało, więc w każdej kwestji spornej trzeba było dyplomatyczne staczać walki zacięte, trzeba było najsilniejszych używać argumentów i wpływów—o co?—o to, co się nam słusznie należało, co było i jest nasze. Przypomnimy tylko sprawy: Gdańsk, Cieszyn, Śląsk Górny, Spisz, Orawę... Anglik zabrał kolonje Niemców i flotę, a że im na uspokojenie po takiej operacji zadać było trzeba, dano im na ulgę—plastry z polskiej ziemi... Francuz dostał—co było jego —i jeszcze też wziął niemało z kolonjalnego spadku po Niemcach. Włoch poszerzył swe posiadłości kosztem ziem południowosłowiańskich. Rumunja wyszła—niewiadomo poco—w dwójnasób zwiększona. Tylko Polska radować się miała z pokoju, z niepodległości, a przecie nawet całości zaboru pruskiego nie dostaliśmy, nie przyznano nam wszystkiego, co się nam należało i co niezaprzeczenie było nasze! We wszystkich swoich rdzennie polskich ziemiach straty Polska poniosła—ogromne: Śląska Górnego —uwarunkowaną plebiscytem jeno cząsteczkę dostaliśmy; cały Dolny Śląsk—przepadł; Cieszyńskie — Czechom przysądzano; z Poznańskiego potraciliśmy powiaty i okolice pograniczne; podobnie z Prus Zachodnich, z niegdyś naszego Pomorza—skrawek ledwie dostaliśmy: "dostęp do morza", wytargowany na przestrzeni—śmiesznie maluchnej; Gdańsk—kunsztowny status otrzymał "wolnego miasta"; Prusy Wschodnie—dwa razy większe uznano, niż być powinny; Warmia i Mazury w plebiscycie zmyślonym zostały nam zabrane: naprawdę—niewiele było pociechy w tem takiem obdzieleniu nas przez Kongres Pokoju! Ani minimum żądań i praw swoich Polska nie wyegzekwowała! Nie dano jej ani tego, co własne rzeczoznawców aljanckich komisje nam przyznawały.

Dlaczego to się tak stało?

Prace Kongresu Pokojowego zostały zagarnione w zupełności pod kontrolę starej daty dyplomatów, kilku potęg przedstawicieli, polityków z dawnej szkoły i dawnych nałogów intryganckich. Uwydatniły się w Sprawie Polskiej wpływy dwoiste: ży-

czliwe—tych było mniej, a reprezentował je przedewszystkiem Prezydent Stanów Zjednoczonych, W. Wilson i częściowo—premjer Francji, Clemenceau,—oraz szkodliwe nam, a tych było więcej: uosobieniem ich był pozostający pod wpływem orjentacyj nam wrogich—pro-żydowskich i pro-germańskich, Lloyd George, premjer Anglji. Jego to wpływy sprawiły wszystko dla nas niekorzystne, im zawdzięczamy Gdańsk, gorzej niż połowiczny, im—plebiscyt na Śląsku krzywdzący, im—rozmaite restrykcje, modyfikacje i rektyfikacje, wszystkie—zawsze na Polski niekorzyść. Nie brakło i innych—nawet przyjaciół naszych, z których każdy zrobił swoje, by kosztem Polski—świadczyć innym: Wilson wziął n. p. pod protekcję Ukraińców, Clemenceau—Czechów; Żydów nawet, krzyczących o "Judeo-Polonję" (sic!), przeciw nam protegowano! Nie wiele brakło, by Polska mogła była o sobie powiedzieć, jak głosi bajka, w której — "pośród samych przyjaciół psy zająca zjadły"! . . .

Ano—stało się. Potraciliśmy wiele, reszta ostała się dzięki nie dającym się już zaprzeczyć czy zmniejszyć prawom naszym, oraz zabiegom znakomitego przedstawicielstwa polskiego na Kongresie, Paderewskiego i Dmowskiego. Nad tą resztą więc Polska powinna była już otrzymać prawa suwerenne — bezwzględnie i niepodzielnie, nie podlegające żadnym ingerencjom, poza sprawami międzynarodowego charakteru, zawisłemi od wskazań Ligi Ludów. Aliści z Traktatu Pokojowego—w odniesieniu do Polski wynikało, a jaśniej jeszcze wyniknęło to n. p. z oficjalnego listu premjera Francji, Clemenceau, wystosowanego—imieniem Rady Aljantów—do Rządu Polskiego, z okazji przesłania kopji owego Traktatu, że Aljanci najwidoczniej nie doceniali światowej doniosłości Sprawy Polskiej, bo traktowali Polaków—jakby protekcjonalnie i z nadmiaru tej łaskawej protekcji—uszczuplali, bagatelizowali nas i krzywdzili. W liście wzmiankowanym Clemenceau wyraził się, że przecie Polska swe powstanie zawdzięcza wyłącznie "poświęceniom" Aljantów! . . . Jakim poświęceniom? Aljanci nie poświęcili we wojnie światowej dla nikogo—niczego: nie poświęcili ni swoich armij, ni swoich ambicyj, ni interesów egoistycznych—ani dla Polski, ani dla żadnego innego narodu czy kraju, a za wszystko, co Polska dostała, zapłacić musiała do-

brze, drogo, z procentem — lichwiarskim prawdziwie! Skądże więc była ta mowa o "ofiarach" i o "poświęceniu"! Tych samych dyplomotów, z których szkoły pochodzili ci, co ułożyli Traktat Pokojowy, tych samych zasada dawna głosi, iż w polityce — niemasz sentymentów... Zastosowano w pełni zasadę ową w odniesieniu do Polski; nie zrobiono dla niej niczego — ze sympatji ku niej, to rzecz pewna; zrobiono to tylko, co było najniezbędniej potrzebne, konieczne i najmniej tego, jak tylko było można. Zapominali Aljanci, co ONI zawdzięczali Polsce!... Wszakże, gdyby Polska w r. 1914-tym, a nawet i później jeszcze, stanęła była po stronie mocarstw centralnych—wielkiem narodowem powstaniem, jak do tego pchano Polaków, to Niemcy na "Gwiazdkę" roku tego byliby w Paryżu!... To samo stałoby się i później jeszcze, gdy w r. 1917 Niemcy utworzywszy minjaturę państwa polskiego, na gwałt nas skłonić chcieli do formowania silnej, po ich stronie działać mającej, armji:... jeszcze i wtedy byliby Niemcy pokonali Francję i nad kanał La Manche byliby dotarli, odcięliby byli Francję od pomocy angielskiej, a potem amerykańskiej—i jakby była wojna wyglądała, jakiby obrót przyjęła —w takich konjunkturach—chyba nie potrzeba dopowiadać... Że tak się nie stało, to Polsce zawdzięczała Koalicja, która raczej o swojej wdzięczności dla Polski nie powinna była zapominać. Niestety—zapominała notorycznie!

A dalej — czyż sama Francja, dążąc do stworzenia Polski raczej silniejszej, niż słabszej—czyniłaby to tylko dla sentymentu? Francja potrzebowała i zawsze potrzebować będzie silnej Polski—jako strażnika od wschodu wiecznie wrogiej, Germanji. Dawniej Francja trzymała się przeciw Niemcom przymierzem z Rosją; ale skoro Rosja upadła i na długo nie mogła być brana w rachubę, wypadało postarać się o ekwiwalent politycznie i militarnie doniosły — we wschodnio-środkowej Europie, z którym współdziałając, Francja mniejby się obawiać potrzebowała odnowienia potęgi niemieckiej. W tem sympatji francuskich, nie platonicznych zgoła, było umotywowanie, więc w takich okolicznościach pisanina o "zobowiązaniach" była—impertynencją pod adresem Rzeczypospolitej Polskiej! Skoro Clemenceau pisał o "zobowiązaniach" i "poświęceniach", to tylko o obustronnych

chyba—mogła być mowa, o wzajemności zupełnie równej, nigdy o zobowiązaniu dłużnika — Polski, względem wierzyciela — Koalicji.

Sprawa Polska była i jest Sprawą Światową. Ogromną, żywiołową mocą swoją wstała ona w kataklizmie pierwszej Wojny Światowej,—jak dawniej wstawała kwestją, zawsze jedną z najgroźniejszych, przy każdej międzynarodowych rozrachunków okazji. Naród Polski i jego Rzeczpospolita to są wielkie, potężne czynniki, których pominąć nie można, a lekceważyć nie wolno . . . ni dziś, ni—nigdy w przyszłości. Nie było można pominąć nas, ani nie było można nas zbyć byle czem; *dlatego* Polska zmartwychwstała. Wstała ona niezniszczalnego Ducha swego mocą, a nie—z protekcji dyplomatów.

Poświęciłem kwestjom, omówionym wyżej, więcej nieco uwagi i miejsca—dlatego, że sprawy te w okresie czasu opisywanym były motorem głównym, poruszającym miljonowe gromady Amerykańskiej Polonji. Szczerze pamiętna i wiernie miłująca—służyć ona pragnęła starej Ojczyźnie, nie dziwże tedy, iż wszelkie Polski nadzieje, dążenia, zadania, wszystkie zawody, trudności i niepowodzenia—odbijały się tu, wśród nas, silnem echem i—to nas radowały, a napełniały dumą—jako, żeśmy się poczuwali—bodaj w części—do przynależenia do tych, co te sukcesy wybojowali, to znowu powodowały niepokoje i troski, przez całą odczuwane społeczność. I zaraz—i zawsze chcieliśmy pomagać, ratować i chronić. W ogólnikowem tylko i z konieczności zwięzłem opowiadaniu o pierwszej Wojnie Światowej — zaledwie dotąd wzmiankować mogłem owe prace i zasługi Amerykańskiej Polonji; w dalszej części Rozdziału skreślę jeszcze szczegółowiej nieco działania owe, historycznie doniosłe.

Pomoc Polsce Polaków z Ameryki podzielić można na kilka dziedzin działania, stosownie do potrzeb czasu onego i wskazanych niemi zadań: zgrupuję działy owe na: Pomoc ratowniczą, materjalną, — Pomoc wojskową, to Armja Polska z Ameryki, — i Wpływy polityczne, oraz dyplomatyczne zabiegi. Omówię tu rzeczy te—jak jeno zdołam najtreściwiej, aby na tle dotychczasowego przedstawienia wystąpiły wielkie zasługi owe tem jaśniej,

tem chwalebniej—jako, że należy im się zapisanie na bardzo zaszczytnej karcie w historji odbudowy niepodległej Polskiej Rzeczy Pospolitej.

POMOC MATERJALNA DLA POLSKI

Zaznaczono już wielokrotnie w tej książce, że przywiązanie do "Starego Kraju' w Polonji Amerykańskiej — od najdawniejszych jej czasów i najwcześniejszych wieści o niej — przejawiało się i przejawia do dziś nie samemi słowy tylko, a czyny ofiarnemi, nieograniczoną, nigdy nie wyczerpaną hojnością i gotowością niesienia pomocy Polsce. Najprzystępniejsze tej pomocy formy —były materjalne, więc od dziesiątków lat, od przeszło trzech ćwierci wieku, Polonja służyła Ojczyźnie w każdej potrzebie, przeważnie w ekonomicznych trudnościach, choć nie brakło i okazyj politycznych, w których z Ameryki starano się pomagać Polsce, że przypomnę tylko zabiegi tutejsze z okresu Powstania 1863go Roku. Ale to były sprawy dawne, o których wychodźtwo nasze, które w poszukiwaniu pracy i chleba przybyło do Ameryki, wiedziało mało; długo nie miało ono możności kontynuowania współprac podobnych: mamy polityczne na myśli; te nadarza dopiero pierwsza Wojna Światowa, i to na niebywale wielką skalę, o czem w dalszym ciągu podaję treściwe informacje.

Ale poprzez długie—długie lata, przed ową Wojną, z Ameryki do Polski płynęły krocie miljony dolarów, słane bądź to z kół zorganizowanych — w razie jakichś większych potrzeb i doświadczeń, ogólno-krajowych, jak nieurodzajów, powodzi, bądź w lokalnych zapotrzebowaniach, gdy n.p. pożar gdzie wieś zniszczył, czy miasteczko, gdzieś trzeba było stary kościół odnawiać, czy budować nowy, albo wreszcie zaniedbane i podupadłe podnosić gospodarstwa. Okazyj takich było nieskończenie wiele—nieskończenie długim też był ciąg ofiar polsko-amerykańskich do Ojczyzny.

Dopiero kiedy pierwsza Wojna Światowa—kataklizmem olbrzymim runęła na Polskę, kiedy całą prawie zamieniła w rumowisko zgliszczów i gruzów, kiedy zawładnęło nią tysiąc niedostatków i braków— dosłownie— wszystkiego, uważaliśmy to za

rzecz oczywistą, naturalną, iż trzeba nam było skupić siły i zasoby wszelkie i całą poruszyć Polonję—na pomoc Polsce.

Hasło ku takiej akcji doszło nas ze Szwajcarji, gdzie ostatnie lata życia spędzał znakomity Mistrz Piśmiennictwa polskiego, Henryk Sienkiewicz; on to w Vevey miejscowości utworzył wraz z Ignacym Paderewskim i Antonim Osuchowskim, wybitnym społecznikiem i patrjotą z Warszawy, "Polski Komitet Ratunkowy", którym zainteresował także i obcych nie tylko rodaków *(Patrz Przypiski)*.

Do prac tego "Komitetu Ratunkowego" w Polonji Amerykańskiej przystąpiły wszystkie Organizacje, zakładając fundusze ratunkowe, które w pierwszych latach były główną podstawą finansową całej ogólno-polskiej akcji ratunkowej. I tak mieliśmy: "Fundusz Niepodległościowy Związku Narodowego Polskiego", "Skarb Narodowy Polskiej Rady Narodowej", wydatnie wspomagany przez "Zjednoczenie Polskie Rzym. Kat.", "Fundusz Kościuszkowski", gromadzony przez "Związek Sokołów Polskich", "Fundusz Związku Polek", "Fundusz Unji Katolickiej", "Fundusz Stowarzyszenia Polaków w Ameryce", "Fundusz Polskiej Macierzy w Chicago" i innych wiele.

Zrazu Organizacje te działały oddzielnie, później złączyły się—specjalnie dla skuteczniejszej, jednomyślnej akcji polskiej w "Polski Centralny Komitet Ratunkowy" (P.C.K.R.), który następnie—gdy nadeszła pora również i politycznych, nie tylko ratunkowych zabiegów, przemienił się w pamiętny i wysoce zasłużony Polski Wydział Narodowy, z siedzibą w Chicago. Ponieważ Wydział nie mógłby był sięgnąć wszystkich rodaków na obszarze Stanów Zjedn., przeto w każdem skupisku Polaków organizowane były Komitety Obywatelskie, posiadające dużą swobodę działania lokalnego, one na pomoc Polsce prowadziły składki i zbiórki, a zebrane fundusze odsyłały do głównego biura Wydziału Narodowego w Chicago.

Pomimo prowadzenia dokładnych statystyk przez poszczególne Organizacje, czy Komitety, z ich własnej działalności, trudno jest ustalić ogólną sumę zebraną przez całą Polonję Amerykańską, sumy zaś podawane w Prasie, czy w sprawozdaniach, omawiających ten okres działalności Polonji Amerykańskiej, różnią się bardzo między sobą.

"P.C.K.R." Polski Centralny Komitet Ratunkowy, rozpoczynając swą pracę postawił sobie za cel zebranie kwoty 10 miljonów dolarów: suma ta została znacznie przekroczona. Akcja zbiórkowa, oprócz sum pieniężnych, obejmowała i dary w naturze, których zebrano, jak podawały wykazy "P.C.K.R.", na sumę 20,700,000 dolarów. Liczby te, powtarzam, nie są pewne, lecz są niezawodnie nie wygórowane, raczej za niskie: dowodzą one, że Polacy Amerykańscy w poważnym bardzo stopniu przyszli z pomocą materjalną Polakom w Ojczyźnie.

W okresie powojennym Polacy tutejsi we wielkim też stopniu przyczynili się do stabilizacji polskiego pieniądza: specjalne pożyczki dolarowe, propagowane w tym czasie w Polonji, stały się dowodem dużej bezinteresowności rodaków i wysokiego poczucia narodowego, gdyż nasi masowo zwracali do konsulatów polskich pożyczkowe obligacje, zakupywane, zrzekając się zwrotu wpłaconych sum.

Dla poparcia i zillustrowania powyższych faktów przytoczę kilka głosów pisarzy i działaczy, dobrze o tych sprawach informowanych:

Ks. Stanisław Iciek pisał około r. 1938go, wspominając czasy odnośne:

"Wychodźtwo amerykańskie powstającej z gruzów Rzeczy Pospolitej najsilniejszą dało pomoc materjalną. O dolary amerykańskie starały się wszystkie Państwa europejskie we formie pożyczek, zaciąganych w Stanach Zjednoczonych, a Państwo Polskie—prawie bez wysiłku, od Wychodźtwa naszego otrzymało we formie przesyłek na depozyty, w bankach polskich składane, przeszło sto miljonów dolarów—w przesyłkach do rodzin i krewnych, na zakupno gruntów lub majątków, do sto pięćdziesiąt miljonów dolarów, a nadto przewieziono w gotówce w dolarach amerykańskich—przynajmniej trzecie sto miljonów dolarów. Oprócz tego od Rządu Amerykańskiego — za staraniem Wydziału Narodowego — w materjałach i żywności uzyskaliśmy dla Polski również sto pięćdziesiąt miljonów dolarów.

Państwo Polskie otrzymało też za staraniem naszem, kredyty w dolarach tutaj, a wypłacało swym obywatelom w Polsce —w markach polskich, które przedstawiały tylko koszt—papieru

i druku: więc stały się te miljony dolarów czemś lepszem niż pożyczką, bo oddawać ich już Państwo polskie nie potrzebowało, a wartość otrzymana w Polsce we walucie markowej nie przedstawiała prawie żadnego kosztu."

Właściwie odnosi się powyższe przytoczenie do jeszcze innego rodzaju pomocy naszej Polsce, mianowicie do posyłanych tam pieniędzy—przez osoby prywatne, zrzeszenia i t. p., może nawet akcją zbiorową nie objętych: posyłki te, dolarowe, w Polsce wypłacano w markach, zyskując tam wiele na wymianie.

Na wielkim Sejmie Wychodźtwa Polskiego, w Detroit, w r. 1918-tym—więc tylko do daty tego Sejmu—sprawozdania Organizacyj z akcji składkowej wykazały, jak przytaczamy:

"Związek Narodowy Polski" ofiarował na głodnych i na zapomogi w Kraju, $201,349.14; na cele narodowe $199,520.00.

Polska Rada Narodowa (przeważnie od parafij polskich) w ciągu 5-ciu lat posłała na głodnych $264,791 i prowadziła wydawnictwo "Free Poland".

Związek Sokoków Polskich, który był rzeczywistym zaczątkiem Armji Polskiej, a oddał do niej blisko trzy czwarte swych członków, o czem w dalszym ciągu Rozdziału, złożył ponadto na cele ratunkowe w Polsce $77,000.

"Zjednoczenie P.R.K.", zebrało od swych członków na głód cierpiących, braci w Ojczyźnie i na cele narodowe $170,103.53. Z tej sumy wysłano do Kraju $98,552.44, wypłacono Wydziałowi Narodowemu $44,000; na Armję Polską $2,000; ogółem $144,-552.44. W kasie "Zjednoczenia" pozostało w dniu 1go sierpnia, 1918 roku, $25,551.09—na cele omawiane. Nadto "Zjednoczenie" uchwaliło Podatek Narodowy od każdego członka po 25 centów miesięcznie, z którego źródła zbierano po $300,000.00 rocznie.

To są liczby tylko cząstkowe—tylko niektórych Organizacyj.

O owym Podatku Narodowym, który dobrowolnie podejmowano — z wysokiem zaiste poczuciem narodowej solidarności i szlachetnego altruizmu, wiemy, iż każdy zarobkujący obowiązany był płacić rocznie—conajmniej $6.00 podatku tego, do którego zbiórki upoważniony został Wydział Narodowy, który utworzył ku temu specjalną Komisję Skarbową, ściągającą podatek przez

parafje, organizacje, towarzystwa, komitety, centra itd.: zebrane sumy odsyłano co miesiąca do Wydziału Narodowego w Chicago; dla uchylających się od płacenia Podatku Narodowego naznaczano kary takie n. p., aby więcej żadnego publicznego urzędu sprawować nie mogli.

Wspomniane poprzednio, dary w naturze posyłano do Polski specjalnemi expedycjami, o których w sprawozdaniach ze wzmiankowanego sejmu Wychodźtwa, 1918 r. znajdujemy następujące szczegóły:

Wydział Narodowy zakupił zboża i niezbędnych wiktuałów za miljon dolarów, a ponieważ Komitet Żydowski w Nowym Yorku również za miljon dolarów wysyłał zboża do Polski dla swoich współwyznawców, przeto obydwie wysyłki wyexpedjowano na tym samym okręcie. Specjalny delegat Wydziału Narodowego, Dr. Bronisław Smykowski z Bridgeport, Conn., pojechał z tą expedycją, aby być obecnym przy rozdawaniu darów.

Okręt przybył do Gdańska, przywożąc następujące zapasy:

Mąki 250 wagonów, wagi.....3,659,587,4 kg.
Mleka 90 wagonów, wagi .....24,562,6 kg.
Obuwia 2 wagony, wagi .....7,070,5 kg.
Oleju 41 wagonów, wagi .....578,902,8 kg.
Konserw mięsnych 57 wagonów, wagi.....756,675,5 kg.
Smalcu 5 wagonów, wagi.....81,673,0 kg.
Razem 449 wagonów żywności.

Druga taka expedycja "Wydziału Narodowego" obejmowała 7,500 ton i zapełniła cały statek "Westward Ho"; ta przesyłka składała się w połowie z obuwia, ubrań, płaszczów, bielizny, pościeli, a w drugiej połowie — z konserw mięsnych, herbaty, kawy, cukru, mydła, ryżu, smalcu, fasoli, grochu i zboża.

Okręt "Westward Ho" powiózł jeszcze do Polski trzecią expedycję "Wydziału Narodowego" złożoną z 6,699 pak ogólnej wagi 479,939 kg. rozmaitej odzieży, rzeczy niezbędnego użytku w gospodarstwie domowem i znów w części—zboża, oraz z dołączonego daru amerykańskiego "Czerwonego Krzyża": 14 ton materjałów szpitalnych.

Wydział Narodowy przesłał do Polski, oprócz zboża, 18,000 skrzyń odzieży i różnych materjałów, jak sukna, płótna, nici, pasów i niezliczoną ilość różnych artykułów codziennego użytku.

"Wydział Narodowy" zapewnił wreszcie Polsce przekazami żywnościowemi Korporacji Ratunkowej Amerykańskiej, na której czele stał Herbert Hoover, w r. 1920, jak następuje:

a) Przekazy z kasy Wydziału Narodowego	$200,000.00
b) Przekazy od rodzin do rodzin	671,380.00
Razem	$871,380.00

Dodać jeszcze trzeba, że "Wydział Narodowy" oprócz tej akcji ratunkowej ogólnej, wspierał hojnie — rozmaite szczególniejsze zapotrzebowania, wyłaniane z wojennych przejść Narodu; n.p. na repatrjację polskich sierot ze Syberji dano $200,000; na utrzymanie tych sierot po ich przyjeździe do Polski, do rąk Ks. Kard. Dalbora, złożono jeszcze $35,000—dodatkowo.

W artykule pt. "Poles in America Aid" (Udział Polaków w Pomocy Amerykańskiej) William C. Boyde, Komisarz Ligi "Czerwonego Krzyża", obliczał pomoc ze strony zorganizowanego Wychodźtwa pod kierunkiem Wydziału Narodowego, od "Polish War Victims' Relief Fund" i od rozmaitych Komitetów organizacyjnych — w gotówce, we wartości przesyłek w naturze i wszystkich innych — na sumę $20,000,000.00 (dwadzieścia miljonów dolarów). Zdaniem naszem i to obliczenie jest bardzo skromne i z pewnością całej sumarycznej masy tej pomocy, w czasie omawianym danej Polsce, nie przedstawia.

Ks. W. Chrzanowski, wzmiankowany przy poprzednich okazjach w książce niniejszej, w pracy swej, dla władz polskich przygotowanej, streszcza — jak niżej przytaczam, ogólne i ostateczne ofiary, prace wielorakie Polonji Amerykańskiej na rzecz Polski:

"Polski Centralny Komitet Ratunkowy", za czas od 12go października, 1914 do 31go grudnia, 1918 r. zebrał $394,220.00 —wysłał zaś do Vevey w tymże czasie $370,655.00. "Wydział Narodowy" od chwili powstania swego czynił zabiegi celem zorganizowania przesyłek żywnościowych, a dzięki poparciu Hoovera w grudniu, 1918 r. "Komisja Żywnościowa Stanów Zjednoczonych" zdecydowała się wysłać nagromadzoną żywność w porcie nowojorskim, w masie siedmiu tysięcy tonn—do Polski; jednak trzeba było pokryć koszta przewozu w sumie dwóch miljonów dolarów — "Wydział Narodowy" zapłacił koszta i wysłał żywność tę do Polski okrętem "Westward Ho" pod opieką Dra. Smykow-

skiego, który jednocześnie złożył we Warszawie sto tysięcy dolarów na szpital wojskowy. W celu sprężystszej działalności "Wydział Narodowy" stworzył osobną Sekcję Ratunkową Polek, która przeprowadziła specjalną zbiórkę darów w naturze we wszystkich osadach polskich: przyniosło to obfite plony, przeważnie w materjale nowym; nadto kilkaset skrzyń dobrego towaru otrzymał "Wydział Narodowy" w darze od amerykańskiego "Czerwonego Krzyża"—tak, że po raz wtóry wysłano okręt "Westward Ho", naładowany dziesięciu tysiącami skrzyń, zawierających ubrania i żywność—wartości kilku miljonów dolarów.

Poza dostawą żywności i ubrań, oraz funduszów w gotówce, na głodnych w kraju, "Wydział Narodowy" czynił zabiegi już po skończonej wojnie — u Prezydenta Wilsona, oraz w Komisji Likwidacyjnej w Paryżu—o pomoc dla Armja Polskiej. "Komisja Likwidacyjna" istotnie oddała Polsce na kredyt odzież i zapasy za sumę $30,411.37. Taż "Komisja Likwidacyjna" odstąpiła za trzy i pół miljona dolarów zapasów żywności i materjałów dla Poznańskiego, a polskiej administracji wojennej dała 200,000 rynsztunków bojowych, 87,000 płaszczów oraz zapasy materjałów medycznych i aptek polowych, wreszcie załatwiła kupno 5,000 koni—na warunkach dla Polski korzystnych.

"Wydział Narodowy" opiekował się również Polakami na Syberji, głównie 5-tą Dywizją Wojsk Polskich, której wysłał za $10,000.00 materjałów i towarów, oraz gotówką złożył $100,000.00 na odesłanie do kraju 1,500 rannych i kalek ze syberyjskiego terenu wojny. Nadto "Wydział Narodowy" ofiarował kilkadziesiąt tysięcy dolarów na sieroty syberyjskie, wypłacone Syberyjskiemu Komitetowi Ratunkowemu, którym z dużem poświęceniem zajmował się Dr. Józef Jakóbkiewicz z Polski, oraz przyjął do Sierocińców w Stanach Zjednoczonych około 350 dzieci z Syberji, z których 312 w 1922 r. odesłał do Polski i oddał pod opiekę Twa. "Caritas" w Poznańskiem, pozostającego pod protektoratem Ks. Kardynała Dalbora, któremu wypłacił dodatkowo na koszta utrzymania dzieci tych—$35,000.00.

W stosunku do organizacyj amerykańskich Wydział Narodowy pozostawał w bardzo bliskim kontakcie z amerykańskim "Czerwonym Krzyżem" i z Akcją Ratunkową Hoovera, dla któ-

rej przeprowadził wśród Polonji specjalną kampanję zbiórkową, oraz złożył na nią $100,000.00.

Akcja ratunkowa "Wydziału Narodowego" bez wątpienia była najwydatniejszą w Polonji Amerykańskiej, gdyż 75 procent sum, złożonych przez ogół Wychodźtwa—na pomoc Polsce, wpłynęło do kasy Wydziału Narodowego, pozostałe zaś 25 procent zebrały konsulaty, Komitet Obrony Narodowej, Związek Socjalistów Polskich, Hallerczycy, którzy zbierali na kolonizację Kresów, oraz kollektujący tu długo i skutecznie delegaci różnych instytucyj z Polski, wreszcie małe organizacje i pojedyńcze jednostki, które przesyłały swoje ofiary wprost do Ojczyzny.

Ostatni z czasów pierwszej Wojny Światowej i po niej—wielki Sejm Polonji Amerykańskiej odbył się w Cleveland, Ohio, w r. 1923, na nim Skarbnik Wydziału Narodowego, N. L. Piotrowski (wspomniany poprzednio) złożył ostateczne sprawozdania ze sum, które wpłynęły do kas Wydziału Narodowego od czasu wzmiankowanego przedtem sejmu w Detroit, 1918 r.; szczegóły te wskazują zarazem ogromną różnorodność spraw, podejmowanych przez Wydział Narodowy i wszechstronność jego dziejowo doniosłego działania.

Oto liczby sprawozdania tego pamiętnego:

Wpłynęło: od 16 sierpnia, 1918 do 31 listopada, 1919, wraz z bilansem poprzednich lat	$4,516,611.07
od 1 grudnia, 1919, do 31 grudnia, 1920	670,424.02
od 1 stycznia, 1921, do 31 grudnia, 1921	286,239.25
od 1 stycznia, 1922, do 31 grudnia, 1923	23,838.26
od 1 stycznia, 1923, do 31 marca, 1923	1,826.46
Razem	$5,499,009.06

Rozdano w całym tym czasie t.j. od 1918 do 1923 r.:

1. *Na cele narodowo-polityczne*:	
a) Komitetowi Narodowemu w Paryżu:	
do rąk kasjera Zamoyskiego	$ 808,219.66
do rąk I. Paderewskiego	1,018,630.00
do Polski (Komitety Biskupie, Obywatelskie i t. p.)	125,062.51
Razem	$1,951,912.17
b) Propaganda polska, tak w Ameryce, jak w świecie, ustna i drukowana, zjazdy, wiece, broszury, oraz wydawnictwo "Encyklopedji Polskiej" w języku angielskim i francuskim (którego koszt wynosił $60,000.00), łącznie	$ 254,679.97
c) Na plebiscyt na Górnym Śląsku	46,211.74

d) Różne subwencje (n.p. ustanowienie katedry literatury polskiej na uniwersytecie "Columbia", rządowe Biuro Pracy dla powracających żołnierzy, stypendjum im. Fronczaka)	10,000.00
Na podniesienie rodzimego przemysłu i handlu w Polsce	44,630.64
e) Druki, okólniki, itp.	41,098.16
f) Wydatki na kampanje, zbiórki funduszów, odznaki, itp.	42,706.70
g) Podróże, zjazdy, zebrania publiczne	35,212.15
h) Biuro Prasowe we Waszyngtonie	30,884.57
i) Koszta trzech sejmów (Detroit, Buffalo i Pittsburgh)	13,526.68
Razem	$2,460,862.78

2. *Na cele ratunkowe*:

a) Głodnym w Polsce	$1,787,308.85
b) Uchodźcy polscy w Syberji i dzieci	324,598.92
c) Armja polska we Francji i Weterani	688,717.97
d) Polski Biały Krzyż (w r. 1919)	69,516.63
e) Amerykański "Czerwony Krzyż"	11,847.84
f) Polski "Czerwony Krzyż"	9,625.41
g) Utrzymanie w Nowym Yorku Składnicy, pakowanie, przewożenie	44,902.81
h) Biuro Pracy	588.83
Razem	$2,937,107.26
Ogółem Nr. 1	2,460,862.78
Nr. 2	2,937,107.26
Razem	$5,397,970.04

Zestawienie:

Wpływy	$5,499,009.06
Rozchody	5,397,970.04
Pozostało	$ 101,039.02

Taką pozostałość miał Wydział na ostatnim sejmie w Cleveland, w r. 1923.

Sumę pozostałą "Wydział Narodowy" w głównej części przeznaczył na uznane przez siebie za najbardziej zasługujące na wsparcie instytucje w Polsce i dojrzał tego, że one otrzymały sumy wyznaczone, pozostałą zaś resztę oddał Polskiej Kasie Opieki Społecznej, stworzonej w Polonji (dość krótko trwałej Organizacji) po zlikwidowaniu działalności Wydziału Narodowego.

Przytoczone powyżej szczegóły i wykazy—zarówno co do czasu, niemi objętego, jak co do ich skompletowania stanowią niemylnie część tylko obrazu ofiarności istotnej Polaków Amerykańskich na rzecz Polski: podajemy je, ponieważ innych nie zna-

leźliśmy narazie; kompletniejsze sprawozdania i zupełne znaleźć się powinny w papierach, jakie po zlikwidowaniu Wydziału Narodowego złożono w Archiwum Polonji, istniejącem przy Muzeum w Chicago, dotąd nie zużytych jako materjał historyczny. I powyższe przecie przytoczenia posłużą dla dowodu rozległych i wszechstronnych prac polsko-amerykańskich w okresie pierwszej Wojny Światowej—Na Pomoc Polsce.

ARMJA POLSKA Z AMERYKI

Polonja Amerykańska w końcowej fazie pierwszej Wojny Światowej wysłała na teatr tej wojny własną, a raczej tu w Ameryce sformowaną, armję, aby Polsce pozyskać prawo kombatanta Koalicji, a w konsekwencji — prawo głosu w układach pokojowych—na rzecz uzyskania niepodległości.

Był to akt dziejowej zaiste doniosłości, a nasze zgodne wysiłki zapisała historja, jako jeden z niezwykłych, zbiorowych, wyjątkowych prawdziwie, czynów ludu, przywiązanego do Ojczyzny —dokonanych dla jej dobra i dla jej praw i bytu skutecznej obrony. Powiadamy — wyjątkowy to i niezwykły był wypadek: podobnych nie wiele znajdziecie w dziejach wszystkich narodów, bo rzeczywiście trudno byłoby przytoczyć drugi przykład, równie ofiarnych zbiorowych działań, równie wielkich poświęceń patrjotycznych, równie zaszczytnych przejawów oddania wszystkiego na ołtarz Sprawy Narodowej, jak te właśnie nasze polsko-amerykańskie prace około utworzenia dla Polski, dla walki o nią, dla obrony jej praw do bytu niezawisłego, dla wytyczenia jej granic na zachodzie i na wschodzie—Armji Polskiej z Ameryki.

Bywały i bywają wielkie poświęcenia patrjotyczne, wielkie ofiary i płomienne czyny bohaterskie—u wszystkich narodów, ale pokażcie, lub wymieńcie drugi przejaw, podobny do tego naszego czynu zbiorowego! Cząstka narodu, stosunkowo najmniej wpływowa, jakby się zdawać powinno, boć od pnia narodowego, od Ojczyzny oderwana i w zaświaty, na obczyznę rzucona, cząstka narodu nawet we własnym kraju zapoznana, zaniedbana i krzywdzona, a tu, na obczyźnie w znacznej mierze już przyswojona do odmiennych żyica warunków, oubywatelona w nowym

kraju, lojalnie doń i wdzięcznie przywiązana, lecz—pozbawiona kierownictwa najświatlejszych własnej narodowości warstw, które zazwyczaj bywają mózgiem—myślą—duszą całości, wreszcie —cząstka narodu, stosunkowo niezasobna przecie, — raptem porywa się samorzutnie, a idąc za wskazaniami zgodnej grupy dobrze myślących przodowników, podejmuje olbrzymi trud — za cały naród niejako i—gdy Polska sama, opadnięta stu niedolami Wojny Światowej, gdy na jej ciele trzech jej wrogów-zaborców się zmaga, sama bezwładna—o sobie ni stanowić, ni myśleć nie może, my—za nią stanowimy i myślimy, my o jej los podejmujemy starania, a dla losu tego trwałej naprawy—działamy zgodnie i konsekwentnie, jak rzadko w historji naszej: dla Polski tu wystawiamy armję wielo-tysięczną i jakby jaki rząd, jakby państwo udzielne, ślemy ją na teren Wojny Światowej, by obok zwycięskiej Koalicji Narodów walczyła o *"lepsze bytowanie ludów na ziemi"*, jak to powiedział niezapomniany przyjaciel i protektor Polski, Prezydent Woodrow Wilson. Z całem przekonaniem stwierdzamy, iż faktycznie Polacy w Ameryce—przez godnych, dobrze obranych przewódców, sterników ówczesnych naszej Myśli Narodowej, uzyskali dla Polski uznanie mężów stanu amerykańskich, od których wówczas tak ogromnie wiele zależało, myśmy bowiem przez nasze przedstawicielstwo — ze współdziałającym z nami, Ignacym Paderewskim — zdołali uzyskać wprowadzenie *trzynastego punktu polskiego* w pamiętne Orędzie W. Wilsona; jednocześnie stąd — z Polonji amerykańskiej, nasi żołnierze walczyli we Francji (później walczyli w Poznańskiem, pod Lwowem, potem przeciwko sowieckiej Rosji), a ich obecność na terenach Wojny Światowej uzyskała dla Polski prawa współwalczącego, więc i współzwycięzcy po Wojnie, uczestnika układów pokojowych, w których wskrzeszono w Europie Polskę—*wolną, niepodległą i z dostępem do morza.*

Zaiste mogli Polacy śmiele w oczy spojrzeć każdemu i powiedzieć mu i dowieść, że nam nie z łaski dano odbudowę Państwa Polskiego, ale żeśmy je sami, własną pracą, własnym trudem, własną ofiarą, własnem życiem i krwią wywalczyli, odkupili, utrwalili, a że tak było — to *Polonji Amerykańskiej zasługa i chwała.*

Pamiętamy te wiece, te prace, te żegnania i odjazdy naszych żołnierzy, pożegnania — smętnie—radosne i radośnie—smutne, w których mieszały się—wbrew naturalnemu rozumieniu rzeczy, uczucia radości, że się idzie służyć Polsce najchwalebniej, z żałością, że się żegna tych, których się już nigdy może nie zobaczy! . . . Pamiętamy ofiary na tę Armję—na jej ekwipowanie, te składki mnogie—na dary dla owych żołnierzyków naszych, te zbiórki nawet naszych najbiedniejszych, — naszych dziatek szkolnych, które swoje centy i grosze oddawały, ażeby posłać co-nieco jakiemuś żołnierzowi, którego najczęściej i nie znało się wcale! . . . Pamiętamy wszystkie owe zabiegi, troski, wysiłki! . . . O, kto w nich udział brał zaszczytny, ten naprawdę dobrze Polsce służył! I dalej jeszcze — pamiętamy one wieści, znowu radosne i smutne, z za Oceanu nadlatujące: jakeśmy się to cieszyli, słysząc o bohaterskich bojach naszych junaków, o tem, że tu, tam, odznaczyli się chlubnie; a zarazem przybywały i gońce smutnych nowin, że — ten zginął—i drugi—i dziesiąty — setki ich i tysiące poginęły! Trudno! . . . Na to poszli przecie, na cierpienie, na niedolę żołnierską, a jak trzeba—to i na rany i na śmierć samą . . .

"*To dla Polski*"—zawołał, podając—bohaterski Chwałkowski, z Ameryki żołnierz polski, jeden z pierwszych naszych poległych: z temi słowy ducha wyzionął, a jego śmierć tak chwalebna i te ostatnie wyrazy — hasłem i symbolem się stały dla wszystkich jego towarzyszy. *To dla Polski* oni cierpieli i ginęli, jak myśmy tu—*dla Polski*—żyli, pracowali i ofiary nieśli z trudu i mienia naszego.

A jak to było—opowiem:

"Dopływ rozbitków inteligencji polskiej, dopływ starokrajskiego kleru rozpłomieniał umysły — pisze w swej pięknej, stanowczo za mało znanej książce "Ach—te Chamy w Ameryce"—Wacław Gąsiorowski *(Patrz Przypiski)*. Żywe słowo polskie padało na spragniony grunt. Ludziska zdumiewali się nad chwałą porzuconej Ojczyzny, zasłuchiwali się w opowiadaniach o dawnych bojach, o królach, o bohaterach. Serca prostacze z całą miłością przylgnęły do tych wspomnień. Zapragnęły je mieć żywe, rozkochały się w obchodach narodowych, w rocznicach. Polskę nową, nieznaną dotąd, w siebie wchłaniały. Lecz i zapragnęły tę

Polskę co prędzej budować, co prędzej z gruzów dźwigać. Kiedy padło zawołanie, aby tworzyć przy parafjach oddziały wojska polskiego, istny szał ogarnął tłumy emigranckie. Formowano co tchu jakoweś pułki osobliwe, hufce, baterje—bez armat, szwadrony—bez koni, ale wzamian wszędy jednako żarliwe, jednako pałające. Zdawało się chwilami na urządzanych rewjach, że stupięćdziesięcioletniej walki o niepodległość odprawia się—reduta! Tyle barwy naraz, tyle zmartwychwstałych uniformów, taki poczet Bohaterów narodowych na sztandarach i proporcach.... Tam, w Polsce, jałowa z gnębicielami polityka, pełna rezygnacji stateczność, niekiedy tlejące żagwie społecznej rewolucji,—a w Ameryce, na tych parafjach, w tych zapomnianych, pogardzanych kątach — pijana zapamiętaniem praca nieunużona. Polskie chłopy—wojsko sobie wymyśliły."

W przytoczonym urywku wspomnianej dobrej książki—odnoszącym się do wzmiankowanych przedtem towarzystw wojskowych, zamknął wybitny pisarz obraz trafny tej gotowości, z której potem—po latach—tyle wykuto brył pod fundament późniejszego Państwa Polskiego.

Ta właśnie wypełniona do ostatniego zakątka serc patrjotyzmem atmosfera zrodziła jeszcze przed pierwszą Wojną Światową—czyn, dla sprawy polskiej niemałej wagi, o międzynarodowym rozgłosie. Oto — jak poprzednio wspomniałem, w grudniu, 1912 r., odbył się w Pittsburgu zjazd i wiec narodowy, na którym przyjęto uchwałę połączenia wszystkich grup politycznych polskich w Ameryce, powołania Komitetu Obrony Narodowej i poddania się pod dyrektywę Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych w Polsce; nie ograniczono się do manifestacji: odtąd powstawać zaczęły drużyny bojowe, szkolące wojskowo przyszłych żołnierzy armji narodowej. Samo Sokolstwo w Stanach Zjednoczonych przeszkoliło przeszło 8 tysięcy swych druhów.

To był dalszy etap tworzenia naszej Armji Amerykańskiej. Gdy wybuchła wojna w 1914 r., Polonja amerykańska zrozumiała, że to właśnie jest ta "Wojna Powszechna", o którą modlił się Mickiewicz. Wśród wielkich trudności, wobec przestrzegania przez rząd Stanów Zjednoczonych zasady neutralności, masy na-

sze muszą czekać; nie próżnują jednak: Na zjeździe Sokołów w Buffalo we wrześniu, 1914 r. zapada uchwała wysłania do Prezydenta Stanów Zjednoczonych i do ambasadorów państw zagranicznych we Waszyngtonie — memorjału, określającego prawa Polski do niepodległości.

Ten memorjał, pierwszy tego rodzaju, złożony przedstawicielstwom mocarstw dnia 10go lutego, 1915 r., przez specjalną delegację wręczono Prezydentowi Wilsonowi: wówczas to — *po raz pierwszy*—Prezydent Wilson oświadczył nam, że gdy Ameryka zostanie powołana do pośredniczenia w rokowaniach pokojowych, "starać się będzie, aby Polsce wymierzono sprawiedliwość i uwolniono miljony tego dzielnego, a tak nieszczęśliwego narodu."

W październiku, 1915 r., zorganizowano szkołę wojskową, przygotowawczą, a we wrześniu, 1916 r., u rządu Kanady uzyskano przyjęcie małej grupy Polaków do szkoły oficerskiej z Toronto, która później oddała wielkie usługi w akcji rekrutacyjnej i szkoleniowej na terenie Stanów.

Krótko przed przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny, zdołano i na terenie Stanów zorganizować polską szkołę wojskową w Cambridge Springs, Pa., a gdy Stany Zjednoczone nareszcie wypowiedziały Niemcom wojnę, akcja tworzenia polskiej siły zbrojnej na ich terenie dojrzała i szybko rozwinęła się: sprzyjał temu fakt, że w dniu 4go czerwca, 1917 r.—podpisany został przez prezydenta republiki francuskiej—dekret o tworzeniu samodzielnej Armji Polskiej we Francji *(Patrz Przypiski)*.

Specjalna misja wojskowa tej Armji, ze wspomnianym poprzednio, Wacławem Gąsiorowskim, na czele, we wrześniu, 1917 r., przybyła do Stanów Zjednoczonych i znalazła Polonję w nastroju patrjotycznej gotowości. Wnet potem nasza rekrutacja stawiła pod broń około 28,000 ochotników. Powstały liczne obozy szkoleniowe — najważniejszy w Niagara-on-the-Lake. Pierwszy transport przeszkolonych ochotników odjechał do Europy z Nowego Yorku, 16go listopada, 1917 r., po nim poszły dalsze—mnogie—aż do lutego, 1919 r., kiedy akcja rekrutacyjna na terenie Stanów Zjednoczonych została zamknięta.

Nie umniejszając roli Polaków z innych terenów, którzy walczyli w szeregach tej Armji, omawianą tu formację wojskową należy nazwać *Armją Polską z Ameryki*, tutejsi bowiem Polacy najliczniej zasilili jej szeregi i stanowili jej mocny, ideowy trzon.

Czyn zbrojny wychodźtwa polskiego w Stanach Zjednoczonych — zarówno pod względem ilościowym, a więc swej siły, jak i w swem napięciu ideowem, jest—bez precedensu. Była to jakby Wyprawa Krzyżowa dla wyzwolenia ziemi obiecanej—Ojczyzny: poszli na nią ludzie, których nic, poza patrjotyzmem, do tego nie zmuszało, którzy niosąc Macierzy ofiarę swej krwi, porzucali wypracowane stanowiska i rodziny, zdane na dalszą ciężką walkę o byt, szli, nie mając żadnych widoków na zaopatrzenie—własne i rodzin: była więc to ofiara—nie tylko z własnej krwi, z własnego życia, ale i z mienia, z dorobku i dobrobytu najbliższych, których ci ochotnicy byli żywicielami, ofiara zaiste najszczytniejsza, bo niesiona dla Ojczyzny, w której dla nich—niegdyś—zabrakło chleba i miejsca.

Słusznie też—z poczuciem dumy—mógł pisać Kapitan Wojciech Albrycht o tym czynie zbrojnym Polonji:

"Jeżeli do Legjonów w Kraju społeczeństwo polskie, liczące dwadzieścia kilka miljonów ludzi, dostarczyło 23,000 żołnierza, to jakżeż w poczuciu swej godności i obowiązku wysoko stanęła Polonja Amerykańska, licząca cztery i pół miljona, wysyłając 28,000 najlepszych swych synów, i to nie z musu, ale ze świętego, niczem nie wymuszonego przekonania."

Rycerski szlak Armji Polskiej z Ameryki prowadzi poprzez pola sławnych bitew we Francji do Kraju, dokąd bohaterzy z za Oceanu przybywali 22 kwietnia, 1919 r., by już na Ziemi Ojczystej, w szeregach Wojska Polskiego, utrwalać granice odrodzonej Ojczyzny.

Czyn zbrojny wychodźtwa zapisał się nie tylko na kartach dziejów odrodzonej Polski, lecz i w sercach wszystkich Polaków w Kraju. Świeci on przykładem patrjotycznej ofiarności, siły ducha narodowego, nie znającego granic ni odległości.

Historja Armji Polskiej z Ameryki — to w książce naszej—z konieczności—tylko epizod, zaledwie Rozdział jeden, lub raczej część jego; właściwie rzecz ta wciąż oczekuje jeszcze na szczegó-

łowe i dokładne opracowanie, obszerne, z należytem oświetleniem genezy i ewolucji tej akcji, jedynej w swym rodzaju—w nowszych dziejach Polski. Historję taką zaczął był pisać wspomniany poprzednio, Wacław Gąsiorowski, pod egidą i przy współpracy "Stowarzyszenia Weteranów Armji Polskiej z Ameryki": miał wszelkie ku temu dane, by dzieło napisać miarodajne, bo i pisarz był dobry, i uczestniczył sam w organizacji Armji Polskiej, i miał pomoc ważną ze strony wspomnianego Stowarzyszenia; niestety —zgon nie pozwolił mu skończyć pracy, która do teraz czeka uzupełnienia i dokończenia. Wśród naszych własnych materjałów, dość obszernych, zawierających sporo wycinków, artykułów i dokumentów, dotyczących omawianej sprawy, znajdujemy wspomnienia dawnych oficerów rekrutacyjnych i artykuły: ś. p. Jana Przyprawy, Józefa Chojnackiego, Jana Kostrubały, Czesława Żuławskiego, Dra. Starzyńskiego, Karola Burkego i innych; ile trzeba, posługujemy się tu niemi. Główne materjały nasze, zebrane w ciągu szeregu lat okresu pierwszej Wojny Światowej, zawieźliśmy po niej do Warszawy — w kilku wielkich rozmiarów skrzyniach i złożyliśmy je w archiwum tamtejszem "Stowarzyszenia Weteranów Armji Generała Józefa Hallera": co się z temi bardzo cennemi materjałami stało, nie wiadomo; przypuszczać można, że zginęły bezpowrotnie wśród tych przejść, jakie ostatnio spadły na Polskę.

Armja Polska z Ameryki, wyłoniła się bezpośrednio z drużyn bojowych "Związku Sokołów Polskich w Ameryce", przy udziele "Związku Młodzieży Polskiej" i "Związku Wojsk Polskich": organizacje te wcześnie ćwiczyły młodzież na przyszłych żołnierzy, uczyły ją władać bronią, urządzały zjazdy ćwiczebne, propagandystyczne itp. Robota ta przyjmowała formy coraz poważniejsze za czasów naczelnictwa w Sokole Witolda Rylskiego i Jana Bartmańskiego (później—już w Polsce poległego we walkach na Wołyniu). W r. 1913 Sokoli zarządzili wśród siebie pewnego rodzaju mobilizację i zorganizowali kursy podoficerskie; w r. 1914-tym organizują kursy oficerskie w Cambridge Springs, Pa. Z wybuchem wojny akcja nabiera aktualności, wzrasta w siły, uzyskuje poparcie wszystkich Organizacyj, zorjentowanych przeciwko mocarstwom centralnym, głównie —

"Związku N.P.", "Zjednoczenia P.R.K." i "Polskiego Centralnego Komitetu Ratunkowego". W 1915 r. przyjeżdża do Stanów Zjednoczonych, Paderewski, Wiceprezes ogólno-polskiego "Komitetu Ratunkowego", utworzonego, jak przedtem wspomniano, w Vevey, w Szwajcarji, przez Henryka Sienkiewicza. W dniu 3-go maja, 1915 r. w Chicago, u pomnika Kościuszki, wygłosił Paderewski płomienną mowę, w której wzywał: "Ojczyzna woła ratunku! Pomóżcie Jej!" Odtąd Paderewski bawi w Ameryce przeważnie i uczestniczy w całym szeregu prac patrjotycznych; objeżdża najważniejsze osiedla Polonji, wszędzie przemawia gorąco, zachęca, zagrzewa ducha, wzywa do ofiarności, zapowiada walkę czynną, — słowem, bierze udział znakomicie ważki i doniosły w pracach, utworzonego w r. 1915-tym, "Wydziału Narodowego", prowadzonych w całej Polonji pod jego najpowszechniej uznawanym przewodem. W tymże czasie powstał w Paryżu "Polski Komitet Narodowy", na którego członka zostaje powołany Paderewski, a odtąd jest on najdzielniejszym i najwszechstronniej użytecznym łącznikiem pomiędzy "Komitetem" Paryskim a Polonją Amerykańską, która prace "Komitetu" tego zasila hojnie—funduszami, zbieranemi przez "Wydział Narodowy". W działaniach Paderewskiego znakomicie pomocnymi byli Jan Smulski, Kazimierz Żychliński, N. L. Piotrowski, oraz sekretarz Wydziału Ks. Władysław Zapała, C.R., jak zresztą wszyscy członkowie tego przewodniego w Polonji grona, reprezentujący Organizacje, z niem ochotnie współpracujące.

Tymczasem — wobec wciąż podzielonych orjentacyj, Sokoli przygotowujący się do akcji czynnej, chwilowo postanowili — "stać i czekać" lecz w pracach nie ustawali. Było widoczne, że Stany Zjednoczone już nie mogą znosić dłużej ustawicznych prowokacyj niemieckich i topienia okrętów amerykańskich: rzeczywiście — w kwietniu, 1917 r. Stany wypowiedziały wojnę mocarstwom centralnym. W tymże roku, w kwietniu, na zjeździe Sokołów w Pittsburghu, Paderewski wygłosił porywające przemówienie, w którem stawił wniosek, by "Związek Sokołów" przystąpił do tworzenia "Legjonu Polskiego im. Kościuszki" przy Armji Amerykańskiej: wśród powszechnego entuzjazmu wniosek przyjęto; lecz Sztab Generalny amerykański nie zgodził się na

ową koncepcję Paderewskiego i Sokołów i nie przyjął projektu.

W dniu 4-go czerwca, 1917 r., na skutek starań "Polskiego Komitetu w Paryżu", prezydent Francji, Rajmund Poincare ogłosił dekret o formowaniu Wojska Polskiego na ziemi francuskiej. Wnet później przybyła do Stanów Zjednoczonych z Francji Polska Misja Wojskowa, z Wacławem Gąsiorowskim na czele, która miała starać się o zasilenie formowanych na ziemi francuskiej wojsk ochotnikami z Ameryki. Wydział Narodowy poparł tę akcję i wraz z Paderewskim uzyskał we Waszyngtonie pozwolenie na zaciąganie ochotników polskich pewnych zastrzeżonych kategoryj. Rozpoczęła się sławna nasza rekrutacja: zajęli się nią ochotniczo oficerowie rekrutacyjni, wśród których wielka była liczba polsko-amerykańskich dziennikarzy, co na chwałę "cechu prasiarskiego" notujemy, oraz Sokołów i wyszkolonych z pośród nich uprzednio, w szkołach oficerskich w Toronto, w Kanadzie i w Cambridge Springs, Pa. oficerów; szkoły te prowadzili: w Toronto—pułkownik armji angielskiej, Le Pan, a w Cambridge Springs, Pa.—kapitan Franciszek Dziób.

Odezwa patrjotyczna "Wydziału Narodowego" *(Patrz Przypiski)* poruszyła całą Polonję: na obszarze Stanów Zjednoczonych powstało kilkadziesiąt centrali rekrutacyjnych, współpracowały z niemi setki Komitetów Obywatelskich; zewsząd garnęli się ochotnicy: drwale z Minnesoty, rolnicy z Illinois i z Wiskonzynu, górnicy z Pennsylwanji, napływały ich setki i tysiące! Władze wojskowe amerykańskie udzieliły nam — na tymczasowe pomieszczenie i wstępne okrzesanie tego materjału na żołnierzy—stary Fort Niagara, koło Buffalo, którego komendantem został pułkownik Le Pan; na czele akcji stała Komisja Wojskowa. Od 27-go grudnia, 1917 r. płyną transporty ochotników polskich do Francji, gdzie organizują się pułki i rodzaje broni tej nowej Armji Polskiej, której wodzem Sztab Generalny francuski naznaczył Generała Archinard'a. W czerwcu, 1918 r. prezydent Francji, Poincare, w otoczeniu członków swego rządu, generałów francuskich i przedstawicieli "Polskiego Komitetu Narodowego", z Romanem Dmowskim na czele, uroczyście wręczył pułkom polskim sztandary, wygłosiwszy przytem znamienne przemówienie... A już w ostatnich dniach lipca walczą Polacy z Niemcami—pod Mour-

melon-le-Grand, gdzie wzięli trzystu Niemców do niewoli, a drugie tyle ich wybili: zaraz za ten pierwszy swój czyn bojowy pułk polski uzyskał honorową cytację.

Tegoż roku, w połowie lipca, przybył do Paryża i zgłosił się do Polskiego Komitetu Narodowego, były dowódca II. Brygady Legjonów, Generał Józef Haller, który przedarłszy się przez kordony niemieckie i obszary rewolucją objętej, Rosji, aż do Murmańska, nad Oceanem Lodowatym, dotarł do Francji. Na skutek starań "Polskiego Komitetu Narodowego", rząd francuski i wódz naczelny wojsk Koalicji, Marszałek Ferdynand Foch, zgodzili się na mianowanie Generała Hallera, Naczelnym Wodzem samodzielnej, współwalczącej Armji Polskiej. Dnia 6-go października, 1918 r. Generał Haller złożył Polsce przysięgę na sztandar, na błoniu wśród szeregów wojska polskiego i w obecności członków "Polskiego Komitetu Narodowego".

A w listopadzie, 1918 r., skończyła się pierwsza Wojna Światowa—kapitulacją Niemiec. Nie skończyła się ona jednak dla Polski, ni dla jej wojsk we Francji. Pod dowództwem Generała Hallera przystąpiono do szybkiego zwiększania kadrów wojska tego, werbując doń jeńców polskich, trzymanych we Francji, we Włoszech i w Anglji: Armja nasza wzrosła tem bardzo znacznie—tak, że wiosną 1919 r. liczyła pięć czy sześć dywizyj, doskonale wyekwipowanych i wyćwiczonych. Po długich komerażach, zwłokach i pertraktacjach, po ustaleniu przeróżnych technicznych szczegółów, a usunięciu coraz narastających trudności, rozpoczął się nareszcie transport wojsk polskich z Francji do Ojczyzny, gdzie na Wielkanoc, 1919 r. przybył Generał Haller ze swym Sztabem i z pierwszemi oddziałami. Zaraz po przewiezieniu do Polski odkomenderowane zostały dwie Dywizje Armji Generała Hallera do Małopolski Wschodniej, którą oczyściły z wojsk ukraińskich, później—w zimie, r. 1919 na 20-ty, walczą wszystkie wojska nasze w wojnie z Rosją. Prawie w tym czasie większość żołnierzy ze Stanów Zjednoczonych — starszych zwłaszcza — zostaje zwolniona ze służby; na wiosnę, 1920 r., następuje ogólna demobilizacja "Armji Polskiej z Ameryki", której ówczesny Wódz Naczelny Wojsk Polskich, Gen. Józef Piłsudski — w specjalnym rozkazie ogłosił uznanie i podziękę. *(Patrz Przypiski.)*

Żołnierze polscy z Ameryki, odesłani zostali do Stanów Zjednoczonych i tu utworzyli wspomniane poprzednio, "Stowarzyszenie Weteranów Armji Polskiej z Ameryki". Inne oddziały "Armji Polskiej z Francji", walczyły chlubnie do końca Wojny z Rosją, w 1920 r.

Pewna część t. zw. "Hallerczyków" pozostała w Polsce; osiedli na gospodarstwach rolnych, urządzanych dla wysłużonych żołnierzy na Kresach wschodnich; większość ich, wraz ze sporą gromadą inwalidów, przebywa do dziś w Stanach Zjednoczonych, gdzie "Stowarzyszenie" ich parokrotnie odwiedzał dawny wódz, Gen. Józef Haller i gdzie fundusz na utrzymanie ich inwalidów zapoczątkował, jak zawsze, hojny na cele humanitarne i patrjotyczne, Ignacy Paderewski.

WPŁYWY POLITYCZNE

Łatwo zrozumiałą jest rzeczą, że wszelkie działania przewódców Polonji Amerykańskiej, mające na celu formowanie Armji Polskiej w Ameryce, musiały być głównie oparte na wpływach politycznych, jakie Amerykanie polskiego pochodzenia posiedli, a powodzenie tych działań—od wpływów owych, od znaczenia naszego w kraju tutejszym, jako obywateli amerykańskich, było bezpośrednio uzależnione. Wpływy omawiane ustosunkowały się w okresie pierwszej Wojny Światowej do opinji narodowej amerykańskiej i polityki rządu Stanów Zjednoczonych — zasadniczo poprawnie i harmonijnie, co wydatnie ułatwiało poczynania polskie: od wybuchu tej wojny cały naród amerykański sympatyzował z Koalicją, walczącą przeciwko mocarstwom centralnym, a ledwie znikoma mniejszość była przeciwnego sposobu myślenia; zupełnie tak samo wypowiadały się orjentacje polsko-amerykańskie: olbrzymia większość zorganizowanej Polonji pragnęła zwycięstwa Aljantów i z niem łączyła lepszą przyszłość Polski. Gdy Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, wówczas już nie krępowani zasadami neutralności, których Stany Zjednoczone do czasu przestrzegać musiały, mogliśmy działać tem śmielej, silniej i już zupełnie otwarcie, mogliśmy liczyć na pomoc Stanów

Zjednoczonych i doznaliśmy jej, gdy zwolennicy pro-centralnej orjentacji bardzo rychło dostali się pod obserwację, a nawet i pod karne rygory władz amerykańskich *(Patrz Przypiski)*.

Zabiegi polityczne ułatwił nam szczególnie przyjazny stosunek Polonji Amerykańskiej do Prezydenta W. Wilsona, do którego wyboru — pierwszego walnieśmy się przyczynili, a od którego nie żądaliśmy za to niczego, prosiliśmy go tylko o pamięć życzliwą o Polsce: w nawiązaniu tych doniosłych, a w dalszym spraw rozwoju tak niezmiernie cennych zbliżeń zasłużył się pamiętnie Skarbnik Wydziału Narodowego, N. L. Piotrowski. O rzeczach tych pisaliśmy już i poprzednio, lecz tu pora a miejsce —przypomnieć je z odpowiedniem podkreśleniem. Wzmocniły się jeszcze te dobre stosunki polskie z Białym Domem, gdy do Ameryki przybył Ignacy Paderewski, który bywał i grywał w Białym Domu i nieraz z Prezydentem mówił o Polsce; znał się Paderewski również z pułkownikiem Edwardem House'm, osobistym przyjacielem i doradcą Wilsona. W styczniu, 1917 r., House poprosił Paderewskiego o przygotowanie dlań memorandum w sprawie Polski — dla ewentualnego użytku Prezydenta. Memorandum to, Paderewski podał House'owi we formie świetnego, przeszło godzinę trwającego wykładu, który następnie spisano, a House wręczył dokument Prezydentowi: w parę dni później Woodrow Wilson—w orędziu swem do Kongresu Stanów Zjednoczonych powiedział:

"Statesmen everywhere are agreed that there should be a united, independent, and autonomous Poland". (Mężowie stanu we wszystkich krajach zgodnie utrzymują, że powinna powstać zjednoczona, niepodległa i samorządna Polska).

Tak po raz pierwszy—od zgórą wieku, pierwszy w świecie mąż stanu i zwierzchnik największego w świecie mocarstwa—wypowiedział się na forum międzynarodowem niedwuznacznie o potrzebie odbudowy Polski. Paderewski z House'm utrzymywał najlepsze stosunki, a cieszył się stale jego życzliwem dla Sprawy Polskiej poparciem; z pełnem też uzasadnieniem rzec można, że Paderewski w dużej mierze przez wpływy House'a oddziaływał na Wilsona, silnie zaabsorbowanego polityką krajową i sprawami światowemi. Pisarze polscy, jak Marjan Seyda i Roman Dmow-

ski, tej współpracy Paderewskiego z House'm wiele przydają wagi, a Paderewski, pamiętny wdzięcznie swego amerykańskiego przyjaciela i jego w sprawie Polski współpracy, wzniósł mu pomnik własnym kosztem we Warszawie *(Patrz Przypiski)*.

Wydział Narodowy, kierując akcją Polską odnosił się zawsze najlojalniej do wskazań władz amerykańskich; nie mogło być inaczej: staliśmy i działaliśmy wówczas—jak zawsze—wiernie i lojalnie na gruncie amerykańskiego obywatelstwa. Paderewski był naszym rzecznikiem znakomitym, świetnie ustosunkowanym, wymownym, chętnie widzianym; jego stosunki i znaczenie otwierały nam drzwi, ułatwiały dostęp, wprowadzały postulaty polskie w najwyższe koła amerykańskie, pozyskiwały pomoc finansiery—pieniężną i polityków względy; istotnie zasługi Paderewskiego w tych czasach dla akcji polskiej były ogromne, a jego zżycie się z Polonją Amerykańską—bardzo szczere: była to kooperacja pod każdym względem niezmiernie szczęśliwa. Polonja pozyskała w Paderewskim najświetniejszego przedstawiciela i rzecznika swych prac, swych dążeń, Paderewski zaś otrzymywał w Polonji potężne oparcie, podtrzymanie i autorytet niezaprzeczony, płynący z faktu, że za nim stała wiernie i mocno kilko-miljonowa masa Polaków Amerykańskich *(Patrz Przypiski)*.

Akcja materjalna na rzecz Polski politycznych nie przedstamiała większych trudności; z akcją na rzecz Armji Polskiej—było ciężej i trudniej: n.p. nawet Paderewskiego projekt stworzenia Legjonu Polskiego przy Armji Amerykańskiej, nie został przyjęty we Waszyngtonie . . . Jak wspomniałem, długo krępowała rząd Stanów Zjednoczonych przymusowa neutralność; podobnie Aljantów w Paryżu krępowała konieczna lojalność względem Rosji, bądź-co-bądź sprzymierzeńca. Dopiero — gdy Stany Zjedn. w kwietniu, 1917 r., przystąpiły do wojny, wypowiadając ją mocarstwom centralnym, a później—gdy Rosja odrębny zawarła pokój z Niemcami w marcu, 1918 r., wówczas Sprawa Polska została stawiona jasno i silnie na programie celów wojennych i powojennych wyrównań. Reprezentowali ją w Europie, Polski Komitet Narodowy z Romanem Dmowskim na czele *(Patrz Przypiski)*, a w Polonji Amerykańskiej Wydział Narodowy z Paderewskim. Odtąd zabiegi polsko-amerykańskie we Waszyngtonie stają się

bardzo intensywne; w całym tu kraju prowadzimy żywą, energiczną propagandę prasową, kooperacja z Paryskim Komitetem jest bardzo ścisła i wydatna, wreszcie dochodzi do określenia zasadniczych celów wojny, które Prezydent Wilson zawiera w klasycznym dokumencie *Czternastu Punktów*, a wśród nich Punkt Trzynasty poświęca Polsce *(Patrz Przypiski)*:

"Ma być utworzone niepodległe Państwo Polskie, obejmujące tereny, bezspornie przez Polaków zamieszkane; Państwo to ma mieć wolny dostęp do morza".

Że punktu tego inspiracją była myśl życzliwa Wilsona o Polakach Amerykańskich, pamięć o ich zabiegach bezinteresownych na rzecz dawnej Ojczyzny, zwłaszcza o zabiegach, tak wymownych, tak przekonująco wyrażanych i przypominanych przez Paderewskiego, — co do tego żadnych nie może być wątpliwości.

A gdy ku schyłkowi miały się już działania wojenne, gdy wreszcie Niemcy padły pokonane i nastawał czas przygotowań do Kongresu Pokojowego, wówczas w Polonji Amerykańskiej najwyższe uczucia, najsilniejsze intencje, skupiały się około zebrania kompletu miarodajnych wiadomości, dotyczących praw i posiadłości Narodu Polskiego w Europie—dla dostarczenia ich reprezentacji amerykańskiej, mającej wyjeżdżać z Wilsonem na ów Kongres do Paryża: pragnęliśmy expertów amerykańskich poinformować jak najlepiej, przygotować najgruntowniej, dać im wskazania pewne i dokumenty niezawodne. Pamiętam dobrze wielogodzinne, w późne noce trwające, narady Wydziału Narodowego w Chicago, z Paderewskim, który następnie rezultaty tych narad do Waszyngtonu zawoził: najdosłowniej wytyczaliśmy granice przyszłej Polski—i zaiste czyniliśmy je takiemi, żeby się ich był Chrobry nie powstydził! ..... Niestety, intrygi i knowania wszelakich nieprzyjaciół naszych w znacznej mierze osłabiły efekt tych prac i starań polsko-amerykańskich, a nawet Paderewski w Paryżu nie zdołał poradzić dyplomackim krętactwom: Paderewski był, jak wiadomo, razem z Romanem Dmowskim, przedstawicielem Polski na Konferencji Pokojowej.

Z Romanem Dmowskim stosunki Polonji Amerykańskiej znacznie były dalsze i zetknięcia rzadsze, bo zresztą działał on przedewszystkiem w Europie, gdy Paderewski przejął na się dzia-

łania w Ameryce: był to, jak się okazało, podział czynności bardzo pomyślny. Bawił zresztą i Dmowski w Ameryce w okresie pierwszej Wojny Światowej, mianowicie w r. 1918-tym i wziął udział we wielkim Sejmie Polonji, odbytym w sierpniu, w Detroit, Mich. W czasie tym odwiedził tu wszystkie ważniejsze osiedla polskie, przemawiając i dziękując rodakom amerykańskim za współpracę z Komitetem Narodowym w Paryżu i zagrzewając ich do dalszych dla Polski powstającej prac, na tym Sejmie, entuzjastycznie omawianych i podejmowanych.

Roman Dmowski pozostawił po sobie w Polonji Amerykańskiej wrażenie bardzo silne i jedynie korzystne. Paderewski urósł wśród rodaków w Ameryce iście do wzniosłości Idei, identyfikowany ze wszystkiem, czem się wyraża najszczytniejszy i najbezinteresowniejszy patrjotyzm, w imię którego Polonja działała — *na Pomoc Polsce.*

* * *

Osobno wzmiankujemy, że już po pierwszej Wojnie Światowej, gdy Polska jeszcze prowadziła walki na wschodzie z Rosją (r. 1920), utworzono z inicjatywy wyłącznie amerykańskiej, nie polsko-amerykańskiej, eskadrę lotniczą, która pospieszyła z pomocą Polsce. Eskadra ta została nazwana przez jej inicjatora Cedryka Faunt le Roy — "Kościuszkowską Eskadrą": miała ona być przejawem wdzięczności Amerykanów za pomoc, daną niegdyś Stanom Zjednoczonym przez Polskę—w osobach Kościuszki i Pułaskiego *(Patrz Przypiski)*. Rzecz tę notuję tu tylko dla całości obrazu pomocy Polsce z Ameryki, lecz powtarzam — była ona zupełnie poza wpływami i współpracą Polonji Amerykańskiej.

* * *

Przypiski do niniejszego Rozdziału są liczne, a choć w skrótach je—o ile możności podaję, jest ich sporo; upamiętniamy w nich niektóre ważne dokumenty, dziś już mało znane; zebrane razem na końcu Rozdziału, odnoszą się raczej do całości jego osnowy, nie do poszczególnych wzmianek, czy ustępów.

PRZYPISKI

LIST GENERAŁA JAPOŃSKIEGO DO POLAKÓW

Dla niezwykłości opisanego w głównej osnowie Rozdziału tego polsko-japońskiego zbliżenia, dokonanego przez Polaków Amerykańskich, przytaczam w tłumaczeniu charakterystyczną odpowiedź, jedną z wielu, otrzymanych od Japonów, na nasze rezolucje i pisma; oto ona:

Do Sekretarza "Polskiego Komitetu Narodowego" w Chicago, Ill., U.S.A.

Mukden, Mandżurja, 19 kwietnia, 1905 r.

Drogi Panie!

Dnia dzisiejszego otrzymałem właśnie List Pański, datowany dnia 12go marca i zaraz pospieszam wyrazić moją podziękę i radość za Waszą serdeczną sympatję dla narodu naszego i za wysokie pochwały dla naszej armji. Jest to dla mnie wielkim zaszczytem, że odbieram w starej stolicy chińskiego państwa, takie pochwały i słowa podziwu ze strony dzielnego i patrjotycznego Polskiego Narodu. Podniosłe pismo Pańskie zrobiło na mnie silne wrażenie i pamiętać je będę—póki żyć będę, jako głos—pochodzący z duszy Waszego Narodu. Nadzieje i sympatje Polski dla Japonji odpłacamy szczerze równemi uczuciami: pragnę serdecznie, ażeby Wasze narodowe instytucje i ich dążenia rozkwitły i w przyszłości niedalekiej spełniły się we Waszych zamiarach.

Życząc rozwoju i szczęścia Waszemu Narodowi, pozostaję z głębokim szacunkiem,

Generał Baron Oku,
Komendant I. i II. Armij.

Listy i dokumenty oryginalne, sprawy tej dotyczące, jedyne w swoim rodzaju, ogłaszały podówczas Pisma polskie i angielskie; złożyliśmy je w Archiwum, istniejącem przy Muzeum Polskiem w Chicago.

POLSKA RADA NARODOWA

Kiedy — na skutek przeważających w Komitecie Obrony Narodowej orjentacyj i wpływów socjalistycznych i niesprawiedliwego lekceważenia przedstawicieli Organizacyj i Prasy narodowo-religijnych nastąpił w rzeczonym Komitecie rozdźwięk i rozłam, gdy wystąpili zeń reprezentanci "Zjednoczenia Pol. Rz. Kat." i innych podobnego sposobu myślenia instytucyj i Pism, co się dokonało w dniu 8 go czerwca, 1913 r., umyślili ci więcej umiarkowani działacze założyć dla swej strony i z nią stojącej olbrzymiej większości polsko-amerykańskiego społeczeństwa — organizację nową i utworzyli Polską Radę Narodową, z którą szybko zaczęły się łączyć wszystkie ważniejsze organizacje religijno-patrjotyczne, Pisma tegoż charakteru i mnogie komitety lokalne. Na czele Polskiej Rady Narodowej stanęli X. Biskup Paweł Rhode i X. Biskup Edward Kozłowski.

Instytucja nowa rozszerzyła się bardzo szybko, obejmując przeważną liczbę parafij i osad, a propagując nader energicznie dobroczynną działalność w kierunku uświadomienia patrjotycznego rodaków i zbierania funduszów na pogotowie bojowe, w razie przyszłej wojny o wolność Ojczyzny. Ku celom tym utworzono specjalne Wydziały, złożone z członków Komitetu Wykonawczego; ważniejsze z Wydziałów tych były następujące: Wydział Prasy i Biuro Prasowe, Wydział Finansów, Wydział Organizacyjny i Wydział Skautów. Polska Rada Narodowa żywą prowadziła akcję na wszelkich polach ideowych

spraw naszych; więc przedewszystkiem gromadziła skarb na wypadek i potrzebę zbrojną; dążyła do narodowego uświadomienia ludu naszego, by go móc w razie potrzeby poruszyć i użyć; budziła patrjotyzm wśród młodzieży polsko-amerykańskiej, przeciwdziałając tak zgubnie szerzącemu się wynarodowieniu, a w tem wszystkiem, w całej tej robocie—pozostawała w nieustannym kontakcie z Ojczyzną i równorzędnemi jej instytucjami, ku czemu służyło znakomicie zorganizowane Polskie Biuro Prasowe w Chicago, porozumiewające się z takiemiż Biurami Prasowemi w Starym Kraju i poza jego granicami: w Paryżu, Londynie i Rzymie. Chicagoskie Biuro działało nie tylko dla Prasy polskiej, lecz i dla Prasy angielskiej—udzielając jej żywotnych a źródłowych informacyj o wszelkich sprawach polskich — czego dotychczas brakowało nam dotkliwie; wreszcie to Biuro Prasowe—pod egidą Rady Narodowej wydawało po angielsku dwutygodnik *"Free Poland"*, przeznaczony dla celów informowania o Polsce—Amerykanów. Tak zorganizowana a sprawnie prowadzona, Polska Rada Narodowa miała wszystkie dane trwania i powodzenia; reprezentowała ona ogromną ośmiu dziesiątych większość polsko-amerykańskiego zespołu; szerszem o wiele, niż to było kiedykolwiek dotychczas, objęciem różnorodnych spraw polskich, rozmiarami wpływów i doskonałem roboty rozplanowaniem, dawała instytucja ta istotne i wielkie pożytki, a oparcie jej o parafje, organizacje i Prasę religijno-patrjotyczną dawało jej autorytet i powagę w całej Polonji. Działalność taka trwała przez rok cały przed pierwszą Wojną Światową, a następnie, czasu wojny już Rada Narodowa zebrała wśród swoich i obcych krocie tysięcy na wsparcie ofiar wojny w Polsce, oraz współpracowała owocnie w sprawie Polski z politycznymi czynnikami Polski i Stanów Zjednoczonych. Kiedy powstał w Polonji t. zw. "Wydział Narodowy", mający podobne zadania i zakresy działań, jak Polska Rada Narodowa, lecz rozszerzający je poważnem działaniem, nie krzykactwem—poza stronnictwo religijno-narodowe, Polska Rada Narodowa—jedna z pierwszych do kooperacji tej przystąpiła, a nadal lojalnie i szczerze współpracowała z Wydziałem "Narodowym".

POLSKI WYDZIAŁ NARODOWY W AMERYCE

Wyłoniony z "Polskiego Centralnego Komitetu Ratunkowego" — jako rozszerzenie jego prac—z dziedzin patrjotyczno-filantropijnych na patrjotyczno-polityczne, był "Wydział Narodowy" najdoskonalszem ze wszystkich przedtem i wszystkich potem — zcentralizowaniem myśli narodowych i prac Polonji Amerykańskiej. Z rzadką u nas abnegacją osobistych ambicyj i odrębności organizacyjnych — zgodzili się i zjednoczyli wpływy i zasoby, ludzie i zrzeszenia — z rezultatem świetnym, a dzieła, wspólnie dokonane — czy w zakresie materjalnym, czy ideowym, stawiły nas wysoko w uważaniu swoich i obcych; dla swoich zrobiliśmy rzeczywiście wiele, a obcy liczyli się z nami, nawet najwybitniejsi—tak w Ameryce, jak w świecie wogóle. Było tego przykładów —sporo w okresie wojny i w najbliższych po niej czasach.

"Wydział Narodowy" obejmował wszystkie Organizacje, wszystkie zrzeszenia i koła polsko-amerykańskie kierunku religijno-ludowego i szczerze narodowego; przedstawiciele tych kół i zrzeszeń należeli do wielkiego, rozległego składu "Wydziału", którego przewodniczącymi byli w swoim czasie J. E. Ks. Biskup Paweł Rhode i J. E. Ks. Biskup Edward Kozłowski, oraz Ignacy J. Paderewski; Wiceprezesów było kilku—z różnych stron kraju i z różnych większych skupisk naszych; ale sprawy bieżące prowadził ściślejszy "Komitet Wykonawczy", w którym byli czynni: J. F. Smulski, Prezes, K. Żychliński,

Wiceprezes N. L. Piotrowski, skarbnik, H. Setmajer, sekretarz, oraz członkowie: T. M. Heliński, P. Rostenkowski, Ks. Wł. Zapała, C.R., A. Neumanowa, St. Szwajkart, J. S. Rybicki i kilku innych. W miarę zmian w poszczególnych Organizacjach na stanowiskach reprezentacyjnych — nowe też wchodziły osoby w skład Wydziału i jego Komitetu Wykonawczego, jak: Emilja Napieralska, C. W. Sypniewski, Dr. T. Starzyński i inni; w nieustannym pozostawali kontakcie z "Komitetem Wykonawczym": Dr. E. Fronczak, przedstawiciel Polonji Amerykańskiej w Komitecie Paryskim, Dr. Br. Smykowski, Wiceprezes na Stany Wschodnie, Dr. K. Wagner, Dr. F. Drobiński i inni. Wreszcie wspomnieć należy, że przy "Komitecie Wykonawczym" istaniała stała Komisja Prasowo-Informacyjna, również o elastycznym składzie członków; w Komisji tej najdłużej byli czynni: St. Osada, St. Orpiszewski, J. Chrzanowski, Fr. Barć i autor książki niniejszej, który był jej przewodniczącym. Komisja ta—na zlecenia "Komitetu Wykonawczego" opracowywała oświadczenia i odezwy, apele i komunikaty "Komitetu". Jednym z najdonioślejszych, prawdziwie dokumentarnych aktów, przez Komisję tę opracowanych, a pod egidą i firmą "Wydziału Narodowego" ogłoszonych w Prasie polskiej i światowej (po angielsku również i po francusku) było oświadczenie, określające stanowisko Polaków wobec ogłaszanego przez Niemcy i Austrję wznowienia niby-państwa polskiego pod ich protektoratem: wówczas to ogłaszaliśmy manifestacyjnie, że Polska oczekuje wymiaru sprawiedliwości od zwycięskich w tej wojnie, Demokracyj walczących—i to nie we formie prowizorycznej kreacji mocarstw centralnych, a całej, zjednoczonej i w pełni niepodległej Polski.

JAN SMULSKI

Jan Smulski (nazwisko rodziny właściwe—Jakiński) urodził się w Trzemesznie, w Poznańskiem, w r. 1867. Czternaście lat mając, przybył do Ameryki z rodzicami, tu dokończył wykształcenia—naprzód w Kitchener, w Kanadzie, w tamtejszem Kollegjum XX. Zmartwychwstańców, później studjował prawo na chicagoskim Uniwersytecie "North Western"; w Chicago też w r. 1890 otworzył kancelarję adwokacką. Brał od młodu żywy udział w narodowych i organizacyjnych sprawach polskich, pisywał artykuły głównie do prowadzonej długo przez ojca, chicagoskiej "*Gazety Katolickiej*", był prezesem całego szeregu polskich spółek, firm handlowych, interesów akcyjnych, wielu pomógł stosunkami swemi do istnienia i rozwoju, czem wydatnie przyczynił się do podniesienia stanu posiadania i zamożności—nietylko własnej i bliskich swoich, ale też ogółu Polonji, zwłaszcza chicagoskiej. Szczególniej wielkie i ważne stały się te wpływy, gdy przed trzydziestu zgórą laty założył Jan Smulski pierwszy w Polonji amerykańskiej "Bank Polski": pracą swoją i wpływami osobistemi potrafił on instytucję tę rozwinąć dość znacznie.

Bardzo wybitne miał stanowisko Jan Smulski w polityce—miejskiej w Chicago, a powiatowej i stanowej w Illinois: w r. 1898 był obrany członkiem rady miasta Chicago, w r. 1903 obrano go syndykiem miejskim; następnie został skarbnikiem Stanu. Na wszystkich tych urzędach i stanowiskach Jan Smulski zdobył sobie rekord doskonały, pozyskał szacunek—swoich i obcych.

W okresie pierwszej Wojny Światowej, kiedy Polonja amerykańska wielki, zgodny i ważny udział przyjęła w pracach patrjotycznych na rzecz odbudowy Państwa Polskiego, gdy zorganizowano tu "Wydział Narodowy", na czele jego stał Smulski—od początku do końca: jego zasługi z tego czasu były rzeczywiście ogromne i niezapomniane: nagrodziła je wdzięczna Ojczyzna, nadając dobremu swemu synowi, wybitnemu Polakowi-Amerykaninowi, wielką

wstęgę orderu "Polonia Restituta". Prócz tego odznaczenia, Smulski otrzymał również "Legję Honorową" Francji.

Po zwycięskiem skończeniu Wojny Światowej, gdy i rola "Wydziału Narodowego" mniej aktualną się stała—na zewnątrz, a raczej ku własnym sprawom Polonji zwrócić się miała, Jan Smulski usunął się od czynnego udziału w sprawach społeczno-narodowych, a oddał się interesom kierowanych przez siebie instytucyj. Zmarł w r. 1928, w Chicago. Należał do "Związku N. P.", "Zjednoczenia P.R.K." i do innych organizacyj.

Był Jan Smulski Amerykaninem wzorowym, a równie dobrym Polakiem: był dla rodaków przykładem, przyświecającym w pracach narodowych i społecznych. W Polonji pozostała po nim pamięć zacnego, dobrego, uczynnego człowieka, który w całej pełni zasługiwał na powszechny szacunek, jakim go otaczano. Smulski był, bezsprzecznie wybitnym, może najwybitniejszym, typem dobrym Polaka-Amerykanina, umiejącego godnie godzić ideologję polską z amerykańską. Życie jego i prace pozostaną—jako cenna nauka dla potomnych.

DR. EUSTACHY F. FRONCZAK

Jeden z najwybitniejszych współczesnych polskich lekarzy, a zarazem przewodnich działaczy narodowych z okresu pierwszej Wojny Światowej, mąż dużych i mnogich zasług, Dr. E. Fronczak urodził się w Buffalo, N. Y., w r. 1874. Szkoły niższe, polskie, następnie średnie odbył w Buffalo; wyższe wykształcenie prawnicze i medyczne pobierał w "University of Buffalo"; nadto otrzymał honorowe Doktoraty od Uniwersytetów Warszawskiego i Krakowskiego — za prace i zasługi na polach nauki, oraz reprezentacji Nauki polskiej za granicami Polski na międzynarodowej widowni. Napisał kilkanaście rozpraw z dziedziny medycyny; jest od wielu lat Fizykiem miasta Buffalo; należy do wielu polskich i obcych Organizacyj i Towarzystw naukowych. W okresie pierwszej Wojny Światowej był członkiem naszego "Wydziału Narodowego" i członkiem "Polskiego Komitetu Narodowego w Paryżu" — jako reprezentant Polaków Amerykańskich. W Armji Stanów Zjednoczonych ma stopień Pułkownika. Posiada wysokie polskie i obce odznaczenia. Człowiek osobiście niezmiernie miły, więc cieszący się popularnością i szacunkiem ogólnym, dobrze zasłużony rzetelnemi zasługami—tak dla społeczności amerykańskiej położonemi, jak dla Polski.

KAZIMIERZ ŻYCHLIŃSKI

Kazimierz Żychliński urodził się w 1859 r., w Poznaniu. Do niższych i średnich szkół uczęszczał w rodzinnem mieście. Do Ameryki przybył w roku 1876 i zamieszkał początkowo w Nowym Yorku. Młody, pełen zapału i energji odrazu zabrał się tu do pracy na niwie narodowej, dając się poznać szerokim kołom rodaków z wybitnych zdolności i ze swady oratorskiej. Poznawszy zasady podówczas pierwsze kroki stawiającego "Związku Narodowego Polskiego, Żychliński wstąpił w jego szeregi i odtąd poświęcił się sprawom "Związku N. P.", nie szczędząc czasu i pracy, by podnieść i rozwinąć Organizację.

Gdy w r. 1887 powstała myśl założenia Sokolstwa Polskiego w Ameryce, Żychliński był pierwszym z jego członków, wspólnie z Osińskim, Witkowskim i kilku innymi—założył pierwsze Gniazdo Sokole w Chicago; był w niem prezesem, a następnie był przez lat 9 Prezesem pomyślnie wzrastającego "Związku Sokołów Polskich w Ameryce".

Angażowany do Milwaukee, Wis. przez Michała Kruszkę, wydawcę "*Kurjera Polskiego*", Żychliński przez lat kilka redagował Dział Gospodarczy w "*Gazecie Wiskonsińskiej*", poczem powrócił do Chicago, gdzie prowadził przedsiębiorstwo realnościowe.

W r. 1911 został wybrany jednym z dyrektorów "Związku Nar. Pol.", następnego zaś roku wybrany został Prezesem tej Organizacji, które to stanowisko piastował przez lat szereg. Nie było odtąd ważniejszej pracy narodowej, ni społecznej, w którejby Żychliński nie brał wybitnego udziału: swą gorliwą, a wszechstronną działalnością zdobył ogromną popularność; był delegatem Polonji Amerykańskiej—jako Prezes "Związku N. P." na Obchód i zlot Sokoli Grunwaldzki, w Krakowie, w r. 1910.

Jego prezesura w "Związku Nar. Polskim" upamiętniła się udziałem "Związku" w naszych działaniach czasu pierwszej Wojny Światowej. Należał w ciągu wszystkich tych lat do najwybitniejszych w Polonji działaczy narodowych, do najsilniejszych rzeczników orjentacji pro-aljanckiej i przewodnich członków "Wydziału Narodowego"; w okresie tym Sprawie Polskiej istotnie duże i ważne oddał usługi. Wdzięczna Ojczyzna odznaczyła Kazimierza Żychlińskiego Komandorją Orderu "Polonia Restituta".

DR. BRONISŁAW SMYKOWSKI

Wybitny lekarz i działacz społeczny, Komisarz zdrowia od lat szeregu miasta Bridgeport, w Stanie Connecticut. W okresie pierwszej Wojny Światowej był Wiceprezesem "Wydziału Narodowego" i Delegatem tegoż do Polski, wysłanym z jedną z expedycyj żywnościowych, słanych przez Polonję Amerykańską do Ojczyzny. Członek "Zjednoczenia P.R.K." i marszałek kilku sejmów tej Organizacji. Wysoce wpływowy w mieście swem i Stanie, w którym mieszka, należy do najwybitniejszych Polaków Amerykańskich w Nowej Anglji i do najdzielniejszych działaczy Polonji Amerykańskiej. Jest członkiem wielu Organizacyj naukowych i innych, polskich iobcych. Człowiek pracy wielkiej i wielu rzeczywistych zasług.

DR. TEOFIL STARZYŃSKI

Jeden z wybitnych i przodowniczych działaczy Polonji Amerykańskiej, zwłaszcza z okresu pierwszej Wojny Światowej. Zamiłowany pracownik Sokolstwa Polskiego w Ameryce, założyciel jego pierwszych Gniazd; przez długie lata kierowniczy naszego "Związku Sokołów" przewódca, a Prezes jego w latach wspomnianej Wojny i jeden z najzasłużeńszych twórców Armji Polskiej z Ameryki: zwą go—nie bez uzasadnienia—"Ojcem Armji Polskiej z Ameryki", w której otrzymał honorową godność pułkownika. Posiada wysokie odznaczenia, polskie i francuskie. Po Wojnie był Prezesem "Stowarzyszenia Weteranów Armji Polskiej z Ameryki". Stale czynny—i dziś jeszcze, bierze żywy udział we współpracach patrjotycznych Polonji. Jest z zawodu lekarzem; mieszka stale w Pittsburghu.

WACŁAW GĄSIOROWSKI

Wacław Gąsiorowski urodził się w r. 1869, w Polsce; był ze zawodu aptekarzem. Od wczesnej młodości pisywał artykuły do gazet warszawskich i nowelle. W r. 1900 osiadł na stałe we Francji, w Paryżu, gdzie zaczął pisywać powieści historyczne, z których najważniejsze — "Huragan", oraz cykl powieści z ery Napoleona I. ("Pani Walewska", "Szwoleżerowie Gwardji" i inne):

powieści te wykazują sporo zalet jego dość wszechstronnych uzdolnień. W okresie pierwszej Wojny Światowej zasłużył się niestrudzoną inicjatywą i działalnością na rzecz utworzenia Armji Polskiej we Francji, a gdy do sprawy tej przychylił się i rząd francuski, Gąsiorowski przybył z misją wojskową do Stanów Zjedn. i tu czynny był bardzo pilnie, a wydatnie—w rekrutacji tej Armji, z którą następnie powrócił do Francji. Po Wojnie znów przyjechał do Ameryki, był tu czas jakiś kierownikiem gazet, *"Górnika"* we Wilkes-Barre, Pa., *"Gwiazdy Polarnej"* w Stevens Point, Wis. i *"Kurjera Nowojorskiego"*, poczem przez lat kilka był dyrektorem Kollegjum Związkowego w Cambridge Springs, Pa. Wreszcie wrócił do Polski, gdzie zmarł w Milanówku, pod Warszawą, w r. 1940. W Polsce napisał i wydał doskonałą książkę o Polakach Amerykańskich pod paradoksalnym tytułem "Ach, te Chamy w Ameryce", w której dosadnie i cięto streszcza swe obserwacje z czasów pobytu w Stanach Zjedn., przeciwstawiając świetnie Polaków Amerykańskich przedsiębiorczość i patrjotyzm—indolencji i zacofaniu Polaków—w Polsce. Pracował również nad "Historją Armji Polskiej z Ameryki i we Francji", lecz pracy tej skończyć—już mu nie było dano.

HENRYK SIENKIEWICZ

Jeden z największych mistrzów polskiego piśmiennictwa, Henryk Sienkiewicz urodził się w r. 1846, we Woli Okrzejskiej, powiat Łuków, pod dawnym zaborem rosyjskim; kształcił się we Warszawie. Pisywać zaczął wcześnie i literackiemu poświęcił się zawodowi. W r. 1876 przybył do Ameryki i przejechał całe Stany Zjedn., zetknął się tu z Polonją ówczesną i sporo o niej wzmianek, dziś niezmiernie ciekawych i dokumentarnie doniosłych, zawarł w swoich *"Listach z Ameryki"*. Tu też zetknął się z Heleną Modrzejewską i podobno ona zachęciła go do podjęcia większych, rozleglejszych prac literackich, wówczas planowanych.

Po powrocie do Ojczyzny napisał swą niezrównaną "Trylogję", która stała się wprost rewelacją dla Polski, a przetłumaczona została na wszystkie języki świata. Inne jego dzieła powieściowe: "Bez Dogmatu", "Rodzina Połanieckich", "Krzyżacy", "Quo Vadis", "Wiry", "Na Polu Chwały", "Legjony", "W Pustyni i w Puszczy", oraz cały szereg niezrównanych nowell, szkiców, listów i artykułów. Wszystkie utwory Sienkiewicza zostały przetłumaczone na wszelkie cywilizowane języki świata; pozyskały mu one sławę ogromną, odznaczenia zaszczytne od krajowych i zagranicznych instytucyj, naukowych i literackich. W r. 1900 z okazji jego literackiego jubileuszu Naród—drogą składek ogólnych—zakupił dlań majątek ziemski, Oblęgorek, w Kieleckiem; w r. 1905 otrzymał Sienkiewicz za swą działalność literacką—Nagrodę Nobla.

W czasie pierwszej Wojny Światowej wraz z Paderewskim i Antonim Osuchowskim z Warszawy zorganizował we Vevey, w Szwajcarji pierwszy "Komitet Ratunkowy" dla ludności polskiej, dopustami wojennemi nękanej: z tego Komitetu wyłonił się później "Polski Komitet Narodowy" w Paryżu.

Jeśli w onej wojnie mieliśmy Legjony i Armję Narodową, która—jak niegdyś Dąbrowskiego zastępy, poszła zwycięsko do Polski, to przygotowaniem ideowem do tego, przysposobieniem i umocnieniem ducha Narodu ku tym czynom, były księgi i dzieła Sienkiewicza. Wskrzesił on w nich wspaniałą przeszłość wielkiej Polski, ukazał, co w niej było dodatnie, a co ujemne; w młodzieży, której całe wychował generacje, wzbudził tradycyjną dzielność i ambicje jej podniósł z przeciętnej poziomości służby u zaborców; Narodowi całemu wskazał nowe cele, dodał nowych mocy do wytrwania w pracach, ma-

jących niepodległość w ostatecznych zamierzeniach; szarą dolę współbraci rozjaśnił, rozradował, dając im jaśń i radość w swych księgach przepięknych, ukazując im skarby nowe, niemal zapomniane wspaniałej mowy naszej, a język polski i Polaków przed światem rozsławił, jak rzadko który mistrz słowa —w całej powszechno-ludzkiej cywilizacji. W Sienkiewiczu wcielił się zaiste Król Duch dawnych naszych Wieszczów i objawił się tak silnie, że cały Naród poznał go i uznał.

Zmarł w r. 1916-tym, 15go listopada, w Vevey, w Szwajcarji; ciało jego w r. 1924-tym przewieziono do Polski i pochowano w podziemiach katedry warszawskiej.

POLSKI KOMITET NARODOWY W PARYŻU

"Polski Komitet Narodowy" w dziejach odzyskania niepodległego bytu Polski, odegrał rolę pierwszorzędną. Zawiązał się on dnia 15-go sierpnia, 1917 r. w Lozannie, w Szwajcarji, na zjeździe polityków polskich obozu antyniemieckiego: wybrano wówczas do Komitetu tego: Romana Dmowskiego — Przewodniczącym, Maurycego Zamoyskiego, Erazma Piltza, Konstantego Skirmunta, Władysława Sobańskiego, Dra. Marjana Seydę i Jana Rozwadowskiego; nieco później przystąpił do Komitetu Ignacy Paderewski. Na siedzibę "Komitetu Narodowego" wybrano Paryż, lecz ustanowiono cztery misje Komitetu — w głównych stolicach Aljantów: w Paryżu, Londynie, Waszyngtonie i Rzymie. Niebawem po zawiadomieniu mocarstw "Ententy" o swem powstaniu Komitet ów uznany został przez rządy aljanckie — za kierownicze ciało polityczne, a mianowicie: przez rząd francuski (20-go września, 1917 r.), przez angielski (15go października, 1917 r.), włoski (30go października, 1917 r.), a przez rząd Stanów Zjednoczonych (1go grudnia, 1917 r.). Działalność Komitetu objęła trzy główne dziedziny: reprezentację interesów polskich i prowadzenie polityki polskiej, sprawę Armji Polskiej po stronie Ententy i opiekę cywilną nad ludnością polską w krajach sprzymierzonych.

Najdonioślejszem dziełem Polskiego Komitetu Narodowego w Paryżu, było umożliwienie stworzenia Armji Polskiej, jako kombatanta Aljantów, a to —celem uzyskania dla Polski miejsca i głosu w pertraktacjach pokojowych po Wojnie. Dążąc do tego, Komitet omawiany zawarł był dn. 22go lutego, 1918 r. układ z rządem Francji, który oddawał władzę nad tem mającem być sformowanem wojskiem polskiem — Komitetowi Narodowemu. Wobec dalszego rozwoju tej armji i tworzenia się później wojsk polskich na południu Rosji i w Syberji, Komitet zawarł z Aljantami drugą, szerszą umowę: "Wojska polskie — brzmiał tekst układu — walczące przeciwko państwom centralnym, gdziekolwiek są, tworzą jedną, samodzielną Armję Polską, mającą stanowisko armji Państwa pod dowództwem polskiem". Taki charakter narodowy i polityczny Armji Polskiej uznały rządy francuski, angielski, włoski i amerykański.

Wodzem Armji polskiej mianował "Komitet Narodowy" Generała Józefa Hallera, który od chwili przyjazdu swego z Rosji do Francji—został kooptowany na członka Komitetu. Stworzenie Polskiej Armji po stronie "Ententy" było czynem, który stał się podstawą do udziału Polski, jako sprzymierzeńca, w Konferencji Pokojowej, jak już zaznaczono.

Polski Komitet Narodowy" potrafił zdobyć sobie taki autorytet, że stanowisko jego uznane było na zachodzie Europy za wyraz poglądów i aspiracyj Narodu Polskiego.

Z biegiem czasu Komitet kooptował do swego składu: Stanisława Grab-

skiego, Wielowieyskiego, St. Kozickiego i J. Żółtowskiego (z Wielkopolski); następnie wstąpili doń dwaj przedstawiciele ludowców galicyjskich: Włodzimierz Tetmajer i hr. Rey (z Rusi), oraz Leon Łubieński (z Litwy), wreszcie przystąpiło doń siedmiu przedstawicieli "lewicy".

Organizacja Komitetu wykazywała świetne ujęcie wszelkich spraw polskich:

Sekretarzem Generalnym był Wielowieyski; Wydział Spraw Cywilnych pełnił funkcje konsularne, wydawał paszporty i poświadczenia narodowości polskiej, opiekował się jeńcami i osobami cywilnemi, oraz Polakami, poddanymi państw nieprzyjacielskich, Niemiec i Austrji: na czele Wydziału tego stali kolejno: L. Spiess, L. Włodek i Andrycz. Na czele Wydziału Propagandy stał Jan Rozwadowski, na czele Wydziału Prasowego Dr. Marian Seyda z Poznania. Komitet wydawał dwa organy: "*Polaka*" (Redaktor—Zygmunt L. Zaleski) i "*L'Independence Polonaise*" (Redaktor—Prof. Stanisław Stroński). Wydziałem Politycznym kierował Erazm Piltz, Wydziałem Wojskowym—Wielowieyski.

Komitet posiadał szereg misji: W Paryżu przedstawicielem Komitetu przy rządzie francuskim był E. Piltz; w Londynie przedstawicielem Komitetu był Władysław Sobański; sprawami Opieki Cywilnej i Prasowemi zawiadywał St. Kozicki, późniejszy Sekretarz Generalny Polskiej Delegacji na Konferencji Pokojowej, oraz Garczyński; polską Agencją Handlową w Londynie kierowali Gettlich i Czarnowski; na czele misji w Rzymie stał Konstanty Skirmunt, w misji tej pracowali również Dr. M. Loret i poseł Jan Zamorski; przedstawicielem dyplomatycznym w Szwajcarji był Modzelewski, w Belgji Aleksander Riedel, w Hiszpanji Dzieduszycki, w Rumunji Dr. Koźmiński; delegatem do spraw opieki nad ludnością polską był w Danji J. L. Kowalczyk, w Holandji, Kowalewski; wreszcie delegatem na Stany Zjedn. był Ignacy J. Paderewski.

Tak przedstawia się w streszczeniu skład "Polskiego Komitetu Narodowego" w Paryżu, który w pierwszej Wojnie Światowej pracą swą światłą i szlachetnie patrjotyczną uratował międzynarodowe stanowisko Polski i uzyskał dla niej niepodległość państwową w tejże Wojnie, oraz na kończącej ją Konferencji Pokojowej.

W dniu 15go kwietnia, 1919 r. Komitet ten zlikwidował się—na wniosek jego Prezesa, Romana Dmowskiego. Pamiętna owa uchwała likwidacyjna brzmiała w dosłownem, wysoce znamiennem orzeczeniu:

Zważywszy, że *Państwo Polskie istnieje* i uznane zostało przez mocarstwa,— że posiada rząd legalny, oparty o Sejm i uznany przez państwa sprzymierzone,— że Delegacja Polska na Konferencję Pokojową jest ostatecznie sformowaną,— "Komitet Narodowy Polski" uważa *zadania swe za spełnione.*

Po porozumieniu się z Prezydentem Rady Ministrów "Komitet Narodowy Polski" uchwala przekazanie swoich agend Ministerjum Spraw Zagranicznych, Ministerjum Wojny, oraz Delegacji na Konferencję Pokojową.

ROTA PRZYSIĘGI ŻOŁNIERZY ARMJI POLSKIEJ WE FRANCJI I Z AMERYKI

"Uroczyście przysięgam Ojczyźnie mojej, Polsce Zjednoczonej i Niepodległej—na lądzie, wodzie i na każdem miejscu wiernie i szczerze i ze wszystkich sił moich służyć, a honorowi i tradycjom nieskazitelnym Armji Polskiej w niczem nie uchybiać, przełożonych i dowódców słuchać, dawane rozkazy i przepisy wykonywać, we wojnie obecnej walczyć za Zjednoczoną i Niepodległą

Polskę—do ostatniej kropli krwi, a żołnierzy Armij sprzymierzonych, walczących o wyzwolenie ludów, uważać za swych braci i wogóle tak się zachowywać, abym mógł żyć i umierać—jako mężny i prawy Żołnierz Polski. Tak mi Panie Boże dopomóż".

IGNACY JAN PADEREWSKI

Urodził się 6-go listopada, 1860 r., w Kuryłowie, na Podolu, w Polsce; kształcił się w Konserwatorjum Warszawskiem, które ukończył w r. 1887; później studjował w Berlinie i we Wiedniu. Był profesorem muzyki w Konserwatorjach we Warszawie i w Strasburgu, w Alzacji. Debiutował jako pianista-wirtuoz we Wiedniu, w r. 1887; odtąd przez długi szereg lat koncertował po wszystkich wielkich miastach globu ziemskiego—stale z największem powodzeniem, witany i słuchany z entuzjazmem, stawiany przez Prasę światową na najwyższym piedestale wśród współczesnych muzyków. Oprócz świetnej karjery wirtuozowskiej Paderewski miał też wielkie powodzenie — jako kompozytor; napisał operę "Manru", graną w swoim czasie po całym świecie, oraz długi poczet innych kompozycyj—fortepianowych i orkiestralnych.

W czasie pierwszej Wojny Światowej poniechał muzyki zupełnie, przestał koncertować, a oddał się w całości pracom na rzecz Polski i odbudowy jej niepodległego Państwa, a jak wiele sprawił, jak znakomicie zasłużył się, o tem w osnowie Rozdziału niniejszego opowiedziano.

W r. 1910 wzniósł w Krakowie pomnik ku czci króla Władysława Jagiełły, na upamiętnienie jego pod Grunwaldem wiktorji z r. 1410. Po Wojnie Światowej pierwszej w Poznaniu wzniósł pomnik W. Wilsona, a we Warszawie pomnik E. House'a—jako akty wdzięczności polskiej dla tych zasłużonych w sprawie odbudowy Polski, Amerykanów. Po wojnie tej był przedstawicielem Polski na Konferencji Pokojowej w Paryżu, a w r. 1919, był przez pewien czas premjerem rządu Polski, lecz po ustąpieniu z tego stanowiska — opuścił Polskę i mieszkał stale w Szwajcarji, w miejscowości Morges, od czasu do czasu tylko wyjeżdżając w koncertowe objazdy, stale cieszące się powodzeniem.

W okresie drugiej Wojny Światowej Rząd Polski we Francji, potem w Anglji, mianował Paderewskiego Przewodniczącym Rady Narodowej, wiek jego jednak i siły słabnące już nie pozwoliły mu właściwie pełnić obowiązków, z tem stanowiskiem złączonych. Przybył w r. 1940 do Stanów Zjednoczonych raz jeszcze—i tu zmarł w Nowym Yorku, dnia 2-go czerwca, 1942 r. Pochowany został tymczasowo, nim go Polska nie przewiezie na własną ziemię—na Cmentarzu Narodowym w Arlington, pod Waszyngtonem.

Paderewski posiadał niezliczoną moc najwyższych odznaczeń wszystkich narodów i rządów, Doktoratów Honorowych, Obywatelstw Honorowych, Adresów i innych wyróżnień.

Polsce zabrakło Paderewskiego w najkrytyczniejszym jej dziejów współczesnych momencie: było to zaiste—tragiczne. Cały Naród, choć w tak srogich dopustów wojennych otchłani, najboleśniej odczuł stratę tego Pierwszego Polski Obywatela. Najserdeczniej zapewne opłakała go Polonja Amerykańska, która od niego brała wskazania w dawniejszych swych działaniach narodowych, która go lepiej, szczerzej i ochotniej słuchała, niźli inne Polskiego Narodu zgrupowania. Nadzwyczajne były okoliczności, w jakich do tej Polonji przybył Paderewski po raz ostatni. Gdy nad światem złowroga toczy się wojna, gdy brutalny huragan barbarzyńskich, rozpętanych wprost nieludzko, walk, wiedzionych bezwzględnie z pogwałceniem wszelkich praw, Bo-

żych i ludzkich, zmiatał kraj i naród—jeden po drugim, gdy kataklizmu tego ofiarą—i Polska padła, tu—w Ameryce osiadła Polaków gromada pozostała *jedyną większą grupą wolnych Polaków*, którzy poczuwając się do duchowej łączności z Macierzą Polską, zawsze pragną dla niej pracować ofiarnie, chcą nieść Jej pomoc, jak to tylko możliwem się okaże, w dawne zasłuchani echa melodyj zwycięskich tryumfów, którą z nami właśnie on wygrywał Polsce—Paderewski. Więc jego tu przyjazd budził górne wspomnienia... Trudno już było od sędziwego Mistrza oczekiwać dawnych, niestrudzonych wysiłków i zabiegów, lecz samaż Jego między nami obecność znakomite wywarła wpływy, bo ożywiła współdziałania nasze, podniosła ku ofiarności narodowej ochotę. a powinność, krzesała myśli dzielne, budziła czyny—na miarę tych, jakie podczas pierwszej Wojny w Polonji Amerykańskiej powstały, by miljonami darów płynąć do Polski—na Jej odbudowę, a potem—zastępami rycernemi ruszyły poprzez Ocean, by Ojczyźnie wywalczyć lepszy byt, swobodny i niepodległy. Tak, pobyt Paderewskiego pośród nas rozbudził ambicje szlachetne, wzniecił przygasły, jak mówią, ogień pamięci o Starym Kraju.

Polacy w Ameryce żegnali Paderewskiego zbratanemi uczuciami i zgodnemi duchy: żegnali wielkiego—na miarę Wieszczów naszych, Wajdelotę nowej Polski, tego—co w swej Sztuce strzegł mistycznej "Arki Przymierza między dawnemi a nowemi laty" i pomiędzy dawną a nową Ziemią naszą. Niedługim już był tu ten jego ostatni pobyt: chciał z nami w pokoju odpocząć po ostatnich doświadczeniach bolesnych, a odpocząwszy — zamierzał jeszcze wziąć udział w pracach naszych, darząc nas swą światłą radą i pouczeniem, jak dawniej bywało, gdy przewodnim nam świecił przykładem. Paderewski był nam zawsze uosobieniem świetnych tradycyj, przypomnieniem poczynań bogato twórczych, dziejowo ważnych działań — o światowym prawie zasięgu. Z nim i przez niego zasłużyliśmy się my—Polsce nowej — w taki wspaniały, tak historycznie doniosły sposób, że *tego o żadnym innym narodzie, żadnej innej grupie plemiennej, czy tutejszej, czy gdziekolwiek indziej, powiedzieć się nie da.* Jeśli się to stało, jeśli nam to jest dane, iż Polaków Amerykańskich zbiorowe imię zapisane jest w Księdze Odbudowy Polski, to rzecznikiem tych naszych starań i działań był on—PADEREWSKI.

DEKRET PREZYDENTA FRANCJI

Prezydent Francji Rajmund Poincare, wydał w dniu 4-go czerwca, 1917 r. następujący dekret o formowaniu Wojska Polskiego:

Prezydent Republiki Francuskiej, na skutek apelu Prezesa Rady Ministrów, Ministra Spraw Zagranicznych i Ministra Wojny, postanawia:

Artykuł I.—Formuje się we Francji na czas wojny autonomiczna Armja Polska pod najwyższem dowództwem francuskiem, walcząca pod sztandarem polskim.

Artykuł II.—Organizacja i utrzymanie Armji Polskiej są zagwarantowane przez Rząd Francuski.

Artykuł III.—Przepisy obowiązujące Armję Francuską, a dotyczące organizacji, stopni, administracji i sądownictwa wojskowego będą stosowały się i do Armji Polskiej.

Artykuł IV.—Armja Polska będzie utworzona:

a) z Polaków, służących w tej chwili w Armji Francuskiej;
b) z Polaków innych kategoryj, upoważnionych do przejścia do szeregów Armji Polskiej we Francji, lub do zaciągnięcia się na ochotnika na czas wojny pod godłem Armji Polskiej.

Artykuł V.—Prezes Rady Ministrów i Minister Wojny mają polecenie, każdy w dziale, jego dotyczącym, wykonać niniejszy Dekret, który będzie ogłoszony w "Dzienniku urzędowym" Republiki Francuskiej i zamieszczony w "Dzienniku Praw".

Artykuł VI.—Dalsze rozkazy ministerjalne uregulują zastosowanie niniejszego Dekretu.

Dano w Paryżu, dnia 4go czerwca, 1917 roku.

(podpisano)

Prezydent Republiki Francuskiej:
R. POINCARE.

Prezes Rady Ministrów i Minister Spraw Zagranicznych:
A. RIBOT.

Minister Wojny:
PAUL PAINLEVE.

STANY ZJEDN. UZNAJĄ ARMJĘ POLSKĄ

Dnia 1-go listopada, 1918 r. Rząd Stanów Zjednoczonych Półn. Ameryki uznał Armję Polską we Francji za niezależną, sprzymierzoną i współwojującą —listem, wysłanym na ręce Romana Dmowskiego, Prezesa "Komitetu Narodowego Polskiego" w Paryżu, następującej treści:

Waszyngton, 1-go listopada, 1918 r.

Panie!

Mam zaszczyt potwierdzić odbiór listów Pańskich z dn. 18 i 25 października, w których Pan prosi o łączne z Rządami francuskim i angielskim uznanie Armji Polskiej, pozostającej pod najwyższą władzą polityczną "Komitetu Narodowego Polskiego", za niezależną sprzymierzoną i współwojującą.

W odpowiedzi mam zaszczyt zawiadomić Pana, że Rząd Stanów Zjednoczonych zauważył, z jaką gorliwością "Komitet Narodowy Polski" dąży do zjednoczenia wysiłków wojskowych swych rodaków w celu uwolnienia Polski od obecnych Jej ciemiężycieli. To stanowisko Rządu względem Sprawy Polskiej i Narodu Polskiego nie mogło być lepiej określone, niż to miało miejsce w orędziu Prezydenta do Kongresu—w dniu 8-go stycznia, 1918 r. Z tej więc racji *Rząd, stwierdzając głęboką sympatję dla Narodu Polskiego i widząc z radością postęp Sprawy Polskiej, odczuwa również szczerze zadowolenie w potwierdzeniu Pańskiego żądania o uznaniu Armji Polskiej, pozostającej pod najwyższą władzą polityczną "Komitetu Narodowego Polskiego"—za Armję niezależną i współwojującą.*

(podpisano) ROBERT LANSING.

ODEZWA POLSKIEGO WYDZIAŁU NARODOWEGO DO POLONJI W AMERYCE

Rodacy!

Opatrzność zrządziła, że w setną rocznicę zgonu Tadeusza Kościuszki, jakby dla uczczenia Jego jasnej pamięci na tej tu półkuli, za której wolność On bohatersko walczył, powstaje Armja Narodowa Polska.

Francja tę armję powołała do życia, ofiarując jej wszelką pomoc i poparcie. Ofiary krwi naszej Francja nie pożąda; bez naszych ubogich posiłków łatwoby się obeszła. Zgórą pięć miljonów ludzi walczy obecnie w jej obronie. Cywilizacji przewodniczce, co wielokrotnie, jak ongi Polska nasza, w

obronie uciśnionych dobywała oręża, zależy głównie na tem, iżby w tej wojnie, którą prowadzi, wojnie światła przeciw ciemnościom, prawa przeciw przemocy, wszyscy stanęli po tej stronie.

Stanęły już wielkie i małe rządy i narody, stanęły i potężne Stany Zjednoczone. Wstydem byłoby dla nas Polaków, gdyby na polach walki o ludów wolność polskie nie powiewały sztandary; krzywdą byłoby dla naszych przyszłych pokoleń, gdyby w tym dostojnym zespole, co całej ludzkości praw broni, wielkiego polskiego zabrakło narodu.

Armja nasza nie Francji, lecz *Polsce potrzebna.* Polska w ręku wroga, szermierzom wolności żołnierza dać nie może, ale Wy—tu—jesteście, młodzi, silni, Wy mężnego rodu polskiego nieodrodni synowie. We Waszych dziś rękach i *honor Polski i jej przyszłe losy.* Przeświadczeni o naszej świętej względem Ojczyzny odpowiedzialności—przed Bogiem, narodem i sumieniem własnem, rozważaliśmy długo. I oto dziś, uzyskawszy zapewnienie, że najtroskliwszą będziecie otoczeni opieką, otrzymawszy najżyczliwsze Stanów Zjednoczonych oświadczenie, że zapisywaniu się do Armji Polskiej wszystkich tych, którzy nie podlegają prawu o obowiązkowej służbie wojskowej w kraju tutejszym, żadnej nie będą stawiały przeszkody, z głębi serc naszych, Polskę i Was miłujących wołamy: DO SZEREGÓW! DO BRONI! DO WALKI!

Idźcie na bój, na wielki, na sławny—za ziemię Polską pokrzywdzoną, za ludzkość całą zagrożoną.

Idźcie, by dowieść, że w piersi waszej nie zakrzepła dawnych Polaków rycerska odwaga, że nie zamarła sławnych przodków Waszych nieustraszona waleczność.

Idźcie, by świat przekonać, że Polak amerykański, orężnej polskiej chwały, godnym jest spadkobiercą.

Bez Gopła, Kruszwicy, Gniezna, Poznania, sędziwej kolebki Narodu, nie może być Polski!

Idźcie na bój!

Bez ujścia Wisły, morskiego wybrzeża, bez odwiecznego Gdańska naszego, nie może być Polski!

Idźcie na bój!

Praojców naszych hasło polskie dumne, niech będzie i Waszem godłem! Idźcie z ufnością i wiarą, głosząc wszem i każdemu:

ZA NASZĄ I WASZĄ WOLNOŚĆ!

Wielka, świetlana dusza Kościuszki, u Boga, co sprzyjał mieczom Chrobrego, Łokietka, Jagiełły, uprosi dla Was ZWYCIĘSTWO I CHWAŁĘ.

WYDZIAŁ NARODOWY W AMERYCE.

6 października, 1917 r.

OŚWIADCZENIE KOMISJI PRASY POLSKIEGO WYDZIAŁU NARODOWEGO

Kiedy mocarstwa centralne w początku listopada, 1918, ogłosiły kreację "niepodległej" Polski pod ich protektoratem, "Wydział Narodowy" postanowił w sprawie tej ogłosić opinję, którą zlecono opracować Komisji Prasowej; oświadczenie odnośne brzmiało—jak następuje:

"Wobec manifestu mocarstw centralnych, wznawiającego Królestwo Polskie — jako monarchję konstytucyjną dziedziczną, złączoną z wymienionemi mocarstwami centralnemi, z własną armją i narodową reprezentacją,—Komisja Prasowa Polskiego Wydziału Narodowego w Chicago, przez członków swych, dziennikarzy, reprezentujących największe Pisma polskie w Chicago,

uznała za potrzebę chwili określenie i ogłoszenie właściwego poglądu na ów fakt dokonany, zaznaczając zarazem niewzruszoną pewność, iż poglądy te są wyrażeniem sposobu myślenia większości ogółu polskiego:

"Manifest centralnych stwarza doniosły czynnik w układzie politycznym Europy, jaki będzie omawiany na przyszłym Kongresie Pokoju; jest to już nie propozycja, nie obietnica, a *fakt dokonany*, jak to wyraźnie orzekają słowa manifestu. Ważny precedens został stworzony; bez względu na wynik wojny, koncert państw reprezentowanych na wzmiankowanym Kongresie, będzie musiał liczyć się z nim — właśnie jako z faktem. Forma ustroju państwowego przyszłej Polski, jej granice etc., to kwestje dalsze, podlegające obradom Kongresu i jego decyzjom, po którym to Kongresie Państw Świata Cywilizowanego spodziewa się Naród Polski o wiele więcej, niż po dotychczasowych koncesjach państw centralnych.

"Zaznaczamy, że dotychczasowe koncesje, wzmiankowane w omawianym manifeście, oraz znane z poprzednich wynurzeń miarodajnych czynników w Niemczech i w Austrji, są w istocie rzeczy—znikome—w porównaniu z dążeniami i z prawami Narodu Polskiego: wszakże nie oddają nam nawet ziem, etnograficznie należnych do Polski.

"Mimo to manifest ten stwierdza fakt państwowego istnienia Polski w rzędzie samorządnych państw europejskich i ten moralny efekt manifestu uważamy za jedyną korzyść dziejowego wydarzenia chwili dzisiejszej dla Polskiego Narodu.

"Rozumiemy, jak strasznemi, nowemi ofiarami przyjdzie opłacić te nie wystarczające korzyści. Niemcy nie robią nic darmo; Beseler otwarcie wyraził przekonanie, odczytując we Warszawie manifest centralnych, iż Polacy wystawią zato centralnym nową armję, oczywista—podległą ich dyrektywom strategicznym. Wiemy o tem, jak i świat cały wie, że centralni w chwili dzisiejszej gwałtownie potrzebują nowego wojsk swych zasilenia, zwłaszcza na wschodzie Europy, dokąd starają się przesunąć punkt ciężkości wojny: tu więc rola przyszłej Polski i jej armji może stać się decydująca. Wiemy, co nam dają centralni i czego za to żądają; dar wątły—nie zachwyca nas, ni zadawala, a ofiara z naszej strony—straszna; stosownie do ogromu naszych poświęceń, naszego kosztu krwi i mienia *nie przestaniemy przed forum Europy domagać się całej, niepodległej Polski, w pełni jej praw narodowych, politycznych i ekonomicznych.*"

Podpisali: Dr. Karol Wachtl, Redaktor "Dziennika Chicagoskiego", St. Orpiszewski, Redaktor "Dziennika Związkowego", H. Lokański, Redaktor "Dziennika Narodowego", Fr. S. Barć, Redaktor "Narodu Polskiego".

GENERAŁ JÓZEF HALLER

Józef Haller urodził się 13go sierpnia, 1873 r. w Jurczycach, pod Krakowem. Pochodzi z rodu znanego w Polsce już od czternastego wieku. We Lwowie uczęszczał do gimnazjum, następnie został oddany do szkoły realnej w Koszycach, poczem poszedł do wyższej szkoły w Hranicach i do Wojskowej Akademji Technicznej we Wiedniu. Po zdaniu egzaminu oficerskiego został Józef Haller przydzielony—jako podporucznik—do jedenastego pułku artylerji we Lwowie. W pierwszych latach służby wojskowej był oficerem rozmaitych wydziałów administracji wojskowej, później mianowany został Komendantem Szkoły Artylerji we Lwowie, a potem objął dowództwo garnizonu w Stanisławowie. Po powrocie do Lwowa organizował dywizjon haubic obrony krajowej i był referentem mobilizacyjnym. W r. 1912-tym został spen-

sjonowany, a odtąd zajął się żywo organizacjami młodzieży, skautami i drużynami sokolemi, dużo czasu poświęcając organizacji i wyszkoleniu wojskowemu młodych.

W lutym, 1913go r. odbyło się pierwsze zebranie, mające na celu założenie wspólnego inspektoratu wszystkich formacyj wojskowych polskich: w zebraniu tem brali udział Józef Haller, jako instruktor Drużyn Sokolich, Józef Piłsudski, jako komendant Drużyn Strzeleckich, oraz Władysław Sikorski; po zebraniu tem ustalono jednolity regulamin i postanowiono—w imię wspólnego celu—unikać nieporozumień i walk na terenie pracy. Z okazji pięćdziesięciolecia Powstania Styczniowego, urządzono w lecie, 1913 r., wielkie ćwiczenia wojskowe: dwadzieścia kilka bataljonów stanęło wówczas pod dowództwem Józefa Hallera dla przeprowadzenia manewrów.

Po wybuchu pierwszej Wojny Światowej, w r. 1914-tym, Józef Haller zorganizował II-gą Brygadę Legjonów, wyruszył w pole przeciw wojskom rosyjskim i przetrwał ze swoją Brygadą wszystkie ciężkie koleje Legjonów — na polach walki; gdy jednak po zawarciu w r. 1918 pokoju odrębnego przez Rosję z Centralnymi—w Brześciu Litewskim, Austrjacy i Niemcy dokonali nowego podziału Polski, przebił się ze swą Brygadą przez kordon austrjacki pod Rarańczą, a następnie przez kordon niemiecki pod Kaniowem i wydał walkę z kolei drugiemu i trzeciemu wrogowi Polski. W maju, 1918 r. został wybrany Naczelnym Wodzem sił polskich poza granicami okkupacji austro-niemieckiej. Wtedy to przez Murmańsk dostał się Generał Haller do Francji i został mianowany przez "Polski Komitet Narodowy" Naczelnym Wodzem Armji Polskiej we Francji, która chlubnie walczyła w końcowych fazach wojny. W kwietniu, 1919 r. przybył ze stutysięczną armją do Polski i został mianowany Generałem Broni. Następnie był dowódcą frontu wschodniego przeciw Ukraińcom, a obroniwszy Lwów, oczyścił z Ukraińców Kresy wschodnie, poczem przeniesiony został na front śląski. Z początkiem r. 1920go objął komendę na Pomorzu; wtedy dotarł do Morza Polskiego i rzucił pierścień złoty we wody Bałtyku—na znak zaślubin Polski z Morzem.

W lipcu, 1920 r., podczas nawały bolszewickiej, Generał Józef Haller został powołany na Generalnego Inspektora Armji Ochotniczej; był zarazem członkiem Rady Obrony Państwa, przewodniczącym Obywatelskiego Komitetu Obrony Państwa i prezesem Polskiego "Czerwonego Krzyża". Dnia 25go lipca otrzymał dowództwo frontu północnego, a w bitwie pod Radzyminem przyczynił się walnie do obrony Warszawy.

Generał Józef Haller został mianowany w r. 1921 Przewodniczącym Najwyższej Komisji Opiniującej, a później Inspektorem Generalnym Artylerji Polskiej. Generał Józef Haller brał udział w czterdziestu czterech bitwach podczas pierwszej Wojny Światowej; był ranny pod Rafajłową, w listopadzie, 1914 r. i pod Rędzinami, w maju, 1915 r., gdzie w wypadku automobilowym, jadąc na front, doznał złamania nogi. Generał Haller jest kawalerem orderów: "Virtuti Militari", krzyża Wojskowego Francuskiego z palmą, Komandorem Legji Honorowej, odznaczony był Krzyżem Walecznych cztery razy, jest Wielkim Oficerem orderu Korony Włoskiej, kawalerem Orderu "Białego Orła" itd.

W okresie drugiej Wojny Światowej Generał Józef Haller współpracuje z Rządem Polskim we Francji, następnie w Anglji—jako jeden z jego ministrów.

Wśród Polonji Amerykańskiej bawił Gen. Haller za trzykrotnemi przyjazdami i pomógł tu wydatnie Stowarzyszeniu Weteranów swej dawnej Armji do zbierania funduszów na opatrzenie inwalidów Armji Polskiej z Ameryki.

PIERWSZY ROZKAZ GEN. HALLERA

Kwatera Główna we Francji dnia 6-go października, 1918 r.

Z dniem dzisiejszym objąłem Naczelne Dowództwo Wojsk Polskich, zamianowany przez "Komitet Narodowy Polski", najwyższą przez Państwa Sprzymierzone uznaną władzę polityczną nad zbrojnemi siłami polskiemi.

Żołnierze Polscy! Gdziekolwiek formują się oddziały polskie dla walki przeciwko zaborcom — o niepodległość i zjednoczenie Ojczyzny, stanowią one jedyną polską siłę zbrojną, uznaną za niezależną, sojuszniczą armję i podlegają Polskiemu Naczelnemu Dowództwu.

Po stupięćdziesięciu latach niewoli staje znów Polska w rzędzie wolnych narodów. Sztandary Niepodległej Polski powiewają na polach bitew światowej wojny.

Lecz wsie i miasta polskie są w mocy niemieckiej; nie skruszy Polska kajdan niewoli, póki nie będą zdruzgotane Niemcy i Austrja. Siłą oręża odebrać trzeba Warszawę i Kraków, Wilno i Lwów, Poznań i Gdańsk.

Choć wróg potężny, zwycięstwo jest pewne!

Po naszej stronie jest prawo i siła sprzymierzonych wojsk wielkich narodów, które działają wszystkie według jednego planu.

Wojsko Polskie formować się i walczyć będzie na zachodzie, gdzie się rozstrzyga zwycięstwo i na froncie wschodnim, skąd prosta droga do Polski.

Żołnierze! Walcząc wespół z wolnemi ludami, spełniacie święty obowiązek Polaka, który walkę o wolność Ojczyzny łączył zawsze ze sprawą powszechnej wolności. Wy, na ziemię Francji przybyli, wierni ideałom Kościuszki, Polacy, z wolnej Ameryki idziecie w bój z rodakami ze wszystkich ziem polskich pod świetnym Dowódcą wojsk koalicyjnych, marszałkiem Fochem. Jak wojsko polskie za Napoleona, tak i Wy teraz biliście się chlubnie nad Marną, umacniając w ogniu walki tradycje sojuszu z Francją.

Wy, Żołnierze Polscy na Wschodzie,—zdani często na samych siebie w ciężkich i trudnych warunkach, — o Was myślę z troską największą, ale także z dumą, że mimo wszystkie zawody—duch w Was nie osłabł.

Żołnierze Karpaccy, Żołnierze Piłsudskiego, Żołnierze korpusów polskich i Wy, byli Żołnierze obcych armij, rozrzuceni po niezmiernych obszarach Rosji i Syberji, wszyscy staniecie w licznych i karnych szeregach, by nieść Polsce na ostrzu bagnetów wolność, całość i niepodległość.

Kto prawy Polak, znajdzie się we wojskach, ciągnących pod znakiem Orła Białego przeciwko Niemcom.

Nikt nie ma prawa uchylać się od tego obowiązku!

Życie Polaków—Polsce się należy!

Gdzie niema jeszcze komisyj zaciągowych, każdy dowódca użyje wszelkich środków dla zwiększenia wojska.

Silna i karna Armja Polska będzie najlepszą gwarancją niepodległości Narodu.

Żołnierze! Ze starem hasłem polskiem: "*Bóg i Ojczyzna*" idźcie w bój i zwyciężajcie!

(Odczytać przed frontem wszystkich oddziałów Wojsk Polskich).

Naczelny Dowódca Wojsk Polskich:

GENERAŁ JÓZEF HALLER.

NIAGARA-ON-THE-LAKE

O kilkanaście mil od Niagara Falls, w Kanadzie, leży miasteczko Niagara-on-the-Lake: tam w r. 1917-18 mieścił się obóz tworzącej się wówczas Armji Polskiej.

U wejścia do Niagara-on-the-Lake, o kilka minut od historycznego Fort George, niedaleko obozu, w którym stali i nasi żołnierze—wznosi się pomnik. Mieszkańcy Niagara-on-the-Lake wystawili go żołnierzom, pochodzącym z ich osiedla, którzy zginęli w pierwszej Wojnie Światowej: Na wysokim cokole pomnika stoi żołnierz kanadyjski z karabinem w ręku. Napis na ścianach cokołu zawiera nazwiska poległych i zapewnienie: "Nie zapomnimy nigdy".

Przed pomnikiem stoi stara zardzewiała armata z roku 1916 czy 1917.

Jakiż jest ślad najtrwalszy po dawnym obozie polskim? Czy będziemy szukać jakichś zczerniałych baraków? Nie: trzeba nam pójść na Cmentarz, gdzie śpi snem wiecznym dwudziestu pięciu polskich żołnierzy.

U wejścia do kaplicy wita nas starszy pan o chudej, ascetycznej twarzy: pamięta tu polskich żołnierzy z tamtej wojny, ofiarowuje się, iż poprowadzi nas na ich groby.

Idziemy z nim, wśród grobów; po lewej stronie widać już zdaleka część osobno odgrodzoną: cmentarzyk na Cmentarzu...

Trzy rzędy grobów. Każdy znaczony małym, ledwo od ziemi odcinającym się kamieniem, a nad temi szeregami rozciąga swe ramiona potężny, granitowy krzyż. Głosi on w dwu językach, że na tym Cmentarzu spoczywają ci, co *"życie oddali za Polskę: Died for Poland"*. Przyglądamy się bliżej pomnikowi: w małej wnęce, wmurowany jest "Krzyż Walecznych", wstążka spłowiała, lecz można jeszcze rozeznać kolory; napis na pomniku głosi, że udekorował go "Krzyżem Walecznych" Generał Józef Haller, w listopadzie, 1923 r. Poniżej bronzowa tarcza: "Swoim żołnierzom z Ameryki—Oswobodzona Polska"; wkoło tarczy krótkie, ale wymowne słowa: "Szampanja—Pomorze—Lwów—Wołyń". To pola bitew Armji Błękitnej. Trzy małe chorągwie, zdobią pomnik: polska, brytyjska i amerykańska: tak było wtedy, tak jest dziś.

Pochylamy się ku rzędom niskich, kamiennych nagrobków i odczytujemy nazwiska:

Wawrzyniec Jakubas
Wojciech Rączka
Stanisław Krukowski
Bartłomiej Ciupak
Jan Marowicz
Władysław Boruszkowski
Wawrzyniec Bester
Adam Kempiński
Fryderyk Głowacz
Adam Murawski
Piotr Łoziński
Władysław Plata
Antoni Skop
Stanisław Ptak
Józef Żabczyk
Kazimierz Kozłowski
Michał Wyszewski.
Feliks Nowak
Mateusz Wiśniewski
Jan Siatkowski
Marcin Adam
Józef Doćwa
Jan Kucia
Józef Sztopka
Walenty Witalec

Dwadzieścia pięć nazwisk na jednym cmentarzyku na ziemi kanadyjskiej: Polacy nie szczędzą krwi i życia dla Ojczyzny...

Znaleźliśmy powyższy opis polskiego Cmentarza w Niagara-on-the-Lake i podajemy go tu, w skrócie, dla upamiętnienia nazwisk, wyżej przytoczonych i dla opisu głównego pomnika.

EDWARD HOUSE

Edward House pochodził z Houston, Texas, urodził się w r. 1858, kształcił się w "Cornell" Uniwersytecie; potem był bankierem i realnościowcem na większą skalę, na czem zrobił majątek; był materjalnie zupełnie niezawisłym, a polityką zajmował się z zamiłowania i chęci służenia dobru Kraju. Zapoznawszy się z Wilsonem w r. 1911, został jego zaufanym doradcą za czasów jego prezydentury, a w przededniu wybuchu Wojny Światowej był nawet osobistym posłem Prezydenta do kilku rządów europejskich z misją złagodzenia zatargów i wrogich nastrojów, oraz niedopuszczenia może do wojny wybuchu. Wtedy to House bawił w Berlinie i konferował z Wilhelmem Hohenzollernem, który później przyznawał, że gdyby House'owi dane było nieco wcześniej i nieco dłużej działać w Europie, wojna możeby była zażegnana. House jeździł do państw europejskich—jako wysłannik Wilsona—również w latach 1914, 1915 i 1917.

Później Wilson zlecił mu gromadzenie materjałów do Konferencji Pokojowej, wreszcie House reprezentował Stany Zjedn. i Prezydenta w układach o zawieszenie broni i uczestniczył we wszystkich pertraktacjach, jakie po niem nastąpiły. Pod sam koniec urzędowania Wilsona przyjaźń osobista i stosunek dotychczasowy między Prezydentem a House'm ochłódły—z przyczyn, nigdy zbyt wyraźnie nie wyjaśnionych: odtąd House usunął się w zacisze życia prywatnego i w niem pozostał do śmierci w r. 1936.

Człowiek niezwyczajnie rozumny i światły, przytem ogromnie skromny i bezpretensjonalny — tak dalece, że gdy go nazywano "the power behind the throne" Wilsona, obrażał się, a gdy był na samym szczycie wpływów i znaczenia, jako doradca zaufany jednego z największych naszych Prezydentów, on rozmyślnie trzymał się w cieniu i nigdy niczego dla siebie nie żądał, nie prosił; nawet gdy mu ofiarowywano wybitne i odpowiedzialne stanowiska, nie przyjmował ich: umyślnie do Waszyngtonu nie sprowadził się nigdy na stałe, by go nie pomieniano o jakieś osobiste cele, czy ambicje, realizowane w bezpośredniem pobliżu Prezydenta.

Obok Prez. Wilsona, Pułkownik House najdonioślej zasłużył się Polsce i wzajem na jej trwałą zasługuje wdzięczność.

WOODROW WILSON

Woodrow Wilson, dwudziesty ósmy Prezydent Stanów Zjedn., wybitny mąż stanu, prawnik, pedagog i pisarz; Doktór trzech fakultetów: prawa, filozofji i literatury, urodził się w Staunton, w Stanie Wirginja, dn. 28go grudnia, 1856 r. Kształcił się w Uniwersytecie Princeton, N. J., oraz w Baltimore, Md., w "Johns Hopkins" Uniwersytecie. Zrazu zamierzał być adwokatem, lecz wnet przerzucił się do pedagogiki: uczył historji w kilku kollegjach, wreszcie powołany został na katedrę historji i nauk politycznych w "Princeton" Uniwersytecie, w którym sam za młodu studjował. Z czasem tegoż Uniwersytetu został Rektorem.

Wcześnie brał udział w życiu politycznem Stanu, w którym zamieszkał, t. j. New Jersey i Kraju, był stronnikiem partji demokratycznej, która go w r. 1910-tym obrała Gubernatorem Stanu rzeczonego. Znakomitą administracją, nowemi ideami, głoszonemi w pismach i przemówieniach, wyróżnił się tak dalece, że w r. 1912-tym został (przez demokratów) nominowany i obrany Prezydentem Stanów Zjednoczonych; tenże wybór ponowiono w r. 1916-tym — na drugą kadencję.

W początkowych czasach jego urzędowania wybuchła pierwsza Wojna Światowa, Wilson do czasu starał się usilnie zachować neutralność Stanów Zjedn., a jakkolwiek były Stany bez wątpienia życzliwe Koalicji, walczącej przeciw mocarstwom centralnym, lecz Wilson przestrzegał skrupulatnie neutralnych metod postępowania, mimo nieustannych prowokacyj ze strony Niemiec. Wreszcie stało się Stanom Zjedn. niemożliwe pozostawanie na uboczu, więc w kwietniu, 1917 r. Prezydent Wilson wypowiedział wojnę centralnym. Odtąd był on duszą przygotowań, na olbrzymią prowadzonych skalę.

Stany obliczały udział swój we wojnie na lat cztery, lecz wystąpienie ich na teatrze wojny, podtrzymanie Aljantów masą wojsk, zapasów broni, sprzętu wojennego, żywności, już w półtora roku później przeważyło szalę walk na stronę Aljantów i Ameryki: wojna skończyła się zwycięstwem nad centralnymi w dniu 11go listopada, 1918 r.

Wilson brał osobiście udział w Konferencji Pokojowej i w pertraktacjach, poprzedzających ją; opracował i podał projekt Ligi Narodów, która miała być podstawą wieczystego pokoju wszech ludów, co widziały i witały we Wilsonie —swego wybawcę, proroka nowych czasów i entuzjastyczną czcią otaczanego, tryumfatora. Niestety, polityka interesów partyjnych silniejszą znać była od entuzjazmu szczerego narodów, bo Wilson idej swoich nie zdołał zrealizować —ani wśród mężów stanu aljanckich, wygów-dyplomatów starej szkoły, ani we własnym Kraju, gdzie zszeregowały się przeciw niemu zastępy partji republikańskiej i nie dopuściły do ratyfikacji ni Traktatu Wersalskiego ni statutu Ligi Narodów, do której Stany—nie przystąpiły.

Był to najcięższy cios dla Prezydenta Wilsona, który wnet potem zapadł ciężko na zdrowiu, a po upłynięciu terminu urzędowania usunął się zupełnie od życia publicznego. Zmarł we Waszyngtonie, w dniu 3-go lutego, 1924go r.

Woodrow Wilson jest autorem kilku znakomitych dzieł z dziedziny historji ("History of the American People"), oraz polityki i administracji krajowej ("Congressional Government", "State Elements of Historical and Practical Politics" i inne).

Był szczerym i oddanym przyjacielem Polski, o czem w głównej osnowie Rozdziału i na innych miejscach tej książki powiedziano. Paderewski w akcie wdzięczności Polaków za zasługi dla odbudowy Polski, wzniósł W. Wilsonowi pomnik w Poznaniu—dłuta wybitnego rzeźbiarza amerykańskiego, G. Borglum'a.

CZTERNAŚCIE PUNKTÓW WILSONA

Dla Czytelnika, nie obznajmionego z niemi, podajemy je poniżej—w porządku, przez Prezydenta ułożonym, jako program jego pokojowego — po pierwszej Wojnie Światowej ładu:

1. Otwarta dyplomacja, wykluczenie tajnych porozumień i sojuszów.
2. Wolność mórz—za wyjątkiem zamknięcia ich na skutek postanowień międzynarodowych, celem skarcenia wspólnego niesolidarnych państw, ścigania piratów, itp.
3. Zniesienie karteli i ograniczeń ekonomicznych, a danie wszystkim narodom, należącym do Ligi, mającej na celu utrzymanie pokoju,—równych warunków i szans rozwoju handlu i przemysłu.
4. Ograniczenie zbrojeń—aż do miary, potrzebnej jedynie dla utrzymania ładu we wnętrzu kraju, oraz odpowiednie gwarancje na przeprowadzenie tego postanowienia.

5. Bezstronna regulacja spraw i pretensyj kolonjalnych, przyczem uwzględnić się ma w równej mierze, interesy, tak ludów, zamieszkujących kraje kolonialne, jak rządów, do krain tych roszczących sobie tytuły.

6. Ewakuacja terytorjum dawnej Rosji i załatwienie spraw wszystkich ludów na jej terenie—takie, aby im zapewnić swobodę i współuczestnictwo nieskrępowane we wolnym politycznie rozwoju Rosji.

7. Belgja ma być ewakuowana, niepodległa i w pełni odszkodowana.

8. Okkupowane tereny Francji mają być ewakuowane, odszkodowane; zwrot Alzacji i Lotaryngji, oraz odszkodowanie za jej zabór.

9. Ustanowienie nowych granic Włoch podług zasady narodowości ludów, zamieszkujących tereny odnośne.

10. Autonomia dla wszystkich ludów Austro-Węgier i swobodny ich rozwój samodzielny.

11. Rumunja, Serbja i Czarnogóra mają być ewakuowane i odszkodowane w pełni; Serbia ma dostać wolny dostęp do morza, a stosunki na Bałkanie mają być uregulowane podług zasady narodowościowej.

12. Tureckie tereny Turcji mają mieć zapewnioną swą państwowość, lecz narody, dotąd przez Turków uciskane, mają otrzymać zupełny samorząd; Dardanellów cieśniny mają być dla wszystkich narodów otwarte.

13. *Niepodległe Państwo Polskie ma być utworzone, obejmujące tereny, bezspornie przez Polaków zamieszkałe: państwo to ma mieć do morza wolny dostęp.*

14. Ma być utworzona Liga Ludów, która ma dawać wzajemne gwarancje co do politycznej niezawisłości i terytorjalnej nietykalności wszystkim narodom i państwom, zarówno większym jak mniejszym.

ROMAN DMOWSKI

Roman Dmowski urodził się 9-go sierpnia, 1864 r. we Warszawie. Ukończywszy Uniwersytet Warszawski, poświęcił się działalności dziennikarsko-publicystycznej, współpracując w tygodniku *"Głos"*; pismo to było pierwszym wyrazicielem haseł i celów Ligi Polskiej, później przekształconej na Ligę Narodową, organizację patrjotyczno-społeczną, która swego czasu — najżywotniejsza z polskich, miała też wielu zwolenników i w Amerykańskiej Polonji. Organizacji tej zadaniem było kształcenie i szeregowanie sił Narodu, uświadamianie narodowe mas ludowych i zespalanie ich ze wszystkich trzech zaborów dla konstruktywnej pracy na rzecz odbudowy Ojczyzny. Temi czasy Dmowski wyjeżdżał do Paryża, później do Londynu, do Brazylji—dla studjów społecznych; gdy w r. 1891 powrócił do Polski został aresztowany przez władze rosyjskie za udział w manifestacjach narodowych, urządzonych z okazji stulecia Konstytucji 3-go maja; przesiedział w Cytadeli Warszawskiej pół roku, poczem został skazany na dozór policyjny i przebywanie poza Polską.

W r. 1895 przeniósł się Dmowski do Lwowa, gdzie z Balickim i Popławskim wydawał *"Przegląd Wszechpolski"*, onego czasu najpoważniejszy i najmiarodajniejszy organ Myśli Narodowej Polskiej. Na początku wieku bieżącego osiadł w Krakowie, dokąd przeniósł i *"Przegląd Wszechpolski"*, samodzielnie odtąd przez niego redagowany. W r. 1905-tym napisał i wydał "Myśli Nowoczesnego Polaka", świetnie napisaną rzecz o właściwem rozumieniu narodowej idei; książka ta wywarła ogromne wrażenie w całej Polsce. Ta działalność Dmowskiego przyczyniła się znakomicie do pobudzenia pragnień ożywczych i do krzewienia prac realnych dla lepszej narodowej przyszłości.

W latach 1904 i 1905 podróżował Dmowski do Kanady, Stanów Zjedn. i

do Japonji, gdzie zetknął się z J. Piłsudskim, który bawił tam w celu pozyskania poparcia Japonji na rzecz planowanej w Polsce akcji przeciwko Rosji, która podówczas była w ciężkiej z Japonją wojnie. Dmowski, rozumiejąc, że społeczeństwo polskie nie było do walki przygotowane, a na niepomyślne eksperymenty zbrojne pozwalać sobie nie powinno, gdy widział nadto, że sprawy wojny rosyjsko-japońskiej są zbyt odległe od Polski, a przewidywał, że odwet Rosji spaść mógłby na Polskę—katastrofalnie, przeciwdziałał owym zabiegom Piłsudskiego: w rezultacie pomysł akcji w Polsce nie został zrealizowany. Wracając z Japonji, gdzie Dmowski uzyskał wydzielenie Polaków zpośród jeńców rosyjskich, oraz lepsze ich traktowanie, bawił przez pewien czas wśród Polonji Amerykańskiej, wygłaszając prelekcje i wykłady—zarówno o pracy w Polsce i o tendencjach Ligi Narodowej, jak o swej specjalnej roli w Japonji.

Wróciwszy do Ojczyzny wydał Dmowski doskonałą książkę "Podstawy Polityki Polski", a kiedy w r. 1905-tym rząd rosyjski—pod wpływem wywołanej przegraną z Japonją wojną, socjalnej rewolucji—proklamował konstytucję, acz silnie ograniczoną—i ogłosił wybory do tak zw. "Dumy Państwowej", Dmowski—nie zważając na osobiste niebezpieczeństwo, przybył do zaboru rosyjskiego i przeprowadził—jako główny kierownik akcji polskiej — wybory do "Dumy", do której weszli prawie sami narodowi demokraci, ludzie stronnictwa, na którego stał czele. Dmowski wówczas redagował *"Gazetę Polską"* we Warszawie. Do drugiej "Dumy" Dmowski sam już kandydował, a obrany posłem z Warszawy, był Prezesem "Koła Polskiego" w Petersburgu; również i w trzeciej "Dumie" był Dmowski posłem; w czasach tych wiele pisywał oraz wydał książkę p. t. "Niemcy, Rosja i Sprawa Polska", przełożoną na kilka języków europejskich.

Wskutek rozłamu w stronnictwie narodowo-demokratycznem usunął się Dmowski od życia parlamentarnego, a rychło też i "Dum" rosyjskich skończyła się rola. Odtąd — aż do Wojny Światowej zajęty był Dmowski przeważnie publicystyką narodową.

Z wybuchem pierwszej Wojny Światowej Dmowski staje, jak ogromna większość społeczeństwa, po stronie Koalicji przeciwko Niemcom, których zawsze uważał za głównego i najniebezpieczniejszego wroga Polski. Czas jakiś przebywa w Petersburgu, jako członek "Polskiego Komitetu" i rzecznik główny Sprawy Polskiej; później, rozumiejąc słusznie, że sprawa ta właściwego rozstrzygnięcia oczekiwać może tylko na zachodzie Europy, udaje się do Londynu, gdzie jego działania i prace publicystyczne pozyskały mu honorowy Doktorat prawa Uniwersytetu w Cambridge.

W czasach pierwszych Wojny współpracował z H. Sienkiewiczem, przebywającym w Szwajcarji, z którego inicjatywy powstał "Polski Komitet Ratunkowy" dla niesienia pomocy ofiarom Wojny w Polsce. Gdy w Rosji wybuchła rewolucja (rok 1917), pod której impetem Polakom przyznano prawo samo-stanowienia, Dmowski ogłosił pamiętny memorjał "Problem of Central Europe", w którym wskazywał politykom Europy konieczność utworzenia silnego Państwa Polskiego, zjednoczonego z trzech zaborów, z dostępem do morza. W sierpniu, 1917, za staraniem Dmowskiego—na zjeździe działaczy narodowych polskich tworzy się "Polski Komitet Narodowy" z siedzibą w Paryżu, uznany wnet przez wszystkie Państwa Koalicyjne za oficjalne przedstawicielstwo, a więc jakby za pierwszy rząd—nowej Polski. Prezesem tego Komitetu został Roman Dmowski, który aż do zakończenia Wojny i poprzez czas przewlekłych układów pokojowych—rozwijał przewodnią a potężną działalność, uznawaną przez swoich i obcych. Swemi wpływami, wielką powagą swych o-

pinij politycznych Dmowski uzyskał uznanie przez Koalicję odbudowy Polski —zjednoczonej, niepodległej, z dostępem do morza—jako jeden z warunków pokoju.

W roku 1918 bawił Dmowski w Ameryce, gdzie wraz z Paderewskim zogniskował całą Myśl Polską po stronie "Polskiego Komitetu Narodowego"; tworzy się tu wtedy Armja Polska, która ostatecznie stawia Polskę w gronie kombatantów, współwalczących z Koalicją—przeciw Państwom Centralnym. Po powrocie Dmowskiego do Paryża "Polski Komitet Narodowy" spełnia pod nim rolę naszego ministerjum spraw zagranicznych, uzyskuje reprezentację Polski w Konferencji Pokojowej, na którą delegatami naszymi zostają Dmowski i Paderewski. Powaga Dmowskiego jest wtedy u szczytu, a wpływy jego uzyskują Polsce bezsporne zrazu przyznania Gdańska i Górnego Śląska; niestety, później intrygi Lloyd George'a psują te świetne dla nas rezultaty, bo angielski polityk nie chciał zbyt dotkliwego upokorzenia i osłabienia Niemiec.

W r. 1919-tym Dmowski był posłem do pierwszego Polskiego Sejmu Ustawodawczego, a w r. 1920-tym został powołany przez Naczelnika Państwa, J. Piłsudskiego do Rady Obrony Państwa, na której czele stał ówczesny premjer, Wincenty Witos; był wówczas Dmowski przez czas krótki ministrem spraw zagranicznych Polski. Po odparciu inwazji rosyjskiej usunął się Dmowski od czynnego udziału w polityce polskiej, a zamach majowy r. 1926 udział w niej dalszy ostatecznie mu uniemożliwił. Odtąd zajmował się już tylko pracą organizacyjną, pragnąc konsolidować narodowe ugrupowania polityczne; założył wówczas "Obóz Wielkiej Polski", organizację swego czasu popularną i czynną—głównie w kołach młodzieży patrjotycznej; pisał też wiele, ogłaszał drukiem swe prace, które wszystkie odznaczają się światłością jasną trafnego sądu i niezrównaną prostolinijnością rozumowania: z tych jego prac i ksiąg, oprócz wyżej wymienionych, wzmiankuję jeszcze: "Upadek Myśli Konserwatywnej", "Świat Powojenny i Polska", "Polityka Polska i Odbudowanie Państwa".

Roman Dmowski był jednym z najmędrszych mężów stanu nowoczesnej Polski: dziejowo zasłużony działacz i polityk, naczelnik Rządu Narodowego w okresie pierwszej Wojny Światowej, twórca i rzecznik przewodni "Komitetu Narodowego w Paryżu", przedstawiciel Polski na Konferencji Pokojowej, a pisarz polityczny najwyższej miary. Swego czasu powaga Dmowskiego była w świecie w tak wielkiem uważaniu, że wskazywano go—jako najświatlejszy umysł polityczny Polski, oraz wymieniano go wśród najznakomitszych polityków międzynarodowych—doby wojennej i powojennej. W odnowionej Polsce Dmowski tylko chwilowo uczestniczył we wykonywaniu czynności sterniczych Państwa, raczej z przyczyn partyjnych musiał na boku się trzymać; poświęcał się pracy naukowo-literackiej i społeczno-organizacyjnej. Zmarł w r. 1938, życia swego—74-tym.

DMOWSKI O POLONJI AMERYKAŃSKIEJ

Roman Dmowski niedługo tylko bawił wśród Polaków w Ameryce, ale miał z nami ciągłą styczność—jako Prezes "Polskiego Komitetu Narodowego" w Paryżu — w czasie pierwszej Wojny Światowej: nauczył się wtedy cenić nas, a świadectwo tego dał w słowach następujących, ogłoszonych w Prasie —w roku 1935-tym:

"Polak Amerykański ma dwie Ojczyzny. Jedną, z którą go wiążą sprawy realne, osobiste i publiczne—jego życia, których nie można zaniedbywać, jeżeli się nie chce upaść w tem życiu, mieć chleb, dobrobyt i pozycje, wreszcie

spełniać swój obowiązek względem kraju, który go żywi i którego jest Obywatelem: to Ameryka. Ale obok tej Ojczyzny amerykańskiej, jest druga — Polska, kraj jego ojców, którzy od wieków w nim żyli, dla niego pracowali i zań walczyli. To życie, ta praca i krew, za Ojczyznę tę wylana, z pokolenia na pokolenie wyciskała coraz mocniejsze ślady na duszy, wiązała ludzi coraz silniej z krajem, z jego złą i dobrą dolą, a te silne węzły nie dały się wyrwać z głębi duszy, na równi z religją i z najczystszemi zasadami moralnemi, pod wpływem nowego życia, w nowym kraju za Oceanem.

Dzięki temu Polak-Wychodźca wytworzył w tym nowym kraju życie polskie, instytucje polskie i polską zorganizowaną siłę. Dzięki temu, gdy przyszedł czas rozstrzygnięcia losów Polski we Wojnie Światowej, bez wahania pospieszył starej Ojczyźnie z pomocą — środkami materjalnemi na walkę o Jej prawa, ochotnikami do jej szeregów zbrojnych, wreszcie swemi wpływami na politykę Stanów Zjednoczonych. *Ta czynna pomoc miała w sprawie wyzwolenia Polski pierwszorzędne znaczenie.* Takie wielkie chwile nie powtarzają się, ale związek ze starą Ojczyzną ma duże znaczenie i nadal, bo podnosi Polaków-Amerykanów ponad poziom codziennych zabiegów życia, wypełnionego głównie troskami materjalnemi, a Ojczyznę wzmacnia faktem, że Jej synowie za Oceanem myślą o niej, szerzą życzliwość dla niej wśród swych współobywateli, a gdy trzeba, nie odmówią jej czynnej pomocy w możliwej mierze.

ROMAN DMOWSKI."

Warszawa, 9-go września, 1935 r.

NIEZWYKŁE ŚWIADECTWO RZĄDU STANÓW ZJEDNOCZONYCH W SPRAWIE DZIAŁAŃ K.O.N.

(w tłumaczeniu)

Waszyngton, D. C., 18 czerwca, 1918 r.

Do p. H. Setmejera, Sekretarza "Wydziału Narodowego" w Chicago, Ill.

Po tygodniach dochodzeń i mozolnych badań działalności "Komitetu Obrony Narodowej" i głównych przewódców tej organizacji—*Wojskowy Wydział Informacyjny Generalnego Sztabu Armji Stanów Zjednoczonych* formalnie doradził przewódcom K.O.N., ażeby natychmiast rozwiązali organizację, albo też powzięli uchwałę pomagania w rekrutacji do Armji Polskiej. Zawiadomienie o tej decyzji wysłane zostało adwokatowi, który zjawił się we Waszyngtonie—celem obrony tej organizacji. Urzędnicy Wojskowego Wydziału Informacyjnego Generalnego Sztabu Armji Stanów Zjednoczonych — w rezultacie swych dochodzeń—wydali orzeczenie, stwierdzające, że organizacja ta, jest *co najmniej przeciw-aljancka,* a następnie, że *pełniła ona robotę, która w rzeczywistości jest równoznaczną z propagandą pro-niemiecką.* Stwierdzono także, że zanim Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, *organizacja ta była pro-niemiecką.* Wydano także ostrzeżenie, iż rząd nie będzie żartował i i że usiłowania przeszkadzania rekrutacji do Armji Polskiej i innym aljanckim celom spotkają się z bezzwłoczną i energiczną akcją z jego strony. Dochodzenia, które były prowadzone od pewnego czasu, doszły do punktu kulminacyjnego w piątek, 14go czerwca, 1918 r., kiedy przewódcy K.O.N. z Nowego Yorku stawili się przed Wydziałem Informacyjnym Armji Stanów Zj. we Waszyngtonie: badanie trwało dwie godziny, a rezultatem jego było powyższe orzeczenie. Urzędnicy Stanów Zjednoczonych powzięli tę decyzję z powodu przeciw-aljanckiego stanowiska tych przewódców, jakie okazało się w

toku krzyżowego badania, oraz z powodu rezolucji, przyjętej na zjeździe K.O.N. we Filadelfji, odbytym w maju, b. r., *w której wyrażono poddanie się autorytetowi Rady Regencyjnej w Polsce,** wreszcie *z powodu ogólnej opozycji tego zjazdu względem rekrutacji do Armji Polskiej.* Urzędnicy Stanów Zjedn. są zdania, że skoro Wersalska Deklaracja Aljantów na korzyść Polski postawiła sprawę Polski za jeden z celów wojennych Koalicji i skoro Armja Polska otworzyła drogę do zmobilizowania siły, która w przeciwnym razie nie mogłaby być użyteczną, *opozycyjna działalność tych panów jest prawie że buntowniczą i musi być wstrzymana.* List Sekretarza Wojny, Bakera, do "Polish Associated Press", uznający Armję Polską, wywołał wielkie wrażenie. Przed zakończeniem przesłuchów, adwokat, który towarzyszył trzem panom z Nowego Yorku, wyraził sam, że solidaryzuje się w zupełności ze zdaniem wojskowych urzędników. Orzeczenie, jakie zapadło, streszcza się w krótkości, że K.O.N. musi się nawrócić i poprzeć Armję Polską, albo—rozwiązać się.

(podpisano) JAMES C. WHITE,
Szef Pol. Biura Prasowego we Waszyngtonie.

Dokument powyższy podajemy dla stwierdzenia dowodnego opinij, jakie panowały w kołach miarodajnych amerykańskich o szkodniczej wprost, przeciw-aljanckiej i przeciw-państwowej działalności tutejszego K.O.N., o którym ujemne sądy niejednokrotnie wyrażono w tej książce.

ROZKAZ NACZELNEGO WODZA DO ŻOŁNIERZY-POLAKÓW, ODJEŻDŻAJĄCYCH DO AMERYKI

Warszawa, 1920.

Żołnierze!

Oddani pracy przy olbrzymich warsztatach w Stanach Zjednoczonych, otoczeni bogatym rozkwitem życia i przepychem wspaniałych warunków, oraz nieobliczalnych możliwości, jakie tylko nastręcza Ameryka, na pierwszy głos, na pierwsze wezwanie Polski, porzuciliście wszystkie korzystne widoki przyszłości i wstąpiliście do polskich szeregów. Jakiż to głos sprawił, że nie pomni osobistych wygód, bezpieczeństwa i obfitych korzyści, wybraliście ciężką służbę wojenną, zdala od waszych ognisk rodzinnych? Jakiż to rozkaz spowodował, że mogąc waszą krwią, męstwem, odwagą i życiem zasługiwać się wspaniałej stronie świata tej, która może wam dać obfity chleb, przyszliście tu służyć—Krajowi, który w porównaniu z Ameryką jest krajem ubogim i doświadczanym przez los tysiącem cierpień i braków?

Tym głosem, tym rozkazem nieodpartym, była niezagłuszona we Waszych sercach żadnem oddaleniem, żadną rozłąką, wielka, szlachetna miłość Ojczyzny. To właśnie najświętsze uczucie miłości Ojczyzny, w każdym Polaku obecne i najwyższe, kazało Wam przełamać wszelkie trudności i przybyć tu, aby walczyć o wolność tej ziemi, która wydała was, waszych ojców i dziadów Pokazaliście raz jeszcze światu, przykładem Wielkich naszych wiedzeni, że niemasz oddalenia, niemasz czasu, niemasz miejsca na świecie ogromnym, gdzieby do serc Polaków nie dotarł głos Ojczyzny, wzywający ich do walki. Walką i trudem, cierpieniem i krwią odnowiliście węzły, jakie was łączą z Polską. Wróciwszy do siedzib i na pola waszej dawnej pracy, krzewcie wszędzie wśród ziomków tę miłość, która Wam przyświecała w ciężkich latach wojny,

* Mianowanej przez mocarstwa centralne...

by tak jak w tym okresie do Was, w każdym następnym do Waszych dzieci i Waszych wnuków—zawsze mógł trafić przez wszystkie morza i odległości—głos Ojczyzny, — wzywającej swoich synów do czynu.

(podpisano) JÓZEF PIŁSUDSKI.

Powyższy rozkaz Naczelnego Wodza Armji Polskiej był odczytany odjeżdżającym do Ameryki ochotnikom, w r. 1920, po bojach i trudach wojennych we Francji i w Polsce.

"ESKADRA KOŚCIUSZKOWSKA"

W r. 1919-tym, w ciągu wojny prowadzonej przez Polskę z bolszewicką Rosją, zgłosiło się do bawiącego w Paryżu, I. Paderewskiego i do Generała Rozwadowskiego, grono lotników ze Stanów Zjedn. z propozycją utworzenia ochotniczej eskadry z amerykańskich lotników "dla spłacenia długu, zaciągniętego przez Stany Zjednoczone Ojczyźnie Kościuszki i Pułaskiego". W październiku tegoż roku, kierownik owej drużyny, major Cedryk Faunt Le Roy zameldował się ze swymi towarzyszami już w Polsce. Skierowani do Lwowa, objęli oni 7-mą eskadrę bojową, która od tej chwili zaczęła nosić nazwę "imienia Kościuszki". Służyli w niej: major Cedryk Faunt Le Roy, kpt. Merian Cooper, kpt. E. J. Corsi, por. George Crawford, por. Kenneth S. Shrewsbury, por. Carl Clark, por. H. C. Rolison, por. L. Noble, por. Edmond Grawes (ten zginął w bojach 22go listopada, we Lwowie). W siódmej eskadrze służyli prócz nich Polacy: porucznicy—Wład. Konopka, Jerzy Weber i Ludomił Rayski, podporucznicy—Ludwik Idzikowski i Aleksander Senkowski; przybył jeszcze nieco później por. Eliot Chess, kpt. obserwator Artur Kelly, porucznicy — T. W. MacCallum, Earl Evans, Thomas H. Garlick, I. Inglis Maitland, Kenneth M. Murray i John C. Speaks.

Amerykanie ci zapisali się odrazu wysoko w opinji polskiej: wspólnie z lotnikami-Polakami zastosowali nową wówczas taktykę szturmową, polegającą na możliwie niskim locie. Po potrzebie lwowskiej "Kościuszkowska Eskadra" walczyła we wyprawie kijowskiej, pod Gen. Listowskim, a następnie przez dwa i pół miesiąca walczyła z rosyjską armją Budiennego. Pod Lwowem major Faunt Le Roy objął dowództwo IIIgo dywizjonu, a dowódcą 7-ej eskadry został kpt. Crawford; w pościgu za cofającym się Budiennym zginął kpt. MacCallum.

Szef Sztabu Generalnego, Gen. Rozwadowski, tak określił akcję "Eskadry Kościuszkowskiej":

"Nadzwyczajne walki i czyny lotnictwa 6 armji są owocem wielkiej zdolności organizacyjnej i niespożytej energji Szefa lotnictwa 6 armji, Majora Faunt Le Roy, dzięki jego idealnemu i entuzjastycznemu poświęceniu się za sprawę Polski i wypełnianiu obowiązków, powierzonych mu, jako Dowódcy lotnictwa 6 armji.

"Podziękowanie należy się również Dowódcom, Personelowi, latającemu i pomocniczemu. Eskadr 5, 6, 7, "Kościuszkowskiej" i 15-ej, bo przy złączonych wysiłkach ich wszystkich były one w możności zadania swe wykonać. Wszystkich tych, którzy wykazali nadzwyczajną odwagę w ostatnich walkach, poleca się, aby byli odznaczeni—bez zwłoki".

(podp.) GEN. ROZWADOWSKI.

Po wojnie "Eskadra Kościuszkowska" weszła w skład I. pułku lotniczego.

XIV.

POWOJENNE CZASY NASZE.

Wojna Światowa, która wszystkie narody i kraje, dotknięte nią, przejęła i wzburzyła do głębi, przetrzebiwszy gruntownie masy dawnych wartości, pojęć, idej nawet, wprowadzała, lub raczej wprowadzić miała w życie nowe sposoby myślenia, nowe zasady —pod hasłem, aby "ludziom i ludom lepiej było na świecie", jak to zapowiadał i może sam jeden w to wierzył Woodrow Wilson; wojna ta bezpośrednio i najbardziej doraźnie nasz naród przetworzyła, dając mu kompletnie nowe, obce dotąd i nieznane warunki egzystencji. Polska powstała złączona z trzech zaborów dawnych, a choć z nich nie otrzymała wszystkich ziem — daleko było do tego, w każdym razie jednak stanowiła państwo o wcale dużych rozmiarach, z blisko trzydziesto-miljonową ludnością. Państwo to—położone we wschodnio-środkowej Europie, odziedziczyło najfatalniejsze chyba w świecie całym usytuowanie polityczne, a w dodatku do niego po wojnie otrzymało serję całą zleceń, zadań, problemów, które wszystkie piętrzyły przed niem — na drodze przyszłego rozwoju trudności coraz nowe i coraz większe. Odrodziła się Polska iście jak naworodek słaby, wątły, niezasobny, a zewsząd nań wrogie czyhają trudności: tak właśnie Polska z niczem dosłownie zaczęła tę swoją niepodległość, obejmując kraj— w trzech czwartych zniszczony wojną, wyubożony wiekową wrogów gospodarką rabunkową i ostatniemi przejściami, o ludności, rozdzielonej na trzy grupy, nie ze wszystkiem porozumione ze sobą. Wreszcie — gdy na zachodzie Europy wojnę likwidowano, kończono spiesznie i z ulgi uczuciem, Polska miała wciąż jeszcze tę wojnę, a raczej—wojny na wszystkich swych kresach i krańcach, ze wszystkimi sąsiadami nieledwie, a nadto kłopoty z grupami pewnemi własnej ludności. Zrywa się burza wielka od strony wschodniej, to wojna z Rosją bolszewicką, tuż na własnych kresach mamy groźną ruchawkę Rusinów w Małopolsce wschodniej

i walkę o Lwów, opromienioną bohaterstwem Lwowskich Orląt; wśród tego wnoszą pretensje Czesi—o Cieszyn, Litwini—o Wilno; połowiczne załatanie statusu Gdańska Polsce kłopoty jeno powoduje, a do tego wszystkiego—*last but not least*—dochodzi nagonka międzynarodowa, światowych iście rozmiarów, na Polskę przez żydów urządzona—właśnie, gdy Moskale szli na Warszawę w 1920-tym roku: żydzi wtedy już sowiety lokalne po miastach polskich zakładali, a w Anglji, w Ameryce, urządzali wrogie przeciw Polsce demonstracje, oskarżając kłamliwie Polskę o "pogromy" i gwałtem krzycząc o "Judeo-Polonję".

Prawdziwie i słusznie oceniając to istne rozpętanie trudności, zawikłań, konfliktów, jakie się zaniosło nad Polską w pierwszych chwilach jej niezawisłego istnienia, można było rokować niedługie nowemu państwu istnienie, bo — niemożliwe wprost problemów owych rozwiązanie. Ledwo co odzyskana niepodległość—już się Polakom na głowy waliła, gdy niepomyślny obrót wojny z Rosją pod same mury Warszawy sprowadził bolszewickie hordy—i rzeczywiście cud jeno, ów "Cud nad Wisłą" ocalił Polskę w oczach zdumionego świata, który nie zdobył się na czynne danie pomocy Polsce, choćby dla odparcia wspólnemi siłami grozy komunizmu z nad zachodniej Europy. Gdy Rada Ocalenia Narodowego zjednoczyła — rzadkim w dziejach Polski przykładem —wszystkie warstwy, koła i partje narodu, wtedy stał się ów cud i Polska obroniła się sama z ostatecznego już prawie pogrążenia. Odtąd wprawdzie lepszego nabrano pojęcia o istotnych zasobach mocy ducha, o dzielności i zdolnościach narodu polskiego, ale mimo to — i zwycięska ta wojna nie umniejszyła młodemu państwu trosk ciężkich, a kłopotów coraz nowych. Wzburzone aż dwu śmiertelnie ciężkiemi wojnami, światową i rosyjską, wymieszane do dna, społeczeństwo polskie nie prędko, nie łatwo uspokoić się mogło, bo inna jest rzecz zdobyć się wspólnie pod presją nieodpartego przymusu — na heroiczny wysiłek zgodny, a zgoła inna —wytworzyć spokojne, poważne, gruntowne warunki bytu państwowego: tamto—chwila, dzień, dni kilka, czas krótki, na to zaś trzeba czasu długiego, a jak się do tego zabrać, o tem zrazu ani pojęcia w Polsce nie miano! . . . Bo przecie pod zaborami mieliśmy przeważnie władze nad sobą, i to złe władze, które naród jeno

demoralizowały; byliśmy rządzeni, a nie rządziliśmy sami od dawna — nawet u siebie, w domach i ziemiach własnych; skądże wziąć się miały kwalifikacje, przygotowania i uzdolnienia? Zdawano sobie sprawę w Polsce z tego, że dopiero przyszłe pokolenia, na wolności zrodzone, będą umiały w pełni władać dobrze odzyskaną Ojczyzną.

A tymczasem—chaos zapanował w Polsce, długo—zdało się —wprost niemożliwy: zmieniały się rządy co chwila, dewaluacja pieniądza katastrofalne przyjmowała rozmiary, walka stronnictw stwarzała przejawy iście destruktywne, prywata, partyjnictwo i warcholstwo istny sabat święciły — wśród stosunków w najwyższym stopniu nieuregulowanych, prawdziwie — niesamowitych; męty i szumowiny wysadzały się na wierzch — na szkodę i stratę wszystkiego, co dobre, słuszne, roztropne i prawe. W tych warunkach nie mógł służyć Polsce najświatlejszy z jej mężów stanu, Roman Dmowski, tym trudnościom nie podołał i nie poradził Paderewski—zwłaszcza, że rad jego słuchać nie chciano . . . Z zagranicy z niechęcią i zatroskaniem patrzono na to, co się dzieje w Polsce, w której niepodzielnie brało górę stronnictwo niepewne, prawie nieprzyjazne, stronnictwo—dawniej z mocarstwami centralnemi współdziałające. Wreszcie stronnictwo to doprowadza we Warszawie, w maju 1926 r. do krwawego zamachu i po kilkodniowej bratobójczej walce, która gorzej zniszczyła stolicę Polski, niż cała wojna światowa, obaliło rząd prawy, konstytucyjny, a wprowadziło na jego miejsce uzurpację, jeno pozorami pokrywaną i sztucznie później legalizowaną. Rząd taki—jednostronniczy, istna dyktatura jednego stronnictwa i jego adherentów, przetrwał we formach ostrzejszych, łagodniejszych, w tem nie bez metod nienawistnych — naśladowania Niemców z ich koncentracyjnemi obozami n.p., aż do drugiej Wojny Światowej: u władzy trzymała się koterja militarna, wyłoniona z dawnych, pro-centralnych Legjonów, choć ideowo nic z nimi nie mająca wspólnego; rządziła ona Polską, jak swoim folwarkiem, dzierżyła urzędy, ciągnęła korzyści osobiste, zyski wielkokrotne; reszta społeczeństwa, naród cały to byli tylko—rządzeni. Nie mogę i nie chcę tu wchodzić w szczegółowy opis stosunków ówczesnych w Polsce, bo i nie to jest książki mej przedmiotem, więc tylko bardzo zwięźle przypominam

niektóre, co ważniejsze fazy doli polskiej ostatniego ćwierćwiecza, a muszę czynić to dlatego, że to, co my—tu, w Ameryce, myśleliśmy o tem i działaliśmy na tle tego, co i jak w Polsce się działo, będzie treścią niniejszego Rozdziału.

Tak wieleśmy dla tej Polski zrobili, tak wiele więcej robić chcieliśmy jeszcze, nie dziw-że tedy, iż ze szczerem zatroskaniem patrzyliśmy na te współczesne nam dzieje nowej Polski, że strachały nas jej zagrożenia, dotykały nas bezpośrednio jej niepowodzenia, a wreszcie oburzały nas słusznie nieład w niej i nieudolność i warcholące wśród nich partje, mnożące się w nieskończoność. Wszystko, co w Polsce działo się, tu stokrotnem odzywało się echem, zwłaszcza—że w najpierwszych latach samodzielności Polski, wyliczenia jej przeróżne na Polonję Amerykańską mnogie były, a nawet usilne stamtąd czyniono starania, ażeby na grunt tutejszy transplantować podziały partyjne z Polski, w czem rządzące owo stronnictwo, rozporządzające środkami bez skrępowania—przewodziło długo i niepożądane święciło sukcesy. Szkodniczy posiew swoje zrobił. Jakkolwiek ogromna większość Polonji Amerykańskiej i wszystkie jej więcej oświecone, koła krytyczniej rzeczy biorące, zostały wierne dawnym hasłom, niemniej jednak koła i grupy sympatyków "sanacji" w Polsce, — a "sanacją" nazwali się tam twórcy zamachu z 1926 r., i cała po nim nastała klika partyjnych oportunistów — mnożyły się nam tu również; jak zwykle bywa, większość pozostała spokojna, poważna, konstruktywnie pracująca i—schodziła na plan drugi, a prym brała mniejszość krzykacka. W imię zasady, by młodej Polsce nie przymnażać trudności, nie rzucać kłód pod nogi, uznawało się i ten nawet rząd, z uzurpacji zamachowej wyłoniony i znosiło się rządy jego partji, oraz wszystkie jej metody, nienawistne prawdziwej demokracji, a dla Rzeczypospolitej zgubne.

Możnaby tu wyrazić zdziwienie i ubolewanie, że tak było, że akceptowano i tolerowano—to, czego akceptować i tolerować nie należało. Na wytłumaczenie przeważającego w Polonji Amerykańskiej sposobu myślenia w omawianym czasokresie—takiego, jak w tym wzmiankujemy ustępie, powiem, co następuje: Po pierwsze — nie akceptowaliśmy owych przejawów zdrożnych — wszyscy: energiczniejsi zadzierżystsi wojowali tu ze "sanacją" z

Polski—do ostatka, lub przynajmniej odnosiliśmy się do niej zawsze z nieufnością i rezerwą; kneblów założyć tu się nie dało nikomu, a wolny głos obywatelskiej krytyki zawsze znajduje siłę i uwagę. Po wtóre—większość umiarkowana odnosiła się do spraw i ludzi w Polsce—jakby z pobłażaniem, zawsze mniej, lub więcej niechętnem; tego powodem było pomyślenie słuszne, że bądź-co-bądź—nie naszą było rzeczą, nie naszą jest rzeczą, co się w Polsce dzieje, a z amerykańskiego wychodząc założenia, nie powinniśmy mieć w tem wogóle—nic do gadania. Byłoby to w porządku, gdyby nam tu z Polski nie wtrącano się we wszystko; lecz przecie nas tu na tamtejszą modłę urabiano, kaptowano i — dzielono; myśmy—tąm wtrącać się nie chcieli i lojalnie względem Rzeczypospolitej Polskiej—gotowiśmy byli uznawać ten rząd i takie jego rządzenie, jakie sobie Polska sama tworzyła i utrzymywała, zato względem nas nie stosowano tej samej metody myślenia i działania. Po trzecie prawda przyznać każe, że w okresie omawianych lat, zwłaszcza późniejszych, bliższych obecnym już czasom, w Polonji Amerykańskiej uwidocznia się coraz więcej, coraz silniej postępująca przemiana pojęć o Polsce i o stosunku do niej: postępuje amerykanizacja, i to bardzo znacznie, niemało sprawiają zniechęcenia i zawody na tle tego, co się w Polsce działo, dochodzą niepowodzenia, poniesione w Polsce, wspomniane już nieustanne wtrącania się z Polski w sprawy nasze, grasowanie emisarjuszy rozterek i partyjnictwa, uprawiane nawet z konsularnych placówek, wszystko to musiało nas odpychać, odstręczać od spraw polskich; młodzi usuwali się otwarcie, starzy wymierali i z roku na rok brakło ich coraz dotkliwiej; wszystkie te względy, te czynniki, składały się na obraz tutejszych działań naszych w okresie między pierwszą Wojną Światową a drugą, o wiele mniej jasny od dawniejszych: w rezultacie nasz Czyn nowy na pomoc Polsce —w jej największej potrzebie, obecnej — niestety — przedstawia się o wiele słabiej od tego, o którym była mowa w Rozdziale poprzednim.

O tym jednak Czynie nowym pomówimy w następnym Rozdziale, a teraz przejdziemy do szczegółów — bodaj niektórych, co najważniejszych naszego bytowania i życia społecznego po pierwszej Wojnie Światowej.

Kiedy nareszcie nad Polską przeminęły burze wojenne, kiedy i z Rosją pokój został zawarty, zdawało się, że ta nowa Polska będzie "ziemią obiecaną" dla wszystkich, którzy zechcą do niej przybyć, by pracować, pomagać w jej odbudowie i zagospodarowaniu ekonomicznem. Przybywaliśmy do niej i my z takiemi właśnie intencjami, co ważniejsza—nie z intencjami tylko, a z dolarami. Powieźliśmy tych dolarów do Polski bardzo bogato: tysięce i dziesiątki tysięcy osób, z całemi dorobkami dziesiątków lat, wracały tam, by tam okupić się, nabyć ziemie i domy, lokować pieniędze, zakładać przemysłowe przedsiębiorstwa: nową Amerykę myśleliśmy zrobić z Polski! ... No, nie udało się; nie poszło ... Na innem miejscu tej książki wspominałem już o tych interesach, w których kiepskim obrocie było zresztą i naszej własnej niekompetencji i winy nie mało. Ale prawda każde tu dodać, że w Polsce istna specjalność wytworzyła się w czasie onym „pompowania" i "naciągania" Amerykanów, których, jak powiadano, po butach już poznawali, a mieli za ostatnich głupców. Wobec takiego powszechnie praktykowanego uznawania zasług i wartości polsko-amerykańskich, nie dziw, że bardzo niedługiego trzeba było czasu, aby dorobki nasze tajały w Polsce, jak śniegi na wiosnę, a zostawały z nich zawody, rozczarowania, rozgoryczenia. Ci, zasię, co nie pojechali, bywali "obrobieni" jak się tylko dało—tu w Ameryce, przez wszelakich wysłańców z Polski, setek wsi i miast, przeróżnych przedsiębiorstw, pomysłów i projektów podobłocznych. Śmiele rzec można, choć statystyki odnośnej nigdy pewnie zestawić się nie da, że straty we wszystkich niefortunnych lokatach w Polsce poniesione kosztowały Polonję nie mniej, jeśli nie więcej, niżeśmy w ofierze złożyli Ojczyźnie, w darze naszym na jej odżywienie i odbudowę we wojennym okresie.

Osobną grupę stanowili Polacy-Amerykanie, którzy jechali do Polski jako re-emigranci, na osiedlenie się stałe: Ludu polskiego w Ameryce większość z roli przybyła, więc na rolę wracać zamierzała do Polski. Przywiązanie do ziemi ojczystej, do stron rodzinnych wyrażało się w marzeniach emigranta i re-emigranta o własnym kawałku ziemi, o domu, gospodarstwie, które obiecywano sobie urządzić nowocześnie, postępowo, jak w Ameryce. Dochodziło do tych atawistycznych umiłowań wielkie patrjotycz-

ne wzniesienie umysłów w całej Polonji: rozumiano to być powinnością, by wracać do wyzwolonej Polski, by tam ją własną pracą dźwigać i wzbogacać. Wszystkie szlachetne nadzieje spotkały się ze zawodem na całej linji: w Polsce zastano stosunki, do najwyższego stopnia nieuregulowane, warunki—z gruntu odmienne, a przytem jeszcze dewaluację pieniądza przewleką, zacofaną i zaniedbaną stopę życia, trudność zdobycia zarobkowania na każdem polu, a co najgorsza—niechęć społeczeństwa i władz do przybyszów, których bano się—jako tych, co mogli odebrać miejscowym —ziemie, zarobki i chleb. Rząd w Polsce nietylko nie stworzył żadnej instytucji, któraby mogła re-emigrantów — czy zachęcać, czy bodaj informować, a bodaj bronić od wyzysków; przeciwnie— rząd sam czynił im trudności w nabywaniu gruntów i w obejmowaniu stanowisk. Z cynizmem im powiadano: "my chcemy dolarów waszych, nie was" ... Lata re-emigracyjnego zapędu nie były długie: trwały mniej-więcej od r. 1920 do 1925. Ks. W. Chrzanowski, cytowany już poprzednio, przypuszcza, że ogółem wyjechało z Ameryki do Polski nie więcej, niż sto tysięcy osób, zaznacza jednak, że niema żadnej statystyki na poparcie tej liczby, którą wywodzi częściowo z wykazów Etapu Re-emigracyjnego w Gdańsku, a częściowo ze spisów pasażerów kompanij okrętowych, wożących tych pasażerów z Ameryki do Polski.

Ażeby skończyć z polsko-amerykańskiemi niechęciami do nowej Polski, niechęciami, o których radby człek zapomniał i pisać o nich przykro ... muszę przecie wspomnieć jeszcze o niektórych z tych czasów wydarzeniach, które nie mogły przyczynić się do złagodzenia przygnębiających nastrojów, ni do zjednywania sympatyj. Jednym z takich faktów był pamiętny powrót w r. 1920 "Hallerczyków" z Armji Polskiej, ongi formowanej w Ameryce. Zdemobilizowano w Polsce formacje te — specjalnie w czasie najwyższego napięcia ofensywy polskiej we wojnie z Rosją; zdawało się widocznie, że żołnierze z Ameryki byli już niepotrzebni, a że zawsze byli niepożądani i niewygodni, zlikwidowano ich od jednego zamachu pióra na rozkazie Naczelnego Wodza i odesłano do Ameryki... w jakim stanie?... Przyjechała tu kilkonasto-tysięczna gromada biedaków — w łachmanach, bez żadnego zaopatrzenia, żadnego ze strony rządu polskiego o tych żołnierzach, polskich

przecie, pomyślenia. Zwalono ich na kark społeczności amerykańskiej—jako smutną konsekwencję jej patrjotycznego porywu z przed lat kilku. Ludzie ci przez długi czas znosili tu niedostatek i biedę, nim zdolni jeszcze do pracy zdołali znowu uzyskać zarobki i nim sami własnym pomysłem i zaradą stworzyli sobie Weteranów Stowarzyszenie, które zajmować się jęło potrzebyjącymi pracy, pomocy, lub co gorsza—poratowania zdrowia, bo kaleków i chorych, inwalidów, również spory był procent wśród odesłanych. Taki powrót tych naszych żołnierzy musiał zrobić i zrobił w Polonji najprzykrzejsze wrażenie; mimowoli musieliśmy porównywać los tych naszych weteranów z dostatniem zaopatrzeniem weteranów Armji Amerykańskiej i boleliśmy nad naszych niedolą, którzy odtąd i do teraz z roku na rok o wsparcie dla swych inwalidów u ogółu tutejszych rodaków muszą prosić ofiar. I dopiero po czasie nareszcie pomyślano w Polsce i o tem, że żołnierzom tym bodaj jaki-taki należy się znak honorowy, jakaś z tej ich wojny za Polskę pamiątka i ustanowiono krzyż z napisem "Polska Swym Żołnierzom z Ameryki", przyznany wszystkim tej naszej Armji weteranom.

Tu będzie miejsce—wspomnieć bodaj w zdaniach kilku o odznaczeniach, nadanych z Polski Polakom-Amerykanom: Prawdziwie wysokich odznaczeń, dawnych Orderów polskich i nowo ustanowionego "Polonja Restituta", stopni najwyższych i wyższych nie rozdano w Polonji prawie wcale; Prezes naszego "Wydziału Narodowego" otrzymał wstęgę "Polonia Restituta"; Komandorji tegoż Orderu rozdzielono może tuzin, drugi przybył może w ciągu całych następnych lat dwudziestu, a z tego więcej niż połowę dostali zausznicy stronnictwa rządzącego w Polsce i propagandyści "sanacyjni"; największą liczbę oficerskich krzyżów "Polonia Restituta" przyznano działaczom Polonji Amerykańskiej, kierując się znów przedewszystkiem stronniczo partyjnemi faworami. Poza tem w drugiej części lat omawianego okresu, przyznawano "krzyże zasługi". Postępowanie w tym spraw zakresie, w najwyższym stopniu niesprawiedliwe, musiało wytwarzać niechęci i zagoryczało nastroje. Jakby nie było, ludzka to rzecz — pragnienie uznania pracy, ofiary, zasługi, ambicja zaś otrzymania znaku tego uznania od Ojczyzny, dla której tyle się robiło, której się ty-

le tych ofiar złożyło, jest ambicją godziwą i szlachetną. Niezaspokojenie tych ambicyj i pragnień wyglądało na pomijanie rozmyślne, było krzywdzące i tem bardziej bolesne, że nie zasłużone. Więc powzięto tu myśl, ażeby podsunąć władzom polskim projekt, dla załagodzenia owych rozgoryczeń, utworzenia specjalnego odznaczenia, w dwu, lub trzech stopniach, specjalnie przeznaczonego dla Polaków w Ameryce. Proponowano, ażeby z tego odznaczenia nie robić żadnej wyjątkowej nadzwyczajności, ale aby przyznać je hojną ręką i szczerem sercem — wszystkim tak bardzo licznym pracownikom-patrjotom polsko-amerykańskim z okresu pierwszej Wojny Światowej: ogromna większość naszych kapłanów, naszych przodowników i pracowników Komitetów Obywatelskich i Rekrutacyjnych, członków zarządów poszczególnych Organizacyj, wszyscy oni—bez wyjątku — zasłużyli się rzetelnie i wydatnie, niechby im wszystkim tedy wdzięczna Polska wyraziła była uznanie, przyznając owo odznaczenie. W sprawie tej autor niniejszej książki, bawiąc w Polsce, parokrotnie konferował z ówczesnym premjerem Rządu Polskiego (W. Witosem), stosownie do zleceń otrzymanych, ale uzyskał tylko przyjęcie do wiadomości projektu—"jednem uchem"; miało się "zobaczyć" później, czy się zrobić coś w tej kwestji nie da i nie zrobiło się nigdy. "Nie byliśmy godni" ... Nie warci! ...

Wysoce niesympatycznym względem w układzie tutejszym naszych stosunków z Polską był fakt jeszcze inny, z którym miało się do czynienia na każdym kroku. Po wojnie, w której Polonja, zorganizowana pod przewodem "Wydziału Narodowego", tak znakomicie się zasłużyła, doszli tu do głosu, wpływów i znaczenia przedewszystkiem ci, którzy nie tylko że przedtem nie zasłużyli się wcale, ale którzy przeszkadzali i szkodzili, bo współdziałali ze stroną wrogą Koalicji, a tej przecie zawdzięczać należało restytucję Państwa Polskiego. Stronnicy dawnego K.O.N., ci sami, którzy znajdowali się tu pod rygorami karnemi władz amerykańskich, ci po wojnie—dlatego, że ich stronnictwo w Polsce opanowało władzę, i tu sobie tony nadawali przeważne, tu się mienili być i byli faktycznie uprzywilejowanymi, choć tak bardzo nie powołanymi rzecznikami spraw polskich. Odsunięcie od wpływu i udziału w polityce Romana Dmowskiego, uniemożliwie-

nie przetrwania rządu Paderewskiego, obelżywie lekceważące traktowanie go przez tych, co byli górą, co stanęli u steru spraw polskich—tak dalece, że najlepsze rady tego męża były ignorowane, a małostkowa, iście zaściankowa, cenzura nie dopuszczała artykułów Poderewskiego na szpalty gazet polskich, wogóle—stosunki, które uczyniły pobyt w Polsce niemożliwym człowiekowi temu, tak świetnie Polsce zasłużonemu, który gotów był i mógł służyć jeszcze rzeczywiście najbezinteresowniej: to wszystko było dla nas wprost nie do zrozumienia, a stało się—nie do zniesienia; tego nie mogliśmy przeboleć ni przebaczyć! Paderewski tak zżył się z nami, tak się był pracą narodową złączył z nami, że jego upośledzenie i krzywdy Polacy Amerykańscy musieli odczuwać jak swoje własne. W dodatku do tego wszystkiego—nieustannie tu prowokowani przez gazety, oportunistycznie służące "sanacji", poniżani ciągle na krzykackich wiecach i partyjnych obchodach, wciąż natykający się na propagandę masowo uprawianą—nie polską, a "sanacyjną", narzucaną nam w imię Polski, musieliśmy dojść do bolesnego stwierdzenia, że nie o takiej marzyliśmy Polsce, jaką nam przedstawiano. My chcieliśmy Polski, jak mówił Paderewski—takiej, "by w niej było dobrze wszystkim, nie tylko niektórym", uprzywilejowanym, choć najmniej wartym! Przydawali powodów niechęci, mnożyli uprzedzenia, pogłębiali rozbrat niezliczeni emisarjusze partyjni, bo agitowano tu intensywnie na rzecz pro-rządowych stronnictw, zbierano na nie pieniądze, próbowano nawet stronnictwa te i zrzeszenia dla nich organizować w Polonji, działając wbrew pojęciom i ideom amerykańskiej demokracji. Były czasy, że owych "łazików" trans-oceanicznych mieliśmy tu naprawdę takich i tylu, iż działali wprost na szkodę Polonji, wytwarzając w niej grupy malkontenckie, wieszając się u wszystkich sobie przystępnych kół i podburzając orjentacje, wrogie większości dobrze myślących. Nie chcę już dłużej wchodzić w te szczegóły, skończę stwierdzeniem, że było tego długo—tak wiele, iż naprawdę bywało to trudne do zniesienia.

By myśl od przykrych tych oderwać wspomnień, przeniosę opowiadanie do sprawy zupełnie innej, ważnej bardzo, która niedługo po pierwszej Wojnie Światowej całą przecież zaangażowała Polonję Amerykańską, zjednując ją raz jeszcze—wszystką na po-

moc Polsce; była to mianowicie Polonji Amerykańskiej z Żydami sprawa.

Oto wnet po wojnie i w okresie Kongresu Pokojowego, a załatwiania na nim najważniejszych spraw przyszłej Polski, żydzi oszczerczo zarzucili Polsce robienie "pogromów", a w związku z tem urządzili kampanję przeciw nam nieledwie w całym świecie, szczególnie jednak intensywnie prowadzoną w Ameryce: tyle tu o tem gadano, pisano, taką podtrzymywano przeciw Polsce ruchawkę, że to nawet państwowym Polski zagroziło interesom — nie mówiąc już o podkopywaniu jej państwowego autorytetu. Oczywiście — żadnych "pogromów" w Polsce nie było.

"Encyclopedia Britannica" określa słowo "pogrom", tłumacząc je jako "massacre", synonim zaś słowa tego podaje—"mass murder", — mordowanie masowe, rzeź wielu osób, spolonizowane—masakra; więc pogrom oznacza mordowanie wielo-liczebne, ma się do czynienia z ofiar wielką liczbą; otóż takich to "pogromów" w Polsce nie było *nigdy*. Charakterystycznem w całej aferze tej było to, że we wszystkich oskarżeniach żydowskich operowano wyłącznie i nieodmiennie ogólnikami, bez żadnych szczegółów, żadnych wykazów dat, żadnej statystyki. Żydzi gwałtowali po świecie, że Polacy zdawna odnoszą się do nich wrogo, że przed wojną ich bojkotowali, po wojnie, w nowej Polsce, odmawiają im praw politycznych, wreszcie, że "urządzają pogromy", dlatego powinni być wzięci pod międzynarodową kuratelę; wogóle — w Polsce żydzi "muszą" dostać narodowe prawa i polityczne, bo jest ich tam tyle, że właściwie być to powinna nie Polska a "Judeo-Polonja"! Nasilenie największe osiągnęła ta kampanja w lecie 1920 r., t. j. równocześnie prawie z najgorszą fazą wojny z Rosją, kiedy pod Warszawę podchodzili Moskale, a przeciągnęła się mniej-więcej do późnej jesieni tegoż roku, kiedy wreszcie strona polska zdołała powódź oszczerczą opanować i zażegnać. Pamiętamy tę olbrzymią nagonkę przeciwko Polsce w amerykańskiej i angielskiej Prasie; pamiętamy, jak po wielkich miastach żydzi tutejsi urządzali "żałobne" manifestacje, z obnoszeniem symbolicznych trumien, wśród płaczek pogrzebowych i rozmaitych rajwachowiczów w śmiertelnych koszulach: echa tych hec docierały aż do Kongresu i powodowały liczne remonstracje przeciw Polsce,

oraz interpelacje pod adresem rządu amerykańskiego, patetycznie pytające, co wobec prześladowania żydów w Polsce zamierza z nią zrobić rząd, który jej pomagał, której bronił, którą odżywiał.

W Ameryce żydzi stanowią potęgę kolosalną; plutokracja ich, jej środki i sposoby, jej konnekcje towarzyskie, polityczne, finasowe,—opanowały kraj ten gruntownie i wywierają wszędzie takie wpływy, powodują takie przejawy, jakie żydowskim interesom światowym są potrzebne. Żydzi bo mają w tym handlowym kraju—chyba połowę całego handlu w rękach, w przemyśle — są niemniej silni, w polityce aż do najwyższych w Waszyngtonie stanowisk sięgają, w armji i flocie są licznie reprezentowani; nic dziw-że tedy, iż gdy swą propagandę zaaranżowali przeciw Polakom, to w tydzień objęła ona kraj z całą jego Prasą—nieledwie z całą narodową opinją amerykańską. Z tak potężnym, a tak agressywnym nieprzyjacielem walczyć bardzo było trudno Polsce, pierwsze zaledwie kroki w odnowie swej stawiającej. Ponieważ Ameryka we wojnie światowej wyrosła na najpotężniejsze w zastępie narodów mocarstwo—tak, że jej wpływ, jej zdanie o wielu najważniejszych sprawach decydowały — przeto tu właśnie żydzi skupili byli wysiłki szczególniejsze swojej kampanji antypolskiej i ogół tutejszy dał się nabrać na żydowski wrzask i blagę, a Stany Zjednoczone—z żalem stwierdzić to przychodzi, — potępiały nas zbyt pohopnie, bez sądu, bez dania nam szansy obrony nawet . . .

Przeciwko tej lawinie potwarzy i krzywdy, która pośrednio waliła się i na nas tu, w Ameryce, a to: niechęcią, wyraźnie nam okazywaną, wyrzutami i atakami po gazetach itp., Polacy Amerykańscy, jeszcze wówczas silnie zorganizowani pod przewodem "Wydziału Narodowego", uruchomili wszelkie ze swej strony zabiegi, wysiłki i zasoby. Długo było to tak trudne, że prawie bezskuteczne. My czuliśmy, my wiedzieliśmy, że pogromów w Polsce nie było, lecz dowodów nie posiadaliśmy, a cóż było radzić przeciwko tak powszechnym, tak poważnym zarzutom, zwłaszcza—że z Polską samą porozumieć się nie mogliśmy. Jak wspomniałem, afera ta rozgrywała się w czasie najgroźniejszego kryzysu wojny z Rosją: Polska wtedy nie mogła myśleć o tem, co się działo w Ameryce, mając we własnym kraju—"nóż na gardle"; niezawodnie żydów intryga wykorzystać chciała skwapliwie i spiesznie ów

na Polskę paroksyzm, jej bezsilność, aby własne przeforsować wyrachowania. Myśmy tu jednak czuwali, a nie ustawali, ani rezygnowali zbyt łatwo! W imię wielkiej, a tak bardzo niezwykłej potrzeby narodowej zdołaliśmy na krótką chwilę, niestety, bardzo szybko przemijającą, skoncentrować wszystkie nasze zasoby, siły i całą reprezentację obywatelską: to był jeden—jedyny raz, w którym w jednej sprawie, w jednej izbie, przy jednym stole, zasiedli i radzili przedstawiciele wszyscy: "Komitetu Obrony Narodowej", "Wydziału Narodowego", "Rady Narodowej", wszelkich organizacyj i wspólnie zgodnie uchwalaliśmy pisma, protesty, memorjały do Kongresu, do gazet amerykańskich i angielskich, objaśniając, uświadamiając, broniąc; staraliśmy się śmiałością, pewnością i mocą zgodną głosów naszych parować, odpierać zakusy i inwektywy. Była to wojna słów, ale jakże gorąca: argumentów, dowodów nie mieliśmy—żadnych — bardzo długo; staraliśmy się skomunikować z Polską, by otrzymać jej rządu oświadczenie, odpierające kalumnje żydowskie, ale było to prawie niemożliwe, zresztą na każdy głos w obronie Polski odpowiadano nam, że głosy samych Polaków są nie wystarczające, nie wiarogodne!... W każdym przecie razie i polsko-amerykańska tak jednozgodna, tak silna reakcja wzbudziła też trochę uwagi i bodaj mniejszość pozyskała Prasy amerykańskiej. W Kongresie Stanów Zjedn. zasłużonym rzecznikiem naszym był poseł, Jan Kleczka, wówczas jedyny Polak, w Izbie Posłów zasiadający, który czujnie i silnie odpierał ataki protektorów żydowstwa: rola jego w tej sprawie zaiste nie była do pozazdroszczenia. Domagano się specjalnych rygorów, inwestygacyj, wstrzymania zasiłków amerykańskich itd. i dalej, a to wszystko na zasadzie gołosłownych czysto, żydowskich oskarżeń.

Tymczasem z Bożą pomocą minął sierpień, 1920go r.: dokonał się nad Polską—Cud nad Wisłą, a wnet potem napływać zaczęły nareszcie miarodajne głosy, które bez wyjątku i w całej osnowie — podtrzymały nasze stanowisko. Zaprzeczono pogromom, zaprzeczono prześladowaniom i bojkotom, okazywano światu najkompletniej zmyślone i bezpodstawne żydów pretensje, a oczywistą prawdę polską. Zaprzeczenia te najzupełniej kompetentne, urzędowe—od przedstawiciela rządu Polski, premjera Pa-

derewskiego pochodzące, oraz od Posła amerykańskiego, w Waszyngtonie, Hugh Gibsona: wzajem się uzupełniały. Poseł Gibson pisał w swojem oświadczeniu, które było raportem, oficjalny charakter dla amerykańskiego rządu mającym, iż nie wie nic, nie słyszał nic, o pogromach żydów w Polsce, tylko we Wilnie i w Pińsku miała ich zginąć liczba niewielka. Raport ten odczytano w Kongresie we Waszyngtonie, wobec tego musiały go podać i dzienniki angielskie, przeważnie wrogo dla nas usposobione, bo inspirowane przez propagandę żydów. Jak się traktowało te rzeczy w Prasie angielsko-amerykańskiej — przykład w tem, iż gdy trzej Posłowie nowojorscy, o żydowsko-niemieckich nazwiskach ujęli się byli w Kongresie za żydami, ostro potępiając Polskę, gdy zaś im na to odpowiedział, broniąc Polski, Poseł, rodak nasz Jan Kleczka, wówczas odczytano raport Posła Gibsona z Warszawy, podający, iż jednak we Wilnie i w Pińsku mordowano żydów i dowodzono, że im tam "rzeź" urządzono! Tak istotnie pisały gazety angielskie, podając wszelkie pozory uzasadnionego przypuszczenia, że raport Gibsona zbijał Kleczki twierdzenie, a potwierdzał oskarżenie o pogromach. Tymczasem było to fałszem. Więc potem na ubocznem miejscu podawały gazety wiadomość prawdziwą nareszcie, ale możliwie jak najzwięźlej, iż Asystent Sekretarza Wojny, Phillips, odczytał był raport Posła amerykańskiego z Warszawy, stwierdzający, że pogromów w Polsce—nie było.

Raport ów Posła Gibsona rozjaśniły i uzupełniły enuncjacje oficjalne Paderewskiego, który w kilku oświadczeniach ogłosił, iż o pogromach mowy być nie może; były tylko tu i ówdzie ruchawki i rozruchy, ale w tych ginęli wszyscy—bez różnicy wyznania i narodowości: nie żydów więc specjalnie mordowano! Czemuż nikt nie rachuje niewinnie poległych chrześcijan? .... Tych poginęło nieskończenie więcej! Tylko żydzi mają prawo być liczeni, żałowani i pomszczeni? W oświadczeniach Paderewskiego znajdowano też wyjaśnienie owych wyjątkowych dwu zajść "Wilno, Pińsk", wzmiankowanych w raporcie Gibsona; oto—w Pińsku i we Wilnie Polacy zagarnęli byli bandy bolszewickich prowodyrów i prowokatorów: *byli nimi prawie bez wyjątku — żydzi!* Więc gdy tych prowodyrów, prowokatorów i spiskowców pokarano za spełnione gwałty i mordy i zdradę, wówczas żydzi

zrobili z *formalnych sądów i egzekucyj wojennych*, stanem wojennym najkompletniej uzasadnionych — pogromy! .... Osiągano tem niezawodnie zamierzenia i cel dwojaki: po pierwsze—skupiano na rzekomo niewinnie prześladowanych żydach sympatje świata, zyskując tem argument na poparcie politycznych pretensyj żydowskich w Polsce, a po wtóre—odwracano świata uwagę od faktu niezaprzeczonego, że *bolszewizm rosyjski był prowadzony przez żydowskie głowy, że zacząwszy od prowodyrów, a skończywszy na lokalnych awanturnikach, przeważnie to byli żydzi i tylko żydzi!*

Zdawało się tedy, że szala zwycięstwa na naszą przechyliła się stronę; z tem wszystkiem nie dano nam jednak ni zwycięstwa tego, ni satysfakcji kompletnej: kierując się względami tolerancji, której naprawdę żydzi więcej, niż myśmy doznali, władze amerykańskie wdrożyły ze swej strony dochodzenia i powzięły niezaszczytną dla nas i niezasłużoną zgoła decyzję — wysłania do Polski komisji, w której delegowani zostali: sędzia Morgenthau, Generał Jadwin i społecznik wybitny Johnson: komisja ta udała się do Polski, sprawy sobie zlecone zbadała i po kilku miesiącach złożyła z nich rządowi Stanów Zjedn. raporty—dwa—dlatego, że z treścią i tendencją raportu sędziego Morgenthau'a stanowczo nie zgodzili się dwaj inni delegowani—tak dalece, że uznali za potrzebne odrębny złożyć raport. By choć słów parę poświęcić decydującym tym o opinji amerykańskiej dokumentom, zaznaczymy, że—o ile raport Jadwina i Johnsona stanowczo przysądzał rację Polsce i bronił jej przed żydowskiem oszczerstwem, o tyle raport Morgenthau'a, acz nie oskarżający wprost i otwarcie, był tak napisany, iż służyć może za przykład i wzór powiedzenia prawdy—takiego, by razem z nią dać o Polsce wrażenie, że nie wszystko w niej dobrze, że zła tam dużo, że mogła ona zrobić to i owo, może chciała, ale nie zrobiła, nie zapobiegła ... nie powstrzymała ... że wprawdzie nie było podług definicji—"pogromu", ale były gwałty i zbrodnie i—bez definicji ... itd., itd.; słowem — Morgenthau zręcznie przechodził nad wszystkiem, co można było rzec na korzyść zarządzeń polskich w kwestji żydów, oraz na usprawiedliwienie polskiego rządu, pogrążonego wtedy właśnie w tysiącu trudności, wreszcie na obronę—ludu polskiego, niemożliwie prowokowanego przez żydowskie mrowie wyzyskiwaczy i intrygan-

tów. W niektórych sprawach (Pińsk) nie uznawał Morgenthau opinji oficjalnej rządu polskiego a pobłażliwie przechodził nad nią, siebie za wyższy mając autorytet: dyskredytował potroszę, gdzie się dało oficerów polskich i wojska polskie, a o kooperatywach polskich, które podjęły były *samoobronę—nie bojkot* przed wyzyskiwactwem żydowskiem, pisał tak, że odnosiło się wrażenie, iż tylko dlatego ich nie potępia, bo niktby jego raportu czytać, ni słuchać nie chciał! Wogóle raport Morgenthau'a zacierał zręcznie prawdę, a sprytnie podawał argument—na rzecz żydów.

Inną zupełnie była myśl przewodnia i treść raportu drugiego: Gen. Jadwin stwierdził z całą wyraźną i niedwuznaczną stanowczością, iż pogromów w Polsce nie było, że to Niemcy w świat puszczali pogłoski o pogromach, by Polsce szkodzić, by ją osłabiać w opinji zagranicznej; z nimi skwapliwie połączyli się żydzi, Polsce wrodzy. Omawiając nieznaczne i nieliczne zajścia antyżydowskie, stwierdza Jadwin, że winę ich ponosi stanowisko żydów nieżyczliwe Polakom, oraz "wyczekiwanie ich—kto zwycięży", które musiało Polaków zrazić do żydów. Zupełnie innem też było przedstawienie faktów Gen. Jadwina — niż Morgenthau'a: Jadwin wszędzie podnosił usiłowania władz polskich celem tłumienia rozruchów, podkreślał, iż w każdym wypadku władze te działały uśmierzająco, że ściśle wymierzały sprawiedliwość, że w żadnym względzie nie można rzec, iżby zajścia, odosobnione i jedynie na tle wojennych burzliwych stosunków wydarzone—miały aprobatę władz, czy choćby tolerowane były, lub by jakiemś były "przez palce patrzeniem" ze strony rządu.

Podkreślał Gen. Jadwin okoliczności łagodzące, o jakich raport Morgenthau'a milczał zupełnie, podawał tłumaczenia i objaśnienia zajść szczegółowe, wchodzące we wszelkie strony współżycia Polaków z żydami, które to współżycie wykazuje braki, przewinione w ogromnej mierze przez żydów. Wogóle Jadwin pisał o sprawie o wiele więcej konstruktywnie: jemu nie dość było, jak u Morgenthau'a, przedstawić ponumerowane fakta skąpe i kręcić niemi: on z nich wysunuwał psychologiczny obraz stosunków, aby czytelnik raportu jego zrozumiał, co w tych stosunkach było ujemnem i co czynić należało, aby ujemne rzeczy poprawić trwale.

Pierwszorzędnej wartości były też dorady Gen. Jadwina, w raporcie podane, nie tylko pod adresem Polski, choć i takich nie brak, ale—co w danych okolicznościach ważniejsze było, pod adresem zagranicy, której jasno i silnie powiadał, *co jest winna Polsce* i co jej względem Polski zrobić należy, jeśli chce szczerze, nie tylko frazeologiczną pisaniną—przyczynić się do uregulowania stosunków w tem państwie, które ma wszelkie szanse po temu, by się stało wzorową demokracją, a potężną obroną przed wszelkiemi wrogiemi zakusami, skądkolwiekby one nie nadciągały — czy od zachodniego, czy od wschodniego sąsiada Polski... Ojczyźnie naszej Jadwin wróżył świetną przyszłość, zagranicy zaś całej wskazywał niedwuznacznie, że w swoim własnym interesie powinna współdziałać z Polską we wszelkich dziedzinach, złączonych ze sprawą jej postępu, rozwoju i umocnienia, a więc równie w rzeczach natury politycznej, jak ekonomicznej, edukacyjnej itp.

Mimo oczywistej słuszności po stronie polskiej — rzecz dotarła aż na obrady Kongresu Pokojowego, który uznał za potrzebne wystosować pod Polski adresem pewne zastrzeżenia i projekty protekcyj dla żydów. Było to obelgą dla Polski, którą na szczęście Sejm Polski stanowczo odparł i odrzucił pod właściwym adresem—uchwałą, stwierdzającą, iż "w Polsce nikt uciskany nie będzie, a więc i żydzi będą mieli równość i swobodę, ale *muszą być przedewszystkiem lojalnymi obywatelami* Państwa Polskiego, które gotowe jest przyjąć traktat, stanowiący o rzeczach owych i Sejm gotów go ratyfikować, jeżeli Stany Zjedn. i Anglja dadzą gwarancję, iż prawo o mniejszościach narodowych i o tych ich wyłącznościach, jakie Polsce proponowano, będzie stosowane wszędzie w stosunkach międzynarodowych".

Takim był przebieg i rezultat pamiętnej nagonki żydowskiej na Polskę w samych zaczątkach jej niezawisłego bytu państwowego, w której sprawie i Polacy Amerykańscy rolę pewną odegrali: był to już na długo "nasz ostatni występ" w sprawach Polski.

Odtąd linja wpływów naszych gubi się, a współdziałania polsko-amerykańskie rychło prawie zanikają zupełnie. Polska niepodległa—daleka, nie potrzebuje nas już, nie troszczy się o nas, o ile nie zachodzą względy materjalne lub partyjno-polityczne, o których wspominałem poprzednio, a my sami jesteśmy co-

raz silniej, coraz ciężej, absorbowani ewolucją niepomyślną szans własnego zachowania i przetrwania w kraju tutejszym. Zaczynamy uświadamiać sobie cały natłok trudnych problemów własnych: zdaje się nam, że zgubiliśmy drogę w przyszłość! Gdy dawniej wiedzieliśmy dobrze, że do Polski wolnej dążymy, dla nie pracowaliśmy, dla niej żyliśmy, teraz oto—ona wolna—jakże nam była daleka i jakaś—nie taka, jakiej myśmy pragnęli, jaką myśmy rozumieli i wyobrażali sobie . . . Więc zostawaliśmy tu—sami, na własne zdani siły, a sił tych ubywało i ubywa—jako, że starzy, mocni duchem i uświadomieniem roztropnem, schodzili z pola — w mogiły, wśród młodych zaś amerykanizacja, niewłaściwie pojmowana i zgubnie stosowana, zastraszające czyniła postępy. A wśród tego i mimo tego przecie, nie chcieliśmy i nie chcemy wciąż jeszcze rezygnować, tedy wbrew złym rokowaniom wierzymy ("contra spem spero")—w możność przetrwania w odpowiedniem do warunków nowoczesnych przyswojeniu się, a na zasadzie jakiegoś lepszego, rojonego spraw układu—snujemy myśli o stosunku przyszłym Polski do Polonji Amerykańskiej i o tem, co Polonja dla Polski wciąż robić tu może.

O temże w końcowej części ostatniego Rozdziału, lecz przedtem kart parę poświęcić muszę wzmiankowanej co dopiero — amerykanizacji.

Dla łatwiejszego omawiania przedmiotu, a lepszego wglądu weń Czytelnika, wprowadzimy tu podzielenie, czy rozgrupowanie raczej—pewnych, z nim złączonych przejawów, na trzy pojęcia: pozornie różnią się one tylko brzmieniem wyrazów, ale ściślej je rozważając, dostrzeżemy w nich odcienie różnic, bardzo wydatne: przeto rozgraniczenia takie wydają się nam być uzasadnione, a w omawianiu tych rzeczy okażą się praktyczne. Główne, zasadnicze pojęcie wyjściowe to—Amerykanizm; podrzędne w stosunku doń, wywodzone zeń pojęcia nazwę amerykanizatorstwo i amerykanizacja: dwa ostatnie — "na upartego" mogłyby być uznane za synonimy, ale w braku innych terminów nazwę niemi, choć tak podobnemi, zgoła odmienne przejawy.

Amerykanizm—to jest idea: to myśl wielka i ważna. Definicję jego—trudno podać w słowach kilku, choćby w zdaniach paru. Amerykanizm—to pojęcie, najobszerniej zakreślone, kul-

turalnie rozumianej i odczuwanej swobody od zastarzałych wyobrażeń i przesądów, a więc swobody ducha, wolności myślenia i działania, wolności nieskrępowanej niczem, chyba jedynie względami na dobro ogółu; zarazem umiłowanie tej wolności—gorące, wyznawanie jej entuzjastyczne, pragnienie jej dla siebie i dla drugich, ludzi i ludów, gotowość do obrony jej, do walki o nią i za nią, do złożenia dla niej ofiar najwyższych—z życia nawet! Wolność taka stwarza atmosferę śmiałości, daje godności własnej poczucie, pobudza przedsiębiorczość, a każe być każdemu własnego losu twórcą i panem. W takiej atmosferze urasta wysoki "standard", stopień (stopa)—warunków życia osobistego i towarzyskiego, szlachetnieją stosunki socjalne, zbliżają się, oceniają i bratają ludzie i narody. Tak rozumieją Amerykanizm światli i szlachetni Amerykanie. Dużo jest takich.

Ale—nie wszyscy są takimi. Mamy sporo i tych, u których idealny Amerykanizm jest powierzchownym raczej, określić go nie potrafią, a w postępowaniu życiowem nie dorastają do wyżyn ideału, zresztą nie starają się o to; zato łatwiejsze wprowadzają metody—strychowania . . . sprowadzania do poziomu, im niższego, tem łatwiej osiągalnego—oczywiście. Tacy — stosować radzi *amerykanizatorskie* metody, często "par force", narzucane, stosowane—jak pokost zewnętrzny, którym chcieliby powlec wszystkie plemienne różnice i odrębności—choć po wierzchu, gdy inaczej się nie da, a przemocą, szowinistycznie, choćby ze zatracaniem wartości kultur obcoplemiennych: może zostać pustka i próżnia w środku, byle z wierzchu zdało się wszystko—jednakowo. Amerykanizatorów mamy w Ameryce od dość dawna. Jeszcze w r. 1898 Senator Lodge opracował referat, polecający ostre ograniczenia immigracyjne dla celów "strawienia" tego, co z obcych stron już naszło i—zamerykanizowania gruntownego. Później, w latach 1912-1913 wnioski w Kongresie Posłów Burnetta i Billinghama domagały się wykluczenia analfabetów z pośród dopuszczanych tu immigrantów. Światowa Wojna wstrzymała immigrację zupełnie, ale amerykanizatorskie pomysły nie ustały, a zwróciły się przeciw napływowcom — z impetem, zgoła nie ideowo-amerykańskim, by ich assymilować — otóż właśnie! — bodaj upodabniać do Amerykanów. Wtedy zaczęły się experymenty a-

merykanizatorskie w szkołach, w Prasie, w kościele—nawet . . . Tak, mieliśmy z tem wszystkiem do czynienia i moglibyśmy o tem pisać niemało; niechaj tu starczy stwierdzenie, że byli i bywają amerykanizatorzy w Kongresie, w Stanów rządach, w instytucjach edukacyjnych, bywali i bywają wśród Biskupów, którzy dla rychlejszego zamerykanizowania obcoplemieńców zaprowadzają w swych djecezjach parafje terytorjalne, w miejsce nacjonalnych, nie pozwalają na tworzenie nowych parafij, polecają wprowadzanie kazań angielskich po kościołach, a nauki katechizmu po angielsku—po szkołach. Cóże nam tu wreszcie pozostanie? . . .

Pozostaje owa trzecia rzecz—*amerykanizacja* rozumna, racjonalna, sprawiedliwa. Tej potrzebę pojęli wśród nas najświatlejsi—dość dawno; zrazu ich szowiniści polscy—o, bo i takich tu mamy — odsądzali od czci i wiary, lecz dziś rzecz tę zrozumieli już wszyscy, a zasada roztropnej, uczciwej amerykanizacji głoszona jest i uznawana powszechnie. Racjonalną, godziwą amerykanizację—uznaję za jeden z najdonioślejszych postulatów, jakie są przed nami, a rozumiem nie jako renegację narodową, przeciwnie —sądzę, że powinna ona zawierać w sobie poszanowanie tradycyj pochodzenia naszego i wszystkiego, co się z niem łączy, co je znamionuje. Amerykanizacja taka ma być również reakcją względem plemienno-narodowego szowinizmu, który byłby tu wprost bezrozumny i szkodliwy—nie tylko nam samym, nietylko Polonji, ale także Sprawie Polskiej, ponieważ musiałby ją narażać na niechęć i nieżyczliwość Amerykanów i Ameryki, absolutnie niepożądane naszemu narodowi. Gdy przeto nie uznaję szowinizmu polskiego, a doradzam amerykanizację rozumną, przez nas samych ujętą i prowadzoną statecznie,—to równocześnie najsilniej protestuję przeciwko wszelkim zakusom szowinizmu amerykanizatorskiego, o którym wiadomo, iż bywa praktykowany niezgodnie z duchem konstytucji kraju tego, który ma być na wieki ojczyzną swobód, a nie expozyturą gwałtów i przymusów jakichkolwiek. My, Polacy znajdujemy się tu we wyjątkowej iście sytuacji, toteż i wyjątkowe powinności na nas ciężą. Starsza generacja, przybyła ze Starego Kraju, za rodzimą ojczyznę swą—ma Polskę, daleką, ale zawsze kochaną, zawsze pamiętną; z biegiem lat jednak, po zasiedzeniu się tu i przyjęciu tutejszego obywatesltwa, występują z

przysługującemi nam prawami — i obowiązki, których lekceważyć nie wolno. Młodsze, tu urodzone pokolenia, słusznie uważają za najbliższą swą Ojczyznę—Stany Zjednoczone; Polskę one znają tylko z dalekiej teorji: Ameryka ich bierze życiem praktycznem, bezpośredniem. Tymczasem w Pismach, mowach i naukach słychać wciąż nawoływania o obowiązkach względem Polski, o patrjotyzmie polskim, o wytrwaniu na stanowisku Polaka itd., ale bardzo mało wyjaśnia się młodym, jak to wytrwanie rozumieć i jak te obowiązki pojmować należy. Chcę w kwestji tej zapisać tu parę uwag.

Przybywający do Ameryki Niemcy, Irlandczycy, Anglicy, Szwedzi i inne narodowości—przyjmują po pewnym czasie, wraz z obywatelstwem, poniekąd i charakter amerykański; Polak do końca życia zostaje tu najczęściej "foreignerem", często nawet jego dzieci jeszcze tem mianem przezywane bywają, co wcale korzystnem dla nas nie jest , gdyż skutkiem zrozumiałej niechęci do przybyszów, bywamy pomijani w reprezentacyjnych sprawach Kraju. Otóż my mamy tu także prawo zostania pełnymi z ducha Kraju i praw jego Amerykanami, która to nazwa słusznie — zaszczytną jest uważana: pracujemy uczciwie, poświęcamy Krajowi temu nasz znój, naszą krwawicę, tedy pełne mamy prawo do uznania dla naszej pracy i dla nas samych. My mamy nawet obowiązek niejako uważania się za Amerykanów, a to z powodu tego, iż rzeczą naszą jest dbać o honor i poważne stanowisko narodowości naszej i przyszłych jej pokoleń w tym kraju, które *tylko—jako Amerykanie—pozyskać możemy!* Z tej racji i w taki sposób pojmowany amerykanizm nasz jest zupełnie na miejscu i tacy Amerykanie—nasi mogą nam być tylko pożądani.

Ale tacy nasi Amerykanie winni być w pełni swego uświadomienia Amerykanami *polskiego pochodzenia.* Znaczy to, iż występując w życiu publicznem, w styczności z innonarodowcami, jako prawowici, stuprocentowo amerykańscy obywatele, mamy być jednocześnie między sobą braćmi, zawsze ochotnie pamiętnymi na wspólne gniazdo, z któregośmy się wywiedli; znaczy to, że obowiązkiem naszym jest zachować tradycje nasze sławne i—bodaj pamięć Ojczyzny dawnej, czcić jej przeszłość, przybliżać przyszłość pomyślną, dbać o jej sławę dobrą, pomagać ziomkom, u-

czyć dzieci mowy polskiej, wogóle zachować w czci—pochodzenie polskie. W ten sposób pojmując swe stanowisko, Amerykanie-Polacy — i Ameryce służą dobrze i Polskości ni krzywdy, ni ujmy nie przyniosą; brak zasię takiego zrozumienia dwoistych naszych obowiązków sprowadza ich spaczenie i straty, źle odbijające się tak na osobnikach pojedyńczych, jak i na całem społeczeństwie.

Należałem do najpierwszych, którzyśmy w Polonji głosili zasadę, że nam trzeba się amerykanizować, ale—czynić to godziwie, szlachetnie i rozumnie, a więc: w najpełniejszej i najszczerszej lojalności dla Stanów Zjednoczonych, gotowej do najdalej idących ofiar—nie mamy być renegatami względem Polskości, a że takiego ujęcia rzeczy obcy podać nam nie są zdolni, doradzałem zawsze i wskazuję dziś, byśmy prace amerykanizacyjne podejmowali i prowadzili *sami*, nie czekając, aż nas szowiniści tutejsi przemocą na "wiarę amerykańską nawracać" poczną . . .

Niestety — w ostatnich paru lat dziesiątkach postąpiła tu bardzo znacznie amerykanizacja właśnie ta niewłaściwa, źle pojmowana i stosowana. Może temu winne jest owo ogólne zatracenie, czy zapomnienie drogi naszej, celów naszych—na tle powojennych stosunków, dla Polonji Amerykańskiej pod nacjonalnym względem niepomyślnych. Polonja ta posiada dziś tak wiele, jak nigdy dawniej—ludzi, co nigdzie nie należą—ni do parafji polskiej, ni do Organizacji polskiej, ni do szkoły polskiej dzieci nie dają, ni Pisma polskiego nie czytają. Z tem wzrastają liczby małżeństw, mieszanych narodowo i religijnie, okazy młodzieży nie umiejącej zupełnie po polsku i uznającej mowę polską za niepotrzebną, przykłady stronienia od polskiego zorganizowania, zmiany i przekręcania nazwisk i dowody wynarodowienia kompletnego! Złe to, niegodne nas, ni Polaków, ni Amerykanów przejawy. Na poparcie tego osądu mogę przytoczyć opinje wielu wybitnych Amerykanów, którzy właśnie to samo powiadają, co tu głosimy, a zachęcają nas, byśmy pochodzenie swe szanowali, pielęgnowali nasz obyczaj, używali i uczyli się mowy polskiej, bo—*nie trzeba pochodzenia ni mowy, ni wiary wyrzekać się, by być dobrym, inteligentnym Amerykaninem . . . (Patrz Przypiski.)*

Niestety rozumna taka amerykanizacja, sprawiedliwa i dla

Amerykanizmu i dla Polskości, nie jest rzeczą łatwą—zwłaszcza dla ludzi ze sfer immigracyjnych, często mało światłych, a zadowolonych, gdy uda im się iść jak najdłużej, najdalej, po linji najmniejszego oporu: tacy sami łapią pozory jeno powierzchowne amerykańskie, dzieci dobrze nie wychowają, cieszą się, gdy one po angielsku paplą, nie zważając, że własną mowę rodzinną zapominają i zatracają. W takich rodzinach już w drugiej generacji mówią tylko po angielsku; tacy SS. Nauczycielkom w szkołach zlecają, by ich dzieci już nie uczyły po polsku, bo to dzieciom za trudno; tacy i sami do Organizacyj polskich nie garną się, ni młodzieży swej do niej nie skierują; w małżeństwa biorą się z obcymi, do obcych instytucyj się garną—dla polskości giną. Tego właśnie w ostatniem ćwierćwieczu mamy aż nadto wiele! Gdy przed pierwszą Wojną Światową liczna emigracja z Polski równoważyła, a nawet przeważała straty i szkody, przez wynaradawianie się powodowane, po Wojnie owej, a po zaprowadzeniu tu ograniczeń immigracyjnych — szkody owe przyjmują zastraszające rozmiary i czynią istne spustoszenia w rzeszach polsko-amerykańskich. Od lat obserwujemy ubytek dziatwy w polskich Szkołach Parafjalnych, w zastępach Organizacyj, których Towarzystwa i Grupy maleją tak, że posiedzeń niema komu odbywać, bo starych już brak, lub im też już "za ciężko", a młodzi się do Organizacyj nie kwapią, ni do Towarzystw naszych. Gazet polskich ubywa i czytelników ich, więc—zwłaszcza dzienniki upadają, a dziś jest ich ledwie połowa tego, co ich było w okresie przedwojennym. Do spraw społecznych i narodowych brak pracowników chętnych, a rozumnych. Wszystko to dzieje się przez ową nierozumną, jednostronną amerykanizację. Tak — nas tu nie zabija amerykanizatorstwo, a samobójczo giniemy — niesławnie—przez amerykanizację niewłaściwą *(Patrz Przypiski)*. Trzeba się ratować!

Myśl o tem ratownictwie plemiennem, narodowem, moralnem i intellektualnem, jednocześnie w dwu przewodnich poczęła się wyrażać kołach: wśród Duchowieństwa polskiego i w polskich Organizacjach: Duchowieństwo jęło się tej inicjatywy w zatroskaniu o polskość kościołów, parafij, szkół parafjalnych, rodzin parafjan, — a Organizacje kłopocą się o przyrost członków słabnący

i o zanik wśród nich poczucia narodowego. Przejawiają się te nasze troski społeczne na zjazdach, sejmach, kongresach Duchowieństwa, a wyraziły się w postanowieniach bardzo roztropnych, wszechstronnie zaradczych, oraz w zabiegach, mających na celu stworzenie Centrali Polskiej w Ameryce, któraby zwierzchnią wykonując władzę moralną, duchową nad całą Polonją, wyrażała miarodajnie jej sposób myślenia, amerykański i polski, była wykładnikiem naszych dążeń i prac, określała poprawnie nasz stosunek do Polski—kwestja po pierwszej Wojnie Światowej niezmiernie aktualna, której ważność odczuwano powszechnie—zwłaszcza wobec omówionych poprzednio niekorzystnych przejawów niepożądanej ingerencji z Polski w sprawy nasze i w stosunki tutejsze. Wszystkich tych zatroskań i niemi pobudzanych zabiegów —była wyrazicielem najdzielniejszym i propagatorem Prasa polsko-amerykańska, ta mianowicie jej część lepsza, pewna i prawa, nie politykująca—"z lewa-sanacyjnie"... czego tu nam również nie brakło, a co pogrążało tem głębiej jeszcze problem naszego w kraju tutejszym przetrwania i właściwego rozumienia stosunku spraw polskich do Amerykanizmu.

Po prawdzie to od półwiecza pokutuje wśród nas projekt stworzenia w Polonji Amerykańskiej—Centrali, któraby kierowała spokojniej a pewniej społeczną nawą naszych spraw. Ponieważ Centrala ma reprezentować ogół, powinna w każdym razie obejmować przynajmniej jego większość; póki tej większości nie skupia i jej myśli nie wyraża—jest tylko pustą pretensją. Próby Centrali dawniejsze pozostawały długo próbami—wszystkie, z wyjątkiem okresu pierwszej Wojny Światowej, kiedy "Wydział Narodowy" był rzeczywiście Organizacją Centralną, skupiającą i wyrażającą nasze intencje społeczne i działania; po Wojnie i po wygaśnięciu tego wielkiego ogniska Polsko-Amerykańskiej Myśli Narodowej — długo nie natrafiono na motyw przewodni, któryby cały nasz zespół zdołał zgodzić i poprowadzić.

Ogół nasz jest—jak wiadomo, w bardzo znacznej większości religijno-narodowy; nieszczęściem jednak — większość ta jest mniej uświadomiona co do swoich potencjalnych wartości, a powinności ideowych, co powoduje trudność ujęcia w nim rozleglejszych działań programowych. Właśnie ten powszechny prawie

brak uświadomienia i wyrobienia, oraz na jego tle grasujące niesforność, niesolidarność i biernota—oto, co udaremniało stworzenie wspólnej dla tej większości Centrali, której nawet po jej stronie własnej nie dawano poparcia solidarnego, nie współdziałano z jej próbami wydatnie, a którym próbom przeszkadzać czuł się powołany obóz więcej postępowy, przynajmniej głośniejszy. Zjedziemy się raz gromadnie, wnet potem już coraz mniej licznie; raz dadzą coś na robotę, lecz później wydostać trudno subskrybowane i deklarowane kontrybucje; kiedy chcą, podporządkowują się wskazaniom centralnym, ale—częściej nie: i przeprowadzajże tu centralizację działań choćby po tej jednej tylko stronie! A po drugiej? Jakaż to ta druga strona? na czem się gruntuje? Na zasadach? E, gdzie-tam: nie zasady nas dzielą, a ludzie! Aleć przecie po jednej i drugiej stronie są ludzie ci sami, dobrzy ludzie, poczciwi, należący i do religijnych zrzeszeń i do innych, tych drugo-obozowych zgrupowań. Otóż—o przewódców ich idzie. Dzieje Polonji wykazują, iż gdy liderzy dobrzy, rozumni—zgodzili się, wówczas gromady zawsze szły za nimi dobromyślnie — do wspólnego, solidarnego, zgodnego działania. Więc—co zawadza? kto przeszkadza do zjednania i zjednolicenia Polonji? Otośmy rzekli: liderzy, przodownicy, ludzie, na czele stojący, lub raczej—brak ich, brak światłych, poważnych, wpływowych, brak, dotkliwie odczuwany od dawna: w ciągu lat między pierwszą a drugą Wojną Światową przejawił się on wprost zgubnie. Z tego braku przedewszystkiem wyprowadzamy, nim uzasadniamy niemożność złączenia Polaków Amerykańskich pod wspólnym znakiem, co się wyraziło ujemnie zarówno w dorobku narodowym Polonji—w omawianym okresie ostatniego dwudziestolecia, jak też w jej rozwoju, postępie i znaczeniu.

W latach kilku pierwszych po Traktacie Wersalskim dawały się w społeczności naszej odczuwać jeszcze wpływy i znaczenie "Wydziału Narodowego" z okresu pierwszej Wojny Światowej, potem gdy "Wydział" ów zlikwidował się na Sejmie Polonji, odbytym w Detroit, w r. 1925-tym, uchwalono na nim utworzyć — jako Centralę Polonji, której potrzebę głoszono powszechnie—t. zw. "Polską Radę Opieki Społecznej"—i tej przekazano resztę funduszów pozostałych po działaniach "Wydziału Narodowego".

Projekt owej Rady opracowali Ks. Aleksander Syski, Dr. E. Fronczak i K. Gońsk—bardzo szczegółowo: projekt dzielił Polonję na okręgi, wprowadzał pobór podatku narodowego, ujmował rozliczne sprawy Polonji poprawnie i trafnie—i—tylko wykonać, tylko zrealizować postanowienia zbawienne, a bylibyśmy —ocaleni! Niestety—wykonanie uchwał nie dopisało, a "Polska Rada Opieki Społecznej" po kilku latach rozsypała się; poszła w zapomnienie i w niem utonęła.

Nie zapomniało przecie Duchowieństwo o owej próbie stworzenia prawo-myślnej Centrali w Polonji, więc w r. 1928-mym zwołuje ono kongres do Pittsburga, na którym znowu światle bardzo radzono o potrzebach i o biedach Polonji Amerykańskiej, wygłoszono referatów szereg, wysłuchano patrjotycznych — jak zawsze i podniosłych przemówień I. J. Paderewskiego, ale znowu skończyło się na tem narazie, bo egzekutywa Kongresu nie miała sił, czy możności, by zbawienne wskazania w czyn zamienić—istotnie zbawczy. A potem—już długo była cisza—nie wiem—letargu, czy zamierania powolnego Polonji Amerykańskiej, aże w latach zupełnie niedawnych, w r. 1938, zwołano raz jeszcze zjazd Duchowieństwa Polsko-Amerykańskiego do Pittsburga, a stało się to—tym razem z inicjatywy naszego już *młodego, polsko-amerykańskiego Duchowieństwa,* wśród którego wyróżnił się w tym razie działalnością i wytrwałością usiłowań Ks. Wincenty Stancelewski, właściwy projektodawca i najdzielniejszy pracownik. Zjazd ten upamiętnił się szeregiem bardzo poważnych referatów, ujmujących najwszechstronniej duchowe i intellektualne potrzeby Polonji; dał dobre wskazania i rady przeciw zgubnie stosowanej przez nas samych nierozumnej amerykanizacji—słowem — wkraczał naprawdę skutecznie na rozliczne pola zaniedbanych od lat spraw społecznych i nacjonalnych Polonji. Pisaliśmy już o zjeździe tym w jednym z pierwszych książki tej Rozdziałów (R. V.), wyrażając nadzieję na przyszłość lepszą po onej *młodych* księży naszych inicjatywie. Narazie— niestety— nie mogło być ani mowy o realizacji tych spodziewań, bo w rok później— niespełna— wybuch drugiej Wojny Światowej ugodził nas wszystkich straszliwym wstrząsem, a obudziwszy Polonję z przydługiego zaśnięcia, skierował myśli i wysiłki wszystkie—nie do prac nad

sobą, a znowu do działań zbiorowych — na pomoc Polsce. Tak inicjatywa Duchowieństwa uległa co najmniej zwłoce, da Bóg — nawiąże się ją w lepszej przyszłości.

Jednocześnie patrjotyczne i obywatelskie działania Polonji skupiały się—jak rzekliśmy i wyrażały się po dawnemu w poszczególnych Organizacjach, przedewszystkiem więc—w "Związku Narodowym Polskim" i w "Zjednoczeniu Polskiem Rzymsko-Katolickiem"; były one prowadzone oddzielnie bo—jak wynika z poprzednio opowiedzianych przejawów, długo nie było ni bodźca, ni bezpośrednio naciskającej konieczności — zespolenia sił i prac. Aż w r. 1934, nadarzyła się po temu okazja i potrzeba taka. Oto w Polsce stworzono organizację dla Polaków, przebywających stale poza granicami Polski, t. zw. "Światowy Związek Polaków z Zagranicy", który miał rozproszonych po świecie zbliżać do odbudowanej Ojczyzny, zespalać ich z nią, a pozyskiwać dla niej ich zasoby i wpływy ewentualne. "Związek" ten w roku wymienionym urządził był we Warszawie zjazd walny, na który zewsząd zjechali się Polacy: tam ich naprawdę dopiero zespolono, złączono w owej Organizacji zarówno z Polską, jak z wymienionym "Związkiem", który stawił na naczelnem miejscu swego statutu postulat bezwzględnej lojalności dla Polski i wyłącznych, obowiązujących ponad wszystko względem niej powinności. Dobre to było dla Polski i dla polskich mniejszości po różnych krajach obcych, lecz tego zobowiązania nie przyjęła i nie podpisała poważna i światła delegacja Polaków z Ameryki, której przewodniczący, Cenzor "Związku Nar. Polskiego", Prof. F. Świetlik i przedstawiciel "Zjednoczenia", Dr. B. Smykowski—złożyli odpowiednie oświadczenie, podpisane przez wszystkich delegatów Polonji Amerykańskiej, w którem deklarowano gotowość do współdziałań kulturalnych z Polską, ale zarazem podkreślono, że Polacy nie są w Ameryce "mniejszością narodową", jak są n. p. we Francji, w Niemczech, lub w Rosji, a są suwerennymi Obywatelami Stanów Zj., którym przeto winni są najpierwszą lojalność i najpierwsze, najważniejsze powinności i służby *(Patrz Przypiski)*: gotowi zatem duchowo, kulturalnie współpracować z Polską, do owego "Związku Rodaków z Zagranicy" nie przystąpili. Słuszne to stanowisko i trafna deklaracja naczyniły swego czasu wrzawy

niemało: w Polsce ich nie zrozumiano przeważnie, czy nie chciano rozumieć, "sanacyjne" czynniki, ze swą Prasą, ostrej nam nie skąpiły krytyki, zarzucając nam brak patrjotyzmu, zamerykanizowanie itp.: za temi głosy poszły prasowe munsztuki "sanacji" w Ameryce; ale to wszystko ani już nie poszkodziło wiele, ani nie zmieniło rozumnej, światłej i taktownej decyzji; co więcej, to nas znowu—zbliżyło . . . Tuż potem właśnie tworzy się "Rada Polonji Amerykańskiej", z siedzibą w Chicago, która skupia w sobie najświatlejsze, najlepiej po obywatelsku uświadomione czynniki Amerykańskiej Polonji. Zrazu wolno szły te poczynania, lecz statecznie przybierały na siłach i zasięgu: stanęły do zgodnej współpracy "Związek" i "Zjednoczenie", przybywały i inne Organizacje; "Rada Polonji" wyrastała nareszcie na prawdziwą, poważną i trwalszą znów raz przecie—Centralę. Wybuch drugiej Wojny Światowej wzmógł znakomicie aktualność takiej instytucji, która więc od jesieni, 1939, objęła rzeczywiście całą Polonję Amerykańską i przewodzi jej odtąd w zgodnych pracach ratunkowych dla Polski, kując dla niej potężnie—*Czyn Nowy* . . .

PRZYPISKI

HUGH GIBSON

Hugh Gibson (ur. 1883 r.) był pierwszym Posłem amerykańskim w Polsce i na stanowisku tem oddał jej wiele usług. Za jego urzędowania przybyła do Polski słynna amerykańska misja pomocy, zorganizowana przez późniejszego Prezydenta, H. Hoovera. Uratowała ona od głodu liczne rzesze zubożałych przez wojnę, zwłaszcza dzieci, — przy pomocy pamiętnego "Komitetu Pomocy Dzieciom", który urzędował w biurach amerykańskiego Konsulatu. Kierownikiem tej pożytecznej instytucji, obejmującej pomoc dla kilku dzielnic Polski, był Amerykanin, Maurice Pate. Pozatem za ministra Gibsona staraniem — zorganizował się do walki z epidemiami, nędzą i głodem Komitet pod egidą Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. We wszystkich charytatywnych pracach, wielce pożytecznych dla Polski, minister Hugh Gibson brał niezwykle czynny udział.

Gdy równocześnie z najazdem bolszewickim na Polskę w r. 1920, Żydzi w całym świecie urządzili nagonkę na Polskę, oskarżając ją o "pogromy", wołając o międzynarodową nad Polską kuratelę, — gdyśmy znikąd — w nikim przyjaciół nie mieli, Poseł Hugh Gigson *pierwszy*—niepytany, nie proszony, przesłał do Waszyngtonu oficjalne zaprzeczenie pogłosek o pogromach, a w

urzędowym komunikacie stanowczo stwierdził i ogłosił, że żadnych pogromów w Polsce nie było. To był pierwszy głos miarodajny zaprzeczenia i obrony: głos dobry zacnego Przyjaciela. Tego szlachetnego wystąpienia Polska Ambasadorowi Gibsonowi nie powinna zapomnieć.

Hugh Gibson był po przeniesieniu go z Polski Posłem Stanów Zjedn. w Belgji i w Szwajcarji, a w r. 1927 był na międzynarodowej Konferencji dla spraw Rozzbrojenia przewodniczącym delegacji amerykańskiej.

Obecnie, usunąwszy się ze służby dyplomatycznej, H. Gibson poświęca się pracom naukowo-literackim, jest mianowicie autorem poważnych dzieł ze zakresu historji i polityki światowej.

GEN. EDGAR JADWIN

Generał Edgar Jadwin urodził się w r. 1865. Był członkiem Komisji, jaką wysłano ze Stanów Zjedn. do Polski—w czasie kiedy na Polskę nagonkę pogromową urządzali żydzi amerykańscy w r. 1920. Wysłano w komisji tej sędziego Morgenthau'a (żyda) i Gen. Jadwina: spędzili oni w Polsce kilka miesięcy, a powróciwszy złożyli raporty Prezydentowi Wilsonowi i Kongresowi Stanów Zjedn. Raporty owe były bardzo nie-jednakowe, bo Morgenthau — choć przyznawał, że w Polsce pogromów nie było, powiadał o niej jednak rozmaite rzeczy niepochlebne i nieżyczliwe, a w rezultacie domagał się rygorów na Polskę co do traktowania w niej mniejszości narodowych; Gen. Jadwin nie godził się z poglądami Morgenthau'a tak dalece, że raportu jego nie podpisał, a złożył Prezydentowi i Kongresowi raport własny, zupełnie odrębny, a co do treści i co do tendencyj odmienny. Raport ten wchodził w przyczyny drobnych zajść antyżydowskich w Polsce, roztrząsał powody antysemityzmu w naszym kraju, pouczał o pladze t. zw. "litwaków" (żydów z Rosji pędzonych), przytaczał przykłady, jak żydzi działali przeciw Polakom, zawsze na ich szkodę, zawsze służąc zaborcom; tak byli gotowi służyć już i bolszewikom, dla których zgóry lokalne sowiety zakładali po miastach polskich; potem—w czasie wojny "paskowali" żywnością pasorzytnie, tucząc się na krzywdzie i nędzy ludu polskiego. Z tych to faktów Gen. Jadwin wyprowadzał słuszne i uzasadnione pretensje Polaków do żydów, oraz rozgoryczenie polskie za żydowską nie-lojalność. Że w takich nastrojach musiało, zwłaszcza na tle działań wojennych przyjść do wykroczeń, do odosobnionego tu i ówdzie wystąpienia przeciw żydom i do poturbowania jednostek — to rzecz łatwa do pojęcia. Te okoliczności Gen. Jadwin wykazał faktami w swym raporcie, a później omawiał je osobiście na konferencji z Prez. Wilsonem. Swoim raportem śmiałym, prawdomównym i uczciwym Generał Jadwin zarobił sobie na wdzięczność Polaków: był nam wtedy Jadwin prawdziwie "a friend in need, and—a friend indeed".

Generał Edgar Jadwin zmarł w r. 1931.

GEORGE CREEL O AMERYKANIZACJI I AMERYKANIZATORSTWIE

Poważny tygodnik "Time" zamieścił swego czasu artykuł ciekawy, pod wiele mówiącym nagłówkiem: "How We Abused the Loyalty of Our Foreign Born"; artykuł powtórzyło kilka Pism amerykańskich i sympatycznie go komentowano. Autorem był George Creel, szef rządowego biura prasowo-informacyjnego z przed lat kilku. Pisze on śmiało i stanowczo o tem, jak utyskiwa się, że immigranci nie dość szybko amerykanizują się, ale owej amerykanizacji nikt nie przedstawi im, nie poda w sposób godziwy, ludzki, zachęcający, za-

praszający: mówiono i pisano tyle o tutejszym "kotle ludów" (melting pot), który jednak funkcjonował zawsze licho, tak że n. p. do czasu pierwszej Światowej Wojny nie zdziałał niczego dobrego, lub bardzo niewiele. Kiedy wybuchła ta wojna dziwiono się raptem, że tysiące ludzi nie były tu "jeszcze" Amerykanami, że nie odczuwali oni w pełni lojalności dla Ameryki! Więc wtedy —z miłości ku Ameryce—zaczęto płodzić głupstwa i wymęczać wnioski amerykanizacyjne—takie, jak pomysły zamknięcia Prasy obcej, wnioski po legislaturach zniesienia języków obcych po szkołach "prywatnych", to znaczy — parafjalnych, na zebraniach i po kościołach; przecie chciano zakazywać używania mowy innej, niż angielskiej—nawet w telefonach, a był czas istotnie taki, że kto mowy obcej używał, bywał szpiegowany i podejrzewany; kto nie umiał po angielsku, miał się w domu modlić, nie wolnoby mu było do kościoła chodzić, bo tam tylko po angielsku kazać miałoby być dozwolone—tak, nawet takie pomysły amerykanizatorskie jawiły się—tu, w Krainie Wolności! Czemżeby się ta kraina różniła od Prus... gdyby choć część tych projektów spełniono—pyta G. Creel, a dalej podaje szereg wzniosłych przykładów patrjotyzmu i patrjotycznych rekordów, osiągniętych tu przez obco-plemiennych: przytaczając, wielu to żołnierzy grupy, z immigracji pochodzące, dały Armji Amerykańskiej, wiele dały żołnierzy najlepszych i pieniędzy na pożyczki krajowe, a wielu obcych wzbogaciło kulturę amerykańską. Rekordy owe są tak świetne, iż zaiste w niczem Amerykanom rodowitym nie ustępują!

Cały artykuł G. Creel'a jest zwrócony ostro przeciwko *nietolerancji i szowinizmowi w amerykanizacji.* Jest to głos najsilniejszy, osąd prawy, największy zaszczyt autorowi przynoszący: to głos, żądający sprawiedliwości dla młodszej braci amerykańskiej w tym Kraju.

KS. ARCYBISKUP CURLEY O AMERYKANIZACJI

Podam jeszcze inny głos i sąd, ze wszech względów miarodajny — Ks. Arcybiskupa Michała J. Curley, Ordynarjusza Baltimorskiej Archidiecezji, który przy pewnej ważnej okazji—publicznie powiedział, co następuje (słyszeliśmy sami):

"Ja znam Polaków; wiem, że Polacy i ich Naród sławny mają w rodzinie ludów chrześcijańskich dobrze nabyty przydomek "Narodu Zawsze Wiernego" chrześcijańskiej idei i kulturze: "Polonia semper fidelis" nazywa Was świat cały. Polacy są ludem, wiernym wszystkiemu, co kochają, co czczą i szanują, a więc dla Wiary Bożej, której byli i pozostali sławnem przedmurzem, dla cywilizacji chrześcijańskiej, dla pięknego obyczaju swego, dla tego, co się nazywa cnotliwe, dobre i święte. O, pozostańcie na zawsze takimi, poprzez wszystkie Wasze w tym Kraju pokolenia! Ja wam to powiadam, wasz Arcypasterz, który dla was i wśród was Polakiem być pragnę, a byłbym o wiele szczęśliwszy, gdybym mógł wam to powiedzieć po polsku. Pozostańcie wiernymi wszystkiemu, co zacne i piękne, szlachetne i dobre—we waszej Polskości. Będąc takimi, przedewszystkiem zostaniecie wiernymi Waszej Wierze, a taka wierność jest jedną z najwznioślejszych rzeczy, tak wierząc, będziecie obywatelami dobrymi, bo będziecie stawiali sobie ponad sprawy codziennego życia—Autorytet Boży, większy i ważniejszy od wszystkich praw i ustanowień ludzkich; będziecie wychowywali godziwie i uczciwie wasze dzieci—na pożytek tego Kraju i na pożytek całej Ludzkości. Pozostańcie wiernymi polskim ideałom, któreście do tego kraju przywieźli. Stany Zjednoczone są konglomeratem i zesumowaniem sił, wpływów, dorobków i kultur—wielu różnych narodów. My tu przecie wszyscy jesteśmy przybyszami i taka tylko jest między nami różnica, że

jedni przybyli trochę wcześniej, a drudzy—trochę później. Wartość prawdziwa, moralna i kulturalna te mają największe znaczenie. Czynniki zasię, jakie Wy tu przynosicie, są nieocenione: tych się wyrzekać nie trzeba, wyrzekać się ich nie godzi się! Zaparlibyście się przecie takich tytanów ducha, jak Kopernik, Curie-Skłodowska, jak Sienkiewicz i Paderewski, jak Chopin, jak Kościuszko i Pułaski! Ludzie, należący do takiej rasy i ludu, co takich wydał mężów, stanowiących klejnoty Ludzkości całej, byliby albo głupi, albo ślepi, gdyby się przynależności do ich szczepu wyrzekali! Bądźcie zatem wiernymi ich świetnemu dziedzictwu i pomnijcie—że, aby być dobrymi Amerykanami, jakimi wszyscy być chcecie i być powinniście, jakimi wszyscy mieć Was chcemy, nie trzeba, abyście się wyrzekali polskiego pochodzenia, abyście kryli się z niem i zacierali je! Jeślibyście się zapierali Polskości, nie bylibyście godni nazwania wiernymi, a i Ameryka ufaćby Wam nie mogła, bo musiałaby się obawiać, że w odpowiednich okolicznościach zaparlibyście się i jej, wyrzeklibyście się i jej także. Można być stuprocentowym Amerykaninem polskiego pochodzenia, bo wolna, republikańska Polskość i wolny nasz obywatelski Amerykanizm—to rodzeństwo bliźnie: razem one stwarzają mocną, jak stal i złoto, konglomerację, która wystarczyć powinna na wieki całe. Pozostańcie tedy wiernymi pochodzeniu Waszemu. Mówcie jak najlepiej po angielsku, uczcie tej mowy dzieci Wasze, bo to tu mowa krajowa,—ale nie zapominajcie mowy polskiej, bo to mowa Sienkiewicza i tych wszystkich, których wzmiankowałem. Lepiej jest umieć dwie mowy, niż jedną, jak lepiej jest mieć dwie ręce do pracy, niż jedną... Przyjaciele moi, Polskiego Pochodzenia Amerykanie: pozostańcie *zawsze wierni*, "semper fideles": wierni swej własnej tradycji, wierni Gwiaździstemu Sztandarowi, wierni Bogu, w tem wzrastajcie i mnóżcie się na trwały pożytek naszej Republiki".

Oto w tej pięknej, podniosłej enuncjacji odpowiedź i uspokojenie być powinno dla wszystkich naszych Młodych, którym ze Starszymi porozumienie już trudne, a Polskość daleką się wydaje i obcą. Starzy—pójdą; świat — przed Młodymi! Niechże tu nasi Młodzi wszyscy światli i zacni, pojmą swą zaszczytną rolę, i podejmą ją, jako Amerykanie Polskiego Pochodzenia—dla dobra Ameryki i dla dobra Polski.

MIARODAJNA OPINJA W SPRAWIE KAZAŃ PO ANGIELSKU W KOŚCIOŁACH POLSKICH

Wzmiankowano w osnowie Rozdziału, że po niektórych parafjach polsko-amerykańskich zaprowadza się jedno, lub więcej kazań w języku angielskim; księża, czyniący to, kierują się smutnym tym przejawem, że wielu parafjan, młodych zwłaszcza, już nie rozumi po polsku, przeto stronią od kościołów i parafij polskich. Rzecz ta wywołała swego czasu dłuższą dyskusję, faktycznie —dotychczas nieskończoną, a zdania co do kazań angielskich w polskich kościołach są wciąż podzielone, choć—niestety—parafij polskich, praktykujących ów obyczaj, z konieczności przybywa.

Oto co o kwestji tej sądzi O. Justyn Figas, O.M.C., poważany w Polonji działacz i kierownik t. zw. "Godziny Różańcowej" polskiej, prowadzonej od lat kilku z radjo-stacyj miast z większą ludnością polskiego pochodzenia:

"Nie wolno jest polskim kapłanom usuwać polski język z kościołów i ze szkół katolickich polskich. Kapłan jest dla ludu, nie lud dla kapłana. A więc —dla Ludu Polskiego, kapłan-Polak. Lecz często bardzo bywają sami Polacy tu winni: mamy takich Polaków, co się wstydzą swego pochodzenia i swego języka, a wymagają, aby kapłan wprowadził język inny, odgrażając się, że

pójdą gdzieindziej; są tacy niby-Polacy, którzy nie chcą, aby ich dzieci uczyły się języka polskiego w szkole; którzy nigdy w domu tego języka polskiego nie używają. Cóż ksiądz ma zrobić? Albo—co mówić o tych parafjach, do których granic wprowadzili się cudzoziemcy, a Polacy się wyprowadzili? Są tu więc rozmaite trudności i okoliczności. Przyznaję, że niestety są i kapłani-Polacy, lecz to tylko wyjątki, którzy pogardzają wszystkiem, co polskie, wyśmiewają się ze zwyczajów polskich, tak drogich naszemu ludowi, szydzą z mowy naszej itd., a w ten sposób urabiają podatny grunt dla rozmaitych sekciarzy, którzy na wędkę narodowości i patrjotyzmu chwytają ofiary. Na miejscu będzie przytoczyć słowa ś. p. Ks. Arcybiskupa Cieplaka, który w pożegnalnej swej mowie z d. 10 lutego, 1926 r., do Polonji wołał: "Zauważyłem, że dziatwie polskiej grozi tu wielkie niebezpieczeństwo. I jeżeli nie weźmiecie się do pracy, jeżeli nie uczynicie niczego, aby się stała polską, wynarodowi się niechybnie. Jakaż to wielka będzie siła polska, jeżeli tę dziatwę należycie wychowacie! Ale trzeba zaraz wziąć się do pracy. Nie zwlekać ni dnia, ni—godziny! Niech wezmą się za dzieło to Organizacje świeckie, kapłani, słowem —wszyscy pod jednem hasłem, na jednej drodze. Jest to moje serdeczne przed odejściem od Was wskazanie, moja najgorętsza—jakby prośba do Was! Prośba do świeckich i do duchownych. Jest tu już polska inteligencja: wzrasta ona z dniem każdym. Pracujcie nad nią, aby pamiętała, skąd pochodzi. Wciągajcie ją w swoje szeregi. Zachęcajcie ją, aby stanęła w pierwszych szeregach do walki. Spotkałem wielu młodych księży, którzy rozumieją to zadanie. Trzeba ich pozyskać dla sprawy. W Chicago jednego wieczoru przyjmowała mnie młodzież polska zorganizowana. Spędziłem z nią bardzo mile kilka godzin. Wszyscy zapewniali mnie, że będą bronili polskości. Wszyscy czuli się po polsku. O młodzieży polska! Zastanów się nad tem, kto łożył na twoje wychowanie. Czy nie rodzice polscy? *Bądźcie Polakami!* Do was, młodzieży, należy przyszłość. Idźcie drogą Ojców waszych, drogą świetlaną, piękną, *miłością Boga i Ojczyzny nakreśloną!* Nie zrywajcie z Ojczyzną, z tradycją polską!"... Gdyby wszyscy Polacy zadość uczynili prośbie tego ś. p. Męczennika Kościoła i Narodu, ktoby nam dał radę? Ktoby nas mógł wynarodowić, jeśli tego uczynić nie zdołały, ani miecz w żelaznej garści Prusaka, ani nahajka w ręku rozpasanego Moskala! Niech każdy z rodaków mówi do współrodaków po polsku; niech ojcowie i matki mówią do dzieci naszym językiem; niech młodzież i dzieci nie wstydzą się go używać—wtenczas kto nas wynarodowi? Uczmy się po angielsku, bo ten język jest nam nietylko pożyteczny, lecz potrzebny, ale *nie wyrzekajmy się, nie zapominajmy, a tem bardziej nie wstydźmy się języka ojców naszych, bo po Wierze, to jest najcenniejszy dar, przez Boga nam dany—nasz język polski!*" ...

Z DYSKUSJI O MŁODYCH I O ICH POLSKOŚCI

Autor książki niniejszej otrzymał swego czasu (w ostatnich latach) list skreślony do Redakcji Pisma, którą kierował, pochodzący od młodego Amerykanina polskiego rodu, który usuwa się od polskości, zrażony do niej—tem, co w kołach polskich spotyka: rozterkami, waśniami, uprawianiem małych partyjnych polityk, przeważnie nietutejszych, a przeszczepianych między nas z Polski, co się tu polskim patrjotyzmem nazywa... Rezultat tych wrażeń—taki, że ten młody, widocznie inteligentny, człowiek nie chce mieć niczego wspólnego z Polakami, którzy nie umieją zdobyć się na poważny i porządny, amerykański sposób myślenia, "żrą się" między sobą, a w dodatku poniżają to, co temu Amerykaninowi jest drogie. A więc to kwestje fundamentalnie do-

niosłe, dotyczące utrzymania polskości wśród modych pokoleń polskich w Ameryce, czyli samego przetrwania naszego w tym kraju: to, o czem w osnowie Rodziału piszemy. Z tym przygodnym kontrybuentem (K. S.) naszej gazety przeprowadziliśmy dyskusję prasową, której zwięzłe streszczenie może przyda się tu—jako illustracja naszych problemów bieżących, a poglądów na nie, wyrażanych w tej książce.

Więc podaję wzmiankowany list—w tłumaczeniu:

"Nie jestem biegłym w polskim języku, dlatego przedstawię sprawę po angielsku: Rodzice przykazują mi, abym czytał polskie książki i gazety i żebym mówił po polsku; ojciec rzeczywiście daje mi polskie gazety, ale nie interesują mię one; widzę w nich intencje nie pouczenia, a szkodzenia, nie uzyskania czegoś ogólnie dobrego, a wyzyskania przeciwnika..."

Autentyczne są te utyskiwania; jeszcze w domu K. S. nie jest najgorzej, skoro coś tam czytają i nakłaniają do mowy polskiej; gdyby ojciec K. S. dawał mu był dobre gazety od młodu, a potem, gdyby sam interesował się był jakiem Pismem dobrem i trzymał się go, toby syn pewnie nie doszedł do tak niesprawiedliwej generalizacji pojęć o tutejszej Prasie polskiej.

"Mówiono mi—pisze dalej—że wszyscy Polacy są katolikami, a oto widzę, żem się mylił. (Widocznie—dano mu gazety przeciw-religijne.) Przekonuję się, że Polacy raczej odwracają się od Kościoła i kpią z tych, co są wierni religji. Pod tem wrażeniem wyrobiłem w sobie niechęć, prawie odrazę ("aversion") do wszystkiego co polskie i wprost wstydzę się mego pochodzenia. Chodzę teraz do kościoła nie-polskiego i nie żal mi wcale, że we wszystkich moich stosunkach i sprawach nie muszę się mieszać z żywiołem polskim. (Tu zaznaczono niedwuznacznie ów czynnik, tak odtrącająco działający na młodych Polaków-Amerykanów, szydzenia z religji, rzecz nie do pojęcia dla prawdziwych Amerykanów, uprawiana wśród nas zdawna przez antyreligijne Pisma i osobniki.)

"Wierzę, że jeśli my, Amerykanie polskiego pochodzenia (to "my" brzmi przecie pocieszająco...) zapomnimy o Polsce, to będziemy mieli spokoju więcej, mniej okazji do ciągłych a wstrętnych sporów, więcej zaś skorzystamy ze szans kraju tego, w którym żyjemy. (Nie koniecznie: to z tamtego nie wynika...) Powiedziałem ojcu, iż choć on ma papiery obywatelskie, nie jest prawdziwym i szczerym Amerykaninem, gdyż, jeśliby nim był, toby żył podług wskazań i pojęć tutejszych; odrzuciłby dawne zależności i nie dawałby połowy serca Ameryce, a drugiej połowy—Polsce: nikt nie może służyć dwu ojczyznom"...

Tu rzecz zasadnicza, której nie rozumi ów młody Amerykanin Polskiego Pochodzenia, a wśród trudnych konfliktów jakie się w duszy jego wytworzyły na tle wychowania, rady sobie z gniotącym go problemem dać nie umie. Poniżej—streszczenie cyklu całego artykułów, jakiemi odpowiadając, starałem się ulżyć mu, a uspokoić go i pozyskać zpowrotem.

Prawdziwości amerykańskich poczuć naszych Polacy dowiedli w całych dziejach Stanów Zj., n. p. w pierwszej Wojnie Światowej, w amerykańskiej armji, w której liczbą i dzielnością świetne zrobili rekordy: okazaliśmy wówczas, iż umiemy dobrze obrać powinność pierwszej lojalności i tę oddaliśmy Stanom Zjedn., niosąc im mienie, krew i życie. Polsce oddaliśmy to, co nam ponad te najpierwsze obowiązki zbywało, a też daliśmy obficie i również szczerze. Umiemy służby nasze nieść przedewszystkiem Ameryce, a bodaj sentyment winniśmy i możemy zachować dla Polski. Nie jest prawdą, że aby być dobrym Amerykaninem koniecznie trzeba zapomnieć o ziemi przodków: nawet wybitni mężowie amerykańscy pouczają nas o tem! Za pewnik uważamy

taki sposób myślenia, iż rozumnie amerykanizując się sami, możemy to czynić dobrze, godziwie, nie zrywając przecie z Polskością. Do takiego sposobu myślenia i postępowania jesteśmy powołani wszyscy, zwłaszcza tu, gdzie stanowimy garstkę tylko—i to, niestety, wciąż dzielącą się na obozy, waśniące się między sobą i szkodzące sobie wzajem. Okoliczność to dla nas bardzo niepomyślna, grozi nam bowiem osłabianiem się stałem i zanikiem w morzu innonarodowem; tedy choćby tylko dla samoochrony wymagać musimy współpracy na rzecz utrzymania polskości od wszystkich światłych a prawych Polaków, oraz współdziałania wytrwałego celem zachowania plemiennych cech naszych. To jest sprawa bytu lub nie-bytu naszego w Ameryce!

Młode pokolenie powinno szanować *siebie samych*—tak, aby tego, że są polskiego pochodzenia nie wstydziło się i nie zapierało. Pod tym względem spotykamy u nas błędów—co niemiara. Zdarza się często, że ten lub ów chłopak, albo dziewczyna, obcujący więcej z innonarodowcami, wstydzą się polskiego imienia i pochodzenia, dlatego pierwsze przekręcają i zmieniają, a z drugiem się kryją. Takie zaparcie się swego gniazda (pewnego rodzaju "inferiority complex") jest w każdym wypadku rzeczą małej inteligencji, lichego charakteru i słabego poczucia godności osobistej. Dla zdobycia rozumnej, godziwej amerykańskości nie trzeba porzucać swego pochodzenia narodowego.

Amerykanami być tu powinniśmy wszyscy. Kto z nas zamierza wracać do "Starego Kraju", ten słusznie może pragnąć zachować swą przynależność polską, narodowo-polityczną; ale kto nie wraca, kto się decyduje tu zostać, ten powinien ponosić wszelkie takiej decyzji konsekwencje—dla siebie, swojej rodziny i przyszłych naszych w tym kraju pokoleń; w ich więc interesie powinien starać się o rozumną amerykanizację — w szlachetnem tego słowa znaczeniu, które bynajmniej nie oznacza ni poleca—renegacji, a żąda zostania obywatelem, wypełniania obywatelskich powinności i przywilejów, nauczenia się jak najlepiej języka, poznania obyczaju krajowego, ażeby nas tu nie miano za niepoprawnych separatystów, za żywioł, starający się wytworzyć *quasi* "państwo w państwie", bo tego żaden rząd nie zniesie i znosić nie ma obowiązku.

Jako Amerykanie polskiego pochodzenia — będziemy mogli w przyszłości służyć dobrze dawnej Ojczyźnie, będziemy mogli ważne wywierać wpływy na jej korzyść, uczyć, kształcić, krzewić ducha przedsiębiorczego, przystosowywać zdobycze amerykańskiego postępu do warunków polskich, poprawiać je—pod każdym względem, a o ile mieszanie gatunków roztropne jest we wszelkiego rodzaju gospodarce metodą dobrą, powszechnie dzisiaj stosowaną, tak i my możemy przez przymieszkę Amerykanizmu poprawiać stosunki, pojęcia i stopę życia w Polsce.

Prawie dotąd—wynaradawialiśmy się trudniej, niż gdzieindziej, trudniej —niż inni przybysze tutejsi. Jako pierwszą tego przyczynę wymienię różnice plemienne i językowe, bardzo trudne—zwłaszcza dla człowieka, jedną tylko mową władającego; język polski, ze słowiańskich jeden z trudniejszych, jest bardzo odrębnie odmienny n. p. od angielskiego. Dalej bronią nas od wynarodowienia—religja i obyczaj ojczysty; rola religji w tej dziedzinie spraw jest znamienna i znana: ogólna myśl przewodnia, skupianie się nasze po parafjach i przy kościołach, obcowanie ze sobą, małżeństwa między swymi—to wszystko nas utrzymuje przy narodowości własnej. Nie przeszkadza to bynajmniej, że wobec obcych podajemy się za Amerykanów, że chcemy być za nich brani, chcemy mieć te same przywileje, że stale się o nie dobijamy. Tak jest wszędzie—już w drugiej generacji, tu zrodzonej. W trzeciej bywa o wiele gorzej: ta nierzadko już języka polskiego nie zna, lub go zapomina, nie brak nawet

rozmyślnego separowania się od swoich (przykładem — list cytowany): tacy zrywają stosunki z Polakami, usuwają się precz od parafji, do Organizacyj polskich nie należą, zawierają małżeństwa mieszane, już tylko za Amerykanów się podają. Tak bywa coraz liczniej czasy obecnemi, a wszystko to—jest niewłaściwe i niepotrzebne, wszystko dla Polskości zabójcze.

Niechajże tego zabójstwa własnej narodowości czy odrębności plemiennej nie będzie wśród młodych generacyj polsko-amerykańskich, a—by go nie było, niechaj nad tem pracują w harmonji światłych, ideowych działań — wszyscy: Duchowieństwo, Prasa, Organizacje, a nadewszystko Młodzi nasi, prawdziwie światli, inteligentni i—prawi.

INNY LIST POLAKA AMERYKAŃSKIEGO

List niżej przytoczony znalazłem w jednem z Pism polsko-amerykańskich z lat ostatnich:

"W artykułach różnych Pism przebija często jak gdyby nuta żalu i zawodu w stosunku do młodzieży polsko-amerykańskiej (z powodu wynarodowienia, postępującego wśród niej i nie-brania udziału w życiu społecznem Polonji). To samo słyszymy od ludzi ze starszego pokolenia polsko-amerykańskiego: narzekają na nas; twierdzą, że wymykamy się z pod ich wpływów, żeśmy się zupełnie zamerykanizowali, że sprawy polskie nic nas nie obchodzą.

"Nie jesteśmy bez winy, a piszę ten list po to, aby o tych sprawach nie głoszono zbyt jednostronnego sądu. Olbrzymia większość naszych rodziców przyjechała tu bez żadnych zasobów materjalnych. Pracowali ciężko i dlatego mało zajmowali się wychowaniem dzieci, zwłaszcza jeśli idzie o wyrabianie w nas pewnych zasad narodowo-społecznych. Ojciec wracał do domu spracowany, matka cały dzień miała pełne ręce roboty gospodarskiej: kto z nich miał właściwie czas na wychowanie nas w duchu narodowym? Pod tym względem kształtowało nas bezpośrednio otoczenie, nasi rówieśnicy amerykańscy, z którymi bawiliśmy się na ulicy, czy na podwórzu. Rodzice nasi przyjechali do Ameryki przeważnie przed pierwszą Wojną Światową z Polski, uciskanej przez zaborców, z kraju biednego i wynędzniałego. Przybyli przeważnie ze wsi. Jeśli wspominali kiedy o swej młodości, to ze wspomnień tych wynikało, że Polska jest biedna, że poziom życia jej mieszkańców jest niski i że istnieją tam tylko nieliczne garstki uprzywilejowanych.

Nowej, innej Polski my nie znaliśmy, bo nie znali jej nasi rodzice i nikt nam właściwie o niej nie powiadał. Poznajemy ją dopiero teraz. Widzimy, że Polska lat ostatnich, nie była wcale krajem zacofanym, mało cywilizowanym, ale przeciwnie—rozwijała się i szła naprzód pełną parą. Szkoda, że takiej właśnie Polski nie mieliśmy w naszych dziecięcych oczach. Oczy te patrzyły na wysoką stopę życiową Ameryki, na jej dobrobyt, na jej zdrowe stosunki polityczno-społeczne, a zestawienie tego, co widzieliśmy w Ameryce z tem, czego uczono nas o Polsce, stwarzało nam obraz Polski niekorzystny. Czyż w tych warunkach można było wzbudzić w nas zainteresowanie Starym Krajem i wyczarować uczucia gorącej miłości do niego?

"Tak więc chodziliśmy własnemi drogami, żyjąc tylko i wyłącznie życiem amerykańskiem i "amerykanizowaliśmy się". Dopiero teraz, pod wpływem tragedji narodu polskiego, bohaterstwa Armji Polskiej i nowych wieści o Polsce, które docierają do nas, zaczyna się przebudzenie. Tak, niestety—dom rodzicielski nie przygotował nas do obecnej roli. (Racja. Przyp. autora.)

"A jak wyglądało życie społeczne Polonji Amerykańskiej? Wprawdzie mamy całą masę Organizacyj (może ich nawet za dużo), mamy Polskie Domy

Narodowe i kluby polityczne, Organizacjom tym jednak brak silniejszych pobudek, brak warunków, które stwarzałyby odpowiednie pola pracy dla młodego pokolenia. Są to albo Organizacje, ograniczające się do ściągania składek asekuracyjnych od członków, albo koła polityczne, których "leaderzy" nie dopuszczają do głosu i akcji ludzi młodych. Przy okazji rocznic narodowych czy lokalnych uroczystości—urządza się t. zw. „akademje", bankiety i zaprasza się na te imprezy także ludzi młodych. Czasami pozwala się im nawet przemawiać. Programy tych imprez są naogół nudne. (Prawda. Przyp. autora.) Jedynie parafje polskie mają do pewnego stopnia wpływ na młodzież przez organizowanie jej w chóry kościelne, kluby sportowe i t. p. przy parafjach.

"Ostatnio także i wielkie Organizacje polskie o dużych zasobach finansowych tworzą oddziały młodzieżowe, celem wychowania młodych, którzyby przejęli warsztaty pracy, ale i tu starsi rozciągają swą kontrolę w obawie o utratę wpływów i usunięcie ich w cień przez młodych.

"Jesteśmy Amerykanami, ale w żyłach naszych płynie polska krew i kiedy czytaliśmy w gazetach, jak broniła się Polska, jak walczyli i walczą Polacy, to serca nasze biły żywiej i duma rozpiera nasze piersi. We fabrykach, czy biurach biliśmy się poprostu z ludźmi wrogimi Polsce. Dlaczego więc nie wstępujemy gremjalnie we wasze szeregi?

"Wychowani w amerykańskim dobrobycie, przyzwyczajeni do wygód i beztroskiego życia nie możemy zdobyć się na męską decyzję, nie możemy za jednym zamachem zerwać z przeszłością i teraźniejszością. Charakterów nie można urobić w ciągu jednej nocy. Nie sądźcie nas jednak zbyt ostro, bo jak widzicie wina nasza nie jest wyłącznie naszym udziałem."

Słowo autora: List powyższy jest bardzo umiarkowany, zarówno w obwinianiu starszych, jak w uniewinnianiu młodych: pisma takie i artykuły nie bywają odosobnione; świadczą one o fermencie myślowym wśród polsko-amerykańskiej młodzieży i o—możliwości pracy z nią i nad nią, roztropnie, dobromyślnie wiedzionej.

POLONJA AMERYKAŃSKA A ŚWIATOWY ZWIĄZEK POLAKÓW Z ZAGRANICY

Głośna z 1934go roku sprawa uczestnictwa Polonji naszej w "Światowym Związku Polaków z Zagranicy" najlepiej została objaśniona w sprawozdaniu, jakie złożył i ogłosił w Prasie Polsko-Amerykańskiej Cenzor "Związku Narodowego Polskiego", Prof. F. Świetlik, przewodniczący delegacji naszej na zjazd owego "Związku Polaków z Zagranicy", odbyty we Warszawie, roku wymienionego. Ze sprawozdania tego przytaczamy część esencjonalną, jak następuje:

"Istotę "Światowego Związku Polaków tłumaczy artykuł majora Fularskiego, prezesa Komisji Statutowej "Światowego Związku Polaków" i jednego z głównych twórców tego "Związku". Oto artykuł — w streszczeniu:

"Światowy Związek Polaków" ma być tworem, powołanym do życia świadomą wolą zorganizowanych społeczeństw polskich za granicą, dla utrzymywania łączności między Macierzą a Polakami za granicą. Z tego względu opierać się on będzie na zasadach powszechnego udziału wszystkich środowisk w "Światowym Związku Polaków" przez ich organizacje naczelne. Kierownictwo pracami "Światowego Związku Polaków" ma spoczywać w ręku Rady, złożonej z 36 osób. Ciałem, bezpośrednio i stale kierującem pracami "Światowego Związku", jest prezydjum Rady, złożone z 13 osób, które ze względu na technikę pracy, wymagającą częstych zebrań i obecności w kraju, składać się musi

w większości z *osób, stale w kraju zamieszkałych.* Tak pomyślany system organizacji, uzupełniony sądem, jako najwyższą instancją opinji i sumienia społecznego, daje władzom "Światowego Związku" znacznie większe uprawnienia, aniżeli to było dotychczas. Dzięki temu tworzymy organizację sprawniejszą w działaniu, *obdarzoną pewną egzekutywą i uprawnieniami w stosunku do swych członków, t. j. naczelnych organizacyj terenowych.* Z kolei *organizacje terenowe będą musiały poddać gruntownej rewizji swój dotychczasowy system i metody pracy, oraz przystosować je do zmienionych obecnie warunków.* Ewolucja, jaka niewątpliwie nastąpi na terenach, polegać będzie na likwidacji drobnych towarzystw i stowarzyszeń o niejasno sprecyzowanych celach na korzyść organizacyj wielkich i organizacyj specjalnych, powołanych do wykonania określonego programu."

Z powyższych wyjątków artykułu tego wynika, co następuje:

a) Nasze Organizacje polskie w Ameryce będą musiały podporządkować się kierownictwu egzekutywy, mającej siedzibę w Polsce.

b) Organizacje polskie w Ameryce będą musiały poddać gruntownej rewizji, czyli gruntownej zmianie dotychczasowe sposoby postępowania i prace, a przystosować się do nowych warunków i do nowych rozporządzeń;

c) Każda Organizacja Polska w Ameryce, która wstąpi do "Światowego Związku Polaków", ma opłacać podatek do prezydjum "Światowego Związku Polaków" w Warszawie, wynoszący jednego centa amerykańskiego od jednego członka rocznie;

d) Każda Organizacja polska w Ameryce będzie zmuszona, w razie przystąpienia do "Światowego Związku Polaków" poddać się sądowi organizacyjnemu, wybranemu przez Radę naczelną i zgodzić się na wyroki przez sąd ten wydane; sąd taki będzie miał prawo zawieszać Organizacje, jeżeli nie zastosują się do powziętych uchwał;

e) Prezydjum "Światowego Związku Polaków", które bezpośrednio kieruje pracami "Światowego Związku Polaków", składa się z 13-tu osób, z których większość, ze względów technicznych i dla częstych posiedzeń, musi stale w Polsce zamieszkiwać.

Po gruntownem rozważeniu statutów, uzupełnień i wyjaśnień prezesa Komisji Statutowej, majora Fularskiego, oraz po wysłuchaniu jego referatu— *delegacja amerykańska przyszła do przekonania, że nie ma mandatu, któryby ją upoważniał do zgłoszenia oficjalnego akcesu do Światowego Związku Polaków*" i nie ma upoważnienia od swych Organizacyj do podpisania zobowiązania, iż członkowie naszych Organizacyj będą płacić podatek przez Zjazd uchwalony; dlatego uznając w pełni konieczność współpracy kulturalnej i gospodarczej pomiędzy emigracją w Ameryce a Macierzą, postanowiła delegacja amerykańska oddać ostateczną decyzję najwyższym ciałom swych Organizacyj w Ameryce, jako jedynie upoważnionym do tego, zgłaszając na zjeździe swą *współpracę w zakresie kulturalnym.*

"Na zjazd przybyli Polacy ze wszystkich stron świata, — pisze w swem sprawozdaniu Prof. Świetlik — przybył rodak z państwa, które po wojnie zabrało Polsce część jej ziemi i zmusiło Polaków, na tej ziemi zamieszkałych, do zostania obywatelami tego zaborczego państwa (Rosja): każdy chyba przyzna, że Polak, mieszkający w takich warunkach, pozostanie Polakiem państwowo, chociaż jest danego państwa poddanym; że ten Polak całą duszą walczyć będzie o swoją odrębność narodową i będzie oczekiwał z utęsknieniem chwili, kiedy ziemia jego wraz z jej mieszkańcami powróci do Macierzy. Stosunek takiego rodaka do państwa, gdzie zamieszkuje, różni się zasadniczo od stosunku wolnego obywatela względem takiego państwa, jakiem są Stany Zje-

dnoczone. Przybył też na zjazd rodak z innego kraju, do którego udał się po wojnie, by odbudować zniszczone wsie i miasta, teraz zaś kiedy ta praca została ukończona, rząd tego państwa ładuje naszego wychodźcę do wagonu kolejowego i wysyła go z powrotem do Polski, mówiąc mu, że zjada chleb obywateli tego kraju i odbiera im pracę (Francja). Tak samo przybyli na zjazd do Warszawy rodacy z innych terenów, na których istotnie stanowią *mniejszości narodowe*. Byli jeszcze inni, przybyli z krajów w których wychodźtwo polskie jest jeszcze bardzo młode, niedoświadczone i niewyrobione, gdzie rodacy nasi są w dalszym ciągu obywatelami Polski i gdzie oczekują chwili, by po zarobieniu nieco grosza mogli powrócić na łono Ojczyzny. Przedstawiciel każdej z tych grup Polaków, przemawiając na zjeździe, wyłuszczał swe bolączki i krzywdy, które Polacy na tych terenach muszą znosić.

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa wychodźtwa polskiego w Stanach Zjednoczonych. Składa się ono w małej części z obywateli polskich, a w ogromnej większości z *obywateli amerykańskich*. Uważają się oni za równych innym obywatelom Ameryki, uważają się za panów tej ziemi i krajem tym—na równi z innymi—rządzą, sięgają po najwyższe urzędy i starają się, aby nazwiska polskie znajdowały się na najwyższych stopniach życia. Innemi słowy—*Polonja w Ameryce nie jest ani kolonją polską, ani mniejszością narodową, lecz składową częścią wielkiego Narodu Amerykańskiego*, dumna jednak ze swego polskiego pochodzenia i dbała o to, by w sercach młodej generacji zakorzenić miłość do wszystkiego, co polskie. Ażeby więc nie powstała żadna kwestja co do naszego stosunku do Ameryki, delegacja nasza uważała za rzecz konieczną jasno podkreślić swoje stanowisko—tak, jak to uczyniła w złożonej na zjeździe deklaracji, nie chcieliśmy bowiem, aby przez nasze milczenie powstała jakakolwiek wątpliwość co do naszego stosunku względem Stanów Zjednoczonych i aby zdania, jakie były na zjeździe wygłoszone przez rodaków z innych terenów pod adresem krajów ich zamieszkania, zostały nam przypisane. Pozatem należy pamiętać, że zjazd ten był poważnym i doniosłym Sejmem, na który były zwrócone oczy całego świata i całej Prasy zagranicznej. Chociaż czołowi ludzie w Polsce znali dokładnie nasz stosunek do Ameryki, to jednak było wielu takich rodaków, tak w Polsce, jak i z różnych terenów poza granicami Polski, którzy nas wcale nie znają i sądzą, że Polonja Amerykańska jest tak samo, jak w innych krajach, "mniejszością narodową". Dlatego w pełnem porozumieniu z czołowymi ludźmi w Polsce, na każdym kroku podkreślaliśmy, iż jesteśmy dumni ze swego polskiego pochodzenia, że pragniemy pracować nad podniesieniem Imienia Polskiego, zachować nasz piękny język polski i tradycje narodowe polskie, jednak jesteśmy obywatelami Ameryki, i czujemy, że właśnie przez branie czynnego i twórczego udziału we wszystkich poczynaniach życia amerykańskiego, najwydatniej możemy służyć także i Polsce, bo im wyższy będzie nasz poziom w Ameryce, tem więcej chluby i pożytku przyniesiemy Polsce i narodowi, z którego pochodzimy. Nam nikt w Ameryce nie zabrania mówić po polsku, urządzać obchody narodowe, kochać nasze tradycje i zachowywać je, zaznajamiać naszą młodzież z kulturą narodu polskiego, z którego pochodzimy. Mamy największą swobodę działania we wszystkich naszych poczynaniach na niwie narodowej polskiej, bo pracujemy dla polskości samodzielnie, jako obywatele naszego kraju, Stanów Zjednoczonych.

Pozatem najściślejsza współpraca z każdą organizacją kulturalną w Polsce jest dozwolona i nikt nam jej na przyszłość nie wzbrania; ale gdyby się okazało, że ta nasza praca na niwie narodowo-polskiej nie pochodzi od nas samych, lecz działamy — jako członkowie organizacji, której zarząd główny

znajduje się poza granicami Stanów Zjednoczonych i że ta egzekutywa, w której Polonja nasza miałaby minimalną reprezentację, nadaje kierunek naszej pracy narodowej, to znaleźlibyśmy się w zupełnie innem a nader trudnem położeniu.

Wobec tego wszystkiego złożono definitywną na wzmiankowanym zjeździe następującą deklarację:

My, Przedstawiciele Organizacyj Polskich w Stanach Zjednoczonych Ameryki, korzystamy z okazji naszego przybycia do Polski i wyrażamy Jej głębokie uznanie i podziw dla ogromnego rozwoju, jaki spostrzegamy w kraju. Przybycie nasze do Polski i zetknięcie się z prastarą kulturą i pamiątkami, ze szczerą pracą w imię ogólno-ludzkich haseł—utwierdziło nas w przekonaniu, że Polska jest na drodze do najświetniejszej przyszłości. Cieszymy się z tego i radujemy.

Swą działalnością Wychodźtwo w Ameryce w najważniejszych chwilach uzyskało w pełni sympatję Rządu i wielkiego Narodu Amerykańskiego na rzecz Narodu Polskiego. Wychodźtwo to stanowi silny i trwały łącznik między Polską a szczerym i bezinteresownym jej przyjacielem, jakim są Stany Zjednoczonę Ameryki.

Uważając się za nieodłączną część składową wielkiego Narodu Amerykańskiego, bierzemy czynny i twórczy udział w każdej dziedzinie życia amerykańskiego i w ten sposób przyczyniamy się do podnoszenia Imienia Polskiego w naszym kraju.

W pracy tej Polonja nie zamierza ustać w przyszłości, ale przeciwnie—chce ją kontynuować. Dlatego też my, Delegaci Organizacyj Polskich w Stanach Zjednoczonych złożonych z Obywateli amerykańskich, w imieniu tychże Organizacyj, zgłaszamy gotowość współpracy ze "Światowym Związkiem Polaków z Zagranicy" *w zakresie kulturalnym—w tem rozumieniu, że nasza decyzja podlega aprobacie najwyższych władz, to jest Zarządów i Sejmów naszych Organizacyj.*

Prezydjum Delegacji Amerykańskiej na II-gi Zjazd Polaków z Zagranicy: Fr. X. Świetlik, Cenzor Zw. Nar. Pol.; Dr. B. Smykowski, Zj. Pol. Rz. Kat.

XV.

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA. POLONJI ROLA W NIEJ I—PO NIEJ

Jak grom z jasnego nieba, runęła na nas onego września, 1939-go roku—lawina niesprowokowanego najazdu niemieckiego, który w miesiąc rozwiał "sny o potędze" mocarstwowej Polski, zamieniając ją w padół nieszczęścia i nędzy, a rozwierając na świat cały szeroko—wrota Wojny, tak potwornej, jakiej dzieje nie znają. Huragan ów katastrofalny nie był przecie zupełnie niespodziewanym. Od lat paru zanosiło się nań, po prawdzie — mógł on był rozpętać się i o rok lub lat dwa wcześniej, bo Niemiec polityka, przeniewiercza a zaborcza, wyraźnie zmierzała do wojny nowej, marna zaś i bezambitna polityka oportunistów a defetystów w Anglji i we Francji—tolerowała prowokacje i gwałty otwarte Mussolinich i Hitlerów, których usiłowano uspakajać i ułagadzać, ustępując im na każdym kroku, byle ciszę pokoju łatać sztucznie, przedłużać, nawiązywać układami, gdy już się rwała raz-poraz; widziano ciągnącą burzę wojny, lecz próbowano ją zażegnać, zwlekano "do jutra"—niech po nas choć i potop nastanie! . . . I nastał.

Druga Wojna Światowa prawdziwie potopem niedoli i cierpienia zalała wszystek świat i na lat opłakanych cały cykl krwawy spętała społeczności w śmiertelne wysiłki zbrojeń przeolbrzymich, ofiar nieskończonych, poświęceń wszystkiego i wszystkich—naco? . . . czy aby polityków garść, co mężami stanu zwą się—po wojnie tej mogła znowu przetargi urządzać sobkowskie, a pochowawszy idee i hasła do rekwizytorjum—jako już niepotrzebne rupiecie, wyfrymarczyć znowu i wyłatać ćwierćwiecze sztucznego pokoju? . . . Tak zrobiono po pierwszej Wojnie Światowej. Czy znowu tak robią po drugiej? . . .

Niema w świecie zdań dwu co do tego, że druga ta Wojna—jest jeno pierwszej skutkiem, ciągiem dalszym, jest po dwudziesto-

letniej przerwie jej kontynuacją, jej końcową rozgrywką. Rozumiemy to w sensie takim, że nie byłoby tej wojny drugiej, gdyby pierwsza była porządnie skończona, oraz gdyby po niej pokojowe układy i przemiany były dokonane uczciwie, gruntownie, z myślą o zapewnieniu przyszłości. Prezydent Wilson—jeden—myśl taką miał, chciał ją w czyn, w życie przekować, chciał—podług niej na świecie stosunki i warunki współbytowania ludzi i ludów tak urządzić, aby wszystkim było lepiej—prawdziwie i trwale, "aby ta ziemia była lepszem miejscem do życia dla ludzi i ludów". Ale—Wilson był jeden taki: dlatego, zrobiwszy zeń nowoczesnego Mojżesza dla zgłodniałych i znękanych mas europejskich narodów, poza jego plecami natrząsali się zeń starzy krętacze i przechery w rodzaju n.p. Lloyd George'a ... a robili swoje—jak to ich egoistycznym odpowiadało planom krótkowzrocznym i wyrachowaniom chciwym.

Rozumieli Wilsona—zapewne tylko Polacy, Dmowski i Paderewski: wiemy o tem, odczuwamy to. Ale ci nasi we wersalskiej orkiestrze na mniej ważnych grali instrumentach, główni zaś koncertanci na sobie—dla siebie skupiali aplauzy i zyski. I — dziwna rzecz—nawet w Stanach Zjedn. nie podtrzymano ideologji Wilsona: tu znowu partyjne polityki oświadczyły się przeciw niemu, w nieszlachetne złączyły się sprzysiężenie, które dla interesów stronnictwa zdecydowało się zaprzepaścić idee międzynarodowych celów wojny, powszechnego dobra demokratycznych narodów i trwałego na pewne pokoju. Tyle kosztowała wojna ta—Amerykę, że słuszną i uzasadnioną była reklamowana hucznie rezolucja, że będzie to wojna ostatnia! Tymczasem — ledwie skończyły się zmagania bojowe, ledwie przyszło do pokojowych porozumień — wyłoniły się przeciw Wilsonowi w jego własnej Ojczyźnie opozycje, długo pokrywane cenzurami wojennemi, a w rezultacie rychło zapomniano o wszystkiem, o co szło w tej wojnie, a knowano tylko, by Wilsona do wpływu w nadchodzących wyborach, a jego partji do zwycięstwa w nich nie dopuścić. Tak—małe rzeczy, tak stosunkowo drobne i doczasowe, obaliły wielkiego człowieka, a ubiły sprawę nieskończenie ważną trwałego pokoju, którego wschodem promienynm mogło być zwycięstwo Koalicji w pierwszej Wojnie Światowej.

Powiadają, że wojnę ową skończono źle. Prawda to, ale narody aljanckie tak były znużone czteroleciem zmagań się ciężkich, tak wyczerpane, że z najpierwszej skorzystały możności przerwania i skończenia działań zbrojnych: Francja chciała kończyć — kończyć za wszelką cenę; Anglja też dosyć miała; Stany Zjedn. gotowe były na inwazję Niemiec: Pershing i Foch chcieli pokój robić dopiero w Berlinie, ale—cóż—tamci nie chcieli; zwłaszcza też Anglja aż takiego pogromienia Niemiec nie życzyła sobie. Anglja zawsze była zwolenniczką równowagi potęg na kontynencie europejskim, przeto nie chciała, aby jej na nim ktokolwiek urastał—tak, by jej nie był na rękę; więc z Francją razem złamała Niemcy, ale po ich złamaniu i Francji za potężnej Anglja nie chciała widzieć, dlatego sprzeciwiła się inwazji Niemiec, dlatego i Polsce—za wielkiej, za mocnej, sprzeciwiała się również, bo Polska być miała naturalnym aljantem — Francji przedewszystkiem. Stąd to ulgi czyniono w Traktacie Wersalskim dla Niemiec, stąd uchwalono rygory, potrzebne tylko Anglji, nigdy nie sytej kolonjalnych zaborów, stąd także dawano udogodnienia w obliczeniach odszkodowań, odbiorze sprzętu wojennego, a w kontroli zbrojeń—"patrzenie przez palce"; stąd w ustępowaniu ziem, Polsce należnych, wybiegi i połowiczne metody, *ala* Gdańsk —"wolne miasto", lub plebiscyty śląskie, czy pruskie; stąd wreszcie samychże Prus Wschodnich zostawienie Niemcom—na oczywisty zalążek przyszłej, nowej Wojny, na niezawodny a bezpieczny lęg prusaczego junkerstwa. Taki koniec Wojny, takie po niej pokojowe łataniny—musiały dać, jako nieuchronny rezultat —sytuację niejasną, niepewną, a w niej wnet zrazu układne, hipokrytyczne wybiegi Niemców, byle jak najwięcej skryć, utargować, wnet zaś, gdy wytchnęli po przegranej—knowania ich stają się coraz bezczelniej otwarte, mają za cel już widoczny—powrót co rychły do znaczenia, do sił—poco? — dla odwetu, dla zemsty. A gdy partja "Nazi" (Nazional Socialisten) opanowała Niemców rząd i społeczeństwo, podnosi wrzaskliwy głos tej zemsty, zapowiada odwet na całą Europę, w twarz światu ciskając obelżywie zmyślone imputacje—a to, że Niemcy wojny nie przewinili, że nie byli jej sprawcami, a to — że w niej nie zostali zwyciężeni uczciwie, że im zwycięstwo wyłudzono podstępem, odzianem w

czternaście punktów Wilsona, którym zawierzyli ... więc — nie myślą płacić więcej odszkodowań i żadnych nie uznają ni rygorów, ni sankcyj nad sobą.

A Koalicja? Koalicja z ceremonjami zaprasza Niemców do Ligi Narodów—na to, by się na nią i na Ligę tuż potem obrazili i opuścili to towarzystwo, z którem ostentacyjnie nie chcą mieć nic do czynienia! ... Niedługo potem następuje ich zajęcie zbrojne Nadrenji, zdecydowane pogwałcenie Traktatu Wersalskiego, bo Nadrenja miała pozostać stale zdemiliteryzowana ... Później już idzie bardzo szybko jedno za drugiem: "bluff" i gwałt, gwałt i "bluff": odebranie Litwie Kłajpedy, zabór Austrji, atak na Czechy, wreszcie—zatarg z Polską o "Kurytarz Gdański". Bez wypowiedzenia wojny—wrzesień 1939, przygotowany zdawna zdradziecko, intrygą, knowaniem, szpiegostwem, przeniewierstwem — wszelkiemi metodami "Vtej Kolumny" — tej typowo niemieckiej nowości w prowadzeniu wojny i łotrowskiem jej przygotowywaniu w kraju, w domu własnym przeciwnika ... I pomyśleć, że tego wszystkiego można było uniknąć. Dziś wiemy pewnie, że stanowczość ze strony Francji w chwili, gdy Niemcy zbrojnie (lecz słabo) wkroczyli do Nadrenji, jakaś — bodaj częściowa mobilizacja, postawienie na granicy jednego, dwu korpusów wojska—byłyby niezawodnie wstrzymały zapędy niemieckie, bo wtedy Niemcy do wojny nie byli gotowi jeszcze ... Ale dziś wiemy również, że Francja bić się nie chciała, do wojny nie była również ni przygotowana, ni skłonna, a co ważniejsze, już wtedy nurtowały w niej prądy kolaboracji z Niemcami, później tak skwapliwie wyrażone przez jej rząd "Vichy" (od nazwy miejscowości, w której rząd Petain'a rezyduje). Podobnież Anglja jedynie umiała się zdobyć na politykę lichej pokojowej łataniny (appeasement), a jej późniejszy wojenny premjer, Churchill, należał do ludzi najostrzej krytykowanych i zwalczanych.

Podobno Polska—miała w swoim czasie planować wspólną akcję sprzymierzonych mocarstw przeciw Niemcom, ale na plan ten ani Francja ani Anglja nie zgodziły się: więc Polska—zgodziła się z Niemcami w pakcie nie-agresji, co się jej nie zdało na nic, jak to wypadki polityczne i wojenne okazały; zdało się to tylko Niemcom, którzy tem swobodniej przeprowadzali w Polsce

—na tle reprezentacyjnych wizyt i dyplomatycznych polowań—swoje szpiegowskie organizacje i kompletowali wiadomości o Polski siłach, rozlokowaniu wojsk, kolejach, drogach itp. Wtedy też Niemcy nakłaniać mieli Polski rząd do wspólnej wyprawy na Rosję, Polska nie poszła na to, bo miała i z Rosją ów "pakt nieagresji", który pomógł jej—we wrześniu 1939 akurat tyle, ile jej z Niemcami posłużyło porozumienie analogiczne. Zato sowiety rosyjskie pokumały się z Niemcami, a w chwili, gdy Polska—nawet po pierwszych ciosach przemocy niemieckiej—już skupiała siły do wstrzymania inwazji zachodu, wtedy Rosja napadła na nią od wschodu i pod pretekstem, że Państwo Polskie upadło, by "ratować" połowicę jego o rusińskiej częściowo ludności, zajęła wschodnią Polskę, prawie po Bug i Wisłę. W miesiąc się to wszystko dokonało, pamiętny, rozpaczliwy miesiąc wrzesień, 1939.

Zdumiał się świat i przeraził, że to—tak prędko poszło... że Polska, potężna, z dużą armją, ledwie na miesiąc starczyła!... Nie zdawano sobie sprawy z tego, że w ciągu tego miesiąca zadała Polska Niemcom olbrzymie straty i szkody—takie, iż Niemcy natychmiast po kampanji polskiej nie mogli uderzyć na Francję, która wraz z Anglją—w myśl przymierza z Polską—Niemcom wojnę wypowiedziały nareszcie: klęska Polski dała dużo czasu Aljantom na zachodzie; zresztą gdyby nie ów "cios w plecy" ze strony Rosji—kto wie, jakby była wypadła kampanja w Polsce, a przynajmniej — jakby się długo jeszcze była przeciągnęła... Lecz oto Francja z całą potęgą militarną, z daniem jej owego drogiego czasu na dozbrojenie i mobilizację, czego Polska przecie nie miała wcale, ta Francja nie wytrzymała pod obuchem Niemców ani właśnie tak długo, jak Polska, która n. b. nie uległa nigdy, nie poddała się nigdy, nie poszła na podłe pakty z Niemcami, jak rząd Vichy—Petain'a, lecz skrywszy pod ziemię władze państwa, jego instytucje i organizację, stworzyła podziemne wojska, walczące skutecznie przez wszystkie następne lata Wojny.

Nie pora mi tu, ni moje zadanie opowiadać—by najzwięźlej Wojny tej dzieje, wzmiankuję z nich tyle tylko, ile mi potrzeba do moich założeń i do tego, co się z niniejszego Rozdziału łączy tematem.

Polska—legła w gruzach, w ruinach, w zgliszczach i popiele swych miast, wsi, kościołów, instytucyj; rabowana w ciągu lat, udręczona przez katowskie rządy Niemców — spłynęła krwią swych najlepszych synów; straciła nieomal doszczętnie wymordowane przedstawicielstwo kół i sfer oświeconych; złupiono jej zasoby ekonomiczne, zrabowano skarby sztuki i kultury; lud jej poddawano iście szatańskim pomysłom okrucieństwa i męki. Nie wiele lepiej działo się w Polsce wschodniej, zabranej przez Rosję —do czasu, aż się Niemcy z Rosjanami—o łup pobili: . . . rabunek mienia narodowego, okrucieństwo, niemieckiemu nie ustępujące, mord masowy, plebiscyty gwałtu, przymusu i nieprawdy — oto były metody, których Polska doznała z tamtej strony—od pobratymców. Ze zgrozą patrzyły ludy na to, co się działo i co dzieje się w Polsce. Nawet ponad coraz ogromniej zataczające się koliska potwornej wojny, ponad bezwzględnie stosowane w niej sposoby już nie walki, ale niszczycielstwa, ale tępienia ludów całych, ponad gehennę wszech dopustów i nieszczęścia — ludzkości widziano niedolę Polskiego Narodu, zaiste najokropniejszą wśród okropnych. I mimo tej istotnie ogólno-narodowej klęski— Polacy nie ustąpili z pól walki, nie złożyli broni, nie ukorzyli się przed wrogiem. Rząd Polski schronił się naprzód do Francji, a po tej upadku—do Anglji; we Francji skupił wojska swe, wyprowadzone z rozbicia: walczyły one za Francję nierównie dzielniej a wierniej, niż Francuzi sami; potem, gdy Niemcy Paryż wzięli, a rząd francuski zawarł niezaszczytny pokój z najeźdźcą, wycofały się z Francji wojska angielskie, z niemi polskie i odtąd Polska długo, przez pierwsze prawie dwa lata wojny—była jedynym walczącym, jedynym wartościowym sprzymierzeńcem Anglji. Jej armja, jej lotnictwo, jej mała flota wojenna i niewielka handlowa, wszystko przecie stanęło do współdziałania z wojskami, lotnictwem i flotami Anglji, a udział Polaków we wszelkich rodzajach broni upamiętnił się w tej wojnie światowej zdumiewająco świetnie na wszystkich świata bojowiskach. Dość wspomnieć—walki napowietrzne lotników polskich w obronie Londynu, przytoczyć boje o Narwik w Norwegji i o Tobruk w Libji, albo wspomnieć niewielkich, lecz znakomicie sprawnych okrętów polskich czyny —niezrównane: wszystko to składało się w jeden zgodny hymn

"Jeszcze nie zginęła", który śpiewał, walcząc niezłomnie a wiernie—cały Naród Polski.

Na czele tego Narodu, jako jego przewódcy duchowi, rycerni—stanęli dwaj najwybitniejsi Polacy współczesnej doby życia i dziejów Polski: Ignacy Paderewski i Władysław Sikorski: pierwszy—jako przewodniczący Rady Narodowej, która obok urzędu Prezydenta na wygnaniu stała się odpowiednikiem Sejmu, drugi—jako organizator i Wódz Naczelny sił zbrojnych, a zarazem premjer rządu. Z ludźmi tymi przewodnimi — przyszło w ostatnich latach zetknąć się, współpracować, współ-ratować Polskę—Polakom w Ameryce.

Z boleścią niezmierną, w żałobie serdecznej—Polonja nasza współczuła żywo, bezpośrednio, wszystkie owe krzyżowania Polski. Osiedla nasze wszystkie napełniły i przejęły smutek i zgroza, dla których opisania—naprawdę słów braknie: kiry osnuły dusze nasze i skryły przed nami wszelkie powszednie sprawy nasze; myśli, modły, prace—skierowane zostały ku jednemu—jedynemu pytaniu, co nam czynić, co począć, by pomagać, by bronić, by ratować. Więc zaraz odganiając precz rozpacze i wątpienia, a zapominając o własnych zawodach i troskach, wszyscy skupiliśmy się w jednem pomyśleniu, intensywnem, zgodnością potężnem i twórczem—pracy dla Polski, ofiary—na pomoc Polsce. Osady, Parafje, Organizacje natychmiast jęły się zbiórek i składek; tworzą się wszędzie Komitety Ratunkowe, stają w nich do współdziałania wszyscy, zapominając o różnicach dawniej dzielących—poglądów i partyj. Trwające w tych latach w Polonji naszej prace wszelkie są rzeczywiście wszystkie pod hasłem—Pomocy dla Polski: pomocy tej niesienie jako nakaz narodowy ogłaszamy i przyjmujemy, a jednocześnie raz-poraz apele wysyłamy zbiorowe do rządu Stanów Zjedn., błagając w nich o pamięć na Polskę, na jej zasługi, jej w tej wojnie ciężkiej chwalebne pierwszeństwo, jej — w ciągu tylu lat katusze i krzyże. Upamiętniły się w tej dziedzinie ratunkowych działań ofiary hojne sejmów "Związku Nar. Polskiego" w Bostonie i "Zjednoczenia Pol. Rzym. Kat." w Baltimore, a ich rezolucje wymowne pozostaną aktami, świadczącemi o szczerym, niegasnącym patrjotyzmie, tem cennejszemi, że wśród rzesz Polaków, tak wzniośle obradujących, było już wielu prze-

cie, bodaj więcej—tych, co w Ameryce zrodzeni, byli Amerykanami z rodu . . . Stwarzamy rozległą na kraj cały ratunkową akcję, która dociera do najdalszych zakątków Ameryki, na czele jej staje "Rada Polonji Amerykańskiej", ta—jeszcze z przedwojennego czasu, której autorytetu teraz nikt już nie kwestjonuje, nie krępuje, której poparcie daje Duchowieństwo i Parafje, Organizacje i Zrzeszenia wszelkie, a której światły Prezes, jednocześnie Cenzor "Związku Nar. Polskiego", Prof. F. Świetlik, wraz z innymi członkami Zarządu, jak z Prezesami "Zjednoczenia P.R.K.", J. L. Kanią i J. Olejniczakiem — prowadzą instytucję rzeczoną w sposób poważny i godny—tak, że to jej pozyskuje uwagę i uznanie zarówno władz polskich w Londynie, jak władz amerykańskich we Waszyngtonie.

Pełne gorących uczuć i wzniosłej zachęty wezwania sędziwego Przewódcy Polonji, J.E. Ks. Biskupa Pawła Rhodego, Prezesa Rady Narodowej w Londynie, I. Paderewskiego *(Patrz Przypiski)* przyczyniają się znakomicie do upowszechnienia akcji ratunkowej i do wzmożenia jej wydatności; pomaga ku temu niemało przyjazd do Ameryki naprzód Generała Józefa Hallera, popularnego wśród nas Wodza dawniejszej Armji naszej, formowanej dla Polski, a później—przyjazd na stałe—niestety—na ostatnie już chwile życia—Ignacego Paderewskiego. W ciągu lat kilku ratunkowe składkowanie pieniędzy i przedmiotów użytku, odzieży itp. przyjmuje rzeczywiście imponujące rozmiary, tem bardziej, że dzięki zabiegom Prof. F. Świetlika udaje się włączyć sprawę naszą, akcję naszą, do tak zwanego "United War Chest", t. j. "Skarbca Dobroczynności Wojennej", utworzonego w Ameryce i zbieranego powszechnie—po całym kraju.

Parokrotne przyjazdy—późniejsze nieco Premjera Generała Władysława Sikorskiego—łączymy z dwu zasadniczemi, fundamentalnie doniosłemi dla Polski kwestjami, mianowicie—z pozyskaniem dla Sprawy Polskiej pomocy i protekcji Stanów Zjednoczonych, oraz z próbą zwerbowania w Ameryce większej liczby żołnierzy polskich, oddziałów, któreby mogły zasilić Armję Polską w Anglji, którą był Sikorski wydostał z Francji—po jej rozbiciu i pokonaniu przez Niemców. Pierwsza sprawa spotkała się ze zupełnem powodzeniem—zwłaszcza, że w rychle Stany Zjedno-

czone same również przystąpiły do Wojny; druga—nie wypadła tak dobrze, co odnosimy do powodów dwu: pierwszy to brak odpowiedniego ludzkiego materjału w Polonji, brak mających prawne ukwalifikowania do wstępowania do armji obcego państwa, a także—postęp amerykanizacji, krótko mówiąc, drugą zaś przyczyną niepowodzenia było nieudolne prowadzenie rekrutacji w Polonji Amerykańskiej: więcej szczegółowo piszę jeszcze o rzeczach tych w dalszej części Rozdziału.

W ostatniej fazie wojny, w którą wkroczyliśmy, w roku jej trwania piątym, coraz wyraźniej, coraz bardziej zdecydowanie przejawia się w Polonji tendencja niesienia pomocy Polsce—nie tylko w zakresach materjalnych i humanitarnych, przyczem wspomnieć należy, że czynione są plany i przygotowania, aby tę pomoc zorganizowaną, wydatną, dawać Polsce trwale, t. j. jeszcze i po ukończeniu działań wojennych, dawać ją w przeróżnych dziedzinach—nietylko życia ekonomicznego, a również we wszelkich społecznych potrzebach,—lecz także—by starać się pomagać Polsce i politycznie, by dla niej też dyplomatyczne stwarzać tu i pozyskiwać konjunktury korzystne, pomóc jej z wygraną dobrze Wojną—wygrać również—pokój dobry. Ta rzecz żywo zajmuje przewodnie Koła Amerykańskiej Polonji, ale trudności wciąż przedstawia niemało—głównie z tej racji, że czynniki, decydujące o kwestjach politycznych—tak w Anglji, jak w Stanach Zj., liczyć się muszą bardzo ze swym—nie naszym dotychczas—aljantem, Rosją, która zrazu sprzymierzona z Niemcami, gdy wspólnie z nimi na Polskę napadła i część jej ziem wschodnią zagrabiła, później sama przez Niemców napadnięta, choć zrazu—pod wpływem rozumnej Sikorskiego polityki weszła i z Polską w porozumienia aljanckie, rychło zerwała je przy pierwszym nadarzonym, błahym pozorze powodu, a odtąd odnosi się do Polski wrogo, by nie musieć jej oddać ziem, zagarnionych poprzednio. Tu więc powtarza się analogiczna, identyczna nieledwie z pierwszej Wojny Światowej sytuacja—liczenia się z Rosją Aljantów zachodnich—z konieczności, wytworzonej sytuacją i potrzebą wojenną: tak—jak w pierwszej Wojnie Aljanci zachodni, skrępowani byli silnie swym do aljanta wschodniego stosunkiem i nie wiele mogli rzec o Polsce niepodległej, tem mniej zrobić dla niej, bo Rosja sprawę

Polski za swą wewnętrzną ogłaszała; aż dopiero gdy z Niemcami pokój odrębny zawarła, zdradzając sprawę Koalicji, wtedy się rozwiązały Aljantów zachodnich usta i ręce dla Polski, wtedy i armję jej tworzyć było można i niepodległość jej za jeden z celów wojny uznano:—tak właśnie i w drugiej Wojnie Światowej się dzieje: istnieją, działają te skrępowania obecne względem Rosji, z którą liczyć się muszą i Stany Zj. i Anglja, bo Rosja we wojnie tej gra rolę nader doniosłą, a przyznać trzeba, że gra ją lepiej niż dawniej, przyczyniając się walnie do pobicia Niemców i do końca wojny zbliżenia. Zaznaczyć należy, że jednak Rosja zachowuje się w sposób drastycznie samowolny i nie licząc się wcale ze sprzymierzeńcami, wysuwa własny projekt załatwienia kwestji polskiej—czysto sowiecki: Rosja głosi, że zabrane wschodnie ziemie polskie zatrzymuje dla swych sowieckich "republik" (?!), ukraińskiej i białoruskiej, zagarnia nadto niepodległe państwa nadbałtyckie—Estonję, Łotwę i Litwę, a w Polsce usiłuje stworzyć własny rząd—pro-rosyjski, pro-sowiecki, oczywiście radykalny, prawie komunistyczny. Monstrum to jest, nie niepodległość, parodja wolności, przemoc—nie samostanowienie o sobie: to narodom wzmiankowanym niesie Rosja — na ostrzach swych bagnetów, ale że niemi równocześnie wypiera Niemców, że ich naciska i gromi, czego widownią jest cały piąty rok wojny, przeto —choć do zwycięstw Rosji—znacznie przyczynia się olbrzymio rozległa pomoc materjalna i techniczna ze strony Stanów Zjedn. i Wielkiej Brytanji, zawsze przecie tą walczącą, tą dotąd najagressywniejszą stroną w końcowych — jak się zdaje, stadjach wojny jest Rosja Sowiecka: stąd jej uważanie, jej znaczenie — u Aljantów zachodnich.

Razem ze wszystkiemi zagrożeniami rosyjskiemi—zdawało się, że porozumienie Polski ze Sowietami będzie możliwe—dzięki rozumnej a przedsiębiorczej polityce Premjera Sikorskiego, który pierwszy—po stanięciu Rosji po stronie Koalicji, zaproponował zapomnienie krzywd, przekreślenie porachunków dawniejszych i pojechał do Moskwy, gdzie uzyskał unieważnienie poprzednich zaborczych aktów Rosji z Niemcami, oraz zgodę rządu sowieckiego na wypuszczenie z Rosji Polaków, wywiezionych ze wschodniej Polski po r. 1939-tym: tych tułaczy Aljanci odżywili i odziali,

część ich uzbroili, a Sikorski stworzył z nich drugą, silną Armję Polską na Wschodzie (pierwsza jest w Anglji). Ten Korpus Drugi naszej Armji znakomicie wyróżnił się w działaniach wojennych Koalicji we Włoszech i wogóle w końcowych stadjach wojny. Lecz—nawiązane przez Sikorskiego kontakty polsko-rosyjskie rychło psują się z powodów zupełnie błahych. Niemcy rozpuścili wieść o wykrytych grobach pomordowanych przez Rosjan kilkunastu tysięcy oficerów polskich jeńców, wziętych w niewolę w r. 1939-tym, we wschodniej Polsce. Rząd Polski w Londynie zaproponował przeprowadzenie dochodzeń co do tego oskarżenia przez międzynarodowy "Czerwony Krzyż", a o to—obraziła się Rosja i zerwała z Rządem Polski stosunki dyplomatyczne. Trudno oprzeć się wrażeniu, że zerwanie to było Rosji—na rękę... Jeśli — jak słusznie wskazywano, wywleczenie przez Niemców rzeczonego oskarżenia było machinacją, wyliczoną na poróżnienie sprzymierzonych, to w odniesieniu do Rosji i Polski—Niemcy osiągnęli cel w zupełności. Rosja skwapliwie skorzystała z nadarzonej okazji zerwania, by móc się wycofać ze zobowiązań, danych Sikorskiemu, a odtąd odnosi się do Polski nieubłaganie wrogo, to znaczy zapowiada własne sprawy polskiej załatwienie, formuje u siebie wojska z Polaków złożone (dość ich tam było jeszcze—tych wywiezionych w r. 1939), wreszcie ignorując Rząd Polski w Londynie, odrzuca wszelkie próby, wszelkie usiłowania, czynione nawet ze strony Stanów Zj. i z Anglji, aby naprawić rozłam dokonany i przywrócić zamąconą wśród Aljantów harmonję. Rosja zbywa z oburzającą egoistyczną bezwzględnością wszelkie próby nawiązania zgodnych współdziałań, co stwarza uzasadnione wrażenie nie-liczenia się z Aljantami na zachodzie.

Pogrąża sprawę naszą prawie już ostatecznie—tragiczna, a tak bardzo przedwczesna śmierć Premjera Gen. Sikorskiego, który zginął we wypadku lotniczym—w drodze powrotnej z organizacyjno-inspekcyjnego objazdu oddziałów owej Armji Wschodniej, wyratowanej z Rosji: straszny wypadek, który Polaków wszystkich przeraził i żałobą napełnił, miał miejsce u brzegów Hiszpanji, koło Gibraltaru, gdzie samolot, którym wracał Gen. Sikorski do Londynu, runął do morza—dnia 4-go lipca, 1943 r.

Na tle wielu polityczno-dyplomatycznych zagmatwań i trudności—nie było ni sposobu, ni możności dla Polaków w Ameryce, by Sprawie Polskiej nieść służby politycznie ważne: rzeczy najważniejsze, zasadnicze, działy się poza kołami naszych wpływów zasięgu, rozstrzygały się i rozstrzygają zdala od nas, a jak rzekliśmy—nawet Ameryka wpływu na nie dotąd nie ma; nie mniej przeto interesują nas one żywo, bezpośrednio, poruszają społeczność całą polsko-amerykańską, napełniając ją uzasadnionem zaniepokojeniem i troską serdeczną. Niestety wszystko, co zrobić tu i stąd możemy—to nieustanne (może trochę monotonne) powtarzanie we waszyngtońskich kołach—aksjomatów o Polski prawach i należnościach; zresztą stoimy mocno na podstawie tak zwanego "Aktu Atlantyckiego" (Atlantic Charter), który ułożyli w r. 1941 wspólnie Prezydent Franklin D. Roosevelt i Premjer Anglji, Churchill. Akt ów—jako esencjonalny cel wojny—podaje światu demokratycznemu i głosi wolność, niepodległość wszystkich narodów, większych i mniejszych, potężnych i słabszych, oraz protekcję wspólną daje i przyrzeka wszystkim prawdziwym demokracjom, istotnym i rzeczywistym ludowładztwom. Zabiegi polityczne Polonji Amerykańskiej, w początkowych stadjach drugiej Wojny Światowej krępowane neutralnością Stanów Zjedn., a wyzwolone dopiero po napadzie Japonów na Pearl Harbor w grudniu, 1941, przyjmują w końcowym tej wojny okresie formy coraz wyraźniejsze, w całej zaś społeczności naszej powszechnem staje się wskazanie, by nie tylko groszem nieść pomoc Polsce, nie tylko służyć jej sprawom ekonomicznym, ale starać się i w zakresie spraw politycznych używać tutejszych wpływów naszych, celem pomyślnego kształtowania przyszłych losów Rzeczy Pospolitej Polskiej. Te intencje przyjmują kształt widomy i głośny wiosną r. 1944, na wielkim Kongresie Amerykanów Polskiego Pochodzenia, odbytym w m. Buffalo. Przyszło tam do podjęcia właśnie dzięki odczuwanej powszechnie, jako konieczność już nie do odkładania—akcji politycznej na rzecz Polski, że zasię akcją taką Centrala nasza, "Rada Polonji", ze założenia instytucja humanitarna i apolityczna, zajmować się nie mogła, przeto dała ona inicjatywę do wydzielenia z jej zarządu Komitetu, któryby zajął się skonkretyzowaniem zamiarów i tendencyj omawianych—o po-

litycznym wyłącznie charakterze. Ów to Komitet zwołał rzeczony Kongres Polonji, a na nim nawiązując do dawnych tradycyj z lat pierwszej Wojny Światowej, podjęto prace rozległe na rzecz Sprawy Polskiej, tylko wśród konjunktur o wiele trudniejszych Wojny Światowej drugiej, oraz specjalnie — polskiej waśni z Rosją, jeszcze gorzej i więcej zawziętej.

Kongres Polonji Amerykańskiej zgromadził kilka tysięcy delegatów wszystkich sfer i kół życia polskiego w Ameryce: podzielony na sekcje, obradował niedługo, a zgodnie i postanowił wiele rzeczy pierwszorzędnie doniosłych, dobrych i potrzebnych, których wykonanie zlecił swemu Wydziałowi Wykonawczemu, złożonemu z przedstawicieli wszystkich —dosłownie zgrupowań Polaków Amerykańskich. Od wykonania sprawnego, skutecznego tych zleceń zależeć może bardzo wiele—dla Polski, bo wpływy nasze w Ameryce są znaczne i—dla Polonji Amerykańskiej, bo ją samą te pracy obudziły i pobudzają z przydługich snów bierności, a podnoszą ją z pogrążeń amerykanizacyjnych. Kongres poruszył do głębi Polonję, wszędzie też gdzie żyją nasi w diasporze tragicznej, żywe wzbudził zainteresowania; jego apel głośnem echem pobudki serdecznej głosi Polakom:

"Przesyłamy orędzie nasze Rządowi Polskiemu, jedynemu legalnemu i konstytucyjnemu rządowi, reprezentującemu Polskę, —Polakom w Kraju, który stał się znowu polem bitew o wspólną sprawę cywilizacji chrześcijańskiej, — walecznemu Żołnierzowi Polskich Sił Zbrojnych, naszym synom walczącym w Siłach Zbrojnych Stanów Zjednoczonych i Wojskom Zjednoczonych Narodów.

"Pragniemy przypomnieć światu, że we wrześniu 1939 r., kiedy barbarzyńcy niemieccy dokonali najazdu na Polskę, jedna tylko sprawa zajęła uwagę wszystkich: cały świat stanął pod bronią, ponieważ granice jednego państwa zostały pogwałcone przez inne państwo. Czwarty rozbiór Polski, dokonany przez jakiekolwiek inne państwo byłby niebezpieczeństwem dla pokoju i będzie zmierzał do poderwania wpływu moralnego i odpowiedzialności Stanów Zjednoczonych . . .

"Naród Polski nigdy nie zgodzi się na roszczenia Rosji, ni na zawładnięcie siłą ziemiami polskiemi. Naród Polski będzie ciągle przypominał zobowiązania Aktu Atlantyckiego, a my Ame-

rykanie staniemy po jego stronie, ponieważ Akt Atlantycki to odpowiedzialność moralna Ameryki wobec ludzkości. Każde usiłowanie wyrzeczenia się Aktu Atlantyckiego jest uderzeniem w jedność naszego narodu.

"Odwołujemy się uroczyście do Obywateli Amerykańskich i do Obywateli wszystkich cywilizowanych krajów, aby przystąpili do sprawy zbiorowego bezpieczeństwa Polski. Jest to probierz międzynarodowej moralności.

"Głos pięciu miljonów Amerykanów Polskiego Pochodzenia nie może przebrzmieć bez echa, nie może dopuścić do nowego podziału Polski.

Wspomniane poprzednio opieranie się nasze na ideowej zasadzie Aktu Atlantyckiego występuje w streszczonym wyżej dokumencie bardzo charakterystycznie. *(Patrz Przypiski)*

Na Kongresie Polonji Amerykańskiej wiele było bardzo podniosłych momentów; do takich należały: silne i światłe przemówienie J.E. Ks. Biskupa Stanisława Bony, przemówienie Prezesa Rady Polonji, Prof. F. Świetlika, oraz przemówienie J.E. Ks. Biskupa J. Duffy'ego, Ordynarjusza Buffaloskiego, który m. i. powiedział, co przytaczam w streszczeniu: "Jeżeli Polska zostanie pozbawiona tego, o co walczy, wówczas niewątpliwie w umysłach tych, którzy miłują sprawiedliwość, a nienawidzą zła, powstanie przeświadczenie, że Narody Zjednoczone—przegrały wojnę! .... Żołnierze polscy, walczący w kraju są realistami w sprawie Polski. Gdy nad powalonem ciałem Polski w r. 1939 Prusacy z zachodu, a Rosjanie ze wschodu podali sobie ręce, wówczas realiści żołnierze polscy, zrozumieli, że muszą umierać, żeby Polska żyła."

Jak wspomniano, Kongres—zamienił się w instytucję stałą pod tąże nazwą—"Kongres Polonji Amerykańskiej", której siedzibą jest stolica Stanów Zjedn., m. Waszyngton; tam zakłada się również Polskie Biuro Prasowo-Informacyjne. Zwięzły, jasny i mocny statut, przygotowany wcześniej, na Kongresie przyjęty, zapowiada bardzo wszechstronne działania: program ułożono — wspaniały, realizacja jego, której wszyscy dobrze myślący w Polonji pragnąć, a co ważniejsze pomagać powinni, będzie dla Polski, jej odbudowy i ozdrowienia czynnikiem pierwszorzędnej wagi

a jednocześnie zbawiennem—dla samejże Polonji Amerykańskiej ożywieniem.

Dla uzupełnienia tej części niniejszego Rozdziału przydam nieco jeszcze szczegółów, wartych tu zanotowania: W zakresie akcji humanitarnej—jak poprzednio wspomniano, stanęła i pozostaje na czele prac naszych "Rada Polonji", która prowadzi działania niezmiernie rozległe, obejmujące potrzeby ofiar wojny w Ojczyźnie, o ile ich tylko sięgnąć można, w czem współpracuje wydatnie amerykański "Czerwony Krzyż"; dalej—zajmuje się ona polskimi jeńcami wojennymi, polskimi uchodźcami—wszędzie, gdziekolwiek ich losy rzuciły, subwencjonuje dobroczynne, humanitarne i kulturalne instytucje polskie w Anglji i t. d. i d. Od 1939go roku "Rada Polonji" trwa wiernie i wytrwale na wyniosłym swym posterunku i działa na nim—znakomicie.

W roku 1940, jak też już napomknąłem, przybył do Ameryki Generał Józef Haller, który tu przywiózł List Paderewskiego do Polonji, odczytywany na mnogich wiecach, urządzanych w ciągu objazdu naszych osiedli przez zacnego a tak dobrze znanego Polakom w Ameryce Wodza Armji Błękitnej: List ów *(Patrz Przypiski)* napełnił rodaków tutejszych dawnym duchem eutuzjazmu do pracy patrjotycznej polskiej, a gotowością do ofiar, które tem hojniej do kas "Rady Polonji" popłynęły ze wszystkich osad polsko-amerykańskich.

W listopadzie 1940 r., przyjeżdża do Ameryki sam Paderewski—on, co był nam uosobieniem dawnych, świetnych wspomnień i prac sławnych. Witaliśmy zgodnie wielkiego patrjotę i przewodnika naszego, a choć rozumieliśmy, że nie możemy po nim oczekiwać już dawnych służb niezmordowanych, pragnęliśmy bodaj mieć go pośród siebie, by jego rady kierowały nami, by głos jego i słowo ożywiało nas i pobudzało, by jego imię wielkie ułatwiało nam zabiegi i wysiłki, złączone z podejmowanemi działaniami. A Paderewski powiadał nam i Ameryce (6-go listopada, 1940 r.):

"Głównym powodem, jaki zmusił mnie do podjęcia, mimo mego podeszłego wieku, tej długiej i uciążliwej podróży, była nieznośna atmosfera moralna, panująca obecnie na kontynencie europejskim. Tego znieść dłużej nie mogłem. Całe życie byłem człowiekiem wolnym. Zawsze dawałem nieskrępowany wyraz

swej Sztuce, swoim myślom i uczuciom: uważałem to za swoje prawo i za swój obowiązek. Pragnąc uniknąć tego, aby ktokolwiek mógł pozbawić mnie tego prawa, lub uniemożliwił mi spełnianie swoich obowiązków, postanowiłem opuścić Europę.

"Gdy nad Europą rozpętała się największa w dziejach historji wojna, gdy przyszłość naszej cywilizacji jest zagrożona, gdy ponad sto miljonów ludzi, w tem znaczna część Polaków, cierpi pod jarzmem najstraszliwszego ucisku, gdy miljony walczą, lub są gotowe do walki na śmierć i życie, poprostu nie mogłem pozostać biernym świadkiem wydarzeń.

"Nie znoszę t. zw. "propagandy", zwłaszcza od chwili, gdy hitlerowskie Niemcy nadały jej specyficzny charakter przekręcania faktów i fałszowania prawdy. Mogłaby ona być niebezpieczną bronią w ostatnio wynalezionej wojnie nerwów, ale w stosunku do narodów, broniących słusznej sprawy może działać tylko na bardzo krótką metę. Któż n.p., dałby się oszukać, słuchając komunikatów radja berlińskiego, twierdzących, że ludność w Polsce czuje się doskonale pod okkupacją? Wszak każdy wie, że nasz nieszczęśliwy naród jest systematycznie tępiony, że miljony ludzi wyzuto z mienia, wygnano z domostw, lub zesłano do obozów koncentracyjnych, skąd tylko śmierć ich wyzwala. Nie będzie to "propagandą", gdy Wam wyrażę swój szczery zachwyt dla Anglików, dla "szarego człowieka" w Londynie, co nie zważając na spadający grad bomb, z całym spokojem spełnia swoje codzienne prace. Nie będzie "propagandą", gdy Wam wyrażę wdzięczność w imieniu ponad stu miljonów ludzi, cierpiących pod brutalnym uciskiem nazistowskiej inwazji, za pomoc, jaką dajecie Wielkiej Brytanji—tej ostatniej reducie demokracji w Europie, ostatniej nadziei przywrócenia wolności narodów.

"Dwa biegunowo przeciwległe światy walczą teraz ze sobą: jeden z nich opiera się na zasadzie "Herrenvolk",—narodu panów, przeznaczonego do sprawowania władzy nad światem: dąży on do swego celu, nie przebierając w środkach, stosując wojnę totalną w celu sterroryzowania ludności; drugi świat broni zasad będących dorobkiem wielu pokoleń, zasad, które uważamy za podstawę naszej cywilizacji, a które mają za cel ostateczny zapew-

nienie szczęścia i dobrobytu możliwie największej ilości jednostek ludzkich na świecie.

"Stosunek Stanów Zjednoczonych do państw wojujących, pozostawia dostatecznie szerokie możliwości niesienia pomocy tym, z którymi łączy Was wspólność usiłowań i poglądów. Dwukrotnie w dziejach ludzkości, w stosunkowo krótkim okresie ćwierćwiecza, od decyzji Stanów Zjednoczonych zależały losy rozwoju i przyszłość naszej cywilizacji. Dwukrotnie uczyniliście słuszny wybór. Forma Waszego współdziałania może być tym razem odmienna, wszakże w treści swej będzie nie mniej skuteczna, zarówno z punktu widzenia moralnego jak i materjalnego.

"Wierzajcie mi, że szczere umiłowanie wszystkiego, co jest szlachetne i wartościowe w naturze ludzkiej, umiłowanie mego narodu, oraz wszystkich ucisnionych narodów w Europie, moja głęboka troska o losy naszej zagrożonej cywilizacji, skłaniają mię do szczerego podzielenia się z Wami mojemi nadziejami i mojemi obawami. Wszystkie je zawrzeć można w jednem krótkiem haśle:—ratujcie Anglję, ratujcie świat!!"

W ostatnie dni swoje musiał Paderewski patrzeć na Polski nieszczęście narodowe, na ruinę nieledwie—tylu trudów, i jego własnych również; musiał patrzeć na ten kataklizm, iście niebywały w dziejach—i razem z nami bolał nad rozsypaniem się w gruzy wszystkich prac całego swego życia i tylu prac naszych . . . Lecz Paderewski nie wątpił, nie rozpaczał, przeciwnie zmartwychwstanie wieścił: on je widział oczyma duszy, w dal już, w zaświaty, w przyszłość patrzącej, więc jego wśród nas obecność stała się nam wspomożeniem duchowem ku świeżym poczynaniom na odrobienie strat—dla odbudowania Polski—raz jeszcze. Opłakiwany szczerze i powszechnie zmarł Paderewski w Nowym Yorku, 29go czerwca, 1941 *(Patrz Przypiski do Rozdziału XIVgo)*.

Nie znajdę godniejszego zakończenia tych wspomnień o Ignacym Paderewskim, niż przytaczając jego własne, natchnione słowa, które głosił w ostatniej dobie nieszczęsnej naszej, społeczno-narodowej niedoli do Polski i do Świata:

"Pragnąłbym przed oczyma wszystkich narodów cywilizowanych wznieść wysoko obraz Polski niepokalanej, którą przemoc dzika i okrutna rozpięła na krzyżu cierpień. Huk dział i bomb,

godzących w nasze wsie i miasta spokojne, to jakby uderzenia młotów, które przed dwoma tysiącami lat wbijały gwoździe w Krzyż na Golgocie; krew ofiar bez winy—płynie strumieniami, jak wówczas Krew Chrystusa za zbawienie świata spłynęła. Trzeba było przyjąć tę wojnę nieuniknioną—dla ocalenia świata, ocalenia chrześcijaństwa i jego cywilizacji, ocalenia wolności człowieka i jego czci ludzkiej. Polska złożyła siebie w ofierze, kładąc się zaporą przeciw barbarzyństwu. Ofiara ta, znaczona niezliczonemi krzyżami na mogiłach polskich, na polach chwały żołnierzy polskich—nie pójdzie na marne: dzień zwycięstwa może być bliski, lub daleki: to w ręku Boga, ale dzień ten nadejdzie; zwycięstwo nie będzie łatwe, ale nam ono ostatecznie przypadnie. Nowa doba dziejowa przywróci wolność Ojczyźnie naszej, przywróci panowanie Prawa i Sprawiedliwości w życiu międzynarodowem".

Oto — jakby wizja prorocza, oto wieszczba natchniona Paderewskiego, którą dał już u kresu swej ziemskiej pielgrzymki. Wierzymy, że spełnią się Jego słowa wieszcze: jaśniej on widział, lepiej wiedział, goręcej kochał, silniej czuł i wierzył potężniej: on widział — przyszłą Polskę, wierzył w nią i miłował ją. Polska zawdzięcza mu bardzo wiele—zarówno w dziele odbudowy swej niepodległości, jak w dziedzinach Sztuki, w których Imię Polskie opromienił aureolą nieśmiertelnej sławy.

Pobyt Paderewskiego w Ameryce, jego nieliczne już przemówienia, bo siły mu nie dopisywały, jego listy i pisma przyczyniły się również do wzmożenia ofiarności ogólnej na rzecz Polski—Komitetów Amerykańskich, których kilka powstało — jego Imienia, a — jak wspomniałem przedtem, ożywił i naszą polską akcję: przydało się to nam, gdyż nastroje ówczesne bądźco-bądź dalekiemi były od tych, które natchnieniem były podobnych działań w okresie pierwszej Wojny Światowej; Paderewski samą swą wśród nas obecnością ożywił ognisko Znicza Narodowego i to była jego ostatnia służba dla Polski i dla naszej Polonji.

Kiedy po upadku Francji w r. 1940-tym Gen. Władysław Sikorski Armję Polską, tam sformowaną i walczącą, acz uszczuploną walkami temi, przeprowadził do Anglji i tam ją na dalsze boje reorganizował, podano w kołach polskich w Londynie myśl

podjęcia próby skompletowania i zwiększenia szeregów owej Armji przez werbowanie do niej ochotników w Ameryce. W tym celu przyjechał do Ameryki Gen. Sikorski i przeprowadził potrzebne dla tej akcji porozumienia z rządem Kanady, gdzie Armja ta miała być formowana *(Patrz Przypiski)* i z rządem Stanów Zj., gdzie prowadzić miano werbunek do niej. Organizacja projektowana otrzymała nazwę "Polskiego Legjonu Kościuszki", a we Windsor, Ontario, w Kanadzie, wyznaczono obóz i kwatery dla zarządu Legjonu. Dowódcą obozu został przysłany z Anglji Pułkownik Arciszewski. Dnia 3-go maja odbyło się uroczyste otwarcie obozu i akcji podejmowanej wśród malowniczych uroczystości wręczenia kluczy od obozu przez majora (burmistrza) m. Windsor, przemówień okolicznościowych i przy udziale tysiącznych tłumów ludności miejscowej i rodaków z pobliskiego Detroit.

W Stanach Zjednoczonych uzyskano dla projektowanej Armji Polskiej życzliwe ustosunkowanie się Rządu i władz wojskowych. Władze zgodziły się na uznanie—jako zasada prawna formuły, że obywatel amerykański, o ile wstąpi do armji nie-amerykańskiej, lecz nie złoży przysięgi wierności Państwu obcemu i o ile sam nie zrzeknie się obywatelstwa amerykańskiego, obywatelstwa tego nie straci; zasada ta sama stosowana była względem Amerykanów, walczących w armji angielskiej, bo istotnie—tysiące było walczących, zwłaszcza lotników, w armji angielskiej — Amerykanów; zatem precedens taki istniał i mógł być aplikowany również w stosunku do Armji Polskiej, zwłaszcza, że armja ta walczyć miała po stronie angielskiej i pod angielską zwierzchniczą komendą. Co więcej, Armja ta formowana być miała w Kanadzie, z którą Stany Zjedn., posiadają sprzymierzenie dla celów wzajemnej obrony i kooperacji w tej obronie—jak najściślejszej, jeśliby więc Armja Polska tylko w Kanadzie walczyć miała, to jużby i tak była ona ważnym czynnikiem obrony także i dla Stanów Zjedn.: z tych tedy i z innych jeszcze pomniejszych względów przeszkód dla proponowanej akcji ze strony Stanów Zjedn. nie robiono.

Generał Sikorski zrobił w tej sprawie wszystko, co tylko było w mocy jego: w objazdach, przemowach, w apelach swych objął i poruszył polskie i nie-polskie koła i sfery; konferował z Prezydentem i ze Sekretarzem stanu, odwiedził przewodnich amery-

kańskiego Kleru Katolickiego Prałatów, z atencją wszędzie przyjmowany; udzielał wywiadów wysoce wartościowych Prasie amerykańskiej, która zwała jego tu pobyt—ważnym i bardzo na czasie, a misję Generała stawiała jako dobry przykład do naśladowania w akcji, mającej na celu mobilizację sił całego społeczeństwa.

W Polonji Amerykańskiej witano Generała entuzjastycznie: objazd jego po osiedlach polskich przyrównać było można do niezapomnianych objazdów Paderewskiego, kiedyśmy tu z nim podczas pierwszej Wojny Światowej mobilizowali naszą jedność wysiłków, nasze zasoby, nasze wojska: zdało się, żeśmy znowu przeżywali taką mobilizację duchowych, fizycznych i materjalnych sił i zasobów całej Polonji, a wobec potężnych haseł, grzmiąco wołających do nas o CZYN nowy, nas godny, zmilkły i zczezły opozycje, jakie tu z kół dawnej "sanacji", wzmocnionej głosami jej z Polski uchodźców, podnosiły się przeciw Rządowi Polskiemu w Londynie i jego znakomitemu premjerowi.

Śmiałe i stanowcze wypowiedzenia się premjera i Wodza Walczącej Polski niedwuznacznie wskazały, po której stronie prawy kierunek działania i właściwy na nie pogląd: Gen. Sikorski jasno podał i upamiętnił nie własne a Polski Walczącej zlecenia, oczekiwania, nadzieje—lokowane niepodzielnie po prawej stronie społeczności naszej, skupionej pod egidą i autorytetem "Rady Polonji", przeto ci, co może dotąd byli ni zimni, ni gorący, a na boku się trzymali, ujrzeli teraz właściwą drogę postępowania i usłyszeli głos Narodowego Nakazu, apelującego o *Jedność* i o *Czyn*. Bytność Sikorskiego pośród nas zaznaczyła się tem silniejszem skupieniem prawych czynników współpracy narodowej i wzmocnieniem wiary w zwycięstwo Polski. Od tego pobytu Wodza Walczącej Polski rozpoczął się dla "Rady Polonji" bezpośredni z Rządem Polski kontakt—życzliwy i stały, który stał się wyjściem śmielszych, żywotnych inicjatyw przewodniej owej w Polonji naszej instytucji. Tak pierwszy w dziejach pobyt premjera Polski w Ameryce zrobił tu wszędzie doskonałe wrażenie: bo Sikorski — to była indywidualność ponad miarę przeciętną, generał o sławie, daleko poza Polskę sięgającej, uznany przewódca Narodu, Wódz Polski, która wówczas była najpotężniejszym sprzymierzeńcem, z

największą armją, posiłkującym Wielką Brytanję. Bytność Gen. Sikorskiego w stolicy Kanady, w stolicy Stanów Zjedn., wynurzenia rzeczników obu Rządów tychże krajów, oraz osobistości wybitnych w obu społeczeństwach, głosy Prasy o tem, tutejszej i światowej—wszystko to świadczyło, że wszędzie—wszyscy pobyt w Ameryce Gen. Sikorskiego uważali słusznie za fakt znamienny, ważnemi spowodowany okolicznościami i mający stwarzać konsekwencje wysoce doniosłe.

Szczególnie rozmowy Prez. Roosevelta z Gen. Sikorskim miały przebieg bardzo przyjazny i rezultaty dały bardzo pomyślne; wyraziły się one w zawarciu przez Stany Zjedn. z Polską tak zwanego "Lend or Lease" układu, który podług nowego systemu niesienia finansowej i technicznej pomocy, obmyślonego w Ameryce, udziela zasiłków w sprzęcie wojennym i wogóle w środkach, potrzebnych do prowadzenia wojny,—na zasadzie pożyczki, lub wynajmu; dla Polski, która dotąd miała pomoc w zbrojeniach tylko z Anglji, ta zaś sama ściśnięta była ciasno potrzebami wojennemi, pomoc taka była i pozostaje do dziś wprost nieoszacowana, jest na całe dalsze prowadzenie wojny (układ pierwotny został bowiem przedłużony i wznowiony w r. 1944) źródłem stałego sił dopływu, iście niewyczerpanem, bo z kolosalnej produkcji wojennej Stanów Zj. zasoby biorącem—przebogate.

W tem miejscu pragnę zapisać z należnem uznaniem pierwszorzędne, prawdziwie nieprzemijające zasługi Ambasadora Polski we Waszyngtonie, Jana Ciechanowskiego, który w całym objeździe Premjera Sikorskiego towarzyszył mu, a niezawodnie też kierował umiejętnie tym objazdem, zwracając kroki i uwagę Generała — tam, gdzie było warto i gdzie to było potrzebne. Jan Ciechanowski wszędzie był najświatlejszym tłumaczem słów Premjera; z właściwym mu, ujmującym umiarem i taktem, a zarazem z najszlachetniej stosowaną skromnością, był jednak wszędzie — jako ten najmiarodajniejszy, zwłaszcza, że dobrze Amerykę i Polonję Amerykańską znający, przewodnik tych wizyt i objazdów i rozmów wzmiankowanych. Ciechanowskiego znakomite wprowadzenie i ustosunkowania we Waszyngtonie były doniosłym czynnikiem w sumie ogólnej sukcesów, święconych przez Premjera Polski w Ameryce.

Wracając do sprawy projektowanej Armji Polskiej, rzec musimy, że niestety — werbunek do niej nie powiódł się zupełnie. Zebrała się garść ochotników z Polonji Amerykańskiej, trochę poszło z Kanady, dużo więcej stosunkowo wybrało się "na tę wojnę" z Ameryki Południowej, co zresztą nie należało już do zasięgu akcji tutejszej: wszystko razem sprawiło w Londynie zawód, dla wielu z nas nie—niespodziewany. O powodach niepowodzenia tej akcji dużoby powiadać... Krócej rzecz ujmując, stwierdzam, że cała wogóle akcja odnośna była poprowadzona słabo i jakoś—bezpomysłowo. Mogę o tem orzekać, bo pamiętam dobrze pełną ognia i ducha rekrutację "Błękitnej Armji" w czasie pierwszej Wojny Światowej, w czem sam pomagałem: robota wtedy prowadzona była żywo, szybko, wszechobecnie: całą Polonję odrazu nią objęliśmy, całą jej rozgłosem napełniliśmy Amerykę! Ostatnio zaś wlokło się to, czekało, nie wiadomo na co, rozdrabniało się i miast pełnym popłynąć nurtem potężnym, rozdzielało się w nikłe i cienkie nitki, które porwać, unieść nie mogły nikogo. Sama organizacja akcji była mankamentalna: stawiony na jej czele, z Anglji przysłany, młody, dzielny, Gen. Bronisław Duch—był dobrym żołnierzem, lecz o robocie omawianej, o jej zorganizowaniu, poprowadzeniu, widocznie nie miał pojęcia, a nie miał koło siebie nikogo, ktoby mu pomógł, poradził, pokazał, jak te rzeczy tu się robi, jak więc działać, bodaj próbować należy: starsi działacze nasi, co pamiętali dawną rekrutację, są już naprawdę starzy i zdatni co najwyżej do głoszenia mów patrjotycznych; młodszych, polsko-amerykańskich ochotników, choćby do agitacji tylko, nie do wojska nawet, brakło zupełnie; lokalnych komitetów rekrutacyjnych, które tak wiele zdziałały dla pierwszej Armji naszej, nie tworzono nigdzie; patrząc na tę robotę, otrzymywało się wrażenie, że nie było komu robić, z kim robić i nie wiedziano wogóle—co robić; ot—czekało się iście—"zmiłowania Bożego".

Sporo działaczy i pisarzy naszych, nie żywiło odrazu złudzeń co do tej sprawy. Ostateczne niepowodzenie było wynikiem wielu ujemnych czynników: przedewszystkiem warunki pracy i nastroje polsko-narodowe dziś są w Polonji Amerykańskiej zgoła odmienne od nastrojów i warunków, jakie przeżywaliśmy przed zgórą

25-ciu laty. W minionej ćwierci wieku — immigracji z Polski prawie tu nie było, a w ciągu lat tylu starszych wielu wymarło, wśród młodszych amerykanizacja postąpiła wydatnie, u trzecich zaś i czwartych pokoleń trudno oczekiwać takich porywów czysto polskiego patrjotyzmu i polskiego ducha bojowego, jakiego przejawów świetnych byliśmy niegdyś świadkami... Doszły do tego materjalistyczne nałogi, panujące w świecie, które nagminnie grasowały (i grasują) nietylko wśród nas, a w Ameryce: wszakci rodowici Amerykanie sami—wykpić się usiłowali jakże często od obowiązków względem własnej Armji; skądżeby tedy miało być lepiej z nami—względem armji polskiej, biedniejszej, gorsze dającej zaopatrzenia, a bądź-co-bądź Amerykanom, choćby Polakom-Amerykanom—obcej?... Co gorsza, mieliśmy tu przecie i polskich przynależnych dość wielu, którzy też nie bardzo kwapili się do tej wojny: śpiewali odważnie "Patrz Kościuszko na nas z nieba", ale nie spieszyli się iść w jego ślady, by "w krwi wrogów brodzić"... Wiemy o takich, co tu przyjechali przed wojną i—nic: siedzieli, grosze robili, a do armji w Anglji nie kwapili się bynajmniej, choć wojna zaciągnęła się była na długo i choć Armja Polska walczyła w niej sławnie. I w ciągu wojny też poprzyjeżdżali tu różni "uchodźcy" polscy, co i we wojsku sługiwali, nawet dygnitarjaty piastowali wojskowe i państwowe, którzy więc względem Polski bezpośrednie mieli zobowiązania, a też siedzieli tu bezpiecznie i nie zgłosili się do tej formowanej w Kanadzie armji!... Przydaliby się tam pewnie—choć do musztrowania rekrutów, choć do obciosywania cywilów na żołnierzy!... Ale—nie poszli, z bardzo tylko nielicznymi wyjątkami. Czemże i czemu mielibyśmy być lepsi—my, Polacy-Amerykanie od Polaków z rodu i z powinności?

Więc słomiane zapały pierwszego entuzjazmu wnet stlały i zagasły, a po kilku miesiącach nieudaną tę akcję zlikwidowano; kierujący nią Generał Br. Duch odjechał do służby czynnej, a gdy po czasie Premjer Sikorski bawił po raz drugi w Ameryce, głównie już dla kontaktów z Rządem i Armją Stanów Zj. — wyrzuty czynił gorzkie Polonji Amerykańskiej za to, że ta mu—"armji nie dała". I w Anglji w gazetach zarzuty wypisywano rozmaite, wszystkie—zdaniem mojem — zupełnie nieuzasadnione. "Świa-

towy Związek Polaków", do Anglji schroniony, pisał w komunikacie swym, co następuje:

"Polonja, zarówno starsze, jak młodsze pokolenie, zarówno masy, jak ich przewódcy, powinni sobie uświadomić, że bez względu na ich stanowisko i ich wysiłek, Polska powstanie i odzyska niepodległość. Może dzięki brakowi w szeregach sił zbrojnych polskich ochotników z ziemi amerykańskiej—głos Polski w chwili zakończenia wojny brzmieć będzie ciszej; jedno wszakże jest pewne: odrodzona Polska wspominać będzie z goryczą, a sama Polonja z niesmakiem—o swych pięknych i wzniosłych słowach i hasłach, jeśli—*za temi słowami nie pójdą czyny*" . . .

Na takie nieuzasadnione pretensje i niezasłużone imputacje odpowiedział słusznie "*Dziennik Związkowy*", jak (z opuszczeniem ostrzejszych zwrotów) przytoczę:

"Oto jak cenią w "Światowym Związku" dotychczasowe prace piękne Polonji Amerykańskiej! Trzeba, doprawdy, opanować nerwy, by nie odpowiedzieć godnie autorom tego ataku na "Polonję w Ameryce". Czy ci ludzie raz wreszcie nie uprzytomnią sobie tego, że my tu w Ameryce, ta zorganizowana i uobywatelona Polonja, która ma swoje problemy, która żyje pełnem życiem tego kraju, która—prócz ciężarów państwowych, ponoszonych na równi z innymi obywatelami, łoży jeszcze wiele na polskie sprawy, na podtrzymanie ducha polskiego, na podtrzymanie swej wiary, utrzymuje swoje kościoły i szkoły parafjalne, buduje i utrzymuje kollegja, bibljoteki, domy narodowe, Pisma, kulturalne instytucje i t. p., nie jest "terenem" dla panów ze "Światowego Związku", nie jest żadnym "folwarkiem" dla "sanacyjnych ekonomów", ale co robi, a robi i daje tak wiele, robi z dobrej woli, z własnej chęci, z poczucia patrjotycznego, a nie z przymusu, nie pod rozkazem nikogo.

"Zapytać chcielibyśmy, kto i kiedy z odpowiedzialnych liderów Polonji—pisze dalej "*Dziennik Związkowy*" — deklarował, że w czasach dzisiejszych uda się zaciąg ochotniczy do zbrojnych sił polskich w Kanadzie? Wszak *akcję tę rozpoczęto bez wiedzy* Polonji, bo przecież Pułk. Arciszewski nawet do Stanów Zjedn. przybyć nie mógł, a więc nie mógł zasięgać rady i opinji liderów Polonji, którzy napewno radzićby mu musieli, że trzeba z tą spra-

wą ostrożnie postępować, aby nie wpaść! Nawet potem, gdy już Polonję postawiono wobec faktu dokonanego, zwracano z kół naszych najwybitniejszym przedstawicielom Polski uwagę na to, że przedsięwzięcie jest wysoce ryzykowne, bo czasy obecne są trudne, a młodzież amerykańska i polsko-amerykańska nawet do Armji Stanów Zjedn. nie chce wstępować ochotniczo (przed poborem powszechnym Przyp. Autora), cóż więc mówić o Armji Polskiej, gdy ta młodzież tu urodzona, nie czuje tak, jak czuli jej ojcowie z przed laty 25-ciu! I za to dziś winić Polonję, za to się jej odgrażać w Londynie i dowodzić, że "odrodzona Polska z goryczą wspominać będzie "zawód", jaki spotyka tych, co nie znając sytuacji i stosunków, dali się wprowadzić w błąd — bez winy Polonji Amerykańskiej?!" Kończy gazeta cytowana: "Nie bójcie się o nasz egzamin. Polonja już zdała go raz, i to z odznaczeniem. Zda go i jutro, jak zdaje go dzisiaj; tylko że nie wy, panowie, będziecie wypisywać stopni za prace i wysiłki Polonji Amerykańskiej, której zasługi dla Polski są ponad wasze sądy."

Odpowiedź ostra, ale należna i zasłużona. Warunki do nowej rekrutacji—jak rzekliśmy — były bardzo niepomyślnie odmienne od dawniejszych, a samaż akcja była prowadzona—jak też zaznaczyłem, niedołężnie, niekompletnie i wprost bezdusznie. Kto więc zawinił? Winić nikogo nie będę: nie chcę w tem pohopnie naśladować niewczesnych zarzutów, wyżej wzmiankowanych. Bez złej woli niezawodnie—zawinili ci, co z decyzją zwlekali, gdy o armji mówiono w Polonji jeszcze przed Francji kollapsją; aleć sam Gen. Haller, zapytany w tym względzie, powiadał nam wyraźnie za swej tu bytności, że "po armję" nie przybył, t. j. widocznie zleceń, co do niej nie dano mu żadnych . . . A przecie doświadczony ten Wódz przewidywał już wtedy możliwość francuskiego załamania się i trudną w takim razie dla wojsk polskich we Francji sytuację. Rozmawiałem z nim o tem: on jeden jaśniej od innych patrzał w przyszłość najbliższą i żywił co do niej obawy, wskazując raczej Anglję, jako przyszłą ostoję i całej tej wojny bojownicę najpewniej niezawodną, a w ostateczności — zwycięską. Więc nie było mowy wtedy o formacji wojska w Polonji, aż raptem w Londynie przypomniano sobie tę rzecz i zabrano się do niej—prawie bez nas, a przynajmniej nie pytając nas o radę, o

zdanie—jak to trafnie zaznaczono w powyższym cytacie. Nie znaczy to, iż nie chcieliśmy pomagać, bo nas o zdanie nie pytano! Tak nikt nie pomyślał w Polonji: z całą to stwierdzam znajomością jej i stanowczością. Ale nie spytano nas nawet ani o praktyczne wskazania, które przecie mogły się były przydać; robiono —poprostu—bez nas, bez znajomości stosunków lokalnych i dlatego nie sprawiono—niczego. Przed laty—myśmy tu Armję Polsce formowali sami — absolutnie, bez żadnych ingerencyj i zrobiliśmy tę rzecz doskonale! Teraz zarządzono — inaczej, dlatego —przy innych niesprzyjających okolicznościach—sprawa pomyślnie pójść nie mogła. Nie myśmy więc "armji nie dali", ale we warunkach danych była ona niemożliwa do stworzenia.

Polaków z Ameryki walczyło i walczy sporo w tej wojnie: służą oni w Armji Stanów Zjed., w Armji Polskiej i Armji Angielskiej; odrębnej nie mogli stworzyć formacji wojskowej, bo i czasy i warunki obecne nie składały się po temu, a nawet i nie niemożliwem byćby to musiało, gdy się zważy, że Stany Zjedn. po swem wstąpieniu do wojny już w grudniu, 1941 popisały do swoich zaciągów zbrojnych całą—dosłownie—ludność tego kraju, pomijając tylko starców, dzieci i chorych—niezdolnych: kto zna stosunki, w jakich przeprowadzono bardzo surową i żadnych względów, żadnych wyjątków nie uznającą rekrutację amerykańską, w której zaciągnięto prawie dwanaście miljonów ludzi pod broń, a całą resztę ludności zaprzągnięto do najintensywniejszej produkcji wojennej, ten zrozumi nareszcie, że tu nie było i niema miejsca na żadnej już innej armji formowanie . . .

Krwi polskiej i tak—polało się już niezmiernie wiele w tej wojnie, bez różnicy i względu pod jakiemi znaki i na jakich bojowiskach świata, a poleje się jej więcej jeszcze, nim osiągnięty będzie jeden z głównych tej "Wojny Światowej" celów—wolna, niepodległa, a lepsza niż była—i w pokoju trwałym szczęśliwa — Polska Rzeczpospolita.

O tej przyszłej Polsce i o jej roli w świecie, jak my ją w Ameryce rozumiemy, a zarazem, jaki w tem udział radzibyśmy przyjąć, przyda się uwag kilka—w końcowej części Rodziału tego i książki—jako rojenia o lepszych czasach dla Narodu mego pochodzenia: rojenia to zresztą bez mrzonek, więc raczej rokowania,

na konkretnych oparte, zgoła nie trudnych do zrealizowania możliwościach.

Tak bardzo wierzymy w Polskę—tę przeszłą, lepszą i szczęśliwą—szczęściem wszystkich—Polskę! Nie jest ta wiara—ślepotą, wynikiem zarozumiałości bezpodstawnej. My znamy, my czujemy naród naszego pochodzenia, znamy jego strony dobre—przemnogie, rozumiemy jego siły przepotężne, zdolności twórcze, wolę zacną a umiłowanie odwieczne Wszech-Dobra, Wszech-Piękna. Toć w niewoli zgórą stuletniej—nie zmarnielim ze szczętem, jak —tego chcieli wrogowie troiści, a toćże nam teraz, ostatnio pogromionym, upośledzonym, rozmyślnie i systematycznie zohydzanym—nie sprostała potencja w świecie największa, przez którą większe od nas państwa i narody upadły i do dziś duchowo nie dźwignęły się całe ... Bo w nas Idea jest mocniejsza i ogromniejsze ukochanie jej—niż wroga wszystkie zastępy i moce,—w nas jest miłość Sprawy święta, wiara w nią niezachwiana przenigdy i nadzieja, silniejsza nad mękę, nad śmierć i pogromy, nadzieja — w Jutro Swobody!

A owo Jutro—już zda się—niedalekie, rychło patrzeć nastanie. Jakaż będzie przyszła Polska? Jakie jej rozmiary, znaczenie międzynarodowe konjunktury polityczne, rola w Europie i w świecie? Jakim będzie jej stosunek do sąsiadów, jak się ukształtują stosunki jej z Ameryką? — z Polonją Amerykańską? Oto niektóre tylko z pytań aktualnych, które wszystkich nas tu żywo zajmują ... Oczywista, odpowiadać na nie można w znacznej mierze tylko przypuszczeniami narazie, spodziewaniami i pragnieniami. Nie myślę wygłaszać "proroctw", bom do tego nie powołany, nie chcę też wymyślać pewników w przedstawianiu poruszonych tu kwestyj: raczej tylko szkic rzucę obrazu, w którym pewnie czas zrobi zmian sporo; przecie mniemam, iż znając dobrze sprawy polskie, drogi i sposoby Myśli Polskiej, mogę z dużą dozą prawdopodobieństwa wnioskować logicznie z faktów znanych—o tem, co się w niedalekiej okaże przyszłości, o układzie spraw i stosunków w Polsce, gdy nareszcie nastanie tam pokój trwały i zupełny, a Polska będzie mogła dzieło swej rekonstrukcji podjąć i prowadzić, na zewnątrz zaś ubezpieczona — zawiąże współprace pożądane z innemi państwami i ludami.

W Pismach amerykańskich, nawet najpoważniejszych — mało znajduje się artykułów politycznych, światowej dotyczących areny: mniej tu są te kwestje znane, rozumiane, mniej się też o nie troszczą, bo Ameryka—daleko od Europy, gdzie światowej polityki—kuźnie najpotężniejsze. My—tu posiadamy olbrzymią masę własnych interesów swoistych, odrębnych, które aż nadto sprawiają społecznego kłopotu, więc o nich najwięcej w Prasie amerykańskiej; rzeczy dalsze—zdarzają się rzadziej, a często pisze się o nich niezbyt miarodajnie. Przykładów takiego stanu rzeczy było w Stanach Zjedn. sporo bardzo—dawniej zwłaszcza. Kiedy Ameryka po raz drugi już w ciągu niewielu lat bierze udział ważny w ogromnym konflikcie międzynarodowym, Prasa amerykańska orjentuje się już lepiej; razem z tem jednak zwykle Pisma nie-amerykańskie, tu wydawane, n. p. poważne gazety polskie, informują o sprawach światowych obcych—gruntowniej i poprawniej. Doświadczyliśmy tego na sobie—niejednokrotnie i doświadczać będziemy jeszcze nieraz pewnie, choć z drugiej strony sprawiedliwość przyznać każe — dużą dozę dobrej woli Prasie amerykańskiej, która co do spraw polskich specjalnie — wykazuje szczere zainteresowanie — szczególniej ostatniemi czasy bieżącej wojny, a nawet lepsze, niźli dawniej bywało, poinformowanie. Ze zadowoleniem notujemy przejawy te, leżące najczęściej w sferach ideowego sentymentalizmu, który w Ameryce ulubionym jest efektem—obok tak licznych, czysto praktycznych stron jej sposobu myślenia: jest tu ten sentymentalizm jakby jakiemś poczuciem odświętnem, jakby pobożnem pragnieniem, wyższym, czystszym zwrotem i lepszym porywem duszy. Dobre i to, bardzo dobre: trzeba tego każdemu narodowi; wyborna to zaiste kombinacja, jeśli się umie idealistyczne odczucia godzić korzystnie z praktyczną zapobiegliwością; połączenie zalet obu tych kategoryj daje najlepszą całość: przykładem—Stany Zjedn. gdzie byznesowość ogromna nie wyklucza najpłomienniej idealistycznego entuzjazmu. O Polsce dotąd wiedziano tu praktycznych rzeczy mało, bo Polska praktycznie nie istniała w czasie, kiedy Stany Zjedn. zaczęły się interesować tem, co się dzieje poza ich granicami i morzami: więc darzono nas—tylko sentymentem. Dopiero ostatniemi laty dowiadują się Amerykanie więcej o naszem znaczeniu politycz-

nem, lub ekonomicznem w zespole narodów świata, stąd i praktyczne snują kombinacje na przyszłość—o ile, w jaki sposób, jak wielkie korzyści będą miały z nas inne ludy, a my z niemi. Wszystko w porządku: nie o exploatacji to mowa, a o kooperacji, ogólnie korzystnej dla uczestników.

Więc w Ameryce już teraz obliczają—jakim to Polska może być po tej wojnie dobrym rynkiem zbytu dla Stanów Zjedn.: i racja jest—będzie świetnym niezawodnie; w angielskich Pismach ukazują się zupełnie poprawne, nie lekceważące Polski artykuły polityczne o przyszłych konjunkturach międzynarodowych; gdy dotąd pisano i gadano o wskrzeszeniu tej pięknej a biednej Polski —tak, że się zdawało, iż nam łaskę robią, że własną w tem wspaniałomyślność podziwiać każą, ostatnio piszą rozumniej: powiadają wyraźnie, że nie dla idei samej — choć i ona niezawodnie ważną jest przewodnią we wszystkich poczciwych sprawach, a dla ważnych w daleką przyszłość potrzeb koniecznych — tworzy się tę Polskę, przeto w interesie leży dobrego potrzeb owych załatwiania, ażeby Polska była dostatecznie silna, mocna, zdrowa, ażeby nie zawiodła rachuby, ażeby w łańcuchu przyszłych politycznych sił, jaki opasze świat, była ogniwem hartownem — nie pękła znów pod byle uderzeniem, lub z własnej się niemocy nie rozleciała.

Polska potrzebna jest na wschodnich kresach środkowej Europy, ze względów fundamentalnie doniosłych: jako tama potężna dla expansji niemieckiej, która unicestwiona prawdopodobnie ostatecznie już teraz, od zachodu i wschodu będzie musiała być strzeżona długo. Może też jeszcze czegoś i kogoś trzeba tam będzie pilnować, aby się zbytnio do Europy środkowej nie wdzierał . . . a może też Polska posłuży jako pomost i droga do Rosji, dla trwałego pozyskania i zbliżenia jej do cywilizacji Zachodu. Taka Polska, która w przymierzu będzie z Demokracjami Zachodu, jest motywem działań międzynarodowych, a że działania te łączą się z ideową stroną Kwestji Polskiej—to tem lepiej—robi się bowiem właśnie rzecz praktycznie pożyteczną i wzniosłą ideowo odrazu. Zrozumienie takiego pojęcia rzeczy i upowszechnianie go czyni wśród Amerykanów postępy, podnosi wartościowość Polski we familji narodów, bo wszystkim powiada, że Polacy — to nie ci, dla których zawsze coś robić trzeba, ale żeśmy potrzebni i ważni w świe-

cie, więc liczyć się z nami należy—koniecznie. Uświadomienie co do doniosłości roli przyszłej Polski w odnowionej, ale na dłuższy czas po wojnie pewnie jeszcze nieuporządkowanej Europie — popularyzuje się. Razem z tem są także i tacy, którzy—ze zawiści do Polski—nie chcą jej przyznać tej roli, oraz kompetencyj do jej wykonania; są to krętacze polityczni i oportuniści spekulujący,—są nieżyczliwi sąsiedzi—czescy, ruscy, litewscy, którzyby radzi Polskę umniejszyć, aby własne szanse zwiększać: rzecz to naturalna z ich strony i łatwa do zrozumienia; tego wszystkiego było dotąd niemało i zapewne w przyszłości nie brak tego będzie. Polska po wojnie będzie miała z tem wszystkiem niemało do czynienia, a rzeczą będzie jej propagandy, lepszej, sprawniejszej niźli dawniej aż dotąd bywało, by intrygi owe unieszkodliwiać, a wycieczki nieprzyjazne odpierać rozumnie, poważnie i taktownie. Robota taka—bez zawiści, bez złości, bo te są słabego argumentu synonimem prawie, robota godziwa i godna większego narodu, pewnego wartości własnych, sprawi najwięcej wśród nieuprzedzonych i bezstronnych, a pouczać będzie i zjednywać—nawet przeciwników. W tem—stąd będzie można Polsce pomagać wiele, co więc sprowadza nas właśnie na ostatnią kwestję założonej dyspozycji Rozdziału—mianowicie: Co my stąd dla Polski robić będziemy mogli? jaką będzie w przyszłości rola nasza względem Polski?

Jak się ta sprawa miała w przeszłości, a jak powinna być urządzona na przyszłość? Zanim "Polska wybuchła", wszystko — rzec można—było w porządku, to znaczy o tyle w porządku, o ile wszelkie sprawy polskie można było podówczas uważać — jako ujęte w ten, czy ów, mniej lub więcej trudny do znoszenia "porządek": robiło się co było można i tyle, ile się dało. Myśmy tu wówczas byli w nierównie lepszych warunkach od rodaków w Polsce, bośmy mieli na gruncie amerykańskim swobodę inicjatywy, narodowej i społecznej, a byt materjalny—dostatni! Z Polski wtedy patrzano na nas w Ameryce—jak na szczęśliwców, trochę nieokrzesanych, ale zawsze pożądanych, bo zasobnych, a uczynnych. Jeno u nas od czasu do czasu podnosiły się już wtedy głosy utyskiwania, że trudno jest nawiązać nam z Polską jakiekolwiek nici, duchowo łączące, trwałe utrzymujące kontakty my-

słowe; ale—powiadało się—trudno: Polski na nic stać nie było; wpływów nie miała, pieniędzy nie miała; w takich warunkach wymagań stawiać—nie było można. Po pierwszej Wojnie Światowej role odmieniły się bardzo gruntownie. Polska stała się Państwem niepodległem i wolnem, dążyła do mocarstwowego w świecie znaczenia, a my—my niby zostaliśmy tem, czem byliśmy, ale przecie nie tak samo było z nami, jak drzewiej bywało. Wprawdzie postąpiliśmy i my pod wielu względami, wyrobiliśmy się znacznie w obywatelsko-tutejszych prerogatywach i w ich wykonaniu: wzrośliśmy w liczbę, wzmogli nasz społeczny dorobek, posunęli naprzód i wyżej różne walory polsko-amerykańskie, a jednak—jednak pod wielu też względami poczuliśmy się słabsi, niż byliśmy, a w każdym razie—myślący wśród nas byli mniej zdecydowani o sobie samych, mniej pewni naszego jutra. Dawniej wiedzieliśmy wszyscy, czego chcemy, dokąd dążymy, nad czem pracujemy, na co ofiary składamy; potem, po tej pierwszej wojnie, zatraciliśmy drogę we własną przyszłość, a po prawdzie—do dziś wciąż jeszcze tej drogi szukamy, nie całkiem pewnie wiedząc, czy ją znajdziemy wreszcie, albo czy jutro—jutro będzie komu choć jeszcze szukać tej drogi, czy i szukających nie zbraknie . . .

I oto tu punkt główny naszych rozważań. Każdy z nas, kto bada, obmyśla, kto w pełni uświadomienia widzi i wskazuje możliwe drogi dalsze Polonji Amerykańskiej, kto rozumi jej zadania, mandaty, jej możliwości i potencjalną doniosłość, winien przyczyniać się do upowszechnienia poznania właściwego tych możliwości, do oceniania tych walorów a ewentualnie do ich wykorzystania. Powołani do tego są po równi wszyscy, tak w Polsce—w jej własnym interesie, jak w Ameryce. Tymczasem w Ameryce uświadomionych co do tego jest niewielu—i raczej ich ubywa, niżby przybywać miało, a w Polsce—bodaj że ich niema wcale! Tu zatem należałoby pracować nad zbliżeniami, porozumieniami, nad właściwem rzeczy tych popularyzowaniem w umysłach działaczy, by owo dobre rozumienie krzewiło się i rozpleniało dla obustronnych, dla wzajemnych korzyści—Polski i Polonji.

Polonja amerykańska zrobiła dla Polski i robi—olbrzymio wiele. O tem stale się zapominało w Polsce, a to był też właśnie jeden z powodów nieporozumień, w każdym razie—jedna z racyj

naszych pretensyj. Kiedy teraz po nastaniu pokoju Polska pójdzie drogą własną, ku świetnemu, daj Bóg, najświetniejszemu rozwojowi samoistnemu, gdy zabierze się do nadrabiania zaniedbań przedwojennych i wyrównania zniszczeń wojennych, my tu ostaniemy znowu—jak po pierwszej Wojnie Światowej—nie wszyscy może wiedząc, co dalej ma być z nami, dokąd nam iść, ku czemu, co robić jutro, jakiem ono będzie dla nas i dla synów naszych .... Polska już nas potrzebować nie będzie. Co więcej: Polska wolna, niepodległa, ale mająca co niemiara własnych nader trudnych problemów powojennej naprawy, nie będzie mogła myśleć o nas, cośmy—tak dalecy i bezpośrednio jej nie przynależni. Ale Polska choć wolniejszą porą—może pomyśleć *także* o nas! .... Tak, jak my wśród naszych kłopotów zapomnieć o niej nie chcemy, tak nie powinna i ona zapominać o nas, a dobrze ujęte, należycie podtrzymywane takie wzajemne pamiętanie o sobie da właśnie te wzajemne pożytki, których wskazanie jest tych rozważań przedmiotem i celem.

My—dawniej—w ciągu lat wielu dosyć prosto i łatwo konkretyzowaliśmy sobie myśl o Polsce. Powiadaliśmy: trzeba ze wszystkich sił Polsce służyć, pomagać, bo ona tego potrzebuje. Po wojnie obecnej i po najpierwszych potrzeb zaspokojeniu Polska już sama o losach swych stanowić będzie, nam zasię trzeba będzie również stanowić o sobie, obierając nowe dla naszych tu generacyj mandaty i drogowskazy. Jakie one? Zdałoby się—nietrudne, a jednak—trudne niezmiernie do powzięcia i wykonania.

Olbrzymia większość nas tu pozostanie, tu umrze; ale tu się i rodzi, tu stwarza dla siebie stałego bytowania podwaliny, oraz zakresy działań—wcale rozległych. Działania te są cząstką ogólnego zespołu interesów obywatelsko-amerykańskich. A to przybywają wciąż młode pokolenia, które przecie wiodą egzystencję coraz ważniejszą i lepszą, coraz wybitniejszą grają rolę w amerykańskiem społeczeństwie: pokolenia te, pozbawione oparcia duchowego, o Polskę—mając natomiast to oparcie tylko o Amerykę, staną już nieuchronnie w obliczu amerykanizacji. Godzimy się z tym faktem: niechże będzie amerykanizacja. Dawnośmy doszli do przeświadczenia, że więcej jesteśmy warci dla każdego, jako Obywatele amerykańscy, niż jako gromada emigrancka, z biedą tole-

rowana. Nawet dla Polski, gdyby znów kiedy trzeba było, więcej zrobimy—jako amerykańscy Obywatele, niż jako polscy emigranci; jeno idzie nam o to, iż amerykanizując się—nie chcemy po pierwsze dać się bezwzględnie *anglizować*, czyli nie chcemy zrywać z obyczajem polskim, a powinniśmy znać bodaj jako-tako mowę ojców, po wtóre—nie powinniśmy pozwalać na renegację, czyli na zupełne wyrzekanie się polskiej przynależności plemiennej i na zrywanie z nią, niegodziwe, niepotrzebne i niezasłużone, jak o tem pisałem obszerniej w Rozdziale poprzednim.

W tej niezmiernie doniosłej sprawie naszego tu utrzymania się i przetrwania może współdziałać z nami także Polska przyszła i oto dochodzimy do owych kooperacyj—tak pożądanych, pożytecznych tak obustronnie potrzebnych. My o Polsce nie chcemy zapomnieć! . . . *Niechajże i Polska o nas nie zapomni!* To się jej zresztą znakomicie opłaci—zawsze! . . . Wzajemne sentymenty takie, silnie a roztropnie podtrzymywane, zawsze opłacają się sowicie. Zpewnością Polonja Amerykańska nigdy nie poskąpi, jak nie skąpiła dotychczas, swoich dla Polski zasobów, czy wpływów, skoro się zdarzy okazja do tego, czy potrzeba. Niech tylko Polska odnosi się do Polonji—poprawnie. Rzecz w tem, że w Polsce stale dotąd myślano o nas jedynie—jakby to powiedzieć—w pojęciach, liczbami wyrażanych: ileśmy warci, ile mamy, ile dać możemy, ile z nas wydostać można! I nato zgoda. Polonja nie odmówi, nie odmówiłaby nigdy! Jeno rachuby takie nie powinny być interesownością jedynie, przeciwnie winny one być gruntowane odpowiednio, powinny być opierane na poważnych a konsekwentnych działaniach, mających na celu utrzymanie i podtrzymywanie u nas sentymentu dla Polski, oraz sentymentu ku nam szczerego w Polsce. Dotychczas—dawniej tego tam nie było wcale: władze Państwa n. p. traktowały Polonję—jak kopciucha, zapominając, że pisze się ona przez wielkie "P", nie przez małe "k": że jest Amerykańską *P*olonją, a nie polską *k*olonją! Nie liczyły się z tem wtenczas miarodajne czynniki państwa, które nasyłały tu wszelakich swych przedstawicieli od naczelnych do podrzędnych, co niejednego zamącenia byli wśród nas bodaj przyczynkiem, jeśli nie przyczyną, co "rzetelnie" dopomagali nam "żreć się" między sobą—bodaj o to, kto z nas lepiej Polskę kocha i kto

jej lepiej świadczyć potrafi! . . . Miast podtrzymywać wśród nas wszystko, co jednoczy, zbliża, wzmacnia, miasto więc pomagać do sprowadzania różnic, najczęściej imaginowanych bezpotrzebnie, do wspólnego mianownika realnych zadań, to tu ci wysłannicy zcicha—"dyplomatycznie" przykładali się do posiewania nieznasek i waśni—podług starokrajskich recept partyjnych, zapominając o tem, że Polonja nasza jest na wielkim świecie do pewnego przynajmniej stopnia—expozyturą Polskiego Narodu, zatem nie godzi się robić z niej zaśmieconego podwórka, na które z Polski —odpadki się wyrzuca . . .

Dość ogólników. Z obu stron będziemy musieli pracować dla siebie wzajem, ile można—lepiej, niż to było dotychczas. My zrobimy wszystko, czego się po nas oczekiwać będzie. Polska przyczyniać się może do użytkowania intellektualnych czynników Polonji na rzecz dobrej propagandy polskiej w Stanach Zjedn., bo my tu w tej dziedzinie potrafimy zrobić więcej i lepiej, niż stamtąd, z Polski kiedykolwiek zrobić zdołają: pokierowanie ideowe niech przychodzi z Polski—na to zgoda; wykonanie praktyczne powinno znaleźć się tu, w Ameryce. Trzeba będzie ku temu ludzi jednoczyć, nie prowokować; nie lekceważyć przeważnych i poważnych wierzeń i usposobień naszych, zorjentowań i pojęć naszych, bo to się nie godzi z poczuciem tolerancyjności amerykańskiej, którą my tu znamy dobrze, a nadto byłoby to jaskrawą niesprawiedliwością, która musiałaby zrażać. Nie zmieniając własnych przekonań, ale i nie narzucając ich innym, taktownie szanując wierzenia i zorjentowania owe, dalej się zajdzie i więcej się zyska. Będzie też dobrze urządzić i uprzystępnić wszelkie agendy w Polsce, podające tam poprawne wiadomości o Ameryce i o Polonji Amerykańskiej, jak więc zrzeszenia prasowo-literackie i wogóle agencje publicystyczne: niech tam w Polsce o nas wiedzą, niechaj się o nas pisze więcej i lepiej, bośmy tego warci: mniej frazeologji, mniej wyrywań się niepoważnych, a więcej taktu, rozsądku i szczerej chęci zrobienia czegoś konstruktywnego. Ot—co jest, ot—czego było i będzie nam trzeba. Na takie działania Polska nie będzie musiała nawet wydawać zbyt wiele: kosztować to ją będzie znacznie taniej, niż dawniejsze niepożądane tu wycieczki i nieudałe propagandy. Trzeba na to będzie dobrej zna-

jomości rzeczy, którą my damy i prawdziwej woli czynienia dobrze, a na to powinni zdobyć się w Polsce.

Zakończę kilku już tylko zupełnie konkretnemi faktami i szczegółowemi wskazaniami, które nie są bynajmniej narzucaniem programu, a są wynikiem wielu narad poważnych w miarodajnych i przewodnich naszych kołach, do przyszłych współdziałań już się intensywnie przygotowujących:

Duchowieństwo nasze, zdając sobie sprawę z tego, że po wojnie kilkoletniej, po grasowaniu w Polsce notorycznych nieprzyjaciół religji i wyznań wszelkich—polski Kościół Katolicki będzie w każdej swych działań dziedzinie potrzebował szybkiej i wydatnej pomocy, zainteresowało tej pomocy niesieniem Episkopat Katolicki w Ameryce, który zarządza składki po wszystkich diecezjach i parafjach, gromadzi fundusze i przeznacza je na najbardziej naglące zapotrzebowania. Tak zwany Fundusz Biskupi dał już setki tysięcy dolarów na zasiłki i poratowania rozmaite, a zapewne da i o wiele więcej jeszcze. Wiedząc o tem, że w Polsce wyginęło wielu Biskupów i Kapłanów, Episkopat Amerykański przygotowuje i kształci młodych księży dla Polski, na pracę w niej misyjną; przygotowania te już się prowadzi, a objęte niemi jest między innemi i Seminarjum Polskie w Orchard Lake, Mich.

Dalej Duchowieństwo Polsko-Amerykańskie utworzyło w Polonji zupełnie nową Organizację, uplanowaną na prace, wyłącznie dla Polski i w Polsce: jest to nader pomyślnie rozwijająca się "Liga Niesienia Pomocy Religijnej Polsce", zespalająca duchownych i świeckich pracowników katolickich dla celów, w nazwie wyrażonych. Organizacja ta zbiera pieniądze na poratowanie kościołów i parafij w Polsce, gromadzi i sporządza dla nich szaty i aparaty liturgiczne, kształci pracowników i pracownice społeczne na działalność przyszłą w duchu katolickim, jaką Polsce służyć zamierzamy. Ligą tą nadzwyczaj życzliwie a gorliwie zajmuje się zacny Koadjutor Detroickiej Archidiecezji, J.E. Ks. Biskup Stefan Woźnicki, który w r. 1944 zwołał ogólno-krajowy zjazd omawianej Organizacji do Cleveland, O., na którym załatwiono sprawy statutowe, a dodano Lidze sił i wpływów, któremi całą religijną, a więc przeważną część obejmie Polonji Amerykańskiej.

Wiemy również, że Zgromadzenia Zakonne naszych Sióstr Nauczycielek gotują się do pracy w przyszłej Polsce, której trzeba będzie nagląco szkół—i to szkół religijnych, oraz sił do ich prowadzenia: wierzymy, że praca Zgromadzeń tych, tak znakomicie doświadczonych w Szkolnictwie, tak zasłużonych w Polonji—możliwa będzie, pożądana i pożyteczna w Polsce powojennej.

Wiem dalej o planach rozmaitych naszych instytucyj intellektualnych i naukowych, które intensywnie pracują z myślą o przyszłej—powojennej Polsce: "Fundacja Kościuszkowska"—jeno czeka na możność wznowienia znakomicie pożytecznych wymian wykładowców i stypendystów dla kontynuowania dawniej, przed drugą Wojną Światową zapoczętych kooperacyj naukowych. Zbiera się tu dla Polski przyszłej książki i dzieła, by choć w części zastąpić niemi te, które Niemcy wyniszczyli; nawet w "Muzeum Polonji" gromadzi się archiwa, dokumenty i inne objekty niezawodnie wysoce wartościowe—dla Polski.

A z Polski—w tych spraw i działań, omówionym zakresie będziemy wzajem oczekiwali: wykładowców, prelegentów, może też n. p. pomocy—w siłach nauczycielskich dla stworzenia w Polonji pierwszego Polsko-Amerykańskiego Uniwersytetu, o czem tu u nas też już nieraz mówiono i o czem piszę obszerniej w Rozdziale o Szkołach, gdzie mowa o Seminarjum Polskiem, posiadającem najlepsze warunki—najbliższe realizacji do zamienienia się w przyszłości lepszej w taki Uniwersytet, który byłby najdzielniejszą dźwignią naszych poczynań przeciwko wynarodowieniu, przeciw zatracie narodowości polskiej w Ameryce.

Przechodząc do innych pól pracy, oraz do zrzeszeń ważniejszych, czytamy, że Sokoli Polsko-Amerykańscy, których "Związek" w r. 1944-tym obchodził uroczyście półwiecze patrjotycznego, a historycznie zasłużonego dla Polskiej Sprawy w Ameryce działania, gotują się również do nowych, naprzyszłych prac ideowych dla Polski—z myślą zawsze o niesieniu jej pomocy, szlachetnie bezinteresownej. Istnieje szereg cały zrzeszeń, planujących akcję ratunkową, bezpośrednio pomocniczą w odbudowie miast, miasteczek i wiosek: ludzie nasi, pochodzący z pewnych miejscowości, zamyślają zająć się wspólnie restauracją po wojnie miejscowości swego pochodzenia, obiecując Polsce odbudowę ich

lepszą, nowoczesną, by były piękniejszemi jeszcze niźli dawniej; że większość znamienita planów tych będzie wykonana, co do tego nie żywimy wątpliwości. Istnieje projekt, by pewne całe osiedla nasze wzięły na siebie troskę i koszt odbudowy pewnych miast polskich: byłby to, a chyba i będzie—bodaj w znacznej mierze, doskonały podział prac nad odbudową, a zarazem praktyczne ich usprawnienie i przyspieszenie. Opracowano kilka—nader gruntownie obmyślonych planów ekonomicznego niesienia powojennej Polsce pomocy, a odratowania jej w sposób nawskroś nowoczesny a wszechstronny; jeśli projekty te chociaż w części będą zrealizowane, a wierzymy, że najlepsze z nich będą w każdym razie, to zniszczone i zrujnowane miasta i wsie polskie otrzymają w możliwie najkrótszym czasie odnowę wspaniale nowoczesną. Z kilku tych projektów, z któremi dane nam było zapoznać się, wyróżnię jako najpraktyczniejszy i najlepiej opracowany, projekt znanego działacza, organizatora i oficera Armji Polskiej z Ameryki, kapitana Franciszka Dzioba, który plan swój złożył "Radzie Polonji" na jednym z jej ostatnich zjazdów: plan ów w zasadzie przyjęto i przekazano do podjęcia w porze stosownej i okolicznościach odpowiednich, co jest daleko posuniętem ze strony rzeczonej instytucji zapewnieniem.

Wreszcie i kupiectwo nasze, długo dość słabo funkcjonujące —jako profesja, jako ciało zorganizowane, powojenne widoki i nadzieje ożywiły i usprawniły dość znacznie: i ono gotuje się do podjęcia swej roli, oraz do wykonania jej godnie a pożytecznie dla Polski — w przyszłych byznesowych możliwościach — zapewne bardzo rozległych i obustronnie w korzyści możliwe obfitujących. Na koniec pisze się już w naszych gazetach o potrzebie obmyślenia i przygotowania poprawnych regulacyj, które unormują warunki powrotu do powojennej Polski dla tych, co tam pojadą na stałe osiedlenie się, lub na czas dłuższy prac tam prowadzonych; dawniejsze niedomagania w tej dziedzinie dadzą dobre pouczenia na przyszłość.

A tu wzmianka się przyda i o tem, że wzajem z Polski — po wojnie oczekiwać można wzmożonego ruchu emigracyjnego: niechże mu Ojczyzna troskliwą da opiekę; niech nam tu przysyła materjał dobry, duchowo zdrowy i wartościowy—także i o tem

pamiętając, że nowi z Polski do Polonji przybysze będą wydatnem podtrzymaniem Polskości w Ameryce. Wobec tego, że w Stanach Zjedn. od dość dawna przewidują wprowadzanie ulg w ostrych obecnie ograniczeniach immigracyjnych, a po wojnie, gdy do pracy rąk więcej trzeba tu będzie, zmiany odnośne zdają się być przewidywane *(Patrz Przypiski)*, i ta kwestja nie koniecznie teoretyczne, a zupełnie praktyczne i ważne może mieć perspektywy.

Czytelnik zauważy, że we wszystkich kwestjach końcowej tej części niniejszego Rozdziału spisujemy ogólne tylko zapowiedzi, możliwości, projekty i plany: w szczegóły—nie podobna tu wchodzić, bo wreszcie wiele tych planów — jest dopiero "in statu nascendi"—dopiero się tworzą, wyrabiają się w dyskusjach prasowych i innych—po Organizacjach naszych; czas ich konkretyzowania nawet jeszcze nie przyszedł; ale one wszystkie znajdą się niezawodnie gotowe w odpowiedniej porze, gdy po wojnie—oby jak najrychlej skończonej—nowa Polska znów na ziemi własnej Panią będzie.

Jeszcze jedno: Polacy w Ameryce będą mogli służyć wybornie—jako pośrednicy we wszelkich interesach Polski ze Stanami Zjedn.: dzięki znajomości obu języków naszych, znajomości stosunków amerykańskich—będą Amerykanie Polskiego Pochodzenia idealnie ukwalifikowani do tego, aby być łącznikiem we wszelkich wymianach, interesach, współdziałaniach — pomiędzy Stanami Zj. a Polską. W tej ich roli widzimy najlepszą, najjaśniej przemawiającą, najpraktyczniej przedstawiającą się rolę Polonji —rolę łącznika, pośrednika między Ameryką a Polską. Z pewnością Polska długo i nadal potrzebować będzie Polonji, a przecie wie dobrze, że ma w niej wierną, wytrwałą, wyrobioną, wpływową współpracownicę, która nie w jednej, ale w stu sprawach może jej być pożyteczną. Więc stosunki polsko-amerykańskie, a tem określeniem oznaczam w tej chwili—nie sprawy Polonji, ale rzeczywiście stosunki rozliczne i rozległe między Ameryką a nową Polską—zapowiadają się bardzo pomyślnie i to na długie czasy. Polska, tylu rzeczy, do życia niezbędnych, pozbawiona przez wrogów, będzie nagląco potrzebowała na każdem polu—dostaw i zasiłków ze zagranicy. Nie o wsparcia tam już pójdzie, nie o samo ratownictwo: odnowione Państwo Polskiego Narodu będzie pierw-

szorzędnym odbiorcą, będzie rynkiem zbytu, terenem handlu i przemysłu—ogromnym, w którym interesy pracownikom swym opłacać się będą świetnie. Wtedy wyrównywać się będą pomiędzy przyjaznemi Narody, Amerykańskim i Polskim, wymiany i przysługi wzajemne. Żaden kraj, żaden naród, sam sobie—własną tylko mocą, a zasobami istnieć nie może i nie chce; właśnie współżycia ludów powojennego świata, który dać ma nam lepsze bytowania warunki, spodziewamy się i wierzymy w nie pewnie. A kogóż mielibyśmy wierzeniami i nadziejami temi obejmować szczerzej i serdeczniej, niż Polskę, któż miałby być bliższy nam—od niej. Któż—jej winien być bliższym, niż my?! *(Patrz Przypiski)*

Widać i z tego, co tu spisać zdążyłem, że do niesienia pomocy Polsce my—w Ameryce przygotowujemy się rzetelnie, wszechstronnie, jak zawsze ofiarnie, a bezinteresownie—w prawdzie rzeczy: za to wszystko, co jużeśmy zrobili i co niezawodnie zrobimy w przyszłości,—od Polski—Macierzy, od Braci-Rodaków w "Starym Kraju" prosimy tylko i oczekujemy, oczekiwać mamy prawo —szczerej, serdecznej Dobrej Woli, a w niej braterskiego wyrozumienia i oceniania nas. Niczego więcej nie żądamy, lecz gdy to nam dane będzie, to w tem—w onej Woli Dobrej znajdzie się wszystko, czego trzeba, z tej Dobrej Woli pocznie się wszelka dla Polski i dla Polonji pożyteczna i potrzebna współpraca, duchowa i materjalna—nie dorywcza, a trwała, systematyczna — Polsce na pożytek a Polonji Amerykańskiej na przetrwanie.

PRZYPISKI

J. E. X. BISKUP RHODE DO POLONJI I JEJ DUCHOWIEŃSTWA

Green Bay, Wis., 28 października, 1939.

Drodzy Księża!

Gdy nareszcie umysły i serca wszystkich nieco ochłonęły z przerażenia i żałości, w której pogrążone nagle były straszną klęską, jaka spadła na Ziemię Ojczystą,—wobec tego, iż wszyscy wspólnie odczuwamy, że obowiązkiem chwili jest nieść pomoc rzeszom bezdomnym i zgłodniałym w Polsce,—niech mi wolno będzie, jako jałmużnikowi nieszczęśliwych, usilną wnieść prośbę do Was, Konfratrzy, byście pomni na swój urząd, jako kapłani Chrystusowi i pol-

scy, wszelkich sił dołożyli do zbierania grosza ratunkowego dla Rodaków nieszczęśliwych za Oceanem.

Ojczyzna nasza kochana nieraz już ciężkie przechodziła koleje, ale nikt chyba nie zaprzeczy, że obecne nieszczęście, jakie ją nawiedziło, najgorszem jest ze wszystkich. Jednak nie wolno rozpaczać—"niech żywi nie tracą nadziei", jak mówi poeta nasz. Ktokolwiek chce dopomóc w dźwiganiu Ojczyzny, niech uprzytomni sobie to, że prace te rozpocząć trzeba od ratowania Jej dzieci nieszczęśliwych. Ratujmy zatem te rzesze bez dachu i bez chleba, które obecnie od nas pomocy wyglądają. Niech nie będzie między nami ani jednego, któryby w tem dziele nie brał udziału: owszem przystoi nam przodować w niem w imię Najmiłościwszego Zbawiciela.

Narazie—co będzie grosza gotowego, niech będzie przesłane do biura "Rady Polonji Amerykańskiej" w Chicago, która w łączności z Amerykańskim "Czerwonym Krzyżem" postara się o odesłanie tych funduszów do Polski—na ręce tych stowarzyszeń, którym wolno pomoc nieść ofiarom wojny; później zaś, gdy pokój nastanie, a normalne przywrócone będą stosunki i środki komunikacyjne, wówczas będzie pora po temu, by się znosić z komitetami polskiemi, które niewątpliwie tam powstaną i uprawnione będą do działania i prowadzenia akcji ratunkowej.

Upraszam zatem raz jeszcze Was, Bracia Kapłani, o czynny udział w pracy zbożnej zbierania grosza ratunkowego, wespół z resztą naszego Wychodźtwa —i to bez względu na przynależność organizacyjną innych pracowników na tem polu.

Szczęść Wam Boże!

Oddany w Panu,
Ks. Paweł Rhode, Biskup
Prezes Zj. Kapł. w Ameryce.

PIERWSZY RATUNKOWY APEL

Apel "Rady Polonji" z r. 1939, brzmiał głosem alarmu—wołał na trwogę, ale i na pomoc: wezwanie to i dziś nie straciło swej aktualności, ponieważ potrzeba niesienia pomocy równie jest silną i aktualną, jak poprzednio. Oto tekst tego apelu:

Rodacy!

Grom jaki uderzył w Polskę, bolesnem echem odezwał się w sercach naszych.

Polska w gruzach leży. Setki tysięcy ludzi niema dachu nad głową. Nie mają odzieży, bielizny, nie mają środków do życia.

Nie wolno wpadać w zniechęcenie i apatję, gdy Bracia nasi z głodu, zimna i chorób, wojną wywołanych—konają.

Idzie zima. Któż tym Braciom naszym pomoże, jeżeli nie my? Pomoc, zapoczątkowana tak pięknie przez Amerykański "Czerwony Krzyż", na ręce którego Polonja złożyła już zgórą ćwierć miljona dolarów—musi być kontynuowana.

Odbyty niedawno nadzwyczajny Zjazd "Rady Polonji Amerykańskiej" powierzył nam ciężkie zadanie podjęcia pracy dla Polski. Polecił w tym celu skupić całą Polonję w jednej wielkiej organizacji ratunkowej, aby tem sprawniej pracować dla Polski.

Apelujemy tedy do wszystkich Organizacyj, Towarzystw, Klubów, Zrzeszeń,— gdziekolwiek się one znajdują — w miastach, osadach górniczych czy

na farmach: *Łączcie się w centrale ratunkowe!* Centrale zasię ratunkowe poszczególnych miast, niechaj łączą się w Okręgi. Niech do Okręgów, które powstaną i do owych central należą wszyscy. Niech nie będzie jednego Towarzystwa, któreby szło samopas, któreby się uchyliło od wspólnej akcji. Do tej pracy stanąć musimy wszyscy!

W szeregach "Rady Polonji Amerykańskiej" znaleźć się muszą wszystkie Organizacje — od największych do najmniejszych, znaleźć się muszą wszyscy szlachetni ludzie polskiego pochodzenia.

Stańcie z nami do tej pracy. Łączcie się w Okręgi i zbierajcie fundusze, organizujcie zbiórki, imprezy i ofiary zbierajcie. Dajcie wy szlachetni, co zawsze dajecie i od innych żądajcie. W kim płynie krew polska, do szeregu! do pracy!

Przy każdym czeku, czy przekazie pocztowym, należy zaznaczyć, przez jaką agencję, działającą na ziemiach polskich, lub wśród uchodźców polskich za granicami Polski, pieniądze dane mają być użyte na ratunek nieszczęśliwych, czy więc przez Amerykański "Czerwony Krzyż", czy przez Amerykańskie Stow. Kwakrów, "Y.M.C.A.", czy przez "American Commission for Polish Relief". Za całość tych pieniędzy, za ich odpowiednie użycie na pomoc cierpiącemu ludowi polskiemu, gwarantują największe Organizacje polskie w Stanach Zjednoczonych, oraz ich czołowi Kierownicy, którzy weszli do Rady Polonji.

Nie czas na łzy, na narzekanie, czas na czyn.

Tego czynu domagamy się od was.

Do pracy dla dobra ludu polskiego, dla dobra Polski.

Rada Polonji Amerykańskiej:

F. X. Świetlik, Cenzor Z.N.P.,—Prezes Rady; Dr. T. Starzyński, Prezes Sokolstwa Pol. w Ameryce—Wiceprezes Rady; Honorata Wołowska, Prezeska Związku Polek—Wiceprezeska Rady; Józef Kania, Prezes Zjednoczenia P.R.K.—Skarbnik Rady; Ks. Mieczysław Starzyński, C.R., —Sekretarz Rady.

LIST PADEREWSKIEGO DO POLONJI AMERYKAŃSKIEJ

Generał Józef Haller, przybywając do Polonji Amerykańskiej w r. 1940, przywiózł nam list następujący od I. J. Paderewskiego:

Ukochani moi Bracia i Siostry na Wychodźtwie!

W imię nierozerwanych węzłów miłości, które nas złączyły dla świętej sprawy odbudowy Polski, w imię wspólnie, zgodnym wysiłkiem dokonanego dzieła, zwracam się do Was, tłumiąc okrzyk zgrozy i rozpaczy, gdyż umęczona Ojczyzna czynu, a nie żalu i skarg od nas się domaga.

Przyjechać do Was nie mogę, bo siły moje i wiek podeszły na to nie pozwalają, uczyć Was miłości dla Polski nie potrzebuję, gdyż dajecie jej stale najpodnioślejsze dowody, zachęcać Was do ofiarności nie zamierzam, gdyż tak —jak dotąd, nie dacie się niej wyprzedzić nikomu.

Słowa te są raczej posłannictwem mej najgłębszej dla Was wdzięczności, serdecznego hołdu dla Waszego polskiego patrjotyzmu, który z taką godnością potraficie łączyć z Waszem przywiązaniem i bezwzględną lojalnością dla Waszego Wielkiego Kraju—Stanów Zjednoczonych.

Czcigodnego Generała Józefa Hallera, z czasów Wielkiej Wojny Naczelnego Wodza Armji Polskiej we Francji, Waszego Ukochanego "Błękitnego Generała", uprosiłem, aby Wam te moje, z głębi wdzięcznego serca płynące,

słowa odczytał, wiedząc, że nikomu godniejszemu, lepszemu i ofiarniejszemu, bardziej dla Ojczyzny zasłużonemu, a najgłówniej nikomu Wam wszystkim bliższemu i droższemu, tej roli przemawiania do Was w mojem imieniu, powierzyćbym nie mógł.

Duchem, myślami i sercem jestem z Wami i przy Was. Cieszę się razem z Wami, że Wychodźtwo Polskie w Ameryce gościć może wśród siebie Józefa Hallera, członka Rządu Jedności Narodowej, jednego z twórców tego zjednoczenia, o które od lat wszyscy dobrzy Polacy się modlili i które dopiero na gruzach naszego państwa dało się urzeczywistnić.

Gen. Haller przyjechał do Was, by w pierwszym rzędzie, w imieniu Rządu Rzeczypospolitej zapewnić Wychodźtwo, że Polska dziś, krwią opływająca, z najgłębszą wdzięcznością myśli o Was, jako o Tych, co się w znacznym stopniu, ofiarą krwi i mienia, przyczynili do jej odbudowy.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej wraz z Rządem Jedności Narodowej — dalecy są od chęci pomniejszenia Waszych zasług—tak, jak to dotąd niejednokrotnie czyniono.

Rządowi Rzeczypospolitej przewodzi mój najbliższy przyjaciel, Gen. Władysław Sikorski, Wódz Naczelny naszych sił zbrojnych. Mogę Was zapewnić, że sprawa odbudowy Polski, odzyskania słusznych praw do naszej ziemi i do niepodległego bytu w dobrych znalazła się rękach.

Z ufnością w pomoc i błogosławieństwo Boże, z wiarą w nasze siły—nie cofamy się przed ciężkiem zadaniem i historyczną odpowiedzialnością, które na nas spadły. Bierzemy się do pracy z wiarą w świętość i czystość naszej sprawy, mając pewność, że osiągniemy ostateczne zwycięstwo, że Polskę odbudujemy—wielką, potężną i sprawiedliwą.

Sprawa odbudowy Polski stała się symbolem walki o tryumf prawa i sprawiedliwości w stosunkach między narodami, walki o taki układ sił w Europie, któryby zapewnił światu okres długiego i trwałego pokoju i umożliwił wreszcie ludzkości oddanie się pracy twórczej, zapewniającej dalszy rozwój, zagrożonej najazdem barbarzyństwa cywilizacji.

W tej ciężkiej walce opieramy się nietylko na orężnem współdziałaniu naszych potężnych sprzymierzeńców, ale również na poparciu moralnem wszystkich państw demokratycznych, w pierwszym rzędzie Stanów Zjednoczonych.

Niema potrzeby podkreślać, jak bliskie i jak dawne węzły przyjaźni łączą Polskę ze Stanami Zjednoczonemi. Nieśmiertelne zasługi ś. p. Prezydenta Wilsona i Pułkownika House'a, a ostatnio wystąpienia w obronie pokoju i Polski Waszego szlachetnego Prezydenta, Franklina D. Roosevelta, są ich najbardziej wymownym i wzruszającym dowodem.

Świeżo powstały Komitet Pomocy dla polskiej ludności cywilnej, złożony z najszlachetniejszych i najbardziej wybitnych przedstawicieli Wielkiego Amerykańskiego Narodu, jest dalszem, cennem tych węzłów przyjaźni umocnieniem.

Obowiązkiem Waszym, jako Obywateli amerykańskich polskiego pochodzenia, jest okazanie wdzięczności Prezydentowi Rooseveltowi i całemu społeczeństwu za pomoc, naszej sprawie dawaną, za moralną solidarność z nami w okresie ciężkiej próby.

Wychodźtwo zapisało jedną z najświetniejszych kart historji Polski, dając wzniosły przykład zgody i jedności narodowej. Pod światłem i ofiarnem kierownictwem Wydziału Narodowego, dokonaliście wielkiego czynu. Ustały prywaty, znikły rozbieżności, wszystkim bez wyjątku przyświecał jeden-jedyny cel—przyjścia z pomocą i służenia Polsce.

Los sprawił, że po dwudziestu latach niepodległego bytu Polska znów znalazła się w podobnej sytuacji, jak przed pierwszą wojną światową.

Nie szukajmy nowych dróg, skoro stare wypróbowane okazały się najlepsze. Wobec grozy położenia, weźmy się do pracy, odbudujmy kierownictwo wspólne, kierownictwo, godne naszego zaufania i karnie poddajmy się jego wskazaniom. Nie idzie o nazwę, ani o formę, idzie jedynie i wyłącznie o treść głęboką i istotną. Nie chcę dopuścić nawet myśli, że cośkolwiek mołgoby stanąć na przeszkodzie wytworzeniu tej koniecznej zgody i jedności wśród naszego ukochanego Wychodźtwa. W czasie mego niedawnego wśród Was pobytu, miałem możność stwierdzić z największą radością, że duch obywatelski wśród Was żyje i rozwija się nadal. Osobiste rozmowy moje z przedstawicielami Duchowieństwa, Przewódcami zasłużonych Towarzystw i Zrzeszeń, wreszcie rozmowy z dawnymi mymi Przyjaciółmi i Towarzyszami wspólnej pracy—są najlepszą rękojmią, że i tym razem zgoda i jedność pod wspólnem, z Waszego grona wyłonionem kierownictwem, dadzą się osiągnąć. Jest to jedyny, ale niezbędny warunek powodzenia naszej sprawy.

Świetlana postać Gen. Hallera będzie Wam przy dokonaniu tego zbożnego dzieła zgody i braterstwa wielką pomocą. Słuchajcie jego rad, stosujcie się do jego wskazówek, bo dyktować je będzie jedynie i wyłącznie wzgląd na dobro Rzeczypospolitej.

Niech Bóg Najwyższy pracy Waszej błogosławi, niech Was oświeca i niech kieruje Waszemi krokami. Czekają nas chwile ciężkie, walka długa i ofiarna, ale u jej kresu czeka nas wszystkich tryumf sprawiedliwości, nagroda za nasze trudy i wysiłki: wolna, potężna i sprawiedliwa Polska.

Niech żyją Stany Zjednoczone! Niech żyje Polska! Niech żyje nasze ukochane Wychodźtwo!

I. J. Paderewski.

PADEREWSKI O POLSCE—DO ŚWIATA

Na początku r. 1940go Paderewski wystosował do świata w sprawie umęczonej Polski słowa następujące:

"W chwili dziejowej, w której Naród Polski składa dowody niezrównanego bohaterstwa, zwracam ku niemu z głębi udręką ogarniętego serca wraz z hołdem i podziwem — to posłanie nadziei i ufności w Boga i Jego Sprawiedliwość.

"Polska zjednoczona jest cała w świadomości, że broniąc swej ziemi i stawiając opór przytłaczającej przewadze wrogów, wbrew wszelkiej—zdawałoby się—możliwości powodzenia, walczy ramię w ramię wraz ze swymi, w chwale kroczącymi Sprzymierzeńcami, o ostateczne zwycięstwo Prawa i Sprawiedliwości. Polska złożyła siebie w ofierze w tej świadomej woli raz jeszcze, jak stale w toku dziejów, kładąc się zaporą przeciw barbarzyństwu, podejmującemu pochód na zdobycie świata. Ofiara ta, dzisiaj znaczona niezliczonemi białemi krzyżami na mogiłach polskich, na polach chwały żołnierzy polskich, a zarazem w niebo bijącym obrazem straszliwych spustoszeń, nie idzie na marne.

"W ciągu przeszło trzech tygodni, Polska, sama jedna, dźwiga wytrwale ciężar hitelerowskich wojsk, szturmowych zastępów, uzbrojonych bronią pancerną i rozporządzających olbrzymiem lotnictwem. Te trzy tygodnie bohaterskiej chwały i męczeństwa stanowią nasz wkład w świętą Sprawę wspólną, z którego jesteśmy i będziemy dumni i którego rozmiarów nigdy nie będziemy żałowali. Burzące siły bolszewizmu złączyły się z siłami hitleryzmu, a haniebne

sprzysiężenie dwóch despotyzmów przypieczętowane zostało zbrodniczem uderzeniem na tyły wojsk naszych.

"I cóż się dzieje, gdy w ten sposób stan rzeczy na naszych polach bitew okazał się jeszcze bardziej rozpaczliwy? Oto wojsko polskie nie waha się ani chwili: jakby nie licząc się z tem, spełnia swój obowiązek, trwa w oporze, trwać będzie w nim aż po ostateczne granice ludzkich możliwości. Zawsze Polska dotrzyma godnie kroku Sprzymierzeńcom, którzy również bez wahania poświadczyli uroczyście, iż dochowają zawsze wszelkich swych zobowiązań, idąc w tym wysiłku aż do końca. Nawet w całości zawojowana Polska pozostanie wierna sojusznikom. Na swej ziemi trwać będzie w tej walce zaciętej, w tej walce z najeźdźcą, zmusi go do ustawicznej czujności, zwiąże znaczne jego siły, dając dowód wrogowi, że jest w kraju podbitym, ale nie uległym.

"Dzień zwycięstwa może być bliski, lub daleki: to w ręku Boga. Ale dzień ten nadejdzie! Bo świat musi być wreszcie uwolniony od zmory, która szarpała jego siły żywotne, podważała wszelką gospodarkę polityczną i społeczną, zachwiewała podstawami naszej cywilizacji. Czekają nas godziny twardych prób, zachowajmy cały zasób zimnej krwi, jasności myśli, wytrwałości w powziętem postanowieniu. Zwycięstwo nie będzie łatwe, ale nam ostatecznie przypadnie.

"Ostateczne zwycięstwo Sprzymierzonych otworzy wrota nowej dobie dziejowej, która przywróci panowanie Prawa i Sprawiedliwości w życiu międzynarodowem, oraz utrwali niezniszczalne wartości serca i umysłu ludzkiego, jedynie zdolne wznieść ludzkość ku godnej, szczęśliwej przyszłości.

I. J. Paderewski."

REZOLUCJA ZJAZDU "RADY POLONJI" 1941 R., WE WASZYNGTONIE

Przedstawiciele pięcio-miljonowej Polonji Amerykańskiej, skupionej w naszych Organizacjach i Okręgach Rady Polonji, zebrani na Trzecim Walnym Zjeździe w stolicy najpotężniejszej Republiki świata, po omówieniu najżywotniejszych naszych problemów, uchwalamy, co następuje:

1. Witamy z radością tworzącą się w Kanadzie Armję Polską i zwracamy się do całej Polonji Amerykańskiej, ażeby pospieszyła z jak najwydatniejszą pomocą, moralną i materjalną Żołnierzowi Polskiemu z Ameryki, gotującemu się do walki nie tylko o wyzwolenie Polski, ale również w obronie demokracji i wolności tego kraju.

2. Stwierdzamy, że cała Polonja Amerykańska solidaryzuje się z Rządem Amerykańskim, z Prezydentem Rooseveltem na czele—w jego akcji niesienia natychmiastowej i skutecznej pomocy Aljantom. W tym celu wzywamy wszystkie nasze Organizacje, Towarzystwa i Okręgi, ażeby jak najsilniej przeciwdziałały akcji, prowadzonej przez przeciwników niesienia tej pomocy.

3. Zjazd wyraża zgodną opinję, że udzielenie najdalej idącej pomocy Polsce przez Stany Zjednoczone na podstawie tak zwanego "Lend-Lease" bilu jest dotąd jednym z najlepszych sposobów obrony tego kraju.

4. Wzywamy społeczeństwo w Ameryce, ażeby spotęgowało i zwiększyło wysiłki w kierunku pomocy Polsce, Zarządowi zaś Rady jak najgoręcej polecamy użycie takich środków i sposobów, któreby dały w akcji ratunkowej lepsze niż dotąd rezultaty, a to ze względu na to, że potrzeby obecne są większe.

5. Uważamy za nakaz chwili—o ile tylko to jest możliwe,—nieść w pierwszym rzędzie pomoc dotkniętym klęską wojny w Polsce, następnie jeńcom wojennym w obozach niemieckich, oraz uchodźcom polskim, rozrzuconym po całym świecie. Polecamy gorąco tak zrzeszeniom, jak pojedyńczym osobom,

ażeby pomagały sprowadzać uchodźców do tego kraju, zachowując ich w ten sposób dla przyszłej Polski.

6. Bohaterskiej Armji Polskiej, z jej Wodzem, Generałem Sikorskim na czele, lotnictwu polskiemu, które w obronie Demokracji tak niepospolitą chwałą okryło już nasz Naród, oraz polskiej flocie wojennej i marynarce handlowej—przy boku bohaterskiej Wielkiej Brytanji, wyrażamy nasz podziw i wierzymy, że nagrodą za ich trudy i wysiłki będzie Wolna i Niepodległa Polska.

7. Prezydenta Raczkiewicza Rząd Jedności Narodowej, z Premjerem Sikorskim na czele, Radę Narodową R.P. i jej Prezesa, a naszego Wodza Duchowego, Ignacego Jana Paderewskiego, oraz obecnego na tym zjeździe, pełniącego obowiązki Prezesa Rady Narodowej R. P., p. Stanisława Mikołajczyka, zapewniamy, że Polonja Amerykańska nie ustanie w pracy, a będzie nieść wszelką możliwą pomoc Narodowi Polskiemu w celu jak najrychlejszego odzyskania jego niepodległości.

Niech żyją Stany Zjednoczone!

Niech żyje wierna Sojuszniczka Polski—Wielka Brytanja z jej Aljantami!

Niech żyje Wolna, Niepodległa i w całem tego słowa znaczeniu—Demokracja Polska!

Komisja Rezolucji:

Dr. Teofil A. Starzyński, Ks. Władysław Zapała, C.R., Władysław Bayer, Honorata Wołowska, Jan Zieliński, Stanisław Gutowski, Franciszek Dziób.

DEKLARACJA POLSKO-KANADZKA, W SPRAWIE ARMJI POLSKIEJ

Podstawą formacji nowej Armji Polskiej była Polsko-Kanadzka Deklaracja, ułożona i podpisana za pobytu w Ameryce Naczelnego Wodza Polski, Gen. Sikorskiego w r. 1941. Deklaracja ta opiewa:

"Urząd Sekretarza Stanu dla Spraw Zagranicznych Kanady.

Ottawa, 5go kwietnia, 1941.

"Wizyta Premjera Polski w Kanadzie pozwoliła na pomocną wymianę poglądów między Rządami Polski i Kanady, oraz zbadanie wzajemnych problemów, powstających z wojny. Z głęboką dumą spoglądaliśmy na bohaterski opór Polskiego Narodu przeciw nieprzyjacielskim siłom okkupacji, oraz na kontrybucje lądowych, morskich i powietrznych sił zbrojnych Polskich i Kanady dla sprawy wspólnej.

"Dokończono zarządzeń dla ustanowienia polskich sił zbrojnych w Kanadzie do służby za Oceanem. Rząd Kanady odda swą pełną kooperację dla ustanowienia tych sił, które—po okresie ćwiczeń w Kanadzie—połączą się ze zbrojnemi siłami Państwa Polskiego.

"Korzystamy z tej okazji, aby zaznaczyć silne postanowienie narodów odnośnych naszych krajów, by dzielić nadal do ostatka swoich sił—z Wielką Brytanją i z innemi narodami Imperjum, oraz z naszymi Sprzymierzonymi — wszelkie zabiegi o zachowanie i przywrócenie wolności. Spoglądamy już poza widnokrąg ku temu dniu, kiedy wspólne wysiłki wszystkich, którzy kochają Wolność, połączą się, aby znów sprowadzić do porządku życie świata, oparte na międzynarodowej kooperacji, sprawiedliwości, tolerancji i dobrej woli.

W. Sikorski, Premjer Polski

W. S. MacKenzie King, Premjer Kanady."

WŁADYSŁAW SIKORSKI

Władysław Eugenjusz Sikorski urodził się 20go maja, 1881 roku, w Tuszowie pod Sandomierzem.

Do szkół średnich uczęszczał w Rzeszowie i we Lwowie. Już w gimnazjum przyjmował żywy udział w życiu konspiracyjnem młodzieży—jako organizator, a następnie jako przewodniczący tajnych kółek samokształcenia się. Po szkołach średnich Sikorski wstąpił na wydział inżynerji lądowej Politechniki Lwowskiej. W okresie tym wiele poświęcał czasu pracy społecznej, będąc od roku 1904 przewodniczącym zorganizowanego przez studentów Politechniki, Koła Towarzystwa Szkoły Ludowej. Objeżdżał w tym czasie Małopolskę Wschodnią, wygłaszając odczyty, oraz organizując czytelnie i włościańskie koła oświatowo-kulturalne.

Skoro po 1905 roku Galicja stała się terenem działania dla licznych emisarjuszy niepodległościowych ze zaboru rosyjskiego i kiedy postanowiono w Małopolsce zorganizować bazę akcji niepodległościowej, Sikorski znalazł się w szeregach ówczesnych działaczy, na stanowisku przewodniczącego jednego z kół wojskowych młodzieży, które stanowiło początek tajnego "Związku Walki czynnej"

Skończywszy Politechnikę, Sikorski pracował — jako inżynier, a kiedy w 1910 r. polski ruch wojskowy w Galicji, wobec oczekiwanej przez Austrję wojny, przybrał legalne formy, Sikorski powołany został na stanowisko prezesa "Związku Strzeleckiego" we Lwowie. W tym czasie opracował pierwszy, dostosowany do nowoczesnych wymagań podręcznik wojskowy pod tyt. "Regulamin musztry Związku Strzeleckiego i Elementarna Taktyka Piechoty", wydany w r. 1910 w Krakowie.

W 1912 roku w coraz pewniejszem przewidywaniu wojny austrjacko-rosyjskiej, wyłoniona została w Krakowie tak zw. "Komisja Tymczasowa Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych", która na wypadek wojny z Rosją, miała stanowić coś w rodzaju Rządu Narodowego. Sikorski objął w tej komisji funkcję kontrolera prac wojskowych, a następnie—przed samą wojną sprawował obowiązki generalnego sekretarza Komisji.

Wybuch wojny światowej zastał Sikorskiego w Belgji, skąd wezwany do służby w armji austrjackiej, przybył do kraju i brał udział w pierwszych walkach w Galicji Wschodniej. Wkrótce jednak został wydzielony z armji austrjackiej a wstąpił w szeregi 1-szej Brygady Legjonów.

Odkomenderowany do Krakowa, Sikorski—jako podpułkownik Legjonów, objął kierownictwo Departamentu Wojskowego "Naczelnego Komitetu Narodowego", pozostawał na tem stanowisku do września, 1916 roku, a w ciągu tego czasu zajmował się organizacją 2 i 3 Brygady Legjonów. We wrześniu, 1916 r. podpułkownik Sikorski objął dowództwo 3-go pułku piechoty Legjonów na froncie Wołynia.

Po haniebnym pokoju brzeskim (Rosji z Niemcami), Sikorski—solidaryzując się z Gen. Hallerem, złożył władzom austrjackim, napisaną w duchu protestu deklarację, w następstwie której został aresztowany: wytoczono mu proces o zdradę stanu. Kilka miesięcy siedział we więzieniu, wreszcie zwolniony —dzięki zabiegom kół politycznych polskich, wrócił do Lwowa. W końcu października, 1918 r., kiedy już zarówno Austrja, jak i Niemcy, objęte były rewolucją, Rada Regencyjna mianowała go szefem sztabu Armji Małopolskiej.

Odradzająca się Rzeczpospolita Polska zastała Sikorskiego w Przemyślu, gdzie podówczas organizował obronę tego miasta przed Ukraińcami; przedostawszy się następnie do zagrożonego Lwowa, objął kwatermistrzostwo do-

wództwa "Wschód", współpracując z Gen. Rozwadowskim w obronie Lwowa.

W styczniu, 1919 r., Sikorski walczył pod Bartatowem, oraz Mszaną; w marcu tegoż roku, objął najbardziej zagrożony odcinek frontu pod Gródkiem Jagiellońskim i mimo przewagi nieprzyjaciela skutecznie bronił dostępu do Lwowa; następnie w kwietniowej ofensywie stoczył zwycięską z Ukraińcami bitwę pod Stawczanami. W odwrocie przed siłami przeważającemi, a następnie w kontrofensywie, stoczył Sikorski zwycięską bitwę w Gołogórach, poczem zdobył Tarnopol, docierając aż do Zbrucza.

W sierpniu, 1919 r., Naczelny Wódz J. Piłsudski powierzył Sikorskiemu dowództwo 9-tej Dywizji piechoty. W marcu, 1920 r., prowadził akcję bojową na Mozyrz i Kalenkowice, a ze zdobyciem Kijowa, Sikorski opanował linje Dniepru środkowego, zdobywając Rzerzyce i Czernobyl. Mianowany Generałem Brygady Sikorski w sierpniu, 1920 r., stanął na czele 5-tej Armji pod Modlinem: stoczył tam wówczas szereg krwawych walk: pod Nasielskiem, Ciechanowem i Płońskiem, przyczyniając się w dużym stopniu do obrony Warszawy przed nawałą rosyjską. Następnie Sikorski wspólnie z oddziałami Gen. Stanisława Hallera prowadził wielką akcję na Wołyniu przeciwko Budiennemu, zdobywając w zwycięskich bojach Kowel, Hrubieszów, Włodzimierz Wołyński, Łuck, Dubno, Ostróg, Równe, wreszcie — doszczętnie rozbijając armję Budiennego.

Po wojnie polsko-rosyjskiej Sikorski, podówczas już Generał Dywizji, objął stanowisko Szefa Sztabu Generalnego.

W jesieni 1921 r., Generał Sikorski bawił we Francji, gdzie w dużym stopniu przyczynił się do ostatecznego ustalenia warunków konwencji polsko francuskiej. Po powrocie Sikorski został powołany na premjera rządu, a równocześnie był ministrem spraw wewnętrznych: pozostawał na tych stanowiskach do 26go maja, 1923 r.; zreorganizował administrację, wspierał samorządy województw, opracował i wprowadził w życie wytyczne polityki Państwa na kresach. W dziale polityki zagranicznej udało się rządowi Sikorskiego uzyskać, iż w dniu 17go marca, 1923 r., Konferencja Ambasadorów uznała w całości wschodnie granice Polski.

W latach 1924-25 był ministrem spraw wojskowych: w tym czasie zabiegał o podniesienie sprawności Armji Polskiej, a także o zaopatrzenie jej w nowoczesne uzbrojenie. Specjalną troską otaczał lotnictwo, które w tym czasie trzykrotnie wzmocniło swą siłę bojową, oraz broń chemiczną, dla której utworzył "Instytut Gazowy" we Warszawie, a wreszcie marynarkę wojenną, dotąd prawie nie wychodzącą poza ramy kilku statków szkolnych. Baczną również zwracał uwagę na wychowanie fizyczne i przysposobienie wojskowe młodzieży.

Po ustąpieniu ze stanowiska ministra wojny Gen. Sikorski objął dowództwo Okręgu Korpusu VI. we Lwowie, lecz po zamachu majowym 1926 r., do którego się nie przyłączył, pozbawiony został przydziału, ale zatrzymany we wojskowej służbie... Skazany zatem na bezczynność, przecie bezczynnym nie jest, poświęca czas na studja i na prace naukowe w dziedzinie wojskowości, wydaje szereg wysoko cenionych dzieł, wśród których "Wojna Nowoczesna" otrzymała jedną z najwyższych nagród Akademji Francuskiej; poza tem Gen. Sikorski opublikował dzieła: "Nad Wisłą i Wkrą", "Polska i Francja" i inne; równocześnie prowadził działalność publicystyczną, ostrzegając w artykułach, ogłaszanych w Pismach w Polsce i poza nią, przed wzrastającą potęgą Niemiec i wskazując na konieczność przygotowania się Polski do wojny.

Sikorski był jednym z tych niewielu, którzy zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa germańskiego i z konieczności ścisłej, szczerej współpracy Polski z innemi Demokracjami. Niestety, z jego zdolności, wiedzy i doskonałego orjentowania się w położeniu kraju i w stosunkach międzynarodowych—we Warszawie nie korzystano, a tak—przeszło dziesięć lat ostatnich przed wojną Sikorski był niejako ubezwładniony, bo jego sytuowanie w armji nie pozwalało mu na żadną działalność wojskową, ni polityczną: usta miał zamknięte, był odcięty kompletnie od wywierania wpływu na kształtowanie się polskiej myśli politycznej i na wyrabianie się wojskowości. Dopiero w krytycznych miesiącach 1939 r., gdy niebezpieczeństwo germańskie stało się już zbyt wyraźne, sfery rządowe w Polsce postanowiły wykorzystać Sikorskiego wiedzę i kontakty we Francji: pozwolono mu udać się tam "w charakterze prywatnym" i oto—dzięki Sikorskiego zabiegom doszło do tego, iż przekonani przez niego Francuzi nakłonili Wielką Brytanję do zaofiarowania przymierza Polsce; jednocześnie naprawiono stosunki polsko-francuskie nadwyrężone polsko-niemieckim "paktem nieagresji". Sikorskiemu Polska zawdzięcza, że w swej ciężkiej sytuacji nie znalazła się zupełnie odosobniona.

Po wybuchu wojny obecnej, podczas kampanji wrześniowej Gen. Sikorski —mimo trzykrotnego zgłaszania się do ówczesnego Naczelnego Wodza, przecie nie otrzymał przydziału wojskowego... Po klęsce wrześniowej udaje się do Paryża, gdzie w dniu 1-go października, 1939 r., powołany przez Prezydenta R. P., staje na czele Rządu, a równocześnie zostaje Wodzem Naczelnym Polskich Sił Zbrojnych, które reorganizuje we Francji.

Na wiadomość o kapitulacji Francji Generał Sikorski, który znajdował się wówczas na froncie, udaje się samolotem, specjalnie po niego wysłanym przez Rząd Brytyjski—do Londynu, gdzie odbył historyczną naradę z Premjerem Anglji, Churchillem, a w jej wyniku przeprowadza ewakuację Wojsk Polskich do Wielkiej Brytanji.

Po zerwaniu porozumienia sowiecko-niemieckiego Gen. Sikorski podpisuje układ zgody z Rosją Sowiecką: dzięki niemu stworzono w Rosji sto-tysięczną Armję Polską, której Dywizje znajdują się obecnie we Włoszech i w Anglji. Gen. Sikorski udawał się do Rosji osobiście, by przeprowadzić układy odnośne, zapocząć formację znajdujących się tam podówczas wojsk i załatwić sprawy, związane z organizowaniem opieki nad ludnością cywilną. Dwukrotnie też przyjeżdżał Sikorski do Ameryki, a jego przyjazdy i akcja tutejsza wzmocniły jeszcze dobre stosunki Rządów Amerykańskiego z Polskim, co się wyraziło i utrzymuje dotąd w układzie amerykańsko-polskim co do tak zw. "Lend-Lease" systemu pomocy, niezmiernie korzystnego dla Polski. W r. 1943, w lecie, odbywał objazd inspekcyjny wojsk polskich, wysiedlonych z Rosji i reorganizowanych na Bliskim Wschodzie; w powrocie z podróży tej—zginął we wypadku lotniczym, dnia 3-go lipca, 1943 r.; aeroplan, wiozący go i jego przybocznych, runął w morze koło brzegów Hiszpanji, niedaleko Gibraltaru. Ciało znaleziono i pochowano narazie na cmentarzu Polskim w Londynie.

Władysław Sikorski należał do najwybitniejszych Wodzów Aljanckich we wojnie obecnej. Zasłużony znakomicie Polsce, do której wyswobodzenia w pierwszej światowej wojnie przyczynił się niezapomnianie, służył jej potem na stanowiskach wysokich, jako dowódzca jej wojsk, jako mąż stanu, polityk i jako kierownik jej rządów. Sikorski ofiarował Sprawie Polskiej wszystkie swe zdolności wielkie, pilność niestrudzoną i czyny, niezmiernie ważne, cenne, bo pełne znakomitych rezultatów i dziejowych zasług, uznawanych zarówno przez rodaków dobrze myślących, jak przez tych, co obok Polaków stanęli do

walki o wolność ludów, o demokrację, o swobody obywatelskie, o prawo życia w myśl haseł postępu i sprawiedliwości.

Poświęcał się Sikorski w całości umiłowanej idei Wolności i Niepodległości Ojczyzny. Pracował dla niej w rozlicznych dziedzinach, trudnych, skomplikowanych zapotrzebowań bieżących. Jak nikt drugi—umiał pozyskiwać dla Sprawy Polskiej przyjaciół wpływowych, jak nikt inny—znał, wyczuwał jej potrzeby, zawsze strzegąc niezłomnie i nieustępnie Narodowego Honoru i czci tej nieskalanej tarczy, na której srebrne godło Orła Białego świeci w polu krwawem... Silne stanowisko Polski przez Sikorskiego zajęte obok Anglji w tej wojnie, w chwili—gdy się ona przegraną być zdała, jego myśl genjalna jako naczelnego zwierzchnika i rzecznika narodowego, gdy ten naród w najokropniejszem znalazł się opuszczeniu i rozbiciu, jakie nań kiedykolwiek w tysiącleciu dziejów jego nastało, jego trafna a taktowna i pełna godności polityka względem Rosji, zmierzająca do wyzwolenia z pod jej ucisku nieszczęsnych zesłańców polskich, oraz do stworzenia z nich najwyższej sumy pożytków, jakąby ocalić się dało dla narodowego zjednolicenia i odnowienia, jego wreszcie znakomite porozumienia tu, w Ameryce nawiązane, pozyskanie dla Polski zasobów amerykańskich, stosunek bliski z Prezydentem Rooseveltem: to są wszystko tak wielkie i ważne rzeczy, tak ogromne zasługi, że zaprawdę niepodobna oceniać ich inaczej, jak tylko z najwyższym entuzjazmem i najgorętszą, najserdeczniejszą czcią dla tego, co był ich twórcą.

Z KONGRESU POLONJI AMERYKAŃSKIEJ 1944 ROKU

Izba Kongresu wystosowała trzy zasadnicze Posłania: Memorjał do Prezydenta Roosevelta, Pozdrowienia do Rządu Polskiego i Posłanie do Polski Podziemnej, oraz Walczącego Narodu Polskiego.

Pismo do Prezydenta Roosevelta w skrócie powiada, co następuje:

Polonja Amerykańska, popierając stanowisko rządu amerykańskiego, uznającego rząd polski na wygnaniu, a nie uznającego zmian terytorjalnych, przeprowadzonych w Europie drogą gwałtu i przemocy, zwraca uwagę Prezydenta na fakt, że obywatele amerykańscy polskiego pochodzenia głęboko wierzą, iż Prezydent w pełni doceni słuszność Sprawy Polskiej. Delegaci Kongresu Polonji Amerykańskiej wyrażają opinję, że jeśli zwycięstwo militarne w obecnej wojnie ma przynieść istotne rezultaty, musi przynieść zwycięstwo ideałów, wyrażonych w Akcie Atlantyckim.

Delegaci Kongresu Polonji podkreślają, że okkupacja i zatrzymanie ziem polskich przez armje rosyjskie stanowiłyby źródło przyszłych niepokojów w Europie i równałyby się jaskrawemu pogwałceniu międzynarodowej moralności i sprawiedliwości, przeto Amerykanie Polskiego Pochodzenia apelują do Prezydenta, by nie zgodził się na kompromis, rezultatem którego byłby ponowny rozbiór Polski, aby użyczył swojej pomocy dla zachowania integralności terytorjalnej Rzeczypospolitej Polskiej i nie zezwolił, by Stany Zjednoczone zostały uwikłane w plany wymierzone przeciw Polsce i jej przyszłości, zarówno na wschodzie jak i na zachodzie.

Memorjał zawiera również zalecenie, by została powołana do życia Rada Narodów Zjednoczonych, któraby skoordynowała prace powojennego planowania, oraz położyła fundamenty pod gmach zbiorowego bezpieczeństwa i odpowiedzialności.

W apelu do Prezydenta, Delegaci Kongresu Polonji wzywają Roosevelta, by zachował pełną suwerenność Polski, nie poszedł na żaden kompromis, nie

zgodny z honorem i tradycjami Ameryki, a kontynuował jedynie amerykański kurs w polityce zagranicznej.

Posłanie Kongresu naszego do Walczącego Narodu Polskiego i do Polski Podziemnej podajemy w całości—poniżej:

Amerykanie polskiego pochodzenia, zebrani na kongresie na wolnej ziemi amerykańskiej, do Was Bracia i Siostry, do Ciebie Walczący Narodzie Polski, poprzez morza i lądy, poprzez pola bitew, poprzez mury więzienne i zapory niewoli wołamy z daleka, wołamy z pragnieniem, by słowa nasze mogły być głosem otuchy i nadziei wśród nocy, jaka okrywa ziemie polskie już przez lata, wśród męki Waszej, której nie widać kresu.

Związani jesteśmy dzisiaj z Wami, Bracia, nie tylko wspólnotą pochodzenia, nie tylko pamięcią dziejów pełnych krwi i chwały—krwi przelanej za wolność swoją i cudzą—chwały jakiej tylko niezłomność wobec przeciwnych losów przysporzyć może.

Związani jesteśmy dzisiaj z Wami wspólnotą walki o przyszłość; świadomi jesteśmy bowiem, ile Kraj nasz potężny, wolny i umiłowany, Stany Zjednoczone Ameryki Wam zawdzięcza. Świadomi jesteśmy, że gdyby nie Wasza dobrowolna ofiara, gdyby nie Wasze męstwo, co z podniesionem czołem przyjęło wyzwanie dwu największych potęg wojennych świata—wojna innemi mogła potoczyć się szlakami i do naszych tu domostw spokojnych, mogła była okrutną wtargnąć dolą. Świadomi jesteśmy, że za ocalenie świata wolności przed tryumfem niemieckiej tyranji, świat jest Wam winien i że Wasza męka i niewola jest ceną wolności naszej i wszystkich Narodów Zjednoczonych.

Wiemy także, jak wielką jest ta cena dla Narodu Polskiego, którego najlepsi synowie jednako giną w kaźniach Niemiec, jak w dalekich tundrach Sybiru, bohaterską śmiercią na polach bitew, na szubienicach, z rąk rzekomego sprzymierzeńca, śmiercią męczeńską.

Nie tylko poczucie wspólnego pochodzenia, nie tylko słuszna duma, jaką czerpiemy z nadludzkiej niezłomności Narodu Polskiego, narodu naszych przodków, nie tylko uczucie bólu, jakie nas przenika, w obliczu Waszej męki, —lecz przedewszystkiem i nadewszystko głos sumienia nakazuje nam czynić, co tylko w naszej jest mocy, by Polskę przed zamierzonym rozbiorem i ponowną niewolą obronić.

Los Polski stał się probierzem wspólnego nam wszystkim zwycięstwa. Gdyby zlekceważona być miała Wasza Najwyższa Ofiara, gdyby zapomniane być miały Wasze niezastąpione zasługi, gdyby podeptane zostały miljony polskich mogił, a całość i niepodległość Państwa Polskiego nie została przywrócona, natenczas koniec tej wojny nie byłby zwycięstwem, ale klęską wszystkich demokracyj.

Dlatego my, obywatele amerykańscy pochodzenia polskiego, w poczuciu najgłębszej słuszności, w wykonaniu naszych obowiązków obywatelskich i w zrozumieniu wspólnoty losów wszystkich wolnych ludów, przesyłamy Wam Bracia, Tobie Walczący Polski Narodzie, uroczyste nasze zapewnienie, że *wedle miary praw naszych i wedle mocy naszej, walczyć będziemy o dotrzymanie wierności ideałom amerykańskim, wyrażonym w Akcie Atlantyckim—*

O uznanie pierwszeństwa prawa przed siłą,
O dochowanie zobowiązań,
O równość wolnych narodów świata,
O dotrzymanie traktatów,
O uszanowanie poświęceń,
O naprawienie krzywd,
O tryumf sprawiedliwości,

O zwycięstwo Demokracji,
O bezpieczną przyszłość świata,
O bezpieczeństwo Ameryki.

Czyniąc tak, wiemy, tem samem, że na każdem miejscu i w każdej okoliczności walczyć będziemy o Polski całość, wolność i niepodległość. Tak nam dopomóż Bóg.

O POLAKACH AMERYKAŃSKICH—JAKO ŁĄCZNIKU MIĘDZY AMERYKĄ A POLSKĄ

Autor książki urządził wywiad z Drem Franciszkiem Zaborowskim we Filadelfji, lektorem Uniwersytetu "Temple" i autorem prac z zakresu chirurgji. Dr. Zaborowski interesuje się społecznemi sprawami Polonji, a szczególniej kształceniem się wyższem naszej młodzieży. Ostatnio został on powołany do grona jednego z wyższych Stowarzyszeń Medycznych w Stanach Zj. i z tej okazji rozmawialiśmy z nim m. i. o kwestji przyszłych stosunków pomiędzy Polską a Ameryką, oraz o roli, jaką w nich grać może Polonja Amerykańska. Oto poniżej treść tej rozmowy, podkreślającej poglądy nasze, wyrażone w osnowie Rozdziału:

Językowo, zawodowo, duchowo, doświadczeniem, nabytem w świecie amerykańskim, oduczeni wszelkiego dyletantyzmu, a przyuczeni do pracy ciężkiej, identyfikującej się z ciągłą walką o byt—coraz lepszy, mają Polacy Amerykańscy wiele danych, ażeby służyć bardzo wydatnie — zarówno Polsce, jak Ameryce. Ameryka gotowa jest do użytkowania wszystkiego, co użyć i wykorzystać warto: o tem w Ameryce i w Polonji Amerykańskiej wiele się mówi, wskazuje się na to i urabia się już zawczasu właściwe w tej kwestji orjentacje. Niechże to i w przyszłej Polsce będzie rozumiane i ocenione. W taki sposób wykorzystywali doświadczenia amerykańskie Niemcy u siebie; dlaczegóż Polska miałaby zapoznawać we wymianach byznesowych czynnik polsko-amerykański, zwłaszcza—gdy on nam jest przystępniejszy, łatwiejszy i gdy oceniać się da o wiele szlachetniej, bo Polonja amerykańska w sprawach omawianych działałaby nierównie sympatyczniej od innych czynników obcoplemiennych w Ameryce, że wzmiankujemy znowu tylko Niemców amerykańskich, którzy n. p. w obecnym okresie wojennym—omal, że się nie posunęli do zdradzieckiego działania na szkodę Stanów Zjednoczonych.

Polak Amerykanin, działając na korzyść Polski w Ameryce i na korzyść Ameryki w Polsce, nigdy nie będzie w konflikcie uczuć i powinności—owszem sympatycznie będzie widziany w obu krajach, a to jest bardzo ważny wzgląd, który—zwłaszcza przy naszych doświadczeniach amerykańskich, przy poznaniu i odbyciu tu twardej szkoły życia i produkowania intensywnego — mieć może dla Polski powojennej kolosalnie doniosłe znaczenie—przy nader łatwem zastosowaniu.

LUDNOŚĆ SIĘ ZMNIEJSZA: OTWORZYĆ BRAMY!

Komitet problematów ludnościowych Stanów Zjedn., złożył przed rokiem raport Prezydentowi Rooseveltowi z prac swych za rok 1942. Raport to jest niezmiernie interesujący dla grupy polskiej w Ameryce, która wskutek zamknięcia immigracji straciła dopływ świeżych sił z Polski (co zresztą odczuły i inne grupy narodowościowe). Komitet wykazał, że do roku 1980 może być w Stanach Zjedn. maximum 158,000,000 ludności, od tej daty jednak potrzeba będzie zmienić politykę immigracyjną, albo—zwiększyć się musi wydatnie licz-

ba urodzin. Może zdarzyć się, że do roku 1955 osiągniemy liczbę 148,000,000 ludności, ale ubędzie z tej liczby wskutek zgonów 10,000,000 co najmniej — tak rzeczony raport utrzymuje. Istnieje wiele oznak, że ludność w Stanach Zjedn. się zmniejsza. Ogromnie wzrastała ona wskutek naturalnego przyrostu w okresie od czasów kolonjalnych do Wojny Domowej, ale od początku 19-go stulecia stopniowo zmniejsza się rozrodczość kobiet naszych, zwłaszcza w północno-wschodnich Stanach. Ludność u nas stopniowo zmniejszać się będzie i dalej—utrzymuje rzeczony raport—o ile nie zwiększy się liczba urodzin, a nie przedłuży się wieku życia starszych przez poprawę zdrowotności ogólnej. Żeby płodność kobiet była większa, potrzeba dopuścić do Stanów Zjedn. ludność słowiańską, która odznacza się największą płodnością w białej rasie: to jest wniosek raportu.

W roku 1900 w Stanach Zjedn. było 70 osób powyżej 20 lat wieku—na każde sto osób, liczących od 20 do 60 lat; w roku 1935 było takich osób tylko 68, a w roku 1975 będzie ich około 48; kiedy w r. 1900 było 13 osób powyżej 60 lat wieku—na 100 osób, liczących od 20 do 60 lat wieku, to w roku 1935 było ich 17, a w r. 1975 będzie ich około 34, długowieczność zatem poprawia się, ale ludzie starzy dzieci mieć nie mogą, a tymczasem liczba urodzin zmniejsza się stale i znacznie.

Emigracja—wedle tego raportu — jest znikająco mała, wewnętrzna zaś migracja jest ruchem z farm do miast, co niema większego znaczenia w rachubie ogólnej liczby ludności. Opinja w Stanach Zjedn. przekona się rychło, że młodzieży tu będzie za mało do pracy, zwłaszcza po tej wojnie. Zamykanie wstępu do kraju immigrantom o dużej żywotności i pracowitości jest rzeczą szkodliwą dla Stanów Zjednoczonych.

"AKT ATLANTYCKI"

Dnia 14go sierpnia, 1941 roku, spotkali się na północnym Atlantyku, na pokładzie angielskiego okrętu wojennego "Prince of Wales"—Prezydent Stanów Zjedn., Franklin D. Roosevelt i Premjer Wielkiej Brytanji, Winston Churchill. Na konferencjach, jakie wówczas odbyto, uchwalono tak zwany "*Akt Atlantycki*", który jest Deklaracją, ujmującą treściwie najbardziej zasadnicze cele drugiej wojny światowej. Deklaracja obejmuje ośm głównych punktów, w których powiedziano:

1. Oba konferujące Państwa nie dążą do powiększenia swych stanów posiadania terytorjalnego, czy jakiegobądź innego.

2. Oba Państwa nie będą dążyły do zmian terytorjanlych—takich, któreby nie były zgodne ze swobodnie wyrażoną wolą odnośnych narodów.

3. Wyrażają poszanowanie dla prawa wszystkich ludów do obioru takiej formy rządu, pod jakim one żyć pragną; dążyć też będą do odzyskania suwerennych praw i samorządu dla tych narodów, które ich zostały przemocą pozbawione.

4. Będą starały się—przy poszanowaniu należnem ich obecnych zobowiązań—ażeby wszystkie państwa i ludy, wielkie, czy małe, zwycięskie, czy zwyciężone, posiadały dostęp na równych prawach i warunkach—do handlu, do surowców, jakie im potrzebne będą w rozwoju ich ekonomicznego dobrobytu.

5. Pragną sprowadzić najpełniejsze współdziałanie wszystkich narodów na polach produkcji ekonomicznej, starając się o pozyskanie dla wszystkich—jak najlepszych warunków pracy, poprawy materjalnego bytu i społecznych zabezpieczeń.

6. Oba Państwa żywią nadzieje, że po ostatecznem obaleniu tyranji nazistowskiej nastąpi ustalenie trwałego pokoju, który pozwoli wszystkim ludom żyć w obrębie swych granic bezpiecznie i który da zapewnienie, że wszyscy ludzie na wszystkich swych ziemiach żyć będą mogli życiem swobodnem od obaw i braków.

7. Taki pokój da możność wszystkim ludom żeglowania morzami świata swobodnie i bez przeszkody.

8. Oba Państwa wyrażają przekonanie, że wszystkie w świecie narody zarówno dla moralnych, jak dla materjalnych względów—dojść muszą do poniechania siły, a ponieważ nie może być mowy o utrzymaniu przyszłego pokoju, jeśli byłyby utrzymywane zbrojenia na lądach, morzach, czy w powietrzu —przez narody, które zagrażałyby, lub mogłyby zagrażać agressją innym, poza ich granicami żyjącym ludom, przeto konferujące Państwa wyrażają też przekonanie, że na czas—nim nie zostaną przyjęte i ustalone regulacje, dotyczące powszechnego spokoju i bezpieczeństwa, rozzbrojenie zupełne takich narodów będzie konieczne; będą również wspierały wszelkie inne praktyczne zarządzenia, mające na celu ulgi w ponoszeniu ciężkiego brzemienia zbrojeń— dla wszystkich, pokoju pragnących narodów.

ZAKOŃCZENIE

Bardzo nam się odwlokło wydanie tej książki. Sprawiły to ciężkie warunki wydawnicze, spowodowane wojennemi ograniczeniami i utrudnieniami wszelkiego rodzaju.

Pierwotnie zamierzałem doprowadzić przegląd spraw polsko-amerykańskich, do Drugiej Wojny Światowej, ale właśnie dlatego, że wydanie książki opóźniło się—tak, iż jawi się ona w piątym już roku Wojny, kiedy według wszelkiego prawdopodobieństwa zbliża się ona do zakończenia, trzeba było i opracowania naszego ramy poszerzyć, by objąć niemi działania polsko-amerykańskie również w okresie Wojny obecnej. Starałem się zrobić to najzwięźlej, a mogłem zrobić — tylko najogólniej: nie pokończone sprawy nie pozwalają na szczegółowe ich omówienie, a rzeczy, planowane dopiero, zapowiadające się z naszych przygotowań i projektów, mogłem ledwie wzmiankować: kwestje takie, jak przyszłe kooperacje Polonji Amerykańskiej z Polską, jak wogóle sprawy, powojennej Polski dotyczące, można było tylko wskazać w przypuszczeniach — prawdopodobnych; rozwój spraw samych i ukształtowanie się ich—lepsze, lub mniej dobre, funkcjonowanie porozumień i współdziałań, sprawne i wydatne, czy też—nie tak pomyślne— to są rzeczy dalszej przyszłości, zatem ocen i osądów, które już naszą nie będą objęte pracą, ni—lat zasięgiem. Zrobią to po nas—inni. Myśmy zrobili swoje, jak można, najlepiej, najbezstronniej, najżyczliwiej — dla prac polsko-amerykańskich, z ducha polskiego poczętych, oraz dla ich pracowników.

Przeszło czterdzieści lat pracy wśród Polonji Amerykańskiej, —więcej niż połowa tej liczby lat, poświęconych na gromadzenie

materjałów,—lat kilka, zużytych na spisanie tych rzeczy, a dwa lata oddane na zredagowanie ostateczne całości: rezultat—jakby zwięzła synteza dziejów i dorobku Polaków w Ameryce. Zarówno co do gruntowności poznania, jak pod względem rozległości ujęcia przedmiotu, książka ta—zdaje mi się—jest jedyną w swoim rodzaju. Nie mienię jej być doskonałością: ludzka rzecz—daleka od tego; ale w każdym razie *drugiej w tym rodzaju — niema.* Oczywiście, opracowanie można było uczynić znacznie obszerniejszem, toteż zastaniawiałem się nad tem, czyby dzieła nie podzielić na dwa tomy: n. p. udział Polonji w pierwszej Wojnie Światowej i w odzyskaniu niepodległości Rzeczy Pospolitej Polskiej, sama ta część—mogłaby stanowić tom, wcale obszerny; sądzę jednak, że opracowanie tego właśnie sławnego epizodu dziejowego powinno być przedmiotem odrębnej, samoistnej pracy, dla której zpewnością znajdzie się—prędzej, lub później—odpowiednio przygotowany pracownik, a lepiej—grono pracowników, mających na to czas i środki; nam to nie dane, a po prawdzie—nie to moim zamiarem: mnie zależało na zwięzłem spisaniu i przedstawieniu całości dziejów polsko-amerykańskich, z uwydatnieniem ich najsilniej charakterystycznych cech i momentów i to—ośmielam się sądzić—w książce tej podaję.

Techniczne ujęcie opowiadań staram się podać tak, by to najskładniej, najprzystępniej zdało się Czytelnikowi. Rozdziały poszczególne traktowane są—jakby całości same w sobie, jakby rozprawy: przypiski do nich następują bezpośrednio, uzupełniając informacje, dla omawianych kwestyj szczególniej przydatne, lub do nich należące. Może to odmienny od zwyczajnie przyjmowanego sposób podawania przypisków, ale daję ich tak wiele, staram się w nich zapisać wszystko, co wartościowe i ciekawe, by to od zaginienia, czy zapomnienia chronić, że—gdybym je razem zebrane podał w drugiej części książki, pewnie nie byłyby tak łatwo dostępne i nie tak ściśle złączone z kwestjami, omówionemi w odnośnych Rozdziałach. W każdym razie nie sądzę, iż na takim układzie książki stracił wątek jej głównego opowiadania.

Pomocy nie szukałem i pomocników nie miałem. Korzystałem w skompletowaniu materjałów ze zapisków i zbiorów, groma-

dzonych od blisko półwiecza, pozatem—w kontrolowaniu i grupowaniu szczegółów posługiwałem się pracami ś. p. Ks. Wacława Kruszki, ś. p. Stanisława Osady i Mieczysława Haimana: z tego miejsca składam im powinne uznanie. Ks. Władysławowi Zapale, C.R., dziękuję serdecznie za skreślenie miłego mi i pochlebnego Słowa Wstępnego. Żonie mej dziękuję za pomoc, pełną cierpliwości i poświęcenia, w traktowaniu maszynopisu, korekt i t. p.

Pisowni używam, ustalonej w r. 1918 przez Akademję Umiejętności w Krakowie. Wydawnictwu "Gwiazdy" we Filadelfji, które w najtrudniejszym okresie ograniczeń wojennych podjęło się tak znacznych rozmiarów pracy drukarskiej i wykonało ją możliwie najstaranniej—pod technicznem pokierowaniem p. Franciszka Grześkowiaka—wyrażam szczere uznanie.

Wysyłam w świat tę książkę, największą pracę życia, o zachodniej już dni moich porze. Zawieram w niej wszystko, co o Polonji Amerykańskiej wiem, pamiętam i co za wartościowe uważam, by utrwalone pozostało, gdy—starszych pracowników już zbraknie, aby młodzi poznawali ich zasługi, a wzorując się na zacnych przykładach, kontynuowali te prace—na chwałę i przetrwanie Polonji Amerykańskiej, na większą cześć w świecie Imienia Polskiego.

k. w.

w lecie, 1944.

Skorowidz Osobowy

Abrahamowicz W., 261.
Adam M., 349.
Adamkiewicz S., 165, 281.
Adamkiewicz W., 27.
Adamowski J., 246, 251.
Adamowski T., 246, 251.
Adamowska-Szumowska A., 246, 251
Adams J., 46.
Albrycht W., 325.
Aleksander L., 230.
Alski W., 229.
Andrycz, 342.
Andrzejkowicz J., 167.
Archinard Gen., 328.
Arciszewski, Płk., 416, 421.
Armand, Płk., 42.

Bakos J., 255.
Baker N., 357.
Baldeski Kp., 30, 37, 38, 39.
Balicki, 353.
Bałucki M., 261.
Barabasz M., Ks., Dr., 139, 236.
Barć F., 229, 337, 347.
Barnes, 36.
Barrie C., 34, 35.
Bartmański J., 326.
Bartosz A., 221, 230, 236.
Barzyński J., 153, 164, 202, 225.
Barzyński W., Ks. C.R., 55, 66, 67, 81, 132, 153, 164, 165, 172, 178, 225.
Barszczewski S., 228.
Bayer W., 442.
Bedkin Kp., 38, 39.
Bek A., 247.
Benda F., 266.
Benda J., 266.
Benda W., 253, 258.
Benedykt Polak, 34.
Beniowski, 29, 30, 34.
Bentalou P., 36, 41, 42.
Bernolak S., 219, 230.
Beseler Gen., 347.
Bester W., 349.
Bielaski A., 32, 47, 48, 276.
Bielawski K., 276.
Billingham, 377.
Biskupski W., 152.
Bliziński J., 261.
Blaszkiewicz K., 35.
Błeński M., 197.
Boeck L., 275.
Bojanowski J., 246.
Bójnowski L., Ks., 179, 214.
Bolek F., Ks., 123, 124, 275.
Bolesławski J., 265.
Bona S., Ks. Dr. Bp., 100,104, 411.
Bona T., Ks., 236.
Borglum G., 351.
Boruń T., 230.
Boruszkowski W., 349.
Bose Płk., 37, 39.
Boswell B., 73.
Boyde W., 316.
Brodowski Z., 227.
Broniarczyk M., 247.
Bronikowski, Ks., 139.
Brzozowska A., 269.
Buhaczkowski W., Ks., 139.
Budienny Gen., 357.
Budkiewicz K., 27.
Burgoyne Gen., 43.
Burke K., 230, 326.
Burnett, 377.

Caillivy Kp., 37, 39.
Caro L., 67, 69.
Celiński S., 253.
Cepura J., 230.
Cermak A., 194, 198.
Chądzyńska C., 236.
Chełchowski T., 234.
Chess E., Por., 358.
Chłapowski K., 266.
Chmieliński E., 183.
Chmieliński J., 269.
Chmielińska St., 171.
Chodziński K., 30, 31, 253, 255, 256, 257, 258.
Chodziński W., 255.
Chojnacki J., 326.
Chonarzewska W., 268.
Chopin Fr., 254, 389.
Chrostowski A., 219.
Chrzanowski J., 219, 228, 337.
Chrzanowska S., 231, 236.
Chrzanowski W., Ks., 83, 221, 316, 365.
Churchill W., 409, 443.

Chybowska M., 236.
Chyliński K., 247.
Chwałkowski L., 322.
Cichowicz J., 269.
Ciemiński, Ks., 139.
Ciechanowski J., 418.
Ciemniewski J., Ks., 272.
Ciepiela K., 235.
Cieplak J., Ks. Abp., 104, 113, 254, 390.
Ciupak B., 349.
Clark C., Por., 358.
Clemenceau G., 308, 309.
Cleveland G., 197.
Coleman A., 149, 238.
Coleman M., 238.
Cooper M., Kp., 358.
Corsi E., Kp., 358.
Corwin-Lewiński L., Dr., 273.
Cosway, 44.
Crawford S., Kp., 358.
Creel G., 387.
Curie-Skłodowska M., 251, 389.
Curley M., Ks. Abp., 388, 389.
Curtin H., 237.
Curtius-Kurczewski K., 26, 273.
Cyryla M. S., 274.
Czarnecki A., 193, 229.
Czarnowski J., 163, 342.
Czekała J., 182, 188, 268.
Czupka J., Dr., 219, 227, 234, 240.
Czuwara B., 230.
Ćwiąkała, Ks., 139.

Dalbor E., Ks. Abp., Kard., 316, 317.
Daszkowski, 26.
Dawson, 46.
Dąbrowski H., Gen., 46.
Dąbrowski J., Ks., 132, 138, 139, 145, 148.
Dembiński H., Gen., 47.
Derdowski H., 214, 235, 242.
Didur A., 246.
Dingell-Dzięgielewski I., 199.
Dmochowski H., 253, 256.
Dmowski R., 291, 298, 308, 328, 331, 332, 333, 334, 341, 342, 345, 353, 354, 355, 356, 361, 367, 399.
Dobrosielska S., 268.
Dobrzański S., 261.
Dociwa J., 349.
Domagalski D., Ks., 228.
Domaszewicz J., Ks., 272.
Dombrowski A., 276.
Dorszewski W., 278.
Dougherty D., Ks. Abp. Kard., 146.
Drelenkiewicz-Reckwart H., 236.
Drobiński F., Dr., 337.
Drzymalski P., 198.
Drzymała M., 237.
Duffey J., Ks. Bp., 411.
Duch B., Gen., 419, 420.
Dunikowski E., Prof., 267.
Durski M., 290.
Dworaczyk E., Ks. Dr., 93, 237, 240, 273.
Dybowski Z., 230.
Dyniewicz W., 211, 212, 213, 225, 274, 290.
Dzieduszycki, 342.
Dzierożyński, Ks., 55.
Dziewicki M., 237.
Dziob Fr., 328, 434, 442.
Dzwonkowski W., 44.

Eminowicz T., 269.
Estreicher T., Dr., 25.
Evans E., Por., 358.

Fabian-Szynalik J., 254.
Fałat J., 282.
Faunt le Roye, 334, 358.
Federkiewicz J., 255.
Feiner, Ks., 55.
Fifielski W., 244.
Figas J., Ks. O.M.C., 389.
Fijałkowski A., 139.
Fitelberg J., 247.
Foch F., Gen., 329, 340, 400.
Ford H., 71.
Fox P., 274, 279.
Franciszka M. S., 143.
Franklin B., 29.
Fredro Al., 238, 260.
Friedman I., 247.
Fronczak E., Dr., 275, 284, 337, 338, 384.
Fronczak W., 236.
Frostówna J., 265.
Fularski Mjr., 394, 395.

Gacek J., 152.
Gallicyn D., Ks., 55.

Gałęzowski, Dr., 275.
Garczyński, 342.
Gardulski J., 139.
Gargas Z., Dr., 268.
Garlick T., Por., 358.
Gates, Gen., 30, 43, 44, 45.
Gawalewicz M., 261.
Gąsiorowski W., 216, 322, 323, 324, 326, 328, 337, 339, 340.
Gerard, 48.
Getlich, 342.
Gębicki W., 51.
Gibson H., 372, 386, 387.
Gieryk T., Ks., 153, 164, 165, 166.
Giller A., 164, 167, 169.
Głębocka-Piotrowska I., Dr., 272.
Głogowski J., Ks. C.M., 148.
Głowacz F., 349.
Głuchowski K., 231.
Gmernicki M., 231.
Godowski L., 245.
Godrycz J., Ks. Dr., 133, 139, 210, 231.
Gogol M., 261.
Goński K., 384.
Gordon F., Ks. C.R., 172, 231.
Gordon T., 199.
Gorzelniawski F., 139.
Gotman, 51.
Góral B., Ks., 211, 277, 280, 284.
Górecki T., 246.
Górski M., 199.
Grabowski, 30.
Grabski S., 341.
Grajnert J., 167, 241.
Graves E., Por., 358.
Greene, Gen., 42.
Grey-Michalska G., 265.
Grigaitis W., 245.
Grocholski S., 253, 258.
Grocholski J., Ks., 237.
Grupa M., Ks., 139, 140, 148.
Gruszczyńska M., 247.
Grześkowiak F., 453.
Gurowski A., 273, 283.
Gutowski S., 442.
Gwinczewski L., 51.
Gzowski K., 33, 276.

Haiman M., 26, 36, 41, 42, 44, 52, 53, 272, 273, 281, 282, 283, 453.
Haller J., Gen., 303, 304, 326, 329, 330, 341, 346, 347, 348, 349, 405, 412, 422, 438, 440, 443.
Haller St., Gen., 444.
Halter J., Ks. C.R., 141.
Harvey C. B., 34.
Heliński T. M., 337.
Hiż J., 51.
Hodur Fr., Ks., 79, 82, 83, 84.
Hofman J., 246, 252.
Hoover H., 316, 317, 386.
Horain J., 227, 234, 240.
House E., 331, 332, 343, 351, 439.
Howard, Płk., 43.
Howe, Gen., 35.
Hryniewiecki K., Ks. Bp., 101.
Huberman Br., 247.
Hutler Z., 226.

Iciek S., Ks., 222, 236, 240, 243, 313.
Idzikowski L., 358.
Ignaczak S., 269.
Ignasiak A., Ks., 148.

Jabłoński Fr., 228.
Jachimska A., 268.
Jachimski S., 269.
Jackson A., 51.
Jadwin E., Gen., 373, 374, 375, 387.
Jagiełło W., 343, 346.
Jagłowicz M., Ks. C.R., 283.
Jakiński W., 225.
Jakóbkiewicz J., Dr., 317.
Jakubas W., 349.
Janda W., 237.
Janowski A., Prof., 61, 62, 63, 64, 122.
Janoska H., 173.
Jański B., 271.
Jarecki E., 193, 198.
Jarecki T., 247.
Jaroszyński B., 163.
Jastrzembski L., 54.
Jasiński J., 266.
Jasiorkowski T., 230.
Jaśkowiak F., 174.
Jastrzembski L., 54.
Jaworski W., 290.
Jaworski R., 152, 202, 227.
Jedliński K., 269.
Jefferson T., 31, 46, 47.

Jełowicki A., Ks. C.R., 67.
Johnson, 373.
Jones K. C., 41.
Jerzmanoski E., 29, 34, 280.
Jerzykowski L., 51.
Jeżykowicz L., Ks., 163.
Jóźwiakowski W., 268.

Kajkowski S., 269.
Kajsiewicz H., Ks. C.R., 67.
Kałusowski H., Dr., 33, 152, 163, 164, 191, 280.
Kamedulski J., 268.
Kamiński B., 231.
Kania J., 165, 281, 405, 438.
Kant E., 148, 272.
Kantor T., 269.
Karbowiak W., Prof., 274.
Karczewski K., 152.
Karczyński A., 244, 249.
Karge J., Gen., 53.
Karlewska A., 173.
Karłowiczowa J., 231, 236.
Kasperek K., 269.
Kasprzyńska B., 235.
Kątski A., 246, 250.
Kelly A., Kp., 358.
Kempiński A., 349.
Kiepura J., 246.
Kiołbassa P., 164, 165, 166, 191, 192, 225.
Kisielewski, Ks., 139.
Kleczka J., 195, 198, 371, 372.
Klukowski S., 236.
Kłowo A., Ks., 135, 140.
Knapp S., 42.
Kochanowicz J., 269.
Kochanowski J., 238.
Kochanowski W., 152.
Kochański P., 247.
Kochańska-Sembrich M., 246, 251.
Kolanowski S., 193, 231, 268.
Kolkowski, 30.
z Kolna J., 25, 26, 34.
Komorowski-Menge E., Dr., 274.
Konarzewski A., 50, 51.
Konieczny S., Ks. C.M., 148.
Konopka W., Por., 358.
Kopernik M., 389.
Koprowski W., 247.
Kopytkiewicz M., Ks., 174.
Korngold-Złotnicki N., 219, 228.
Korzeniowski J., 261.
Kosiński J., Ks. C.R., 141.
Kosmowski S., 269.
Kossak W., 282.
Kossowski J., 51.
Kostrubała J., 231, 326.
Kościuszko T., 30, 31, 33, 43, 44, 45, 46, 218, 253, 256, 257, 258, 279, 282, 283, 284, 287, 327, 334, 345, 346, 348, 357, 358, 389, 416.
Kowacz M., 29, 37, 39.
Kowal A., 236.
Kowalczyk J., 342.
Kowalewski, 342.
Kowalski A., 192.
Kozaczka J., 276.
Kozak T., 230.
Kozakiewicz L., 254.
Kozicki S., 342.
Kozłowski E., Ks. Bp., 98, 104, 292, 298, 335, 336.
Kozłowski K., 349.
Koźmiński, Dr., 342.
Kożuch T., 244, 247, 252.
Krajcer K., Dr., 51.
Krakowski L., 231.
Krasiński Z., 238.
Krasowski W., 269.
Kraus G., Ks., 174.
Krawczyk M., 237.
Krawiec J., 254, 259.
Krawiec W., 254, 259.
Król F., Ks., 231.
Krukowski, Ks., 55.
Krukowski S., 349.
Kruszka M., 192, 203, 213, 225.
Kruszka W., Ks., 56, 58, 102, 108, 112, 124, 152, 272, 453.
Kruszyński J., Ks. C. R., 141.
Kryszakowa M., 231.
Krzyżosiak W., Ks., 140.
Krzyżanowski W., Gen., 51, 52, 53.
Kucia J., 349.
Kunz S., 192.
Kulikowski E., 152.
Kurczewski-Curtius, 26, 273.
Kurdziel P., 226.
Kurowski J., 302.
Kwasigroch A., 244.
Kwasigrochowa R., 245.

Kwiatkowski B., 231.
Kwiatkowski W., Ks. Dr. C.R., 231, 271, 282.
Kwiatkowska M., 269.

Landor, 44.
Landowska W., 246.
Lange W., 163.
Lansing R., 345.
Laskowski K., 139.
Lederer, 49.
Ledochowski M., Ks. Abp. Kard., 101, 139.
Ledochowski W., 219.
Le Pan, Płk, 328.
Lessel R., 269.
Lesiński J., 199.
Leśnicki L., 231.
Lewandowski E., 255.
Lewicki W., 57, 58.
Lewiński-Corvin E., Dr., 273.
Liczko D., 28.
Ligman T., Ks. C.R., 141.
Lincoln Abraham, 48, 52, 273, 283.
Lincoln Gen., 29, 38, 39.
Link W., 199.
Liss J., Dr., 269.
Listowski, Gen., 357.
Liszniewski K., Dr., 245, 252.
Litowski, 41.
Lloyd George, 308, 355, 399.
Lodge, Sen., 377.
Lokański H., 231, 347.
Loret, Dr., 342.
Loveson, Mrs., 45.
Lutosławski W., Prof., 79, 82, 83.
Lynch J., Dr., 41.

Łabuński W., 246.
Ładoń F., Ks. C.R., 210, 236, 239, 272.
Łaski, 26.
Łepkowski N., 163.
Łempicki S., 235.
Łobejko, 266.
Łokietek Wład., 346.
Łowiński, 30.
Łoziński P., 349.
Łubieński L., 342.
Łukaszewski E., 247.
Łukaszkiewicz C., 230, 234.
Łukasiakowa M., 174.
Łysakowska W., 269.

Machnikowski I., Dr., 139.
Machnikowski L., 229.
McAgler, 138.
McCallum, Por., 358.
McCullogh J., 266.
MacKenzie-King W., 442.
Maciejewski J., 268.
Mackiewicz, Dr., 152.
Maitland I., Por., 358.
Majer D., Ks., 173.
Majewski K., 254, 269.
Makielski S., 254.
Makowiecki J., 235.
Malczewski A., 254.
Malczewski Ant., 238.
Malczewski J., 282.
Malinowski B., Dr., 275, 276.
Malinowski E., 183, 187.
Małłek A., 244, 245, 249, 250.
Mańkowska M., 238.
Markowicz M., 152.
Marowicz J., 349.
Marski M., 269.
Matejczyk J., 276.
Matejko J., 258, 263, 282.
Matyka J., 231.
Mazur W., 255.
Menge-Komorowski E., Dr., 274.
Menkicka W., 268.
Męczyński T., 174.
Miarka K., 225.
Michalska-Grey G., 265.
Mickiewicz A., 114, 238, 258, 269, 322, 323.
Miechowski M., 34.
Mieczyński L., 174.
Mierosławski L., 192.
Mierosławski W., 192.
Mierzwa S., 279, 284.
Milewicz P., 174.
Mirski J., 231.
Mitana T., 149.
Moczygemba L., Ks., 55, 66, 139.
Modjeski R., 276.
Modrzejewska F., 254.
Modrzejewski G., 266, 267.
Modrzejewska H., 56, 260, 265, 266, 269, 276, 282, 340.
Modrzejewska M., 254.
Molliere J., 261.
Montfort, Mjr., 37, 39.

Monkiewicz B., 199.
Morawski I., 230.
Morgenthau H., 373, 374, 387.
Morsztyn H., 246.
Moschzisker-Moszczyński R., 198.
Modzelewski, 342.
Mruk J., 199.
Mundelein J., Ks. Abp. Kard., 104, 105.
Murawski A., 349.
Murray K., Por., 358.

Nagiel H., 200, 201, 202, 209, 219, 234, 240.
Naimska W., 246.
Naimska Z., 246.
Napieralska E., 171, 172, 196, 337.
Napieralski S., 231.
Napoleon I., 32, 348.
Neomizja M. S., 149, 273.
Neringowa A., 245.
Nering J., 268.
Nestorowiczowa M., 231.
Neumanowa A., 337.
Neuman K., 228, 290.
Niedźwiecki M., 236.
Niemcewicz J. U., 30, 32, 44, 45.
Niklewicz F., 273.
Noble L., Por., 358.
Nowaczyk S., 231.
Nowak F., 349.
Nowak W., 174.
Nowicki E., Dr., 220, 221.
Noyes F., 238.
Noyes R. G., Prof. 238.

Obecny E., 237.
Okoński A., 199.
Oku, Gen., 335.
Olejniczak J., 165, 405.
Olstowski Fr., 254.
Olszewicz B., 33.
Olszyk E., 209.
Openchowski Fr., 231.
Orłowski J. K., 230, 237.
Orpiszewski S., 228, 235, 337, 347.
Osada St., 151, 175, 209, 213, 219, 228, 234, 240, 273, 337, 453.
Osiński A., 174.
Osostowicz M., 231.
Ostrowski J., 231, 236.
Osuchowski A., 312, 340.

Paderewska H., 174, 237, 251.
Paderewski I. J., 143, 237, 245, 282, 298, 308, 312, 321, 327, 328, 330, 331, 332, 334, 336, 340, 341, 342, 343, 344, 345, 355, 358, 361. 368, 372, 384, 389, 399, 404, 405, 412, 413, 414, 415, 417, 418, 438, 439, 440, 441.
Painleve P., 345.
Panka W., 245.
Papara W., 231.
Paruch A., 231.
Paryski A., 214, 227.
Pasterz A., 231.
Pate M., 386.
Pawlicki S., 269.
Pershing J., Gen., 302, 400.
Petain H., 401, 402.
Perzyński K., 261.
Piątkiewicz K., 230.
Piątkowski R., 139, 147, 148, 272.
Piechowski J., Ks. C.R., 81, 82, 141.
Piekarski F., 198.
Pietrowicz K., 174.
Pijanowski K., Ks., 237.
Piltz E., 341, 342.
Piłsudski J., 291, 304, 329, 347, 348, 354, 355, 356, 357, 358, 444.
Piotrowska-Głębocka I., Dr., 272.
Piotrowski N. L., 165, 166, 167, 193, 194, 318, 327, 331, 337.
Piotrowski Z., 272.
Pitass J., Ks., 213, 228.
Piwowarski A., 139.
Pius X., Pap., 89, 102.
Pius XI., Pap., 113.
Pius XII., Pap., 259.
Plagens J., Bp., 99, 104.
Plater W., 349.
Podkowiński W., 282.
Poincare R., 328, 344, 345.
Politowski F., 236.
Poniatowski J., 282.
Popiel A., 35, 36, 253, 256, 257.
Popieliński J., 167.
Popławski W., 353.
Probowski K., 28.
Prus B., 238.
Przybylski R., 255.
Przydatek J., 230.
Przyprawa J., 230, 326.
Ptak S., 349.

Pułaski K., 28, 30, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 253, 256, 257, 258, 280, 287, 334, 357, 358, 389.
Quigley J., Ks. Abp., 141.
Raczewski R., 152.
Radzimiński K., 54.
Rafaela M. S., 143.
Rajzacher S., 231.
Rayski L., Por., 358.
Rączka W., 349.
Rąpała J., 231.
Reckwart-Drelenkiewicz H., 236.
Relf, Mrs., 46.
Repeta J., 269.
Reszke E., 246.
Reszke J., 246.
Rhode P. P., Ks. Bp., 90, 98, 104, 105, 142, 157, 158, 159, 179, 292, 298, 335, 336, 436.
Ribot A., 345.
Ricard, Mrs., 32.
Riedel A., 342.
Rodziński A., 246.
Rogowski M., 29.
Rolbiecki F., Ks., 271.
Rolison H., Por., 358.
Rolof K., 24.
Roosevelt F. D., 194, 198, 409, 418, 439, 446.
Rosiakiewicz M., 51.
Rosienkiewicz M., 274.
Rostenkowski P., 337.
Roszak T., 255.
Rozmarek K., 168.
Rozwadowski J., Gen., 341, 342, 358, 444.
Różycki M., 210, 245.
Różycki W., 276.
Rubinstein A., 247.
Ruchlicki J., 57.
Rush, Dr., 45.
Rush Fr., Ks., 179.
Ruszkiewicz J., 226.
Ruszkiewicz F., 226.
Rutkowski J., 27.
Rybicki J. S., 337.
Rybiński J., Ks., 272.
Rybowiak B., 244.
Rydel L., 260, 269.
Rylski W., 326.
Rzepski T., 183.
Sadowscy, 28, 35
Sadowski J., 199.
Sadowski M., Ks. C.M., 148.
Sakoni, Dr., 227.
Samolińska T., 235, 241.
Sange W., 163.
Scherman J., 192.
Schiller F., 261.
Schoepf A., Gen., 53.
Schreiber A., 147, 170.
Schriftgisser, 202.
Schuetz L., 199.
Schurz K., 53.
Schwaba P., 198.
Scolnus J., 25, 26, 34.
Sembrich-Kochańska M., 246, 251.
Semeneńko P., Ks. C.R., 67.
Senkowski A., 358.
Setmajer H., 337, 355, 356.
Seyda M., Dr., 341, 342.
Seyda W., 231.
Seydling, Por., 37, 39.
Shrewsbury K., Por., 358.
Siatkowski J., 349.
Sieja S., 244, 250.
Siemiradzki T., 229, 272, 290.
Sienkiewicz H., 56, 227, 237, 275, 282, 312, 327, 340, 341, 354, 389.
Sienkiewicz K., 275.
Sikorski W., Gen., 142, 347, 404, 405, 406, 407, 408, 416, 417, 418, 420, 439, 442, 443, 444, 445, 446.
Skalski A., 247.
Skarga P., Ks., 93, 237, 263.
Skibiński J., 237.
Skirmunt K., 341, 342.
Skłodowska-Curie M., 251, 389.
Skłodowski W., 150.
Skop A., 349.
Skorupka A., 266.
Skorupka J., Ks., 258.
Skubikowski Z., 247.
Skulski S., 235.
Słowacki J., 238, 269.
Smith J., 27.
Smoliński J., 32, 47.
Smoliński J., Płk., 7, 47, 191.
Smulski J., 183, 193, 327, 336, 337, 338, 378.
Smulski W., 23, 213, 225, 274.

Smykowski B., Dr., 315, 316, 337, 339, 385, 397.
Sobański W., 341, 342.
Sobolewski P., 33, 201, 218, 237, 238.
Speaks J., Por., 358.
Spetz A., Ks. C.R., 178, 179, 187, 274.
Sroka J., Dr., 269.
Stachowicz L., Ks., 133.
Stachowicz Z., 231.
Stadnicki P., 30.
Stancelewski W., Ks., 211, 238, 240, 243, 384.
Stanisława M. S., 143, 144.
Stanisławski J., 282.
Stanizja M. S., 254, 259.
Starzyński M., Ks. C.R., 438.
Starzyński T., Dr., 175, 326, 337, 339, 438, 442.
Staś H., 237.
Stefanowicz Z., 230.
Stęczyński M., 147, 170, 290.
Stojowski Z., 245, 251.
Stokowski L., 246.
Streński A., Ks., 133.
Stroński S., 342.
Struve H., 148.
Studziński J., Ks. C.M., 148.
Suderman K., 261.
Sulakowski W., 53.
Symon A. Ks. Abp., 89, 101, 102, 103, 104, 112.
Sypniewski K., 337.
Syski A., Ks., 93, 236, 239, 240, 243, 272, 384.
Szajnert J., 167.
Szekspir W., 261, 263, 269.
Szczepankiewicz A., 227.
Szczerbowski K., 231.
Szopiński L., 231, 290.
Szpinalski J., 246.
Sztopka J., 246.
Sztuczko K., Ks. C.S.C., 133, 145, 179.
Szukalski S., 254.
Szukiewicz W., 276.
Szumowska-Adamowska A., 246, 251.
Szwajkart A., Dr., 269.
Szwajkart S., 228, 290, 337.
Szwedowa Fr., 173, 174.
Szymański J., Dr., 275, 279.
Szymczak M., 194, 198, 275.
Szynalik-Fabian J., 254.

Śleszyński T., 248.
Ślisz St., 213, 228.
Śmientaka J., 193.
Świątkiewicz W., 175.
Świetlik F., Prof., 168, 171, 385, 394, 395, 396, 397, 405, 411, 438.

Taft H., 147.
Terczewski S., 174.
Terlecki, 30.
Tetmajer W., 342.
Thomas W., 275.
Tochman K., 53.
Trentanove, 31, 256, 257.
Truskolaski, 32.
Tyssowski J., 163, 191.

Uczciwkówna L., 268.
Urbański J., 269.

Vanderhorst, 44.

Wachowski A., 182, 188.
Wachowski J., Ks., 237, 280.
Wachtl K., Dr., 114, 120, 229, 235, 260, 262, 267, 268, 269, 270, 273, 274, 281, 337, 347.
Wachtlowa W., 267, 269, 453.
Wagner K., Dr., 337.
Walkiewicz E., 244, 249.
Warakomski S., 237.
Warren, Dr., 42.
Washington J., 29, 35, 45, 46.
Wasielewski T., 199.
Wąsowicz T., 231.
Weber J., Ks. C.R. Abp., 104, 132, 141.
Weber J., Por., 358.
Wedda J., 231.
Wendziński J., 212, 218, 227.
Wendt W., 231.
Wessel J., 174.
Węgier F., Ks. Dr., 271.
Węgierski K., 30.
White, Gen., 45.
Wiedeman E., 244.
Wielowiejski, 342.
Wierzbicki F., 163.
Wierzbicki F., Dr., 33, 275, 283.
Więckowska G., 269.

Wild T., 219, 231.
Wilkomirski M., 246.
Wilson W., 35, 44, 194, 195, 299, 308, 317, 321, 323, 324, 331, 333, 343, 351, 352, 387, 399, 401, 432.
Wiśniowski J., 152.
Wiśniewski M., 349.
Witos W., 367.
Włodek L., 342.
Włoszczewski S., Dr., 35.
Wodzicki P., 219.
Wojtalewicz F., Ks., 144, 129, 179, 229, 303.
Wojtalewicz P., 303.
Wojtowicz K., 269.
Wolanin A., Dr., 236, 273.
Wołowska H., 171, 172, 438, 442.
Woroncow, 44.
Worzałła J., 210, 226.
Worzałła S., 210, 226.
Woźnicki S., Ks. Bp., 100, 104, 138, 432.
Wroński T., 245, 250.
Wrotnowski A., 54.
Wróblewski A., Ks. Dr., 236.
Wyborski M., Ks., 146.
Wyczółkowska A., Dr., 272.
Wyspiański S., 238, 260, 269, 282.
Wyszewski M., 349.
Wyszyński E., 201, 218.

Yolles P., 230.
Young J., 274.

Zabłocki Fr., 260.
Zaborowski, 26, 34.
Zaborowski Fr., Dr., 448.
Zabriescy, 26, 34.
Zahajkiewicz S., 211, 235, 241, 260, 267, 268, 270.
Zajączek M., 195.
Zaklikiewicz S., 231.
Zakrzewska M., Dr., 275, 284.
Zaleski Z., 342.
Zalewski B., 245.
Zamojski M., 341, 342.
Zapała W., Ks. C.R., 94, 141, 142, 143, 262, 327, 337, 442, 453.
Zapolska G., 261.
Zborowscy, 26.
Zieliński A., 152.
Zielińska G., 247.
Zieliński J., 442.
Zieliński, Mjr., 29.
Zieliński St., 218, 219.
Zimajer, 226.
Ziołkowski M., 247.
Złotnicki-Korngold N., 219, 228.
Znaniecki F., Dr., 275.
Zubrzycki, 28.
Zwierzchowski S., 276.
Zybura J., Ks. Dr., 272.

Żabczyk J., 349.
Żółtowski J., 342.
Żubr R., 231.
Żuławski C., 326.
Żukotyński T., 253, 258, 259.
Żurowska M., Dr., 196.
Żychliński K., 175, 327, 336, 338, 339.

Bibljografja

WAŻNIEJSZE DZIEŁA ANGIELSKIE:

G. Brandes: Poland.

E. G. Balch: Our Fellow Slavic Citizens.

The American Catholic Historical Researches: Gen. Casimir Pulaski, Vol. VI.

W. I. Thomas & T. Znaniecki: The Polish Peasant in Europe & America Vol. I. II.

Ninian Hill: Poland and the Polish Question.

Lord Eversley: The Partition of Poland.

R. Nisbet Bain: The Last King of Poland.

M. Gardner: Poland: A Study in National Idealism.

Nevin O. Winter: Poland of Today and Yesterday.

G. R. Noyes: Mickiewicz's "Pan Tadeusz", and his other translations.

H. Modjeska: Memories and Impressions.

E. Lewinski: Political History of Poland.

C. O. Cameron: New Poland.

M. Ives Todd: Violina or Liberty of Poland.

E. F. Benson: The White Eagle of Poland.

J. Porter: Thaddeus of Warsaw.

H. A. Gibbons: The Reconstruction of Poland and the Near East.

W. A. Phillips: Poland.

P. Sobolewski: Poets and Poetry in Poland.

Chołoniewski-Arctowska: The Spirit of the Polish History.

T. W. Rolleston: Ireland and Poland.

H. Feldstein: The Poles and the Jews.

A. J. Zielinski: Poland in the World of Democracy.

R. Kucharski: Poland's Struggle for Independence.

S. Posner: Poland as an Independent Economic Unit.

J. Holewinski: Outline of History of Polish Literature.

A. Zaleski: Landmarks of Polish History.

L. Litwinski: Intellectual Poland.

S. Kozicki: The Social Evolution in Poland in the Nineteenth Century.

J. Kowalczyk: Prussian Poland.

I. J. Paderewski: Poland, Past and Present.

Dr. F. Mlynarski: Problems of the Coming Peace.

F. S. Oliver: The Irish Question.

Allen Unwin: Poland's Case for Independence.

Isaac Don Levine: The Resurrected Nations.

A. Bruce Boswell: Poland and the Poles.
Free Poland: Volumes I.-VI.
Woodrow Wilson: History of the American People.
Woodrow Wilson: Speeches and Addresses.
Orestes A. Brownson: Works, Criticisms of Recent Theories in the Sciences.
Haiman: Polish Past in America.
Haiman: Poles of Chicago 1837-1937.
E. S. Olszyk: The Polish Press in America.
J. C. Ridpath: History of the United States.
J. Fiske: The American Revolution.
Rev. F. Bolek: Who's Who in Polish America.

* * *

WAŻNIEJSZE DZIEŁA POLSKIE:

Dr. E. H. Dunikowski: Od Atlantyku poza Góry Skaliste.
Dr. E. H. Dunikowski: Wśród Polonji w Ameryce.
S. Szwajkart: My a Wojna.
S. Przewłocki: Listy z Podróży Zaatlantyckiej.
Dr. Janik: Z Wycieczki do Ameryki.
H. Nagiel: Dziennikarstwo Polskie w Ameryce.
S. Zahajkiewicz: Złota Księga i inne.
R. Dmowski: Myśli Nowoczesnego Polaka.
Roosevelt-Włodek: Życie Wytężone.
X.....: Niezależni.
T. Siemiradzki: Historja Porozbiorowa Polski i pomniejsze.
S. Osada: Historja Związku N. P. i inne.
S. Osada: Prasa Polska w Ameryce.
X. Wacław Kruszka: Historja Polska w Ameryce i inne.
S. Laudyn-Chrzanowska: Kwestja Polska i inne.
J. Supiński-Gargas: O Demokracji Chrześcijańskiej.
Dr. Z. Gargas: Stosunki Polski z Ameryką.
X. Pyznar: Kościół Polski Niezależny w Ameryce.
X. Hieronim Kajsiewicz, C.R.: Dwie Podróże do Ameryki.
Pamiętnik Kongresu Polskiego we Waszyngtonie, 1910 r.
Dr. M. Szawlewski: Wychodźtwo Polskie w Ameryce.
Ks. W. Chrzanowski: Prawda o Wychodźtwie Polskiem w Ameryce.
M. Haiman: Polacy w Walce o Niepodległość Stanów Zjedn.
M. Haiman: Polacy Wśród Pionierów Ameryki.
M. Haiman: Historja Udziału Polaków w Amerykańskiej Wojnie Domowej.
M. Haiman: Ślady Polskie w Ameryce.
K. Wachtl: Historja Zjednoczenia.
K. Wachtl: Szkolnictwo i Wychowanie.
K. Wachtl: Historja Kollegium Św. Stanisława i inne.
K. Wachtl: Polonji Amer. z Żydami Sprawa.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w TORUNIU

Biblioteka Główna UMK

300001665020